

PRZEGLĄD POWSZECHNY.



BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 148.

ROK ÓSMY. — TOM XXXII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEN.

1891.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1891.

Errata.

Str. 326 (tom XXXI.) w. 11 z dołu zamiast: „czternastoletniem“ więzieniem, czytaj: „czternaście miesięcznem“ (*Poprawka autora*).

Str. 162, w. 23 z góry, zamiast: „różnych warunków“, czytaj: „różnych warunków“,
tr. 163, w. 4 z góry, „jako rzecz“, „ale jako rzecz“.

DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU.

Kwestya socyalna, żywo interesująca wszystkie umysły i warstwy społeczne, napelnia je słuszną obawą kataklizmu, grożącego zupełnym przewrotem społeczeństwom cywilizowanego świata. Wszędzie mówią o tej kwestyi nietylko z zapalem, jakiego wiedza od nas żąda, ale z pewnem wzburzeniem namiętności, co jasno okazuje, że nie chodzi tu tyle o rozwiązanie jakiejś filozoficznej teoryi, ile raczej o kwestyę żywotną, od której istnienie i rozwój społeczeństw zawisł — jak to znakomicie przedstawił Leon XIII. w swej encyklice. Dlatego zamierzylśmy w naszym piśmie cokolwiek bliżej się tej kwestyi przypatrzeć. Ażeby zaś zgóry wyluszczyć z wszelką jasnością, o co nam tu chodzi, podajemy w krótkich zarysach myśl, którą rozwinąć zamierzamy:

1. Co to jest kwestya socyalna.
2. Co tej kwestyi nadaje w dzisiejszych czasach charakter żywotności.
3. Jak tę kwestyę rozwiązuje dzisiejszy socyalizm.
4. Co na takie rozwiązanie odpowiada zdrowy rozum.

I. Co to jest kwestya socyalna.

Kwestyę socyalną można ująć w następującą formę: Jak ukształtowanymi winny być różne stosunki wśród społeczeństwa ludzkiego, ażeby ono właściwy sobie i istotny cel osiągnąć mo-

gło, tj. prawdziwy doczesny dobrobyt, z któregoby korzystać zarówno mogły jednostki i rodziny, jak i wszelkie warstwy i klasy społecznego organizmu. Z tego określenia jasno wynika, że kwestya socyalna obejmuje sporą ilość kwestyj drugorzędnych, z których jedna część z natury swojej należy do dziedziny moralności i filozofii prawa — druga, więcej konkretna i praktyczna, ma na oku wyrównanie obopólnych stosunków i wzajemnych praw i obowiązków. Ażeby przedstawić choć słaby obraz mnóstwa tych drugorzędnych kwestyj, zespolonych ściśle z kwestyą pierwszorzędną, wystarczy nam przypatrzeć się nieco bliżej temu, co od wieku zgórą, jako socyalną kwestyę przedstawiać nam zwykły dzieła naukowe, traktujące o filozofii, moralności i prawie, lub zajmujące się ekonomią państwową — lub jak ją nam przedstawiają i pojmują ciała prawodawcze, temi kwestyami się zajmujące, a choćby i sam lud, o zagadnieniach socyalnych po swojemu rozumujący i domagający się doraźnego ich rozstrzygnięcia.

Że tak różnorodne są te kwestye drugorzędne — nie powinno to nikogo dziwić; jest przecież tyle rzeczy dotyczących bezpośrednio tak organizmu społecznego, jak i pojedynczych rodzin i jednostek w skład tegoż wchodzących, że z tej naturalnej komplikacyi wynikać muszą wielorakie i rozliczne zagadnienia, czekające na rozwiązanie.

Spółczeństwo ludzkie jest bez wątpienia organizmem, w którego skład wchodzi tak pojedynczy ludzie i rodziny, jak i całe warstwy i klasy ludzi. Jakże wiele pytań na pierwszy rzut oka nasuwa się mimowoli przy bliższem przypatrzeniu się tym różnorodnym członom, w skład życia społecznego wchodzącym: Czy pojedyncze członki mają te same prawa i obowiązki? Jaka równość lub nierówność może lub winna w społeczeństwie się znajdować? W jaki sposób te różne członki zeszyły się w organizm państwowy — czy przez ugodę dobrowolną, przez tak zwany kontrakt socyalny, czy też w naturze istot rozumnych leży konieczność skupiania się coraz większego aż do wytworzenia społeczeństwa? Na jakich podstawach prawnych opiera się rodzina, czy węzeł małżeński, to źródło życia rodzinnego, trwa przez całe

życie małżonków, albo też jest tylko chwilowym, a tem samem wrogim istnieniu rodziny? Jakie prawa odnoszą się do różnych warstw i klas ludzi i do wzajemnego ich między sobą pożycia? Czy różnica stanów jest niesprawiedliwością, czy też z natury rzeczy wynika? Jak usunąć tę różnicę stanów, czy zrównać wyższe z niższymi, przez zniżenie pierwszych, czy też przez podniesienie drugich? — Są to pytania powstające mimowoli w głowie i w sercu każdego, kto zwraca uwagę na te różnorodne jednostki i grupy, w skład życia społecznego wchodzące.

Celem społeczeństwa ludzkiego jest wspólny dobrobyt wszystkich członków, w jego skład wchodzących. Ponieważ zaś doczesny dobrobyt społeczny wynika z posiadania, z użytkowania i używania pewnej części dóbr duchowych i materyalnych — nasuwają się znów rozliczne pytania, a wśród nich najważniejsze: którym z tych podwójnych dóbr społeczeństwo pierwszeństwo przyznać powinno: duchowym czy materyalnym? Dalej, w jakiej mierze społeczeństwo obowiązane jest dbać o naukę i wychowanie młodego swego pokolenia? Czy i o ile zmuszać może pojedynczych członków do pobierania w publicznych szkołach nauki, i jakie na nich, ich rodziców lub opiekunów pod tym względem wkładać może obowiązki?

Po rozwiązaniu tego pytania, jako pierwszorzędnego w życiu społeczeństwa, wykwitają same z siebie kwestye, dotyczące materyalnego życia społeczeństw. Ponieważ podstawą tego życia jest własność prywatna, stawia sobie każdy pytanie: czy i o ile ta własność jest prawomocną? Jakie są środki osiągnięcia dóbr materyalnych, czy praca jest jedyną sankcją prawa posiadania lub jedyną doń drogą? Jaki jest stosunek między kapitałem czyli własnością prywatną a pracą? Jaka płaca i w jakiej ilości należy się za pracę? Jak długo dziennie pracować są obowiązani ci, co kapitalistom służą? Ponieważ zaś praca pokrywać ma wydatki społeczne, zachodzi pytanie: jaki stosunek ma istnieć między produkcją a potrzebą? Kto powinien pracę rozdzielać, czy państwo jest jedynie powołaniem do rozdzielania pracy? Jak pracę produkcyjną zorganizować należy, czy powołać do tego rzemieślników, czy cechy, czy gildy? Ile pracy produkcyjnej żądać można

od pojedynczych rzemieślników, cechów, albo od ogólnego zbiorowego systemu rękodzielni państwowych? Jak rozdzielać między lud rzeczy przez pracę produkowane, odpowiednio do jego potrzeb? Czy ma to uskutecznić państwo, czy też cała masa kupców, poczynając od hurtownych, a kończąc na najmniejszych handlujących drobiazgami? Ponieważ pieniądz jest ogólnym środkiem wymiany w handlu, jakaż jest jego wartość? Co sądzić o pożyczkach i lichwie?

Te i tym podobne pytania, w niedającej się objąć liczbie, które już od wieku zgórą jako kwestye socyalne zajmują wszystkich myślicieli — należą, jako kwestye drugorzędne, do zakresu tej jednej, jedynej ogólnej kwestyi socyalnej, którąśmy powyżej sformułowali.

Żadne z tych pojedynczych pytań nie wyczerpuje zagadnienia ogólnosocyalnego; wszystkie wprawdzie schodzą się w tej jednej kwestyi, ale razem nawet wzięte nie przedstawiają nam jeszcze istoty kwestyi socyalnej. Kwestya socyalna powstaje ze złączenia różnych tych pojedynczych kwestyj w jeden całokształt, który znowu za bezpośredni punkt wyjścia ma: cel ludzkiego społeczeństwa wogóle.

Dlatego też kwestyę socyalną możemy określić w następujący sposób: jak winna społeczna organizacya chwilowe, aktualne, a tak liczne stosunki uporządkować, aby ogólny dobrobyt społeczeństwa, a nie jakiejś pojedynczej klasy, kosztem drugich osiągnąć, zapewnić i dalej rozwijać. Widzimy ztąd, że kwestya ta wnika we wszelkie stosunki społeczeństwa ludzkiego i stawia sobie za zadanie: teoretycznie określić porządek prawny społeczeństwa, w praktyce zaś i konkretnie, we wszelkich go szczegółach przeprowadzić.

To więc stanowi jakby jądro całej tej kwestyi. Lecz według pojęcia wyżej podanego, nie może ona ograniczać się tylko do pewnego okresu czasu, lecz obejmuje wszystkie czasy i domaga się rozwiązania odpowiadającego stosunkom i potrzebom każdego stulecia.

Jeżeli kwestya socyalna w pewnych czasach i krajach zbyt jaskrawo się zarysowuje, jeżeli się staje kwestyą aktualną, i jak

zwykliśmy się wyrażać, zmienia się w kwestyę piekącą, wynika to ztąd, że wewnętrzne stosunki społeczne z biegiem czasu się zmieniły lub zatarły, podczas gdy ustroj państwowy wśród tych zmian niezmiennym pozostał. Trwa jeszcze ciągle ten sam stary porządek społeczny, który do dawnych stosunków był dopasowany, a tem samem nie odpowiada już nowym wymaganiom, i ztąd konsekwentnie nie ma już na oku ogólnego dobra, lecz wyszczególnia jednych na niekorzyść drugich, albo przynajmniej wyszczególniać się zdaje. Ztąd powstaje to widoczne parcie do reorganizacyi, do nowego uporządkowania prawnych stosunków, jakiego domaga się nowy porządek rzeczy. Ile razy tylko historia przedstawia nam smutny fakt rokoszu, czy pokojowo, czy siłą brutalną zakończonogo, zawsze spostrzedz możemy, iż nie-tyle wynikał on z dążenia do reform, z jakiegoś popędu do postępu w dziedzinie wiedzy i oświaty, że nie jestto tylko wzburzenie namiętności, przez bunt rozkielznanych: lecz, że właściwej jego przyczyny szukać należy w odmienionych stosunkach, które nie zostały dostatecznie uwzględnione przez stary system społeczny. Na potwierdzenie tego wystarczy przypomnieć sobie rewolucyę francuską pod koniec zeszłego stulecia, której fale sięgają aż w dzisiejsze czasy, i są po części źródłem, że kwestya socyalna występuje w naszych czasach tak groźnie. Stanowisko, jakie w poprzednich stuleciach stan trzeci w stosunku do stanów uprzywilejowanych, tj. szlachty i kleru, zajmował, z gruntu zmienionem zostało, chociaż dawny porządek rzeczy jeszcze istniał, stawszy się dla trzeciego właśnie stanu jarzmem nie do zniesienia. Czy powszechnie uznawane wyjątkowe prawa uprzywilejowanych były od początku kradzieżą, spełnioną na prawach niższych? Nie. Przywileje po wszystkie czasy nabywano świetnymi czynami, nadzwyczajne prawa nadzwyczajnymi dziełami. Człowiek bowiem z natury swojej siebie szukający, albo przynajmniej nabytego przez się prawa stróż gorliwy, nienawidzi wszelkiego wywyższenia innych i dopuszcza ich do udziału w swem prawie jedynie za odpowiednie czyny i to zwykle tylko na tak długo, jak długo tych innych potrzebuje.

Naród francuski przez całe wieki z niezamąconym spoko-

jem uznawał te przywileje, więc i czyny i zasługi, z których one wykwitły, musiały być i wielkie i wszystkim znane. Ale i z drugiej strony musiało nie braknąć ważnych powodów, jeżeli w jednej niemal chwili zaprzeczono wyjątkowych praw uprzywilejowanym¹.

Szlachectwa z początku nikt nie zawdzięczał urodzeniu, było ono raczej naturalnym płodem ukształtowania się stosunków. Kto nietylko rodzinnej swej gleby własną pierśią i mieczem bronił, ale i innym pomoc i opiekę dawał, ten naturalnem następstwem nabywał pewnego prawa wyższości wobec bronionych, którzy znowu obrońcy swemu odwodzić zaczęli się swymi wyrobami, które mu się przydać mogły; jeśli zaś nie mieli nic takiego, czemuby mu wdzięczność swoją okazać byli w stanie, uprawiali przynajmniej jego ziemię i pomagali we wszelkiej pracy. Potrzeba i zupełne oddanie się silnemu obrońcy, wytworzyły panów, poddanych i sług, czyniąc ze wszystkich jedną rodzinę, związaną wspólnością interesów. Co obrońca czynił dla tych, których wziął pod swoją obronę, to samo czynili jego synowie dla ich synów. Tak więc powstawały prawa i przywileje drogą zupełnie naturalną, bez żadnego przymusu lub gwałtu, wyrastając ze stosunków ówczesnego społeczeństwa; dlatego też powszechne uznanie dawało swą sankcję tym prawom i wynikającym z nich obowiązkom, i nie widziało w tem żadnej niesprawiedliwości. „Szlachcie francuski, mówi Montaigne, czuł się królem w swych posiadłościach, i nikt nie śmiał mu tego prawa zaprzeczyć. Duchowni znów posiadacze ziemi, hojnie obdarowani od wiernych, zyskiwali w nich dobrowolnych poddanych przez hojne szafowanie swych dóbr na potrzeby ubogich; stawali się ojcami i dobroczyńcami podwładnych, a jako tacy odbierali od nich cześć, jaka się ojcom i dobrodziejom należy“².

Taki jest wogóle we Francji stosunek panów do poddanych, mimo różnych wstrząśnień kraju, aż do czasów Ludwika XIV. Z nim i ze systemem jego rządów ten stan rzeczy ulega prawie

¹ Taine, *Les origines de la France contemporaine*, t. I., str. 1—9.

² Tamże, str. 38—50.

nagle zupełnej zmianie. System jego rządów podrywa wpływy szlachty, osłabia ją i uboży, i wystawia na nienawiść pospólstwa. Używał on wszelkiego rodzaju podstępów, przemocy i wybiegów, aby usunąć tych królików prowincjonalnych, złamać ich samodzielność i unieżyć wszelką ich wyższość, by ją zlać i stopić w jedno z swą władzą i majestatem królewskim. Te zabiegi zupełnie mu się powiodły; słowo *l'état c'est moi* przyoblekło się w rzeczywistość, ale stało się zarazem źródłem przyszłych nieszczęść. Zbawienny wpływ szlachty na swych podwładnych ustał, wszelkie sprawy zaczęli załatwiać urzędnicy królewscy, wszelka władza spoczywała w ręku króla, a szlachcie pozostała tylko czeza nazwa, połączona z tym nieszczęśliwym przywilejem, że mogła wyciskać ze swych poddanych daniny, nie mogąc im w niczem czynić dobrze. Podatki odtąd są podwójne: jedne zbierają urzędnicy królewscy, drugie szlachta, a ilość ich wzrasta ustawicznie i dochodzi do absurdu. I niedziw! Dwór wersalski potrzebuje kolosalnych sum, nie mniejszych sum żąda szlachta, opuszczająca swe włości, by na dworze królewskim czas i pieniądze marnować. Życie oddane zabawie i używaniu, zmienia się w ustawiczny karnawał, co wymaga szalonych nakładów, a te napływać muszą z podatków.

Któż opłacał te podatki? Trzeci stan, a przedewszystkiem wieśniak. Szlachta cieszyła się okruszynami dawnej swej niezawisłości: przywilejem niepłacenia ciężarów państwowych. Jakież ztąd rezultaty? Odpowiedź na to daje nam Saint-Simon, żyjący jeszcze za czasów Ludwika XIV.: „Pierwszemu królowi w Europie nie należy się bynajmniej miano wielkiego, ponieważ lud jego, to gromada najróżnorodniejszych żebraków, państwo jego, to jeden wielki szpital umierających, których wśród pokoju obrabowano do szczytu“. Za następcy Ludwika, Massillon pisze do Fleury'ego co następuje: „Wieśniacy nasi żyją w okropnej nędzy; większa ich część połowę roku nawet owsianego chleba odmawiać sobie musi, aby sprzedawszy go, zebrać pieniądze na podatki. Murzyni na naszych wyspach w szczęśliwszem są położeniu niż nasi wieśniacy, którzy mimo uciążliwej a ustawicznej pracy, nawet na suchy chleb nie zarabiają, bo wszelki zarobek

pochłaniają podatki. Brzemie więc nad siły wieśniaka, przytłacza go całym swym ciężarem, bo i pan się domaga swoich dochodów, i podatki państwowe wygórowane do najwyższego stopnia, a do tego sposób w jaki je ściągają, przechodzi nieraz wszelkie granice surowości. Łatwo ztąd zrozumieć, jak wrogie dla państwa usposobienie musiało powstać w płacących podatki¹.

Jakże nam się w tym czasie przedstawia stan drugi, czyli kler? Bogatych biskupstw i opactw wraz z władzą duchowną nie otrzymują ludzie, zasługujący na to życiem i zdolnościami, ale służalcy królewskiego dworu; takim bowiem zwykle oddawano godności duchowne wraz z przynoszącemi ogromne dochody dobrami. Spotykamy się wprawdzie z pięknymi pod tym względem wyjątkami, na nieszczęście jednak zbyt one są rzadkie. Ludzie ci, bez żadnego powołania, myśleli tylko o zaspakajaniu wyuzdanych nieraz swych namiętności, zapominając zupełnie o potrzebach wiernych. Niższy zaś kler, to przeważnie żebracy wśród równie żebraczego ludu. Za wszystkie ich trudy i pracę dawano im utrzymanie, które ledwie wystarczało na zaspokojenie najkonieczniejszych potrzeb; proboszczowie pobierali 500—700, wikarzy 200 franków rocznie, a ta mizerna płaca jeszcze grubo była opodatkowaną. Nic więc dziwnego, że w chwili ruchu reorganizacyjnego kler stanął po stronie trzeciego stanu.

Że na tle tych tak smutnych stosunków zjawić się musiały katylinowskie charaktery, nie ulega wątpliwości. Przy ogólnej katastrofie społecznej, prócz nędznego życia, nie mieli do stracenia, a natomiast coś przynajmniej zyskać mogli. Do tych

¹ Taine, *L'ancien régime*, str. 484, tak nam je przedstawia: „Jestem w okropnem położeniu, bo mi zawiele zabierają, a biorą mi zawiele dlatego, że zamało zabierają uprzywilejowanym. Nietylko za nich płacić muszę, ale i im poddańcze opłacać podatki. Skoro ze 100 franków mego dochodu, 53 zapłaciłem królowi, muszę uprzywilejowanym poborcem podatków zapłacić jeszcze 28, a pozostałe 19 muszę jeszcze na podatek solny i spożywczy obrócić. Tak więc ja, ubogi człowiek, muszę podwójny system państwowy swymi pieniędzmi utrzymywać: i ten, który już nie istnieje, a który tylko smutnym obowiązkiem płacenia daje znać o sobie, i drugi centralny, który wszędzie jest obecny i niezliczone ma potrzeby. I to wszystko na moich, od pracy wynędzniałych spoczywa ramionach“.

rozkładowych czynników przystąpiło jeszcze ubóstwo i nędza, jakim podległy w tym czasie i inne chrześcijańskie narody; jeżeliby jednak to charakterystyczne znamię czasu trafiło na wielkoduszne poddanie się pod wolę bożą i na prawdziwą, ofiarną miłość bliźniego, jakiej uczy i od swych wyznawców żąda religia chrześcijańska—byłoby się tylko przyczyniło do chwały i sławy narodu. Na nieszczęście jednak religia Chrystusowa w XVIII. w. we Francyi była wystawiona pod pręgierz drwinek i szyderstw, a tem samem ewangelia poddania się i ofiary straciła całą swą moc. Najlepszym tego dowodem tryumfalne orgie na cześć Voltaire'a 1778 r. Powiedział kiedyś ten pseudo-filozof: „Już mi się znudziło to ciągle przypominanie, że 12 mężów wystarczyło na zaprowadzenie chrześcijaństwa na świecie; ja pokażę, że jeden wystarczy, aby je zniszczyć“. Tym jednym, jedynym miał być on sam; i rzeczywiście, swym zjadliwym sarkazmem, wydrwiewającym najświętsze rzeczy, tysiącom wydarł wiarę.

Taki był nastrój ducha w narodzie, kiedy na tron wstąpił Ludwik XVI. Cały świat, żądny reformy społecznej, zwracał się ku niemu, wszyscy oczekiwali rewolucyi. I przysła, lecz niestety nie taka, jakiej się spodziewano, bo nie było nikogo, ktoby tę rewolucyę umiał skierować przeciw bezprawiom i stworzyć nowy porządek państwowy, odpowiadający potrzebom czasu. Gdyby się był jeden tylko człowiek znalazł, któryby potrafił ten entuzjazm i ofiarność, jaka owładnęła zgromadzeniem narodem na posiedzeniu nocnem z czwartego na piąty sierpnia 1787 r., rozumnem umiarkowaniem i silną ręką na odpowiednie sprowadzić tory, zażegnałby tę straszną burzę nieszczęść. Szlachta naonczas zrzekła się swych feudalnych praw, biskupi na największe odważyli się ofiary, a to wszystko, by ratować lud. Jeden wyprzedzał drugiego w ofiarności; wszystkich ogarnął jakiś nadzwyczajny zapal wielkodusznej bezinteresowności. Na nieszczęście, zapal ten trwał krótko i nikt go nie zużytkował ku pokojowej reorganizacyi społecznej, odpowiadającej zmienionym warunkom życia społecznego.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynika, że istotnym początkiem kwestyi społecznej we Francyi przed wiekiem, w gruncie rzeczy

nie co innego było, jak niedopasowanie porządku społecznego do stanu rzeczy, jaki się zwolna i stopniowo sam przez się wytworzył. Naturalnie, że tysiące innych przyczyn złożyło się na to, by całej tej kwestyi nadać ten złowrogi kierunek, jaki się objawił w krwawej, wielkiej rewolucyi¹.

Zdawaćby się mogło, że zbyt znacznie rozszerzyliśmy się nad powodami owej kwestyi socyalnej, na którą przerażającą odpowiedź dała rewolucya — tak jednak nie jest; i nasze bowiem czasy wiele mają punktów stycznych z epoką bezpośrednio poprzedzającą rewolucyę francuską. Podobne przyczyny, podobne też miewają skutki; jestto prawo tak ogólne, że ma zastosowanie i w dziedzinie historyi. Nadto z tego cośmy powiedzieli, jasno się okazało, że kwestya socyalna, dominująca nad wszystkimi czasami, wtenczas tylko zdaje się przyjmować tak ostry charakter, kiedy ustrój społeczny nie licuje z faktycznymi postulatami czasu, a tem samem nie spełnia istotnego swego zadania, jakim jest troska o ogólne a wspólne dobro wszystkich obywateli państwa.

(C. d. n.).

Ks. Antoni Langer.

¹ Przyczyny rewolucyi francuskiej podaje znakomicie dr. Weiss w swej „Historyi powszechnej“, tom VII., część I.



STANLEY I EMIN PASZA.

(Ciąg dalszy).

III.

Po trzeciej podróży Stanleya, Europa na kongresie berlińskim ogłosiła Kongo za wolne, neutralne państwo, oddając je pod osobistą opiekę króla belgijskiego i zarząd Stanleya. Ale niepodobna było przypuszczać, aby wielki ten podróżnik zarządem choćby takiego kraju, jakim jest Kongo, miał zamknąć chlubną swoją karierę na polu odkryć i poznania Afryki. Ustawiczna gorączka wypraw pchała go do czynu; przed nim rozciągały się poza granicami Kongo olbrzymie a niezmierzone przestrzenie, na których jeszcze noga cywilizowanego nie stanęła człowieka. Potrójna jego wyprawa w głąb lądu, obfitująca w tysiączne niebezpieczeństwa, nie tylko go nie zrażała, ale zdawała się podniecać i do czynów zagrzewać. Z pustynnych obszarów piasków i lasów, z głębin olbrzymich jezior i rzek, wołały nań cienie poległych na stanowisku towarzyszy jego wypraw, wzywając, by pomścił ich śmierć, oddając ludzkości nowe obszary, nowe lądy i wody, nowe pola do rozwinięcia cywilizacji. Usłuchał Stanley tych głosów i poszedł.

Sposobność do tego nadarzyła się wkrótce. Po Europie rozległ się okrzyk zgrozy. Fanatyczne hordy Mahdiego podstępem opanowały Kartum, a pod gruzami leżał ostatni na tym punkcie pionier cywilizacji, bohaterski Gordon. Krainy Darfuru,

Kordofanu, Sennearu i Bahr-el-Gharal wpadły w ręce zwycięzców. Sudan cały, z wyjątkiem podzwrotnikowej Prowincyi, zarządzanej przez Emina Paszę — stracony był dla cywilizacyi. Aby to zrozumieć, cofnąć się wstecz musimy.

Utrata Sudanu egipskiego przypadła równocześnie z okupacją Egiptu przez Anglię. Kedyw Ismail, spadkobierca idei i planów wielkiego Mehmeta Ali, powziął zamiar zamienienia swego wice-królestwa w olbrzymie państwo, sięgające do kompleksu jezior środkowej Afryki. Wojny w tym celu podjęte sprawiły, że podatki i tak już bardzo przygniatające ludność, przybrały charakter grożący ruiną i zagładą wszelkiej prywatnej własności. Do zwiększenia nurtującej w kraju niechęci przyczynił się równie dekret, znoszący niewolnictwo na całym terytorjum egipskiem. Ismail musiał abdykować, a rządy objął Kedyw Tewfik. We trzy lata wybuchło powstanie Arabiego, a Kedyw dla stłumienia rokoszu popełnił błąd, odwołując wojska ze Sudanu. Fakt ten był początkiem szczęśliwej kariery Mahdiego.

Mohamed-Ahmed nie marzył może o roli, jaką później odegrał. Syn ubogich rodziców, wstąpił do stanu duchownego, a zostawszy derwiszem, oddał się w zupełności powołaniu swej kasty — fanatyzowaniu ludu. Ale jedna z najbogatszych rodzin Sudanu, dzierżąca w swej dłoni handel niewolników na całym dorzeczu Białego Nilu, wydawszy za niego swą córkę, a wielce niezadowolona z rozporządzenia Kedywa, wzbraniającego obrzydły ten handel, pehnęła go do roli proroka i wybawiciela. Nagle w r. 1881 Mohamed-Ahmed ogłasza się przepowiedzianym w księgach Islamu prorokiem Mahdim, a korzystając z rokoszu Arabiego i ogołocenia Sudanu z wojsk egipskich, podnosi czerwony sztandar buntu. Jakby na znak dany, zbiegają się pod ten sztandar tłumy rokoszan i awanturników. Znany jest przebieg tej strasznej, fanatycznej walki, tego dymiącego się krwią i pożogą pochodu proroka przez kwitnące kraje Sudanu, które w krótkim czasie zamienił w gruzy i pustynię. Nieraz odepchnięty, ale częściej zwycięzca, razporaz bije wojska Kedywa. Rząd angielski z początku zdala się trzyma od tych wypadków; ale kiedy r. 1883 hordy Mahdiego wyciąwszy co do nogi dwunastotysięczny kor-

pus Hicksa Paszy, w zwycięskim pochodzie zagroziły bezpieczeństwu Kartumu, ocknęła się Anglia ze swojej pozornej czy umyślnej obojętności. Lecz trudno już było powstrzymać toczącą się lawinę. Mimo angielskiej pomocy, Backer przegrywa walną bitwę w grudniu 1883, zostawiając na placu dwie trzecie swojej armii, a choć Anglia chwyta się ostatniego środka i wysyła do Kartumu generała Gordona, ten mimo niezwykłej energii, mimo cudów bohaterstwa, odcięty i zamknięty w murach tego miasta, ginie ofiarą zdrady. Śmierć tego bohatera była zgonem cywilizacyi. Barbarzyńskie hordy fanatycznego proroka załaziły Sudan, i kraj ten żyzny i piękny, rozciągający się od morza do morza, przez całą szerokość Afryki, staje się łupem mas ciemnych, rządzonych przez ludzi pragnących dla samolubnych swych celów stanu barbarzyństwa i grubej ciemnoty.

Jak mówiłem wyżej, wieść ta hiobowa poruszyła całą opinię Europy. Był jeszcze punkt wyjścia w tem rozpaczliwym położeniu. Z całego Sudanu pozostawała jeszcze niezalana hordami proroka Prowincya podzwrotnikowa, rządzona w imieniu Kedywa przez Emina Beja Hakim.

Edward Schwitzler, urodzony w r. 1840 z rodziny żydowskiej na Szląsku pruskim, służył w Turcyi, Armenii, Syryi i Arabii pod rozkazami Ismaila Hakki Paszy, dawniejszego namiestnika Scutari i mouschira Wysokiej Porty. Po śmierci jego wraca do kraju, a w r. 1875 udaje się do Egiptu, następnie do Kartumu, gdzie jako lekarz służy pod rozkazami Gordona. Tu przybiera tytuł i imię Emina Effendi Hakim, co znaczy: „lekarz wiernych“. Wysłany do Lado dla pielęgnowania chorych, i do króla Mtesy w misyi politycznej, odwołany do Kartumu i znowu w charakterze dyplomaty wysłany do Kabby Rega, króla Unyoro, w r. 1878 otrzymuje godność Beja i wielkorządcy podzwrotnikowej Prowincyi.

Tu miał do czynienia z otaczającym go szerokiem kołem, powstaniem Mahdiego; obronnie trzymał się Emin w swej prowincyi, a mimo odcięcia od Kartumu, pozbawiony od 19 miesięcy wszelkich ztamtąd wieści, szczęśliwie odpierał napady wojsk Mahdiego.

Otrzymawszy wiadomość o zdobyciu Kartumu i śmierci Gordona, widział się zmuszony cofnąć w głąb kraju. Udał się do Wadilai i ztamtąd rozporaz szle już do Egiptu, już do Europy listy, proszące o broń i amunicję; ale pomoc nie nadchodziła, a położenie Eminia z dniem każdym stawało się rozpaczliwsze. Wreszcie wieść o Eminie zupełnie zginęła; nie wiadano, czy umarł, czy żyje; pod naciskiem zaniepokojonej opinii publicznej zaczęto się ruszać około zorganizowania dla niego pomocy.

W Anglii pod prezydencją Sir Wiliama Mackinnon tworzy się komitet, stawia sobie za zadanie zebrać i posłać Eminowi zapasy broni i żadaną pomoc. Naturalnie na dowódcę niebezpiecznej tej wyprawy głos powszechny wyznaczył Stanleya. Ale zachodziło pytanie, którądy wyprawa podążać miała. Stanley podawał cztery projekta, ale ze wszystkich jemu samemu najlepiej przypadła droga wiodąca przez rzekę Kongo. Komitet się sprzeciwiał, wolał drogę zachodnią przez Msalalę, Karagę, Aukori i Unyoro, a to z powodów braku środków przewozowych do podróży wodą. Kiedy jednak król belgijski oddał komitetowi do rozporządzenia wszystkie okręty wolnego państwa Kongo, pod warunkiem, że przez tę rzekę wyprawa posuwać się będzie, komitet musiał uznać wyższość tej drogi przed wszystkimi innemi i zgodził się na nią.

14 stycznia 1887 Stanley jedzie do Brukseli dla podziękowania i pożegnania się z królem; 18 wraca do Anglii i wyklada księciu Walii cały plan swej podróży; 20 wysyła do Afryki cały swój personal europejski, a następnego dnia sam odbija od brzegów Anglii; w sześć dni później przybywa do Aleksandryi, żąda bezzwłocznie jedzie do Kairu.

Na posłuchaniu u Kedywa otrzymuje pozwolenie prowadzenia wyprawy pod sztandarem egipskim i firman mianujący Paszą Eminia, ale zostawiający mu wolność powrócenia do Egiptu lub pozostania na stanowisku. Następnego dnia, 3 lutego, przybywa Stanley do Suez, a 22 z całym swym personelem europejskim znachodzimy go w Zanzibarze.

Tu miało miejsce pierwsze jego widzenie się z Tippu-Tibem. Jestto zbyt ważna osobistość, aby można ją pominąć mil-

czeniu, lub lekką tylko wzmianką. Tippto-Tib, metys z pochodzenia, to nieukoronowany władca Afryki, bez którego zezwolenia niepodobna nietylko żadnej wyprawy urządzić, ale nawet stanąć na ziemi murzynów. Ścierać się z nim i stykać musieli nietylko wszyscy podróżnicy, ale liczyć się musiały europejskie rządy. Kiedy w r. 1886 Arabowie jego wkroczyli do państwa Kongo i spalili jedną ze stacyj belgijskich, rząd tego mocarstwa nietylko nie szukał za to odwetu, ale przez Stanleya ofiarował mu posadę gubernatora tej stacyi z płacą 9000 fr. Wzamian za to obowiązywał się Tippto-Tib bronić i zarządzać stacyą w interesach państwa Kongo, przeciw Arabom i krajowcom, samemu się wstrzymywać i innym nie dozwalać handlu niewolników na całej przestrzeni, aż do wielkich wodospadów. Przyjął to stanowisko, ale nie zaprzestał koczowniczego życia. Wzbogacony haniebnym handlem niewolnikami, którego głównym jest filarem, zrodzony do dowództwa, pod sztandarem swoim zbiera tysiące awanturników arabskich i panuje wszechwładnie na całej przestrzeni, od Stanley-Falls aż do jeziora Tanganika. A nietylko jest on groźny karnem swem wojskiem, ale jest jeszcze inny powód, dla którego staje się niezbędnym każdemu zapuszczającemu się w głąb kraju. Zmonopolizował w swym ręku przedsiębiorstwo tragarzy tak, że żaden podróżnik bez jego zezwolenia i grubej zapłaty nie zdoła otrzymać rąk do przeniesienia pakunków; a kto zna afrykańskie stosunki, gdzie żadne juczne zwierzę użyte być nie może, ten łatwo zrozumie, jak wielkiej doniosłości jest zawiązanie dobrych stosunków z tak groźnym przeciwnikiem. Kontrakt zawarty między nim a Stanleyem zobowiązywał go do dostarczenia 600 tragarzy, po 150 fr. od głowy.

Teraz już Stanley mógł wyruszyć w podróż. To też 24 lutego odbija od brzegów Zanzibaru, okrąża południową Afrykę, wypływa na ocean Atlantycki i 18 marca zarzuca kotwicę u ujścia rzeki Kongo, a 21 marca przy stacyi Matadi staje po raz czwarty na ziemi afrykańskiej i rozpoczyna swój pochód, z gorączkową niecierpliwością śledzony przez całą Europę.

Charakterystyczną w podróżach Stanleya jest okoliczność, że każdą ze swoich podróży inną odbywa drogą. Kiedy w r. 1873

redakcyę *New-York-Heralda* i londyńskiego *Daily Telegraph* wysłały go do badania wnętrza Afryki, obiera sobie drogę lądową z Zanzibaru, i przez wschodni brzeg Afryki podąża do jeziora Tanganika, a ztamtąd płynąc rzeką Lualaby-Kongo, przebywszy około 12 tysięcy kilometrów, dociera do miasta Bomy, a więc leżącego na przeciwnym brzegu Afryki, u ujścia powyższej rzeki.

W wyprawie, którą odbył na wezwanie rządu belgijskiego w r. 1879, obiera ten sam punkt wyjścia, ale Czerwonem morzem i Śródziemnem opływa północną Afrykę, dopływa ponownie do ujścia Kongo, posuwa się niem w górę, dochodzi do miejsca, gdzie zakłada stacyę, dzisiejsze miasto Leopolda, odkrywa Stanley-Pool (jezioro Stanleya), zapuszcza się dalej dla zbadania dopływu Konga, rzeki Kwa, a odkrywszy jeszcze olbrzymie jezioro Leopolda II., tą samą drogą napowrót wraca.

Wyprawa jego z r. 1883, której celem było dotarcie bądźcobądź do źródeł Wielkiej Rzeki, musiała logicznem następstwem tą samą posuwać się drogą; ale dotarł znacznie dalej, bo aż do samychże wodospadów Stanleya, i na wyspie Wanna-Bussari założył najdalej wysuniętą stacyę ucywilizowanego świata.

W obecnej swej podróży obiera sobie drogę przez niezbadaną jeszcze rzekę Aruhimi, w dalszym swym biegu zwaną Ituri, i przez las podzwrotnikowy, którego przebycie zaliczyć można do najśmielszych czynów ludzkiej odwagi.

Kto chce się przekonać, jakim to niewysłowionym trudnościom i niebezpieczeństwom podlega podróż przedsięwzięta w celu rzeczywistego badania nieznanych krajów Afryki, niech przebiegnie karty opowieści Stanleya. P. Peters w swoim dziele wysmiewa Stanleya na punkcie wymarzonych i wygórowanych trudności, których on nie zaznał na swej drodze; chlubi się tem, że nie doznał męczarni głodu i pragnienia, podczas gdy towarzysze Stanleya marli po drodze; te same plemiona, które Stanleyowi wrogami się okazywały, przed nim pierzchały i t. d. i t. d. Ale Peters nie bierze w rachubę tych okoliczności, że Stanley przedzierał się przez kraje nieznane i sam pierwszy stawiał czoło niebezpieczeństwom — podczas gdy on postępował znanym już szlakiem, między szczepami, które już znały Europejczyka. Peters,

z małym wyjątkiem chwilowego braku wody, nie doznał męczarni głodu i pragnienia, bo cywilizatorska jego działalność opierała się na kulach i ogniu, którymi zmuszał krajowców do dostarczania żywności, — Stanley postawił sobie za zadanie, aby nie przemocą nie wydzierać krajowcom, aby pochód swój przez terytorya krajowców nie znaczyć krwią i rabunkiem; a kiedy napadnięty musiał się bronić i zwyciężać, to łupy w postaci bydła, żywności i kości słoniowej, które mógł zagarnąć na mocy prawa wojennego, płacił perłami szklanemi i perkalami, aby nikt nie pomówił go o gwałt i rabunek.

Stanley między innemi swemi spostrzeżeniami twierdzi, że przez kraj jednego z najdzikszych afrykańskich plemion, Massajczyków, można tylko przejść mając ze sobą siłę tysiąca Europejczyków. Peters wyśmiewa go za te słowa i równocześnie gani innego angielskiego podróżnika, Tomsohna, że ludom tym chciał zaimponować i zjednać je sobie, przedstawiając się za maga i czarńoksiężnika. Dla Petersa trudności te nie istnieją — gardzi on i Massajczykami i całym plemieniem murzyńskim. I jakież wnioszek z tej pogardy? Proszę otworzyć dzieło jego na str. 209, a przeczytamy tam słowa godne cywilizatora niemieckiej ojczyzny: ... *ich habe gefunden, dass diesen wilden Söhnen der Steppe schliesslich nur die Kugeln der Repetiergewehre und der Doppelbüchse, und zwar in nachdrücklicher Anwendung gegen ihren eigenen Körper, imponirt haben.*

Historia potępiła postępowanie Hiszpanów z krajowcami przy odkryciu Ameryki, piętnując jako hańbę owego narodu wytepianie i ściganie, jak zwierzęta, Meksykańczyków i Peruwiańczyków — a oto w XIX. w. znachodzi się apostoł tego samego systemu, syn narodu, mającego przecież pretensye do miana najbardziej oświeconego i najbardziej ucywilizowanego!

Przebiegając dzieło p. Petersa, wierzyć się nie chce, że ten człowiek całkiem na seryo czyni zarzut Stanleyowi, iż zamiast łagodnego i pojednawczego usposobienia, nie okazywał plemionom murzyńskim surowości i dzikości, że nie tępił ich ogniem i mieczem.

Może czytelnik sam przekonać się zechce. Proszę np. otwo-

rzyć jego dzieło na str. 475. Stanley w swych podróżach opowiada, że w kraju Nera miał do staczania ciężkie i krwawe bitwy, i że jego pobyt w tej krainie był jednym z najtrudniejszych. Na to Peters: „Krajowcy w Nera zdawna odznaczają się zuchwałością względem podróżnych, ale jeśli kto jak Stanley miał ze sobą 1000 ludzi i armatę systemu Maxima, to zuchwałość ta powinna była być dla niego, czem mucha dla słonia. We wszystkich krajach afrykańskich panuje obyczaj, że od podróżnych żądają haraczu; obyczaj ten tem więcej jest niesłuszny, że — niech czytelnik dobrze uważa — że tubylcy nic a nic nie czynią dla wygody i bezpieczeństwa dróg!“ A więc p. Peters żąda od dzikiego narodu bitych gościńców i policyi bezpieczeństwa! „Wszyscy podróżnicy, nawet przed Stanleyem, prawu temu ulegali. Ja w zasadzie nigdy tego nie czyniłem, tem bardziej tu, ponieważ znachodziliśmy się na terytoryum niemieckiem, i my, jako władcy kraju, mieliśmy prawo haraczu żądać“. Więc dziki Nerejczyk, który w szczerości i prostocie swego ducha uważał się za pana tych przestrzeni, na których jego ojcowie i praojcowie żyli, i nie wiedział o stypulacyach berlińskich, kraje te bez jego wiedzy przeznaczających Niemcom, miał z bohater-skiej postawy p. Petersa poznać, że on właśnie jest Niemcem i płacić mu haracz!

A ponieważ Nerejczycy byli tak niedomyślni i nieprzezorni i odważyli się nietylko zaczepić jego oddział, ale wysłać parlamentarzy z żądaniem podarunków, przeto p. Peters — swoim zwyczajem — kazał do nich dać ognia i przekazał potomności ten czyn bohaterski, że sam własną ręką trzech z nich położył. A kończąc temi słowami: „Zapisuję to dlatego, ponieważ w fantazyi Stanleya żywsze jest poczucie niebezpieczeństwa w podobnych położeniach, aniżeli w moim niższo-saksońskim mózgu“ — radzi temuż, aby nie straszył podróżnych bajecznemi opowieściami, ale szedł w jego ślady.

Jeszcze żywiej na innem miejscu swojej książki (str. 498) daje nam p. Peters obraz swego wojowniczo-bohaterskiego usposobienia wobec stosunkowo bezbronnych krajowców. W swojej podróży przybył do kraju Ugogo. W dziele swoim: „Przez cze-

luście Afryki“, tak pisze Stanley o tym kraju: „Kraina ta obfituje w trudności i niebezpieczeństwa. Podróżny co krok spotyka się z przeciwnościami, które go gnębią i męczą. Żadne inne plemię nie posiada tyle najróżnorodniejszych sposobów dokuczania podróżnym. Można by przypuścić, że w Ugogo istnieje szkoła wyuczająca swoich wychowalców najrozmaitszych sposobów chytrości, złośliwości i podstęp. Przed 19 laty spoglądałem na ten kraj i jego mieszkańców pożądlivem okiem i widziałem tu szerokie pole do czynów, którym warto się było poświęcić. Przekonany byłem, że w przeciągu sześciu miesięcy przeistoczę Ugogo, uporządkuję ten kraj bez wielkich trudów i kosztów, aby stał się błogosławionem miejscem dla obcych i krajowców. Przybycie tam moje, rozwiło moje marzenia. Niemców to będzie zadaniem (według uchwał kongresu berlińskiego, kraj ten przyznany został cesarstwu niemieckiemu), przeprowadzić moje marzenia, i zazdroszczę im tego. Dla mnie smutną była ta nowina, że nie może być moim udziałem oczyścić tę krainę i kraj cały przeistoczyć“.

Słów tych nie można czytać bez rozrzewnienia; przebija się w nich dusza prawdziwie chrześcijańskiego cywilizatora, który nie pragnie podbojów dla samejże ziemi, ale sercem gorącym ogarnia barbarzyńskie narody, pragnie je uszczęśliwić, pragnie, aby dorosły i dojrzały do używania owoców chrześcijańskiej cywilizacji.

Czytajmy teraz, co p. Peters o tym kraju mówi: „Ze wszystkich krajów, Ugogo jest najobrzydliwszy i najwstrętniejszy, a charakter ziemi odbija się na jej mieszkańcach. Jak u Massajczyków, przeważa u nich bezczelność i żyłka złodziejska“. A przypominawszy sobie powyższe słowa Stanleya, cynicznie woła: „Jaka szkoda dla Ugogo, że Stanley planów swoich przeprowadzić nie mógł. Miał on sposobność przytępić zuchwałość mieszkańców, i żałować tylko przychodzi, że tego nie uczynił“.

Jakaż to była sposobność? Przed dziewięciu miesiącami, kiedy Stanley znajdował się w tym kraju, król Makenge wysłał posłów do niego, z żądaniem podarunków. Stanley, wychodząc ze swojej zasady unikania o ile możności rozlewu krwi, uczynił

zadość temu żądaniu. Nie może się to pomieścić w umyśle bohaterskiego p. Petersa, aby Stanley, ten Stanley, który miał ze sobą 1000 ludzi i mitraillezę Maxima, opuścił taką sposobność dogodną i nie ukrócił zuchwałości Ugogów. I znowu następuje ta sama rada: bić, palić, tępić, mordować — oto hasło, którem się powinno cywilizacyę szerzyć w barbarzyńskich narodach.

Kto chce się uśmieć z bohaterskich dzieł p. Petersa — który, nawiasowo mówiąc, na str. 188 swojej książki czyny swoje porównuje do czynów Fryderyka W. — niech sobie przeczyta całe jego zachowanie się i bitwę stoczoną w krainie Ugogo. Jak to on *reitpeitsch'em* obił syna sultana, który wiedziony ciekawością, zaglądał do jego namiotu; jak sam jeden z kijem w rękę potykał się z kilkuset wojownikami, którzy na sam jego widok pierzchnęli, a rozkazawszy ludziom swoim palić i rabować wsie krajowców, sam jeden strzałami swymi trzymał w oddaleniu 2 do 3 tysięcy krajowców.

Mógłbym o wielu jeszcze rzeczach rozprawiać z Petersem, jak np. o jego pełnej niesprawiedliwości ocenie charakteru Stanleya i błędnem ocenieniu czynów jego, z których wysnuwa ten nieuzasadniony a krzywdzący zarzut (str. 521), że postępowanie jego szkodliwszem było dla cywilizacji krajów nad Nilem położonych, aniżeli fanatyzm i barbarzyństwo Mahdiego — ale ponieważ ani polemika moja z p. Petersem, ani obrona Stanleya, przez nich nie będzie czytana, przeto przestając na tem, powracam do Stanleya i jego podróży.

30 kwietnia 1887 znachodzimy go w Kinchassie, nadbrzeżnej stacyi Kongo, zajętego puszczeniem na wodę statku „Florida“, w celu połączenia się z trzema innymi statkami, stanowiącymi flotę mającą powieźć wyprawę w górę Wielkiej Rzeki. Od 21 marca, a więc przez dni 40, karawana posuwała się lądem, doznając już na wstępie niewysłowionych trudności. Skalista i rozpalona ziemia ranami okrywała nogi murzynów, tak, że krwią znaczyli ślady swego przechodu. Od wyjazdu z Zanzibaru do 25 marca, Stanley liczył 9 już umarłych, a 17 tak chorych, że musiał zostawiać ich po stacyach. 10 kwietnia, w sam dzień Wielkanocy, upał dochodził do tego stopnia, że ludzie pa-

dali jak muchy, kilku skonało, a febra w przerażający sposób szerzyła się wśród czarnych. Nazajutrz jeszcze gorzej. Tragarze wszyscy chorzy bez wyjątku, żołnierze, choć się lepiej trzymają, ale jeden od drugiego wlecze się o kilka kilometrów odległości; zapasy żywności tak się wyczerpały, że Stanley rozkazał otworzyć puszki z konserwami i każdemu rozdać po czarce mięsnej zupy.

Brak ten zapasów żywności dawał się czuć Stanleyowi w każdej jego podróży, a mimo to, choć nauczony doświadczeniem, nie mógł temu zaradzić. Ani groźba, ani prośba, ani smutny widok trupów, znaczących przejście karawany, słowem, nie może skłonić Afrykańczyka, aby wziął ze sobą w podróż więcej żywności jak na jeden lub dwa dni. W naturze murzyna leży, że w podróżach wstręt czuje do obarczania się, że mając pożywienie, jeść będzie w sposób i ilości niepojętej dla umysłu Europejczyka, ale zadowolony dniem dzisiejszym, o jutrze nie myśli. Żarłoczność jego jest isticie zwierzęca, a przytem lekkomyślność dziecinna. Choć wiedzą, jak straszne skutki sprawia roślina, zwana maniakiem, w braku innego pożywienia, chciwie się na nią rzucają. Wymoczony w wodzie i ugotowany, daje smaczną potrawę, wysuszony i zmielony korzeń tej rośliny, daje mąkę, z której przyrządzają tapiokę i białe sago, ale zjedzony w stanie świeżym zawiera w sobie truciznę, która w straszny a powolny sposób niszczy organizm i od której setki tragarzy Stanleya niezdolni wkrótce byli do pracy. A jakże powstrzymać te zgłodniałe a nierozważne tłumy, kiedy roślina ta gęsto pokrywa łąd afrykański i sama się nastrocza i do rąk ciśnie.

Wyprawa, puściwszy się na wody Kongo, raźniej się posuwała. Nie można było obrać lepszej pory do podróży wodą, ponieważ od 15 marca do 15 maja panuje w tych okolicach sezon deszczów, a więc rzeka doskonale nadaje się do żeglugi. Na przestrzeni 1300 km. flotylla posuwała się bez żadnych przeszkód, podziwiając olbrzymią vegetację afrykańską, nie mającą sobie równej w bujności, w zieloności uroczej, różnobarwności barw tęczyowych i odorze kwiecia. Tornady, panujące na tych wodach, wybuchały regularnie o zmroku, kiedy już statki na kotwicy

stały. Komary, zjadliwe muchy i inne podzwrotnikowe owady mniej dokuczały niż w dawniejszych podróżach. Hipopotamy i krokodyle z powodu wielkiej głębi, spowodowanej deszczami, trzymały się brzegów; sami nawet krajowcy łagodniejsi się stają w tej porze roku i chętnie spieszyli ze sprzedażą kóz, kur, jaj, bananów i kukurydzy.

Ale pomyślność ta niedługo trwała. Parostatki zaczęły nie-dopisywać. Razporaz coś się psuło to w jednym, to w drugim, tak że Stanley dopłynawszy do Bolobo, postanowił swoją wyprawę na dwie kolumny rozdzielić. Sam z 511 ludźmi i Tippo-Tibem, posiadającym oddział 96 ludzi, wpłynął na Kongo wyższe, a druga kolumna pod wodzą majora Bartellota miała tymczasem pozostać na miejscu i później się przeprawić.

12 czerwca znajdujemy Stanleya w Basoko, stacyi położonej w miejscu, gdzie rzeka Aruhuimi łączy się z Kongo, by potem jednym z niem płynąć korytem, a w trzy dni potem przy-bija do Jambuya, 145 km. oddalonej osady od zlewnu obu powyższych rzek, a 2100 km. od ujścia Kongo do morza. Tu przywołuje majora Bartellota, a mając się zapuścić w nieznane jeszcze przestrzenie, ostatnie zostawia mu instrukcye. Bartellot ze swoim oddziałem ma zostać w Jambuya. Gorąco mu poleca tę stację, która w danym razie ma zapewnić wyprawie bezpieczny odwrót i punkt oparcia. „Misya, którą ci polecam, majorze, jest doniosłego znaczenia. Ludzie pod twoimi rozkazami, to trzecia część naszej karawany. Towary, które tu otrzymasz i weźmiesz pod swoją opiekę, są to nasze przyszłe środki zamienne w krajinach, położonych za wielkimi jeziorami. Jakakolwiek strata w ludziach, towarach lub zapasach broni i żywności, byłaby dla nas fatalną. Ja ztąd udaję się wprost na Wschód, a kierując się busołą, dążyć potem będę w stronę południowo-wschodnią. Nad jeziorem Alberta rozbiję obóz i ztamtąd zasięgać będę wieści o Eminie. Jeśli Pasza żyje jeszcze lub znachodzi się w pobliżu jeziora, połączę się z nim; dalszy mój pochód od jego zależeć będzie woli. Prawdopodobnie zabawię z nim ze dwa tygodnie i tą samą drogą do obozu powrócę. Ty, majorze, skoro straż tylna, będąca w Bolobo, i tragarze, obiecani przez Tippo-Tiba

połączą się z tobą, postępuj krok w krok za nami. Nacinki na drzewach znaczyć będą moje przejście“.

Usilnie poleca mu utrzymywanie przyjaznych stosunków z Tippu-Tibem, a kiedy major zadał mu pytanie, kiedy i gdzie z nim się połączyć: „Bóg sam to wie — odparł. — Nikt nie może przewidzieć, co nas czeka, ani jak daleko ten las się rozciąga. Ale papier, który ci wręczyłem, a na którym wyrachowałem czas potrzebny nam do osiągnięcia wybrzeży Albert-Nyanza, daje cyfry prawdopodobne. W rachubach swoich opierałem się na poprzednich moich podróżach. Prawda, że w tamtych wyprawach mieliśmy przed sobą kraj otwarty i znośne drogi, tu jesteśmy w okolicach nieznanych. Jeśli droga ustawicznie lasem prowadzi, ciężkie mieć będziemy zadanie. Przypuściwszy, że droga do Albert-Nyanza zajmie nam trzy miesiące czasu, pobyt mój tamże dwa tygodnie, a powrót drugie trzy miesiące, to spotkamy się z końcem października. A więc do widzenia, majorze! Hasłem mojem: „Prosto naprzód“, a twojem niech będzie: „Cierpliwość i wytrwałość“.— Jakże się mylił Stanley, obliczając, że podróż jego tam i napowrót trwać miała — siedm miesięcy!

IV.

Począwszy od Kabamburré, przez południową stronę Manyuema aż do Bagbomo, w zachodnim Niam-Niam, rozciąga się bór olbrzymi, jedyny może w swoim rodzaju. Na 1000 km. długości a 840 średniej szerokości, podzwrotnikowy ten las zajmuje przestrzeni 840.000 km. Aby dać czytelnikowi wyobrażenie o tym borze, posłuchajmy, co Stanley o nim opowiada:

„Olbrzymia ta przestrzeń pokryta jest drzewami, dochodzącymi do wysokości od 6 do 54 metrów. Przerzućcie z drzewa na drzewo sznury lianów, grube na 5 do 40 centm., skróćcie je w węzły, łuki, festony, girlandy, poróbcie figury w kształcie olbrzymich liter W i M, przytwierdźcie je na całą długość pnia, albo okręćcie je nakształt boa, dodajcie do tego niezmierną ilość kwiatów i liści, gałęzi poplątanych w najdziwniejsze formy; niech nakształt festonów setkami spadają na kilka tylko stóp od ziemi, na każdej gałęzi umieśćcie to olbrzymie głowy kapu-

sty, to roślinę o szerokich, mieczowatych liściach, nazwaną „uchem słonia”, pęki *orchidey*, tej najwspanialszej podzwrotnikowej rośliny, dajcie im za tło draperye delikatnych paproci, pokryjcie gałęzie, korę, pnie i liany gęstem poszyciem mchu, podobnem z wejrzenia do futra lub skóry zielonym włosem pokrytej, pod to wszystko rozściełcie szmaragdowy dywan zieleni, *phryniów* i karłowatych krzewów na tle bujnej trawy — a będziecie mieli obraz wielkiego boru dziewiczego, boru, o którym bąbrały pieśni starożytnych poetów.

„Ale olbrzymie te drzewa padają, zgruchotane piorunem, podcięte starością lub chorobą, padają, a w upadku swoim gruchocą kilkanaście mniejszych drzew lub krzewów. Potworne te pnie runąwszy na ziemię, stają się z biegiem lat stekiem rozkładowym gnijącej materii organicznej, gniazdem całych kolonij mrówek i innych owadów, zamieniają się z czasem w błotniste strumyki lub bezdenne bagna, poszyte tłustą i zieloną pianą, powstałą z milionów mikroskopicznych organizmów; a wszystko to okryte zielenią drzew młodych, pokryte drobnymi roślinkami, ubrane liśćmi lotusu i *nymfhey*, przedstawia powabny i nęcący obraz, pod którym jednak kryje się zgnilizna i strupieszalność.

„Olbrzymie te obszary boru zaludnione są niezliczoną ilością najróżnorodniejszych plemion, wiodących ustawicznie ze sobą walki. Zamieszkują obszerne polanki boru, odległe od siebie 10 do 40 km., które albo znaleźli przez przyrodę utworzone, albo własną pracą wytrzebili i uczynili zdolnemi do uprawy roli, na której sadzą banany, maniok, plantany, bób, tytoń i melony. Aby osady swoje nieprzystępnemi uczynić, otaczają je masami naciętych gałęzi, wielkimi stosami drzewa, drożynę do tych osad prowadzącą zasiewają kolcami, chytrze przykrywając je liśćmi. Ale skoro osada taka przypadkiem wyludniła się, wnet wegetacya roślinna rozciąga nad tem miejscem swoje panowanie. W dwóch albo trzech generacyach ani śladu w tem miejscu pobytu człowieka; polanka dawniej oblana promieniami słonecznymi zamienia się w czeluść, do której bez trudu wdrzeć się niepodobna, a nawet w rok po wyludnieniu przedstawia obraz płodności niewidzianej, życia roślinnego zdumiewającej siły i buj-

ności. A cała ta zieloność drzew i krzewów stroi się kwiatami o najprzepyszniejszych barwach. Tam w górze wznoszą się drzewa o ulistnieniu gęstem i błyszczącym, okrytem kielichami kwiatów, których listeczki spadając jakby czerwonym deszczem na poszycie roślin pasorzytnych o kwiecie motylkowatym, dziwną przedstawiają sprzeczność z ich żółtą barwą, białą lub bladoróżową. *Amome* wychyla śnieżne swe kielichy, skąpane w różowym odcieniu, wino dzikie rozacza przepyszny koloryt jasnego fioleto, drzewo pieprzne przyciąga oko szkarłatem swych jagód, akacya nasycy powietrze zapachem delikatnych gron swoich białych, a mimoza wstrząsa złociste swe kwiecie. Ciemna zielen paproci odbija jaśniejszy odcień „rośliny mieczowatej”, młoda figa o srebrzystej korze, o szerokich liściach spleta swe gałęzie z delikatnemi gałązkami mimozy, — mnóstwo najróżnorodniejszych roślin wyprzedza się wzajem, aby rolę dawniej uprawioną pokryć jak najprędzej cudną zielenią. Podstawą, ziemią, z której to życie wytryska, z której strzelają te łodygi, gałęzie, liście i kwiaty, jest może drzewo spróchniałe, zgniłe i dawno obumarłe, czarne od mchu i pleśni, zjedzone przez grzyby, w którym każda szpara, każda szczelina jest gniazdem najróżniejszych owadów, począwszy od termitów z tak wątłym ciałem, aż do obrzydliwej stonogi albo potwornych członkonogów.

„Im dalej w las, tem widok więcej się urozmaica. Drzewa olbrzymie, kolosy bez liczby pchają się jedno na drugie aż po sam brzeg Aruhuimi i zmuszają niektóre do rośnięcia swym pniem horyzontalnie ponad rzeką, często na długość 15 lub 16 metrów. W cieniu takiego dachu setki łódek krajowców mogłyby się schronić przed palącym słońcem. Drzewo tych olbrzymów jest barwy żółtej, twarde jak żelazo; aby ściąć jedno z nich, możnaby stępić kilkanaście toporów z najlepszej stali. Owoc ich brudno-czerwony, który dojrzawszy, przedstawia się jak wielka śliwka, inne podobne do dojrzałych daktyli, ale nie są jadalne. Między temi drzewami znachodzi się drzewo bawełniane, łatwo dające się poznać niedościgłą przez inne drzewa wysokością, popielato-srebrzystą korą, gałęziami cierniem uzbrojonymi, kwiatem jedwabistym, barwy białej i szaro-zielonem ulistnieniem.

Znachodzimy tutaj heban afrykański, drzewo żywota (*Lignum vitae*), drzewo żelazne, *Raphia nitida*, drzewo nigdy nie gnijące, dziką pomarańczę, figę z białym pniem, drzewo maślane, najrozmaitsze rodzaje akacyi, majestatyczny *mpafu* i mnóstwo drzew owocowych, których rodzaje są mi nieznane.

„Z obawy przed krajowcami i z powodu uciążliwego pochodu nie mogliśmy polować na zwierzęta, a widzieliśmy w gęstwinach słonie, bawoły, dziki, antylopy, króliki, gazelle, szympany, najrozmaitsze małpy, żebry i mnóstwo innych dzikich zwierząt. Gałęzie okryte były nietoperzami i ptakami. Te ostatnie słyszeliśmy wprawdzie, ale nie mogliśmy ich dojrzeć, bo byliśmy względem nich w stosunku człowieka będącego na ziemi, do człowieka znachodzącego się na dachu piętnastopiętrowego domu. Nie widzieliśmy wprawdzie, ale słyszeliśmy śpiewające, krzyczące, gwizdające papugi, ibisy, rajskie ptaki, puszczyki i t. d. i mnogość malusieńkich, nieznaných nam ptasząt.

„Płazy są bardzo liczne. Rzeka Ituri kłębi się od wodnych węzłów najrozmaitszej wielkości, często widzieliśmy je kołyszące się na drzewach, tuż nad naszymi głowami; migały przed naszymi oczami żmije wodne, zielone i bardzo cienkie, żmije popielate dochodzące do olbrzymich rozmiarów, żmije złoto-czarne, czarno-zielone, dochodzące dwumetrowej długości, pytony, okularniki i węże rogate.

„Nigdzie nie widziałem owadów w takiej ilości, jak tutaj. Prawdziwe wojska i legiony pszczoł, os, much, komarów, mrówek i innych najrozmaitszych, a nie było cierpień i katuszy, którychby nam nie zadawał ten ród przeklęty.

„Deszcze są bardzo częste w tym borze. Od 1 czerwca 1887 do 31 maja 1888 r. mieliśmy 138 dni deszczów. Nie przesadzę, jeśli powiem, że okolice te są najwilgotniejszym punktem z całego świata. Wichry przez dziewięć miesięcy więcej od oceanu Atlantyckiego, przebiegłszy Kongo i Aruhuimi, zgęszczają się w tym borze, i prawie co dwa dni sprawiają istne potopy. Skutkiem tej ustawicznej wilgoci, wody Ituri rzadko kiedy opadają. W listopadzie stan wody jest najwyższy, a najniższy w grudniu. One łożysko nie wysycha nigdy i dostarcza Wielkiej Rzece

ogromną ilość wody. Jestto rzeka na 1130 km. długa, a wypływa z trzech kotlin, nazwanych od imion: Spekego, Junkra i Schweinfurta". — Taki jest opis tego dziewiczego boru, na którego przebycie potrzebował Stanley 160 dni czasu, od 28 czerwca do 5 grudnia 1887 r.

A przecież Stanley na trzy zawody odważa się zapuszczać w ten piękny, ale straszny las. Wydostawszy się zeń po raz pierwszy i dopiąwszy swego celu podróży, tj. spotkawszy się z Eminem — Stanley zaniepokojony brakiem wiadomości o drugiej kolumnie swojej wyprawy, którą zostawił pod wodzą Bartellota, postanawia bądźco bądź wrócić, aby ją odszukać i odprowadzić. Rozumiał dobrze, że niepodobna było wszystkich swoich towarzyszy zmuszać do porzucenia błogiego i spokojnego życia, jakiego zażywali w stacyi Bodo, i samochcąc wracać w te same niebezpieczeństwa głodu, upału i śmierci, na których samo wspomnienie wzdrygali się jego murzyni. A przecież zostawić tamtych na pastwę straszego może losu, niepodobna było. Odzywa się zatem do dobrej woli ochotników. I rzecz dziwna — znalazło się 107 ludzi, którzy z okrzykiem: „chodźmy do majora!“ ofiarowali swe usługi, a raczej życie swoje i śmierć dzielnemu przewódce. I puscili się odważni ci ludzie na pomoc swej braci. Rozpoczęły się znowu te dni straszne męczarni, głodu i wycieńczenia, znowu przeryniali się przez te straszne gęstwiny, o których sam Stanley powiada, że gdyby nie nadzieja odszukania towarzyszy, żadna moc ludzka nie przywiodłaby ich do ponownego przebywania tych cieni śmierci.

A kiedy odszukał wreszcie straż tylną, w stanie straszego wyniszczenia, majora Bartellota zamordowanego, rozprężenie moralne dochodzące do najwyższego stopnia, — kiedy zebrał te szkielety żyjące, te niedobitki, które pozostawił w stanie najlepszym — znowu nic innego nie pozostawało, jak wracać tą samą drogą, okrytą wprawdzie kwiatami i zielenią, ale w łonie swojem mieszczącą istne piekło dantejskie. Aby powziąć wyobrażenie o tym grobowym pochodzie, posłuchajmy, co Stanley opowiada o trzeciej swojej podróży:

„Ci co mnie otaczali, z dnia na dzień coraz więcej z sił

opadali, a przecie nadzieja ich nie opuszczała. Codzień każe otwierać jedną skrzynię, wydając puszki z konserwami mleka i masła, i po łyżce jednego i drugiego dają każdemu do garnka napelnionego gorącą wodą. Kucharz każdego oddziału gotował to, otrzymywał ode mnie przeznaczone porcje, mieszał je sumiennie i w towarzystwie zgłodniałych szedł rozdawać chudą tę strawę, mającą chyba przedłużyć nasze konanie. Trochę wzmocnieni ciepłym tym napojem, ludzie moi rozbiegali się po lesie za wyszukiwaniem czerwonych owoców *phrynium* lub rzadszych jeszcze *amomu*, których smak słodko-kwaśny uspakajał nieco męczarnie głodu. Czasem który z nich znalazł trochę grzybów; ale kiedy kilkadziesiąt osób błądzi naokoło obozowiska we wszystkich kierunkach, w poszukiwaniu czegoś coby mogło służyć za pożywienie — koło tych poszukiwań z dniem każdym się rozszerza i moi ludzie zapuszczając się coraz dalej od obozowiska, tracili je z oczu i zaczęli błądzić. Nazajutrz dzień jeszcze straszniejszy. Trzech moich ludzi nie wróciło do obozu, w obozie leżał już jeden trup; żyjący siły w oczach tracili. Przepędziłem noc straszną. Myśl o zabłąkanych nie mogła mnie opuścić. Szóstego dnia, jak zwykle, rozdzieliłem porcje mleka i masła. Coraz dokładniej przedstawiała mi się niemożność pozostania na miejscu. A przecież ruszyć się nie mogłem; oczekiwałem na 20 moich towarzyszy, których wysłałem po żywność do stacyi Nguetza, oddalonej o cztery dni drogi. Byli to jeszcze stosunkowo najsilniejsi ludzie mojego oddziału; wybrałem ich z całego obozu, oczekując z najsłabszymi ich powrotu. Gdybym się bez nich ruszył, mogliby być nazawsze straceni. Druga trudność, przykuwająca mnie do miejsca, leżała w tem, że nie wszyscy w obozie będący mogli wyruszyć. Pięćdziesięciu najsłabszych musi pozostać, a wtedy wiedzeni głodem rozbijają skrzynie z żywnością i pozbawiają nas i tego co mamy, a co nam niezbędne jest potrzebne do życia.

„Wreszcie p. Bonny (jeden z towarzyszy Stanleya) rozstrzygnął trudność. Ofiarował się pilnowania obozu ze strażą 10 ludzi pod warunkiem, że dam mu żywności na 10 dni. 10 dni! Zapewne, że w tym czasie powrócę z zapasami żywności, ale czy

wystarczy mu ta żywność, którą udzielić mu jestem w stanie? Odmierzyłem na każdego człowieka na dzień po pół czarki mąki, dodałem po cztery suchary i w dodatku kilka puszek z konserwami mleka i masła. Nazajutrz pobudka do wymarszu. W obozie pozostaje 43 istot, stojących nad brzegiem grobu, do którego bez wątpienia się stoczą, jeśli nie powrócę w 24 godzinach. Przybierając oblicze pogodne i pewne siebie, choć moje serce pękało z bólu, zachęciłem ich do odwagi, zapewniłem, że przyprowadzę im nieobecnych, którzy pewnie gdzieś tam zapominają o nas, obfitując w pokarm. A czekając, proście Boga, by mnie pobłogosławił. On jeden może nas tylko zbawić.

„O pierwszej wyruszamy do Nguetza. Prowadzę ze sobą 65 mężczyzn i dzieci, a 12 kobiet. Maszerujemy aż do zmroku; na noc rzucaamy się na ziemię, jak gdzie kto stał, każdy milczący, ponury, w przykrych myślach zatopiony. Daremnie usiłuję zasnąć. Sen z powiek ulatuje, a wiatr szepce mnie w ucho: „Zgubionyś! zgubionyś! Daremne twe prace, daremne cierpienia. Nieszczęśliwe dni następują po sobie, odważni towarzysze twoi padają, jeden po drugim w grób się staczają, znikną i zgniją, a ty sam pozostaniesz!” — *Allah ho akbar!* — rozległ się nagle głos w ciemnościach nocy, pochodzący zapewne z ust jednego z mych ludzi, któremu okrzyk ten głoś wyrwał z piersi. Słowa te, w ciemnościach płynące, odbiły się echem w mem sercu. „Bóg jest wielki!” Jakto? Wyznawca Islamu przypomina chrześcijaninowi, że jest Bóg? I oto myśli łagodniejsze ogarniają mój umysł, wzrok nie usiłuje już więcej przebijać zmroku nocy, wchodzi w siebie, aby przywołać na pamięć tyle przykładów doznanego miłosierdzia, wspomnienia te przywołują inne, serce buntownicze topnieje i korzy się, i wszystkie me troski składam u stóp Tego, co sam włada zbawieniem.

„Nad ranem zasypiam, a w parę godzin na równe zrywam się nogi; już noc przed jutrenką ucieka. Wstawajcie dzieci, wołam, prędko i żwawo, jak mnie Bóg miły, dziś jeszcze jeść będziemy! I zaledwie rozpoczęliśmy pochód, słyszę zdala szmer pomieszanych głosów. Nadzieja serce moje napełnia. To oni! powracają z żywnością. I w istocie, rozradowanym oczom naszym

ukazują się szeregi murzynów, niosących banany. Wszyscy na ten widok zapominają o przebytych cierpieniach; okrzyki wdzięczności uderzają w niebo. Anglik i krajowiec, chrześcijanin i wyznawca Islamu, wszyscy wyznają imię Wszechmocnego. Niema Go tu, niema Go tam, On jest wszędzie...! Nasyciwszy się, w godzinę potem ruszamy z powrotem i przybywamy do obozu o wpół do trzeciej, przyjęci tak, jak konający przyjmują tych, co przybywają wyrwać ich z mocy śmierci. I dnia tego, wszyscy, młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety ślubują być więcej przezornymi na przyszłość, ślubują, a nazajutrz o ślubie zapominają“.

W opisie tego boru, wspomina Stanley o mnóstwie plemion po nim rozrzuconych. Na północy osiadły plemiona: Ababua, Mabodé, Mamvu, Balessi; na południu: Bakumu i Baburu, główne szczepy, rozpadające się na setki różnorodnych gałęzi. Według Stanleya, wszystkie te szczepy leśnych plemion, chociaż napozór odrębne, bardzo wiele mają cech zasadniczych, tak, że co inni podróżnicy, jak Junker, Emin, Schweinfurt i Casati przytaczają o plemionach Niam-Niam, Montbutta i Baugala, z małemi zmianami da się zastosować do plemion powyższych. Szczep jeden porównany z drugim, może przedstawiać cechy wyższej organizacyi i umysłowego wykształcenia, jedno plemię ucierpiało więcej od drugiego z powodu niewoli, która tak bardzo przytępia umysł u ludów umysłowo nie rozwiniętych — ale całość, suma zdolności, charakteru, inteligencyi, rozwinięcia nie różni się znacznie, tak, że gdyby jaki badacz mógł jednym rzutem oka objąć wybrzeża rozciągające się od Equatorville na rzece Kongo, aż do Inde-Sura na rzece Ituri, byłby uderzony podobieństwem nie tylko ubrania (jeśli o takim wolno mówić) i uzbrojenia, ale także kolorem twarzy, podczas gdy Sudańczyk, Zanzibarczyk, lub należący do plemienia Unyamuéri, diametralnie różnią się od mieszkańców lasu.

Na przestrzeni tak wielkiej jak dwie trzecie Szkocyi, żyje w tym borze plemię Uambutti, prowadzące życie koczownicze, wzrostu bardzo małego, prawdziwi lilipuci, znani podróżnym pod nazwami: Batua, Akka i Barungu. Już w starożytności spoty-

kamy wzmiankę o tych pigmejczykach. Opowiada coś o nich pierwszy historyograf, Herodot; Grecy opiewali ich wojnę z bo-cianami, a począwszy od Hekata, a więc 550 lat przed Chrystusem, karty geograficzne stale naznaczają im za siedzibę okolice Gór Księżycowych. Arystoteles w swej historyi zwierząt (*Historia animalium*, VIII, 2) pisze: „Żurawie w swych podróżach docierają aż do jezior, położonych w górnym Egipcie, z których Nil wypływa. Mieszkają tam Pigmejczycy, a nie jestto żadną bajką, ale czystą prawdą. Ludzie i konie są, według opowiadania, małego wzrostu i zamieszkują jaskinie“.

To, co przez długi szereg wieków uważanem było za bajkę i wymysł starożytnych, potwierdzonem jest obecnie przez najświeższe odkrycia i podróże badaczy afrykańskich. Mali ci ludzie dochodzą do wzrostu 92 lub 138 cm., a najroślejszy z nich nie waży więcej nad 40 kg. Żywią się przeważnie upolowaną zwierzyną, której skóry i futra służą im za przedmiot handlu. Małymi swymi łukami i strzałami silnie zatrutemi zabijają słonie, bawoły, antylopy; kopią też głębokie doły, pokrywają je zręcznie liściem, ziemią i trzcina, i chwytają wpadające w ten samotrask zwierzęta. Celują w wyrabianiu trucizny wszelkiego rodzaju i zaopatrują nią wszystkie inne plemiona wzamian za banany, tytoń, dzidy, noże i strzały. Cały las dobrze im jest znany, niema ścieżki, którejby nie znali, i z wszelką łatwością oryentują się wpośród tych gąszczów, a ich zwinność, przemysłność, charakter złośliwy, sprawiają, że wszystkie plemiona, choć fizycznie silniejsze od nich, strzegą się wszelkich nieprzyjaznych względem nich kroków, i wolą żyć z nimi na stopie przyjaźniskiej. Można o nich śmiało powiedzieć, że są panami i gospodarzami lasu. Posiadają wprawdzie własne zabudowania, podobne do rozciętego wzdłuż jaja, ale wolą prowadzić koczownicze życie, odwiedzając wszystkie plemiona po kolei. Zwykle nie są pożądanymi gośćmi, a plemiona, trudniące się przeważnie rolnictwem, wzdychają za ich najprędszym odjazdem, bo wzamian za kilka skór lub zębów słoniowych, muszą im pozwolić na jak najszerzą gospodarke w plantacyach, które po ich odejściu wyglądają jakby spustoszone przez stado bawołów. Każdy na-

ród ma swoich pasorzytów, a szczepy. żyjące w lesie, dużo muszą wycierpieć od tych okrutnych karłów, którzy jak smoła przyczepiają się do nich, jedną dłonią pochlebiając i płaszcąc się, aby jak najwięcej wyłudzić żywności, a drugą rabując i okradając. Według opisu podróżników, powierzchowność ich nie tylko nie jest odstręczająca, ale pełna powabu. Twarze okrągłe, wielkie, czarne, oko jakby gazelli, czoło otwarte, wyraz szczerości i pogody na obliczu rozlany, usta mocno czerwone ładnie odbijają od skóry koloru żółtej kości słoniowej. Kobiety zwłaszcza bardzo są miłe, a dzieci ich to prawdziwe cacka.

(Dok. nast.).

Strzemińczyk.



MARIA-ZELL.

ZAPISKI Z PODRÓŻY.

- Proszę siadać, ja jadę.
- Ja najkrótszą drogą.
- Ja najpiękniejszą.
- Ja bardzo tanio.
- Proszę siadać, jedziemy.
- Proszę nie tam siadać, tylko tutaj.

Przetarłem oczy z przerażeniem. Czy jaki złośliwy chochlik przeniósł mię nagle między stradomskich lub kazimierskich fiaków; czy uroczą drogą przez Semmering była tylko sennem złudzeniem, a pociąg zatrzymał się nie w Mürzzuschlag, ale na podgórskim przystanku? Ale nie; otaczający mię ściśniętem kołem woźnice, rośli, smukli, w zgrabne opięci szpencerki, z niezbędnym alpejskim kwiatkiem, wplecionym w dziurkę od guzika, w styryjskim zielonym kapeluszu, lekko na bakier zarzuconym — zanadto chyba niepodobni do naszych wybladłych i skurezonych, w tandetne stroje przybranych doróżkarzy. W każdym razie w Mürzzuschlagu czy na Podgórzu, bronić się trzeba, zwłaszcza, że jeden chwycił już za podróżną torebkę, drugi w przeciwną stronę za rękę ciągnie.

— Dajcież mi pokój i napróżno się nie męczcie; jadę wprawdzie do Maria-Zell, ale aż do Neuburga jadę koleją.

Oświadczenie to czarodziejski wywołało skutek; stało się różeczką oliwną, wniesioną między wależące ze sobą dotychczas

tak zajądło szeregi woźniców. Boczna gałąź kolei żelaznej, wiodąca z Mürrzuschlag do Neuberg, jest solą w oku całemu, licznemu zastępowi przewodników, furmanów i przedsiębiorców, żyjących z prowadzenia i odwożenia pielgrzymów, dążących do Maria-Zell. Niedawno zbudowana ta gałąź, rozciąga się dziś wprawdzie tylko na 12 km., ale cech Maria-zellskich furmanów rozumie dobrze, że to pierwszy krok, za którym niebawem pójść musi wciągnięcie samegoż Maria-Zell w sieć kolejową, a wciągnięcie to zada cios śmiertelny ich wcale intratnemu zarobkowi. Ztąd głęboka nienawiść dla potężnego rywala; nienawiść, która w mgnieniu oka zjednoczyła nieprzyjazne sobie armie do wspólnego przeciw mnie ataku. Zewsząd odezwały się protesty i zapewnienia: koleją jechać nie warto, bo to ani taniej ani prędej; i tak w Neuberg trzeba konie najmować, czyż nie lepiej sięść sobie odrazu wygodnie w wygodnym powoziku, nie przesiedać się, nie dusić w zamkniętem, ciasnem wagonowem pudle?

— Ja — wołało paru najzapalczywszych — zawiozę ztąd za tę samą cenę, co furmani z Neuberg.

Nie bardzo jakoś chciało mi się wierzyć owej „tej samej cenie“, ale później miałem sposobność się przekonać, że zapalczywi ci wrogowie kolei gotowi są istotnie wiele zrobić dla idei, że gotowi są nawet powieźć podróżnika kilkanaście kilometrów zadarmo. Wracając z Maria-Zell, umówiłem się z furmanem o cenę do stacyi kolejowej w Neuberg. Jakież było moje zdziwienie, gdy dziarski mój Styryjczyk, dojeżdżając do samej już niemal stacyi, zwrócił nagle konie w bok i zaciął je do szybszego biegu.

— Pojedziemy do Mürrzuschlag — rzekł ze smętnym jakimś uśmiechem — drożej to was kosztować nie będzie ani centa, kolej nas pewnie nie wyprzedzi, a zawsze to przecież i milej i lepiej nią nie jechać.

Począwszy od stacyi w Mürrzuschlag, rozpoczyna się, rzeczby można, Maria-zellskie królestwo. Z nazwą cudownej tej miejscowości wciąż ucho i oko się spotyka; gęsto roztawione tablice wskazują do niej drogę; figurki, obrazy, obrazki, wyobrażające cudowną statuetkę N. Panny w Maria-Zell, cisną się po ścież-

kach i drogach, w ścisłym znaczeniu jedne przy drugich. Obok tych wizerunków inne, także bardzo liczne, przedstawiają różne łaski, otrzymane za przyczyną cudownej Matki Boskiej w Maria-Zell: podpisy wierszowane i niewierszowane wyjaśniają, kto i kiedy łaskę jaką otrzymał i postawił obraz ten lub figurę z wdzięczności i aby innych do ufności pobudzić. Stosunkowo najczęściej widzimy na tych obrazach Styryjczyka, stojącego lub klęczącego obok wywróconego wozu z kamiennymi głazami i dziękującego Matce Boskiej, że sam z tego wypadku uszedł bez szwanku. Jadąc niedawno zbudowaną, wygodną wprawdzie, ale nieraz bardzo stromą i wąską drogą; patrząc na wznoszące się wokoło urwiska, na wijące się przez nie, zdawałoby się dla kóz, nie dla ludzi, ubite drożyny, po których nie wiedzieć jakim sposobem, chyba w prostopadłym kierunku wozy naprzód toczyć się mogą — lepiej się rozumie i wielkość i prawdziwość tych cudów, i szczerą a winną wdzięczność składających swe wota.

Po drożynach tych migają od czasu do czasu gromadki pielgrzymów, turystów, łatwych do rozpoznania po olbrzymich kijach w ręku, zgrabnych, nie bardzo obciążających mantelzaczekach, zielonych, koniecznie zielonych kapeluszach. Głównie to studenci, profesorzy, wszelkiego rodzaju wiedeńscy „letnicy“ na wakacyach. Kilku z nich towarzyszy żona lub córka, uważająca sobie także za punkt honoru sama dźwigać mantelzaczek, w styryjski kapelusz się ustroić, a ręce w długi kij uzbroić. Główną drogą idą piechotą, pojedynczo lub w małych gromadkach, właściciwi pielgrzymi z różańcem w ręku lub na szyi, z workiem z prowiantami, przerzuconym przez plecy, lub lżejszym tobołkiem, zawieszonym na kiju. Mężczyźni to i kobiety, dzieci i starcy. Na wielu twarzach widać wielkie znużenie, niejedna babulka ledwie nogami suwa, i niedziw, bo długo i zdaleka idzie: z Austrii, Węgier, Karyntyi, Krainy. Styryjczyków, rzecz prosta, najwięcej; zielone ich kurtki, kaftaniki, spodnie, zielone długie pończochy zielone kapelusze, nawet zielone szelki, ciągle na zielonem tle gór i lasów pod oko się podsuwają. Wreszcie trzeci rodzaj pielgrzymów — jeżeli jeszcze „pielgrzymami“ nazwać ich się godzi — jadą wygodnie fiakrami i powozami, mijając wciąż gro-

madki prawdziwych pątników. Na zakrętach drogi, z wierzechółków lub u stóp wyższej jakiej góry widać niby rozciągniętego na kilka kilometrów, ukształtowanego z powozów węża; jeden z towarzyszków mych, nadleśniczy w pobliskich olbrzymich lasach hr. Hoyosa, a zatem człowiek, którego oku można było zawieźć, zaręczał, że widział przed sobą dziesięć pojazdów. „Tak tutaj codzień — dodał — jeśli jakatą służy pogoda. W uroczystości, w odpusty trudno koni do Maria-Zell dostać; trudniej tam wtedy jeszcze o jakiegobądź możliwe schronienie“.

Rumienić się ze wstydu muszę, ale wyznać trzeba: nie należałem do pierwszej klasy pielgrzymów-turystów, co możnaby jeszcze wybaczyć; nie należałem niestety i do drugiej klasy rzeczywistych pielgrzymów, lecz jakby jaki wiedeński mieszczuch, jak siedzący obok mnie poważnej tuszy wiedeński piwowar, siedziałem i ja w prozaicznym fiakrze — fiakrem przyjechałem, fiakrem z Maria-Zell odjechałem. Nie byłoby to istotnie do darowania, gdyby mię do tego żelazną swą pięścią nie zmusił najgorszy, najniebezpieczniejszy nieprzyjaciel we wszystkich podróżach i wycieczkach: brak czasu. Wobec postawionego przezeń hamletowskiego dylematu: „być albo nie być“ w Maria-Zell, być fiakrem lub nie być zupełnie, nie było się co namyslać, lecz odłożywszy wstyd na inny czas, do fiakra wsiadać, jak mię do tego z uprzejmą natarczywością namawiał woźnica, z wielką grzecznością zachęcało paru w tenże sam sposób „pielgrzymujących“.

Grzeczność ta, co prawda, nie była bez pewnych egoistycznych widoków. Z Neuberg do Maria-Zell jest dobrymi końmi przynajmniej sześć, pocztą około ośmiu godzin drogi. Dusić się pocztą, o wiele mniej romantyczną drogą i dwie godziny dłużej, nie jest oczywiście najprzyjemniejszą rzeczą; najęcie osobnego powozu jest znowu bardzo nieprzyjemną rzeczą dla sakiewki, bo kosztuje od 12 do 16 złr.; żeby więc i sakiewce tak dotkliwej przykrości nie sprawiać i siebie nie narażać dla jej miłości na ośmiogodzinne więzienie w pocztowym pudle, niema innej rady, jedno w spółkę z innymi — wielu ściągnąć da się i miejsca wystarczy — powóz sobie wynająć.

Nie jestto bez „ale“, jak wszelkie tego rodzaju polubowne ugody bez „ale“ być nie mogą. Wolałoby się być samemu, podziwiać bez przeszkody jedną, bożą piękność „na wód dole, na skał czole“; odczytywać zwolna, spokojnie imię Stworzyciela, wypisywane coraz innemi głoskami, coraz nowymi cudami przyrody; wolałoby się zapomnieć choć na tych parę godzin o ludziach, ich sprawach i troskach, winnych im grzecznościach i względach, by słuchać tylko i łączyć się z wielką pieśnią natury, głoszącą „wielmożne sprawy mądrości Tego, który jest przed wieki i aż na wieki“! Wolałoby się — ale jak przedtem „brak czasu“, tak teraz wychudła portmonetka przed oczami staje i woła: „Precz z marzeniami!“ Jakież marzenia nie pierzchną wobec tak wymownego argumentu! Kłaniam się grzecznie zapraszającym do spółki w jeździe i kosztach; oświadczam, w imieniu mej portmonetki, że z „wdzięcznością i przyjemnością“ zaproszenie przyjmuję, i — jazda!

Uroczy to kraj, zobaczyć go nie żal, a jeśli nie pozazdrościć, to powinszować tym, co u stóp, na stokach tych zielenią okrytych gór, pobudowali sobie domki, wille, pałacyki i używają w nich teraz letniego chłodu. Młody nadleśniczy opowiada z zapalem o urządzanych tu olbrzymich polowaniach; wylicza, kto, kiedy i ile sztuk zwierzyny zabił; wskazuje wierzchołki, na które dnia tego a tego wspinał się w pogoni za dziką kozą który z arcyksiążąt, ba! nawet sam cesarz. Trzeba widzieć cesarza, jak cały dzień „wśród opok i jarów“ za łupem śledzi, po skałach się wspina, trudu, zmęczenia nie zna, prawdziwy „król lasów i gór“.

— Niema to, — kończy nasz myśliwy, którego socjaliści nigdy podobno dla siebie nie pozyskają — niema to, jak tu polować, tu żyć, wśród pięknej tej natury, i zdrowo i tanio i z ludźmi pocziwymi w dobrych stosunkach, i z żoną pocziwą, i dzięki Bogu dostatnio!

W Neuberg ma cesarz myśliwski zameczek, przerobiony z jednej części olbrzymiego, skasowanego, rozumie się, przez Józefa II. klasztoru Cystersów. Drugi cesarski zameczek w Mürzsteg, gdzie opuszczamy zwykłą pocztową drogę i skręcamy na

prawo w romantyczną dolinę, wyżłobioną przez rzekę Mürz. Dolina coraz bardziej się ścieśnia, równie jak i wykuta w skale nad samą rzeką biegnąca droga, po której rozminąć się z drugim powozem niepodobna. Przed niewiele jeszcze laty droga ta inaczej wyglądała; że dzisiaj wygodnie, bez obawy o życie na niej jedziemy, zawdzięczać to musimy żyjącemu żywo w tutejszej ludowej tradycji przypadkowi, który spotkał tu jadącą konno cesarzową i o włos, o śmierć jej nie przyprawił. W miejscu tego wypadku kazała arcyksiężna Marya Walerya wyrzeć na skale ułożone przez siebie wiersze, w których w prostych a czułych wyrazach dziękuje Matce Bożej, „żeś uratowała mi matkę“. Naprzeciw, z drugiej strony Mürzu, gładka niemal, kamienna ściana, po której z wysokości 50 m. pędzi prąd wody i z szumem wpada do rzeki.

— Jesteśmy przy „zabitej kobiecie“ — zwraca się do nas wóznica.

Nazwa (*Zum todten Weib*) tego szeroko znanego i podziwianego wodospadu, pochodzić ma podobno od jakiejś kobiety, którą zazdrosny o cześć swą małżonek zrzucić miał z tego szczytu. Żelazny krzyż, utkwiony w jednym z dolnych skalistych głazów, wskazuje miejsce, na którym znaleziono ciało nieszczęśliwej. Wedle innego podania, niegodziwa matka rzuciła tu swe dziecko w nurty rzeki i za karę przemienioną została w kamienną bryłę. I jak w Świtezi:

Tylko z zatoki, połową
Sterczał wielki głazu kawał,
I dziwną kształtu budową,
Dwa ludzkie ciała udawał.

Konie zatrzymują się, poetyczne marzenia i przypomnienia pierzchają ze wstydem przed prozaicznym frakiem kelnera, w imitującym wiejskie gospody hotelu we Frain. Tutaj obowiązkowy dla wszystkich jadących do Maria-Zell godzinny przynajmniej popas; to też liczne stoły przed gospodą i w gospodzie gęsto obsadzone; gwarно i rojno, krzyżują się stereotypowe rozkazy i odpowiedzi; gdyby nie roztaczający się przed okiem wspaniały amfiteatr z nagich skał, z gór lasami okrytych, zdawałoby ci się

mogło, że jesteś w niedzielę, w przedmiejskiej jakiejś wiedeńskiej restauracyi. Wrażenia tego nie psuje wcale wznoszący się o sto kroków od gospody, raczej kapliczka, niż kościółek, czysto utrzymany, ale biedny i ciasny, jak biedne wogóle i ciasne przedmiejskie kościółki wiedeńskie. Przed wielkim, a zarazem jedynym ołtarzem, puszka z prośbą o jałmużnę dla „biednego kościoła“. Niestety! obiadujący we Frain liczni pielgrzymi i turyści, nie liczenie zdaje się tu zachodzą; „biedny kościółek“, jeśli na nich liczy, długo bodaj jeszcze „biednym“ pozostanie.

Inaczej wygląda zwolna, zpoza gór, pagórków i lasów odsłaniająca się świątynia Maria-zellska. Ledwie wieże ukazały się i znowu za wyżyną zniknęły, a przecież inny już jakiś nastrój zapanował w naszej różnorodnej gromadce. Wybladła, gęstymi zmarszczkami pokryta Niemka, schowała do torebki resztki suchego chleba, którym dotąd — spełniając może uczynione wotum — jedynie się raczyła, a natomiast wydobyła wyżółkłą od starości, pomiętą, miejscami wytartą od częstego używania, wielkimi gockimi literami zadrukowaną książkę do nabożeństwa, pocałowała ją pobożnie i znajdujący się wewnątrz obrazek, i zaznaczywszy czoło, usta i piersi znakiem krzyża św., z wielkiem skupieniem odmawiać poczęła modlitwy. Młody nadleśniczy zadumał się, i uważniej jeszcze, choć i dotąd tego nie zaniedbywał, przed każdą figurą, przed każdym obrazem Matki Bożej uchylał zielonego swego kapelusza. Nawet wiedeński piwowar, którego zawistne nam losy uczyniły nadto zapalonym alpinistą i dyletantem-botanikiem, powstrzymał płynący dotąd niepomowanym pędem potok zachwytów nad „piękną naturą“; przestał bawić oddawna nie słuchających, opowiadaniem o swych górskich wycieczkach; przestał recytować łacińskie i niemieckie nazwy wszystkich po drodze spotykanych drzew, ziół i traw. „Srebrna mowa, lecz złote milczenie!“ — powiedział arabski mędrzec. Nie miałeś chyba nigdy mądry Arabie towarzysza podróży, któryby ci przez godzin parę z rzędu brzęczał nad uszami, gorzej niż najnatrętniejsza osa; przeciw któremu każda broń się łąmie, bo twój wróg nadomiar złego napół głuchy, niegrzeczność bierze za ciekawe zapytanie.

Widok więc Maria-zellskich przerwał wreszcie nie-srebną mowę, obdarzył nas dawno pożądanem złotem milczeniem. Droga kręci się, obchodzi z uszanowaniem pagórki, czasem zdaje się, jakby figla chciała nam spletać, cudowną świątynię ominąć, w przeciwnym kierunku zdradziecko poprowadzić. Lecz otóż znowu wynurza się kościół i staje już przed okiem w całej majestatycznej swej okazałości. Ten kościół, to miejsce obrać zechciał Bóg — jak u nas wybrał sobie Częstochowę, Ostrąbramę — aby na niem za przyczyną Maryi szczególne świadczyć łaski, okazywać nieprzerwanie, a naocznie cudowną moc ramienia swego.

Pokłon przeczystej Rodzicy!

Iluż szło tędy i pokłon ten niosło pielgrzymów, ciężko strapiionych, ilu czołgało się kalek, ilu niesiono chorych, ilu wracało tą drogą uzdrowionych, wzmocnionych na ciele, pocieszonych na duszy — od chwili, w której cudowna statua Maryi w te strony zawitała i słynąć zaczęła nadzwyczajnymi łaskami. Dawne to już czasy! W r. 1057 — opowiada podanie — w uroczystość św. Tomasza, przybył w okolicę dzisiejszego Maria-Zell pobożny Benedyktyn, nazwiskiem Magnus, wysłany od opata z klasztoru św. Lambrechta, aby nielicznym mieszkańcom tej dzikiej, nieprzystępnej niemal wówczas, górskiej krainy, głosił dobrą nowinę — Chrystusową naukę. Długo, długo przedzierał się Magnus przez gęste bory, wspinał się na strome góry, aż wyczerpały się szczupłe zapasy, siły opuściły i biedny pielgrzym padł na ziemię, śmierci czekając. Jedną miał tylko jeszcze nadzieję: pomoc Maryi, której wyrzeźbioną z drzewa statwę niósł ze sobą; ukląkł więc przed nią i gorąco modlić się począł. Jeszcze modlitwy nie skończył, gdy spostrzegł, że w jednym kierunku las się przerzedza. Nadzieja sił dodała; lecz ledwie niewiele kroków uszedł, gdy stał znowu przed niezwykłą przeszkodą: olbrzymią skałą, która dalszą tamowała drogę. „Matko dopomóż!“ — zawołał z głębi serca — i skała cudownie się rozstała, otwierając przystęp do obszernej, uroczej doliny. Czciiciel Maryi zrozumiał dane sobie z nieba cudowne wezwanie i w dolinie tej postanowił zbudować skromny przybytek, niby zakonną „celkę“, dla Niebieskiej swej Królowej.

Po niewielu dniach stała już na lekkim wzniesieniu z chru-
stu i desek sklecona chata, na dwie dzieląca się celki. W jednej
zamieszkał Magnus, w drugiej umieścił na ściętym pniu, na pu-
stelnicznym ołtarzu, drogą sercu swemu statwę i długie godziny
spędzał przed nią na serdecznej modlitwie. Marya błogosławiła
i modlitwie i apostolskiej pracy. Z okolicznych gór i lasów cią-
gnęli do pustelni napół dzicy, w pogaństwie pogrążeni mie-
szkańcy, zwabieni coraz głośniejszą, coraz dalej szerzącą się wieścią
o dziejących się w niej nadzwyczajnych cudach; uczyli się
w „celce Maryi“ (ztaąd *Maria-Zell*) prawd wiary; w niej, u stóp
Niebieskiej Królowej, stawali się przez chrzest dziećmi Jej Syna,
a później wdzięczni za doznaną łaskę, rozszerzali wokoło cześć
i miłość dla „Maryi w celce“, gorliwego zakonnika, przyprowa-
dzali do niej swych krewnych i przyjaciół.

Sława cudownego wizerunku Matki Bożej rosła z dniem
każdym i do dalszych przedostawała się krajów. W ostatnich
miesiącach XII. lub może w pierwszych XIII. w. zachorował
ciężko morawski margrabia, Henryk I., wespół z małżonką swą.
Agnieszką, a choroba ich tak się niebawem wzmogła, że sądząc
po ludzku, śmierć najdalej za parę godzin musiała nastąpić.
Wtem, we śnie czy na jawie, staje przed umierającymi szcze-
gólny patron ich kraju, św. Wacław; nakazuje im prosić Najsw.
Panny o uzdrowienie, a następnie odbyć pielgrzymkę do ubogiej
kapliczki w Górnej Styryi i tam pokłoniwszy się cudownej sta-
tuetce Maryi, zbudować dla niej godniejszy przybytek. Nagle,
nie ludzkimi środkami spowodowane uzdrowienie, które bezpo-
średnio po widzeniu tem nastąpiło, nie dozwalało wątpić o jego
prawdziwości, nakazywało spełnić jak najprędzej niebieskie roz-
kazy. Ale jak znaleźć ową kapliczkę, wśród nieznanych lasów
ukrytą? Margrabia — opowiada dalej legenda — zadawał sobie
to pytanie, gdy stanął przed nim i rycerskim jego orszakiem
niebieski posłaniec, w szaty pielgrzyma przybrany, i poprowadził
ich do pożądanego celu. Miejsce drewnianej celki zajęła teraz,
dzięki hojności morawskich margrabiów, z kamienia zbudowana
kapliczka, ta sama, która dziś jeszcze w środku kościoła się
wznosi.

Obok morawskiego Henryka I. zapisanem jest złotem i głaskami w kronice Maria-zellskiego kościoła imię węgierskiego, później i polskiego króla, Ludwika I. Otoczony w podjętej 1363 r. wyprawie przeciw Bośniakom przez czterykroć liczniejsze, 80-tyśięczne wojsko nieprzyjaciół, zdecydował się już Ludwik do ucieczki, która jedna mogła mu, jeśli nie królestwo, to życie przynajmniej ocalić. W nocy poprzedzającej wykonanie rozpaczliwego tego zamiaru, ukazała się królowi we śnie N. Panna, w postaci, w jakiej przedstawioną była na obrazie, zdobiącym połowy jego ołtarz, i nakazała mu natrzeć śmiało na wojsko nieprzyjacielskie, pewne zaręczając zwycięstwo. Rano budząc się, ujrzał król z podziwem obraz Maryi nie na ołtarzu, lecz na piersiach swych złożony. Pewny już teraz niebieskiej pomocy, kazał nieść obraz przed wojskiem, dał znak do walki i na głowę wrogów poraził. Pelen wdzięczności za cudowną tę opiekę Maryi, odbył węgierski monarcha pielgrzymkę do Maria-Zell i zbudował wokoło kamiennej kapliczki piękny, gotycki kościół. Przed ołtarzem, jako rycerz Maryi, zawiesił zwycięski swój oręż i zbroję; nadto ofiarował do kościoła ów obraz Maryi, który pamiętnej onej nocy przed zwycięską walką na piersiach mu spoczął. Obraz ten, łaskami słynący, bogato ozdobiony drogimi kamieniami i perłami, zawieszony jest dziś na osobnym ołtarzu, w skarbcu kościelnym.

Napływ pobożnych pielgrzymów tak wciąż się zwiększał, że kościół zbudowany przez króla Ludwika okazał się w niecałe dwa wieki niedostatecznym. Roku 1644 położono kamień węgielny pod nową budowę, z dawnej zachowując właściwie tylko wspaniałą gotycką wieżę. Straszna zaraza, później niemniej straszna turecka nawała, która w pamiętnym 1683 r. aż do bram Wiednia dotarła, ociągały i przerywały roboty, dokończone szczęśliwie dopiero około r. 1700. Różni odtąd, nie zawsze pożądani przybywali tu goście: nasłani przez Józefa II. urzędnicy, zabierający na rzecz funduszu religijnego złoto i srebro, które przodkowie cesarza u stóp Maryi złożyli; z początkiem bieżącego stulecia, groźny tyfus; w parę lat później (1805) chciwi skarbów, na szczęście na czas wywiezionych, francuscy żołnierze; głód, wreszcie ogień (1827), który ze stu Maria-zellskich domów

oszczędził zaledwie dwadzieścia. Kościół ucierpiał wiele przy ostatniej tej klęsce, 115 rodzin znalazło się bez dachu, bez sposobu do życia; ale hojne składki, zbierane w całej monarchii, powetowały mieszkańcom w znacznej części poniesione szkody i dozwoliły przystąpić do gruntownej restauracyi kościoła. Po trzech latach wznosił się on znowu w dawnym, owszem w świetniejszym niż poprzednio blasku.

Dźwięczna muzyka dzwonów rozbrzmiewa po całej Maria-zelskiej dolinie, odbija się echem od gór okolicznych i witając nas, wzywa, byśmy przedewszystkiem Królowej wybranego tego miejsca złożyli hołd powinny. Zewsząd też, z całego miasteczka, spieszą, wezwaniu dzwonów posłuszne, mniejsze i większe gromadki na codzienną, wieczorną Litanię do Najśw. Panny. Litanię śpiewa chór, następnie kapłan udziela błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. Ale choć nabożeństwo skończone i pogaszone światła w cudownej kapliczce, kościół się nie wypróżnia. Wszędzie, najgęściej przy balaskach okrążających kaplicę, stojącą (jak kaplica św. Stanisława na Wawelu) wpośrodku kościoła. klęczą pobożni pielgrzymi i widać, że modlą się szczerze, gorąco. Kilka lamp, rozwieszonych po ścianach olbrzymiej świątyni, rzuca blade, bardzo niedostateczne światło; ale w tym właśnie półmroku łatwiej zapomnieć o wszystkim, co staje między Bogiem a duszą, łatwiej zmysłom, wyobraźni nakazać milczenie i prowadzić z Królem na niebiosach niezapomnianą na życie całe „rozmowę wieczorną“.

Słów nie mam dla Ciebie:

Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha...

I każda dobra myśl, jak promień wraca

Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,

I nazad płynąc, znowu mię ozłaca...

Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz

Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!...

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,

Burzliwą duszę kryję przed ich okiem...

I tylko w nocy, cicho na Twe łono

Wylewam burzę, we łzy roztopioną!

Ile łez wyciśniętych przez cierpienie, skruczę serdeczną:
ale ile też łez płynących z wdzięczności dla wielkiego Lekarza

chorób wszelkich, dla „Ucieczki grzeszników“, „Pocieszycielki strapiionych“, „Uzdrowienia chorych“ padło na tę kamienną posadzkę! Ci, którzy teraz w kościele tym klęczą; te szeregi kobiet z płonącym stoczkiem w jednej, z książką do nabożeństwa w drugiej ręce; ci mężczyźni stojący, klęczący z twarzą w dłoniach ukrytą, nie przyszli tu dla ciekawości, dla rozrywki, dla zwyczaju. Każdy o coś prosi, prosi pewnie nie dla samego siebie tylko; każdy i dziękować ma za co Maria-zellskiej Królowej. Jako widomy znak tych próśb i podziękowań, płoną gęsto na balaskach okrążających cudowną kaplicę rozstawione różnokolorowe woskowe świece, a nadto składają pielgrzymi niezmierne mnóstwo najrozmaitszych woskowych figurek, wyobrażających zazwyczaj to serce, to nogi, to ręce..., a następnie w świece przelewanych. W ten sposób i najuboższy złożyć może swą ofiarę, a zarazem pobożne swe wotum u stóp Maryi; cieszyć się może, że i on paru swymi groszami do Jej czi się przyczynił.

Dziewiąta biła na wieżowym zegarze, gdy przechodził przez kościelną bramę, zostawiając jeszcze za sobą nieliczną garstkę modlących się. Z kościelnego ganku roztaczał się przeszliczny, malowniczy widok. Do wzniesionej na pagórku świątyni tuliły się wiankiem, jak do łona matki, z której zrodziły się i wzrosły, Maria-zellskie domy i domki, opasane znowu drugim, wielkim wieńcem gór i lasów, pomalowanych w romantyczne desenie księżycowym światłem. Poprzedni gwar przechodniów, nawoływania przekupniów już ucichły; nikt nie przeszkadzał poić serce, wyobraźnię tą świętą, tak wymowną ciszą; odczytywać to tajemne pismo przyrody, skreślone wszechmocną ręką Tego, który obok pod postacią chleba ukryty...

Ranny głos dzwonów znów do kościoła prowadzi i pośpiech nakazuje, aby się nie spóźnić na oznaczoną godzinę i minutę i nie opuścić swej kolei ze Mszą św. w cudownej kaplicy. Msze wychodzą regularnie jedna po drugiej od piątej rano, i od tej chwili kościół pielgrzymami napępniać się zaczyna; miejscowi kapłani zasiadają w konfesyonałach; razporaz odzywa się dzwonek przed wielkim ołtarzem i zapowiada rozdzielanie Komunii św.

Teraz też dopiero, przy dziennem świetle, przyjrzeć się można bliżej i kaplicy i kościołowi. Kaplica, mieszcząca w sobie cudowny wizerunek, zbudowana jest w samym środku kościoła, w gotyckim stylu, z poczerniałych od starości płyt kamiennych. Wewnątrz pomalowana jest na niebiesko, z gęsto rozsianymi złotymi gwiazdami. Srebrny ołtarz, bardzo bogaty, ale niezbyt gustownie wykonany, dziełem jest augsburskiego mistrza Drentwetta, z pierwszych dziesiątków lat minionego wieku. Wśród lasu aniołów, pozłacanych słupów, srebrnych promieni i z promieni tych utkanych chmur, zwiesza się srebrny baldachin, pod którym spoczywa cudowny wizerunek. Zpoza ze złota i drogich kamieni utkanej sukienki wyglądają tylko hebanowej barwy oblicza Matki Najśw. i Boskiego Jej Syna, ozdobione w złote, brylantami wysadzane korony. Ta sama to statua, która przed ośmiu wiekami przyprowadziła tutaj świątobliwego Benedyktyna; ta sama, której i świątynia ta, i całe wokoło niej zbudowane miasteczko zawdzięcza swe istnienie; za której pośrednictwem uleczyła, leczy i pociesza Królowa Niebieska tyle, tyle tysięcy chorych, niešťczęśliwych.

Przed wejściem do cudownej kaplicy stoją, niby straż przed nią trzymając, dwaj aniołowie z gorejącymi lampami w rękę. Pomiedzy tymi dwoma anielskimi strażnikami wisi ośm srebrnych, w kształcie serc urobionych lamp; przed niemi w pewnej oddali unosi się znów w powietrzu anielska postać w srebrzystej szacie, trzymając w dłoniach serce, z którego dniem i nocą płynie ku ołtarzowi pęk czerwonego światła. Poza kaplicą wielki posąg Najśw. Panny, przyjmującej hołdy czterech Ewangelistów i czterech świętych Patronów: Austrii, Styryi, Węgier i Czech; a dalej z czarnego i czerwonego marmuru zbudowany wielki ołtarz, na którym piękna, ze srebra ulana grupa wyobraża Tajemnicę Przenajśw. Trójcy. Dwanaście bocznych ołtarzów, wystawionych w drugiej połowie XVII. wieku przez magnackie rodziny: Martiniców, Choteków, Dietrichsteinów, Trauttmansdorffów, Liechtensteinów, Czerninów, Esterhazych, Draskowiców — błyszczą również od złota i srebra, a niejeden z nich zachwyca i znawców i nieznawców pięknym pomysłem, artystyczną robotą. Bardzo

również piękną jest ambona z czerwonego marmuru, ozdobiona wykutemi ręką prawdziwych mistrzów postaciami czterech Ewangelistów i św. Pawła.

Ściany kościoła pokryte są, miasto kunsztownych malowideł, niezliczoną liczbą najrozmaitszej wielkości i wartości obrazków i obrazów, przedstawiających uzdrowienia i rozliczne łaski, otrzymane za przyczyną Matki Bożej Maria-zellskiej. Ale w samym, właściwym kościele, nie starczy miejsca na te wszystkie eks-wota; daleko większa ilość zdoła, powiedzieć można bez cienia przesady, „tapetuje“, obszerne galerie ciągnące się po obu stronach kościoła, w górnej jego części, ponad bocznymi ołtarzami i kaplicami. Jedyne to bodaj w tym rodzaju „galerie obrazów“. Wszelkie kalectwa, nieszczęścia, wszelkie, jakie pomyśleć się dadzą bolesne wypadki zachodzące w życiu, przesuwają się przed okiem w długiej, niekończącej się procesyi. Tu około łoża umierającej matki dzieci płaczą, tam matka nad swawolnym synem łzy gorzkie wylewa; tam ustępujący już przed przemocą wrogów żołnierze; dalej całe miasta, przez straszną zarazę pustoszone; szeregi głodem wycieńczonych postaci; wsie, zamki w płomieniach; — ale w górze, nad tym padolem nędzy, okazuje się przywołana gorącemi prośbami miłosierna Matka Maria-zellska, a na sam Jej widok ucieka zaraza, ogień gaśnie, łzy osychają. Pod każdym prawie obrazem wierszami lub prozą skreślone objaśnienie cudu, w słowach nieraz naiwnych, ale serdecznych, widać, że prosto z wdzięcznego serca płynących. Jeden, wymieniając imię swe i nazwisko, dziękuje Matce Boskiej, że go wybawiła z grzesznego nałogu; inny biedzi się z rymami, w których opisuje dotychczasową swą nędzę moralną lub doczesną, a na końcu kładzie swój podpis, czasem nawet dołącza fotografię; jeszcze inny lub inna wydrukować albo wypisać kazala poprostu: „Wyratowałaś, Maria-zellska Panienko, Agnieszkę Mueller, z córką i z synem i z parobkiem; więc oni Ci wszyscy za to bardzo dziękują!“ Spotykam i parę do Polski się odnoszących, Polskę przynajmniej przypominających obrazów. W pamięci pozostała kopia obrazu św. Stanisława Kostki, znajdującego się w wiedeńskiej Jego kapliczce, i duży obraz Matki Bożej, ofiaro-

wany, jak głosi zdaleka widny podpis, w imieniu wdzięcznej *Helène* (sic!) *Czetyrtyński*. Nie wątpię, że rodzina ofiarodawczyni nie wie o tym, o pomstę wołającym, nie wiedzieć w jakim narzeczu skreślonym napisie; inaczej kazałaby go z pewnością dawno przetłumaczyć na jeden z europejskich języków.

Tu w tych galeryach skreślona właściwa historia cudownego miejsca; tu wierny syn Kościoła odczytuje z radością tę niby miejscową kronikę, opowiadającą chwałę Matki Bożej; tu protestant, niedowiarek ma przed sobą roztwartą księgę do studyów nad istnieniem cudów, nad czcią Maryi, nad rolą, jaką Bóg Matce swej porучzył na tym biednym świecie, potrzebującym tak bardzo takiej Matki, takiej Pocieszycielki...

Inną kartą tej książki: więcej niż królewski, z ofiar pobożnych złożony skarbiec. Największym w nim skarbem, to cudowny obraz Bogarodzicy, złożony tu po wygranej bitwie przez króla Ludwika. Obraz ten spoczywa na bogatym ołtarzu, zbudowanym w kształcie namiotu; po obu stronach, całą kaplicę okalając, ciągną się oszklone szafy z najcenniejszymi darami. Oczy bołą, patrząc na nagromadzone tu skarby; zdaje się, jakby się weszło do zaczarowanego pałacu z „Tysiąca i jednej nocy“, gdzie wszystko, na co spojrzysz, w dyamenty, w złoto, w perły się przemienia. W jednej z szaf cały stos naszyjników, różańców z wielkich pereł; obok wznosi się inny stos złotych łańcuchów, drogimi kamieniami pospajanych; dalej brosze, pierścienie, naramienniki, bransolety, zegarki, rzucone jakby od przypadku, tonące nieraz w formalnych górach koralu i drobniejszych pereł. Inna szafa mieści las cały kielichów, monstrancyj, lichtarzów, krzyżów złotych i srebrnych. Tam, rzekłbyś, makata utkana ze srebrnych i złotych serc, na których wyrte są zazwyczaj nazwiska ofiarodawców. Obok galerya obrazów, w złoto, perły i dyamenty oprawnych; srebrnych biustów i posągów; z kości słoniowej wyrobionych krucyfiksów; w agacie i topazie misternie wyrzeźbionych obrazków. A ileż dopiero w dolnych szufladach, z jaką pobożną rozrzutnością przyozdobionych w to, co najbogatsze, najwspanialsze: ornatów, kap, dałmatyk, sukienek na cudowną statwę Matki Boskiej! Świecki adjutant księdza skarbnika

rozkłada wprawna ręką te aksamity, jedwabie, złotogłównia, i recytuje znudzonym, monotonnym głosem:

— Biała sukienka, wyszywana perłami i granatami; dar arcyksiężnej Maryi Anny.

— Bardzo bogata, złota sukienka; dar kupca Pohlera z Wiednia.

— Niebieska sukienka, bardzo bogata; dar hrabiny Bis-singen.

— Czerwony i fioletowy ornat, złotem, srebrem i perłami wyszywany; dar króla Ludwika Węgierskiego z r. 1364.

— Złoty ornat; dar Macieja Korwina.

— Biały, jedwabny ornat; własnoręczna robota cesarzowej Maryi Teresy i dostojnej jej matki.

— Biały, złotem haftowany ornat; własnoręczna robota cesarzowej Karoliny Augusty.

— Aksamitny, czerwony ornat, haftowany perłami; dar panującej obecnie Najjaśniejszej cesarzowej Elżbiety.

I tak wciąż dalej i dalej sypią się, jak z rogu obfitości, nazwiska: cesarzów, arcyksiężnych i księżnych, arcybiskupów i biskupów, hrabin i kupców; wiedeńskich, grackich, peszteńskich mieszczek, które, zdawaćby się mogło, rywalizować nieraz chciały i rywalizują szczęśliwie wspaniałością swych darów i z ukoronowanymi głowami. A niełatwe to zadanie, bo cesarska rodzina Habsburgów uważa oddawna Maria-zellską Matkę Bożą za szczególną swą „Opiekunkę i Matkę“ — jak ją Marya Teresa była zwykła nazywać; — każdy niemal z jej członków za obowiązek sobie poczytuje osobiście się Jej pokłonić i polecić, a zarazem pozostawić u Jej stóp widomy jakiś znak swej czci, pamiątkę odbytej pielgrzymki. Zapisali tu w ten sposób swe imiona: cesarz Maciej, Ferdynand II., Ferdynand III., Ferdynand IV., Leopold I., Karol VI., cesarzowa Eleonora, Klaudya Felicyna, Małgorzata Teresa, Marya Teresa, Marya Anna, Karolina Augusta, Elżbieta. Rudolf IV. ufundował w Maria-Zell Mszę św. na wieczyste czasy za siebie i swych potomków. Ferdynand III. pięć razy tu pielgrzymował, Leopold I. dziewięć razy, Karol VI. sześć razy; cesarzowa Marya Teresa przystąpiła w cudownej kaplicy

do pierwszej Komunii św.; nawet Józef II. czterokrotnie tu zawitał, i rzecz niemal nie do uwierzenia, ofiarował złotą lampę, co mu następnie bynajmniej nie przeszkodziło zakazać dalszych pielgrzymek i skonfiskować największą część nagromadzonych w skarbcu drogocennych przedmiotów — nie wiem prawdziwie, czy i darowaną przez siebie lampę — na rzecz funduszu religijnego. Dopiero Franciszek I. wznowił r. 1811 dawną tradycję cesarskich pielgrzymek do Maria-Zell, a przy tej sposobności zniósł wszelkie przez poprzednika swego ustanowione utrudnienia i ograniczenia. Często był tu gościem cesarz Ferdynand; bardzo częstym, bo regularnie rokrocznie przybywającym, arcyksiążę Franciszek Karol, ojciec dziś panującego nam cesarza; sam wreszcie Franciszek Józef gościł tu wspólnie z cesarzową po raz ostatni w r. 1857, w czasie uroczystości spowodowanych siedmsetletnim jubileuszem cudów i łask, płynących na świat, na austriackie przedewszystkiem kraje, od stóp Maria-zellskiej Królowej.

Od drzwi zakrystyjnych słyszeć się daje uderzenie dzwonka; za chwilę zabrzmiał poważnie organ, rozległ się dźwięczny śpiew chórally: to ostatnia Msza wychodzi w cudownej kaplicy. Przed ołtarzem przygotowane klęczniki dla młodej jakiejś dostojnej pary, arcyksiężęcej, jak mię zapewniało, choć dokładnego nazwiska i informacyi nikt z zapytanych nie umiał mi udzielić.

— Przyjeżdżają, przyjeżdżają tu rozmaici wielcy panowie, — otrzymuję dobroduszną odpowiedź — ale któżby tam mógł wiedzieć i zapamiętać, jak im wszystkim po imieniu i nazwisku.

Środkową nawę zajęła miejscowa szkoła, dwustu, może trzystu chłopaków i dziewczyn. Wszyscy schludnie, ale nieraz i bardzo ubogo ubrani; buciki mocno i wysoko lepkiem błotem pomalowane świadczą, że wielu dość daleko musi mieszkać, a do kościoła przedostaje się nie bez pewnej ze swej strony ofiary. Każde dziecko ma przed sobą roztwartą książeczkę do nabożeństwa; na dany znak przerzucają szybko jej kartki i z tych paru set dziecięcych ust i serc wydobywa się głośna, melodyjna pieśń na cześć Maryi. Dziwnie miłe, rzewne robią wrażenie te

dzieci chwalać Pana, i dźwięcznym głosem i więcej jeszcze skromnem, pobożnem zachowaniem się. Miałem szczerzy zamiar po ukończeniu pierwszej pieśni wyjść z kościoła, ale urok tego pobożnego, z pobożnych, niewinnych serc płynącego śpiewu zbyt silnie do posadzki przykuwał i nie pozwalał się oddalać, póki ostatnie nie przebrzmiały tony, póki dwa długie szeregi w wzorowem teraz milczeniu postępujących młodych śpiewaków nie zniknęły za kościelną bramą.

Kilka tylko kroków od kościoła do hotelu pod „Czarnym Orłem“, do którego mię zawiódł wczoraj usłużny, choć nie ręczę, czy bezinteresowny doróżkarz, ale kilka tych kroków za setki kilometrów starczy; tam poważne, pobożne Maria-Zell, przenoszące myśl gdzieś w ubiegłe, lepsze i poetyczniejsze wieki: tu wierna miniatura dzisiejszego Wiednia.

Usiąść jeszcze nie zdołałem, a przed stolikiem stał już chudy jak osa, ufrakowany i wychuchany kelner i pytał z lekkiem ukłonem:

— Bifszyk, rozbif, cielęcina?

Usta otworzyły się machinalnie do: „Bifszyk z kartoflami“, ale przy pierwszej sylabie pocziwa pamięć zaniknęła je szybko przypomnieniem: „Toż piątek dzisiaj!“

— W piątek i w dodatku jeszcze w Maria-Zell — odparłem słusznie zirytowany — nie wypadałoby chyba częstować ani wołowiną, ani cielęciną.

Wyfrakowana postać skłoniła się w milczeniu i wróciła za chwilę, niosąc z wielkostołecznym artyzmem z pół tuzina talerzy. Przede mną stanęły trzy jaja; oblicza sąsiadów mych i sąsiadek zniknęły za gęstą mgłą z ciełących i baranich dymów, zpoza których przeglądał tylko czasem dobrze z nimi harmonizujący nagłówek, z równą jak bifszykowe kąski chciwością polykanej: *Neue Freie Presse*.

— Nie macie innej jakiej gazety?

— *Wiener Tagblatt*, *N. Wiener Tagblatt*, *Extrablatt*, *Fremdenblatt*, *Budapester Tagblatt*, *Presse*, *Wiener Allgemeine Zeitung*, *Deutsche Zeitung*...

Tak, wytłumaczyć to sobie trzeba! Maria-Zell z cudowną swą kaplicą, z pobożnymi pielgrzymami pozostało gdzieś daleko, daleko: obecnie jestem w kraju, opanowanym przez żydowsko-wiedeńską kulturę, pomiędzy turystami, którzy przybyli tu, ponieważ podróżny „Przewodnik“ przybyć im nakazał; ponieważ usłyszeli od kogoś ze znajomych: „Maria-Zell leży w ślicznej okolicy: przy sposobności radziłbym bardzo urządzić tam sobie wycieczkę“. Ale szczęściem takich „pielgrzymów“ niezbyt wielu; takich „odpowiadających wszelkim wymaganiom, na wiedeńską normę urządzonych“ hoteli kilka tylko. W szeregu gospod. z których właściwie całe Maria-Zell się składa, mniej zapewne wygody i pozornej oglady, ale w szczupłej stancyjce witają cię nietylko widoki zdjęte z okolicznych gór i dolin, ale i obraz cudownej Matki Boskiej; po restauracyi gospodaruje bez przeszkody gęsta fala dymu z sąsiedniej kuchni, ale natomiast nie rozchodzi się niebezpieczniejszy i bardziej żrący dym skandalicznych *Press* i *Blattów*.

Prawda — i w tem pociecha prawdziwa — że tych, co czytają te *Pressy* i *Blatty*, i w Maria-Zell nie chcą widzieć nic innego prócz romantycznej okolicy i ciekawego zbioru kosztowności, w najgorszym razie kilkudziesięciu: tych, którzy pieszo, o kawałku chleba tu przybyli i z sercem skruszonym klęczą przed ołtarzem Matki Bożej, szczęśliwi, że mogą Jej na wybranem tem miejscu dom, rodzinę, kraj swój polecić — setki i tysiące. W czasie jubileuszowych uroczystości w 1757 r. doliczono się w Maria-Zell 373.000 pielgrzymów; późniejsze spisy nie wykazują już nigdy tak olbrzymiej liczby: ale na główne święta N. Panny gromadzi się regularnie po kilkadziesiąt tysięcy: i dzień w dzień przez całe lato, choć już nie w długich, jak oko sięgnie, z muzyką, z rozwiniętymi chorągwiami ciągnących procesyach, to w odrębnych, mniejszych i większych gromadkach przybywa z bliższych, z dalszych stron, paru lub i kilkuset pobożnych. I teraz, gdy przed południową godziną raz jeszcze na pożegnanie wstępujemy do kościoła, ledwie wolnego takiegoś miejsca przed cudowną kaplicą możemy się doszukać:

zpoza filarów, z głębi kaplic i kapliczek, unosi się w górę cicha, serdeczna modlitwa.

Ostatni pokłon złożony Maria-zellskiej Królowej... Czyż kiedy, Panno święta, dozwolisz pokłonić się sobie tam, gdzie pod Twą opieką niemowlęce spędziłem lata, gdzie i mnie dzieckiem do zdrowia powróciłaś cudem — gdzie Jasnej bronisz Częstochowy?...

Ks. Jan Badeni.

BAZYLIANIE NA ŻMUDZI.

(Dokończenie).

... πάντα ῥεῖ.
(Heraklit z Efezu).

W Podubisiu, jak w innych szkołach wydziału naukowego wileńskiego, były z początku tylko szkoły powiatowe we właściwym tego słowa znaczeniu; ale później kurs nauk został rozszerzony, i chociaż liczba klas była też sama, tj. cztery, jednak dwie ostatnie miały kurs dwuletni i zwano je czasami klasą piątą i szóstą; tym sposobem tak zwane szkoły powiatowe w rzeczywistości miały kurs gimnazyów i dawały prawo wstąpienia do uniwersytetu, gdyż w takich szkołach powiatowych i właściwych gimnazyach wykładano prawie też same przedmioty.

Tak było do roku 1825, odtąd bowiem pozostawiono w wydziale wileńskim pewną tylko liczbę gimnazyów, bardzo ograniczoną, a szkoły powiatowe miały odtąd inny program nauk, znacznie zmniejszony, i nie torowały już drogi do uniwersytetu.

Taka modyfikacya w Podubisiu musiała nastąpić dopiero w jesieni roku 1825, ponieważ mamy u siebie patent, wydany Michałowi Ławciewiczowi przez szkołę Bazylianów w Podubisiu, pod numerem 16, z dnia 29 lipca 1825 r., w którym powiedziano, że on (Ławciewicz) był w tych szkołach od klasy I. *usque ad 6-tam inclusive*. Na patencie tym podpisany jako *praefectus scholae* Jozafat Wyszyński; O. Porfiry Siatkowski, nauczyciel fizyki; O. Jerzy Rzecki, nauczyciel matematyki i języka rosyjskiego

O. Jakób Szachnowski, języka polskiego i łaciny: O. Konstanty Reymer podpisany także, lecz jako prefekt¹.

Z tej doby gimnazyalnej, że tak powiemy, w Podubisiu, mamy więcej wiadomości o tej szkole w wizycie Jana Chodźki², który zjeżdżał w 1822 roku do Podubisia i obszerniej o tem referował w swoim czasie uniwersytetowi wileńskiemu. Bierzymy ztamtąd niektóre ważniejsze szczegóły.

O początku tej szkoły wizytator powiada mniej więcej toż samo, cośmy już wyżej o tem mówili. Twierdzi on, że powtórnie szkoła ta otwartą została z woli Repnina, wielkorządcy rosyjskiego na Litwie, w r. 1797 i od tego czasu zaczęto porządnie prowadzić spisy uczniów, przychodzących i wychodzących ze szkoły, i że od roku 1797 do 1821 było „takich numerów 1416“. Dawniej jakoby bywało po 600 (?) uczniów, a potem liczba ta spadła do połowy i mniej. Chodźko nawet podaje liczbę uczniów, zaczynając od roku 1802, i chociaż liczby te nie zawsze są w zgodzie z innemi wskazówkami o frekwencyi uczącej się młodzieży w Podubisiu, jednakże notujemy je wiernie na tem miejscu.

W roku szkolnym 1802/3 było uczniów 138

„	„	1803/4	„	„	192
„	„	1804/5	„	„	173
„	„	1805/6	„	„	220
„	„	1806/7	„	„	228
„	„	1807/8	„	„	150
„	„	1808/9	„	„	192
„	„	1809/10	„	„	234
„	„	1810/11	„	„	190
„	„	1811/12	„	„	170
„	„	1812/13	„	„	205
„	„	1813/14	„	„	198
„	„	1814/15	nie zanotowano		

¹ W Kalendarzyku na rok 1825 podani inni nauczyciele, może dlatego, że drukowano ten Kalendarzyk jeszcze 1824 roku, a zmiany później nastąpiły.

² Oryginał jej znajduje się w jednej z większych bibliotek w Warszawie.

W roku szkolnym	1815/16	było uczniów	168
"	"	1816/17	" " 240
"	"	1817/18	" " 295
"	"	1818/19	" " 290
"	"	1819/20	" " 283
"	"	1820/21	" " 300
"	"	1821/22	" " 244.

W roku 1818 wzięło patentu z ukończenia gimnazjum sześciu, 1819 ośmiu, 1820 siedmiu, a 1821 aż szesnastu.

Klas podczas wizyty Chodźki było cztery, ale III. i IV. z kursem dwuletnim (zwano je niekiedy V. i VI.); biblioteka miała być niedostatecznie zaopatrzona, pism peryodycznych żadnych, gabinetu w bardzo nędznym stanie, ale dyscyplina szkolna w porządku, obyczaje uczniów nienaganne, wykłady niezłe. Tak referował wizytator, który oddaje wielkie pochwały honorowemu tych szkół kuratorowi, Eustachemu Karpiowi, marszałkowi powiatu natenczas upickiego, za jego nad szkołą opiekę i znaczne dla niej uczynione ofiary. Większość uczniów była rodem z powiatów: szawelskiego, rosieńskiego i upickiego. Za mieszkanie płacili uczniowie od 3 do 4 rubli rocznie i za pół rubla produktami: żywność zaś uczniowie ze sobą przywozili, z której gotowano im jedzenie.

O nauczycielach owoczesnych takie Chodźko wypowiada zdania: „Dozorca szkoły i nauczyciel matematyki, O. Arkadyusz Kłossowski, wieku lat 40, w obowiązku rok 14¹; dobrze usposobiony, gorliwy, powolnych obyczajów, przedmiot swój dobrze wykłada, acz rozległe z nauką matematyki nie jest obeznany — czujny i troskliwy o porządek w szkole i o pożytek uczniów.

„Nauczyciel fizyki i języka rosyjskiego, O. Ignacy Proniewicz, wieku lat 30, w obowiązku rok 5; zdolności i usposobienia znacznego w swoim przedmiocie: więcejby po nim należało żądać pracy, aby i większe ułatwienie w wykładzie znajdował i obszerniej mianowicie historję naturalną wykładał.

¹ W Kalendarzyku wileńskim na ten rok inny jest podany dozorca szkoły; zapewne Kłossowski później przyjechał.

„Nauczyciel wymowy, historii i prawa, O. Jozafat Rzecki, wieku lat 27, nauczycielem rok 5; zdolność dobra, dosyć ma oświecenia; do przedmiotu, który wykłada, oddzielnie się nie sposobił; tem większą ma trudność, im mniej znajduje ksiąg pomocniczych; co mu z tego względu nie dostaje, gorliwością i staraniem nagradza; uczniowie korzystają; tenże nauczyciel dawał także lekcye języka francuskiego.

„Nauczyciel arytmetyki, geografii i nauki moralnej, O. Konstanty Reymer, ma lat 37, nauczycielem rok 9; dobrze usposobiony i dobrze uczy swoich przedmiotów; uczniowie korzystają.

„Nauczyciel gramatyki polsko-łacińskiej, O. Hilaryon Siewruk, wieku lat 25, w obowiazku miesiąc 2; zdolności i usposobienia dosyć dobrego; przy pracy i staraniu będzie pożyteczny“.

O. Siewruk był studentem filozofii, wszyscy zaś inni mieli stopnie kandydatów filozofii.

W raporcie Jana Chodźki wyliczono, że natenczas w powiecie szawelskim było: szlachty 1741, mieszczan 362, włościan 32.702, razem: 34.805.

Liczba uczących się: szlachty 679, mieszczan 23, włościan 799, razem: 1501.

Stosunek szlachty 1:3, mieszczan 1:29, włościan 1:41.

Jeszcze więcej mamy wiadomości o szkołach w Podubisiu w wizycie profesora Podczaszyńskiego, w czerwcu 1826 r. dokonanej¹. Prof. Podczaszyński tak opisał te szkoły²:

¹ Z wizyty tej, w oryginale, korzystaliśmy dzięki uprzejmości pana Zygmunta Glogera, znanego naszego archeologa i literata.

² Karol Podczaszyński, ur. 1790 r. na Litwie, był synem Jana, budowniczego u Radziwiłłów. Nauki pobierał w Krzemieńcu i Wilnie; w r. 1814 wysłany został do Petersburga celem wyłącznego kształcenia się w budownictwie, a następnie jakiś czas uczył się tegoż za granicą; powróciwszy zaś do kraju 1819 r., objął katedrę architektury i 1825—26 r. był jednocześnie wizytatorem szkół wileńskiego wydziału. Po zamknięciu uniwersytetu zajmował się prywatnemi robotami budowniczymi i gospodarstwem wiejskiem. Umarł w Wilnie 7 kwietnia 1860 r. Jako profesor miał dobrze wykładać; projekta swoje i myśli umiał płynnie i wymownie zalecać, miał

Na czele szkoły, jako dozorca, stał O. Jozafat Wyszyński, jednocześnie nauczyciel fizyki, rzeczywisty student uniwersytetu wileńskiego, rodem z Nowogrodzkiego, mający natenczas lat 32, który nauki pobierał najprzód w mińskim gimnazjum, potem w zakonie, nakoniec w wileńskim uniwersytecie; na służbie był już lat 8, z których cztery lata w Brześciu Litewskim, trzy w Witebsku i rok w Podubisiu. Obowiązki swoje spełniał gorliwie, jako dobry dozorca i wyborny nauczyciel, zasługujący na pochwałę uniwersytetu.

O. Konstanty Reymer, kapelan, kandydat filozofii, z telszewskiego powiatu pochodził, uczył się w Krożach, w zakonie i w wileńskiej wszechnicy; uczył już po szkołach swego zakonu lat 14: dwa lata w Ladzie, dwa w Borunach i dziesięć w Podubisiu, zaczynając od roku 1816. Obowiązki swoje wypełniał przykładowie i był zdalny do nauczania; miał wtedy lat 44 ¹.

O. Jerzy Rzecki, nauczyciel matematyki i języka rosyjskiego, z Oszmiańskiego, lat 46, uczył się w Berezwechu, zakonie i wileńskim uniwersytecie; na służbie przy szkołach różnych był już lat 15: w Borunach dwa lata, w Podubisiu trzy, w Berezwechu sześć, w Podubisiu powtórnie cztery. Obowiązki swoje pilnie spełniał, dobrym był nauczycielem matematyki, ale nie języka rosyjskiego.

O. Teofil Missiewicz uczył historii i języka niemieckiego, rodem z Białostockiego, nauki pobierał w gimnazjum świsłockim, w zakonie i wileńskiej wszechnicy; nauczycielem w Podubisiu był od roku 1824. W spełnianiu obowiązków był pilny, ale zdrowia słabego, a w nauce „nie mocen, osobliwie w języku niemieckim“.

O. Hilaryon Siewruk, nauczyciel polsko-łacińskiej gramatyki

wielką wprawę do rysunków i uczniów swoich do tego zachęcał; wielu dobrych architektów wyszło z jego szkoły. Wydał Podczaszyński kilkanaście dzieł w swoim fachu, które w swoim czasie miały wielkie powodzenie. (Cfr. dr. Józef Bieliński, „Stan nauk matematyczno-fizycznych“. Warszawa 1890).

¹ O tych dwóch zakonnikach, jakoteż i o niektórych innych, jeszcze powiemy więcej.

i języka francuskiego, rzeczywisty student, z Kobryńskiego, lat 25, nauki pobierał w zakonie i Wilnie; na służbie od roku 1822 w Podubisiu. Polsko-łacińską gramatykę wykładał dobrze, ale w języku francuskim „doświadczał trudności“.

Uczniów wszystkich było 159, wszyscy katolickiego wyznania: w klasie I. 65, w II. 36, w III. 30, w IV. 28.

Wiek uczniów: od lat 9 do 30. Szlachty było 123, włościan 20, mieszczan 16. Z powiatu szawelskiego 142, z innych powiatów 17. Mieszkających na kwaterach 157, a 2 u nauczycieli.

Przybyło uczniów w ciągu roku szkolnego 21, ubyło 30. Dozorców domowych po kwaterach 12.

Uczniów odznaczających się pilnością i obyczajnością było: w kl. I. 13, w II. 4, w III. 3, w IV. 4¹.

Nauka religii była dawana w kl. I. trzy godziny, w II. cztery, w III. i IV. po trzy godziny tygodniowo, podług podręczników przez uniwersytet wileński zalecanych: Schmidta, Fleury'ego i Belarmina. Postępy wszystkich uczniów w tym przedmiocie naogół były dobre i tylko jeden uczeń znalazł się pomiędzy nimi, który miał najniższy stopień — opieszały.

Język rosyjski wykładano w kl. I. trzy godziny, w II. tyleż, a w III. i IV. po trzy i pół tygodniowo, podług gramatyki Ostrowskiego. Zaczynano od liter nauk tego przedmiotu; uczono czytać, pisać (tygodniowo składano jedno piśmienne wypracowanie); później przechodzono całą gramatykę, i kończono tłumaczeniem na polski język historyi państwa rosyjskiego. Opieszalych uczniów z tego przedmiotu było w kl. I. 29, w II. 13, w III. 10, w IV. 5².

Języka polskiego uczono w kl. I. przez trzy godziny na tydzień, w II. dwie godziny, tyleż w klasie III., a w IV. dwie i pół; za podręcznik służyła gramatyka Jakubowicza i inne dzieła przez uniwersytet wileński zalecone.

¹ Postępy uczniów wyrażano tak: wielki, dobry, mierny, opieszały.

² Piotr Ostrowski, długoletni nauczyciel gimnazjum wileńskiego, zmarł jako dyrektor gimnazyalny w Dynaburgu 1846 r., znany w swoim czasie autor gramatyki rosyjskiej i różnych rozpraw, drukowanych w *Dzienniku Wileńskim*.

Uczono głównie gramatyki, stylistyki, wprawiano w pisanu listów, w III. i IV. klasie co tydzień jedno wypracowanie piśmienne. Opieszłych uczniów w polskim języku było w kl. I. 8, w II. 3, w III. 1, w IV. 3.

Na łacinę poświęcano w kl. I. trzy godziny tygodniowo, w II. dwie i tyleż w III. i IV. Podręcznik, gramatyka tegoż samego Jakubowicza. Tłumaczono bajki Fedra, potem Cyserona i Wirgiliusza, i co tydzień robiono jedno *domesticum*. Opieszłych uczniów z łaciny było w kl. I. 7, w II. 3, w III. 1, w IV. 3¹.

Francuski język: w kl. I. trzy godziny, a w II., III. i IV. po dwie. Uczono podług gramatyki, aprobowanej przez uniwersytet wileński, i wypisów Gedeke'go.

Język niemiecki: w kl. I. trzy i pół godziny i tyleż w II., a w III. i IV. po półtóry godziny. Gramatyka Kamieńskiego.

Arytmetyki i geografii w kl. I. godzin siedm na tydzień, w II. cztery, w III. historyi trzy godziny, w IV. także historia trzy godziny. Z arytmetyki przechodzono do reguły trzech, geografję powszechną (mniejszą) całą, a z historyi do XVI. wieku. Opieszali uczniowie: w kl. I. 4, w II. 7, w III. 4, w IV. 5.

Podręcznik do geografii używany był Szacfajera, do historyi Kajdanowa, a do arytmetyki najczęściej Czecha².

Algebra i geometrya dawane były nawet już w niższych klasach: w I. trzy godziny, w II. tyleż, a w III. i IV. po cztery.

¹ Najprzód uczono gramatyki polskiej podług Kopczyńskiego, lecz po roku 1824 zabroniono go używać po szkołach i od tego czasu wszedł w użycie podręcznik Maksymiliana Jakubowicza (1785—1853), autora gramatyki polskiej i łacińskiej, i innych dzieł. — Ks. Kajetan Kamieński S. P. (1758—1812), znany w swoim czasie autor gram. francuskiej i niemieckiej, których się trzymało po szkołach.

² Walenty Szacfajer, lekarz, zajmujący się także z zamiłowaniem go-podarstwem rolnem, wydał kilka podręczników do tego przedmiotu, bardzo używanych w swoim czasie. Umarł w r. 1840.

Jan Kajdanow († 1850), historyk rosyjski, który się kształcił w Getyndze pod Heerenem. Gdy zabroniono do tego fachu używać polskich autorów, dzieło jego przetłumaczono na język polski (Rogalski, Bentkowski i kazano podług niego wykladać. Nowożytna historia doprowadzona u nim do 1818 r. i wszystko przedstawione zbyt już subiektywnie.

Opieszali uczniowie: w kl. I. 24, w II. 12, w III. 4, w IV. 4. Podręczniki: Lacroix i Szymona L'Huillier¹.

Nauki fizyczne: w kl. I. wstęp do nauk przyrodniczych i początki botaniki, dwie godziny na tydzień; w II. koniec botaniki i zoologia, sześć godzin tygodniowo; w III. fizyka i mineralogia, dziewięć godzin; w IV. tyleż godzin poświęcano na geografię fizyczną, gnomikę, ogrodnictwo i rolnictwo. Opieszali uczniowie: w kl. I. 8, w II. 4, w III. 2, w IV. 2. Przechodzono te przedmioty podług znanych dzieł Jundzilla, Drzewińskiego, Jakowickiego, Krassowskiego i Okapowskiego.

W bibliotece liczono tomów 674 (gramatyka Kopczyńskiego opieczętowana), kart geograficznych 7, globusów 2, wzorów do rysunków 47; w gabinecie narzędzi fizycznych 40, matematycznych 54; narzędzia te ciągle się powiększały, kupowane ze składkowych pieniędzy. W r. 1826 składkowych funduszków było w kasie (składali je przeważnie uczniowie) 163 rs. i 30 kop.

Nauki szły, powiada wizytator, naogół dobrze; porządek i karność były należyte, tylko trzech dozorców oddalono ze szkoły, ponieważ „bawili się pijatyką, chadzając po okolicznej szlachcie“.

My od siebie dodajemy, że mogły tam iść dobrze tylko nauki matematyczne i fizyczno-przyrodnicze; ale łacina, na którą poświęcano taką małą ilość godzin, stała zapewne bardzo nisko, i nawet nie rozumiemy, jak przy takiej liczbie godzin tygodniowo można było przystępować do tłumaczenia Cycerona i Wirgiliusza! Czas ten nie bardzo nawet wystarczał, aby zgłębić należycie gramatykę całą i oswoić się z formami języka klasycznych autorów.

Z polskiego języka uczono się, jak widzieliśmy, także bardzo niewiele; o literaturze nie znajdujemy nawet wzmianki. Języki cudzoziemskie stały także nie wysmienicie. Z historyi powszechnej, podług Kajdanowa, nie można było wiele się nau-

¹ Sylwester Lacroix (1765—1843), znakomity francuski matematyk; jego elementarne dzieła kilkakrotnie były u nas tłumaczone. Szymon L'Huillier, rodem z Genewy, bibliotekarz u XX. Czartoryskich, ogłosił wiele dzieł, które także przetłumaczono i używano długo po naszych szkołach.

czyć, i jeżeli przechodzono tylko do XVI. w., to ignorancja w tym przedmiocie musiała być pomiędzy uczącą się młodzieżą bardzo wielka. Czy uczyli się historii polskiej, nie wiadomo z tego programu. Lecz nie należy zapominać, że to taki był stan nauk w Podubisiu po roku 1825, kiedy tam pozostała tylko szkoła powiatowa we właściwym tego wyrazu znaczeniu. Dawniej, przed rokiem 1825, nauki w tej szkole stały znacznie wyżej. Sprawiedliwość nakazuje powiedzieć jeszcze to, że w innych ówczesnych szkołach powiatowych wydziału wileńskiego uczono znacznie więcej; przechodzono nawet w niektórych polską literaturę i uczono, choć trochę, historii polskiej, chociaż naogół po roku 1825 wszędzie dawał się czuć pewien upadek nauk po szkołach. Było to po części z powodu nowych programów, które nadesłała wyższa zwierzchność, a także zależało w pewnym względzie od tego, że powoli zaczęto niektóre przedmioty — najprzód historję powszechną, a potem i inne — wykładać po rosyjsku, a ten język nie był znany uczniom do tego stopnia, aby mogli z korzyścią słuchać w nim wykładów niezajomych sobie przedmiotów.

O dalszych tej szkoły losach niewiele już mamy do powiedzenia. Tak np. wiemy, że na rok 1828 taki tam był skład nauczycieli: dozorca szkoły i nauczyciel religii i historii, O. Konstanty Reymer, kandydat filozofii; języka rosyjskiego uczył O. Jan Owelt; po polsku, po łacinie i po francusku, O. Jakób Szachnowski, rzeczywisty student; arytmetykę i geografję wykładał O. Mikołaj Lutkiewicz; fizykę O. Eugeniusz Chrolkiewicz, rzeczywisty student¹.

Nakoniec nastał straszny rok 1831, którego echa przedarły się i do borów litewskich i do dalekich, zapadłych Żmudzi zakątków... Jakie to kłęski na kraj sprowadziło, wiadomo. W wileńskim wydziale naukowym, w jednej chwili, rząd skasował mnóstwo szkół i zakładów naukowych, które były dotąd utrzymywane przez zgromadzenie zakonne z funduszków duchownych,

¹ Cfr. Kalendarzyk wileński na rok 1828.

a te, które jeszcze czasowo zostały, przerobiono i zmodyfikowano na inny już zupełnie sposób i wytknięto im odrębny kierunek ¹.

Do liczby takich zakładów naukowych, które przeżyły katastrofę 1831 r., należał także Podubiś; ale i tam wszystko prawie zaczęło iść innym trybem. W 1832 roku nastąpiła laicyzacja szkoły, na czele której był już świecki, przez rząd przysłany zwierzchnik, jakiś Łabuński. Lecz i w tym stanie szkoły nie istniały potem długo: 3 września (v. s.) 1835 r. nazawsze je zamknięto, a uczniów przeniesiono do znanych i powodzeniem wielkiem niegdyś cieszących się szkół w Krożach ².

W tymże prawie czasie skasowano resztę szkół na Litwie, które dotąd były jeszcze utrzymywane przez zakonników i stowarzyszenia duchowne, z funduszków ich własnych, bez pomocy rządu; na Rusi dawniej już wszystkie zamknięto ³.

Jeszcze trochę wiadomości o monasterze w Podubiszu mamy w Pamiętnikach Siemaszki, czyli raczej w dokumentach przyłączonych do Pamiętników w tomie III., a mianowicie pod rokiem 1834 i 1836.

Na początku 1834 r. wyprawił Siemaszko do Podubisza O. Wiktora Bosiackiego (który jakiś czas był w łaskach u niego), superyora natenczas monasteru bazylikańskiego w Wilnie, aby tam dokonał wizyty kanonicznej i obejrzał wszystko dokładnie. O rezultatach tej wizyty niema w Pamiętnikach żadnych szczegółów: można się tylko domyślać, że Siemaszko chciał powoli swoje

¹ Jakie spustoszenia w wydziale naukowym wileńskim dokonane zostały, widzimy ze sprawozdania, z raportu ministra oświaty, podanego w *Kurjerze Litewskim* z roku 1833, nr. 145: w roku 1830 w tym wydziale liczone gimnazyów 12, szkół powiatowych 59, parafialnych 261, konwiktów, pensyj etc. 60, razem: 392; uczących i urzędników różnych 880, uczących się 19,979. Rok 1831: gimnazyów 7, powiatowych szkół 22, parafialnych 45, konwiktów 17, razem: 91; uczących 306, uczących się 6654. W uniwersytecie wileńskim 1830 r. studentów 1321, a w 1831 r. 120.

² Cfr. Opisanie biskupstwa żmudzkiego, przez Wołoncewskiego.

³ Po roku 1836 pozostały jeszcze szkoły bazylikańskie w Wilnie i przetrwały prawie do 1839 r.: oprócz tego Bernardynów w Traskunach do roku 1840 i Bernardynów w Telszach do 1841 r., o których może powiemy przy innej sposobności.

zaprorowadzać tam reformy, ale sądząc z tego, że posłał O. Wiktora, przykładowego kapłana, należy mniemać, że wszystko tam legalnie dokonane zostało.

Przy końcu tego roku Kartaszewski, kurator białoruskiego¹ wydziału naukowego, zapytywał Siemaszki, jakie są fundusze tego monasteru i czy one wystarczają na utrzymanie szkół. Siemaszko doniósł mu, jakie miał monaster utrzymanie (o czem już wyżej wspominaliśmy) i dodał, że do roku 1831 obywatele okoliczni czynili znaczne ofiary dla szkoły i przywozili różne dary i datki klasztorowi; ale następnie wszystko to ustało i monaster miał tę tylko teraz korzyść ze szkoły, że każdy uczeń opłacał rubla na rzecz klasztoru i oprócz tego niektórzy uczniowie, znający śpiewy kościelne, byli używani do nabożeństw i egzekwii, odprowadzających się w cerkwi podubiskiej, ale nowo przysłany dozorca szkolny² (tak referował Siemaszko kuratorowi) zabronił uczniom przyjmować udziału w takich cerkiewnych nabożeństwach; skutkiem tego wszystkiego, zawyrokował Siemaszko, iż monaster, mający takie małe fundusze, nie jest w stanie szkół w dobrym utrzymywać porządku i doradzał kuratorowi albo powiększyć fundusz Bazylianów w Podubisiu, albo zamknąć te szkoły. Kartaszewski wybrał to ostatnie i szkoły, jak to już mówiliśmy, zamknął w roku następnym, a Siemaszko w rok potem (1836) wystąpił z nowym projektem takiego rodzaju: ponieważ szkoły bazylikańskie (tak pisał do greko-unickiego kolegium 11 marca 1836 r.) w Podubisiu skasowano, a monaster ten jest bardzo ubogi, nadto wyznawców tego obrządku w najdalszej nawet okolicy na Żmudzi niema, gdyż zaledwo o jakie dwieście wiorst znajdują się unickie cerkwie: przeto należy ten monaster, w dalekich stronach leżący, w którym mieszka pięciu zakonników, oddać panującemu w Rosyi wyznaniu.

Wyznawców panującej w Rosyi wiary także nie było ani śladu w tej okolicy, o tem naturalnie dostojnik unickiej cerkwi wiedział doskonale, ale te rzeczy nie interesowały go wcale.

¹ Po skasowaniu wileńskiego wydziału naukowego powstał białoruski na Litwie.

² Zapewne to wspomniany wyżej Łabuński.

W maju tegoż roku owych pięciu zakonników, „za którymi trudno było śledzić zwierzchności duchownej“, jak mówił Siemaszko, wyprawiono do wileńskiego bazylińskiego klasztoru, a Podubiś oddano na rzecz panującego wyznania.

Ostatnim superyorem w Podubisiu był O. Fabian Mażański, którego wysłano potem do Zahorowa, na Wołyń, na przełożonego w tamtejszym monasterze, gdy dotychczasowy superyor, Wiktor Laskowski, zapalał chęcią przyjęcia panującego wyznania, o czem doniósł Siemaszce.

* * *

Na podstawie Pamiętników Siemaszki i tak zwanego stanu służby (*formularne spiski*) przełożonych klasztorów bazylińskich prowincyi litewskiej z roku 1827, jakoteż współczesnych zapiszków, podajemy niektóre szczegóły z życia więcej znanych bazylianów, którzy byli czas jakiś w Podubisiu.

O. Buczyński Wiktor urodził się około r. 1775 w Białostockiem, był szlachcicem i nauki rozpoczął w Łucku. Potem, poczuwszy w sobie powołanie do życia zakonnego, wstąpił do Bazylianów w Byteniu w r. 1791, a w następnym wykonał śluby zakonne, zaczawszy tam odpowiednie studia (1792—1794); retoryki uczył się w antopolskim monasterze (1794—1796), filozofii w wileńskim (1796—1799), i podczas tych studyów otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1798; teologię zaś studyował w wileńskim uniwersytecie (1801—1804), zaszczycony uczonym stopniem akademickim. Następnie był nauczycielem w różnych szkołach zakonnych i w Podubisiu (1804—1812); od r. 1815—1822 sprawował urząd podubiskiego superyora, zkąd go przenieśli na toż stanowisko najprzód do Witebska, a później do Wilna w r. 1827, i przez ten czas był wyznaczony przez biskupa Hołownię jako wizytator klasztorów Bazylianek; za zasługi swoje pobierał rocznie 22 rs. 50 kop. W r. 1833 był już archimandrytą monasteru w Grodnie i tam odebrał pochwałę od miejscowego gubernatora i Siemaszki, za to, że trzymał się wiernie rytuału wschodniego obrządku, który mu polecono zaszcześcić w monasterze czerłońskim i hłuszniańskim. Ale, jak się zdaje, potem ostygł w tej

gorliwości o wschodni obrządek, bo w r. 1835 robił mu Siemaszko wymówki, że uczynił zmiany w liturgii, niezgodne z duchem wschodniego obrządku. Archimandryta tłumaczył się, że go oskarżono niesłusznie, że niechętni mu i wrogowie niesprawiedliwą na niego posłali wice-gubernatorowi denuncyację, wreszcie obiecywał zastosować się w zupełności do rozkazów Siemaszki. Jednak widać, że nieprzyjemne musiało być jego położenie w Grodnie, bo r. 1838 podał prośbę do Siemaszki, aby mu wolno było przyjąć obrządek łaciński. Jako odpowiedź na to nastąpiło internowanie go w monasterze byteńskim. Z Bytenia zasłano go w r. 1840 do Zahorowa, domagając się apostazyi, tj. tak zwanej „podpiski“. Z innych źródeł znane są nam znęcania się w Zahorowie nad więźniami...¹. Nie wytrzymał Buczyński tych katuszy i w r. 1841, już jako „zjednoczony archimandryta, nie mający monasteru“, otrzymał gratyfikacyi rs. 150 (największą kwotę). Dalsze jego losy nie są nam znane.

O. Butrymowicz Marcin, rodem z Litwy, szlachcic, przyszedł na świat około r. 1785; jeszcze będąc bardzo młodym, poświęcił się służbie ołtarza i w torokańskim monasterze od 1799 do 1802 r. początkowe nauki przechodził, retoryki zaś uczył się w byteńskim monasterze 1802—1804, a w Żyrowicach odbył kurs matematyki i logiki 1804—1805; później pojechał do Wilna na studia filozoficzne i teologiczne, które trwały od 1805 do 1807 i od 1809 do 1811 r.; kapłanem został w r. 1809; od 1807 do 1809 r. był nauczycielem w Podubisiu, następnie nauczał w innych szkołach: w Borunach, w Berezwechu, w brzeskim seminarjum przez dwa lata; w r. 1825 mianowano go superyorem monasteru darowskiego (za swoje zasługi pobierał rocznie z klasztoru 22 rs. 50 kop.), w którym był na tem stanowisku aż do kasaty tego klasztoru w r. 1834. Następnie przeniesli go do Żyrowic w charakterze zwierzchnika nad mieszkającymi tam Bazylianami. Dalsze jego dzieje nie są nam wia-

¹ Pamiętnik ks. Micewicza, wydany przez ks. d-ra Chotkowskiego — Notatki O. Czarnoruckiego, i inne.

dome. Żeby dał „podpiskę“, niema o tem wzmianki w Pamiętnikach Siemaszki.

O. Chrolkiewicz Eugeniusz. O nim tyle tylko wiemy, że w r. 1834 z Wilna wyprawiono go do Torokań; zapewne na pokutę, jak to zwykł był robić Siemaszko; tj. tych wszystkich, co się nie poddawali jego rozkazom, często z miejsca na miejsce, z jednego monasteru do drugiego przerzucał, chcąc tym sposobem wymódl „podpiskę“. I często bardzo ten sposób udawał się mu. Znękane, zmęczone jego ofiary nakoniec czyniły zadość życzeniom swego zwierzchnika. Czy O. Chrolkiewicz był w liczbie takich prześladowanych ofiar — nie wiadomo.

O. Homolicki Benedykt, ze stanu duchownego, rodem z Litwy, urodził się około r. 1784 i mając lat 16, wstąpił do Bazylianów w Torokaniach, gdzie śluby zakonne wykonał 1801 r., rozpoczynając w tymże monasterze naukę, którą kontynuował w innych monasterach: w Żyrowicach oddawał się filozofii (od 1803 do 1806), a w Wilnie teologii (1808—1809). Świecenia kapłańskie otrzymał w r. 1808, następnie oddawał się zawodowi nauczycielskiemu w Borunach, Podubisiu, potem znowu w Borunach, a od 1823 do 1827 był superyorem łyskowskiego monasteru, z kąd go wysłano na magistra nowicyuszów do byteńskiego monasteru i wypłacano mu rocznie 15 rs. W Pamiętnikach Siemaszki o Homolickim Benedykcie niema wzmianki.

O. Jurewicz Jan, szlachcic litewski, przyszedł na świat około r. 1765, do zakonu wstąpił w r. 1785 i w następnym śluby wykonał. W monasterze torokańskim otrzymał początkowe nauki (1786 do 1789), retoryki uczył się w antopolskim monasterze (1789—1791), filozofii i matematyki w wileńskim uniwersytecie (1791—1794), a teologii w Żyrowicach (1794—1797), kapłanem został w r. 1796. Od 1798 do 1819 był nauczycielem w Żyrowicach, Brześciu i Podubisiu, potem spełniał w zakonie różne urzędy i w r. 1823 mianowano go superyorem czerłońskiego monasteru. Rocznej pensyi pobierał 22 rs. i 50 kop. Siemaszko nie wspomina o nim.

O. Kokiewicz Antonin. W jego formularzu czyli stanie służby znajdujemy, że od 1809—1811 r. był nauczycielem

niższych klas w Podubisiu, i dlatego robimy o nim wzmiankę. O. Antonin rodem był z Litwy, szlacheckiego pochodzenia, ujrzał światło dzienne około r. 1786; uczył się najprzód w szkołach w Brześciu Litewskim, potem w zakonie i nakoniec w wileńskim uniwersytecie (1811—1813); w rok po ukończeniu nauk uniwersyteckich otrzymał święcenia kapłańskie. Później był kilka lat w Żyrowicach, gdzie się odznaczył jako nauczyciel wymowy w szkołach tamtejszych dla świeckiej i zakonnej młodzieży, a potem wysłano go do Witebska, gdzie był superyorem od 1826 r. i zarazem przełożonym szkół bazylikańskich w tem mieście. Rocznej pensyi pobierał 22 rs. 50 kop.

O. Lebel Maksymilian urodził się na Litwie około r. 1783, pochodzić miał ze szlachty; mając lat 17, wstąpił do zakonu w Torokaniach; po roku tamże wykonał śluby zakonne. Rozpoczął nauki stanowi swojemu odpowiednie 1801—1802 r., a potem je kontynuował w Żyrowicach i Wilnie; w wileńskim uniwersytecie był od 1810—1812 r.; święcenia otrzymał w r. 1808; nauczał w różnych szkołach zakonnych i od 1822 r. był jakiś czas superyorem w Podubisiu. Rocznie pobierał z klasztoru 22 rs. 50 kop.

O. Lenartowicz Benedykt. W stanie jego służby znaleźliśmy wiadomość, że przy końcu XVIII. w. (od r. 1798) parę lat uczył w Podubisiu. Osobistość to z wielu względów znakomita i bardzo znaną była w swoim czasie z wysokich cnót kapłańskich, gorącej wiary i erudycyi. O. Lenartowicz, szlacheckiego pochodzenia, przyszedł na świat około r. 1774, do zakonu wstąpił 1788 r. i w następnym uczynił śluby zakonne; nauki zakonne odbywał w monasterze antopolskim i wileńskim, później udał się do Rzymu i tam (1795—1798) kształcił się w filozofii i teologii, i otrzymał stopień doktora tych umiejętności. Uniwersytet wileński w r. 1814 doktorat ten uznał za prawomocny. Święcenia kapłańskie udzielone mu zostały dopiero po powrocie z Wiecznego Miasta. Powróciwszy do kraju, był przez kilka lat (1798 do 1807) nauczycielem w szkołach zakonnych (w Podubisiu, Borunach, Brześciu), później uczył młodzież zakonną filozofii i teologii (w Żyrowicach, Wilnie, Borunach od

1807 do 1814), a od 1814—1818 r. działał jako sekretarz prowincyi. Następnie przez lat sześć był II-gim konsultorem prowincyi litewskiej i jednocześnie przełożonym klasztoru Bazylianów wileńskich. Od roku 1822 do 1825 jako zasłużony emeryt mieszkał w berezweckim monasterze, z kąd go powołali na opata (archimandrytę) do monasteru św. Trójcy w Wilnie, gdzie piastował przytem różne inne godności i dostojęstwa świeckie i duchowne. W roku 1834 był jeszcze O. Lenartowicz opatem w Wilnie, ale gdy zaczęły iść szybkim krokiem reformy Siemaszki, usunięto go z tamtąd, chociaż pozwolono mieszkać przy tym klasztorze. Tak było do r. 1839, w którym mianował go Siemaszko przełożonym czasowego klasztoru w Kursku, dokąd wysłani byli główniejsi i najmniej wpływowi przeciwnicy reform Siemaszki, zakończonych katastrofą 1839 r. Przy końcu r. 1842 skasowano ten klasztor w Kursku i „upartych“ rozesłano w różne strony Rosyi. Siemaszko rozklasyfikował znajdujących się w tym klasztorze na trzy kategorye, i O. Lenartowicza zaliczył do trzeciej, o której powiedział, że są to ludzie już bardzo starzy, dobrze się prowadzący (*nie chùdawo pòwédénja*), i niema nadziei, aby się kiedy „nawrócić“ mogli¹. O ile nam wiadomo, to z Kurska powieźli O. Lenartowicza do Poczajowa, gdzie go internowali; tam też zapewne dokonał świątobliwego i męczeńskiego żywota... Z drukowanych prac jego znamy: „Wykład niektórych, żywć uczących miejsc Pisma św., w kształt pieśni, bajek i powieści ułożony“; wyszło to w Wilnie u Bazylianów, bez daty, a na cenzurze rok 1819, dzień 29 września wyrażony, in 8^o, str. 74 + 64.

O. Lissowski Grzegorz, rodem z Białej Rusi, przyszedł na świat około roku 1779, szlachcic; uczył się najprzód w Berezweczu, a wstąpiwszy do zakonu 1793 r., śluby zakonne złożył r. 1794, święcenia kapłańskie otrzymał r. 1802; nauki kontynuował w Antopolu, Wilnie i zakończył je w wileńskim uni-

¹ Koledzy jego, do tejże kategoryi należący: O. Ign. Baszniański, O. Herakl. Lebel, O. Mich. Strzelecki, O. Ant. Sokoł, O. Raf. Zabłocki i O. Raf. Cichocki.

wersytecie (1803—1806), później uczył w różnych szkołach swego zakonu, a był także profesorem retoryki młodzieży bazyliańskiej, od r. 1818—1824 przełożonym klasztoru w Brześciu Litewskim, zkađ go przeniesiono na taką samą godność do rożańskiego monasteru. Siemaszko o nim nie wspomina.

O. Lutkiewicz Mikołaj, rodem ze Żmudzi, należał pierwotnie do obrządku łacińskiego, do którego mu powrócić pozwolono w r. 1832.

O. Mażałski Fabian urodził się w Brasławskim 1789 r. i na naukę był oddany do Wic, gdzie utrzymywali szkoły Kanonicy Regularni; potem uczył się w zakonie i nakoniec w wileńskim uniwersytecie. Nauczycielstwo zaczął w r. 1814, ucząc po różnych szkołach i sprawując urzędy zakonne. W r. 1836, jakeśmy to już mówili, był ostatnim superyorem w Podubisiu, zkađ go wysłano do Zahorowa na Wołyń; tam jednak był niedługo, bo w r. 1838 znowu go w Wilnie znajdujemy, lecz jako „podejrzany w wierze“, internowany wkrótce został w Byteniu, a ztamtąd przewieziony do Zahorowa, gdzie go prześladowano srodze razem z innymi wyznawcami. Prób tych wytrzymać nie mógł i w r. 1841 podał prośbę do Siemaszki, aby mu wolno było zakon opuścić i pod tym warunkiem obiecał przyjąć panujące wyznanie. Prośba była wysłuchana natychmiast. Miał tego Mażałski później żałować, ale było już poniewczasie. W Pamiętniku ks. Micewicza jest wzmianka o tem.

O. Missiewicz Teofil urodził się około roku 1799 w Białostockiem, jakeśmy już o tem wspominali wyżej, mówiąc o jego pierwotnej działalności; następnie wiemy z Pamiętników Siemaszki, że w r. 1839 był w wileńskim monasterze i Siemaszko wymienia go w liczbie innych, „wątpliwej prawowierności“ zakonników, którzy w czerwcu tego roku byli z Wilna do Bytenia wysłani. W Byteniu jednakże nie potrafił go przekonać, gdyż w roku następnym znajdujemy go już w tryhurskim monasterze, i tam miał go nawracać urzędnik jakiś, używany do takich eksperymentów od Bibikowa, wojennego gubernatora kijowskiego, na wyraźną prośbę Siemaszki. Misya urzędnika widocznie musiała się nie udać, gdyż w r. 1841 Siemaszko wysłał

O. Missiewicz do Zahorowa (najstraszniejsze to było więzienie) i wyrażał nadzieję, że się może O. Missiewicz tam poprawi; ale niema wzmianki, aby nadzieje Siemaszki się urzeczywistniły.

O. Owelt Jan urodził się około roku 1800; pierwsze nauki pobierał on w szkole XX. Misyonarzy w Iłukszcie (teraz w Kurlandyi), potem uczył się w zakonie, a nakoniec w wileńskim uniwersytecie. Zaczął nauczycielstwo w 1825 r. w szkole bazylikańskiej w Wilnie, gdzie był zaliczany do gorliwszych i lepszych pedagogów; potem był nauczycielem w Podubisiu, zkąd go znowu do Wilna powołano. W r. 1839, jako „podejrzany“, został internowany w Byteniu; tam nie mógł wytrwać w swoich przekonaniach i zgodził się przyjąć panujące w Rosyi wyznanie, z tym jednakże warunkiem, aby mu zakon opuścić było wolno.

O. Papecki Stefan przyszedł na świat około roku 1785 na Litwie, z rodu szlacheckiego; mając lat 17, obrał sobie stan duchowny, wstąpiwszy do Bazylianów w Torokaniach. Nauki zakonne pobierał tamże, a następnie w Byteniu i Żyrowicach; w 1806 otrzymał święcenia, a w następnym roku został mianowany kaznodzieją w rakowskim monasterze, gdzie był rok, a potem, 1811—1820, nauczycielem klas niższych w Podubisiu, zkąd go powołano na prezydenta do sławnego leszczyńskiego klasztoru, pod Pińskiem. Dalsze jego losy nie są nam znane. Siemaszko nie wspomina o nim wcale.

O. Proniewicz Ignacy, o którym już wyżej była wzmianka, a z Pamiętników Siemaszki dalszy kreślimy ciąg jego męczeńskiego żywota. Z początku O. Ignacy, jako zdolny i wykształcony człowiek, był *persona grata* u Siemaszki; dlatego też mianował go superyorem antopolskiego monasteru, w którym był aż do jego kasaty w r. 1833. Ztamtąd O. Ignacego przenieśli do Torokań na wikaryusza, ale po bardzo krótkim czasie powołali go na archimandryę kobryńską (po O. Słobodzkiem); skoro się jednak przekonał Proniewicz, ku czemu zdążają Siemaszki reformy, przestał poddawać się jego rozkazom i w r. 1838 podał prośbę, aby mu wolno było rzymski przyjąć obrządek. Prośba ta nie była wysłuchana i odtąd zaczyna się okropne prześladowanie. W r. 1839 wysłali O. Proniewicza, razem z in-

nymi wyznawcami, do kurskiego czasowo urządzonego monasteru bazylińskiego, w charakterze wikaryusza. Tam był on do 1842 r., w którym wszystkich internowanych tu unitów rozśleli do różnych rosyjskich monasterów; temuż losowi uległ i O. Proniewicz, niezachwiany do śmierci w swej wierze.

O. Rzecki Jerzy, będąc w Lubarze, dał „podpiskę“ w 1840 r., a w następnym 90 rs. *posobia* (zapomogi) za to otrzymał.

O. Reymer Konstanty w 1835 r. był superyorem monasteru w Rakowie, lecz ponieważ ten monaster wtedy skasowano, więc go przenieśli do Bytenia; później był w Kobryniu; co się dalej z nim stało, nie wiadomo, ale dał „podpiskę“.

O. Szachnowski Jakób także był w Kursku 1842; żeby się „nawrócił“, Siemaszko nie wspomina; możemy go więc do wyznawców zaliczyć.

O. Tarajewicz Bonifacy 1841 r. przyjął panujące w Rosyi wyznanie, z tym jednakże warunkiem, aby mu zakon wolno było opuścić.

O. Wysocki Wawrzyniec, o którym ks. Micewicz powiada w swoich Pamiętnikach, że był superyorem w Podubisiu. O. Wawrzyniec urodził się około roku 1776 na Litwie, był szlachcicem, do zakonu wstąpił w 1793 r., a w następnym śluby wykonał, święcenia zaś kapłańskie otrzymał w r. 1801. Nauki pobierał w byteńskim, antopolskim i wileńskim klasztorze. Od 1801—1817 r. był nauczycielem w różnych monasterach (wileńskim, żydyczynskim, torokańskim i żyrowickim) i od 1817 do 1827 r. superyorem hłuszniańskim (w Podubisiu zapewne później), a w r. 1835, po skasowaniu monasteru kasuckiego, gdzie był także superyorem, przenieśli go do Wilna, lecz w r. 1840 był już w Zahorowie (razem z ks. Grzegorzem Micewiczem); ale się nie poddał Siemaszce, bo o jego „podpisce“ niema wzmianki, a episkop wileński zawsze bardzo skrzętnie takie rzeczy notował.

O. Wyszyński Jozafat urodził się na Litwie około roku 1793, poświęcił się stanowi duchownemu 1809 r. i kapłanem został 1820 r. Uczył się w torokańskim, wileńskim, żyrowickim monasterze, a potem w uniwersytecie w Wilnie. Od 1816—1820 r.

uczył fizyki w Brześciu, później wykładał ten przedmiot w Witebsku i Podubisiu; od 1826—1827 r. był nauczycielem religii w Wilnie, a następnie mianowano go wikaryuszem tego monasteru. Siemaszko wcześniej zjednał go dla swoich celów i wszystkimi popierał sposobami. Był superyorem kasuckim, potem inne piastował godności w nowo zreformowanych Żyrowicach; 1841 r. otrzymał 120 rs. *posobia*, na koniec został archimandrytą w Orszy, ciesząc się zawsze wielkimi Siemaszki względami.

Wołyniak.



ŚWIĘTA TUNIKA

CZYLI NIESZYTA SZATA CHRYSTUSA PANA W TREWIRZE.

I.

Świadcstwa historyczne, stwierdzające prawdziwość tej relikwii.

W pięknej dolinie, nad rzeką Mozelą, wijącą się niby modra wstęga pośród wzgórz pokrytych winogradem, leży Trewir (*Trier*), jedno z najstarszych miast niemieckich. Istniało ono już w czasie wojny Rzymian z Gallami (58—51 przed Chr.), jako główna osada bitnego plemienia Trewirów¹; a podbite przez Jul. Cezara, stało się później (50—70 po Chr.) kolonią rzymską, pod nazwą *Augusta Trevirorum*. Do największego atoli rozkwitu przyszło w wieku III. i IV. po Chr., kiedy tu Maksymianus Herkuleus (roku 286), a po nim Konstancjusz Chlorus (po roku 292) i Konstantyn Wielki (r. 306—312) założyli swą stolicę. Wówczas to do Trewiru, zwanego „drugim Rzymem“, wiodło ośm bitych gościńców i kilka okazałych bram, wewnątrz zaś zdobiły wspaniałe pałace, łaźnie i cyrki. Dziś jeszcze przy wejściu do miasta od strony północnej wita cię dobrze utrzymana *Porta nigra*; idąc dalej ku południowi, spotykasz ruiny pałacu cesarskiego i amfiteatru, a w założonem tamże muzeum widzisz liczne szczątki sarkofagów, mozaik, naczyń i ozdób rzymskich. Od r. 418, czyli od przeniesienia siedziby rządu *provinciae Gallia-*

¹ *De bell. Gall.* II, c. 24 sq.

rum do Arles, traci Trewir swe znaczenie polityczne; lecz większą nierównie klęskę zadały mu najazdy Wandalów, Hunnów, Franków i Normanów.

Krzyż Chrystusów wcześniej tu dotarł. Według starej a poważnej tradycyi, miał Apostoł św. Piotr wysłać z Rzymu trzech uczniów z pochodnią Ewangelii do północnej Gallii; jeden z nich, św. Eucharyusz, był pierwszym biskupem trewirskim, po nim zaś nastąpiło dwóch innych, św. Waleryusz i św. Maternus. Jakkolwiek co do tego faktu nowsza krytyka podniosła niektóre wątpliwości, pewną jest rzeczą, że za Maksymiana krew męczeńska zrosiła ziemię nad Mozelą i że na dworze Konstancjusza Chlorsusa było mnóstwo chrześcijan. Przez nich to nawróconą została jego żona, a matka Konstantyna W., Helena, i zapewne w Trewirze około r. 312 chrzest św. przyjęła.

Wcześniej też zasłynęła tu stolica biskupia, a zarówno apostolski jej początek jak polityczne znaczenie miasta sprawiły, że biskupi trewirscy zostali nie tylko metropolitami, ale apostolskimi wikaryuszami dla Niemiec i Gallii, które to przywileje papież: Jan XIII. (r. 969), Leon IX., Kalikst II. i inni potwierdzili. W IX. w. mieli tytuł „prymasów Gallii belgijskiej“; kiedy zaś feudalizm w Niemczech zapanował, odziedzili z władzą książęcą różne prerogatywy, między któremi najcenniejszą było prawo wybierania cesarza. Dopiero burza rewolucyjna XVIII. w. zdruzgotała tron elektorów trewirskich; ostatni z nich, Klemens Wacław, syn króla polskiego, Augusta III., wyrzucony ze swej stolicy przez wojska republikańskie (r. 1794), zrzekł się godności arcybiskupiej (r. 1802)¹, poczem rząd francuski w porozumieniu z Piusem VII. utworzył istniejące dotąd biskupstwo trewirskie.

Dziś Trewir jest miastem niewielkiem, bo ledwie 30.000 mieszkańców liczącem, mimo to od 18 sierpnia b. r. ściąga do siebie codziennie tysiące przychodniów zbliska i zdala i ściągać ich będzie do końca września. Cóż jest tak potężnym magneselem? Oto święta tunika czyli nieszyta szata Chrystusowa, która

¹ Umarł w r. 1812, jako biskup augsburski, którą to godność od r. 1768 posiadał.

wedle niepamiętnej tradycyi przechowuje się w trewirskiej katedrze, a którą biskup Michał Feliks Korum 18 sierpnia ku czci publicznej wystawił.

Wieść ta wywołała wszędzie głębokie wrażenie; świat wierzący przyjął ją z radością, spodziewając się ztąd spotęgowania życia religijnego; natomiast w obozie liberalnym i protestanckim odezwał się znowu zgrzyt gniewu lub szyderstwa z „ciemnoty katolickiej“. Odpolerowano nawet zardzewiałą broń, jaką przed laty Ronge, Gildemeister, Sybel i inni prawdziwość tej relikwii zbijali; toczy się znowu walka po pismach i dziennikach; tymczasem tłumy pielgrzymów, wiedzionych pobożnem uczuciem, spieszą zewsząd do Trewiru. Podążyłem też za nimi¹, daleki od wszelkiego powątpiewania, bo podanie tyłu wieków i świadectwo tyłu osób wiarogodnych, a szczególnie tyłu świątobliwych biskupów, było mi rękojmią, że nie zachodzi tu złudzenie, a tem mniej oszustwo. Zresztą powiedziałem sobie naprzód: cóż stracę w tym wypadku, gdyby szata, tam wystawiona, nie była autentyczną? W każdym razie jest ona godłem i wizerunkiem prawdziwej szaty, a czcząc ją, czczę Tego, który ją nosił. Z drugiej strony, będąc w Trewirze, miałem oczy otwarte, a nadto przeczytałem parę dziełek, dziejom tej szaty poświęconych²; wynik zaś moich spostrzeżeń i badań podaję tu czytelnikom *Przeglądu*.

Przedewszystkiem zaznaczam, że w kwestyi obecnej nie idzie o dogmat, ale o prawdę historyczną; bo artykułem wiary jest to tylko, że należy czcić relikwie, nie zaś, że ta lub owa relikwia jest prawdziwą. Wolno zatem żądać dowodów, stwierdzających prawdziwość tej lub owej relikwii; wszakże i Kościół

¹ Towarzyszył mi ks. Karol Krementowski. O ile wiem, byliśmy pierwszymi pielgrzymami z ziemi polskiej.

² St. Beissel, *Geschichte des heil. Rockes*. Trier 1891 (jestto skrócenie większego dzieła, wydanego w r. 1889). — Dr. Willems, *Der hl. Rock zu Trier*. Trier 1891. — Dawniej wyszły: Von Hommer, *Die Geschichte des hl. Rockes*. 1834. — Marx, *Geschichte des hl. Rockes*. 1844. — Clemens, *Der hl. Rock und die protest. Kritik*. 1845. — Binterim, *Zeugnisse für die Echtheit des hl. Rockes*.

sam tak czyni¹ i czynić poleca². Nie należy jednak — jak słusznie zauważył papież Benedykt XIV.³ — domagać się pewności metafizycznej lub fizycznej; wystarcza bowiem w tego rodzaju kwestyach pewność moralna, opierająca się na świadectwach ludzi wiarogodnych. Co więcej, gdy idzie o relikwie, dostatecznym dowodem ich prawdziwości jest stałe i uzasadnione podanie tych kościołów, w których bywają czczone; podanie zaś to, według słów samego Hontheima⁴, należy tak długo uważać za silne, dopóki przekonywającymi argumentami nie zostanie obalone.

Otóż za prawdziwością relikwii trewirskiej przemawia najprzód posiadanie jej przez tyle wieków, a powtórę stałe i uzasadnione podanie, że to jest ta sama szata, którą Chrystus Pan miał na sobie w czasie pochodu na Kalwaryę, a o którą potem żołnierze rzucali losy. Dowód z przechowania tej szaty i jej kształtu wyłuszczy my poniżej; tymczasem zastanówmy się nad samą treścią podania.

Opowiada takowe, że cesarzowa Helena tunikę św., znaną na Wschodzie, przesłała w darze kościołowi trewirskiemu. Jestże to prawdopodobnem? Bez wątpienia. Wiemy z historii, że Helena w r. 326 udała się do Palestyny i że tam krzyż Zbawiciela wraz z gwoźdźmi znalazła. Czyliż trudno przypuścić, że jako wielka miłośnica relikwii św., robiła tamże poszukiwania za innemi narzędziami Męki i za szatami Chrystusowemi, które pobożność Apostołów i pierwszych chrześcijan od zniszczenia zachowała? Mogła zatem znaleźć św. tunikę, wykupioną, jak nie godzi się wątpić, od żołnierzy rzymskich. Ale dlaczego darowała ją Trewirowi? Nietrudno to zrozumieć. Trewir był, jeżeli nie kolebką Heleny — jak twierdzi stara tradycja, poświęcona w wieku IX. przez Almanna z Hautvilliers⁵ — tedy ulubioną jej

¹ W średnich wiekach używano nawet w tym celu próby ognia.

² Tak również na soborze trydenckim.

³ *De beatif. sanct.* lib. 4, p. 2, c. 24.

⁴ *Hist. Trev. dipl.* I, p. XI. (Willems l. c. 9).

⁵ *Helena oriunda Treviris.* Wprawdzie Baroniusz twierdzi, że św. Helena urodziła się w Brytanii, podczas gdy Bollandyści za miejsce jej urodzenia uważają Drepanum w Bitynii, nazwane później przez Konstantyna W. Helenopolis; ale rzecz nie jest rozstrzygnięta. (Willems l. c. 172 sq.).

stolicą, tak za życia jej męża, Konstancjusza Chlorusa, jak za panowania Konstantina W. Tu, jak się zdaje, została ona ochrzczoną i tu pałac swój miała oddać na kościół pod wezwaniem św. Piotra; cóż więc dziwnego, że temuż kościołowi ofiarowała tak cenną relikwię. Jaką drogę odbyła ta relikwia, trudno powiedzieć; prawdopodobnie mieściła się pierw w bazylice laterańskiej i stąd na życzenie św. Heleny a za pozwoleniem papieża Sylwestra I., przeniesioną została przez św. biskupa Agrycjusza do Trewiru. Przynajmniej tak donoszą niektóre źródła średniowieczne.

A jakież mamy świadectwa za prawdziwością rzeczzonego podania? Niepisane i pisane. Do pierwszych należy pieśń ludowa i tabliczka rzeźbiona, do drugich stare pisma i kroniki. Pieśń ludowa, zwana *Orendellied*, zawiera fantastyczną opowieść o losach „szarej szaty Zbawiciela“, lecz wkońcu mieści ją w Trewirze¹; inne pieśni gminne wymieniają wyraźnie św. Helenę, jako pośredniczkę w przesłaniu św. szaty; co wszystko jest dowodem, że tak w wiekach średnich wierzone. To samo potwierdza rzeźbiona tabliczka ze słoniowej kości, przechowywana w skarbcu trewirskim, a przedstawiająca przeniesienie relikwii przez dwóch biskupów, naprzeciw których wychodzi św. Helena z krzyżem w rękę i w koronie na głowie. Że ta płaskorzeźba jest bardzo starą² i że ma ścisły związek z relikwiami trewirskimi, zgadzają się prawie wszyscy krytycy.

Świadectw pisanych z wieku IV. i następnych nie mamy; lecz nie w tem dziwnego. Począwszy od roku 406, Trewir po kilkakroć został zburzony do szczytu, najprzód przez Wandalów i Franków, później przez Hunnów (r. 451) i Normanów (r. 882); chociaż tedy pośród swoich biskupów w wieku IV. i następnych liczył mężów światłych i gorliwych, jakimi np. byli: św. Agrycysz, Maksymin, Paulin, Feliks, Bonozus, Brito, Nicetius, Magnerikus i inni — chociaż w murach swoich posiadał dwa

¹ Willems l. c. 63.

² Niektórzy pisarze, jak Sotzmann, Barbier de Montault, Kraus, Ernst odnoszą tę tabliczkę do wieku IV. lub V.

opactwa benedyktyńskie, a ztąd zapewne i własne kroniki: to jednak w tylu najazdach nieprzyjaciół wszystkie pomniki piśmienne zaginęły. Krom tego, trzeba było nieraz ukrywać same relikwie, by nie wpadły w ręce pogan; a i w czasie pokoju nie wystawiano ich wówczas na widok publiczny¹, ale zamknięte w osobnych skrzynkach i opieczętowane składano w głębi ołtarzy lub w podziemnych kryptach; co wszystko sprawiło, że wieść o nich znikąca na czas jakiś, i do niektórych kronikarzy wcale nie doszła. W ten sposób tłumaczy się ich milczenie co do św. tuniki.

Dodać należy, że jak stare ruiny pokrywa opona z mechu i bluszczu, tak w wiekach średnich fakta odległe strojono nieraz w szatę legendową, którą wówczas trudno było odróżnić od szaty dziejowej. Tak np. Grzegorz turoneński (z Tours), historyk VI. w. († 594) pisze, że „słyszał od pewnych osób“, jakoby nieszyta tunika Zbawiciela znajdowała się w mieście prowincyi Galatea (?), odległym od Konstantynopola na mil 150, i to w tajemnej krypcie kościoła poświęconego św. Aniołom. Kontynuator historyi Grzegorza, Fredegar († około 658) idzie dalej, bo twierdzi śmiało, że w r. 590 znaleziono św. tunikę w palestyńskim mieście Zafad (Safed), złożoną w marmurowym sarkofagu, po czem ten sarkofag wraz z relikwią św., trzech biskupów: Grzegorz antychoeński, Tomasz jerozolimski i Jan konstantynopoliński, przeniosło na barkach swoich do Jerozolimy². Opowieść ta nie ostoi się całkowicie wobec krytyki; mimo to przeszła ona do wielu kronik późniejszych³, co chwilowo na tradycję trewirską pewien cień rzuciło.

A o tej tradycyi czyż nie wspominają pisarze średnich wieków? I owszem, dają jej bardzo jasne świadectwo. Już

¹ W Akwisgranie od r. 1356 do 1804 był relikwiarz, mieszczący nieznane wcale relikwie, a ztąd nazwany: *Noli me tangere*.

² Być może, że początek tej opowieści dało znalezienie tuniki św. Jana na Wschodzie, o czem papież Grzegorz W. pisze w liście do Jana, opata syrakuskiego. (Beissel l. c. 39).

³ Między innymi wspomina o niej także nasz Martinus Polonus. (Willemss l. c. 69, nota).

w wieku IX. Almann (albo Altmann), zakonnik z Hautvilliers, nadmieniał, że cesarzowa Helena, rodem z Trewiru, ojczyźnie swojej skrzynię z relikwiami, a między temi nóż, który służył Chrystusowi Panu przy ostatniej wieczerzy, w darze przesłała¹.

Wyraźniejszą wzmiankę o tej przesyłce mieści t. zw. „dyplom Sylwestra“, wkłada bowiem w usta papieża Sylwestra (r. 314—335) te słowa, że cesarzowa Helena ojczyznę swoją w szczególny sposób ubogaciła, bo jej darowała ciało św. Macieja, przeniesione z Judei, jakoteż tunikę i gwoźdź Zbawiciela, głowę papieża Korneliusza, ząb św. Piotra, sandały św. Ap. Andrzeja i wiele innych upominków². Dyplom ten, przyznający biskupom trewirskim godność prymacyalną, w tej formie, w jakiej do nas doszedł, jest z pewnością podrobiony, ale istniał on już w X. w.³, a ztąd świadczy, że wówczas te relikwie Trewir posiadał.

Na tenże dyplom powołuje się także autor biografii św. Agrycyusza (*Vita Agritii*), napisanej między r. 1050 a 1072, i dodaje, że skrzynia z relikwiami, złożonemi przez św. Helenę i św. Agrycyusza, mieściła się w skarbcu (*in gazophylacio*) katedry trewirskiej, której restaurację arcyb. Poppo (1016—1047) właśnie był rozpoczął. Snać tej skrzyni dotąd nie otwierano, gdyż rzeczoney autor mówi o zawartych w niej relikwiach z pewnem wahaniem się.

Za to jasno i stanowczo istnienie św. tuniki w Trewirze poświadcza kronika trewirska, *Gesta Trevirorum*, spisywana od wieku IX. przez Benedyktynów klasztoru św. Eucharyusza i Ap. Macieja. Otóż w kronice tej około roku 1100 następujące umieszczono słowa: „Obok ciał św. Eucharyusza i jego towarzyszy spoczywają kości Apostoła Macieja. Tunika Zbawiciela, wraz z gwoździem i innemi relikwiami, została złożona w kościele św. Piotra“⁴. Toż samo stwierdzają inne dokumenta tegoż wieku,

¹ Willems l. c. 53 sq. 180, Beissel l. c. 32 sq.

² Willems l. c. 43.

³ Według Beissela, pierwszy i najkrótszy tekst tegoż dyplomu miał się ukazać w połowie wieku XI. (l. c. 27).

⁴ Willems l. c. 42.

jak np. podrobiony list cesarza Fryderyka Rudobrodego do arcybiskupa trewirskiego Hillina, pismo Lamberta z Leodyum o znalezieniu relikwii św. Macieja (z r. 1186), *Annales Stadenses*, *Annales Colonienses* i t. d.

Z kroniki *Gesta Trevirorum* dowiadujemy się również, że w r. 1196, przy poświęceniu katedry trewirskiej, arcybiskup Jan (1190—1212) umieścił w wydrążeniu wielkiego ołtarza opieczutowaną skrzynkę z tuniką Zbawiciela, a nadto utworzył osobną fundację, by przed tym ołtarzem dzień i noc siedm lamp płonęło. Obok pierwszej skrzynki złożył dwie inne, również z drzewa i słoniowej kości, w których się zawierały dwie partykuły Krzyża św., cząstki z pieluszek betleemskich, ze żłóbka, z grobu Pańskiego, z sukni N. Panny, z kamienia, na którym Pan palcem pisał, z ręcznika, który miał na sobie przy umywaniu nóg, ze słupa, przy którym był biczowany, wreszcie relikwie wielu Świętych i kości św. Maternusa¹. Nie ulega wątpliwości, że pierw te skrzynki otwarto i dokładnie sprawdzono, co one w sobie mieściły.

Oto są dowody historyczne za prawdziwością św. tuniki. Jeżeliby ktoś chciał je odrzucić, jako niewystarczające, musiałby na tej samej podstawie wyrwać wiele kart z księgi dziejów i zanegować wiele faktów, uchodzących dziś za pewne.

II.

Dawniejsze wystawienia świętej szaty w Trewirze.

Od r. 1196 do 1512 spoczywała św. tunika w środku ołtarza św. Piotra, a chociaż o tem wiadano tak w Trewirze, jak gdzieindziej, rzadko atoli w ówczesnych pismach spotykamy odnośną wzmiankę. Wprawdzie już przy końcu XIV. wieku proboszcz Fryderyk Schavard († 1409) domagał się wystawienia tej szaty, lecz nastąpiło to dopiero w r. 1512, na usilne życzenie cesarza Maksymiliana I., który w tymże roku t. zw. *Reichstag* w Trewirze odprawiał. Ówczesny elektor, Ryszard von Greiffen-

¹ Beissel l. c. 14.

klau, nie bardzo chętnie spełnił wolę cesarską, bo wystawianie relikwii nie weszło jeszcze w zwyczaj, i wezwał pierw różne klasztory do modlitwy. Kiedy jednak Maksymilian, świadom dobrze starych podań i kronik, mocno nalegał, kazał arcybiskup 14 kwietnia 1512 otworzyć wielki ołtarz; jakoż w wydrążeniu tegoż znaleziono trzy skrzynki, a w pierwszej z nich po prawej św. szatę Zbawiciela¹. Jakie wrażenie sprawiło to na arcybiskupie i otaczających go kanonikach, opisuje pieśń współczesna:

Sie funden den Rock des Herrn Iesu Christ,
der mit dem plut überrunnen ist,
als (ob) es neulich geschehen were,
sie waynten all aus herzten grundt,
und danken got des reychen fundt,
die Fürsten und der Keyser werde.

Wyjęto również inne relikwie, poczem takowe w obecności cesarza i książąt złożono na ołtarzu. Ponieważ lud żądał natarczywie, by mu św. tunikę pokazano, przeto wystawiono ją ku czci publicznej, ale pofałdowaną i zwiniętą. Nie zadowolniło to jednak pobożności ludu, musiano więc tunikę rozłożyć, poczem niezmierne tłumy, czasem po 100.000 dziennie, przeciągały obok niej. Jak świadczy ówczesny sufragan trewirski, Enen, niewielu było takich, którzy się oparli wzruszeniu, a łzy płynęły obficie. Tenże świadek donosi: „Kolor tuniki nie jest ani szary ani całkowicie brunatny. Według mego zdania, większa jej część jest płomienistą, ale spelzłą... Barwa jej zmienia się według powietrza... Nikt nie może powiedzieć, z jakiej ona materyi zrobiona; czuje się coś pośredniego między aksamitem a kamlotem... zdaje mi się, że jest tam coś z pokrzywy... Suknię tę zdobia dziwne jakieś figury... odpowiada ona doskonale Pismu św.“.

Nie brakło atoli już wówczas opozycji, „bo każda rzecz dobra musi natrafić na przeciwieństwa“²; posypały się nawet zjadliwie pisma z obozu protestantów, którzy cześć relikwii w czam-

¹ Był na niej napis: „Ta jest nieszyta szata naszego Pana i Zbawcy Jezusa Chrystusa“, w środku zaś były jakieś pisma. ale nieczytelne.

² Enen. Por. Beissel l. c. 77.

buł potępili. Z tem wszystkim, św. szata do coraz większej przychodziła czci, zwłaszcza odkąd zaczęto wystawiać ją z innemi relikwiami i postarano się u Leona X. o nadanie odpustów dla nawiedzających ją pielgrzymów. W bulli z 26 stycznia 1515 r. zaznacza tenże papież, zgodnie ze starem podaniem, że św. Helena za zezwoleniem św. Sylwestra¹ świątynię trewirską obdarzyła nieszytą suknią Zbawiciela i innemi relikwiami, a cesarz Konstantyn W. tak wysoko ją wyniósł, że słusznie mogła być nazwaną „drugim Rzymem, panią prowincyj i pierwszą pośród kościołów Niemiec i Gallii“. Następnie nadaje odpust zupełny tym wszystkim, którzyby w każdym siódmym roku, kiedy relikwie w Akwisgranie bywają wystawiane, kościół trewirski odwiedzili, i to w ciągu dni czterestu, od 7 lipca począwszy, a przytem przepisanych warunków dopełnili².

Tak więc wystawienie św. tuniki miało się odbywać co siedm lat, równocześnie z pielgrzymką do Akwisgranu; ale takich peryodycznych wystawień było tylko pięć lub sześć, gdyż wojny lub inne klęski kilkakrotnie spowodowały przerwę. Tak np. od 1585 do 1655 r. św. szata pozostawała w ukryciu; dopiero arcybiskup Karol Kasper von der Leyen kazał ją wystawić w r. 1655, i to na trybunie, wzniesionej na zewnątrz kościoła. Wówczas ucieło ją przeszło 200.000 pielgrzymów; między tymi elektorowie arcybiskupi z Moguncyi i Kolonii, palatyn Filip Wilhelm z żoną i z córką, przywiezioną w kolebce, i inni. Bywało też, że elektorowie szatę św. pokazywali czasem prywatnie osobom dostojnym; ale kapituła opierała się temu.

W drugiej połowie wieku XVII. i w wieku XVIII. przechowywano ją raczej w twierdzy Ehrenbreitstein niż w Trewirze, raz z powodu częstych wojen, a powtórę, że elektorowie rezydowali najczęściej w Koblencji. Kiedy wojska republiki francuskiej zbliżały się do Trewiru, ostatni elektor, Klemens Wacław,

¹ Niektórzy pisarze wieku XVI. twierdzą, że tunikę św. złożył Konstantyn W. w bazylice laterańskiej i że ztamąd wyjął ją papież Sylwester na prośbę św. Heleny, by ją oddać bisk. Agrycyszowi.

² Bulla poleciła składać jagnużnę na kościół: otóż z tych datków sprawiono nowe dzwony. Odpusty nadał także Leon XIII. r. 1891.

umknąwszy ze swej stolicy, kazał św. tunikę przenieść najprzód do Ehrenbreitsteinu, następnie do Würzburga i Bambergu, wkońcu do Augsburga, gdzie po rezygnacyi z elektorstwa od r. 1803 zamieszkał. Trewir przyłączony został do Francyi, a rząd jej, zawarwszy konkordat z Piusem VII., utworzył tamże stolicę biskupią, na której zasiadł Karol Mannay, mąż prawy i kościelnego ducha (1802—1816). On to odniósł się do dawnego elektora z prośbą o wydanie św. tuniki; a chociaż rządy bawarski i nassawski wystąpiły z roszczeniami do tej relikwii, wyjednał jednak za wpływem Napoleona I. jej zwrot i przez gener. wikaryusza swego, Cordel'a, sprowadził ją do Trewiru. Wśród uroczystej procesyi wniesiono ją do katedry 9 lipca 1810, poczem 31 lipca odbył biskup oględziny. Wówczas mieściła się św. szata w trzech drewnianych skrzyniach, opatrzonych pieczęciami z roku 1765, i w trzech jedwabnych pokrowcach, otoczonych warstwą bawełny; co do kształtu zaś i barwy, opis Cordel'a zgadza się z relacją Ekena z r. 1512 i z protokołem z r. 1890. Od 9 do 27 września nastąpiło publiczne wystawienie, wśród którego 227.217 pielgrzymów uczciło św. relikwię, wszyscy z oznakami pobożności, wielu ze łzami w oczach. Były to — jak pisze Cordel — dni zbawienia, skuteczniejsze niż jubileusz.

Trzydzieści cztery lat później, 17 sierpnia 1844, odezwał się potężny dzwon katedralny, noszący imię św. Heleny, na znak, że święta szata będzie znowu publicznie wystawiona; tak bowiem świątobliwy biskup Arnoldi pismem z 24 czerwca 1844 rozporządził. Nazajutrz przeciągnęli obok niej ze czcią w duszy, z modlitwą na ustach, duchowni, urzędnicy, szkoły, bractwa i wielka część mieszkańców miasta; w ich ślady poszły, od 20 sierpnia do 14 września, wszystkie parafie dyecezyi, z pasterzami i chorągwiami na czele. Podążyli też pielgrzymi z pobliskich i dalszych dyecezyj, razem 1,100.000 pobożnych, między nimi jedenastu biskupów. Ponieważ wówczas nie było jeszcze kolei, przeto jedni ciągnęli pieszo, inni na wozach lub statkach, śpiewając religijne pieśni, których echo szło daleko doliną Mozeli. Zapał u wszystkich tak był wielki, że się zdawało, jakoby wróciły czasy wypraw krzyżowych.

Od świtu do nocy kościół katedralny był jakby w oblężeniu, a pobliskie ulice były pełne, mimo to nie było słychać ni złorzeczeń ni sporów, i nikt wówczas nie spostrzegł pijanego. Wieczorem zapalano przed kościołem pochodnie, wewnątrz zaś nieśli pielgrzymi świece gorejące w rękach i przy odgłosie świętych pieśni, którym towarzyszyły organy, kroczyli poważnie ku św. tunice, okolonej wieńcem z płomieni. Duchowne owoce tej siedmioletniej misji (bo siódmy tydzień później dodano) były niewysłowne, a do rozlicznych cudów łaski, przylączyły się cuda widzialne. Wypowiedział to głośno sam biskup Arnoldi w przemowie konkluzyjnej, będącej niejako jednym hymnem dziękczynnym; że zaś nie uległ złudzeniu, świadczy trewirski fizyk dr. Hansen, który w ośmnastu wypadkach wszystkie okoliczności zbadał i protokoły ogłosił¹.

Po chwilach radości, przyszedł atoli wkrótce czas próby. Już 15 października 1844 ks. Jan Ronge, kapłan dyecezyi wrocławskiej, puścił w świat swój list, a raczej pamflet, w którym zaciekle uderzył na biskupa Arnoldiego, iż tenże „bałwochwalcami uroczystościami zwodzi lud katolicki“; później zaś w orędziu „do przyjaciół i dawnych towarzyszy“ wezwał niższy kler niemiecki, by porzuciwszy maskę „obludników“, podniósł wraz z ludem rokosz przeciw biskupom i papieżowi. Bezczelne to wystąpienie zasmuciło prawych katolików, ale ich nie zadziwiło, wiedziano bowiem, że Ronge był kapłanem bez wiary i złych obyczajów, za co go biskup zasuspendował *a sacris*. Niestety, znalazł on w Niemczech zwolenników podobnego ducha; a na hańbę imienia polskiego przylączył się do nich ks. Czerski, wikary z Pily w Poznańskim, jawny rozpustnik i gorszyciel. Tak powstała nowa sekta, *Deutschkatoliken* zwana, która miała zreformować Kościół — tymczasem zaraz z początku popadła w bagno racjonalizmu, niemoralności i socjalizmu; a narobiwszy nieco hałasu w r. 1848, niedługo potem niechlubny zakończyła żywot.

W ślad za Rongem wystąpili do boju dwaj profesorowie

¹ Beissel, str. 101. Willems, 105—109, wylicza niektóre z tych cudownych uleczeń i dodaje, że żadnego z nich nie zanegowano.

z Bonn, Gildemeister i Sybel, ale z inną nieco bronią: wytoczyli bowiem naprzeciw św. tuniki w Trewirze ciężkie działa dowodów niby historycznych, a w istocie sofizmatów i sarkazmów. Mianowicie w piśmie p. t.: *Der heilige Rock zu Trier und die zwanzig andern heiligen ungenähten Röcke*, starali się wykazać, że popierwsze, dopiero w r. 1121 arcybiskup Bruno, „nie wiedzieć czy oszust, czy oszukany“, ale w każdym razie z pobudek chciwości, bez kanonicznego badania wrzekomą tunikę Chrystusa za autentyczną uznał i w ołtarzu św. Mikołaja złożył; a powtóre, że katedra trewirska nie może przechowywać prawdziwej szaty, skoro o ten sam zaszczyt dwadzieścia innych kościołów się dobija. Ale pierwszy zarzut jest fałszem widocznym; jakże bowiem mógł arcybiskup Bruno w r. 1121 podsunąć zwykłą szatę za relikwię, jeżeli o tej relikwii, jako powszechnie znanej, nietylko *Gesta Trevirorum* zaraz po roku 1100, a więc przed wstąpieniem Brunona na stolicę, ale także inne dokumenta z XI. wieku, wspominają. Zresztą cóżby była jego „chciwość“ na tem zyskała; wszakże dopiero w r. 1512 rozpoczęły się wystawiania, pielgrzymki i ofiary.

Na drugi zarzut odpowiadamy poniżej.

III.

Dzisiejsza postać świętej tuniki.

Szczupłe mamy wiadomości o ubiorach izraeliickich z czasów Chrystusa Pana; jeżeli jednak niektóre wzmianki Pisma św. zestawimy z opisami Józefa Flawiusza¹, utworzy się z tych fragmentów następujący obraz.

Żydzi lepszego stanu nosili zwykle poza domem suknię spodnią, suknię zwierzechnią i zarzutkę albo płaszcz. Suknia spodnia (u Rzymian *interula* lub *subucula*) była to niejako nasza koszula, zazwyczaj obcisła i bez rękawów, u bogatszych, a mianowicie u arcykapłana do samych stóp, u ludzi pracujących niżej kolan sięgająca. Ubodzy, zwłaszcza w lecie, na niej zazwyczaj

¹ *Antiqu.* III, c. 7.

przestawiali, jak dziś beduini lub fellahy w Egipcie. Suknia zwierchnia (po grecku *chiton*, u Rzymian *tunica*) była obszerna i fałdzista, z krótkimi ale za to szerszymi rękawami, a spadała aż do stóp, tak że dla większej wygody w chodzeniu trzeba ją było ścisnąć i podnosić pasem, o czym Ewangelia wyraźnie wspomina¹. Wreszcie płaszcz (u Rzymian *pallium*, *toga*) był to czworograniasty lub owalny kawał sukna, z okrągłym otworem, pokrywający plecy, u spodu zaś opatrzony przepisany przez Mojżesza „krajami“ (*fimbriae*). Za obuwie służyły zwykle sandały, przywiązywane rzemykami. Co do materii ubiorów, używano najczęściej lnu, bawełny, wełny, sierści wielbłądziej, rzadko bisioru lub jedwabiu.

A jakież były szaty Chrystusa Pana? W żłóbku betleemskim pieluszki, których resztki przechowują dotąd w Rzymie² i w Akwisgranie — w Nazarecie suknie rzemieślników — w życiu publicznem strój stanów wyższych. Wystąpiwszy jako Mistrz świata, przywdział Zbawiciel ubiór mistrza (*rabbi*), już to by nie zrażać uczonych żydowskich, już też by wszystkim dać naukę, że mogą żyć odpowiednio do swego stanu, byleby tylko unikali zbytku. Kolor szat Chrystusowych był ciemny, jakiego w Starym Zakonie używali prorocy³.

A któż robił te szaty? Według starej tradycyi, zapisanej u Eutymiusza, sama Najśw. Panna, nader biegła w tego rodzaju robotach⁴. Ona też utkała tunikę, i to zapewne nie jedną, bo niema racyi przypuszczać, żeby ta szata rosła cudownie z Chrystusem, jak opowiada legenda⁵.

¹ *Niech będą przepasane biodra wasze.* (Łuk. xii, 35).

² W kościele N. P. Maryi Większej i w Lateranie.

³ Wiemy z Ewangelii, że Herod kazał ubrać Chrystusa w szatę białą, na pośmiewisko, i że żołnierze narzucili Panu łańcuch szkarłatu.

⁴ Zmyślona protoewangelia św. Jakóba opowiada, że arcykapłan wybrał N. P. Maryę, z sześciu innymi dziewczynami, by utkała zasłonę do świątyni, i że podczas tej roboty nastąpiło zwiastowanie. Dawniejsze wizerunki przedstawiają N. Pannę z kądzielą w ręku. Co więcej, cesarzowa Pulcherya miała w konstantynopolińskim kościele *Hodegon* złożyć kądziel, której N. Panna używała; kłębek zaś nici z Nazaretu przechowują dotąd w Huy, w Belgii. (Beissel l. c. 58).

⁵ Przypuszczają to Godfryd z Viterbo, Ludolphus de Saxonia, św. Bry-

Przed ukrzyżowaniem Zbawiciela, żołnierze rozdzielili Jego szaty na cztery części, a tylko o tunikę (*chiton*), „nieszytą, od wierzchu cało dzianą“, rzucili losy¹, poczem takową, jak wątpię się nie godzi, od jednego z nich wykupili uczniowie. Że ta szata mogła ocaleć przez tyle wieków, i to bez cudu, że nadto św. Helena mogła ją znaleźć i przesłać do Trewiru — jest rzeczą zupełnie prawdopodobną; że ją tamże przesłała, jest faktem świadectwami stwierdzonym.

Jeżeli teraz przypatrzymy się tunice, przechowywanej w Trewirze, musimy wyznać, że co do jej kształtu, materyi i barwy nie zachodzi żadna sprzeczność z opowiadaniem Ewangelii i z wynikiem badań archeologicznych, — że nadto jej opisy z r. 1512, 1810, 1844 i 1890 w rzeczach istotnych zgadzają się z sobą. Jeden tylko ze świadków, kanonik trewirski Wilmowsky, który w r. 1844 widział tę tunikę przez ćwierć godziny, wystąpił w r. 1876 z odmiennem zdaniem, twierdząc, że z prawdziwej szaty Zbawiciela został tylko kawał materyi, koloru szarawego, umieszczony na przodzie, pod jedwabną i wzorzystą pokrywą²; ale ta opinia po nowem a ścisłem zbadaniu okazała się bezzasadną. Chcąc bowiem usunąć wszelki cień wątpliwości, zarządził obecny biskup, Michał Feliks Korum, dokładne oględziny (6—11 lipca 1890) i utworzył w tym celu komisję, do której oprócz samego biskupa i sufragana Feiten, weszli: dwaj kanonicy, burmistrz miasta (de Nys), architekt (Wirtz) i dwaj rzeczoznawcy (kanonik koloński Schnütgen i jezuita Beissel). Wszyscy ci członkowie, jak niemniej użyci wówczas robotnicy, złożyli przysięgę. Po otwarciu potrójnej skrzyni, spoczywającej za wielkim ołtarzem, i wyjęciu św. tuniki z trzech jedwabnych pokrowców, przywołano także dwie franciszkanki, by przyszyły oderwane od niej strzępy i zapomocą nacierania spirytusem oczyściły ją z pleśni.

gida, Maria d'Agreda, Cornelius a Lapide; lecz na cóż bez potrzeby mnożyć cuda, zwłaszcza, że Chrystus Pan chciał być nam „podobnym we wszystkim, prócz grzechu“.

¹ Jan XIX, 23.

² *Der hl. Rock, eine archäologische Prüfung.* 1876. Na to pismo wyszła zaraz odpowiedź, p. t.: *Der hl. Rock zu Trier, von Rhenanus.* 1876.

Wynik oględzin podajemy w streszczeniu, trzymając się słów protokołu¹.

Relikwię właściwą stanowi szata zewsząd zamknięta i opatrzona rękawami; lecz ma ona dziś pokrywę z przodu i z tyłu, a w środku podszewkę. Przednia materya jest jedwabna i wzorzysta (*gemusterter Seidenstoff*); pochodzi ona ze Wschodu, prawdopodobnie z Bizancyum; co do czasu zaś, można przyjąć wiek VI. do IX.² Wzorzystość stanowią paski złoto-żółte i purpurowo-fioletowe, tworzące kwadraty, których środek zdobią dwa ptaki żółtego koloru, ku sobie zwrócone i mające w dzióbach gałązki. Ponieważ jednak ta materya jedwabna spelzła i podarła się w kawałki, przeto w jednym tylko miejscu, pod lewym ramieniem, można było samo tło i owe ptaki rozpoznać³. Tylnią pokrywę tworzy rodzaj gazy (*crêpe de chine*)⁴, której tkanka tak jest przeźroczystą, że można przez nią widzieć samą tunikę.

Podszewka składa się z jedwabiu niewzorzystego, trudno jednak powiedzieć, z jakiego ona czasu pochodzi. Między pokrywą wierzchnią i podszewką znajduje się sama tunika, złożona dziś z kawałków, trzymających się z sobą luźno i z przerwami, bo czas porobił tu szczyrby, a być może, że części relikwii rozesłano dawniej do innych kościołów⁵. Jak się zdaje, materya to lniana lub bawełniana, koloru brązowego; lecz wiek jej nie da się oznaczyć. W każdym razie jest starszą niż otaczające ją pokrywy, które dodano dużo później dla osłony. Szwów na niej nie odkryto; przynajmniej badanie w tym kierunku nie doprowadziło do żadnego rezultatu. Zresztą oględziny te nie nasunęły żadnego wniosku, któryby z podaniami trewirskimi był w sprzeczności; a twierdzenie Wilmowskiego, jakoby relikwię stanowił jeden tylko płat materyi, okazało się błędem.

¹ Protokół cały zamieścił Willems l. c. 119 sq.

² Fischbach sądzi, że ta materya pochodzi z wieku IV.—VI.

³ Jezuita Beissel odrysował ten kwadrat i w dziełku swoim rycinę umieścił.

⁴ Protokół z 7 i 8 lipca 1890.

⁵ W średnich wiekach jest nieraz mowa o przenoszeniu do różnych kościołów relikwii z Trewiru, a także o „nieszytej sukni“. (Por. Beissel l. c. 34 sq.).

Przy dalszem badaniu (8 i 9 lipca) dostrzeżono na obu krajach (u szyi i u spodu), tudzież na końcach rękawów resztki szerokiej krajki koloru zielonego i czerwonego, a krom tego dwa paski równoległe i 20 przyszytych do sukni sznurków, idących od góry do dołu.

Spisawszy te spostrzeżenia, kazała komisya zeszyć jedwabiem ciemno-brunatnym miejsca rozdarte i sprawić na całą suknię pokrowiec tegoż kształtu, z materyi tiulowej, brunatnej i tak rzadkiej, że widoku powierzchni wcale nie zasłania; poczem tę suknię umieszczono w szkatułce ołowianej i w trzech drewnianych skrzyniach, a po opieczętowaniu złożono w wielkim ołtarzu.

Tak więc zewnętrzna postać sukni, przechowywanej w Trewirze, jest dowodem, że ona jest prawdziwą tuniką Zbawiciela.

Lecz tu spotykamy się z zarzutem Sybla i Gildemeistra: jakże można na to się zgodzić, kiedy dwadzieścia innych kościołów do tego samego zaszczytu rości sobie prawo? Odpowiadamy pokrótce, że najprzód tradycya trewirska ma silną podstawę i nie lęka się krytyki; powtóre, że żaden inny kościół, prócz trewirskiego, nie posiada takiej sukni, któraby odpowiadała opisowi Ewangelii; potrzebie, że relikwie, gdzieindziej czczone, mogą być częstkami innych szat Zbawiciela, i tylko przez pomyłkę albo eufemistycznie otrzymały nazwy „nieszytej tuniki“. Najwięcej trudności nasuwa suknia, przechowywana w Argenteuil pod Paryżem; potrzeba jej tedy kilka słów poświęcić¹.

Wkrótce po wystawieniu tuniki w r. 1844 wystąpił w Paryżu Guérin z twierdzeniem, że nie Trewir, ale Argenteuil prawdziwą suknię nieszytą Zbawiciela posiada. Według jego opowieści, opartej na niepewnych relacjach Grzegorza z Tours i Fredegara, suknię tę ukryli wierni w „jednym z miast Galacyi“,

¹ Niektóre źródła średniowieczne, jak np. pismo dyakona Jana, poświęcone Aleksandrowi III., mówią, że wówczas w bazylice laterańskiej znajdowała się „nieszyta suknia“ Zbawiciela. To samo poświadcza spis relikwii laterańskich, dokonany około r. 1291. Zdaje się jednak, że była to tylko częśćka innej sukni Chrystusowej, którą niektóre źródła nazywają koszulą (*camisia*). Dziś niemasz z niej śladu, jak to na zapytanie d-ra Willemsa oświadczył archiwaryusz bazyliki. Podobnie w kaplicy arcybiskupów trewirskich i gdzieindziej były relikwie z szat Zbawiciela, ale nie całe tuniki.

zkał ją w roku 590 przeniesiono do Zafad (Safed czy Jaffa?), a cztery lata później do Jerozolimy¹, aby w ręce Persów nie wpadła. W r. 614 uwięzili ją jednak Persowie wraz z drzewem św. i dopiero cesarz Herakliusz odzyskał ją w r. 627, poczem dostała się do Konstantynopola. Przy końcu wieku VIII. Karol W. otrzymał ją od cesarzowej Ireny i obdarzył nią klasztor w Argenteuil, gdzie siostra jego, Gizela, i córka, Teodrada, były zakonnicami². Uroczyste przeniesienie miało nastąpić w sierpniu r. 800.

Jakkolwiek opowieść ta nie ma za sobą zbyt mocnych dowodów, pewną atoli jest rzeczą, że w Argenteuil umieszczoną została jakaś szata Chrystusa Pana. Ale byłż to nieszyta Jego tunika, którą miał na sobie w czasie męki? Bynajmniej. Jeżeli zagłębimy do źródeł średniowiecznych, spostrzeżemy tam nazwę *cappa pueri Jesu*, co znaczy: płaszcz pacholęcia Jezusa. Tak np. w r. 1156 arcybiskup z Rouen, Hugo, z dziesięciu biskupami i dziesięciu opatami poświadcza, że w obecności króla Ludwika i wielu możnych suknię (*cappa*) Dziecięcia Jezus, przechowywaną od dawnych czasów w skarbcu kościoła w Argenteuil, podniósł i ku czei publicznej wystawił. W tymże wieku Robert de Monte († 1186) pisze, że w klasztorze w Argenteuil przechowuje się nieszyta *cappa*, czerwonego koloru, którą N. Panna zrobiła, kiedy P. Jezus był jeszcze pacholęciem³. Podobnie w w. XVIII. uczony Calmet widział w Argenteuil płaszcz barwy szkarłatnej, „mający prawie kształt humerału lub ornatu“.

Dziś z tej sukni zostały tylko cztery kawałki, i to jeden większy⁴, a trzy mniejsze, gdyż w r. 1793 pokrajano ją na części i rozdano takowe osobom pobożnym, by zapobiedz profanacyi.

¹ Przeniesienia mieli dokonać patryarchowie: Grzegorz antyiocheński, Tomasz jerozolimski i Jan konstantynopolitański, ale fakt ten wobec krytyki historycznej utrzymać się nie da.

² Jestto pomyłka, bo tak Gizela jak Teodrada były córkami Karola W.

³ W niektórych źródłach późniejszych przychodzi ta szata pod nazwą *tunica*.

⁴ Największy kawałek, na którym widać dotąd rdzawe plamy, ma 1,22 m. długości, a 1 m. szerokości. Tunika trewirska ma na przodzie 1,48 m., w tyle 1,57 m. długości; szerokość wynosi u spodu 1,09 m., u góry 0,70 m.; rękawy mają 0,46 m. długości, a 0,31 m. szerokości. (Willems l. c. 32).

Tkanina jej ma barwę i miękkość sierści wielbłądziej; w dotknięciu czuje się niejako jedwab. Jak się zdaje, nie miała ta suknia nigdy rękawów; czy zaś była „płaszczem pacholecia Jezus“, czy, jak niektórzy tłumaczą, spodnią Jego szatą z dojrzałego wieku — trudno dziś orzec; w każdym razie nie może uchodzić za ową tunikę ewangeliczną i nie uwłacza autentyczności sukni trewirskiej. Brewe Grzegorza XVI. z r. 1843 nie tu nie dowodzi, gdyż papież nie chciał rozstrzygać sporu, ale tylko kościołowi w Argenteuil nadać odpusty; zresztą w swem piśmie mówi ogólnikowo „o sukni albo o tunice Zbawiciela“¹.

IV.

Wystawienie świętej tuniki w roku 1891.

Podczas wiecu katolików niemieckich, odbytego roku 1887 w Trewirze, biskup luksemburski, dr. Koppes, zwrócił się w swej przemowie do pasterza trewirskiego, prosząc, by tenże św. szatę wkrótce ku czci wszystkich wystawił. Zaledwie ucichła burza oklasków, jaką powitano te słowa, powstał biskup Korum i oświadczył, że i on to samo podziela życzenie, lecz że przyszłość nie leży w rękach ludzi; kiedy jednak chwila pogodna nadejdzie, nie będzie się ociągał, a wtenczas się okaże, że Trewir umie uczcić swoją relikwię.

Chwila ta nadeszła w r. 1891; jakoż 1 czerwca t. r. ukazał się list pasterski znakomitego następcy św. Eucharyusza, Paulina, Maksymina, Egberta, Poppona, Eberharda i tylu innych św. biskupów, w którym tenże naukę Kościoła o czci relikwii św. wyklada, prawdziwość tradycyi trewirskiej o św. tunice zatwierdza, mistyczne jej znaczenie i cel wystawienia tłumaczy, wykazując, że ta św. szata ma przypomnieć ludziom nieskończoną miłość Zbawiciela, wezwać ich do wzajemnej miłości, jakoteż do poprawy życia, i uwydatnić nierozzerwalną jedność Kościoła; wkońcu zaś zapowiada, że wystawienie nastąpi przy końcu sierpnia, a trwać będzie przez sześć tygodni.

¹ Beissel l. c. 112.

Ośmnastego sierpnia rano ukazała się na szczycie środkowej wieży katedralnej chorągiew biała z czerwonym krzyżem i odezwały się spiżowe głosy, jako zwiastuny wielkiej uroczystości. Tegoż dnia wśród pięknych ceremonij i nader żywego udziału pobożnych, nastąpiło wystawienie św. tuniki¹. Po Mszy pontyfikalnej i gorącej przemowie biskupa Koruma, najprzód sam biskup z kapitułą i klerem, następnie kawalerowie maltańscy, szlachta nadreńska, dygnitarze i obywatele trewirscy, uczcili św. szatę. Nazajutrz przeciągnęła przed nią reszta parafij miejskich, obok wielu obcych pielgrzymów, razem do 40.000 pobożnych, między którymi miało być *incognito* dwóch arcybiskupów francuskich, z Cambrai i z Bordeaux. Kiedy tegoż wieczora przybyłem z ks. Krementowskim do Trewiru, zobaczyłem na ulicach istne mrowisko ludzi, na wszystkich twarzach uroczysty jakiś nastrój, na domach powiewające chorągwie, a tu i ówdzie na murach zielone wieńce. Nawet na powitanie króla nie byłoby się miasto lepiej ustroiło. Mimo natłoku panował jednak ład i nie było nawet widać gonitwy za noclegiem, bo obywatele trewirscy przygotowali wiele tanich mieszkań na przyjęcie gości, a dla ich wygody utworzył się osobny komitet kwaterunkowy, rezydujący od rana do nocy w salach katolickiego *Bürgerverein'u*. Ja z towarzyszem znalazłem jeszcze pokój w hotelu *Das rothe Haus*, starym i stylowym budynku; lecz gwar uliczny długo nie pozwolił zasnąć.

Nazajutrz pospieszyłem do katedry i zastałem już przed nią dwa zbite szeregi pielgrzymów, sięgające od bramy zachodniej aż do kościoła jezuickiego. Były to okoliczne parafie, które w ordynku, wyznaczonym przez biskupa, przyszły z pokłonem do św. tuniki, mając na czele swoich pasterzy i niosąc z sobą krzyże lub sztandary. Musiałem podziwiać ten lud nadreński, śnać zamożny, bo ubrany chędogo i czarno, a przytem taki skromny, taki ułożony i pobożny. Chociaż parę godzin stał na wietrze i chłodzie z głową odkrytą, nie okazywał jednak znie-

¹ Byli też obecni biskupi z Luksemburga i z Salfordu, jakoteż kapłani z Argenteuil, którzy po zbadaniu tuniki trewirskiej, oświadczyli się stanowczo za jej autentycznością.

cierpliwienia; lecz nie w tem dziwnego, bo umiał sobie czas skrócić głośną modlitwą różańca i pobożnym śpiewem, a przedtem przyjął Komunię św. Na zewnątrz kościoła pełniła straż policya, i to z bezwzględnością pruską, wewnątrz pilnowali porządku sami obywatele trewirscy, ubrani świątecznie z kokardami lub szarfami czerwono-żółtemi.

Przecisnąwszy się przez tłum, wszedłem do katedry. Okazała to budowla, romańskiego stylu, ozdobiona z zewnątrz pięknymi wieżami i półkolistemi absydami, wewnątrz zaś mająca dwa chóry (zachodni i wschodni) i trzy wysokie nawy z podwyższonem prezbiterjum i podziemną kryptą. Wiekiem należy ona do najstarszych świątyń; jej bowiem początki sięgają czasów rzymskich, a prawdopodobnem jest zdanie, że pierwotnie przerobioną została z pałacu św. Heleny¹. Bazylikę tę, zburzoną, jak się zdaje, w czasie wędrówki ludów, odbudował św. biskup Nicetius w wieku VI.; późniejszej zaś restauracyi dokonali arcybiskupi: Poppo (1016—1047) i Udo (1068—1077), od których mianowicie chór zachodni pochodzi. Wreszcie w wieku XVIII. wzniesiono na podwyższeniu wschodniego chóru wielki ołtarz (a raczej *retablo* ołtarza) z czarnego marmuru, z białemi statunami trzech św. biskupów, w stylu *rococo*; jakoteż dodano podwójne schody, po obu bokach krypty wiodące do tegoż ołtarza. Tu właśnie przechowują św. tunikę i tu ją obecnie wystawiono.

Co do rozmiarów, katedra trewirska jest imponującą, ale za to zbyt nagą, pustą i ubogą. Mało w niej dzieł sztuki; co gorsza, rzeźby w niektórych ołtarzach i nagrobkach są znacznie uszkodzone, tak że wielu postaciom brakuje rąk lub głów, które nie wiem, czy ząb czasu oderwał, czy wróg jaki poniszczył. Dopiero w nowszych czasach pomyślano o odnowieniu i na ten to cel, jakoteż na świętopietrze, obrócone będą datki pielgrzymów.

Odprawiwszy Mszę św., podążyłem z towarzyszem na pod-

¹ W r. 336—338 bawił w Trewirze św. Atanazy, a z jego słów wiemy, że wówczas nabożeństwa chrześcijańskie odbywały się w niedokończonym jeszcze kościele. Później modlili się w Trewirze: św. Ambroży, św. Hieronim, św. Marcin z Tours, Karol W., św. Henryk II., św. Bernard, błg. Kanizyusz i inni.

wyższenie do św. tuniki. Pierwsze chwile upłynęły na cichem wylaniu serca u stóp Tego, który nosił na sobie tę szatę. Na myśl cisnęły się wszystkie chwile ziemskiego Jego życia, wszystkie Jego dobrodziejstwa, wszystkie krople Jego krwi; lecz po widoku Kalwaryi, najwięcej może rozrzewniał duszę obraz tej niewiasty, co przez tyle lat cierpiąc na krwiotok, dotknęła się kraju tej szaty i w tej chwili zdrowie odzyskała; przypomniała się bowiem nietylko nędza własna, ale też rozliczna bieda rodziny i znajomych, a szczególnie długotrwała choroba matki — ojczyzny.

Potem spojrzałem uważnie na samą tunikę. Wisi ona, jak długa i szeroka, w drewnianej szafie, pięknie ozdobionej i mającej szklaną ścianę od frontu; obok niej stoją słupy świec gorejących, wieczorem zaś płonie nad nią krzyż z płomieni gazowych. Co do koloru, wydała mi się blado-brunatną i jakby mieniającą się, z ciemniejszymi smugami, jakby plamami ze krwi, które ztąd pochodzą, że zewnętrzna pokrywa jedwabna niejednakoowo spelzła. Gdzie i o ile zpoza tej pokrywy przebija sama tunika, nie mogłem gołym okiem rozpoznać; kiedyś zaś przez boczny otwór w szafie dotknął się samej materii — bo kapłanom to wolno — wydała mi się raczej ostrą niż miękką.

Wkońcu oglądałem się wstecz na kościół. Od samych drzwi widać dwa pasy różnobarwne i ruszające się — to dwa szeregi pielgrzymów, idących powoli do św. tuniki. Jedni modlą się w skupieniu, inni odmawiają półgłosem różaniec, inni — ale tylko przy drzwiach — śpiewają pieśń pobożną; wszyscy mają w ręku koronki, krzyżyki, obrazki lub książki, które siedzący obok św. tuniki kapłani i klerycy pocierają o jej kraj.

W środkowej nawie zatrzymują się pielgrzymi przed innemi relikwiami trewirskiego kościoła, wystawionemi na odgrodzonym zewsząd stole; są tu mianowicie w starych relikwiarzach dwie części drzewa krzyża św., gwoźdź św., głowy św. Apostoła Macieja i św. Heleny, ząb św. Piotra, sandały św. Andrzeja Apostoła, kawał ramienia św. Anny, kości św. Materna, wreszcie opisana powyżej tabliczka ze słoniowej kości. Pomodliwszy się przez chwilę, idą dalej do prezbiterium, zkad po schodach wstępują na trybunę do św. tuniki. Wszyscy patrzą na nią ze czcią, widać nawet lży

w oczach i siyschać westchnienia, ale na modlitwę dłuższą niema czasu, bo straż honorowa każe wszystkim, z wyjątkiem kapłanów, zstępować zaraz drugimi schodami i wychodzić boczną bramą z kościoła. Pielgrzymi bez szemrania, acz nie bez smutku, poddają się tym rozkazom, pamiętając, że za kościołem nowe czekają tłumy; a tak od świtu do późnej nocy płynie fala za falą. Z tego też powodu przez cały czas wystawienia niema w katedrze żadnych nabożeństw, prócz cichych Mszy św.; za to w przyległej *Liebfrauenkirche*, pięknej rotundzie gotyckiej z XIII. wieku¹, urządzono dla pielgrzymów codziennie kazania; tu także w pierwszą zaraz niedzielę kardynał arcybiskup wiedeński, Antoni Grusza, odprawił sumę pontyfikalną.

Wyszedszy z katedry, zwiedziliśmy inne kościoły, muzeum prowincjonalne, bramę rzymską, resztki pałacu cesarskiego i amfiteatru, a przytem przypatrzyliśmy się fizyognomii miasta. Stare ono i bogate w dawne zabytki, ale przytem schludne i ruchliwe, bo wiele wdzięku i życia dodaje mu Mozela, której fale przeryniają małe parowce i barki, a po której brzegach przelatują liczne pociągi. Znać, że się w niem odbywa jakiś wielki odpust; toż wąskimi ulicami, popod dwoma szeregami chorągwi, ciągną wielkie rzesze aż za most kamienny, pamiętający czasy rzymskie, gdzie dla nich osobne utworzono dworce; do tego w każdym prawie sklepie, nie wyjąwszy fryzyerów, widać różańce, medaliki i obrazki, a wizerunki św. tuniki zdobią nawet cygarnice i portmonetki. Trzeba przyznać, że Niemiec umie ze wszystkiego korzystać, ale też umie każdą uroczystość należycie urządzić. O jakże inaczej wyglądają u nas pod tym względem miejsca odpustowe; toż nic dziwnego, że ludzie stanów wyższych, choćby pobożni, niezbyt chętnie do nich się garną.

Tymczasem w katedrze procesya trwa bez przerwy, bo za parafiami, na ten dzień wyznaczonemi, idą inni pielgrzymi, między nimi wielu górników w urzędowych strojach i żołnierzy w uniformach, co zwłaszcza w świetle gazowem nader pięknie przedstawia widowisko. Na świecie ciemno i zimno, mimo to

¹ Widziałem tu, obok pięknych witrażów i rzeźb nowszego pochodzenia, stulę i manipularz św. Bernarda, jakoteż ołtarz przenośny św. Wilibordza.

ich zapal nie stygnie, a nie ustaje także gorliwość straży honorowej i duchowieństwa. Zmieniając się kolejnie, codziennie dwudziestu obywateli trewirskich pełni w katedrze bezpłatną służbę; na noc zaś dziesięciu z ich liczby zamyka się w oświetlonym kościele, by wraz z kilku zakonnicami i dwoma kapłanami modlić się u stóp św. tuniki. Kiedy nazajutrz o świcie przybyłem tam ze Mszą św., zobaczyłem ośm może zakonnic, klęczących ze świecami w rękę naokoło relikwii św.; za niemi stali członkowie straży honorowej, pogrążeni w pobożnem skupieniu. Na ich twarzach znać było znużenie po całonocnem czuwaniu, ale duch był ochoczy, skoro jeszcze wysłuchali Mszy św. Widok tych mężczyzn wykształconych a tak religijnych wielce mię pocieszył, acz z drugiej strony jakiś głos smutny odezwał się w duszy: czybyś w Krakowie znalazł tylu gorących katolików, iżby przez sześć tygodni urządzić podobne stráže we dnie i w nocy?

Rzeczywiście, Trewir nie zawiodł nadziei swego pasterza i pokazał, że umie uczcić św. szatę. Toż samo pod względem liczby pielgrzymów rok 1891 nie potrzebuje się wstydić wobec roku 1844; bo wszakże w ciągu pierwszych dni dziesięciu przesunęło się przed św. tuniką 425.000 ludzi¹. Nastrój ich jest poważny, jak niegdyś, i nie można wątpić, że owoce tego sześciotygodniowego jubileuszu będą i tą razą obfite. Przynajmniej w czasie mojego pobytu, mimo napływu 50.000 pielgrzymów, nie spostrzegłem nic rażącego, owszem, widziałem wiele, co budowało i cieszyło. Wprawdzie, jak pisały dzienniki, niemało reżimieszków z Niemiec i z obczyzny, podobno nawet z Ameryki, przybyło do Trewiru, jużci nie w roli pątników — ale zaraz z początku pięciu takich ptaszków pochwycono i osadzono w klatce.

W każdym razie, wystawienie to św. tuniki jest pięknym tryumfem wiary w czasach tak zinnnych dla Boga, wrogich dla Kościoła, i sprawdziło się znowu słowo Apostoła: *To jest zwycięstwo, które zwycięża świat, wiara nasza*².

Ks. dr. Józef Pelczar.

¹ Do połowy września naliczono 850.000 pielgrzymów, a między nimi 13 biskupów. Przybywa też wielu chorych. ² I. Jan V, 4.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie.

„Biblioteka pisarzy polskich“. Nr. 13, 14, 15.

1. *Historia prawdziwa, która się stała w Landzie, mieście niemieckiem.* 1568. Wydał *dr. Zygmunt Celichowski*. W Krakowie 1891. (Str. XIII i 50).
2. *Henryka Korneliusza Agryppy: O ślachtetności a zacności płci niewieściej, przekład Macieja Wirzbięty.* 1575. Wydał *dr. Stanisław Tomkiewicz*. W Krakowie 1891. (Str. 58).
3. *Theodora Zawackiego: Memoriale oeconomicum.* 1616. Wydał *dr. Józef Rostafiński*. W Krakowie 1891. (Str. XVI i 172).

Szybko postępujące naprzód wydawnictwo Biblioteki pisarzy polskich przyniosło nam znowu trzy świeże tomiki, obejmujące jeden utwór poetyczny a dwa prozaiczne — wszystkie trzy ciekawe, zarówno pod względem treści jak języka. Przyjrzyjmy się im zosobna.

1. *Historia o niewdzięcznych córkach, którym ojciec za życia całe przekazał mienie, od których następnie złego doznał obejścia, a które podstępem — udając, że więcej jeszcze posiada majątku — skłonił wreszcie do tego, iż czułą otoczyły go opieką* (jak to we wstępie zaznacza wydawca) — jest bardzo starą i we wszystkich niemal spotyka się piśmiennictwach. Ona też jest treścią naszej „*Historii prawdziwej, która się stała w Landzie, mieście niemieckiem*“. Można ztąd wnosić, że utwór ten nie jest oryginalnym pomysłem polskiego poety, lecz albo tłumaczeniem, albo — co się wydawcy wydaje prawdopodobniejszem — dowolną przeróbką obcego wzoru.

Po wstępie, następuje podobizna karty tytułowej pierwszego wydania, a następnie sam tekst, poprzedzony przedmową autora do czytelnika. Utwór z przedmową obejmuje 1472 wierszy trzynastozgłoskowych, parami rymowanych. Opowiadanie jest rozwlekłe, często aż do znudzenia moralizujące, budowa wierszy i rym nieraz niedbałe. Ciekawą jest natomiast *Historia* pod względem języka, który zachował wiele form archaicznych. Do ich wyjaśnienia służy dodany przez wydawcę na końcu słowniczek wyrazów i form przestarzałych. Co do objaśnień językowych, prof. Brückner w jednej ze swych recenzyj wyraził zdanie, że Biblioteka pisarzy polskich nie powinna ich umieszczać. Nie zgadzamy się z tem zdaniem szan. uczonego; Biblioteka przeznaczoną jest nie dla samych gramatyków — a tylko dla tych uwagi językowe mogą być zbyteczne — ale, i to głównie, dla szerszych warstw publiczności, a te się bez objaśnień nie obejdą. Sądzymy owszem, że tych objaśnień podaje Biblioteka zamało (a przynajmniej tomiki, o których mówimy); oprócz pojedynczych wyrazów powinny być objaśniane zawilsze zwroty i konstrukcye (w *Historii* np. w. 1425 i inne). Ponieważ nie każdy wydawca jest zarazem gramatykiem, byłoby w interesie wydawnictwa pożądanem, aby w czynności wydawniczej wprowadzono zasadę podziału pracy, mianowicie: by wydawca-niegramatyk opracował utwór pod względem rzeczowym, a pozostawiał stronę językową specjalistom. Potrzeba podobnego postępowania okazuje się jasno przy niniejszym tomiku. *Historia* zawiera wiele form przestarzałych; objaśniając je formami nowszymi, należałoby zawsze zaznaczyć, że formy utworu są to formy przeważnie prawidłowe, pierwotne, które dopiero po historycznym rozwoju języka ustąpiły miejsca formom innym. Tymczasem wydawca, objaśniając formy pierwotne późniejszymi, czyni to w taki sposób, jak gdyby te formy pierwotne były czemś niedozwolonem, błędnem, jak gdyby autor nie umiał pisać poprawnie po polsku. Takie wrażenie robią objaśnienia w rodzaju następujących: „3 przyp. l. m. na *am* zamiast *om*: sprawam“; „4 przyp. zaimka *on*: *ji* zam. *go*“; „*porostą* zam. *porosną*“, i wiele innych. Jestto terminologia najfałszywsza w świecie, mogąca w nieznanym historycznego stanu rzeczy wywołać zupełnie błędne wyobrażenie o kwestyach językowych. Wyrażenia „zamiast“ używać tu niewolno. W objaśnieniach sprostować należy uwagę do formy *nama*: nie jestto instr. pl., lecz instr. dual. W słowniczku nie znajdujemy wyjaśnionych wielu wyrazów, które wyjaśnienia potrzebowały, np. *nacz* (w. 85, 1430), *zgotociec* (283), *społecznie* (razem, 561), *przysada* (dodatek, 1060), *tryce-*

zymy (1141), *misterstwo* (1160), *okrócić* (1350), *zinaczyć* (918, 1430); form jak: *miedzy* (158 in.), *mniemieć* (518) ob. mniemać; wyrażen jak: zamknąwszy drzwi *o sobie*, i wielu innych. Brak wyjaśnień uderza tem bardziej, że znajdujemy w słowniczku objaśnione wyrazy, które tego mniej wymagały, np. *przytrefić*, *taler* i t. p.

2. Druga książeczka: „O szlachetności a zacności płci niewieściej“ (lub, jak w tekście: „pogłowia niewieściego“), jest przekładem ciekawej rozprawy Henryka Korneliusza Agryppy ab Nettesheim, humanisty, urodzonego w Kolonii r. 1486, głośnego pisarza, profesora, lekarza i filozofa, który prowadził żywot nader ruchliwy i pełen przygód, zamieniając togę teologa na oręż wojenny, skalpel lekarza na pióro historyografa. Rozprawa jego: *De nobilitate et praecellentia feminei sexus eiusdemque supra virilem eminentia*, ukazała się po raz pierwszy w r. 1529 w Antwerpii. Kwestya znaczenia i wartości kobiet była wówczas ulubionym przedmiotem rozpraw w Niemczech. Zrodziła ona całą powódź pism prozą i wierszem, po niemiecku i po łacinie; niektórzy pisarze w zacierzwieniu swoim posunęli się do twierdzenia, że kobieta nie jest człowiekiem, ale istotą niższą, potworem przyrody. Przeciwnicy dowodzili natomiast z powagą i przytaczali naukowe argumenta, iż kobieta jest istotnie człowiekiem. Niektórzy z nich, nie poprzestając na tem, usiłują wykazać, że kobieta jest istotą wyższą i szlachetniejszą od mężczyzny, uprzywilejowaną od Boga i natury. Do rzędu ich należy Agryppa. W rozprawie swojej, którą tłumacz, Maciej Wirzbięta, dedykował Krystynie Zborowskiej i poprzedził krótką przemową, autor dowodzi wyższości kobiety nad mężczyzną całym szeregiem argumentów, zaczerpniętych z Pisma św., historii, nauk przyrodniczych, medycyny i innych umiejętności. I tak niewiasta ma zacniejsze imię nad męża, bo „Adam wykłada się ziemia, a Ewa żywot“, a żywot zacniejszy jest nad ziemię. Za jej wyższością przemawia i to, że Pan Bóg postępując w stwarzaniu od rzeczy mniej szlachetnych do coraz szlachetniejszych, kobietę stworzył na samym końcu, po mężczyźnie. I miejsce, na którem jest stworzoną niewiasta, świadczy o jej wyższości, bo niewiasta stworzoną została w raju, a mąż przed rajem. Nadto różni ich i materya: mąż powstał z błota, kobieta z materyi żywej i duszę mającej. Kobieta też przewyższa mężczyznę pięknnością, dlatego i „duchowowie, którzy ciał nie mają i djabli częstokroć niewiast się dziwnie rozmiłowywali“. Sama przyroda dowodzi również wyższości niewiast; wielu cnotami i przymiotami przewyższają one

mężczyzn, w innych co najmniej im dorównywują, jak to usiłuje wykazać autor na przykładach, zaczerpniętych z Biblii i dziejów powszechnych. Ztąd też prawodawstwo w wielu krajach stawiało je narówni z mężczyznami, lub nawet stanowiło dla nich wyjątkowe przywileje. Taka jest treść rozprawy; tłumacz dodał rymowane zakończenie, w którym ostrzega kobiety, aby się z powodu tych pochwał nie wynosiły; do ostrzeżenia tego zmusza go okoliczność, że ów panegiryk kobiet znajdzie wielu przeciwników.

Wśród argumentów, którymi uczony humanista stara się dowieść wyższości niewieściej, nie brak oczywista takich, które wobec dzisiejszych wiadomości naszych z historii naturalnej i medycyny wydają się wprost komicznymi. Wspomina on między innemi, że gdyby się trafiło niewieście z mężem być w niebezpieczeństwie na wodzie, „dłużej trwa pływając niewiasta, a mąż rychlej się ukona i utonie“. Zębów kobieta mniej ma od mężczyzny, a to dlatego, że „nie tak objeżdżna (żarłoczna) i nie tak obmowna“. Najszlachetniejszą częścią ciała ludzkiego, mówi w innem miejscu autor, jest głowa; otóż głowa u mężczyzny „szpeci się obłysieniem, a u niewiasty zaś osobiwym przywilejem natury nie łysieje“. Tylko człowiek z pomiędzy wszystkich istot żyjących ku niebu podnosi swe oblicze; i tu „przyrodzenie i szczęście dziwnie w tym niewiasty opatrzyło, iż gdyby z przygody upaść miały, tedy się pospolicie wznak obalają, a nigdy, chociażby też chciały (!), na twarz nie padają“. Niedosyć na tem. Niewieście w ciąży nie szkodzi surowe mięso, ryby żywe, „i częstokroć węgle, błoto, kamienie, mąż i inne rzeczy jadowite je bez wszego naruszenia zdrowia, owszem się jej w pożytek a posilenie ciała obracają“. I między niemem stworzeniami mamy dowody tej wyższości płci niewieściej: król ptaków, najszlachetniejszy z nich, orzeł, zawsze samica, a nigdy samiec znalezion nie bywa; podobnie ptak feniks; przeciwnie bazyliszek, „który jest nazaraźliwszy, tylko samiec, który aby kiedy miał być samicą, jest rzecz niepodobna“. Takich dowodów, charakterystycznych dla ówczesnego stanu nauki, możnaby z naszej rozprawy jeszcze więcej przytoczyć.

Wydawca zaopatrzył przedruk w słowniczek wyrazów i form przestarzałych, z podaniem ich znaczenia. Nie zgodzilibyśmy się tu na objaśnienie wyrazu *pozwirzchny* (z góry pochodzący); w pierwszym miejscu znaczy on „zewewnętrzny“, na str. 53 „powierzchnowy, pozorny“; objaśnienie wydawcy zupełnie się do ostatniego miejsca nie nadaje. Słowniczka nie można nazwać wyczerpującym; nie objaśnia on wyra-

zów takich, jak: *przyczysć* (str. 13), *pomkły* (str. 20), *pobożenstwo* (str. 43), *pośledniejszy* (późniejszy, str. 49) i innych. Przestarzałych form gramatycznych wydawca prawie nigdzie nie wyjaśnia. Dotkliwiej daje się czuć brak wszelkich objaśnień rzeczowych, nieraz bardzo potrzebnych, albowiem autor przytacza mnóstwo przykładów z historii i Pisma św. i wspomina najrozmaitsze osoby. Wydawca nie stara się usunąć lub wyjaśnić trudności, w rodzaju następującego zestawienia: „Kamilla z narodu Wolsków, Waliska, obie możne królowe czeskie“ (!). Wydawca nie wspomina wcale, jak w tem miejscu brzmi oryginał; tymczasem musi to być błąd tłumacza albo drukarza, trudno bowiem Agryppę posądzać o pomyłki, jakich dopuszczali się Szekspir lub Calderon. Brak objaśnień daje się czuć szczególnie na str. 51. Nie usunięto również błędnej często interpunkcyi.

3. Trzecia z wymienionych na początku książeczek: „Theodora Zawackiego z domu Rogala, szlachcica polskiego, Memoriale oeconomium“, jest treści odmiennej, jak to widać z dalszego tytułu: „Abo Pamięć robot i wszelakiego dozoru gospodarskiego każdego miesiąca i jako się gospodarz rządzić ma dla zdrowia“. Przeznaczenie jej było więcej praktyczne, a że celowi odpowiadała, widać ztąd, że w przeciągu lat 30 miała 5 wydań, z tych 3 po śmierci autora. O osobie autora wiemy bardzo mało; był on synem profesora medycyny na uniwersytecie Jagiellońskim, Stanisława Zawackiego, zwanego Picus; oprócz naszego dziełka, napisał jeszcze wiele dzieł prawnych, przygotował nadto do druku, jak sam powiada we wstępie, opis położenia Polski po łacinie i inne dzieła. Podróżował wiele po krajach obcych i zdobył sobie rozległe wiadomości. „Memoriale oeconomium“ jest tylko częścią z obszerniejszego dzieła, które obejmowało 600 arkuszy, a podzielone było na 15 ksiąg; dla braku funduszy i nakładcy dzieło to zmarniało. Zawacki był przeważnie kompilatorem; i nasza książeczka jest w trzech czwartych swojej części rolniczej wyciągiem z Gospodarstwa Anzelma Gostomskiego. Część pierwsza jest jeszcze dosyć ciekawa; mniej natomiast część druga, będąca kompilacją z dzieła łacińskiego *Regimen sanitatis Salerni*, z pism Hipokratesa i Galena. Przepisy jej i teoria nie budzą dziś żadnego zajęcia. W ogólności o dziełku naszym powiedzieć musimy, że mimo iż szan. wydawca staje w obrobie jego wartości, zdaniem naszym nie zasługiwało ono na przedruk w Bibliotece; przyszłym historykom rolnictwa polskiego, dla których jedynie mogłoby ono być ważnem, wystarczyłyby były w zupełności

dawne wydania. Szerszego zajęcia obudzić to dziełko nie potrafi. Za podstawę przedruku obrał wydawca wydanie drugie, jako poprawniejsze; partyę, traktującą o zdrowiu, dołączył z wydania pierwszego. Część pierwsza, podzielona według miesięcy w roku, zawiera przepisy gospodarskie, odnoszące się do uprawy roli, hodowli bydła i drobiu, ogrodnictwa i t. p.: następuje potem opis sposobu urządzania kompasu na dłoni, a w części trzeciej przepisy higieniczne. Niektóre z nich bardzo charakterystyczne: w pewnych miesiącach nie należy myć głowy; w listopadzie nie wychodzić gdy mgła z domu, bo ta szkodzi głowie; trzeba zawsze dwakroć więcej jeść niż pić; kiedy czas piękny, lepiej wstać zrana, ale „jeżeli podejrzany, można nie wstawać, ale nie spać, abowiem taki sen barzo szkodzi rozumowi“; wieprzowe mięso zapachem i smakiem ma niejaki podobieństwo do ciała człowieka. Oto szczegółowy przepis, co trzeba robić wstawszy rano: „przechadzając się i członki rozciągając ma głowę po lekku paznogciami zdrapać, a potem grzebieniem słoniowym zczesać, od przodku grzebień zawodzając, aż do tyłu głowy, przez czterdzieści najmniej razów“. Wydawca dodał systematyczny spis treści, oraz bardzo obszerny i szczegółowy spis alfabetyczny rzeczy, stanowiący formalny słownik; oba te cenne dodatki ułatwiają nader korzystanie z dziełka i należy się za nie szan. wydawcy prawdziwa wdzięczność. Wydanie ozdobione podobizną karty tytułowej wydania z r. 1616, zaopatrzone jest na końcu w słowniczek wyrazów i form przestarzałych; ostatni wydaje nam się za szczupły; z nazw przyrodniczych zwłaszcza, zwyczajny laik pragnąłby niejedną jeszcze znaleźć objaśnioną.

Stanisław Witkowski.

Drugie pokolenie. Powieść przez M. Gawalewicza. Warszawa 1891.

Od czasu, kiedy w dziedzinie powieści zapanował u nas Sienkiewicz, straciliśmy równowagę sądu. Ubóstwiając wielkiego autora „Potopu“, nie zwracamy prawie uwagi na mniejszych od niego powieściopisarzy. Próbkę innych talentów, płody innych piór mijają niepostrzeżenie nawet wtedy, gdy zasługiwałyby na głośniejsze powodzenie i poczytność. Oczywiście nie mamy tu na myśli nikłej przedzys nowelki, któremi nas Warszawa zasypuje, a w których najczęściej równie mało bywa osnowy jak stylu. Dłuższe, głębiej wypracowane opowiadania p. Gawalewicza inną nieważ zwykły doniosłość. Studjuje on społeczność, wśród której żyje, przeróżne warstwy świata warszawskiego, przekształcające się napływowymi żywiołami i prądami czasu,

i doskonale pochwycone typy, charaktery, wizerunki przesuwają przed oczyma naszymi. To wkracza w życie artystów, jak w „Gasnącej duszy“, to przedstawia nam sferę „Filistrów“ i sposób, w jaki zadziergają się węzły między dawnym a nowym światem: zrujnowaną moralnie i materyalnie szlachtą a pnącym się po społeczną przewagę Izraelem; sztucznym sojuszem dawnych przywilejów i tradycji — z mamoną.

Teraz otwiera on znów przed nami szlaki wielkiego przemysłu i znakomicie snuje dobrze znane i często powtarzające się dzieje rozchodzących się „dwóch pokoleń“, do czego nasz grunt osobną zda się posiadać właściwość. Nigdzie może w tym stopniu, co u nas, syn wzbrania się iść ojcowskimi drogami, nie chce się trzymać powołania rodzica, uganiając się za czemś niby to lepszym i wyższym. Jakże niewiele u nas starych firm, jak mało dziedziczności pracy w pojedynczych kierunkach! Co jedno zbierze pokolenie, drugie na nowe, odmienne roztrwania próby i doświadczenia. Nawet osadnicy, przybywający ku nam zdala, ulegają z czasem onemu prawu fatalności miejscowej. Mamy tego przykład w dziejach rodziny niemieckich fabrykantów, które nam opowiada p. Gawałowicz. Wilhelm Fatt uczciwą pracą i pilnością, prosty handelek żelazem podniósł do znaczenia pierwszorzędnej fabryki i składu machin rolniczych. Ziemia, która gościnnie go przyjęła i karmiła przez długie lata, przetrwała i krew germańską obcego przybysza. On sam nie jest już Niemcem ani też nie stał się jeszcze Polakiem, ale dzieci na to tylko wiedzą o swem cudzoziemskim pochodzeniu, aby się oburzać i odgrażać pięścią, gdy im kto w oczy ciśnie miano „szwabów“. Roztropny ojciec uczy synów cnotą i pracą zdobywać sobie miejsce na pozór wytracone w społeczności, która ich przygarnie, gdy sobie na to zasłużą. Synów tych jest dwóch: starszy Karol słowiańską urodą i wykwiśniętością, świetnością zewnętrznych darów i zdolności wzbudza dumę ojcowską. Wilhelm Fatt mniej zważa na skromniejszego Krzysztofa, który jak prosty czeladnik z zamięłowania w fabryce rodzicielskiej pracuje, podczas gdy starszy brat, małżeństwem z bogatą dziewczynką nad dotychczasowy poziom rodzinny podniesiony, czuje, ile rzekomo postąpił w hierarchii społecznej i radby odegrać rolę, właściwą nowym stosunkom i fortunie. A właśnie ojciec naznaczył go swym zastępcą i dyrektorem fabryki. Karol odrazu rozszerza ramy życia, otacza się zbytkiem, próbuje kosztować wszelkich rozkoszy i rozrywek, nawet takich, od których go pracowita młodość i uczciwość rodzima i rodzinna dotąd uchroniła. Ale na to potrzeba pieniędzy, dużo pieniędzy, i nawet znaczne dochody, z fabryki płynące, gotowe nie wystar-

czyć. Trzeba więc zdwoić, potroić fortunę, puścić się na spekulacje, rzucić w wir interesów, w war przedsiębiorstw. Stary Fatt nie wie, co się święci pod osłoną starej firmy, ale ma jakieś przeczucie nieokreślone i pewien niepokój go ogarnia. Charakterystyczna rozmowa ojca z synem jak raz maluje sprzeczne kierunki dwóch po sobie następujących pokoleń:

— Minęły czasy, — odzywa się syn — kiedy kilkadziesiąt lat pracowało się na majątek i postępowało krok za krokiem. Kiep ten, kto dziś z czasu nie korzysta i pozwala się prześcigać innym. Kto chce mieć miliony, musi szybko zbierać.

— Dlaczego zaraz chcesz milionów? — odpowiada stary, ruszając ramionami, a syn z ironicznym uśmiechem podchwytyje:

— Otóż to wasz staroświecki system; wyście ciułali po groszu i to wam wystarczało; nam nie. Warto by trudzić się dla jakichś tam kilkudziesięciu tysięcy! To już bym wolał siedzieć z założonymi rękami i żyć z renty. Po cóż ojciec pracował, jeżeli nie po to, aby zrobić majątek?

— No, niezupełnie, — odparł stary — ja tam żadnej określonej liczby sobie nie oznaczałem i dla samych pieniędzy, Bóg widzi, nie pracowałem tak długo. Jakby ci to powiedzieć?... widzisz, fabryka to była niby moje drzewo, które ja sam zasadziłem, pielęgnowałem, dbałem nieustannie, aby się rozrastało, i cieszyłem się każdą nową gałązką, każdym nowym listkiem, które puściło, a ono mi za to dawało do wyżywienia owoce i sypało ich coraz więcej z każdym rokiem. Ja nie wiem, Karol, czy ty dobrze rozumiesz, co ja chcę powiedzieć. Widzisz, mnie nie o te same gruszki czy jabłka złote chodziło, co się na tem drzewie rodziły, tylko o samo drzewo, bo mnie cieszyło, że ono tak pod moją ręką dobrze rośnie i że to jednak moja zasługa dochować się dużego drzewa z małego szczepu.

— Eh! to poezye, mój ojcie — przerywa syn lekceważąco.

— Dajże pokój! ja i poezye! — zaśmiał się stary Fatt — chyba żartujesz. To ja ci powiem inaczej: ja robiłem, co do dobrego fabrykanta, do uczciwego człowieka należało, a majątek sam się robił. Ale ty mówisz, że wam to nie wystarcza, że wam trzeba milionów. No, i wieleż tych milionów: dwa, trzy, dziesięć, sto, a potem co? Mieć pieniądze na to tylko, aby z nich znowu pieniądze robić — to żaden cel, to nie daje żadnego zadowolenia. Wierżaj mnie staremu. Ja nie czułem się nigdy szczęśliwszym, gdy mi tysiąc rubli do kasy przybyło. Wiesz, kiedym był szczęśliwy? Oto, gdyś ty mi się urodził, kiedy

nowy komin dostawiałem w fabryce, kiedy nową maszynę sprowadziłem. kiedy dawali nam medal na wystawie, kiedy pięciuset robotników jadło chleb z mojej ręki, i kiedy ludzie mówili: Fatt, to ucziwy człowiek! Fatt, to solidna firma! Fatt, to dobry fabrykant! — ale nie to, że: Fatt, to bogacz!

Doskonale oddana różnica przemysłowca polskiego czy niemieckiego, a żydowskiego spekulanta, wyżej ceniącego pieniądz nad pracę. Ale dowodem przewagi Izraela jest i to pochłonięcie młodszych pokoleń przez żydowszczyznę, przenikającą bezwiednie do szpiku kości, nietylko żądzą używania, lecz i pychą majątku i łaknięciem potęgi milionów. Karol Fatt, tą party chęcią, nietylko własny udział w fabryce, lecz i części rodzeństwu przypadające, i dożywocie starych rodziców puszcza na rozbujale flukta niepewnych spekulacyj. Gdy zaś naraz wszystko się rwie i wali, uchodzi za granicę, zstępuje z posterunku, opuszcza żonę i dzieci i zostawia na los szczęścia. Tymczasem ojciec pochwytuje w dłoń jeszcze sprężystą ster fabryki i interesów; oszczędnością własną, pilnością młodszego syna próbuje zażegnać burzę, ocalić przedsiębiorstwo, które nanowo zakwita i rozwija się pomyślnie, obchodząc jubileuszowe święto razem z chrzcinami dzieci Krzysztofa, ożenionego z córką kasyera ojcowskiego. Bardzo to ładne i pogodne zakończenie, ożłoczone miłością wzajemną chlebobdawcy i robotników. Tymczasem Karol Fatt stacza się po pochyłości, jeśli nie występku, to znikczemnienia; niema już dla niego miejsca w ucziwem kole rodzinnem; ostatnią przystanią dobrowolnego rozbitka, to bilardowa sala podrzędnej kawiarni. Już się pracy nie ima ten, który chciał tylko używać. Nie wraca do fabryki ani do domu, owszem, nie ma się za winnego, lecz za pokrzywdzonego, gdy nieprzeblagana ojcowska wola przystępu do siebie mu wzbrania. Krzysztof tymczasem jest duszą fabryki, którą od dzieciństwa ukochał, a której godłem zostaje prze-polszczony *Spruchwort* rodzica: Bogiem a pracą.

Taka jest osnowa udatnej i zacnej powieści p. Gawalewicza. Szkoda, że nam ją zepsuł kilku zbyt drastycznie opisanymi ustępami z szerokiego życia Karola Fatta, gdy milioner *in spe* zakulisowych szuka wrażeń i powodzeń. Wpływ to francuskich powieściopisarzy, którzy zatraciwszy samże zmysł ucziwości pióra i stylu, nie umieją już się odzywać językiem, niegdyś od Rzymian nazwanym *oratio pudica*. Znikniony to rodzaj, zapomniana mowa. Rozczytując się w zagranicznych wzorach, i nasi pisarze ulegają powszechnej zarazie. A znać u p. Gawalewicza uprawianie obcych literatur, znać mianowicie wpływ

Daudeta. W „Drugim pokoleniu“ razporaz odzywają się echem przypomnienia z *Fromont fils* i *Risbraine*, jednej z pierwszych, a zarazem i najlepszych prób autora „Królów wygnańców“. A i Frania Pęczyńska pokrewną postacią owej *Bonne Manian*, przesuwającej się z takim wdziękiem przez mętne karty *Nabab'a*. — Życia nie brak w tych kartkach, zaczerpniętych z życia; jest i werwa, właściwa utworom p. Gawalewicza, i uczciwa tendencya, i zdrowa nauka, i wybornie pochwyciony koloryt lokalny. Ubolewać tylko się godzi, iż warszawskość osnowy ogarnęła i styl, posługujący się wyrazami, które mimo pewnego upowszechnienia w mowie nie zdobyły sobie dotąd, i oby nigdy zdobyć nie potrafiły, praw obywatelstwa w piśmie i druku — a więc: *przepućać*, *harować*, *kostyczny*, *baczki*, *baczek* i t. d. Utalentowani pisarze mają pewne odpowiedzialności i obowiązki wobec mowy ojczystej, której strzedz powinni, a nie oszpecać jej wstrętnemi naleciałościami. Te drobne usterki nie odejmują wszakże wartości opowiadaniu udatniejszemu i bardziej zajmującemu od wielu współczesnych utworów, płynących ku nam z Warszawy wezbraną falą rozbującej fantazyi.

M.

Księga pamiątkowa setnej rocznicy ustanowienia Konstytucyi Trzeciego Maja. Zebrał i wydał *Kazimierz Bartoszewicz*. T. I. Kraków 1891. (W 8ce, str. 308).

Album portretów, rycin i widoków, odnoszących się do Konstytucyi Trzeciego Maja. Zeszyt I. W Krakowie. Nakładem *Kazimierza Bartoszewicza*. 1891.

Gdyby nie rok 1795, dzień 3 maja byłby pozostał publicznem świętem kościelnem i narodowem w całej Polsce, złączony ze świętem Opatrzności Boskiej, i uroczystością św. Stanisława, przeniesioną na ten dzień osobnem rozporządzeniem papieskiem. W warunkach twardych i pełnych grozy nie przestał jednak być najmiłszą dla serc polskich rocznicą; to też niedziw, że setny jej powrót wywołał żywsze uczucia, a gdzie się to dało, zmanifestował się publicznie; byłoby smutno, gdyby było inaczej. Obchodzenie rocznic może się łatwo wyrodzić w zgubną skłonność do czecznych demonstracyj, ale ta rocznica ma wyjątkowe znaczenie; bo na dzień tego popędu, który parł masy do zapalania świeczek i wystawiania przeźroczy, tkwi bezwzględnie pewien zdrowy pierwiastek natury pozytywnej. Nie zwrócono uwagi, czem właściwie jest dla nas Trzeci Maja. Oto jest jedynym dowodem, że do naprawy społeczeństwa polskiego nie trzeba było upadku pol-

skiego państwa, że nieprawdą jest, jakobyśmy dopiero przez rozbiory i skutkiem nich dochodzili zwolna do rozumu — przeciwnie, fakt ten pozostanie dla historyka dowodem, że była w nas siła do odrodzenia się przez własną usilność, że nie byliśmy bynajmniej „niepoprawni“, że zabrano nam niepodległość w chwili, gdy właśnie stawaliśmy się jej godnymi. Stronnictwo, które 3 maja 1791 r. potrzebowało uciec się jeszcze do zamachu stanu, w lat dziesięć później byłoby się już obeszło bez sztucznych środków, w lat 20 byłoby już nie miało przeciwnika, choćby postęp społeczeństwa obliczać bardzo powolnie. Rozbiór Królestwa polskiego nie pozwolił dalej zbawiennie fermentować temu zaczynowi; rozbiór skazał nas na *status quo* pod względem społecznym na długie lata; rozbiór zakonserwował wszystko to, co twórcy konstytucji byliby zgnetli i zniszczyli. Upadek niepodległości nie pomógł tedy pośrednio rozwojowi społecznemu i narodowemu, ale niewątpliwie go powstrzymał.

Gdyby nie dzieło Trzeciego Maja — rozbiory byłyby może na prawdę prostą, tylko karą, należną jawnogrzesznicy wśród narodów; dzięki ustawie o miastach królewskich, ustawie rządowej i Komisji edukacyjnej, rozbiory przestają być spełnieniem wyroku sprawiedliwości dziejowej, a pozostają prostym gwałtem; nie są wynikiem żadnego prawa moralnego, lecz prostego prawa pięści¹.

Rezultaty czteroletniego sejmku są z drugiej strony pommikiem najcenniejszego przymiotu społecznego: pomocy własnej, szukania środków odrodzenia w samych sobie, w pracy nad sobą. Po rozbiorach przymiot ten zanikał stopniowo, aż zatracił się zupełnie. Wskrzeszany w ostatnim trzydziestoleciu przez zastęp ludzi głębokiej nauki i wielkiego serca, sprawił już niejedną korzystną zmianę w naszym społeczeństwie. Prąd ten udziela się coraz szerszym masom, a zapal do obchodzenia uroczystości setnej rocznicy Trzeciego Maja jest właśnie objawem zwycięstwa tego hasła i przeświadczenia, że sami będziemy sprawcami swego losu w przyszłości, jeżeli nas dobra godzina zastanie przygotowanymi społecznie, umysłowo i moralnie, w kościele i w szkole, na *forum* i w domu. Ta manifestacja nie była „bezmyślną“; na dzień tej potrzeby, gorączkowej niemal, wynurzenia swych uczuć, tkwiła myśl głęboka a nader pocieszająca: czem uroczystej obchodzono tę

¹ Zwracamy tu uwagę czytelnika na artykuł p. Ottmana, mianowicie na słowa przyjaciela Polaków, Szweda Engströma. Por. *Przegl. Powsz.*, tom XXXI., str. 41, w. 14 i nast. (Przyp. Red.).

rocznicę, tem uroczysiej potępiano zarazem te narowy i przywary, które pragnęła wytepić konstytucya, a które rozbiory zachowały w organizmie narodowym.

Literatura setnej rocznicy, wcale okazała jak na nasze stosunki, jest wskazówką, że społeczeństwo nasze rozumie, jakie znaczenie ma dlań pamięć Trzeciego Maja, i umie ją szacować; jakoż rzeczywiście, znaczenie to jest tak doniosłem, że nie można go dość ocenić.

Wśród tej literatury, naczelne miejsce zajmuje „Księga pamiątkowa“, wydana przez p. Bartoszewicza. Pomysł ułożenia jej jest oryginalny a trafny, bo łącząc wiekową przeszłość z terażniejszością, poucza, co współcześni o tem dziele sądzili, jak ono powstawało i upadło — a zarazem w oczekiwanej części drugiej poda obraz, jak my dziś wobec tego faktu się zachowujemy.

Część pierwsza obejmuje dobrane wszechstronnie przedruki współczesnych pism. Z dzieła, ułożonego przez Ignacego i Stanisława Potockich, Kollątaja i Dmochowskiego: „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go Maja“, mamy tu przedruk części pierwszej. Wybór bardzo stosowny, bo odczytanie tego pisma wprowadza czytelnika odrazu *in medias res* współczesnych stosunków; przywodzi na pamięć w głównych zarysach sytuację polityczną, na tle której powstał sejm czteroletni, a z której naciskiem musiał się zarazem liczyć, a samo powstanie konstytucyi podaje w relacji, wyszłej wprost z grona jej twórców. Wyjątek z dzieła prof. Romana Pilata: „O literaturze politycznej sejmu czteroletniego“, poświęcony „Listom anonima“, wydanym przez Kollątaja pod adresem Małachowskiego — wykazuje, do jakiego stopnia twórcy konstytucyi dalekimi byli od doktrynerstwa, że przeciwnie byli nader oględnymi i zdawali sobie jasno sprawę z tego, że chcąc osiągnąć to, co być powinno, należy stopniowo zaprowadzać to, co być narazie może. Ustawa 3-go Maja miała właśnie być pierwszym stopniem do osiągnięcia tych idealnych celów, jak zrównanie stanów i uwolnienie włościan; jestto zasadniczy punkt do zrozumienia naszej konstytucyi, a „Księga pamiątkowa“ zapomocą tych dwóch przedruków zaznacza to czytelnikowi należycie. Zwrócono też uwagę na walkę, staczaną z prądami przeciwnymi. Mamy dwie polemiki, wywołane broszurą Seweryna Rzewuskiego: „O sukcesyi tronu w Polsce rzecz krótka“; przeciw zagorzałemu zwolennikowi elekcyi występuje Kollątaj i biskup kamieniecki, Adam Krasieński; tego ostatniego „List do przyjaciela“ drukowany w całości. Przedruk przedmowy Staszycza do jego dzieła: „Przestrogi dla Polski“, okazuje czytelnikowi, jak trudną zrazu było

rzeczą wytłumaczyć szlachcie, że nie jest narodem polskim, ale tylko jednym jego stanem, jak dobrze tedy i z należytem wyrachowaniem postępowano, że nie spieszo się nazbyt i nie chciano wprowadzać nagłych, gwałtownych zmian.

Dodają wiele wartości „Księdze pamiątkowej“ przedruki dwóch „katechizmów“. Pierwszy z nich ks. Jezierskiego: „Katechizm o tajemnicach rządu polskiego“, przypomina werwę, zacięciem, a czasem zgryźliwością, podobny katechizm francuski ks. Sieys'a: „Katechizm stanu trzeciego“. Takie „pytania“, jak: czy chłop lub mieszczanin jest człowiekiem, obok takich „odpowiedzi“, jak np. klasyczna pierwsza „odpowiedź“, że Polska jest równocześnie królestwem, bezkrólewem i rzeczpospolitą, ubrane umyślnie w przesadną formę, charakteryzują w lot w kilku słowach to, co w innej formie całego wymagałoby wywodu. Drugi, niewiadomego autora: „Wykład katechizmu narodowego“, pisany inaczej, w tonie poważnym, ma inny cel na oku. O ile tamten stara się przedewszystkiem ośmieszyć i sprowadzić do absurdu wady narodowe, o tyle ten pragnie niejako na karczunku, przez tamtego przygotowanym, zasiał zdrowe ziarno. Dwa te katechizmy uzupełniają się w sam raz nawzajem (szkoda, że wydawca je przegrodził) i okazują, jakich środków używali zwolennicy reformy dla szybkiego spopularyzowania swych myśli. Działu przedruku broszur dopełnia Kołłątajowska „Ostatnia przestroga dla Polski“, pisana z wielką potęgą słowa, a poświęcona też głównie sprawie sukcesyi.

Osobny dział stanowią bajki polityczne, satyry i różne wiersze współczesne. Tu wybór nie taki już trafny. Obok cennych bajek Niemcewicza i ciekawych wierszy Trembeckiego, jest tu jeszcze tylko wiersz nieznanego autora, p. t.: „Żądania zabawne“, i osławione ówczesne „Zagadki“. Ogłoszenie większej połowy wiersza Trembeckiego da się usprawiedliwić tem tylko chyba, że są to utwory dotychczas nieznanne¹; dla sprawy, której wyjaśnieniu poświęconą jest „Księga pamiątkowa“, są one bądźco bądź dość obojętne. Wiersz p. t.: „Żądania zabawne“, jest wręcz niestosownym; autor bardzo lichy miał informacje, zarzucając bezczynność takiemu np. Chreptowiczowi, albo narzekając, że hetman, zamiast pełnić swój urząd, pisze psalmy pokutne! Wacław Rzewuski. hetman wielki i koronny, zwolennik *liberum veto* wprowadzie, ale go-

¹ Należało tedy powiedzieć, dlaczego wydawca przypisuje je Trembeckiemu? Na samo słowo najwiarogodniejszego nawet wydawcy, nikt nie rozstrzygnie sprawy literackiej.

rażący patriotę, tłumaczył psalmy pokutne na wygnaniu, wywieziony przez Moskali do Kaługi, gdzie przebył lata 1767—1773; zmarł w r. 1779, na 12 lat przed konstytucją, starcem 74-letnim. Nie należy wcale do tego pokolenia, o które chodzi autorowi „Żądań zabawnych“, a okoliczności, wśród których powstały „Psalmy pokutne“, świadczą o nim tak zaszczytnie, że zarzut mu uczyniony staje się obelgą i odwraca się na samego autora! To nie satyra, ale paszkwil! Wydawca myli się zaś, odnosząc wzmiankę o psalmach do Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego; nie on, lecz zacny jego ojciec tłumaczył psalmy.

Tom pierwszy zamyka „Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie 1791“, ułożona przez wydawcę starannie, opowiedziana barwnie i potoczyscie. Autor posiada zdolność pochwycenia zasadniczych momentów i zgrupowania koło nich opowiadania w ten sposób, że rzecz przedstawia się przejrzyście. Rozprawka ta nie jest wyłącznie kompilacją, bo autor w znacznej części opiera się na samodzielnych poszukiwaniach archiwalnych. Bliższe uwagi o niej wypada jednak odłożyć do ukazania się drugiego tomu „Księgi pamiątkowej“, gdzie będzie jeszcze dalszy ciąg „Kroniki“. Referent zastrzega sobie też na potem kilka uwag z powodu widocznej nieufności, jaką autor ma względem ks. Kalinki; nieufność ta płynie prawdopodobnie z tego samego źródła, co szyderski uśmiech trzeciej *aliny* przedmowy, o czym też później. Rozpisanie się o tem narazie mogłoby wywołać mniemanie, jakoby referent zwracał się przeciw „Księdze pamiątkowej“, podczas gdy jest zupełnie przeciwnie. Swoją drogą autor może mieć pewne niesłuszne uprzedzenia, a swoją drogą praca jego zasługuje na uznanie i poparcie. Tom I., o którym na teraz mowa, daje wszechstronny obraz społeczeństwa polskiego podczas wielkiego sejmku, opracowany jest starannie i stanowi książkę popularną w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu.

Z wydawnictwem „Księgi pamiątkowej“ łączy się „Album portretów, rycin i widoków“. Zawiera 25 rycin, jakoto: portretów współczesnych, obrazków alegorycznych, widoków warszawskich i medali; nadto autograficzną kopię karty tytułowej pierwszego wydania konstytucji i pierwszej strony *Gazety Warszawskiej* z dnia 7 maja 1791 r., gdzie właśnie opisano posiedzenie sejmowe Trzeciego Maja. Ryciny udatne, a niektóre bardzo dobre, przedstawiają nietylko powszechnie znane, ale po większej części właśnie bardzo mało znane twarze i przedmioty. Album to stanowi w połączeniu z „Księgą pamiątkową“ najsto-

sowniejszą pamiątkę setnej rocznicy; oby się jedno i drugie rozeszło w jak najszerszych kołach, budząc coraz większą cześć dla dzieła poprawy rzeczypospolitej.

Dr. Feliks Koneczny.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

M-me Du Bourg, mère Marie de Jésus. Par l'abbé I. Bersange.

Dziwi nas nieraz mnóstwo zgromadzeń zakonnych, powstałych w ciągu jednego wieku na ziemi francuskiej, i nasuwa się wątpliwość, azali nie chęć nowości i niezależności od starych reguł spowodowała tę bujność nowych stowarzyszeń i klasztorów. Tymczasem bliższe zbadanie rzeczy wskazuje nam właściwy powód zawiązywania tylu nowych rodzin zakonnych. Rewolucya jednym zamachem zmiotła wszystkie instytucje, zamknęła wszystkie przystanie bogomyślności. Nie odrazu, nawet gdy pokój został przywrócony, wygnańcze rozbitki do opustoszczonych zawinać mogły klasztorów. Dusze, łaknące poświęcenia i doskonałości ustronnie, potajemnie jęły nawiązywać przerwane nici duchownego życia, ofiarności i umartwienia. Tym sposobem wytworzyły się mnogie kółka serc pobożnych, skupionych wokoło jakiego wyższego umysłu lub żarliwszego ducha, aby wspólnie pracować nad własnem uświęceniem, wspólnie się zaprawiać do służenia bliźniemu. Po burzach zwykło w przyrodzie następować rozbudzenie rodzajności, a zjawisko to nie jest wyłączną właściwością fizycznego porządku rzeczy. I w moralnym świecie nawałności społeczne wywołują po swem uciszeniu jakąś spotęgowaną rozbujalność cnoty i ofiary, żadnej powetować dni zbrodni i szalu. *Sanguis martyrum semen*; zasiew boży na zlanej krwi niwie szybszem, obfitszem wschodzi i dojrzewa żniwem. Skrzętność francuskich pisarzy, skwapliwość, z jaką w lot chwytają podobieństwa znikających a zasłużonych postaci, nie pozwala nie zapomnieć, nie uronić z kapitału dobrych przykładów i wielkich wzorów cnoty. Podczas gdy u nas zacieraą się z czasem najdroższe, najszanowniejsze wizerunki, zachowane ledwo w ustnej tradycyi i wdzięcznej współczesnych pamięci — we Francyi zawsze się znajdzie gotowy biograf, ażeby ustalić i ocalić rysy godne przekazania potomności. Niema końca podobnym publikacyom, nieraz bardzo pięknym. mimo wspólnej im

często wady zbytniego rozwałkowywania przedmiotu nadmiarem drobnych szczegółów.

Niema tej obawy, gdy ks. Bersange podejmie się zadania. Złożył już próbę swego talentu i miary w przedziwnym żywocie apostoła Algieri, opata z Staneli, Dom Franciszka Regis, z którego zamieściliśmy przed kilkoma laty sprawozdanie, obejmujące i duchową i cywilizującą misję sławnego trapisty. Teraz ks. Bersange z papierów rodzinnych i archiwów klasztornych wskrzesza postać pani Du Bourg, założycielki Sióstr Zbawiciela, które jako pracowite pszczołki, zaroily się w południowej Francyi, aby tam się poświęcać dziatwie, ubogim i chorym. Niniejsza książka poprzedzona jest listami polecającymi kilku znakomitszych biskupów i dostojników francuskiego Kościoła, między innymi rektora katolickiego uniwersytetu w Paryżu, msgra d'Hulst, który w pobożnej zakonnicy czci bliską domu swego powinowatą.

Urodzona w roku 1788, Józefa Du Bourg miała sześć lat, kiedy jej ojciec zginął na rusztowaniu, a gilotyna mnożyła dokoła krwawe ofiary. Pierwszą komunię przyjęła jakoby w katakumbach, przysposobiona do tego ważnego aktu przez stryja, kapłana i wyznawcę, który później został biskupem w Limoges. Dojrzewająca w tych warunkach młoda dusza, zapragnęła zupełnie się Bogu oddać i poświęcić, i przeszedłszy przez różne próby, ostatecznie znalazła odpowiednie swemu powołaniu szlaki, zakładając zgromadzenie kwitnące podziśdzien w środkowej Francyi. Nie brakło jej ciężkich doświadczeń, nie brakło i nadprzyrodzonych dźwigni. Cała ta strona wewnętrzna i cudowna czynnego a skupionego jej żywota, z rzadką roztropnością opisana jest przez światłego kapłana, świadomego dróg bożych w sercach wybranych a pokorą obwarowanych. Cicha zakonnica otrzymywała nieraz nadzwyczajne laski, i duchem proroczym ożywiona, przepowiadała klęski i kary nad Francją zawisłe. Wokoło niej zbiegały się dusze szlachetne, magnesem cnoty przyciągane. Obok naczelnej postaci, ileż osobistości zajmujących i wybitnych przesuwają się w opowiadaniu ks. Bersange! Takie monografie nietylko jedną ustalają podobiznę; stanowią wraz i ważny przyczynek do poszczegółnej a współczesnej historii Francyi, prowincjonalnego życia odbiciem. Paryż zagłusza tętna reszty kraju, niejeden dźwięk dodatni gotówby zaginać niepowrotnie, gdyby nie owi skromni pracownicy pióra, którzy na dalszych polach zbierają wonne równianki, świadczące o duchowej bujności tych prowincyj zaćmionych blaskiem i blichtrzem stolicy. Z zazdrością przychodzi nam rozczytywać się w podobnych kartach, wspominając, ile to pięknych, dusznych

dźwięków ginie u nas niepowrotnie z braku gotowego je pochwytywać pióra. Przecież i u nas dość krwi męczeńskiej użyznięto niwę dusz, i wzbudziło wyjątkowe cnoty. Ale sam Bóg je liczy, ludzkie oko nie śledzi, ludzkie ucho nie łowi skwapliwie. Podwójna tedy korzyść płynie z ksiąg podobnych dziełu ks. Bersange: i bezpośredniego zbudowania, i zachęty wiodącej do rozejrzenia się wokoło, aby bliższe przykłady i zasługi dla swoich zachować, opowiedzieć i uskarbić.

M.

Souvenirs de la Comtesse de la Bonère 1793—1796. Paris. Librairie Plon. 1890.

Zachodzi wyraźne powinowactwo we wszelkich walkach podjętych za najświętsze sprawy i skarby, *pro aris et focis*. Między naszymi usiłowaniami, aby dźwignąć ojczyznę z upadku, a bohaterskimi czynami katolickiej Wandei, pełno odnaleść można podobieństw i zbliżeń. Tam więcej chodziło o tron, nam raczej o kraj; ale i tu i tam obawa o Kościół, o wiarę i wolność sumienia, nadały wojnie charakter religijny, który w Wandei jeszcze się więcej potęguje aniżeli u nas, nadając osobne ogólnoludzkie znaczenie owym epicznym bojom i wspinałym ofiarom, które nie odniosły skutku, z powodu niewdzięczności czy niedołęstwa dynastji i emigracyi. Kmieć wandejski, jak nowy Samson, ujął w potężne ramiona lwa rewolucyi, i czekał odsiecz, aby dokonać pogromu i łeb urwać hydrze. Odsiecz chybiła, a niestało siły pojedynczej prowincyi, aby dokonać dzieła tytanów.

Mimo to owa bezskuteczna walka stanowi jedną z najpiękniejszych kart historyi Francyi, i wszystko co nam jej szczegóły zachowuje, osobną miewa woń i cenę. Rzecz godna uwagi, iż dzieje onej wojny — w której kobiety tak czynnie uczestniczyły, bądź z bronią w rękę, bądź, i to nierównie powszechniej, żeby nieść pomoc rannym, grzebać umarłych, nie rozłączać się z ukochanym mężem, ojcem, bratem, narzeczonym — głównie też przez niewiasty spisane i opisane zostały. Sławny pamiętnik pani de la Rochejaquelein stanowił podziśdzień najpełniejszy obraz tej epoki i bojów. Ale ona głównie jedną znała chwilę, jedne strony walki. Nieraz też zachęcała znajome swoje z Wandei, aby podobnież imiały się pióra i próbowały zapisać własne wspomnienia i wrażenia. Jedna z nich rady usłuchała, i ztąd uzupełnienie znajomych rysów, oraz nowe odgłosy z Wandei, nowe stwierdzenie udziału niewiast w wypadkach, które zakrwawiły ich strony rodzinne. Za pierwszym strzałem padały one zwykle na kolana, ale nierzadko inne

jeszcze dawały przykłady, aniżeli tkliwej tylko pobożności. Zawstydzaly uciekających, nawracając ich do boju, okazując, iż lęku nie znają, mimo słabości płci swojej właściwej; w innych okolicznościach osłaniały jeńców przed zemstą zwycięzców, a niekiedy i same za fuzijkę chwytaly, aby dzielić los swych ukochanych, a uniknąć niebezpieczeństw, które ściagały aż w lasach i trzcinach kryjące się matki i żony, którym nieraz wypadło tulić rozpacznie swe niemowlęta do łona, aby ich płacz nie zdradził kryjówki, nie sprowadził nielitościwych żołnierzy rewolucyi, którzy bez pardonu dzieci i niewiasty mordowali.

Pani de la Bonère, równie jak pani de la Rochejaquelein, posiada w najwyższym stopniu dar prostoty w opowiadaniu, należy do pocztu tych bohaterek nieświadomych własnego heroizmu, które umiały cierpieć i ginąć bez przechwałek i frazesów, bez pozowania przed sobą i światem, i którym nawet tak było nie pilno opowiedzieć co zniosły i wytrzymały, że troskliwość przyjaciół lub potomnych ocalić dopiero zdołała luźne zapiski tych dzielnych i mężnych w całym znaczeniu niewiast. Hrabina de la Bonère później doczekała starości, umarła dopiero w 1867 r., dobiegając niemal stuletniej życia pielgrzymki. Wczesne próby młodości nadały onemu pokoleniu hart niezłomny, a przebyte walki, uciski, cierpienia, nie wyczerpywały żywotności, owszem, potęgowały siły ciała i ducha wczesnem zaprawieniem się w szkole ofiarności, poświęcenia i męstwa. Taką szkołą w pewnym stopniu mogą się dla nas stać ich wspomnienia i zapiski.

F.

Mgr. Alexis Canoz, de la Compagnie de Jésus, premier évêque de Trichinopoly. *Par un Père de la même Compagnie.* Paris. Retaux-Bray. 1891.

Jeden z najświetniejszych mówców współczesnych uważa słusznie, iż hasło: *gesta Dei per Francos* ustala się podziśdzień apostolstwem misyonarzy, zastępujących dawnych krzyżowców. Ofiarność Francyi w ludziach i jałmużnach stanowi promienną stronę jej zaciemnionej w XIX. wieku historii. Jeśli to zmierzch dziejów — przypomina on przeznaczenia Izraela. W chwili, gdy lud wybrany a przeniewierczy zatracał byt i znaczenie, apostołowie i uczniowie, z niego wyszli, roznieśli po całej kuli ziemskiej prawdę Chrystusową. Historia misyj dowodnie świadczy o zasługach i przewodniej czynności Francyi na tem polu. Rozpoczęty wspaniale podbój świata pogańskiego w drugiej połowie

XVI. wieku, pomyślnie się rozwija w XVII. i połowie XVIII. stulecia, lecz ulega zupełnemu niemal zastojowi, gdy wybuch prześladowanie religijne, zagajone przez wolnomularstwo i encyklopedystów. Kasata zakonu jezuickiego, a następnie rewolucya francuska zadaje cios straszny misyom zagranicznym, wstrzymuje dopływ prawdy do wybrzeży bałwochwalczych. Przerzedzone szeregi apostołów nie mogą ich dostarczać dalekim częściom winnicy Pańskiej. Dopiero w r. 1840 ruch dobroczynny nanowo się ożywia, i w ślady podniesionych świeżo na ołtarze męczenników, Perboyra i Chanela, którzy nieco wcześniej podążyli uszczknąć palmę zwycięstwa, spieszą nieprzeliczeni krzewiciele nauki chrześcijańskiej, nieustraszeni odnowiciele dawnych osad misyjnych, które pod ich pieczę i za ich staraniem nanowo zakwitają i dawną odzyskują pomyślność.

Do rzędu owych odnowicieli policzyć należy pobożnego zakonnika, biskupa i pasterza, którego dzieje bezimienny podaje nam biograf. Nie danem mu było sięgnąć po koronę męczeńską ani przypieczętować krwią własną ofiarę całego życia: ale półwiekowe katusze pobytu pod ognistym niebem Madury, obce stosunki, w których się zrazu nie rozpoznawał, niedostateczne pożywienie, mieszkanie w lepiankach, zarojonych mostykami, węzami i szczurami, uciążliwe podróże, miejscowe zabobony, kastowe przesady, niechęć Anglii, przewaga braminów i świetność kultu pogańskiego, chełpiącego się najwspanialszymi świątyniami i dostatkami, rozstrój dawniejszych osad chrześcijańskich — wszystko to razem wzięte przydawało trudności i utrapienia posłannictwu Aleksego Canoz, gdy mu przyszło stanąć na czele misyonarzy, którzy z końcem 1839 r. przybili do wybrzeży francuskich posiadłości w Indyach. Liczył on wtedy lat 34. Towarzysze jego krótko mu w pracy dopomagali. Uwiędli rychło pod rozpalonem niebem Hindostanu. Pisanem było ich przełożonemu przetrzymać próbę, aby zgotować lepsze warunki swym następcom. W ciągu pięćdziesięciu lat trudów apostolskich, a czterdziestu biskupiej czujności, Aleksy Canoz istnych dopełnił cudów w powierzonej sobie części winnicy Pańskiej. Mianowany przełożonym misji w Madurze w r. 1844, wikaryuszem apostolskim w 1847, został pierwszym biskupem tryczynopolitańskim w r. 1886, gdy panujący nam Papież przywrócił w Indyach katolicką hierarchię. Dziś w onej dyciezyi nie brak pobożnych parafij, wspaniałych kościołów, szkół i domów sierot, klasztorów i zakonnic krajowych; jest i wyższa szkoła, licząca przeszło tysiąc uczniów. A co mówić o moralnych podbojach, które zarównały przepaść kastową, zjednały

misjonarzom szacunek braminów, cześć i poparcie rządu angielskiego! Wszystko to sprawa dzielnego i pełnego prostoty biskupa i stu blisko towarzyszków, którzy go poprzedzili w wieczności. Współ z świętobliwym sąsiadem, arcybiskupem z Colombo na Cejlonie, ks. Bonjeau, ojciec Aleksy Canoz ustalił podwaliny chrześcijańskiej społeczności w południowym Hindostanie. Żywot jego, z wielką napisany miarą, budzi zajęcie i przysparza zbudowania, a nie nuży rozwałkowaniem przedmiotu, właściwem zbyt często francuskiemu biografom. Tu owszem, chciałoby się przedłużyć otwartą księgę pięknego apostołskiego i zakonnego żywota. Biskupie bowiem dostojenstwo bynajmniej nie rozluźniło spójni ks. Canoza z Towarzystwem Jezusowem; owszem, wymawiał się od wszelkich przywilejów, wyjątków i zwolnień z reguły, pozostając do końca wiernym i przywiązanym synem ojca swego, św. Ignacego. Spoczął teraz po znojach życia na przeciwniej stronie onych indyjskich wybrzeży, które się szczycą grobem św. Franciszka Ksawerego, pierwowzoru misjonarzy i apostoła pogan.

L

Les Emigrés et la Société Française sous Napoléon I-er. Par H. Forneron, avec une introduction par *M. Le Trésor de la Rocque*. Paris. Plon. 1890.

Wspomnieliśmy już, do jakiego stopnia stulecie rewolucyi dało popęd studyom i wydawnictwom, odnoszącym się do epoki przełomu. Nigdy plon pamiętnikowy nie był obfitszym, ani niwa poważnych badań żyźniejszą. Zpośród mnogich publikacyj, wyjaśniających tę ciemną epokę, osobną uwagę zdobyły poszukiwania młodego historyka, p. Forneron, który mnóstwem nagromadzonego umiejętnie materiału wskrzeszał dzieje emigracyi. Śmierć wytrąciła pióro z ręki dzielnego pracownika, zanim dokonał dzieła. Obecnie przyjaciel podjął przerwana robotę, uporządkował co się dało, uzupełnił wstępem i w trzecim tomie zamknął wnioski i wywody przedwcześnie zgasłego dziejopisa. Mniemano dotąd powszechnie, iż właściwy prąd emigracyjny ustał z nastaniem cesarstwa, nie domyślano się o utrwaleniu walki toczącej się ubocznie między nowym a dawnym porządkiem rzeczy, między rozbitkami a zwycięskim Cezarem. Ścisłe poszukiwania Taine'a, Fornerona, Welschingera straszne rzucają światło na charakter Napoleona, na bezwzględność i okrutną surowość jego rządów. Wiedzano zaledwie o kilku zamachach głośniejszych, jak śmierć księcia Enghien, nie znano mnóstwa podobnych zbro-

dni, które niby miały na celu ustalenie cezaryzmu, a najczęściej były wynikiem osobistych niechęci, wendetą korsykańskiego kondotiera.

Za czasów terroru rewolucyjnego policya i delatorzy nie byli chyba czynniejsi. Zamiast jednej Bastyli, widnieje ich czternaście, pod nazwą więzień stanu. Dostać się tam można bez sądu ni śledztwa, na mocy prostego donosu lub podejrzenia, za przypuszczalną niechęć dla rządu. Co więcej: w onych kaźniach porewolucyjnych, dawne tortury ponownie bywają użyte: przy badaniu oskarżonych, nierzadko im przypiekają stopy, przygniatają palce kurkiem od pistoletu. Liczba więźniów stanu przechodzi wyobrażenie. Wielu z nich gnije w zapomnieniu, i nawet po upadku Napoleona trudno ich odnaleźć i wydobyć z lochów, gdzie całe lata przepędzili, nie wiedząc sami z jakiej przyczyny i winy. Surowa i bezlitosna postać Napoleona rysuje się wyraźnie na tem tle ponurem, i coraz jawniej stwierdza się przyrównanie Taine'a, który w nim upatruje spadkobiercę cesarów rzymskich i dziedzica tyranów włoskiego Odrodzenia. A jednak zorza konsulatu innego nam przedstawiała i zapowiadała człowieka, pełnego szlachetnych zamysłów i wspaniałomyślnych zamiarów. Wystarczyło kilka lat samowładzy, aby stłumić dobre pierwiastki, a rozwieliżnić złe skłonności.

Szekspirowskie słowa o „rozwodzie władzy z sumieniem“, jak raz stawają w pamięci, kiedy się czyta zajmujące studia Fornerona. A jednocześnie i dwa życzenia się budzą: emigracya porewolucyjna doczekała się historyka — gdybyż się znalazł dziejopis, obejmujący i półwiekowe roczniki naszej nadsekwankiej emigracyi, zanim materiał się nie rozwieje, a ustnych opowiadań nie zbraknie! Z drugiej zaś strony przekładamy d-rowi Antoniemu J., któryby najlepiej temu zadaniu sprostał, myśl spisania historyi emigracyi francuskiej na ziemi naszej; wiadomo, ilu rozbitków rewolucyi znalazło w Polsce gotową przystań i gościnność serdeczną. Odszukać ich ślady, wpływy, nazwiska, miejsca i czas pobytu, byłoby zaiste ciekawą rzeczą, a rzuciłoby wiele światła na rozwój społeczno-towarzystki u nas, bo zbadałoby czynniki, które naprzemian wносиły niewiarę encyklopedystów i światłą a gorącą religijność katolików francuskich, wykuintność kultury i zdmiczenie obyczajów, powagę myśli i lekkość życia. Oby ta myśl nieśmiało podsunięta znalazła gotowego wykonawcę!

fm.

L'Obstacle. Par *Alphonse Daudet*. Collection Guillaume. Paris 1891.

Nie mamy zwyczaju zdawać sprawy z nikłych produkcji dramatycznych, któremi Francya obsyła wszystkie sceny świata — a jeśli go-

towiliśmy uczynić dziś wyjątek, i to dla sztuki upadłej, nie cieszącej się powodzeniem i poklaskiem widzów, to chyba dlatego, iż potraça ona o kwestyę ważną i poważną, a naciągniętą za dni naszych do ostateczności. Sprawa dziedziczności i prawa atawizmu, tak w ostatnich latach zostały wyśrubowane, iż nieomal zaprzeczyły wolnej woli, wpływom wychowania i otoczenia, wszystko podporządkowując ślepeму faktum, zawisłemu nad zdrowiem, umysłem, sercem, zdolnościami i skłonnościami człowieka. Wiek silnego indywidualizmu jakoby przeminął, wszystko schodzi do zbiorowego znaczenia i zrównania, osobiste odpowiedzialności znikają wobec nowych teoryj. Nie potrzeba nam się rozwodzić nad ich przesadą i potwornością. Daudet ujął tylko jeden rys z uogólnionego fatalizmu dziedziczności. Zaprzeczywszy ją tronem, nowoczesna nauka potęguje ją i wprowadza na łono rodzin, strutych obawą niebezpiecznego nieraz spadku. Tu miłującą się parę narzeczonych rozłącza nieprzewidziana przeszkoda. Ojciec pana młodego był obłąkanym, a więc nie wiadomo, jaką spuściznę po sobie synowi zostawił. Darmo matka heroicznie smutną okrywa tajemnicę, darmo całem wychowaniem dąży do hartowania nerwów i duszy młodzieńca, darmo niezbicie wskazuje, że porażenie słońcem było jedyną przyczyną choroby rodzica, że dziecie już miało lat kilka, gdy ojciec zapadł w nieuleczalną chorobę. Na nie jej zapewnienia i zakłęcia — ślepy strach przed niewzruszonymi prawami atawizmu rozrywa serdeczne węzły, łamie dwa życia, i w rzeczywistości złamałby je bezpowrotnie, ale w komedyi szczęśliwie wszystko się naprawia i kończy gładko i pomyślnie — jak przynależy — wieńczącem akt czwarty małżeństwem. Miłość zwycięża niewczesne obawy podjęte, a głębsze studia uspakajają chwilowo wzburzonego zawisłemu nad sobą niebezpieczeństwem młodzieńca, a nieudana sztuka tyle ma w sobie dobrego, iż potępia szkodliwe a skrajne nowoczesnej nauki wnioski i wyroki, że zastanawia się nad rozstrojem wynikającym z teoryi bezwzględnego atawizmu. Bierzmy na siebie zobowiązania długiego przodków szeregu, nie lekajmy się niebezpiecznych spadków, których niespełnione pogrożki gotoweby nam życie zatruć. Z takim przekonaniem zamyka się drobny utwór niepospolitego powieściopisarza, który acz dramatycznego nie rozwinął talentu, trafnie uderzył w jedną ze słabości wieku. Śliczne i delikatne ilustracye kolekcyi Guillaume'a uzupełniają tekst wiotkimi i przejrzystymi rycinami, które dziwnie podnoszą wdzięk, a nawet wartość wydanych w tak wytworny sposób książek.

Z pism czasowych.

Czasopismo chorwackie: **Vienac zabavi i pouci u Zagrebu.** (Wieniec zabawy i nauki). 1891.

Na czele południowych słowiańskich plemion pod względem oświaty i piśmiennictwa stoi niezaprzeczenie plemię Chorwatów czyli Kroatów. Ojczyzna ich, przetrzęta odnogami Alp styryjskich i kraińskich, jak również rzekami: Sawą, Kulpą i Drawą, była początkowo zamieszkaną przez Pannończyków, za panowania zaś Cezara Augusta stała się prowincją rzymską. W r. 565 zdobyli ją Awarowie, w roku zaś 640 dostała się w ręce Chorwatów, plemienia słowiańskiego, przybyłego z gór Karpackich, które jej nadało swą nazwę. Od r. 864 Chorwacya stanowiła lenną posiadłość państwa bizantyńskiego; ale w r. 1075 namiestnik jej, Zwonimir Demetryusz, zrzucił z siebie jarzmo bizantyńskie, poddał się władzy papieża i otrzymał od Grzegorza VII. tytuł króla. Niedługo jednak gwiazda niepodległości jaśniała nad Chorwacyą, wkrótce bowiem, bo już w r. 1091, Władysław, król węgierski, zdobył tę krainę i przyłączył ją wraz z Dalmacyą do swojej monarchii. Pod rządami węgierskich władców Chorwacya posiadała autonomię; zwykle brat lub syn królewski obejmował w niej naczelną władzę, dopomagali mu zaś banowie, wybierani z miejscowej arystokracji. Gdy w r. 1526 Ferdynand I. został królem węgierskim, wówczas wcielił Chorwacyę do monarchii Habsburgów, pod względem jednak prawodawstwa i administracyi kraina ta bezpośrednio ulegała Węgrom. Rozmaite reformy, wprowadzone przez rząd węgierski w pierwszej połowie bieżącego stulecia w celu zmadziaryzowania podległych sobie Słowian, oburzyły Chorwatów tak dalece, że połączywszy się z Serbami, zostającymi również pod rządem węgierskim, rozpoczęli w r. 1848 pod dowództwem bana Jelaczycza zaciętą walkę z Madziarami, która na przebieg ówczesnej węgierskiej rewolucyi doniosły wpływ wywarła. Chwilowo też Chorwacya i Sławonia oderwały się od korony św. Stefana, ale w r. 1868 stosunek ich do Węgier ostatecznie został określonym. Obecnie Chorwacya posiada autonomię, wysyła do Izby niższej w Budapeszcie czterdziestu, a do Izby wyższej trzech delegatów, wewnętrzna zaś administracya, oświata i prawodawstwo pozostają pod kierunkiem sejmu, na czele którego stoi arcybiskup zagrzebski oraz wybitniejsi duchowni i świeccy chorwaccy dostojnicy. Językiem urzędowym w tym kraju jest ojczysty, cały zaś tamtejszy ruch naukowy i literacki ześrodko-

wuje się w Zagrzebiu (Agram), gdzie, jak wiadomo, od r. 1866 istnieje Akademia umiejętności i Sztuk pięknych, od roku zaś 1875 uniwersytet. Nadto liczne szkoły, średnie i elementarne, rozkrzewiają oświatę; *Matica* zaś czyli Macierz chorwacka szerzy wśród licznych swych członków zamiłowanie piśmiennictwa. Należy też przyznać, że Chorwacya stosunkowo do swej przestrzeni i ilości mieszkańców może się poszczycić wcale pokazną cyfrą literatów i uczonych. Wielu z nich cieszy się największem uznaniem swych rodaków; poznamy ich z jednego z najpoczytniejszych i najumiejtniej redagowanych czasopism chorwackich, p. t.: *Vienac*, o którym obecnie mówić zamierzamy i które doskonale odzwierciedla współczesne literackie prądy w tym pobratymczym nam ludzie.

Tygodnik powyższy z tego jeszcze względu zasługuje na naszą uwagę i sympatyę, że zpomiedzy trzydziestu kilku czasopism chorwackich najwięcej zdaje się nam sprzyjać i najżywiej się interesuje płodami naszego piśmiennictwa.

W tegorocznych numerach *Vienca* znajdujemy najprzód kilka, krótkich wprawdzie, lecz starannie skreślonych monografij historycznych, dotyczących przeważnie sąsiednich słowiańskich plemion, a z których najbardziej zajmującemi są: *Ivan Crnojević, posljednji gospodar Zete* (Iwan Czernojewicz, ostatni władca Zety, 1460—90), przez V. Klaića, oraz *Damjan Juda, knez dubrovački* (Damian Juda, książę Dubrowniku) Józefa Modestina. Klaić opisuje jeden z główniejszych epizodów w dziejach południowych Słowian, jakim było założenie księstwa Czarnogórskiego. Ponieważ historia południowej Słowiańszczyzny mało u nas dotąd jest badaną — pozwalamy sobie przytoczyć parę szczegółów z tego artykułu. W wiekach średnich na północy od jeziora Skodra leżało niezależne słowiańskie państewko Zeta (*Xantia*) ze stolicą Żabliakiem. Państewko to musiało ciągle toczyć walki z jednej strony z Włochami, z drugiej zaś z rzeczapośpolitą wenecką, która wówczas na ziemiach słowiańskich, ciągnących się od Adryatyku, coraz to nowe zdobywała posiadłości. Ostatnim władcą Zety był Iwan, ze starożytnej rodziny Czernojewiczów, którego życie było jednym pasmem walk w obronie kraju. Zaraz po wstąpieniu na tron, Iwan bojąc się przede-wszystkiem dla swego państwa napaści ze strony Turków, zawarł przymierze z Wenecją, aby móżdż większy stawić im opór. Przymierze to jednak nie na wiele mu się przydało. W r. 1478 Mahomet II. obległ z licznem wojskiem Skodar, który wówczas należał do Wenecyi, a ponieważ Iwan pospieszył na pomoc oblężonemu, rozgniewany tem sułtan

wyruszył z pewną częścią wojska do Zety i zdobył stolicę jej, Żabliak. Wprawdzie po śmierci Mahometa II. Iwan zdołał odzyskać swój gród stołeczny, niedługo jednak cieszył się spokojem. Bajazet II., syn Mahometa II., uderzył znowu na Żabliak, Iwan zaś czując, że nie zdoła obronić swego ukochanego miasta, spalił je do szczytu i zostawiwszy napastnikom tylko gruzy, cofnął się w sąsiednie góry Czarne (Montenegro), gdzie zaczął skupiać dokoła siebie resztki swojego ludu. I tu jednak dotarli Turcy w r. 1482, a biedny Iwan musiał uciekać i w obcych tulać się krajach. W następnym roku podążył do Włoch z zamiarem, aby prosić tamtejszych książąt o pomoc, i przybywszy do kościoła Matki Boskiej w Lorecie, ślubował wznieść piękną świątynię na Jej cześć, jeżeli mu dopomoże wrócić do ojczyzny. Gorąca jego modlitwa została wysłuchaną, wkrótce bowiem biedny książę odzyskał Czarnogórze i dopełnił swego ślubu. Reszta jego życia upłynęła na wewnętrznem urządzaniu nowego państewka i obwarowywaniu jego granic. Wreszcie w r. 1490 umarł założyciel księstwa Czarnogórskiego, ród zaś jego wygasł już w następnem pokoleniu, dwaj bowiem synowie, którzy kolejno po nim panowali, zeszedli bezpotomnie ze świata, trzeci zaś przyjął islam i został tureckim bejem. „Czynów Iwana Czernojewicza — dodaje p. Klaić — nie wślawiło ani dłuto Thorwaldsena ani pendzel Rafaela, imię jego jednak żyje dotąd w pieśniach i podaniach czarnogórskiego ludu“.

Treścią artykułu p. Modestina, pod tyt: *Damjan Juda, knez dubrovački*, jest zagarnięcie Raguzy czyli słowiańskiego Dubrownika w pierwszej połowie XIV. wieku, przez rzeczpospolitą wenecką. Według niektórych dawniejszych dubrownickich pisarzy, ówczesnym księciem Raguzy był Damian Juda, człowiek bardzo zdolny i rozumny, ale zarozumiały i chciwy władzy. Okrutne jego rządy oburzyły podwładnych do takiego stopnia, że uknuli spisek, na czele którego stanął własny zięć księcia, Petar Benešić. Ten, porozumiawszy się ze swymi współobywatelami, wyjechał do Wenecyi i prosił dożów, aby rzeczpospolita uwolniła Raguzę od despotycznego władcy i przysłała jednego ze swych magnatów na dubrownickiego księcia. Wenecyanie ochoczo przyjęli tę propozycję, a ponieważ wówczas właśnie Tomasz Morosini miał odpłynąć do Carogrodu dla objęcia patryarszej stolicy, powierzyli mu więc załatwienie po drodze negocyacyj z Raguzą. Za przybyciem Wenecyan do tego miasta, Benešić namówił teścia, aby przyjął jak najokazalej tak dostojnych gości i podążył na ich statek dla obejrzenia bogatych darów, jakie wieźli dla władcy Carogrodu. Książę, nie domyślając się

podstęp, poszedł za tą radą, ale zaledwie znalazł się na weneckim okręcie, gdy ten podniósł kotwicę i odbił od brzegu. Wówczas Damian przekonawszy się o zdradzie, odebrał sobie życie, księciem zaś Raguzu został Wenecyanin, Lorenzo Quirini. W taki sposób, jak twierdzą miejscowi historycy, słowiański Dubrownik poddał się dobrowolnie weneckiej hegemonii.

Do rzędu prac treści historycznej należą jeszcze następujące artykuły: *Općinski dom u Spljetu* (Ratusz w Splicie) przez B. Spljećanina, i *Stari grad Karin u Dalmaciji* (Starożytne miasto Karyn w Dalmacji) przez ojca Stefana Zlatovića. Ostatni z tych artykułów przenosi nas na ruiny starożytnego, bo jeszcze za czasów rzymskich założonego grodu. Gród ten zwany przez Rzymian *Corinia*, stanowił stały obóz czyli *castra stativa* jednego z rzymskich legionów. W wiekach średnich Karyn należał do najznakomitszych miast dalmatyńskich, ale w r. 1527, gdy Turcy coraz bardziej zaczęli się zapuszczać na słowiańskie ziemie, przerażona ludność przeniosła się w znacznej części do Chorwacyi i wojska tureckie bez trudności zajęły Karyn wraz z okolicami. Zdobywcy osiedlili się i obwarowali w tem mieście, które jako leżące na pograniczu posiadłości rzeczypospolitej weneckiej, stanowiło dla nich wyborny punkt strategiczny. Dziś jeszcze w wielu miejscach widać zwaliska meczetów, którymi ludność gardzi, jako pamiątkami dawnej niewoli i nie bierze z nich nigdy ani cegielki do swoich mieszkań. W połowie XVII. wieku dzielne oddziały chorwackie wypędziły Turków tak z Kotaru, jak też i z Karyna, ale ponieważ w tych miastach nie pozostawiono załogi, Turcy niebawem zdobyli je znowu. Dopiero w r. 1683 po porażce wiedeńskiej, Turcy uciekając tłumnie z granic Austrii, ustąpili także i z Karyna. Odtąd miasto to pozostało w stanie zupełnego zaniedbania i opuszczenia; z wielu historycznych jego zabytków nie pozostało ani śladu, te zaś, które jeszcze istnieją, niszczone są z prawdziwym wandalizmem przez okoliczną ludność. Dlatego też autor dodaje na zakończenie, iż Akademia zagrzebska powinna wysłać tam delegata dla zbadania i opisanie zwalisk Karyna, wkrótce bowiem nie będzie można nawet wiedzieć, gdzie właściwie leżało to miasto, które w walkach krzyża z półksiężycem tak ważną odegrało rolę.

Wreszcie z obowiązku sprawozdawcy wymienić musimi streszczenie pamiętnika Talleyranda, dokonane z wielką starannością przez d-ra Politeo, oraz przekład ustępu z historyi Cantu, dotyczącego Napoleona I., skreślony przez Fr. Mikuličića.

Pan St. Plivelić obdarzył tegoroczny *Vienac* nader ciekawym artykułem: *Tehnička uporaba električnoga svjetla* (Techniczne zużytkowanie światła elektrycznego), w którym wykazuje całą wyższość oświetlenia elektrycznego nad gazowym, oraz jego zastosowania w gmachach publicznych i miastach, na kolejach żelaznych, w żegludze, górnictwie, sztuce fotograficznej, astronomii i medycynie. Popularna ta rozprawka o jednej z najnowszych i najcenniejszych zdobyczy wiedzy ludzkiej, czyta się z zajęciem, po przeczytaniu zaś pozostawia zwykłemu czytelnikowi to miłe uczucie, że parą okruszków wiedzy z bogacił swój umysł.

Bardzo dodatnie wrażenie odnosi się także z artykułu poruszającego niektóre kwestye ze świata ekonomicznego (*Iz gospodarskoga svijeta*). Autor jego, podpisujący się głoskami B. L., zwraca się do ogółu czytających kobiet, twierdząc, że w zastosowaniu praktycznem tak suchej gałęzi wiedzy, jaką jest ekonomia polityczna, one właśnie powinny wprowadzić ożywczy pierwiastek — serce, spiesząc wszystkim potrzebującym z gorliwą a umiejętną pomocą. Wyraża też zasadę, że wiele gwałtownych społecznych konfliktów przypisać należy lekceważeniu i zaniedbaniu nader doniosłego czynnika, to jest chrześcijańskiej miłości bliźniego. Następnie zastanawia się nad współczesnym materyalistycznym prądem, przebiegającym wszystkie warstwy ludzkości, i wykazuje zło, jakie wynika wówczas, gdy ludzie hołdują ślepo zmysłowemu swym upodobaniom, zapominając o doskonaleniu własnego ducha. Wreszcie jako źródło materyalnego dobrobytu i moralnej niezależności wymienia przedsiębiorczość, umiejętność zaradzania samemu sobie, oszczędność, ład i solidarność ze swymi współobywatelami. Praca ta traktowana wcale nie w sposób naukowy, daje się zaliczyć do tak zwanych pogadanek; główną zaś i ważną jej zaletę stanowi duch prawdziwie chrześcijański wyrażonych w niej zapatrywań.

Ponieważ jednak *Vienac* jest pismem poświęconem głównie swojskiemu i obcemu piśmiennictwu, życiorysy więc dawnych lub współczesnych autorów, krytyki i oceny literackie, oraz powieści i poezye zapewniają przeważnie jego szpalty. Wśród pierwszych, poważne miejsce zajmuje życiorys czeskiego poety, Jana Kollara, napisany przez Stefana Bosanaca podług monografii Legera, oraz charakterystyka utworów Gogola i Bielińskiego (*Gogolj i Bělinskij*), streszczona przez A. Radicia z artykułu Pypina. Nad obu tymi artykułami, jako nie należącymi do prac oryginalnych, zastanawiać się nie będziemy. Natomiast zaczerpnijemy parę szczegółów z licznych, chociaż krótkich i pobieżnie skreślonych biografij chorwackich autorów. Jedną z najudatniejszych jest

biografia księdza Jana Hranilovića, wyszła z pióra d-ra Milivoja Šrepela i umieszczona w *Viencu* wraz z portretem swego bohatera. Ks. Jan Hranilović, grecko-katolicki wice-archidyakon Sremu (Karłowice) i koadjutor krzyżowackiego biskupstwa, należy do najwybitniejszych współczesnych chorwackich poetów. „W chwili jego wystąpienia na widownię literacką — jak twierdzi p. Šrepel — w poezji chorwackiej dziwna dźwięczała nuta. W romantycznym tonie opiewano tezy bardzo podrzędnej wartości, jak np. zakochania się dwóch braci w jednym dziewczęciu i t. p. Utwory takie nie posiadały najmniejszego kolorytu miejsca i czasu, mogły bowiem powstać zarówno w epoce upadku rzymskiego cesarstwa, jak i w XIX. wieku, na pustych i nagich wybrzeżach Islandyi, jak i wśród ubogiego chorwackiego Zagórza. Nie była to prawdziwa romantyczna poezya, jaką podziwiamy u Bajrona i Mickiewicza. Na szczęście chorobliwe te symptomata niebawem ustąpiły i poezya chorwacka stała się znowu organem narodowego życia“.

Po krótkiej biograficznej notatce, p. Šrepel zastanawia się nieco dłużej nad poetycką twórczością ks. Hranilovića i z utworów epicznych podnosi *Viteza Vladislava* (Bohater Władysław, 1875), twierdząc, iż swą techniką przypomina on niekiedy Mickiewiczowskiego Wallenroda. Przedewszystkiem jednak ceni poetę jako liryka i z pomiędzy licznych jego utworów zaznacza prześliczną odę do Boga, w której pieśniarz czyni aluzję do kapłańskiego swego powołania, a której ostatnią zwrotkę tutaj przytaczamy:

Modły nasze, Boże, jestto dzieło Twoje,
Prośba bowiem ludzka, to dar miły Ci,
Tobie życie całe poświęciłem swoje,
Najwznioślejsze duszy młodocianej sny.
O, nie pogardź, Boże, choć mój dar tak mały,
Pobłogosław skromne pieśni młodych lat,
W rzeczywistość zamień moje ideały,
Bo wszak wszystko możesz, Ty, coś stworzył świat!¹

¹ Molitva e naša, Tvoje, Bože, djelo,
Upros ti ljudski najmiliji dar,
Tebi žiće svoje posvećujem cielo,
Najplamniji duše zanesene žar.
Oj, ne prezri moje molitvice male:
Błogoslovi skromni pjesme moje let,
Istinom pretvori njene ideale,
Jer svemožan ti si, Stvoritelju svet!

Oprócz wzniosłego uwielbienia ku Stwórcy, lutnia chorwackiego poety dźwięczy jeszcze gorącą miłością kraju i całej Słowiańszczyzny. Każdy współczesny fakt dziejowy, mający związek z losami Słowian, znajduje w niej echo. Jednym z piękniejszych wierszy w tym kierunku, podług p. Šrepela, jest: *Pozdrav ujedinjenoj Bugarskoj* (Pozdrowienie zjednoczonej Bułgarii, 1885), gdzie poeta nie zapomina także i o Chorwacyi, owszem, głosi, iż ona również doczeka się kiedyś dnia oswobodzenia, w którym będzie mogła podać dłoń zabalkańskim braciom. Wogóle — jak mniema krytyk — w poezjach Hranilovića, które w dziejach chorwackiego piśmiennictwa nową zainaugurowały epokę, przebija się najbardziej wpływ Mickiewicza i Lamartine'a.

Dalszy szereg biografij, opatrzonych po większej części portretami, stanowią życiorysy: uczonego chorwackiego archeologa, Franciszka Bulića, wielce utalentowanej autorki, Herminy Tomić, Dragutina Lermana, rodem z Pożeża w Chorwacyi, komisarza politycznego w Kongo i autora ciekawych listów z Afryki (*Listova iz Afrike*), dalej ojca Stefana Zlatovića, franciszkanina, który oprócz wielu monografiij historycznych, napisał nader obszerne dzieje swego zakonu w Chorwacyi; Eugeniusza Kumičića, jednego z najpopularniejszych miejscowych powieściopisarzy, a wreszcie dramaturga, Ivo Vojnovića, którego szkice p. t.: *Perom i olovkom* (Piórem i ołówkiem), przełożył na język polski Bronisław Grabowski, „znany przyjaciel Chorwatów“ — jak się wyraża z pewnym odcieniem życzliwości autor tej biografii.

Z obszerniejszych krytyk literackich zasługują na uwagę: *Pabirci po historiji književnosti hrvatske* (Szkice z dziejów literatury chorwackiej) bezimiennego autora; wśród nich zaś najciekawszą jest *Posveta Palmotičeve Kristijade* (Dedykacya Chrystyadi Palmotića). Autor, mówiąc tu o religijnym utworze najznakomitszego poety chorwackiego w XVII. w. p. t.: *Kristijada*, w którym Palmotić opiewał życie Pana naszego Jezusa Chrystusa, kładzie szczególnie nacisk na dedykację tego poematu, ofiarowanego Krystynie Szwedzkiej. To daje mu powód do skreślenia treściwego życiorysu tej królowej, która wyrzekła się berła, aby wraz z niem wyrzec się błędów protestantyzmu i stać się córką prawdziwego Kościoła. Czyn taki wywołał radość w całym katolickim świecie; celem zaś tej radości były mniej lub więcej udatne poezye, wyrażające dla niej podziw i uznanie. Niedziw więc, że i pieśniarz chorwacki, który był w Rzymie wówczas, gdy Krystyna przybyła tam na wezwanie papieża Aleksandra VII., dedykował najpiękniejszy plód swej twórczości tej, jak się wyraża, *novoj zvijezdi od sjevera, kraljerskoj dje-*

vajćici (nowej gwiazdzie polarnej, królewskiej dziewicy). Uwielbienie jego dla Krystyny podniosła ta jeszcze okoliczność, iż wówczas właśnie była królowa szwedzka założyła w Rzymie Towarzystwo nauko-wo-literackie, zwane *Academia reale*, do którego i Chorwatom wstęp został otwartym. Należy też przyznać, iż dedykacja Palmotića posiada kilka prawdziwie poetycznych ustępów, szkoda tylko, że wraz z nią nie mogliśmy poznać poematu, którego się dotyczy.

Bardzo zajmującym także jest artykułik pod tyt.: *Povjest sedam mudraca u Slavena* (Historja siedmiu mędrców u Słowian). Widzimy tam, że księga o siedmiu mędrcach doszła do Słowian dwiema odrębnymi drogami, to jest z Zachodu i Wschodu. Najwcześniej, bo już w XIV. wieku poznali ją Czesi. W Polsce pierwszego przekładu *Historiae septem sapientum* dokonał na początku XVI. wieku Jan z Koszyczek, najstarsze jednak egzemplarze przekładu polskiego, jakie się dotąd przechowały, pochodzą z XVII. wieku. Od Polaków, w drugiej połowie wieku XVII. dzieje siedmiu mędrców przeszły do Rosyan i bardzo chętnie były przez nich czytane, głównie z powodu ostrej satyry przeciw kobietom, jaka się w nich zawiera. W Rosyi jednak tekst tej książki uległ wielu radykalnym zmianom, które mu niekiedy zupełnie opaczne nadawały znaczenie. Tak na przykład z rycerza, tłumacza i przepisywacza rosyjscy robili cesarza, z turnieju — wojnę, z pana — popa i t. p. Bułgarzy i Serbowie najpóźniej, bo dopiero na początku bieżącego stulecia przyswoili to dzieło swemu piśmiennictwu, gdy ono zaczęło się budzić z długiego uspienia.

W jednym wreszcie z dłuższych artykułów pod tyt.: *Englesko djelo o Juliju Kloriju*, p. V. Dukat ocenia życiorys jednego z chorwackich malarzy XVI. wieku, skreślony przez Anglika, J. W. Brandley'a. W artykule tym autor może nie dość słusznie przypisuje Klowiuszowi ogromny wpływ na współczesnych malarzy włoskich: Baroccia, Zuccara, braci Scorza, Giovanni'ego, Castella, a nawet na artystów hiszpańskich. Dalej, jakiś nieznany autor kreśli obszerną charakterystykę dramatu pod tyt.: *Tri braka* (Trzy małżeństwa), Maryana Derenčina, ukrywającego się pod pseudonimem Milivoja Primorca, a p. Babić Gjalski wydaje bardzo korzystny sąd o „Borucie“ naszego pisarza Bronisława Grabowskiego, przytaczając zarazem treść tego dramatu.

Nadto każdy numer *Vienca* zawiera pod rubryką *Književnost* krótkie notatki bibliograficzne o najnowszych swojskich i cudzoziemskich utworach. Najokazalej reprezentowane jest piśmiennictwo chorwackie

i serbskie; przyznać też należy, że literatura chorwacka postępuje nader szybko na drodze rozwoju. Wielką ku temu podniechę stanowią Akademia zagrzebska i chorwacka Macierz, odznaczające się niezwykłą ruchliwością i gorliwością o pożytek oświeconego ogółu. W roku bieżącym *Matica* wydaje między innymi „Pana Tadeusza“ w przekładzie Maretića, oraz zamierza ogłosić wkrótce drukiem życiorysy najznakomitszych poetów świata, a między nimi i Mickiewicza. Z piśmiennictw obcych, *Vienac* poświęca sporo miejsca literaturze czeskiej, francuskiej i rosyjskiej, które, jak się zdaje, wielką w Chorwacyi cieszą się popularnością. Dalej spotykamy w *Viencu* słowa gorącego uznania dla współczesnego naszego piśmiennictwa. Najpochlebniej ocenieni zostali: Sienkiewicz, Prus i Orzeszkowa. Płoszowskiego z „Bez dogmatu“ nazywa *Vienac* poniekąd słusznie nowożytnym Hamletem, powieści zaś Orzeszkowej p. t.: „Nad Niemnem“ zanadto może wielkie oddaje pochwały. Do młodszej generacji polskich poetów i pisarzy zalicza: Kopnicką, Andrzeja Niemojowskiego, Nowickiego, Jeża, Kasprowicza, Szeligę i t. p. Wyliczenie to świadczy o niezbyt gruntownej świadomości, kto i co u nas pisze — ale czyż nie uderzywszy się w piersi, możemy sobie powiedzieć, że dokładniejsze mamy pojęcie o współczesnej literackiej działalności Chorwatów? Niemile tylko uderzyło nas to, że w szeregu naszych powieściopisarzy umieścił *Vienac* p. Feldmana, którego utwory wcale naszej beletrystyce nie przynoszą zaszczytu. Zpomiedzy czasopism, *Vienac* wymienia: *Ateneum*, *Bibliotekę Warszawską*, *Wiśłę* i *Kwartalnik historyczny*. Mówiąc o *Przeglądzie Powszechnym* i *Polskim*, zaznacza ich poważny i głęboko religijny kierunek. Wreszcie znajdujemy życzliwą wzmiankę o studyum Biegeleisena: o Henryku Ibsenie, jak również o powieści Rogosza: „Na dziejowym przełomie“ i o „Poczcie królów polskich“, skreślonym przez Smolkę a ilustrowanym przez Matejkę. Chociaż nie na wszystkie poglądy *Vienca* zgodzićby się można, trudno mu jednak odmówić serdecznego zainteresowania się naszą literaturą, której piękną rokuje przyszłość, oświadczać zarazem, że w ogólnym ruchu piśmienniczym nie pozostaje ona wcale za innymi. Charakterystyka najnowszych dzieł i czasopism słowackich, słoweńskich i bułgarskich jest dość pobieżnie naszkicowaną. O współczesnej beletrystyce angielskiej *Vienac* się wyraża, iż różni się zasadniczo od powieściopisarstwa w innych krajach Europy. „Powieść i nowela angielska są dziś jeszcze pełne romantyzmu, gdy w reszcie Europy powoli przeważa realizm. Anglo-saksoński temperament nie może zasmakować w powieściach Maupassant’a lub Zoli. Nowożytny pesymizm nierychło

także zdoła zapuścić korzenie w tym szczęśliwym kraju... Anglik, wróciwszy do domu po całodzienną pracę, woli zamiast książki, przypominającej mu troski codziennego życia, wziąć do ręki dzieło, któreby mu opowiadało o sławnych czynach przodków lub o spokojnej rodzinnej egzystencji. Jako praktyczni kupcy i gospodarze, Anglicy nie cenią wcale poezji, a nawet ją uważają za rzecz zbytkowną i niepotrzebną". Następnie kilkoma słowami charakteryzuje dzieło Saintbury'ego p. t.: *Essays in english literature* (1780—1860), wymienia nazwiska Trollope'a i James Henry'ego, jako celniejszych powieściopisarzy, i ostatecznie dochodzi do wniosku, że ojczyzna Szekspira i Bajrona nie posiada dziś wcale znakomitych pracowników na polu literatury pięknej.

Przychylniejszem nieco jest zdanie *Vienca* o piśmiennictwie hiszpańskim, a przedewszystkiem o ostatniej powieści ojca Ludwika Colona p. t.: *Pequeneces*. Wreszcie na niwie literatury szwedzkiej recenzent powyższego tygodnika podnosi dzieła Augusta Strindborga, stawiając go pod względem stopnia talentu obok Björnsona i Ibsena.

Tyle o literaturze. Sztuki piękne także w *Viencu* mają swój dział, spotykamy tam bowiem kilka rozprawek z dziedziny muzyki, przeważnie kościelnej, z których najlepsze ściągają się do *Requiem* Mozarta i oratorium Haydna pod nazwą „Stworzenie świata". Obie te krytyki odznaczają się gruntowną znajomością przedmiotu, jak również wysoce wykształconem poczuciem muzycznego piękna. W każdym wreszcie numerze znajdują się bardzo starannie wykonane reprodukcje z obrazów wybitniejszych malarzy, przeważnie słowiańskich. Między innemi mieszczą się tam kopie z plafonu Siemiradzkiego „Wiosna", oraz z obrazu Matejki, przedstawiającego św. Stanisława biskupa, gdy karci Bolesława Śmiałego. Ilustracyom tym towarzyszą zwykle krótkie wyjaśnienia treści.

Wogóle rzecz można, że główną cechą *Vienca* stanowi tętno głębokiego religijnego uczucia, drgające we wszystkich niemal wypowiedzianych w nim poglądach. Drugim tonem, który tam również doniosłe dźwięczy, jest miłość rodaków i wszystkich braci Słowian, jak również chęć zbliżenia się do nich na drodze umysłowej pracy, oraz wzajemnego poznawania swych dziejów i stosunków. Zresztą *Vienac* nie grzeszy wcale jednostronnością, owszem, stara się o ile możności zaznajomić swych czytelników ze wszystkimi zjawiskami w świecie umysłowym innych europejskich narodów.

Na zakończenie rzucmy jeszcze okiem na beletrystyczną i poetyczną rubrykę *Vienca*. Niedawno zmarły ks. Davorin Trstenjak zasilił to czasopismo kilkoma krótkimi, lecz głębszą myśl zawierającymi opowiada-

niami z życia Turków i Czarnogórców. Nadto znajdujemy jeszcze kilka wdzięcznych nowelek: Kozarca, Biščana, Leskovara, Devčica, Włodzimierza Barota, Novaka i t. p. Wartość beletrystycznego działu *Vienca* obniża nieco powieść J. Tomicza p. t.: *Udovica*, osnuta na tle XVIII. w., która chociaż skreślona z prawdziwym talentem, wiele jednak pod względem treści pozostawia do życzenia. W rzędzie utworów tłumaczonych mieszczą się prace: Turgieniewa, Sołtykowa, Galicyna, Piotra Loti i Alfonsa Daudeta. Najchętniej jednak wprowadza *Vienac* swych czytelników w krainę poezyi; drukuje bowiem mnóstwo prześlicznych wierszy Harambašića, Tugomira Bosnjaka, Preradovića, Gjuro Arnolda, Sundečića, Kranjčevića, z których najpiękniejszym może jest hymn narodowy (*Hrvatska himna*), ułożony przez Hugona Badalića, a tchnący nieklamnym zapalem, oraz żywą wiarą w miłosierdzie Boże i przyszłość ojczyzny. Do przekładów poetycznych dostarczył treści tylko Mickiewicz, którego Świtez przetłumaczył bardzo poprawnie Janko Kamenar, a nadto *Vienac* wydrukował kilka dłuższych ustępów z „Pana Tadeusza“ w przekładzie Maretića, wydany, jakeśmy wyżej rzekli, przez Macierz chorwacką. Pragnąc, aby czytelnicy *Przeglądu* mogli sami przekład ten porównać z oryginałem, zamykamy nasz artykuł parą najpiękniejszych wyjątków z XI. księgi, noszącej tytuł „Rok 1812“:

O godino! u našem tko te vidje kraju!
Seljani beričetnôm zwat te obićaju,
Vojnik ratnom zove te; još te rado stari
Slave pričom, pjesma još o tebi sanjari.

.....
O proljeće! vidio tko te kod nas tada!
S beričeta, s rata si slavno još i sada!
O proljeće! vidio tko te, kako cvalo
Žitom si i travama, a ljudma se sjalo;
Dogadjaja, nada si puno bilo za nas!
O prekrasni sanče moj, vidim te još danas...
U povelju okovan, rodjen k'o bijedno
Ropče¹, pamtim proljeće takvo samo jedno.

Tytus Sopodžko.

¹ Tu w przekładzie znajduje się odsyłacz, w którym tłumacz się odzywa: *Ove riječi znače, da je pjesnik rodjen i proživio ranu mladost u zemlji, koju su Rusi osvojili i u njoj Poljake pritješnjavali* (Te słowa znaczą, że poeta urodził się i przeżył pierwszą młodość w kraju, który Rosyanie zagarnęli i w nim Polaków uciemnieżeli).

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ruch pojednawczy we Francyi. — Skutki laicyzacyi szkół. — Walka o szkołę w Ameryce północnej. — Chińskie rozruchy. — Edykt cesarza chińskiego w obronie misjonarzy. — Kongres katolicki w Mechlinie. — Prowincjonalny synod ruski we Lwowie.

RUCH POJEDNA-
WCZY WE
FRANCYI.

Rok niezadługo upłynie od pamiętnego toastu kardynała Lavigerie i dodanego doń wymowniejszego jeszcze komentarza w liście kard. Rampolli; od tego czasu wiele we Francyi się wyjaśniło, niejedna, groźną burzę — jak w pierwszej chwili się zdawało — zapowiadająca chmura ustąpiła z widnokręgu, a choć pozostało ich wiele jeszcze, choć dotąd największej części uprzedzeń i dawnych niechęci usunąć się nie dało i nieraz jeszcze występują one bardzo jaskrawo — to przecież zainaugurowany przed rokiem ruch pojednawczy trwa i raczej rośnie niż słabnieje. Rząd, co prawda, zachowuje się względem niego, a raczej może udaje, że zachowuje się wyczekująco i nieco sceptycznie. „Gotowi jesteśmy — głosił minister Constans w wielkiej mowie, wypowiedzianej w Bagnère de Luchon — przyjąć z otwartymi ramionami wszystkich nowo przybywających, ale starzy, a nie świeżo zaciężni żołnierze, pozostać muszą i pozostaną w pierwszych szeregach; rekruci nie mogą

przecież mieć pretensyi rozpoczęcia swej karyery ze stopniem pułkownika lub generała“. Katolicy dzielą się jeszcze nieszczerściem na zbyt różne i zbyt od siebie odrębne, jeśli nie wrogie stronnictwa, z których każdemu i bolesno i praktycznie wcale niełatwo zrzec się długoletnich swych marzeń i ideałów. Radykali obawiają się konwulsyjnie nowego zwrotu, dążącego do przeniesienia walki religijnej na grunt czysto konstytucyjny; nie wiedzą, jak walkę tę usprawiedliwić, a raczej wiedzą, że usprawiedliwić jej nie potrafią wobec przywoływanych przeciw sobie na pomoc zasad republikańskich i dlatego dokładają wszelkich starań, aby nienarodzone jeszcze właściwie dzieło pojednania zdusić w zarodku. Szczególną energię w tym kierunku rozwijają deputowany Pichon i senator Dide, zwłaszcza ten ostatni, który przy najbliższej sposobności — jak głoszą radykalne organa — wystąpić ma z oryginalnem pytaniem: „czy rząd zamyśla stać tamę teoryom społecznym, sprzeciwiającym się zasadom rewolucyjnym“ — mówiąc poprostu: czy zamierza dalej walczyć z katolicką wiarą?

Pytanie to, choćby nawet w brutalnej tej formie zostało postawionem, nie wywoła na szczęście w tej chwili żadnych niebezpiecznych następstw, bo rząd, jeśli z jednej strony spogląda bardzo dyplomatycznie i wyczekująco na przechodzących do obozu republikańskiego katolików, to z drugiej strony nie chciałby ich z pewnością od kroku tego odstraszyć, owszem, dał jeden wprowadzie tylko, ale dość wymowny dowód bardziej pojednawczego usposobienia. Dowodem tym wyproszenie u radykalnych członków komisji budżetowej, a na pierwszym miejscu u jej sprawozdawcy, p. Pichon, iżby tym razem nie poruszali powtarzanego zresztą i odrzucanego aż do przesytu i śmieszności postulatu zniesienia ambasady francuskiej w Watykanie. „P. Pichon — pisze urzędowy *Temps* — dość miał sprytu, aby zrozumieć, iż nie należy domagać się zniesienia watykańskiej ambasady; nie chciał i nie śmiał kruszyć kopii za przestarzałym radykalnym przesądem, pozostającym w jawnej sprzeczności z zasadami, któremi się kierował w całym swem sprawozdaniu. Niedługo podobno czekać będziemy potrzebowali, a zabytek ten

dawnej stronnicznej retoryki, nie przedstawiający już dziś żadnej wartości, utonie za innymi w zasłużonem zapomnieniu“.

SKUTKI
LAICYZACJI
SZKÓŁ.

Czy po pierwszym tym kroku pójdą inne? Zdrowa polityka, nakazująca ułatwiać katolikom wcale nielatwy i niemily dla największej ich części zwrot ku rzeczypospolitej, koniecznie się tego domaga; bolesne, a z dniem każdym boleśniejsze następstwa walki, wypowiedzianej Bogu i religii, przywieść chyba powinny do upamiętania każdego Francuza, którego nie oślepiła sekciarska zaciekłość i nie wydarła zupełnie ze serca miłości ojczyzny. Bardzo znaczna liczba prowincjonalnych „Rad generalnych“ wystąpiła w czasie ostatnich swych posiedzeń ze stanowczem żądaniem przywrócenia religii w szkołach należnego wpływu; a wszyscy niemal wnioskodawcy opierali to żądanie na dokumentach, wykazujących ścisły związek między zaprowadzaniem tak energicznie przez rząd wychowaniem bez Boga, a mnożeniem się wszelkiego rodzaju zbrodni. Wedle urzędowej statystyki, toczyło się procesów kryminalnych:

Od roku 1871—1875	rocznie w przecięciu	155.545
„ „ 1876—1880	„ „	167.229
„ „ 1881—1885	„ „	180.806
W roku 1886		180.720
„ 1887		191.108

Cyfra przestępców, nie liczących lat dwudziestu, wzrosła od r. 1886—1888, a więc właśnie w czasie, w którym bezwyznaniowa szkoła wydawać zaczęła pierwsze owoce, z 23.000! do 29.000; pomiędzy rokiem 1881 a 1891 przyaresztowano w Paryżu 40.040 małoletnich, niżej lat szesnastu, za publiczną żebranię, a 13.732 małoletnich za prostytutkę; liczba rozwodów w jednym tylko 1888 r. doszła do 8000; liczba morderstw podniosła się w ostatnich paru latach o czwartą część; w roku 1879 liczono 62.000 recydywistów, w dziesięć lat później 85.000. — Kto temu winien? Winny bez wątpienia pornograficzne anonsy, obrazy i książki, zalewające Francję tak groźnym potopem, iż nawet niezbyt z pewnością czuły w tym kierunku minister sprawiedliwości widział się zmuszonym wystąpić przeciw nim w publicznym okólniku; winny teatry, cyrki i najróżniejszego rodzaju

gęsto rozsiane „świątynie zabawy“; ale winny przedewszystkiem, wedle jawnego wyznania wielu „Rad generalnych“, zlaicyzowane szkoły. Niedziw, że katolicy i z dobrze zrozumianej miłości Kościoła i ojczyzny i miłości własnych swych dzieci, wyteżają wszystkie swe siły w walce przeciw tym szkołom, w zakładaniu z niezmiernymi ofiarami ze swej strony tak zwanych „szkół wolnych“. Wedle ostatnich sprawozdań, założono dotąd 2839 takich szkół, dobrze widać prowadzonych, kiedy 1861 szkół katolickich, pomimo wszelkich stawianych sobie przeszkód, pomimo o wiele znaczniejszych kosztów dla rodziców, liczy więcej uczniów, niż rywalizujące szkoły zlaicyzowane. Pomiędzy temi ostatniemi znajduje się — wedle dat przez sam rząd zebranych i ogłoszonych — 8 szkół, które ani jednym uczniem wykazać się nie mogą (*sic!*); 79 szkół, w których liczba uczniów nie przechodzi 10, a 201 szkół, w których nie przechodzi 20. Rozumie się, że te charakterystyczne cyfry nie przeszkadzają i nie przeszkodzą i nadal wolnomularskim deputowanym i ministrom domagać się kolosalnych sum na dalsze prowadzenie „wielkiego, popularnego w całym narodzie dzieła laicyzowania szkół, którem Francya wyprzedziła inne kraje, którem rzeczpospolita zasłużyła sobie prawo do nieśmiertelnej chwały!“

WALKA O SZKOŁĘ
W AMERYCE PÓŁN. Walka o szkołę wre obecnie również w całej sile w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Katolicy oświadczała się tam zawsze stanowczo przeciw przyjętemu przez rząd systemowi szkoły t. zw. *unsectarian*, tj. wykluczającej wszelką pozytywną naukę religii; protestanci najrozmaitszych barw i odcieni nie mieli przez długie lata nic szkołom tym do zarzucenia, wszakże w ostatnim czasie objawił się i między nimi stanowczy zwrot w tym kierunku. Nową niejako epokę w tej sprawie rozpoczął słynny artykuł kardynała Gibbonsa w *North American Review*, piętnujący bezwyznaniową szkołę, wespół z mormonizmem i przekupstwem wyborczym, jako najstraszniejszą plagę trapiącą i niszczącą Stany Zjednoczone. W pierwszej chwili powstał zamęt, odezwały się protesty; ale niebawem już nie tylko katolicy, ale i synody różnych sekt protestanckich: prez-

biteryanów, metodystów i t. d., przyznały słuszość kardynałowi; oświadczyły, że dzisiejsza szkoła wyklucza zazwyczaj w praktyce nietylko pozytywną, ale i wszelką wogóle religię, i że dla postawienia tamy dalszemu postępowi bezbożności i niemoralności, zdążyć koniecznie należy do zaprowadzania szkół ściśle wyznaniowych. Katolicy dają w tym względzie przykład, a usiłowania ich nie pozostają bez skutku i wpływu. Wszędzie — stwierdzają urzędowe sprawozdania — gdzie powstały katolickie, parafialne szkoły, tracą szkoły publiczne największą część uczniów; w wielu Stanach do prywatnych szkół wyznaniowych uczęszcza trzy razy większa liczba uczniów, niż do publicznych. Czy wobec tych wyników, wobec oczywistej niepopularności systematu rządowego, nie należałoby go zreformować? Nad tem pytaniem toczą się obecnie i słowem i pismem ożywione debaty. Trudno spodziewać się, aby w najbliższej przyszłości dojść miało do zasadniczego zniesienia w szkołach publicznych samejże teorii nie-wyznaniowości, bo zbyt wielu Amerykanów i zanadto silnie do niej jest przywiązanych; pomimo tego przecież katolicy nie wątpią, że uda się ich zabiegom tak teorię tę w praktycznem zastosowaniu nagiąć i przekształcić, aby mniej przynajmniej niż dotąd była szkodliwą, i aby nie potrzeba było na przyszłość tyle, co dotychczas, ofiar dla zakładania i utrzymywania prywatnych szkół parafialnych.

CHIŃSKIE
ROZRUCHY.

Wybuchłe w Chinach w różnych odrazu miejscowościach i zdaje się wedle pewnego wspólnego planu oddawna przygotowane rozruchy, choć nie doprowadziły narazie do zupełnego jakiegoś przewrotu, wskazują jednak, że w olbrzymiem cesarstwie azyatykiem grunt podminowany, i że katolickie misye w niedalekiej bodaj przyszłości będą tam miały bardzo ciężkie walki do przebycia. Chińskie ministerjum spraw zagranicznych (*Tsungli-Yamen*) podało do cesarza memoriał, domagający się podjęcia energicznych kroków przeciw sprawcom tych rozruchów, „członkom tajemnych sekt i uwolnionym ze służby żołnierzom, którzy dopuścili się karygodnych nadużyć i okrucieństw względem europejskich misyonarzów“. Rząd chiń-

ski oddaje misyonarzom w tym memoryale najpiękniejsze świadectwo: „Pozakładali oni liczne szpitale dla chorych, ochronki dla sierot; w ostatnich latach zebrali i rozdali niemało pieniędzy pomiędzy nieszczęśliwych, nawiedzonych przez najrozmaitszego rodzaju klęski; starali się wszelkimi sposobami ulżyć ludowi w cierpieniach, nędzy i głodzie. Należy przeto obecnie wziąć ich w obronę przeciw niecnym oszczerstwom; nie dozwalać na rozszerzanie zapomocą plakatów najpotworniejszych oskarżeń; sprawców powstałych zamieszek jak najsurowiej ukarać“. W tym też duchu zredagowany jest następujący ważny i ciekawy reskrypt cesarza do gubernatorów i wogóle wszystkich wyższych urzędników państwa niebieskiego:

„Stosownie do traktatów z cesarstwem naszym przez zagraniczne mocarstwa zawartych, przybywają do Chin cudzoziemscy misyonarze w celu rozszerzania nauk, wyznawanych na Zachodzie. W ostatnich latach otrzymały wszystkie władze wyższe formalny nakaz opiekowania się misyonarzami cudzoziemskimi, którzy oddawna już pouczali lud i okazywali jedynie pokojowe zamiary. Nie rozumiemy, dlaczego obecnie lud chce ich zabijać, palić ich kościoły, wytępiać ich religię. Sprawa to prawdopodobnie tajnych towarzystw, których przewodcy usiłują wciągnąć lud w swe sieci. Towarzystwa te rozsiewają fałszywe pogłoski o cudzoziemcach, w celu wystawienia ich domów na rabunek. Bezpieczeństwo państwa narażone jest na szwank, dopóki przewodcy tajnych związków nie zostaną uwięzieni i surowo ukarani.

„Dlatego nakazuję wice-królom i namiestnikom moim wydać natychmiast odpowiednie zlecenia swym urzędnikom, uwięzić naczelników i członków tajnych towarzystw, wytoczyć im proces i ukarać śmiercią w razie udowodnienia winy. Zagraniczne nauki pożyteczne są dla Chińczyków, pragnących przyjąć religię misyonarzów. Równie nawróceni do zachodniej wiary, jak i ich kapłani są ludźmi spokojnymi i uczciwymi; niechajże zatem wice-królowie i namiestnicy moi wydadzą do ludu proklamacye, ostrzegające przed krążącymi oszczerstwami. Własność i życie misyonarzów i kupców zagranicznych w Chinach pozostają pod opieką naszą; urzędnicy nasi, zaniedbujący w tym względzie swe obowiązki, zostaną złożeni z zajmowanych posad i ukarani. Dawniej już wybuchły w wielu prowincjach podobne zamieszki, a cudzoziemcy zażądali za zniszczone swe majątki i kościoły silnego okupu,

z któregośmy się jeszcze dotąd uścić nie mogli. Niechże więc urzędnicy moi uczynią zadość, o ile można w najkrótszym czasie, słusznym wymaganiom; niech nie nadstawiają ucha słowom swych poddanych, którzy wytłumaczyć im usiłują, że nie są w stanie złożyć wymaganych pieniędzy“.

Groźby i nakazy cesarskie, wydane pod presją europejskiej dyplomacyi; memoryały pekińskich ministrów, również podobno głównie dla dyplomacyi tej napisane — nie o wiele niestety! są w stanie polepszyć smutny los chińskich misyj. Dwór pekiński ukarał kilku wichrzycieli, których dostał w swe ręce; rozesłał uspakajające edykty; ale wymusić tym edyktem uznanie i wykonanie, choćby miał nawet najlepszą wolę, o której wątpić się godzi, to pytanie, czy ma możebność i siłę. Sądząc z ostatnich wiadomości, płomień rewolucyjny wciąż się szerzy i na siłę zyskuje; a same tylko wymieniane między Pekinem a europejskimi stolicami grzeczne, a choćby nawet bardzo niegrzeczne noty, zagasić go nie potrafią. Misyjonarze patrzą na przyszłość w bardzo czarnych barwach; sądząc z ich listów, przyjść może w Chinach niezadługo do strasznej katastrofy. Bodajby tylko nadciągająca ta burza, skoro, zdaje się, jest nieuniknioną, oczyściła zgniłe tamtejsze powietrze!

KONGRES
KATOLICKI
W MECHLINIE.

Pomiędzy obradującymi w ostatnim czasie katolickimi kongresami główną oczywiście wagę ma dla nas kongres katolików niemieckich w Gdańsku i mający się zebrać w ostatnich dniach b. m. kongres katolików polskich w Toruniu. O kongresie gdańskim umieszcza *Przegląd* na innem miejscu obszernie sprawozdanie; o toruńskim spodziewamy się na przyszły miesiąc podobnego sprawozdania, i to również od jednego z czynnych uczestników. W szeregu innych wieców, wyjątkowe, bardzo poważne stanowisko zajął obradujący w Mechlinie od 8 do 13 września wiec katolików belgijskich. Wobec 2300 uczestników, wobec znakomitych gości, przybyłych głównie z Francyi, poruszano i roztrząsano wszechstronnie wszystkie niemal ważniejsze kwestye, któremi służący sprawie Królestwa bo-

żego na ziemi katolik zajmować się musi; na pierwszym miejscu kwestyę socyalną. Prezes kongresu, minister belgijski, Wiktor Jacobs, streścił zapatrywania swoje, a zarazem niezmiernej większości obradujących, odnośnie do roli, jaka przypada państwu w pracy około rozwiązania kwestyi socyalnej, w następujących słowach: „Państwo ma obowiązek stawać w obronie prawa słabszych, powinno wspierać nieszczęśliwych, starać się o udzielenie spoczynku robotnikom; ale wtedy dopiero żądać wolno pomocy państwowej, kiedy prywatna działalność wyczerpała wszystkie środki, którymi rozporządza“. Jednym z takich środków, w praktyce życia już wypróbowanych, jest konserwatywny związek: „Demokratyczna liga belgijska“, liczący około 60.000 członków, a mający obecnie siedlisko i silną organizacyę niemal we wszystkich większych gminach. Słowami i broszurami tylko walczyć przeciw socyalizmowi nie może dziś wystarczyć — odzywały się liczne a poważne głosy; jak ze wszystkiego, tak i ze socyalizmu trzeba naukę czerpać, trzeba zająć się na seryo losem i życiem klasy roboczej, organizacyę katolicką stawiać przeciw organizacyi pogańsko-socyalistycznej. „Dlatego właśnie — mówił przewodca „Demokratycznej ligi“, p. Helleputte, a słowa jego dobrze cechują stanowisko, zajęte przez kongres mechliński wobec kwestyi socyalnej — dlatego, ponieważ przekonani jesteśmy, że wyraz „demokracja“ jest wyrazem z samej swej istoty chrześcijańskim, i przeszkodzić pragniemy, aby nasi przeciwnicy broni sobie z niego dla celów swych nie ukuli; wywieszamy demokratyczny sztandar, jako nasz i jedynie do nas należący. Wywieszamy go i praw naszych, do sztandaru tego przywiązanych, potrafimy bronić!“

Jak katolickie kongresy niemieckie ujmują się w poczuciu sprawiedliwości za mowę polską, tak kongres mechliński uchwalił rezolucyę w obronie upośledzonej w szkołach, nieznaney i ztąd z lekceważeniem przez wyższe warstwy społeczeństwa traktowanej, mowy flamandzkiej. Bardzo były ciekawe, choć nie przeszły poza pole teoryi, rozprawy na temat: „Czy i pod jakimi warunkami możliwym jest teatr chrześcijański?“ Długo i obszernie zastanawiano się również, w jaki sposób zatamowaćby należało

rosnący w przerażających rozmiarach napływ pornograficznych obrazów, książek i dzienników, któremi Paryż formalnie Belgię zalewa. Grecko-unicki kapłan, O. Franco, pracujący obecnie w bibliotece watykańskiej, wezwał kongres i wszystkich katolików całego świata, do przyspieszenia wspólną modlitwą, pracą i propagandą, wielkiego, bożego prawdziwie dzieła: zjednoczenia schizmatycznego Kościoła wschodniego z Kościołem katolickim. Biskup Deschamps powiedział słusznie na jednym z dawniejszych kongresów mechlińskich: „Pomiędzy wszystkimi kwestyami, dwie dziś są najważniejsze: kwestya socyalna i powrotu Rosyi do katolickiej jedności. Aby do powrotu tego drogę przygotować, należy wszelkimi możliwymi sposobami zwalczać uprzedzenia rozszerzone w Rosyi przeciw katolicyzmowi; należy bardzo starannie rozróżniać sprawę wiary od sprawy obrządku; należy przedewszystkiem starać się o ukształcenie dobrego kleru dla katolickich ludów, trzymających się obrządku greckiego. Stolica św. rozumie doskonale te potrzeby, jak o tem świadczą liczne wschodnie kolegia ufundowane w Rzymie; jak świadczą założone w ostatnim czasie przez Leona XIII. kolegium ormiańskie. W tem nadzieja, że podjęte już usiłowania nie pójdą na marne i o to chodzi, aby katolicy całego świata zrozumieli ważność tej sprawy i wedle sił modlitwą, czynną propagandą, energiczną pomocą starali się ją poprzeć“.

PROWINCYO-
NALNY SYNOD
RUSKI WE
LWOWIE.

Obradujący w chwili, gdy słowa te piszemy, w obecności papieskiego delegata, mgr. A. Ciasca, synod ruski we Lwowie, zwraca na siebie właśnie dlatego w tak wysokim stopniu uwagę całego katolickiego świata, że rolą i opatrnościowem przeznaczeniem unickiej, katolickiej Rusi: służyć za pomost do tego tyle upragnionego zjednoczenia. „Ojciec św. — jak donosi *Osservatore Romano* — przywiązuje tak wielkie znaczenie do lwowskiego synodu, iż nakazał, aby mu natychmiast po każdym posiedzeniu szczegółowe o niem składano sprawozdanie“. Wątpić na chwilę nie można, że synod ten, pierwszy po głośnym w historyi synodzie zamojskim z r. 1720, stanie się i będzie rzeczywiście — jak się wyraża ks. metropolita

Sembratowicz w liście pasterskim, ogłaszającym zebranie synodu — „najodpowiedniejszym środkiem osiągnięcia wiadomości, niezbędnych tym, którzy należycie i skutecznie prowadzić mają dusze ku zbawieniu wiecznemu; do nabrania wprawy w kierowaniu kościelną łódką, aby pośród wzburzonych, zgubą grożących bałwanów morza tego świata przewieźć mogli duchowni sternicy powierzone sobie dusze do spokojnej, niebieskiej przystani“.

Ks. Jan Badeni.

Polonia w Hamburgu i Bremie.

LIST Z PODRÓŻY.

Mając przesłać korespondencyę o rodakach naszych, na diasporze zostających, zastrzegam sobie zgóry prawo podzielenia się z wami przynajmniej częstką wrażeń, doznanych w podróży, chociażby nawet nie mających ścisłego związku z właściwym przedmiotem. Być może, otrzymam za to nazwę gadatliwego turysty, a nie ścisłego korespondenta. Ale mniejsza o to! Poddam się chętnie wszelkiemu o mnie sądowi wzamian za swobodę pióra, która w naszej konstytucyjnej monarchii, a osobiwie w naszym pocziwym Krakowie, nie jest czezym przeciw frazesem!

Przebywszy 5000 kilometrów, trudno nie nie spostrzedz, a spostrzegłszy, przemilczeć. Zgóry już robię ustępstwo, pomijając Morawę, kędy taka płodność jest w ziemi, a taka martwota w umysłach i sercach; pomijam nawet i Wiedeń bezbarwny a w porze letniej nie bardzo zabawny, choć zawsze prześliczną swą muzyką przewyższający wszystkie stolicy Europy. Gór jednak pominąć nie mogę. Jakże miło, jak świeżo i swobodnie oddychają piersi na cudownym Semmeringu! Prawdę powiedział Humboldt:

Tam na górach jest wolność, tam grobów cuchnienie
Już nie sięga w przeczystych tych wyżyn przestrzenie ---
Świat jest doskonałością, byt uszczęśliwieniem,
Gdzie się nie wcisnął człowiek z swoim udręczeniem!...

Niedarmo to na górach dokonały się najważniejsze wypadki w dziejach ludzkości, od Araratu i Moryi, aż do Golgoty i Góry Oliwnej, niedarmo z góry wypowiedział Chrystus owych ośm błogosławieństw,...

toż zawsze jakiś ich promyk odbija się w duszy, ilekroć człowiek znajdzie się na górach. Milej więc niż na Wiednie i Berliny, spoglądałem górskiem powietrzem na cichy a kwiecisty Graz ze swą górą zamkową, z kąd oko bujając po przesłicznych wzgórzach i zielonych lasach, aż o białe mury Maria-Zellu oprzeć się może. Nie widziałem miasta w tak pięknem położeniu, chyba jeden Trydent z wieńcem Alp dokola, z elektrycznem oświetleniem i mnóstwem wodotrysków.

Starą powtarzałbym piosenkę, gdybym chciał opisywać czarowne wybrzeża Adryatyku, tem więcej, żem zwiedził malutką ich częśćkę, bo tylko Tryest i Miramare. Płynąc z Tryestu do Wenecyi, sądziłem, że doświadczę na sobie prawdziwości starego przysłowia: *qui nescit orare, cat ad mare*, lecz nie — silniej przemawia do mnie lada drzewo, lada kwiatek najmniejszy, niż te bezbrzeżne przestrzenie milczącego morza. Cały jego powab tkwi dla mnie nie w przestrzeni, ale w błękitnych głębiach, których przeźrocze oko nieraz aż do dna przenika. Czemuż tak mało ludzi jak to morze głębokich a przejrzystych? Czemu przeciwnie jest ich tyle podobnych do tej Wenecyi, co widnieje zdala w promieniach wschodzącego słońca czarowna, wspaniała, a zbliżka obszarpana, cuchnąca i brudna? Ruina to minionej świetności, ale ruina, w której gruzach kryją się resztki skarbków, dyamenty w glinianej skorupie. Smutno się robi, płynąc przez *Gran Canale*, na widok opustoszałych i jak żebraki obdartych pałaców Falieri'ch, Contarini'ch, Foscari'ch, Pallavicini'ch, Giustiniani'ch i t. p., tem smutniej, gdy się wie, że wiele z nich znajduje się już dzisiaj w żydowskich rękach. Rozweselał mię tylko mój pocziwy *Cicerone*, który siedząc z namaszczeniem na przodzie gondoli, odpowiada na drwinki mijających się z nami gondolierów lakonicznem ale treściwem *stupido* lub *porco*, snąc rozdając te epitety odpowiednio do zasług. Lecz oto przybijamy do brzegu i rozpoczyna się ta rozkoszna, tyle razy opowiadana uczta duchowa — zwiedzanie kościołów. Santa Maria della Salute, Santa Maria gloriosa dei Frari, św. Marek z mozaikami świeżo odnowionemi, San Giorgio Maggiore i tyle innych, gdzie architektura, rzeźba i malarstwo wszystkimi blaskami piękna przemawiają do duszy... Tu poznaje człowiek całą potęgę ludzkiego ducha, cały urok sztuki, cały zasób piękna, gdzieś w głębi ducha ludzkiego ręką bożą złożony, i — całą nieudolność dzisiejszych mistrzów w odtwarzaniu religijnych postaci. Nie dziwna zresztą ta nieudolność naszego wieku w tym kierunku, bo jak trafnie mawiał Fra Angelico: *Chi fa cose di Cristo, con Cristo deve star sempre* (kto robi rzeczy Chrystusowe, z Chrystusem musi być zawsze).

Zimno mi się zrobiło fizycznie i duchowo, opuszczając te opromienione Włochy: po kilkogodzinnej jeździe między Alą a Trydentem, nagle z upału, dochodzącego 36° R., wjechałem w alpejską okolicę, gdzie padał deszcz ze śniegiem zmieszany, a zimno przenikliwe przejmowało mię dreszczem. Lecz i po wyjeździe z Tyrolu zimno się robi na widok Bawaryi, przepełnionej hydropatycznymi zakładami Kneipa. Wszystko tu mówi, marzy i pisze o Kneipie, do niego jedzie lub od niego wraca. Wszędzie, gdzie spojrzysz, czytasz napisy: *Pfarrer Kneip's Gesundheits-Brot, Kneip's Suppe, Kneip's Caffee, Kneip's Cigarren, Kneip's Pillen, Kneip's Apotheke, Kneip's Wäsche, Kneip's Unterkleider, Kneip's Litteratur*. Doprawdy, wszystko się tu „knajpuje“ w pełnem tj. dwójkiem tego słowa znaczeniu, bo ponieważ piwo jako płyn pokrewne jest wodzie, więc niemniejsze jak hydropatya ma tu zastosowanie. W jednym z miast bawarskich wyczytałem na kufelku napis, doskonałe charakteryzujący szeroko rozgałęzione stowarzyszenie zwolenników nie już Kneipa, ale knajpy:

Ob auch der Russ' den Türken bläut,
Das ist mir völlig Wurst:
Ich liebe die Gemüthlichkeit
Und pflege meinen Durst!

Na punkcie zaspakajania pragnień tego rodzaju niezawodnie prym trzyma Monachium; niedarmo też znawcy zowią je *eine Bierstadt*, lubo niemniej sprawiedliwie przysługuje mu miano stolicy sztuk pięknych. Takiego bogactwa zbiorów wszelkiego rodzaju, a przedewszystkiem z dziedziny sztuk pięknych, nie widziałem nigdzie. Przemileżę o tych arcydziełach, bobym się już zupełnie minąć musiał z założeniem mej korespondencyi.

Wiele czasu i sił pochłonęło mi Monachium, więc prędko zwiedziwszy Stuttgart i Karlsruhe, zajrzałem na kilka godzin do Frankfurtu n/M. na wystawę elektryczną; i tu pokiawwszy głową na widok wszystkich generatorów, elektro-motorów, reostatów i maszyn elektro-dynamicznych, zachwycony wynalazkami Siemens'a, lecz daleko więcej czarodziejskiem światłem elektrycznych wodotrysków i kwiatów, kupiwszy elektryczną drobnostkę i zjadłszy prawdopodobnie elektryczną, bo szalenie drogą kolację — wyruszyłem ku Moguncyi, ciesząc się w duchu, że następne po nas pokolenie jeździć będzie przyjemniejszą i bezpieczniejszą od pary elektryką. Niezaprzeczenie jednak najmilszą jest podróż statkiem parowym, a zwłaszcza po czarownym Renie, z którego brzegów widnieją co chwila tajemnicze wieżycy zamków, jak Marxburg, zbudowany w r. 1437 a świeżo jeszcze zachowany, jak Drachenfels, do któ-

rego zębatą jedzie się koleją, lub sławne zamki *Katz* i *Maus*, które niegdyś zaciętą toczyły między sobą walkę. Pośród tych pięknych widoków stoi wyniosłe pomnik narodowy (*Nationalmonument*), kamienna Germania, z której ust wółotwartych zda się rozbrzmiewać *Die Wacht am Rhein*, straszliwsza niż niegdyś dla Gallów most Cezara, którego kłody dębowe niedawno znaleziono na dnie Renu. Nie znać tu jednak grozy ni ucisku; przeciwnie, brzegi Renu, okryte winnicami, łądzą pozorem dostatku i szczęścia. W Rüdesheim, w dzień św. Jakóba zdobiono zazwyczaj obraz tego Świętego wieńcem dojrzałych winogron; w tym roku zaniechano dawnej tradycji, — czy dlatego, że jeszcze nie dojrzały grona, czy że już przejrzała pobożność? Wyjątkiem byłby ten objaw w prowincjach nadreńskich, w których zresztą na brak szczerego katolicyzmu skarżyć się nie można. Kwitnie tu bowiem w całej pełni nie jakiś państwowy albo barani (*sit venia verbo*) katolicyzm, ale odważny, kościelny, Chrystusowy, objawiający się słowem i czynem, prywatnie i publicznie, w domu, w szkole, w stowarzyszeniach i sejmach — katolicyzm, który umiał sobie pomimo kulturkampfu wywalczyć prawa, o jakich gdzieindziej w krajach pozornie katolickich zamarzyć nawet trudno. Abiturycenci nie otrzymują tam świadectwa dojrzałości bez egzaminu z religii, szkoły pomimo wszelkich usiłowań rządu pozostały tam wyznaniowe; religii mają tam dzieci nie dwie lub jedną, ale cztery godziny tygodniowo; popisy szkolne nigdy się tam nie odbywają w niedzielę, żyd nigdy tam nie bywa delegatem szkolnym; inspektor szkolny (*Schulrath*) nie ma tam prawa sądzić nawet o metodzie katechety; sam rząd, choć do małżeństwa wymaga ślubu cywilnego, sumiennie jednak przesyła proboszczowi wykaz wszystkich ślubów cywilnych, ażeby tenże mógł, porównawszy go *cum libro copulatorum*, nakłonić obojętnych lub upornych do zawarcia ślubu kościelnego. Pobożność też tutejszych katolików jest rzetelna, bo oparta na częstem przyjmowaniu Sakramentów śś. Nad Renem, podobnie jak u nas chyba w Tyrolu, w każdą sobotę popołudniu pełne są kościoły nietylko pobożnych niewiast, ale i poważnych mężczyzn, najprzykładniej przystępujących do konfesynału.

Przy końcu mej podróży po Renie spotkałem dwóch rodaków, o ile pamiętam profesorów gimnazyalnych ze Stanisławowa, jadących wtedy z Paryża na Antwerpię i Londyn. Więcej mię zajęło spotkanie Amerykanina na wieży katedry kolońskiej, w wysokości 160 m., który bardzo łamaną polszczyzną przedstawił mi się jako Robert Tarło, Polak, wspólnik firmy *Roch & Tarło Mfrs of artistic furniture* w Fila-

delfii. Mienił się potomkiem historycznej Tarłów rodziny i rzeczywiście posiada szlacheckie dyplomy, jako spadek po swym dziadku, który po wieloletniej służbie w wojsku saskim przeniósł się do Ameryki. Wskutek zniemczenia się dziadka, zniemczył się też ojciec i syn, ale mową tylko, nie sercem, które szczerze polskiem zostało. Wspólnie zwiedziliśmy katedrę i oglądaliśmy złotą trumnę z ciałami trzech królów, ozdobioną 1460 drogimi kamieniami, miecz elektorski, rękopis z XI. w. i druk z r. 1456. Czyniąc zadość prośbie sir Roberta, posłałem mu herbarz Niesieckiego, aby mógł się zapoznać z historią swych przodków.

Od Hanoweru poczynawszy, rozpoczyna się już polska diaspora i sięga aż po Bremę i Hamburg, a nawet Szlezwik-Holsztyn ogarnia. Brema, to najgłówniejszy punkt zborny wychodźców dążących do Ameryki z Niemiec, Polski i wielu innych krain słowiańskich i niesłowiańskich. Więcej niż $\frac{3}{4}$ europejskich wychodźców odpływa z Bremy. Jeśli więc między r. 1845—1851 liczba samych tylko niemieckich wychodźców dochodziła do 1,300.000, a w jednym roku 1867 do 120.000, w r. zaś 1878/9 samych Polaków jadących do Brazylii było 100.000, to można sobie wystawić, jak olbrzymi ruch wychodźstwa odczuć się daje w Bremie. Na 130.000—150.000 stałych mieszkańców ma Brema tylko 6000 katolików, z których około 4000 są katolikami tylko z imienia. Polaków jest tu zaledwie 400—600. Istnieje pomiędzy nimi stowarzyszenie imienia Kościuszki, w którego skład wchodzi niemal wyłącznie sami tylko rękodzielnicy. Kilka rodzin polskich zamożniejszych i wykształceńszych trzyma się zupełnie na uboczu. Księża reprezentujący tutaj Stowarzyszenie św. Rafała, jak chlubnie znany ks. Schlösser i młody Słowak czy Morawianin, ks. Prachař, pochłonięci są sprawami wychodźców. Do księży zaś tutejszej parafii zniechęceni są katolicy wogóle, a w szczególności Polacy, co oczywiście wobec tamtejszych stosunków wpływa na indyferentyzm religijny. Małżeństwa mieszane i cywilne są tu na porządku dziennym, a nierzadko zdarzają się i apostazy. Prądy też socjalistyczne nurtują tu na dobre. Jeden jest tylko kościół katolicki; inne zamienione już na protestanckie zbory, nawet najdawniejszy, budowany jeszcze przez św. Wilibroda — dziś jakże przykry przedstawia widok! Ściany odarte z obrazów, mnóstwo rzędów ławek wzdłuż i wpoprzek stojących psuje czystość wspólnego gotyku, dzwony stoją na ziemi w przedsionku, mileżące i przysypane pyłem. Jest w tym kościele podziemny grobowiec, w którym powietrze ma tę szczególną własność, że ciała tam złożone nie gniją, jedno wysychają, nie tracąc nawet wiele ze swej białości. Widziałem

trupy nietknięte zgnilizną, chociaż leżące tutaj od lat 500 w otwartych trumnach.

Niedaleko od Bremy, w miejscowości Blumenthal, znajduje się fabryka wełny, przy której pracuje kilkuset Polaków i Polek. Właściciel tej fabryki, lubo protestant, wystawił im kościółek. Nie mogłem odwiedzić Blumenthalu, bo mi spieszyć było potrzeba, by stanąć na umówiony termin w Hamburgu i tam rozpocząć małą pracę misyjną.

Hamburg osobliwszy przedstawia widok. Chmury dymu nawet wśród najpiękniejszej pogody wiszą nad miastem, czyniąc powietrze dusznem dla płuc a niezdolnem dla powonienia. Przedmieścia pełne ogrodów i dwa jeziora olbrzymie, zwane Alster a położone w środku miasta, ożywiają nieco nieznośną tę atmosferę. Osobliwością jest rząd wolnego miasta Hamburga, zwany senatem, w którego skład wchodzi sami tylko członkowie rodzin możniejszych tutejszej arystokracji; jestto więc formalne możnowładztwo. Półmilionowa ludność Hamburga przedstawia mozaikę różnych narodowości i religij; jest tu nawet „armia zbawienia“ (*Heilsarmee*), odbywająca swe wesołe procesye po ulicach i bezpłatnie rozdająca każdemu swe pismo, redagowane w Hamburgu. Katolików jest tu do 30.000, kościołów dwa w samym mieście, oprócz kilku innych rozrzuconych po przedmieściach i w Altonie. Księża katolickich tutaj i w okolicy znajduje się jedenastu. Przywileje mają ogromne, jak np.: prawo binowania Mszy św. i nieograniczoną władzę w konfesyjale. Rząd atoli dla katolików źle jest usposobiony i nie zgola dla nich nie czyni, tyle tylko, że ich cierpi u siebie. Kościół, szkołę, księży, utrzymuje gmina katolicka. Jest tu nawet katolickie gimnazjum, w którym uczniowie kończą sekundę, tj. naszą siódmą klasę. Gimnazjum to również utrzymywane jest kosztem duchowieństwa i wiernych. Bez tej ich ofiarności, katolicyzm byłby upadł już dawno, a tymczasem wzmaga się, rozwija, buduje coraz więcej kościołów i szkół, zakłada coraz więcej stowarzyszeń. Warunki są tu niemal te same jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, z tą tylko różnicą, że zamiast ofiary życia, konieczną nieraz bywa ofiara majątku, dla dobra i całości wiary.

Wśród takich to warunków żyją nasi rodacy, warunków tem trudniejszych, że tu potrzeba bardziej niż gdziekolwiek twardo stać przy swej wierze i dzielniejszym być umysłowo i moralnie. Śmiało bowiem powiedzieć można, że protestantyzm przestał już tu istnieć, a pozostał ateizm, lub w najlepszym razie zupełna obojętność religijna, i co za tem idzie, rozwiązłość obyczajów, granicząca niemal z wyuzda-

niem. Już od Osnabryku poczynawszy, protestanckie sklepy w niedzielę są tu prawie bez wyjątku otwarte, lud wiejski pracuje w polu, rzemieślnicy w warsztatach, tak samo jak w dzień powszedni, publicznie nawet budują tu domy i brukują ulice; lecz to tylko do południa, popołudniowe zaś godziny zapełnia pijaństwo, gra i rozpusta. Pastorzy protestanczy może więcej jeszcze niż ich owieczki są ateuszami. Brema i Hamburg słyszały już nieraz swoich predykantów, dowodzących z aubon, że Chrystus Pan nie był Bogiem. Zbory protestanckie w niedzielę świecą tu zazwyczaj pustkami. Istnieje nawet prawo, pozwalające pastrowi zaniechać kazania, jeśli niema przynajmniej 20 słuchaczy. Dla scharakteryzowania, do jakiego stopnia w Bremie doszło wyuzdanie antyreligijne, opowiem rzecz wstrętną: że w sławnej, olbrzymiej giełdzie między freskami zdobiącymi ściany, a przedstawiającymi symbolicznie różne gałęzie przemysłu, znajduje się obraz symbolizujący wino: w środku stoi beczka, na niej jakaś Fryna bezwstydną, dokoła zaś apostołowie z pełnymi kieliszkami w rękę, twarze ich czerwone, obrzękłe policzki, chwiejące się nogi; jedni się ściskają, drudzy patrzą w kieliszek, inni, jak św. Piotr z kluczami, pijackie spojrzenia zwracają ku beczce! Zaiste, takie ozdoby godne są chyba chlewu dla trzody Epikura. Podobnemu rozkładowi ulega już protestantyzm niemiecki niemal wszędzie, sprawdzając na sobie proroctwo Chrystusowe, że wszelka gałąź od pnia odcięta uwiednie i uschnie. Jedna niemal Saksonia jeszcze reprezentantką partii „prawowiernych“ (*Orthodoxe*), zresztą wszędzie już liberalni mają przewagę. A nawet i między prawowiernymi, jak np. w Szlezwiku-Holsztynie, powstał obecnie spór, powszechną zwracający uwagę: czy Pismo św. jest ludzką, czy też bożą księgą! Oburzają się liberalni na prawowiernych za procesy dyscyplinarne, wytoczone przez nich obecnie predykanom i profesorom za wykroczenia przeciw religii; szydzą sobie ze sporu szlezwicko-holsztyńskiego, zowiąc go *eine kleinliche Plänkelei*, i życzą Kościołowi protestanckiemu reformy *in capite et membris*, aby nie tracąc czasu nad kwestyami teologicznymi, usiłował odpowiednio do ducha czasu zaszczerpić chrześcijańską ideę w nowe społeczeństwo ludzkie¹.

Dla katolików wykształceńszych, głębiej myślących, wewnętrzny rozkład protestantyzmu jest faktem umacniającym ich wiarę; lecz dla ludzi prostych, z jakich przeważnie składa się polska diaspora w Hamburgu i jego okolicach, bezbożność protestancka jest kamieniem obrazy

¹ Por. *Berliner Tageblatt (Morgenausgabe)* z d. 24 lipca b. r.

i trutką zgorzenia. Szyderstwo zniechęca, zły przykład pociąga, burząc powoli Królestwo Boże w polskich sercach ludu naszego. Mówię ludu, bo Polacy nasi w tych stronach są to po największej części wieśniacy i to przeważnie z Księstwa Poznańskiego albo Prus Zachodnich. Są tu wprawdzie w Hamburgu i Altonie Polacy, zajmujący stanowiska inżynierów, dyrektorów fabryk i t. p., ale to tylko wyjątki; ogół stanowi lud prosty, pracujący w porcie hamburskim, przy fabrykach lub przy kolei. Jest też w Hamburgu przed trzema laty założony związek polski, pod nazwą „Nadzieja“; ale zwodnicza to nadzieja, bo niedobry, nieco socjalistyczny duch w niej wieje. Przeciwnie zaś wśród robotników naszych spostrzegłem wiele stron dodatnich. Strój swój wprawdzie rodzinny zarzucili prawie zupełnie: w niedzielę nasze Bartki i Maćki ubierają się jak panowie w elegancki czarny tużurek, modną krawatę, stojący kołnierzyk i mankiety, a nasze Magdy i Kaśki wyglądają jak jakie panie, w sukniach wedle żurnalu, w skrzydlatych kapeluszach i w glansowanych rękawiczkach; serce jednak i pod tym strojem bije poczciwe. Prawda, zepsucie jest tu wielkie, bo i okazyje do złego też niemałe. Wpobliżu każdej fabryki osiedla się Niemiec lub żyd, trzymający szynk z obszerną salą do tańca. Zakłady takie są zawsze najzgubniejszą szkołą zepsucia. Zepsuciu temu nie ulegają zazwyczaj ludzie żonaci lub tacy, którzy ubogą rodzinę zostawiwszy w kraju, przybyli tu po to, by pracą swoją ratować ich w biedzie; parobcy zaś i dziewczęta, których najczęściej wypędza na wędrowną ciekawość, ludzka namowa, chęć nowości i swobody, ci przeważnie przynajmniej moralnie marnieją. A jednak, jakże miło pracować dla tego ludu! Tyle w nim chęci najlepszych i podatności do dobrego. Przez dni dziesięć, które spędziłem w Hamburgu, na wieść, że ksiądz polski przyjechał, spieszył lud ten codziennie z Wandsbecku i Schiffsbecku, z Altony, Harburga i Wilhelmsburga i stał naczeczno nieraz od 6 rano do 8 wieczorem, byle tylko mógł wypowiedać się i przyjąć Komunię św. Gdym raz pierwszy, dając ślub polski, słów kilka od ołtarza przemówił, mężczyźni na dźwięk mowy ojczystej dobywali chustek ocierając oczy; a gdym ich upominał z ambony, aby złem życiem swoim nie podawali imienia wiary i ojczyzny naszej Niemcom na poniewierkę, lecz owszem żyjąc wśród bezbożników, aby świecili jako prawdziwa światłość Chrystusowa, czytałem głębokie wzruszenie i gorący zapal w ich twarzach. Całemi godzinami brzmiały po nabożeństwie polskie pieśni gromkimi śpiewane głosami, tak, że Niemcy o nich mawiali: *Die Polen kann man nicht aus der Kirche vertreiben*. Doprawdy,

powinno zepsucia i niebezpieczeństw, jakie tu naszych otaczają, dość byłoby rok jeden szczerze popracować, aby ich podnieść moralnie, uszlachetnić, zjednoczyć i natchnąć siłą, przed którą spróchniały protestantyzm musiałby uchylić czoła.

Liczba Polaków, stale mieszkających w tych stronach, jest wcale poważna. W samym Hamburgu i Altonie mieszka ich do 5000, oprócz tego niemało ich pracuje w okolicznych fabrykach. Najliczniejszy zastęp takich fabrycznych robotników polskich znajduje się w Wilhelmsburgu, na drugim brzegu Elby, 20 minut drogi statkiem parowym z Hamburga. Zwiedziłem tę fabrykę: pracuje tu blisko tysiąc Polaków i Polek przy wyrabianiu i czyszczeniu wełny. Mieszkania mają w kamienicach, tuż przy fabryce stojących: jedne przeznaczone dla żonatych, drugie dla dziewcząt, inne dla parobków. Zarobek dzienny w tej fabryce wynosi 3—4 marek. Właściciel pragnie mieć tutaj polskiego kapelana i podejmuje się płacić mu 800, czy nawet 1200 marek, wystawić plebanię, kaplicę i sprawić paramenta kościelne. Lud nasz o tem tylko marzy, aby mieć tu polskiego księdza i polskie nabożeństwo. Nie byłoby jednak dobrem, aby Polacy tutejsi we wszystkim zachować chcieli odrębność narodową. Wobec tutejszych stosunków i wpływów, wobec nieprzychylności rządu, wobec ogromnej większości innowierców, mała ich garstka, i to rozproszona, nie potrafiłaby oprzeć się samoistnie tej przewadze złego. Dwie drogi stoją im do wyboru: albo odrębnością osłabiwszy swe siły, uległ protestantyzmowi i stracił wiarę i narodowość, albo połączeniem się z katolikami niemieckimi, wzmoćnić się i ocalić oboje lub co najmniej jedno, tj. wiarę. Łączyć się więc im potrzeba ze stowarzyszeniami katolików niemieckich, uczyć się ich języka, organ katolicki (*Das Kirchenblatt*) wszelkimi siłami popierać, dzieci też do niemiecko-katolickich szkół posyłać i pieniężnymi datkami przyczyniać się do utrzymania kościoła i szkoły. Przez to potężniejszem się stanie stronnictwo katolickie, a prawa, jego staraniem wywalczone, staną się też udziałem Polaków. Dzieci naszych robotników, mając odpowiednie wykształcenie, zajmą wyższe posady i powiększą szczupłą liczbę tutejszej polskiej inteligencji. Dziewczęta nasze przez małżeństwa nawracać będą protestantów do katolicyzmu. Nie mrzonki to, ale uwagi, oparte na zdaniu ludzi najpoważniejszych i najdokładniej znających tutejsze stosunki, a w części i na własnem nawet doświadczeniu. Widziałem tu 15-letniego chłopca, który dlatego, że umiał już po niemiecku, zarabiał u dyrektora fabryki oprócz zupełnego utrzymania, 15—18 marek tygodniowo, które składał wytrwale

na zakupienie sobie gruntu w Księstwie Poznańskim. Widziałem kilka naszych dziewcząt, które swych narzeczonych protestantów potrafiły już przed ślubem nakłonić do przejścia na katolicyzm. Wiem, że w takiej wspólności z katolickimi Niemcami, część jakaś naszych rodaków zapomniałaby swej mowy, a nawet może i ojczyzny, ale lepiej przecież stracić narodowość a ocalić wiarę, niż zaprzepaścić i jedno i drugie. Inne są warunki dla naszej diaspory np. w Westfalii, gdzie niema otoczenia i wpływu protestantów, inne też są w Saksonii, gdzie lud nasz liczyć wprawdzie można na dziesiątki tysięcy, ale gdzie mała tylko liczba stale się osiedla, a większość na chwilowy przychodzi zarobek. W takich warunkach lepszą jest może zupełna odrębność narodowa.

Skończywszy misję w Hamburgu, zrobiłem dwudniową wycieczkę do Helgolandu przez Cuxhaven. Okręt był urządzony z komfortem, pogoda sprzyjała prześliczna, więc przypomniałem sobie klasyczny wiersz Adama:

Już się z pogodnych niebios ośma zdarła smutna;
Zeglarzu, ciągnij rudel, wiatrom podaj płótna,
Wzmocnioną wczasem dłonią słone krajaj piany,
Otworem ci przestrzenne leżą oceanu.

Promienie słoneczne łamiąc się w wodzie, pryskającej od dwóch kół parowca, tworzyły przez dwie godziny (od 8 do 10) najpiękniejszą tęczę. Lecz smacć tęcza na wodzie nie jest wróżbą pogody, bo około południa zerwała się burza, deszcz i wichur szalony. Morze w oddali już zmieniło swą barwę zieloną na białą i biegła ku nam bezbrzeżna jego powierzchnia pianą, jakby śniegiem, okryta. W tej chwili dwóch żeglarzy roznośić zaczęło złowróżbne blaszane naczynka, stawiając je przed podróżnymi. W kwadrans potem fale już wpadały na pokład, a kołysanie stało się tak gwałtownem, że bolesne libacje dla Pozejdona były niemal powszechne. Przy wylądowaniu burza ucichła nieco, goście klimatyczni Helgolandu stali szeregiem na brzegu i witali nas najpoufalszym w świecie uśmiechem, pytając bledszych twarzy, czy im się dobrze powodziło, czy podróż się podobała, czy teraz im lepiej i t. d. O Helgolandzie wiadomo, że:

Grün ist das Land,
Roth ist die Kant,
Weiss ist der Sand:
Das sind die Farben
Von Helgoland.

W pół godziny obejść można całą tę wyspę. Ludność jej liczy 2500 mieszkańców, mających jeden kościół luterski i jedno źródło — lecz słone. Klimat za to bardzo tu łagodny nawet w zimie. O 10 minut drogi łódką leży mała wysepka Düne, gdzie są kąpiele. Na Helgolandzie niema policyi ni żandarmów. Zbrodnie podobno nie zdarzają się tu wcale. Przyczyną tej lojalności jest zapewne szczupłość przestrzeni i wynikająca ztąd familijna zażyłość między wyspiarzami. Po powrocie z Helgolandu zastałem w Hamburgu tłumy żydów, wygnanych z Rosyi a udających się do Ameryki. Oby im się tam dobrze powodziło! aby przyzywali swych braci. Nie zatrzymując się długo, wyruszyłem przez Berlin, Lipsk, Drezno i Pragę do domu...

Dobrze jest choć raz w życiu odbyć podróż dłuższą, chociażby tylko dlatego, by się przekonać, że istotnie ojczyzna jest „jak zdrowie — ile ją trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto ją stracił“.

B. Jasieńczyk.

Wrażenia z kongresu gdańskiego.

Nie w zbyt wesołym usposobieniu, nie bez troski, wznagającej się zwłaszcza w dniach ostatnich wskutek niekoniecznie szczęśliwych i zręcznych wystąpień niektórych naszych organów, jechałem do Gdańska na XXXVIII. wiec katolików niemieckich. Uczestniczyć w tych obradach chciałem z wielorakich racyj; choćby już nie dlatego, aby się nauczyć, jak wiece takie organizować, aby się zetknąć z wszystkimi wybitniejszymi przedstawicielami katolików w Niemczech — to dlatego, że uważałem za pewnego rodzaju obowiązek, nie usuwać się w kresowem mieście między Niemcami a Polską od wspólnej pracy na wspólnem polu katolickich spraw i interesów; że pragnąłem i ze swej strony ile sił i możliwości przyczynić się do zapobieżenia zawsze niezdrowym dla nas, z każdego punktu widzenia szkodliwym kwasom i niechęciom, między nami a jedynymi naszymi doświadczoneymi sojusznikami. Ale czy wiec gdański dorówna w świetności, w znaczeniu swym poprzednikom; czy dziś, po śmierci Windthorsta, nie zabraknie przewodcy z taką jak on energią i z taką przezornością; czy w mieście, w którym tyle krzyżuje się sprzecznych interesów, tyle na każdym kroku pamiątek i znaków dawniejszych i świeżych walk między katolicyzmem a protestantyzmem, między niemieckim a polskim żywiołem — czy w mieście tem jedno nieroztropne słowo nie stanie się iskrą wznieca-

jąca nowe pożary? Pytania takie nie mnie jednego niepokoiły; stawiali je sobie oddawna sami organizatorowie wiecu, — ale Windthorst jeszcze wydał hasło: „Do Gdańska!“ — ale kto niebezpieczeństwu śmiało w oczy nie zajrzy, ten nigdy bitwy nie wygra; więc naprzód w imię Boże!

Nad Renem, w Westfalii, w prowincjach czysto katolickich, całe miasta stroiły się w wieńce i chorągwie na przybycie kongresowych gości; w Gdańsku domy katolickie ustroiły się również, ale domów tych, niestety! niezbyt wiele. Wieczorem, w niedzielę 30 sierpnia, nabożeństwo w kościele św. Mikołaja, a ztąd prosto do wspaniałej sali Towarzystwa strzeleckiego, przybranej w kwiaty i wieńce, oblanej strumieniami elektrycznego światła. Na tle kwiatów i zieleni maluje się i króluje nad całą salą wielki obraz Niepokalanego Poczęcia, Murilla; po obu jego bokach wznoszą się na wysmukłych, białych kolumnach biusty: Papieża i cesarza. Przy dziennikarskim stole około trzydziestu, z bliższych i z bardzo dalekich stron przybyłych reporterów i wszelkiego rodzaju i nazwy niewolników gazetarskiego pióra. Sala dość wielka, ale zaledwie pomieścić może wciąż przybywających. „Będzie nas tu do 2000“ — zapewnia jeden. „Bez wątpienia więcej“ — zaręcza ktoś inny. „Okolo 2000, ale nie wliczając w to pań w łozach“ — przecina kwestyę znawca miejscowych stosunków. Odgłos wojskowej muzyki przerywa szmer wzajemnych witań i pytań: „powitalne zebranie“ urzędowo rozpoczęte.

Kto lękał się — a jeśli nie głośno, to w cichości serca lękało się nas niemało — aby sala narad nie zamieniła się w plac bitwy, aby Gdańsk nie zabrzmiał hasłami kościelnej i narodowościowej walki — ten odetchnął swobodniej po pierwszym tem, wstępnem zebraniu. Napróžno jeden ze zbyt żarliwych pastorów piorunował w zborze, przekształconym z katolickiego kościoła N. Panny, przeciw kongresowi i ciskał gromy potępienia na jego uczestników; napróžno „Związek ewangeliczny“ wydrukować kazał wymierzony przeciw kongresowi paszkwil i weiskał go do rąk po ulicach i kościołach; — katolicy, równie jak i rozsądniejsi protestanci, wstrząsali tylko ramionami na te bezsilne guiewy i nie raczyli nawet zwrócić na nie swej uwagi. Nadburmistrz gdański, dr. Baumbach, choć sam protestant, przywitał serdecznie zgromadzonych katolików z polecenia magistratu i we własnem imieniu; a do powitalnych swych słów dodał słowo czci i uznania dla „politycznego swego przeciwnika“, Windthorsta, które zjednało mu odrazu nietylko huczne oklaski, ale i szczerą sympatyę. Prezes miejscowego komitetu, kupiec Józef Fuchs, zaznaczył znowu z naciskiem we wstę-

pnej przemowie, że tam, gdzie katolicy na wspólne narady się schodzą, nie może być nawet mowy o jakichś narodowościowych waśniach i uprzedzeniach. „Wszyscy dążymy tu do jednego celu; a w jednomyślnem dążeniu do wielkiego tego celu, który wszyscy mamy przed oczyma, ani przeszkadzać ani różnicy nie może stanowić, czy kto z nas mówi: *Gelobt sei Jesus Christus*, czy też: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*“.

Piękna ta chrześcijańska nuta wzajemnej wyrozumiałości i miłości nie została zakłócona żadnym ważniejszym dysonansem aż do samego końca obrad. Gdy jeden z mowców, dr. Grube, poruszył, choć bardzo lekko, polemicznej struny przeciw protestantyzmowi, został natychmiast przez prezesa, hr. Rechberga, przywołany do porządku. Skarżyć się też było niepodobna, żeby kongres zajął względem Polaków choćby w jednej, jedynej kwestyi niechętnie stanowisko. Wedle regulaminu, którego katolickie kongresy niemieckie od dawnych lat bardzo ściśle się trzymają, niewolno powoływać ani do prezydium, ani nawet na mównicę mieszkańców dyecezyi, w której wiec obraduje. Uczestnicy z chełmskiej dyecezyi byli zatem zgóry wykluczeni od zasiadania przy prezesowskim stole; ponieważ jednak obradując w Gdańsku, chciano przy stole tym widzieć i Polaka, zwrócił komitet przygotowawczy oczy na Poznańskie i przedstawił hr. Hektora Kwileckiego na godność drugiego wiceprezesa. Między sekretarzami zasiadł mecenas Bielewicz; w sekcyi dla sztuki i prasy przewodniczył hr. Adam Sierakowski.

— A to piękna historia! — przerwał mi ktoś, gdy mu kilka tych nazwisk wyliczyłem. — Sześć było sekcyj, a w jednej wybrali Polaka prezesem. Jest o czem wspominać!

— Zapewne, w Toruniu nie byłoby o czem wspominać. Ale w Gdańsku zebrał się nie polski, lecz niemiecki kongres; więc bądźco bądź dał chyba przez te wybory dowód dobrej swej woli.

Dobra wola, szczere zajęcie się naszymi interesami i sprawami, o ile one ze sprawą katolicką się łączą, występowały na jaw we wszystkich i ogólnych posiedzeniach i sekcyjnych naradach; występowały w urzędowych toastach i przemowach, a bardziej jeszcze w poufnych pogawędkach. Gdy ks. Łukaszczyk witał zgromadzonych w imieniu Górnoszlązaków, którzy, „czy posługują się polską, czy niemiecką mową, jedną i tę samą czują miłość dla Głowy katolickiego Kościoła“; gdy następnie hr. Kwilecki pozdrowił niemieckich katolików od katolików z archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej, „boć wszyscy katolicy bez różnicy narodowości są sobie braćmi“ — nie było końca oklaskom

i radośnym okrzykom. „W Gdańsku — mówił kanonik Steugert — przebywał niegdyś św. męczennik Wojciech, św. Jacek; tu spoczywały dłuższy czas relikwie wielkiej świętej Brygity; — dziś okoliczności wprowadziły się zmieniły, ale wiara gdańskich katolików pozostała niezmienną; w tej mierze, choć różnymi mówią językami, niemasz między nimi różnicy“. Prezes kongresu, hr. Rechberg, wyraził żal, że archidiecezja gnieźnieńsko-poznańska nie jest dotychczas obsadzoną, a zarazem nadzieję, że gwałtownej tej potrzebie stanie się wreszcie zadość i to w najkrótszym czasie. Immy, nie mniejszej dla nas doniosłości wniosek postawili posłowie: dr. Porsch, Krebs i ks. proboszcz Mentzel:

„Trzydziesty ósmy walny wiec katolików niemieckich wyraża przekonanie, że nauka religii udzielaną być winna w języku ojczystym, we wszystkich klasach szkoły ludowej“.

Rezolucya ta, powtarzana od wielu już lat na katolickich wiecach niemieckich, przyjętą została jednomyślnie. Natomiast, nie trudno już było zgóry przewidzieć, że utrzymać się nie zdołają dwie poprawki, przedłożone przez p. Emila Czarlińskiego. W pierwszej żądał on, aby wiec wyraził swe przekonanie, że nie tylko nauka religii, lecz wogóle nauka udzielaną być winna w języku ojczystym; w drugiej domagał się, aby dzieci przygotowywane były w języku ojczystym do spowiedzi i do Komunii św. Słuszności obu tych żądań nikt nie zaprzeczył, ale — jak to zauważył przewodniczący sekcji szkolnej, dr. Porsch — wysuwają się one poza pole obrad katolickiego kongresu, a druga zwłaszcza poprawka wkracza w dziedzinę, w której jedynie władza kościelna głos zabierać może. Można by może przeciw tym argumentom postawić niejedyn argument, i niejedyn słyszałem i czytałem; ale d-rowsi Porschowi nie chodziło tyle o wewnętrzną siłę argumentów, ile o zręczne a grzeczne przytłumienie pytań, których kongresowi oczywiście przedkładać nie należało, i co do których bodaj czy i dla nas nie lepiej, że się w dyskusję nie wdawano.

Kwestyę wychodźstwa, tak u nas piekącą, omówili, szczególną uwagę poświęcając polskim prowincyom, proboszcz Schloesser z Bremy i proboszcz dr. Grube z Wolfenbüttel. Pierwszy mówił o emigracyi zamorskiej, o celach i pracach „Związku św. Rafała“, któremu udało się wreszcie obecnie zatamować prawie zupełnie zgubną pod każdym względem emigracyę do Brazylii z krajów słowiańskich. Drugi opisywał niebezpieczeństwa, pracę i życie katolickich robotników, wędrujących za zarobkiem do Saksonii. W roku zeszłym wyemigrowało do Saksonii 75.000 osób; pomiędzy niemi 26.000 Szlązaków. Biedacy ci pragną

z początku chodzić do kościołów, ale niełatwo to po tygodniu znoej roboty odbyć piechotą 5 lub 6 godzin drogi, aby następnie w dodatku nie znaleźć miejsca w szczupłej misyjnej kapliczce i stać przed nią na wicherze i deszczu. To też uczęszczanie do kościołów, zwłaszcza w okolicach protestanckich, zmniejsza się w przerażający sposób, a w odpowiednim stosunku rosną występki. Znam okolice — opowiadał mowca — w których zaledwie szesnasty procent katolików idzie do kościoła; w innych czwarty procent; bywały zdarzenia, że zapowiedziane nabożeństwa nie przysły do skutku, ponieważ literalnie nikt się na nich nie zjawił. Do własnej mej tylko parafii przybywa na lato kilka tysięcy obcych robotników; jakież na nich wpływ wywierać mogę, jak od zdziczenia chronić? Wielu osiada stale, wchodzi w związki małżeńskie z protestantami, a ponieważ dzieci, wedle prawa brunszwickiego, idą za religią ojca — znika już w drugiej generacyi wszelki ślad katolickiej wiary. Najgwałtowniejszą potrzebą w tej chwili: budowa katolickich kościołów. Od rządu w tej mierze pomocy nie możemy się spodziewać. Jedynie sami robotnicy mogliby tu sobie pomóc, gdyby energicznie i konsekwentnie nie najmowali się do pracy tam, gdzie kościół zadaleko: fabryki cukru za wielkie ciągną z katolickich robotników korzyści, aby nie były w stanie i nie powinny poczuwać się do obowiązku wybudowania dla nich katolickich kościołów.

Sprawą wychodźtwa, niemniej jak i kwestyą udzielania nauki religii w języku ojczystym, zajmowało się również osobno urządzone w drugim dniu kongresu zebranie dla polskich jego uczestników. I tu przed zebraniem obawiano się zawodu, i tu po zebraniu winszowano sobie głośno i serdecznie świetnego jego przebiegu. Sala przepełniona była wiecownikami, nietylko Polakami, ale i bardzo wielu Niemcami. Pomiędzy gośćmi tymi znajdowali się: książę Loewenstein, hr. Rechberg, br. von Schorlemer-Alst, pierwszy wiceprezes zjazdu Walter. Biskup Redner i ci z niemieckich panów, którzy, jak hr. Ballestrem, rozumieli po polsku, przysłuchiwali się bardzo uważnie mowcom i uczestniczyli w zebraniu od pierwszej do ostatniej chwili. Przewodniczący polskiemu zebraniu hr. Kwilecki, zwrócił uwagę zgromadzonych na tę obecność „mężów, stojących na czele katolickiego ruchu w Niemczech, którzy, choć języka naszego nie rozumieją, przybyli tutaj, aby okazać w ten sposób ze swej strony jedność z nami w dziedzinie wiary, nadziei i miłości. Krótki mamy tu czas do obrad, będziemy się przecież starali jak najlepiej z niego korzystać, a tak złożyć dowód, że oży-

wiają nas Polaków-katolików te same uczucia i dążenia, któremi kierują się członkowie katolickich frakcyj ciał prawodawczych i Centrum“.

Dowód ten złożony, a da Bóg, w świetniejszym jeszcze i piękniejszym blasku wystąpi na zjeździe toruńskim, o którym, mówiąc nawiasem, niemieccy katolicy bardzo sympatycznie się wyrażali, uważając go jako naturalny dalszy ciąg i uzupełnienie gdańskiego kongresu dla katolików polskich. Czasem prawdziwie trudno mi się było powstrzymać od ukrywanej zresztą w najskrytszym zakątku serca radości, że panowie ci nie czytają polskich gazet i nie wiedzą, jakie np. *Nowa Reforma* zamieściła o gdańskim wiecu i nieprawdziwe i dla Polaków w następstwach swych tylko szkodliwe korespondencye. Tak przynajmniej nie potrzebowałem szeroko objaśniać, jakiego to rodzaju jest pismo i bronić się, że i w Berlinie i w Wiedniu podobne się znajdują, a nikt przecież nie czyni za nie odpowiedzialnymi katolickich Niemców.

Rozumie się, że kongres niemiecki zajmował się nie tylko samymi Polakami i polskimi sprawami; nie wiem nawet, czy z tego rodzaju żądaniem wystąpiło jakie nasze, choć najbardziej za popularnością goniące piśmko. Hr. Ballestrem i br. von Schorlemer-Alst przemawiali o kwestyi rzymskiej, wyjaśniając i popierając rezolucye, domagające się terytoryalnej niezawisłości dla Ojca św. I ważne i nad wyraz ciekawe były mowy i rozprawy o kwestyi szkolnej, a bardziej może jeszcze o tak słusznie zajmującej dziś wszystkie umysły kwestyi socyalnej. Być może, że niektórzy, jak np. poseł Biehl z Monachium ze zbytnej bojaźni przed socyalizmem, wpadł, a przynajmniej zawadził o niemniej niebezpieczny — socyalizm państwowy; ale wogóle mówiąc, trzymano się bardzo ściśle granic, wytyczonych przez najnowszą papieską encyklikę; rozważano praktycznie, jakimi środkami zwalczać wciąż rosnącego w siłę i znaczenie socyalistycznego wroga. Na myśl nasuwać się musiały na pierwszym planie zakony. „Potrzebujemy zakonników i mieć ich chcemy!“ — powtarzał z naciskiem prezes kongresu uchwałę, powziętą roku zeszłego na wiecu katolickim w Ulm. „Zbliża się godzina — wołał br. Buol — w której nawet przeciwnicy nasi przyjmować będą zakony z otwartemi ramionami... My z naszej strony nie zaniechamy niczego, aby wywalczyć zakonom zupełną wolność i słowa i czynu; a przekonani jesteśmy, że dzieci i wnuki nasze wdzięczne nam będą za podjęcie, za wytrwałość w tej walce. Chcemy zakonów, chcemy powrotu Jezuitów. Nie spoczniemy, dopóki nie załatwimy się z ostatnim tym zabytkiem walki kulturalnej — z prawem

wypędzającym Jezuitów... W tej mierze pokładamy ufność naszą w cesarzu, który już raz, równie śmiało jak szczęśliwie, wystąpił przeciw wyjątkowym prawom“.

Kiedy na ostatniem walnem posiedzeniu zabrał głos hr. Ballestrem, aby w końcowej przemowie zebrać w krótkich słowach główne wyniki obrad, wydać hasła do przyszłorocznej pracy i walki — stanęła mimowoli przed oczami wszystkich tak słusznie czczona i kochana postać Windthorsta, który przez lat tyle odzywał się do całych katolickich Niemiec, powiedzieć można prawie, do całego katolickiego świata, w programowej, tyle i tak świetnych wieców zamykającej mowie. To też pierwsze słowa dzisiejszego kierownika Centrum poświęcone zostały pamięci Windthorsta; ale chcąc uczcić wielkiego naszego, niezapomnianego wodza, mówił hr. Ballestrem, należy przedewszystkiem spełnić jego testament.

„Naszych jeńców wojennych, z czasów kulturnej walki naszych zakonników, jeszcze nam nie wrócono. Gdybyśmy pomimo tego chcieli utrzymywać, że już zupełny pokój zawarty, nie działalibyśmy w duchu tego naszego bohaterskiego przewodnika, którego ostatnią myślą było zwrócenie ojczyźnie zabranych jej jeńców. Jako ostatnią swą wolę, pozostawił nam Windthorst wniosek, spoczywający w archiwach parlamentu. Powiadam wam: wniosek ten będzie przyjęty. Waleczyć będziemy o dziedzictwo wielkiego naszego wodza; wypełnimy ostatnią jego wolę. Mnie przypadł zaszczyt być w tej mierze wykonawcą jego testamentu; z zaszczytnego tego obowiązku będę się starał wywiązać... Jak w parlamencie wystąpi Centrum z całą siłą i przekonaniem za wnioskiem jezuickim: tak w sejmie krajowym za wnioskiem szkolnym również przez Windthorsta w spuściźnie nam przekazanym... Jak Windthorst był wiernym synem Kościoła i Papieża, wiernym sługą swego monarchy, wiernym obrońcą niemieckiego ludu: tak my wszyscy i trzymamy się i trzymać się będziemy w wiernej miłości dla Papieża, cesarza, ojczyzny... Windthorst niósł przed katolickim ludem sztandar, na którego wierzchołku krzyż błyszczał. Pod tym sztandarem odnieśliśmy świetne zwycięstwa; jeśli wiernie przy nim stać będziemy, Bóg nam i na przyszłość będzie błogosławić!“...

* *

Przy pożegnalnej uczcie, do której zasiadło około 400 uczestników, toczą się dalej w formie poufnej, serdecznej pogawędki, poru-

szone na kongresie rozprawy; ścieśniają się związki zawartych znajomości; wznoszą się i entuzjastyczne i dowcipne toasty. „Niech żyje — woła hr. Kwilecki — organizator kongresów katolickich, ksiązę Loewenstein, *simplex ut columba, fortis ut leo!*“ „Na zdrowie i pomyślność polskich gości!“ — wznosi swój kielich hr. Ballestrem. „Niech poczcwiwe, stare miasto Gdańsk — życzy w pełnej humoru mowie br. von Schorlemer-Alst — rozwija się i kwitnie; niech żyje jego magistrat, niech żyje nadburmistrz dr. Baumbach, wzór tolerancyi!“

Późny już wieczór, ale w oświeconym elektrycznemi lampkami ogrodzie, przy dźwiękach muzyki, przechadzają się liczne gromadki katolików Niemców, Polaków. My im winszujemy odbytego wiecu; oni życzą i wyrażają nadzieję, że wiec toruński wypadnie świetnie, że przyczyni się do obudzenia katolickiej świadomości, do rozbudzenia katolickiego życia w polskich prowincyach.

— Dobrze, żeście tu przybyli — mówi mi przy pożegnaniu jakiś Wirtemberczyk czy Bawar — spodziewamy się wszyscy, że i na przyszłych naszych kongresach nie braknie polskich gości. Musimy się znać; musimy wiedzieć, co nam wzajemnie dolega; czego chcemy i potrzebujemy. Gdyby to zbliżenie i połączenie się katolików dawniej było nastąpiło, niejedno pewnie i u was i u nas byłoby dziś inaczej, inaczej!...

R.



O POJEDYNKU.

Z powodu encykliki Ojca św. do Biskupów Niemiec i Austrii.

Raz trzeba przecież o tem napisać. A kiedyż właściwiej, jak kiedy Papież zwraca na to uwagę, i to w szczególności Pasterzy naszego kraju?

Ludzi, którzy w zasadzie chwalą pojedynek, jest mało — ale bardzo wielu jest takich, którzy pojedynek uważają za *malum necessarium*. „Pojedynek jest chorobą społeczną; kto potrafi „go znieść, ten największą odda społeczeństwu przysługę; ale — „w niektórych okolicznościach jest on koniecznym“ — to zdanie sławnego redaktora *Figara*, Ignotusa, wybornie określa rozpowszechniony dzisiaj pogląd na tę sprawę. A jednak w tem zdaniu uderza na pierwszy rzut pewna zagadkowość. Co to *malum necessarium*? — czy coś moralnie złego może być koniecznem? czy coś koniecznego może być moralnie złem? Zajrzmy śmiało w oczy tej zagadce. Wszyscy niemal czujemy coś niedobrego w pojedyнку, przy danej sposobności staramy się jak możemy mu zapobiedz; a przytem świadomi jesteśmy tej niesłychanej siły, z jaką pojedynek w pewnych okolicznościach się narzuca. Jest tu problem etyczny i psychologiczny zarazem, który jest wart zbadania.

Wielu autorów traktuje zwyczaj pojedyunku jako prostą pozostałość, ostatni, jeszcze nie zatarty ślad z krwawych oby-

czajów średniowiecza, albo nawet starogermańskich ludów. Zarzucićby temu można, że gdyby pojedynek nie miał innego punktu oparcia w społeczeństwie, jak starą rutynę, w takim razie stopniowoby ustępował — a co najwięcej, utrzymywałby się w stanie jednakowym; tymczasem historia pokazuje, że manja pojedynku wzmacniała się i zmniejszała kolejno, w stosunku do pewnych moralnych i psychicznych oscylacyj społeczeństw. Niema jednak wątpliwości, że i spuścizna średnich wieków odgrywa tu pewną rolę. W starożytności widzimy zabójstwa dla pomśzczenia obrazy osobistej; ale mściciel napada znienacka, używa sztyletu, trucizny; o dobrowolnem nadstawieniu własnych piersi równemu niebezpieczeństwu, ani nie myśli. Ten pierwiastek nowożytnego honoru od rycerstwa średniowiecznego pochodzi. Rycerz jest członkiem wielkiego bractwa religijno-żołnierskiego, rozpowszechnionego po całej rzeczypospolitej chrześcijańskiej, ku obronie sprawiedliwości. Instytucya ta wyrasta z gruntu nawpół barbarzyńskiego społeczeństwa, które jeszcze nie umie ująć się w karby rządów regularnych — i z posiewu chrześcijańskich aspiracyj ku ideałom sprawiedliwości i miłości bliźniego. Rycerz czyni profesję męstwa, nastawiania życia dla cnoty, karcenia krzywdzicieli, bronięcia słabych i uciśnionych. Z tą uszlachetnioną i wydelikacowaną ideą męstwa, on pierwszy myśli i czuje co nigdy Grekowi ani Rzymianinowi na myśl nie przyszło, że nie przystoi mężnemu uderzać na przeciwnika bezbronnego lub nie mającego równych walki warunków.

Rycerz jednak nie bije się o swój honor, w dzisiejszem znaczeniu, tem mniej dla pomśzczenia się — a jeśli to kiedy uczynił, to się z tem tał, jako z hańbą. Jego miecz poświęcony służyć ma tylko dla obrony uciśnionych. On jest — w pierwotnem i czystem tej instytucyi pojęciu — chodzącem sprawiedliwości ramieniem — *un justicier*. Potyka on się także w turniejach, ale te są tylko ćwiczeniem i popisem męstwa; a kiedy przechodzą tę granicę, kiedy wypadki śmierci stają się zbyt częste, to i papieże i królowie występują przeciwko nim.

Z zupełnie innego źródła pochodzą *ordalia*, pojedynki sądowe; są to resztki praktyk i zabobonów pogańskich ludów.

zwłaszcza skandynawskich. Sądownictwo było podówczas jeszcze niedość rozwinięte, aby je zastąpić; wiara miejscami niedość oświecona, aby zrozumieć, jak dalece one są duchowi chrystyanizmu przeciwne; ale zwierzchnicy Kościoła wciąż z nimi walczą i już w połowie średniowiecza stanowczo je pokonywują¹.

Dopiero w XVI. w. — kiedy zostaje jeszcze w ludziach tęgość z wieków rycerskich, a rozwija się potężnie indywidualność pod technieniem odrodzenia, więzy moralne się rozluźniają, a karby nowożytnych ustrojów politycznych jeszcze ich nie skrepowały — dopiero wtedy pojawia się prawdziwy pojedynek, w dzisiejszem tego słowa znaczeniu. Biją się jeszcze po dawnemu ciężkimi, obosiecznymi mieczami, bronią się więcej woltami i skokami, niż parowaniem; powierzchowność przypomina średnie wieki, ale rzecz zupełnie inna. Teraz motywem walk są osobiste urazy i zemsty. Wyrobił się honor sztuczny, niezdrowy, jak bolączka, której ani palcem musnąć nie można; wyrodziła się szkaradna pasya zabijania i narażania zupełnie bez celu własnego życia. Typowym w tym rodzaju jest znany w historii francuskiej pojedynek *des Mignons*. Jakób de Quélus, ulubieniec Henryka III., i Karol de Balsac z dworu Gwizyuszów, pokłóciwszy się o kobiety, stają do walki: po dwóch stronach każdego trzymają się świadkowie. Podczas gdy oni szermują, jeden ze świadków Quélusa zagaduje świadka, stojącego naprzeciwko: „Ot, ci się biją, a pocóż my napróżno miecze trzymamy?” Na te słowa tamten zmówił pacierz — i oto już druga para walczy. Wtedy oczywiście i drudzy dwaj świadkowie powiedzieli sobie, że nie wypada, by sami pozostali bezczynni — i zaczęli się rąbać. Skończyło się na tem, że wszystkich sześciu odniesiono pokrytych ranami, a z nich jeden tylko został przy życiu — aby je po dwóch miesiącach w drugim pojedynku stracić. Bohaterowie punktu honoru, których nam Calderon z lubością przedstawia, niewiele się od tego typu różnią.

¹ Już św. Mikołaj papież, w IX. w. stanowczo zakazuje Karolowi Lysemu, królowi francuskiemu, używać pojedynków jako sądów bożych. oświadczając, że w tem jest „kuszenie Pana Boga“. (Ob. Causa II. q. IV. cap. *Monomachium*.)

W XVII. w. pojedynki mniejszą gra rolę i mniej jest okrutny. Społeczeństwo zachodnie żyje już więcej umysłowo i więcej trzymane jest w ryzach przez monarchię, do szczytu samowładztwa dochodzącą. Ale wkrótce życie próżniacze szlachty przy dworze, zwiechnięcie religijności, wyuzdana galanteria — przygotowują właściwą próchnicę, na której zagęszcza się ten chwast. To też w XVIII. w. manja pojedynkowania się odrasta w najlepsze, tylko z wyrafinowaniem, ówczesnemu dworackiemu i salonowemu społeczeństwu właściwem. Najgłośniejsi bohaterowie ówczesnej galanterii, jak książę Richelieu, kawaler d'Eon, Saint-Evremont, są też bohaterami pojedynku. Z Francji udziela się ta manja innym krajom, które wówczas pod jej duchowym wpływem zostają — nie wyjąwszy oczywiście Polski. — Rousseau ze swoim sentymentalizmem, traktując pojedynkujących się mianem „dzikich zwierząt“, trochę na ten szal zimnej wody rzucił. Ale ostudziły go nierównie więcej prawdziwe krwi potoki, jakie pod gilotyną popłynęły.

W naszym wieku, powiedzieć można, że ta epidemia znacznie złagodniała — choć na szersze rozlała się warstwy, bo kiedy dawniej była wyłącznym przywilejem szlachty, dziś się zdemokratyzowała i całą t. zw. inteligencję ogarnęła. Były jednak i w naszym wieku chwile rozognienia pojedynków: mianowicie we Francji — rzecz ciekawa — czasy restauracji burbońskiej. Przypisać to należy zapewne przymusowej bezczynności tylu wojaków napoleońskich. Wtedy to wychodzą na scenę zawodowi zarzyncacze ludzi — *les bretteurs* — których firma pojedynku najniesprawiedliwiej przed hańbą i szubienicą osłania. Taki np. markiz de Lignano i przyjaciel jego, Ludwik Claveau, którzy pustoszą swemi wyzywaniem całe Bordeaux i okolice. Mieszkają razem w jednym pokoju, ażeby sobie swobodnie opowiadać swe zwycięstwa i zachęcać się nawzajem... Pewnego rana do późna nie wychodzą z pokoju. Służący zaniepokojony, wylamuje drzwi — i cofa się przerażony: podłoga pokryta krwią ściętą... dwaj przyjaciele, w koszulach poszarpanych, poorani ranami, siedzą skostniałi na ziemi, z nożami w dłoniach, wyzywając się jeszcze zgasłemi oczyma. Pokłócili się

widać w nocy, wyzwali się, i wśród ciemności wymierzili sobie sami zasłużoną karę¹.

Musi mieć ta manja pojedynku jakiś zły korzeń, skoro na złym gruncie najlepiej kwitnie i złe owoce wydaje. Ale na czem to zło polega?

Mówią zwykle, że pojedynek przez to ubliża moralności, iż jest narażeniem życia niepotrzebnem. Jest w tem racya; odpowiedzieć jednak można, że w wielu razach niebezpieczeństwo życia jest bardzo małe, a bardzo ważne interesa są w grze. Mówią jeszcze, że pojedynek mija się z celem, honoru istotnie nie naprawia, bo zwycięstwo w tej walce niczego nie dowodzi. Piotr zarzuca Pawłowi, że oszukał w interesie; Paweł go wyzywa i w pojedynku zabija; czy to nas ma przekonać, że Paweł nie oszukał? — byłoby to wracać do zabobonności ordaliów, w których przypuszczano, że niebo musi dać zwycięstwo temu, po którego stronie słusność. Rzecz pewna, że ta sama zabobonność — z której śmieją się słuchacze pierwszego roku prawa, gdy się o średniowiecznych „sądach bożych“ dowiadują — jeszcze w dzisiejszych pojedynkach panuje. I dziś usłyszeć można: „Ja ci dowiodę, że nie jestem złodziejem!“ — Czem dowiedziesz? — „Pałaszem, albo kulą“. Śmiaćby się trzeba, gdyby to nie miało strony tragicznej. — I na to jednak odpowiedzieć można, że nie każdy pojedynek ma ten cel niedorzeczny: dowiedzenia niesłusznosci jakiegoś zarzutu; najczęściej idzie poprostu o ukaranie, o pomszczenie ubliżenia wyrządzonego czyjejs godności — a ten cel się osiąga przez śmierć obraziciela. Odpowiedź ta jest słuszną, ale tu właśnie tkwi moralne zboczenie, a zarazem psychologiczny moment pojedynku — jak się zaraz wykaże.

Pod honorem rozumięją faktycznie ludzie nietylko dobrą opinię drugich ludzi o sobie, ale także nietykalność godności swej osoby. Ta godność osobista człowieka prawem natury wymaga od drugich ludzi poszanowania, i wedle stanu, kraju i oby-

¹ Th. de Gave: *Les Duellistes du midi*.

czaju. pewnych oznak czci zewnętrznych. Ujęcie więc tej godności osoby, czynem lub słowem lub odmówieniem znaków czci należnych, jest prawdziwą krzywdą, człowiekowi wyrządzoną (różną od osławienia). Krzywda znowu wymaga ukarania; kto naruszył cudze prawa, ten winien we własnych prawach ponieść uszczerbek; a gdy jedno równoważy drugiemu, jest satysfakcja; wymaganiu naruszonej sprawiedliwości stało się zadość. Mimo dzisiejszych teoryj o naturze kary wyłącznie leczniczej, wszyscy czujemy, instynktem moralnym, tę potrzebę a oraz ważność kary jako pomsty winy, dla wyrównania sprawiedliwości — *poena vindicativa*. Ale co będzie karą i pomstą odpowiednią za ubliżenie godności osobistej? Tę godność, w ucywilizowanych sferach, cenią ludzie wysoko, a pozują na cenie jej jeszcze wyżej i nadewszystko. Ztąd chęć przelania krwi obraziciela, jako jedynie odpowiedniej pomsty i kary za jego przewinienie. Lecz z drugiej strony, proste zabicie człowieka, który nas obraził, przedstawia coś wstrętne. Napaść go niespodzianie, z za płotu strzelić i trupem położyć — to się jeszcze praktykuje w Korsyce i w Sardynii; ale wogóle mówiąc, mamy uczucia moralne i społeczne od wieków już dotyla wykształcone, że taką zemstę poczytujemy za proste morderstwo, na które się całą duszą oburzamy. Otóż tu myśl, po rycerstwie średniowiecznem odziedziczona: dania przeciwnikowi różnych warunków w walce, przychodzi jako rozwiązanie sprzeczności. Odwaga w nadstawianiu niebezpieczeństwu własnych piersi, ma odkupić i zasłonić to, co jest szpetnego w zamordowaniu osobistego nieprzyjaciela. Chcę cię zabić — mówi do przeciwnika wyzywający — ażeby twoją śmiercią pomścić i naprawić ujmę czci, jakąś mi wyrządził; ale że nie przystoi, abym cię zabił niespodzianie, więc ofiaruję ci walkę w równych warunkach. Ja ci stanę w takim miejscu, o takiej godzinie, pozwolę w siebie godzić taką bronią — a za to ty mi staniesz tak samo i tej samej broni piersi nadstawisz. — Drugi te warunki przyjmuje i umowa się wykonywa... W tem leży istota pojedynku. Jestto prywatna walka na śmierć za kontraktem. Walka na śmierć, mówię, bo choć pojedynkujący rzadko się zabijają, często ani chcą się zabić, a nawet sty-

pułują, że tylko do pierwszej krwi bić się będą — jednak skoro obierają broń zabójczą (*arma ad occidendum apta*), właściwie dają sobie wzajemnie prawo na życie, i śmierć od pierwszego pchnięcia nastąpić może, nietylko jako przypadek, jako rzecz w założeniu tej walki leżąca¹. — Ta walka jest za kontraktem, w ścisłym znaczeniu (*ex conducto*): bo mocą umowy, jeden daje drugiemu prawo i sposobność godzenia na swe życie w pewnych warunkach, kupując przez to prawo i sposobność zabicia go w takich samych warunkach.

To szczególne sprzężenie czynu zemsty z czynem odwagi i zasłonięcie pierwszego drugim, dziwnie bałamuci opinię, i nawet sumienia. Odwaga jest prześliczną rzeczą. Człowiek, który mężnie życie swe wystawia, staje w tej chwili tak wysoko nad poziomem ciała, tak tryumfuje nad egoistycznymi instynktami natury, że mimowoli się nim zachwycamy. Podoba nam się odwaga, gdziekolwiek ją znajdujemy — choćby w korsarzach. Nawet dla brygantów włoskich, o których śmiałych wyprawach tyleśmy czytali, miewamy jakąś słabość. Wiadomo, że po pierwszym przeczytaniu „Rozbójników“ Szylera, wielu studentów z pewnej szkoły w Szwabii wyruszyło do lasu. Nie więc dziwnego, że i w pojedynku urok odwagi i narażania własnego życia działa olśniewająco. To nam tłumaczy względy opinii dla pojedynku, ale kwestyi etycznej jeszcze nie rozstrzyga. W głębi sumienia wiemy dobrze, że bryganci, jakkolwiek mężni, są brygantami, i że odwaga dopiero wtedy jest cnotą i moralnie piękną, kiedy ma szlachetny cel i środki godziwe — bez tego może mieć co najwięcej pewną piękność estetyczną, jaką i w drapieżnym zwierzu znajdujemy.

Uchylając więc złocistą oponę odwagi, musimy głębiej zbadać, czy cel i inne istotne pojedynku warunki zgodne są z prawem moralności. Otóż już samo to zasłanianie czynu zemsty czynem męstwa, nie dobrze wróży. Jeżeli w pierwszym jest coś złego, to drugie tego przecież nie zmieni. A któż z nas odważyłby się poprostu zabić człowieka, który nas obraził? Nie godzi się to,

¹ Gdyby w jakimś potykaniu się śmierć była stanowczo wykluczona, nie byłby to pojedynek w właściwym tego słowa znaczeniu.

bo człowiek w stanie uspołecznienia nie jest sam sędzią i mścicielem wyrządzanych sobie krzywd; jest na to władza, z szalą i mieczem, by między nim a jego bliźnim prawo wymierzała. Ta instytucja może być bardzo wadliwą, może być dla naprawienia wielu krzywd nieskuteczną; w każdym razie jest ona nieskończenie lepszą niż wymierzanie sobie samemu sprawiedliwości. Ona jest punktem wyjścia uspołecznienia; bez niej jest, nie barbarzyństwo, ale stan dziki. — Nie godzi się podrugie dlatego, że mimo wygórowanej wagi, jaką się dziś do honoru przywiązuje, w gruncie rzeczy jest nieproporcja między odebraniem życia, które jest podstawą wszelkich dóbr doczesnych, a uszczerbkiem godności osobistej, która jest tylko jednym z tych dóbr, i która łatwiej, że tak powiem, odrosnąć może. Wszak sami oburzalibyśmy się na prawodawcę, któryby karę śmierci za obrazę honoru wyznaczył; gniewalibyśmy się na sędziego, któryby taką karę wymierzył: czujemy więc tę nieproporcję. Tem bardziej brzydzilibyśmy się, jako zbrodniarzem i mordercą, człowiekiem, który doznawszy jakiegś urazy, zacząłby się na przeciwnika w lesie i kulą go trupem położył. — Ale, jeżeli nie godzi się wymierzać śmierci jako kary za urazę honoru, jeżeli zbrodnia jest zamordować w lesie człowieka dla prywatnej zemsty: to czy dodany ceremoniał pojedynku może to zmienić w cnotę? Jeśli zamiast się zacząć na przeciwnika, wołam na niego: broń się! i daję mu równe środki do walki, jestto zapewne czyn odwagi — ale z tą całą odwagą ja chcę zabić tego, co mię obraził, godzę na jego życie: co jest czynem zbrodniczym. A czy odwaga zbrodnię uświęca?

Mam właśnie przed oczyma książkę o prawidłach pojedynku, przez wojskowego: *Le duel, ses lois, ses règles, son histoire*. Autor, Henryk Vallée, uroczyście zaklina pojedynkujących się i świadków, żeby znali doskonale wszystkie reguły i prawidła najmniejsze co do walki na szpady, na pistolety i t. d.: „bo, powiada, najmniejsze w tych rzeczach uchybienie, może zmienić szlachetny pojedynek w najohydniejsze morderstwo“. Jakto? zachowanie tych formalnostek zmieni to, co by bez tego było morderstwem, na czyn szlachetny? Nie jestże to zabobon, podobny

do rytualnych przepisów znahorek? Nawet ta równość szans, którą usiłujecie wprowadzić waszymi drobnostkowymi przepisami, jest, jak sami wiecie, czysto fikcyjną. Jeden ani szpada ująć ani pistoletu wymierzyć nie umie, jest do tego niezdolny — i idzie na pewną śmierć; drugi zręcznie się fechtuje, celnie strzela: jest pewny swego — tak samo jak gdyby z za płotu strzelał; — co tu pomogą wasze formalności? Zresztą, ani żadne wyrównanie szans, ani żadne formy i ceremonie nie zmieniają na moralnie dobre tego, co jest moralnie złem. Jeżeli cel nie uświęca czynu w sobie złego, to tem mniej uświęcić go mogą okoliczności, z zewnątrz naczepiane. Owszem, widocznem jest, że te wszystkie powierzchowne formalności, i sama odwaga, z jaką pojedynkujący się własne piersi nadstawia, na to tylko tu przychodzą, żeby zakryć tkwiącą w tym czynie hańbę mężobójstwa. I w rzeczy samej zakrywają ją w oczach krótkowidzących.

Nie koniec na tem: samo to odważne narażenie własnego życia, które dotąd przedstawiało się nam jako najszlachetniejsza strona pojedynku, służąca do pozłocenia reszty — czy ono samo, badane zbliska, w świetle zasad etycznych, okaże się prawdziwym złotem? Pięknie jest być odważnym, gdzie trzeba, ale jakim prawem mogę rozporządzać własnem życiem dowoli?... sprzedawać je jak towar w tym kontrakcie pojedynkowym?... mówić drugiemu: ja ci nadstawiam piersi, daję ci prawo zabicia mnie, za co ty mi dasz prawo, żebym ciebie zabił? — Suponuje to najoczywiście, że ja sam jestem panem własnego życia i mam nad niem zupełne prawo *ad usum et abusum*. A więc też samobójstwo jest najzupełniej godziwe! — Tymczasem, jeżeli co jest oczywistem w prawie natury, to wola natury (względnie jej Stwórcy), by każda istota strzegła swego bytu i życia, jak długo mu go natura nie odbierze. Ku temu zmierzają wszystkie siły, ustroje, instynkta najmocniejsze, jakimi natura swe twory obdarza; człowiek jeden, posiadając wolną wolę, jest zdolny z tego prawa się wyłamać i życie sobie odebrać; lecz u niego w miejsce musu instynktowego wstępuje obowiązek moralny, który go z wyższym, choć nie przymusowym sposobem, z temże prawem

natury wiąże. — Jeżeli co w pojęciu Boga jest jasnem, to to, że jest Panem, od którego jesteśmy zależni, i Opatrznością, która czuwa nad losami naszymi. Otóż, jeżeli Bóg jest Panem moim, to ja panem swoim być nie mogę; mam *usum-fructum* tego życia, ale tylko Bóg ma nad niem *dominium*. Jeśli Bóg jest Opatrznością, to się zpod jego rządów wyłamuję, porzucając samowolnie pole próby i zasługi, w którym mię postawił. Jestto tak oczywiście, że i przed chrześcijaństwem wyższe filozoficzne umysły wybornie to pojęły: Platon w „Cebesie“, Cyceron w „Śnie Scypiona“, przedstawiają samobójstwo jako umknienie sługi, jako dezercyę żołnierza z wyznaczonego przez Boga posterunku.

Samobójstwo jest więc zbrodnią przeciwko naturze, buntem przeciwko Stwórcy: prawa nad swoim życiem nie mam. Ale jeżeli tego prawa nie mam, to nie mogę tego prawa dawać, o nie kontraktować; nie mogę mówić do przeciwnika: oto masz moje piersi, pozwalam ci strzelać i czekam nieruchomy, lub tylko umówionym sposobem bronić się będę. Kiedy więc to czynię, popełniam przynajmniej wolą samobójstwo, szafując swoim życiem. A kiedy potem strzelam do przeciwnika, wymawiając się od mężobójstwa tym względem, że on na to pozwala — złudnie się wymawiam, bo i on, nie mając prawa nad swoim życiem, dać tego prawa nie może. Jestem więc także ze stanowiska etycznego mężobójcą, chociażbym nawet przeciwnika nie zabił.

Wreszcie, jeżeli pojedynekować się nie godzi, to i świadkiem być w pojedynku nie można — zupełnie tak samo, jak w innej materji nietylko zakradać się przez okno do cudzego mieszkania jest występkiem, ale też drabinę trzymać złodziejowi. Pewne pośrednictwo, wyłącznie i wyraźnie dążące do pogodzenia zwaśnionych i zażegnania pojedynku, może być oczywiście dobrym uczynkiem; ale przyjęcie roli świadka, włącznie z misją ułożenia pojedynku lub towarzyszenia na plac walki, nie da się w żaden sposób wymówić od uczestnictwa w tym czynie występny.

Tak więc rozbiór moralnej treści pojedynku przekonał nas z największą oczywistością, że to jest czyn istotnie i bezwarun-

kowo zły, zawierający występność morderstwa i zarazem występność samobójstwa. Występność ta jednak, jak widzieliśmy, tak jest osłonięta rycerskim pojedyńku charakterem i tak ukryta w eleganckich jego formach, że można łatwo ją przesłepić, i wyrozumieć można, że wielu ludzi najzaciejszego charakteru wcale sobie z tego zła sprawy nie zdaje. Kościół atoli, który w kwestyach moralności, tak samo jak w rzeczach wiary, posiada z daru bożego niechybny instynkt, właśnie na to, by chwiejnym rozumom ludzkim zawsze prostą wskazywał drogę — Kościół przeciwko pojedyńkom zawsze najstanowczej występował. Już w średnich wiekach synody i papieże karcili razporaz nadużycia turniejów; choć nie były to jeszcze, jak widzieliśmy, właściwe pojedynki, nie toczyły się o prywatne zemsty, ale były to igrzyska zbyt łatwo krwawe, sprowadzające zbyt często przypadki śmierci. Z tego powodu zabrania ich surowo Aleksander III. na soborze laterańskim w r. 1179, powołując się także na dekreta poprzedników swoich, Innocentego i Eugeniusza; każe zaś tym, którzyby w turniejach padli, chociażby w ostatniej chwili z Bogiem się pojednali, odmówić kościelnego pogrzebu¹.

W XVI. w., kiedy już prawdziwy pojedynek wychodzi na widownię i odrazu gwałtownie grasować poczyną — Kościół soborujący w Trydencie najsurowszych używa środków, aby tę plagę moralną powstrzymać. Na sesyi XXV. sobór piętnuje tę praktykę, jako „ohydłą i szatańską“ — *detestabilis duellorum usus, fabricante diabolo*; żąda jej „eksterminacyi“ z chrześcijańskiego świata; rzuca klątwę na samego cesarza, na królów i książąt, którzyby dali miejsce pojedyńkom w swoich państwach; na samych zaś pojedynkujących się, oraz na świadków, nie tylko ekskomunikę nakłada, ale też kary cywilne, konfiskatę, infamię, a jeśli polegną w pojedyńku, odmowę kościelnego pogrzebu².

W drugiej epoce rozpanoszenia się pojedyńku, którąśmy w naszym historycznym przeglądzie zaznaczyli, tj. w połowie

¹ Ob. Dekretały: cap. *Felicitis*, de torneamentis, tudzież cap. *ad Audientiam*, de torneamentis.

² Sessio xxv., cap. 19.

XVIII. wieku, Benedykt XIV. wydaje osobną konstytucję *Interdubium*¹, w której znowu pojedynki piętnuje, oraz pewne transakcyjne doktryny o tym przedmiocie potępia — śnać nacisk opinii aż na teologów oddziaływać poczynął. Nakoniec w naszym wieku Pius IX., ograniczając sławną bullą *Apostolicae sedis* dawne cenzury i kłatwy, w liczbie tych, które zachował i ponowił, umieścił także ekskomunikę na pojedynkujących się i świadków i wszelkich uczestników². A dziś Leon XIII., w jasnej jak zwykle i jędrnej encyklice, nie poprzestając na przypomnieniu dawniejszych Kościoła zakazów, tłumaczy szczegółowo, dlaczego pojedynki sprzeciwia się tak prawu od Boga objawionemu, jak i zdrowemu rozumowi, w którym się prawo natury odzwierciedla.

I tak najwyższa na świecie powaga, w imieniu Boga przemawiająca, sobory i papieże, przykładają pieczęć swych wyroków do wniosku, któryśmy wyprowadzili z rozbioru rzeczy, w świetle zasad etycznych.

Ale co tu po wywodach rozumowych i kanonach kościelnych — powie na to niejeden (i nieraz taką odpowiedź słyszałem) — kiedy ani jedno ani drugie nie zmieniają faktu, że zwyczaj sankcjonuje pojedynki, a zwyczaj w tego rodzaju sprawach jest najwyższą instancją. — Odpowiedź ta, czyli raczej odprawa, wychodzi, jak każdy widzi, z przypuszczenia, że niema w gruncie żadnej różnicy między złem a dobrem, żadnego przyrodzonego prawa moralności, tylko opinia publiczna i obyczaj w danej chwili panujący, stanowią, co ma za dobre a co za złe uchodzić. Kto się takiego na moralność poglądu trzyma, z tym oczywiście ani kwestyi o godziwości pojedynku, ani też żadnej wogóle moralnej kwestyi roztrząsać nie można — zupełnie tak

¹ 10 listopada 1752.

² „Duellum perpetrantes, aut simpliciter ad illud provocantes, vel ipsum acceptantes, et quoslibet complices, vel qualemcumque operam aut favorem praebentes, nec non de industria spectantes, illudque permittentes, vel quantum in illis est non prohibentes, cujuscumque dignitatis sint, etiam regalis vel imperialis“. — *Excommunicationes Romano Pontifici reservatae*, n. 3.

samo, jak w sferze teoretycznej niczego dowieść nie można sceptykowi, który prawom logicznym przeczy. Na szczęście przeciwko ostatniemu protestuje każdy rozum ludzki całą istotą swoją, a przeciwko pierwszemu, tj. moralnemu sceptykowi, protestuje i rozum i serce i sumienie.

Inni, z mniej radykalnym na etykę poglądem, upatrują przecież w pojedynku jakieś dodatnie strony, odzywają się z tem razporaz, że ten zwyczaj utrzymuje społeczeństwo w ryzach, że wyrabia i ochrania godność osobistą, któraby bez tego poszła w poniewierkę¹. — Cóż z tego, że pojedynek może mieć jakieś dobre skutki? Niema przecież takiego złego, coby pod jakimś względem na dobre nie wychodziło. I morowe powietrze przydaje się przez to, że przeludnieniu zapobiega — ale z tem wszystkiem morowe powietrze jest plagą — tak jak pojedynek jest występkiem. Że pojedynek z natury swojej działa rozkładowo na społeczeństwo, na to daje nam historia bijące w oczy dowody w epokach, w których ta manja bardziej się szerzyła i rozogniała. Rozkiełnują się wówczas najdziksze namiętności i wytwarzają się takie typy nieludzkie, o jakich mieliśmy sposobność wspomnąć. Nie dziwnego, że to mniej bije w oczy w czasach, jak nasze, kiedy pojedynki są, Bogu dzięki, względnie rzadkie; ale jestto zawsze ten sam niemoralny zakał, który byłoby śmiesznością przypisywać społeczeństwu jako czynnik umoralniający. — Że znów czasem pojedynek może się przedstawiać jako środek niezbędny do ochrony godności osobistej, jestto fatalny wynik złego i na fałszu opartego obyczaju; ale że to w naturze rzeczy nie leży, że to *malum* nie jest *necessarium* dla utrzymania godności osobistej i wysokiego nastroju społeczeństwa, tego niezwykłym dowodem jest Anglia, gdzie rozumna opinia publiczna wykluczyła całkowicie pojedynki — a przecież, gdzie więcej jak w tym kraju społeczeństwo jest w ryzach i godność osobista w poszanowaniu?

¹ Takie pochwały pojedynku czytaliśmy przed dwoma laty w jednym z konserwatywnych pism warszawskich, w korespondencyach z wystawy paryskiej.

Prawda, — powie nareszcie wielu — byłoby bardzo pożądaną rzeczą, żeby tę barbarzyńską praktykę z obyczajów wykluczyć, ale póki ona jest w obyczajach, póki ją narzuca tyrania opinii, cóż na to poradzić? Jak mię wyzwać, albo postawić w takim położeniu, że wyzwać muszę, jak ubliżać trzeciej osobie, której winienem bronić, jakżeż mogę się od pojedynku uchylić? wszyscy powiedzą, że stchórzyłem; narażę się na nie wiedzieć jakie obelgi, może utracę stanowisko, które zajmuję w kraju... jestem straconym człowiekiem... To jest ostatnia i najcięższa w tej materii obiekcyja — nie żeby odpowiedź była wątpliwa. lub trudna do uzasadnienia, ale że jest bardzo trudna do wykonania. Tu występuje w całej pełni ta antynomia: *malum necessarium*.

Darmo! Są okoliczności w życiu, gdzie pełnienie obowiązku sumienia i wytrwanie przy zasadach jest nadzwyczaj trudne — wymagające heroizmu. Można nie bardzo się dziwić tym, którzy w takich okolicznościach miękną i zbaczają, ale nie można wątpić, że zasady moralności są niezmiennie i że prawość i oświecone sumienie wymagają postępowania podług nich, jakim bądź kosztem. Cobym miał uczynić, gdyby mię przewrotny człowiek chciał wciągnąć do współnictwa w kradzieży i morderstwie, dając mi z jednej strony rękojmię, że zbrodnia się nie wykryje. a grożąc z drugiej strony, że w razie oporu spotwarzy mię najohydniej wobec całego kraju i pozbawi miejsca, z którego utrzymuję siebie i rodzinę? Suponuję, że byłbym pewny skuteczności groźb tego zbrodniarza, i żebym nie miał żadnego innego sposobu wydobycia się z jego szponów. Takie położenia nie są przecież chimeryczne. Pytam więc kogokolwiek: czy tu może być wątpliwą rzeczą, com w danym razie zrobić powinien?... Otóż nie więcej heroizmu potrzeba dla odmówienia pojedynku — który jest tak samo występkiem.

Nie brak przecież ludzi, Bogu dzięki, których żadna na świecie siła ani żaden wzgląd z drogi obowiązku sprowadzić nie zdoła. Już starożytność okazuje nam piękną galerję takich postaci, których „ani groźna twarz tyrana, ani wrzaski pospólstwa — jak śpiewa wieszcz rzymski — nie zatrząsły w po-

sadach ich ducha". Tem bardziej chrześcijanin winien być gotów do heroicznego w razie potrzeby wyznawania i pełnienia swych zasad, kiedy w wyższem świetle poznał świętość moralnego prawa, i kiedy ma za sobą — ba nawet obok siebie — przykład chrześcijan idących za sumieniem — aż do męczeństwa.

Zresztą, trudność odmówienia pojedynku (której bynajmniej przeczyć nie chcę) i ciężkość następstw takiej odmowy, bywają bardzo często spotęgowane przez zalęknioną wyobraźnię. — Niekoniecznie osądzą ludzie, że ten, co nie przyjmuje pojedynku, stchórzył. Mężczyzna ma wiele sposobności w życiu do wyrobienia sobie takiej reputacji odwagi i gotowości do poświęcenia życia, że już się nikt nie ośmieli pomyśleć, by się czegokolwiek na świecie uląkł — chociażby czyjejs rękawicy nie podniósł. Wiedzą też wszyscy, że lubo trzeba pewnej odwagi do podjęcia pojedynku, jednak daleko więcej jej potrzeba do odmówienia go. I dlatego widzimy, że wielu tchórzów pojedynkuje się. Wzięci we dwa ognie, między strachem kuli a strachem tego, „co powiedzą ludzie“, wybierają z konieczności strach mniejszy, i na placu zachowują się paradnie. Z drugiej strony odmówienie pojedynku w imieniu przekonań moralnych i religijnych, które się życiem stwierdziło, postawienie się skałą przeciwko prądowi zbalamuconej opinii, ponad krzykami i grymasami tłumu — jestto postępek tak szlachetny, tak bohaterski, że każdy porządny człowiek musi przed nim bić czołem — choć nie każdy to głośno przyzna. Gdyby na wyzwanie do czynu — o którym ostatecznie wszyscy wiemy, że jest złym i naszym przekonaniom religijnym przeciwnym — odezwała się raz i drugi gromka naszych przodków w wierze odpowiedź: „jestem chrześcijaninem“ — nietylko narazie zdławiłoby się śmieszki i gadania, ale zrobiłoby się wielki wyłom w skorupie tej tyrańskiej rutyny; oddałoby się Bogu chwałę, a społeczeństwu naszemu prawdziwie wielką usługę.

Najbardziej atoli powołani są do przysłużenia się w tej rzeczy społeczeństwu i krajowi naszemu, ludzie zajmujący poważne w towarzystwie stanowisko, znani z zacności charakteru i religijnych przekonań — niemniej panie, których głosy w sprawie pojedynku zawsze wiele znaczyły. Ci, jeżeli zamiast uginać

karku przed opinią, sprzeczną z wyznawanemi przez siebie zasadami — będą otwarcie pojedynek potępiać i jako czyn nieczny piętnować, nie czyniąc wyjątków ani zastrzeżeń — boć i to wyznawstwo przekonań do obowiązków chrześcijanina należy — ei, mówię, najskuteczniej przełamię w tej mierze tyranię opinii, a to jedno, lepiej niż wszelkie ustawy, tę zgubną manję pokona.

Z radością czytamy w tej chwili, że pierwszy polski wice katolicki w Toruniu dał przykład i wielki krok w tym kierunku uczynił, uchwalając jednomyślnie podziękowanie Ojcu św. za potępienie pojedynek.

Ks. Maryan Morawski.

HISTORYCZNY ROZWÓJ NIHILIZMU

W ROSYI.

VII.

Sprzysiężenie dynamitowe 1879. — Nieudane zamachy na życie cara Aleksandra II. pod Odessą, Aleksandrowskiem, Moskwą i w zimowym pałacu. — Loris-Melikow dyktatorem. — Zamach Młodeckiego na Melikowa. — Komitet 25-ciu. — Ukrócenie samowoli władz administracyjno-policyjnych. — Rewizya aktów procesów politycznych. — Organizacya nihilistycznych partyj. — Nowy plan zamachu na cara. — Katastrofa 1 marca 1881 r.

Ci sami terroryści, którzy dnia 7 września 1879 r. wydali dekret śmierci na cesarza Aleksandra II., ci sami podjęli się wykonania dekretu. Zdecydowani na wszystko, na tysiące niewygod i na śmierć samą, uwzięli się bądźco bądź „sprzątnąć” tego, który był głową i duszą zarazem znienawidzonego systemu rządowego. Należała mu się, ich zdaniem, kara śmierci jako zemsta za tę „niewypowiedzianą nędzę” więźniów politycznych podczas wielomiesięcznego śledztwa, za te długie lata katorgi, za szubienice i rozstrzelania, na które tylu najdzielniejszych towarzyszków w imieniu cara i dla bezpieczeństwa jego świętej osoby i jego wszechwładzy skazywano i tracono. Należała mu się ta kara śmierci jeszcze dlatego, że on, car, jako wcielenie despotyzmu, stawiał walną przeszkodę do przeniesienia rządowej władzy na lud, który oni uwolnić, do samowiedzy przyprowadzić i zbawić

postanowili. Przeszkoda musi być usunięta, car musi być „sprzątnięty“. I ta *ratio status* przemawiała silniej, niż uczucie zemsty.

Plan był szeroko obmyślany przez Hartmanna, i nosi nazwę sprzysiężenia dynamitowego. Cesarz w sierpniu 1879 r. jechać miał do Krymu, do Liwadii, na kilkotygodniowe ferye, otoczony, jak zwykle, tajną policją, którą wioził z sobą z Petersburga dla swego bezpieczeństwa.

Miejscowe władze rozwinęły także na całej przestrzeni, przez którą cesarz przejeżdżał, i w miastach, gdzie się miał choćby chwil kilka zatrzymywać, niepospolitą czujność policyjną. Wiadomo było, którą drogą cesarz ma się udać, którą powrócić z Liwadii. Nie troszcząc się o policję, która „zawsze dowiaduje się ostatnia o tem, co wiedzą już dawno wszyscy“, a korzystając ze znajomości marszruty cesarskiego podróżnika, terroryści postanowili wysadzić pociąg, wiozący cara, dynamitem w powietrze. Aby zabezpieczyć sobie udanie zamachu, postanowili podłożyć miny na trzech miejscach odrazu: pod Odessą, Aleksandrowskiem i Moskwą, i rozdzielili między siebie pracę. Nad miną odecką pracowali: Frołenko, Kibalczyk, Kołodkiewicz, Złatopolski i Lebiedjewa; w Aleksandrowsku: Żeljabow, Preśniakow, Okładski, Tichanow, Jakimowa; w Moskwie: Aleksander Michajłow, Goldenberg, Hartmann, Perowska, Szyrajew, Barannikow i kilku innych, nieznanych z nazwiska. Nagromadzono znaczne zapasy dynamitu; dostarczyli go ze składów ministerstwa marynarki. Suchanow i oficerowie floty, wciągnięci do partyi, część także wyrobiono we własnych tajnych fabryczkach, pod kierunkiem niezrównanego „mistrza artylerji“, Kibalczyca: sprowadzali go zaś spiskowcy sami w podróżnych swych kuferkach razem z sukniami i bielizną, albo przesyłali w pakach jako przyrządy żelazne do rozmaitych maszyn¹. Robotami podkopu w Odessie na

¹ Nietylko dynamit, ale gotowe naboje wybuchowe w blaszankach otrzymywali nihilisci przez towarzysza swego, Suchanowa i jego przyjaciół, ze składów rządowych. W lecie 1881 r. wskutek zeznań Jesse Helfman uwięziono Suchanowa i oficerów marynarki, i wykryto w składach brak kilkunastu pudów (pud = 40 funtów) dynamitu i materiałów wybuchowych. Urzędnicy, dozorczy składów, pociągnięci do odpowiedzialności,

torze kolei o 14 km. od miasta, kierował Frolenko, który przyjął tamże służbę budnika kolejowego. Przerwano je niebawem; równocześnie bowiem w mieście samem, na Italiańskiej ulicy, podłożono miny, aby przejeżdżającego tamtędy powozem cesarza w powietrze wysadzić. Roboty te odkryła przypadkiem policya, wskutek tego zmieniono plan podróży cesarza; mina na torze kolei okazała się niepotrzebną. Za to z pomyslnym skutkiem wykończono podkop pod torem kolei sebastopolsko-kurskiej, pod Aleksandrowskiem; obiecywano sobie po nim najpomysłniejsze rezultaty, bo w razie wysadzenia cesarskiego pociągu, runąć wszystko musiało w przepaść, idącą tuż obok toru kolejowego. Robotami kierował tu Żeljabow, który blisko toru zakupił domek, wrzekomo na garbarnię, w rzeczy zaś samej, aby z domku tego poprowadzić dwie miny pod szyny i połączyć je z sobą elektrycznym przyrządem. W chwili nadejścia pociągu cesarskiego włożono aparat elektryczny na wóz, zamknięto baterye, ale dla technicznego jakiegoś błędu wybuch nie nastąpił; pociąg cesarski przesunął się szczęśliwie przez niebezpieczne miejsce.

Najwięcej trudności przedstawiał podkop pod tor kolei moskiewsko-kurskiej. Kierownikiem robót był tu Leon Hartmann, syn niemieckiego kolonisty z Archangielska. Wstąpiwszy do jednego z kółek nihilistycznych w saratowskiej gubernii, przyjął tamże urząd pisarza gminnego i oddał się socjalistycznej propagandzie. Dla swych wiadomości chemicznych, zawezwał go komitet centralny do pomocy Kibalczycowi, zatrudnionemu przy minie pod Odessą. Gdy tam z powodów wyżej wymienionych zaniechano roboty, wysłano Hartmanna do robót przy minie pod Moskwą, aby tam urządził baterję elektryczną. Spełniając ten rozkaz, udał się z Zofią Perowską do Moskwy i pod nazwiskiem Subhorokowa kupił drogo domek w dzielnicy starowierców, znanej pod nazwą Przeobrażeński i Rogoski kwartał. Pod pozorem, że legalni małżonkowie oczekują przyjazdu rodziców swoich i najłepsze z sąsiaz-

tłumaczyli się tem, że dokładnego spisu materyałów wybuchowych nie sporządzono nigdy, że oficerom, a nawet innym osobom wydawano „według dyskrety“ materyały wybuchowe dla eksperymentów chemicznych.

dami utrzymując stosunki, potrafił Hartmann przy pomocy „nieocenionej“ Perowskiej wprowadzić do domku wtajemniczonych robotników, dynamit i narzędzia bardzo zresztą proste, wielkie noże kuchenne, do prowadzenia podkopu. Pod pozorem, że nowy właściciel kopie sobie studnię na podwórzu i lodownię, wywożono w dzień biały ziemię i piasek, przywożono cegłę. Tym sposobem uniknięto podejrzeń sąsiadów i policyi. W ciągu dwóch miesięcy stanął podkop w formie trójkąta, długi 65 m., szeroki $1\frac{1}{2}$ m. i tyleż wysoki, zagłębiony w ziemi na $2\frac{1}{2}$ m.

Ponieważ terroryści niejednokrotnie w tym czasie podobną robotą zatrudnieni byli, przeto nie od rzeczy będzie przytoczyć sposób i tryb życia tych szczególnych górników, podany nam przez nihilistę Stepniaka. „Powszechne jest mniemanie, że nihilści rozporządzają ogromnemi sumami. Nic nad to mylniejszego, a zamach pod Moskwą dowodzi tego. Sumy potrzebne do walki (z caratem) są tak olbrzymie, że nihilści jak zgłodniaли czyhają na storublowy banknot. Dlatego też zmuszeni są wszystkie swe sprawy załatwiać z niesłychaną oszczędnością, czasem z narażeniem życia. W rzeczy samej koszta prawdziwie egipskich robót przy minie pod Moskwą i dwóch innych min, w tymże miesiącu listopadzie przygotowanych, wynosiły nieznaczną sumę 80 do 100.000 franków, wliczając już w to koszta podróży. Inne roboty, nie przedstawiające tyle trudności, kosztowały daleko mniej jeszcze. Tak np. próba uwolnienia jednego ze skazanych w procesie 193-ch podczas transportu więźniów z Petersburga do centralnego więzienia w Charkowie, uorganizowana na wielką skalę, bo potrzeba było kupić pięć koni, wóz i wiele broni, i postawić liczne warty w Petersburgu, Moskwie, Kursku i Charkowie dla czuwania nad każdym ruchem żandarmów; próba ta według bardzo dokładnego obliczenia kosztowała tylko 1500 rubli czyli około 4500 franków...

„Przy moskiewskim zamachu musiano dla braku pieniędzy zaciągnąć pożyczkę na dom, w którego piwnicy nad przygotowaniem miny pracowano. Potrzeba było sprowadzić komisję szacunkową, a tej towarzyszy zawsze policya, i to w chwili, kiedy roboty minowe prawie już wykonane były. Z jakimi

niebezpieczeństwami podobna wizyta połączona, o tem zdaje mi się nie potrzebuję wspominać. Same roboty wykonano przy bardzo małych wydatkach. Tak np. o świder postarano się dopiero wtenczas, kiedy robotnicy z nadzwyczajnych wysileń już omdlewali, rękami bowiem własnymi wygartywali dotąd ziemię. Wskutek wilgoci podkop był pełen wody, która i z góry przeciekała; przeziębli robotnicy pracowali, stojąc po kolana w wodzie, albo kłaść się musieli w błocie; pomimo to nie sprawili sobie nieprzemakalnej odzieży nurków, któraby ich od wielu cierpień w tej dantejskiej jamie piekielnej ochroniła. Ażeby prowadzić roboty podkopu w należyтым kierunku, posługiwano się nie narzędziami geometry, ale zwykłym, małym, podróznym kompasem, przy robieniu planów wojskowych używanym... Pomimo to, gdy po wykryciu podkopu inżynierowie studyowali go bliżej, przyznali, że był umiejętnie przeprowadzony... Wogóle wiedzieć należy, że wszystkie zebrania i roboty nihilistów odznaczają się wielką prostotą. Wśród najpoważniejszych rzeczy, które się głową przypłaca, w czterech słowach kończy się wszystko. Dniem i nocą śmierć wisiała nad głowami robotników w moskiewskim podkopie... to też flaszka nitrogliceryny stała zawsze na stole. Mimo to umiano zawsze zachować wyborny humor. Przy obiedzie rozmawiano wesoło i żartowano — a najwięcej ta, która nabity rewolwer nosiła zawsze w kieszeni (aby dać strzał do butelki z nitrogliceryną w razie najścia policyi), Zofia Perowska, rozweselała i śmieszyła wszystkich. Ktoś z towarzyszy ułożył nawet dowcipny wiersz, opiewający żartobliwie przygody podkopu¹.

¹ Stepniak, *Das unterirdische Russland*, str. 115—20. Opis ten uzupełniam relacją Hartmanna w *Daily News* z d. 1 sierpnia 1881 r. Przyznawszy się do autorstwa planu dynamitowego sprzysiężenia i do tego, że za swem przybyciem do Petersburga został członkiem komitetu wykonawczego, opowiada Hartmann, że komitet ten wybrał radę administracyjną z trzech członków (z Perowskiej, Kojatkowskiego i Hartmanna) złożoną. Ta wysłała agentów do zbadania sieci kolei z Krymu do Petersburga, do obrania stosownych miejscowości i kupna domów. Hartmann jako kupiec z żoną (Perowską) pod nazwiskiem Subhorokowa osiadł pod Moskwą: ściany domku poobwieszane świętymi ikonami, Subhorokowie uczęszczali pilnie do cerkwi i zaprosili popa do poświęcenia swego gospodarstwa. Pod pozorem wykopania lodowni, zdołano wykopać wzdłuż gościńca pod szyny galeryę

Tak oni pracowali i tak się bawili. Wtem zbliżał się dzień 17/29 listopada. Wracając z Liwadii, cesarz miał w tym dniu o godz. 12 w nocy wyruszyć z Symferopola do Moskwy, poprzedzony, jak zwykle, o pół godziny tak zwanym pociągiem dworskim. Przestrzeżony przez policję, która 15/27 listopada w Elizabetgradzie przychwyciła nihilistę Goldenberga¹, wiozącego w swym ręcznym kuferku znaczną ilość dynamitu, i znalazła przy nim szyfrowaną notatkę, a z niej dowiedziała się o przygotowanym zamachu w Moskwie i Petersburgu — wbrew zwyczajowi kazał sekretnie pozostać dworskiemu pociągowi wtyle i wyruszyć o pół godziny później, nie lewym, jak zwykle, ale prawym torem, a sam wyjechał pociągiem pierwszym. Na całym przestrzeni, z Symferopola do Moskwy, oddawano honory cesarskie temu drugiemu dworskiemu pociągowi². Tym sposobem ocalał cesarz. Bo gdy już jego carski pociąg stanął szczęśliwie

150 stóp długą. Pracowano od 5 rano do 11 w nocy, dziennie posuwano robotę o 7 stóp: za narzędzie służyły wielkie noże kuchenne, dopiero ostatnie 15 stóp wiercono świdrem. Dnia 6 października roboty były gotowe — brakło dynamitu; wysłano po dynamit „na południe“ Goldenberga, ale ten z dwoma pudami dynamitu i 200 rublami został przychwycony. Wszystkiego dynamitu pod Moskwą było 120 funtów. Napelniono nimi 9 cylindrów, umieszczonych w miedzianej puszcze, 7 stóp długiej, 1½ stopy szerokiej. Cylindry zaopatrzone w kapsle, połączono niemi z cewką Rumukorfa, ukrytą w sypialni Perowskiej. Ztamtąd nici łączyły się z komunikatorem, umieszczonym wraz z baterią galwaniczną na strychu domu, z kądem widzieć można było szyny. Dzień wybuchu nadszedł: Perowska dała sygnał, Hartmann zamknął prąd galwaniczny. Gdy wybuch nastąpił, Perowska i jej towarzyszy wrócili spokojnie do przygotowanej kryjówki w Moskwie, i tego samego dnia pospiesznym pociągiem pojechali do Petersburga. „Nazajutrz przybył tam car, byliśmy w tłumie, który go przyjmował“.

¹ Uwieszenie Goldenberga, zabójcy księcia Krapotkina, było prawdziwym nieszczęściem dla sprawy nihilizmu. Odstawiony do centralnego więzienia w Charkowie, badany nader zręcznie, wygadał wszystko, zdradził wszystkich uczestników „dynamitowego zamachu“ i całą organizację partii. Przerazoný własną podłością, sam sobie życie odebrał w więzieniu. Wynikiem jego zeznań był szereg procesów 1880 r. w Petersburgu i szereg szubienic i długie lata katorgi.

² Blisko 1000 km. pociąg dworski przebiegł w 23 godzinach. W pociągu tym jechali: minister domu ces., hr. Adlerberg, min. wojny Milutyn, min. dróg Possiet, szef żand. Drenteln, wice-min. spraw zagr. Giers, generał pruski Werder, adjutanci carscy i służba.

w Moskwie, a on sam z swoją świtą wjeżdżał do iluminowanej i uroczyście przybranej stolicy, pociąg dworski dojeżdżał właśnie do stacji kurskiej, w rogoskiej dzielnicy miasta, i padł ofiarą „moskiewskiej piwnicy“. Ta okoliczność, że dworski pociąg nie lewym, ale prawym jechał torem, stała się powodem, że oprócz wywrócenia się maszyny i trzech pierwszych pakunkowych wagonów, i kilkunastu potłuczeń, nikt nie został zabity, główny bowiem nabój miny podłożony był pod lewe szyny. Wśród ogólnego zamętu, sprawcy zamachu schronili się do przygotowanej wcześniej kryjówki i tego samego dnia wyjechali do Petersburga¹.

Telegram o dynamitowym zamachu pod Moskwą przyniesiono do Kremlina w chwili, kiedy cesarz przyjmował dygnitarzy miasta i dumnych bojarów. Marszałek szlachty odczytał go zebranim przed ukazaniem się cesarza w salonie. Przerazenie a potem radość nie do opisania. Wśród okrzyków radości wszedł cesarz, i przyjmując chleb i sól od miasta, dziękował za te oznaki wierności i przywiązania, i dodał: „Troskliwy o Rosyę, spuściłem się na Opatrzność; wszelako duch buntowniczy musi być wytępiony. Zwracam się do was, do wszystkich dobrze myślących, abyście dopomogli wytępić zło, które zapuściło korzenie; zwracam się do rodziców, iżbyście wychowali nie złoczyńców, ale prawdziwych obywateli Rosyi“. Nazajutrz wrócił do Petersburga, przyjmował gratulacye i od władców świata, i od własnych ludów, a dzienniki zadzwoniły znów na alarm, skarżąc się na niedołęstwo policyi, a naiwność cichego, pobożnego „narodu rosyjskiego“, który po srogich wyrokach na sprawców zamachu 2 kwietnia, wierzył zbyt dobrodusznie, że hydra nihilizmu zabita. Tymczasem, jak na złość, mówiono dość głośno o przygotowanych nanowo trzech zamachach, o znalezieniu dynamitu, zakopanego blisko pałacu zimowego, o ciągłych rewizjach w tym pałacu, które wykryć miały współudział osób z otoczenia car-

¹ W Moskwie aresztowano zaraz 37 doróżkarzy, przeszło 100 stróżów domowych i kilkunastu młodych ludzi. Nieprędko jednak właściwi sprawcy zamachu dostali się w ręce rządu.

skiego w robotach nihilistów. Ci zaś, jakby nie nad ich głową wisiał miecz zemsty carskiej, prawie co noc rozlepiali na rogach ulic stolicy i większych miast swe odezwy, zapowiadając zuchwale śmierć carowi i grożąc nią każdemu, kto się przeciw nim odważy wystąpić. W gmachu charkowskiego kaznaczejstwa wykradli z kasy rządowej 1½ miliona rubli zapomocą podkopu, którego robotami kierował inżynier Szaszka (Jurkowski), pracowali z nim: Franzali, Klimeka i nihilistki: Rossikowa, Juzakowa i „piękna“ Aleksejewna.

Poszukiwania policyi w celu wykrycia zamachu pod Moskwą okazały się rzeczywiście bezskutecznymi. Za to udało się wykryć znaczną ilość nihilistów, uwięziono ich, a z nimi dziesięć razy tyle wrzekomo podejrzanych, a w gruncie niewinnych ludzi. Odkryto nawet dwie tajne drukarnie: „Narodnej woli“ i *Czornawo Pieredjeła*, dnia 17 i 28 stycznia 1880 r. Podczas najścia policyi na drukarnię przy ulicy „Sapernaja“, trzech zecerzy bronili się kilka godzin, dali przeszło 100 strzałów, dopokąd dwie zecerki, zarazem „gospodynie kwatery“ nie popaliły wszystkich rękopisów i druków. W tej strzelaninie jeden żandarm i żołnierz zostali ranni; gdy już dłużej bronić się nie było można, jeden z zecerów, znany nam już z „czechryńskiej borby“, Lejbe Deutsch, włożywszy pistolet do ust, zastrzelił się. Innych pojmano i osadzono w Petropawłowskiej kręposti. Przy rewizyi lokalu znaleziono zapas podrobionych pieczęci, paszportów, palnych materiałów i broni. Łatwiej rzecz poszła z drukarnią gazety *Czornyj Pieredjeł* na Wasyljewskim Ostrowie. Stróż domu zrobił donos policyi, a ta w nocy 9 lutego weszła bosą do lokalu drukarni i śpiących zecerów, jak „lis kury“, zabrała bez oporu. Mszcząc się za to, nihilisci obsyłali policyę tylu fałszywymi donosami, iż ta wskutek znużenia i wielokrotnie doznanego zawodu, już i prawdziwym donosom nie ufała. Komitet wykonawczy zastąpił uwięzionych zecerów wnet innymi i już w połowie lutego plakatami ogłosił wyjście nowego numeru *Zemli i woli*. Doprawdy, zdumiewać się należy nad energią garstki tych zapaleńców; dlaczegoż nie mogli jej użyć dla uczciwszej sprawy? Nie zważając na co raz wyraźniej odzywające się wołania rosyjskiej prasy o zmianę

systemu rządu, który całą Rosyę, by żelazną obręczą, opasał policją i szpiegami, niepokoił rewizjami i więził setki spokojnych mieszkańców; nie łudząc się powołaniem liberalnego wrzekomo Loris-Melikowa do steru rządu, który drobne ulgi w białym terrorze rządowym zaprowadził — zebrali się członkowie komitetu wykonawczego wnet po nieudanym zamachu pod Moskwą, w Petersburgu i uchwalili przyspieszyć roboty minowe pod pałacem zimowym.

Zaznaczyć winienem, że zamach w pałacu zimowym był ostatnim ogniwem łańcucha „dynamitowego zamachu“ i uchwalony był w zasadzie razem z odeskim, aleksandrowskim i moskiewskim zamachem, wnet po zjeździe woroneżkim 7 września 1879 r. Wykonanie jego przedstawiało niesłychane trudności; nareszcie w październiku zgłasza się do komitetu i ofiaruje swe usługi Stefan Chałturyn. Kto on? Syn chłopca wiatskiego, z profesyi zdolny stolarz. W Petersburgu wstępuje 1873 do „komuny“ nihilistycznej, rozwija niepospolity talent organizacyjny i zakłada *Siéwiernyj raboczij sajuż*, liczący setki członków, lecz wnet odkryty; urządza tajną drukarnię, którą przy składaniu pierwszego numeru *Raboczej Gazety* odkryto, zecerów uwięziono. Te niepowodzenia rozgoryczyły umysł jego dotyla, że postanowił na własną rękę, podobnie jak Sołowiew, zamordować cara. Dowiedziawszy się wszelako, że taki sam zamiar powziął komitet wykonawczy i licząc snąć na jego pomoc, ofiarował mu swoje usługi. W ogólnym planie „dynamitowego zamachu“ powierzono mu podsadzenie miny pod zimowy pałac. W październiku widzimy go już w tym pałacu, gdzie podczas bytności cara w Liwadii odnawiano wszystko, zatrudnionego odpoliturowywaniem mebli. Śmiała się zrazu dworska służba z prostoty wiatskiego chłopca — on się nie obrażał, ale owszem pytał ciekawie o wszystkie zwyczaje i obyczaje na carskim dworze. Opowiadano mu je z ochotą. Znosząc i wynosząc meble do różnych komnat, zapoznał się niebawem z rozkładem całego gmachu i dostrzegł, że wprost ponad jego pracownią stolarską w suterrenach, na pierwszym piętrze znajduje się sala dla straży pałacowej, a na drugim sala

jadalnia, w której cesarz codziennie o godz. 6 wieczorem siada do obiadu. Postanowił więc nagromadzić odpowiednią ilość dynamitu w swej pracowni, urządzić zręcznie minę, i w chwili obiadu wysadzić pałac w powietrze. Jego szeroka ruska natura nie przerażała się tem, że wraz z carem zginie kilkudziesięciu niewinnych ludzi. On domagał się przez eks-oficera Kwiatkowskiego, pośrednika swego z komitetem wykonawczym, dynamitu jak najwięcej. Żeljabow był tego zdania, że skoro dynamitowe zamachy w Odessie, Aleksandrowsku, Moskwie chybiły, należy korzystać z powszechnego przerażenia umysłów i spieszyć z miną *zimniawo dwarzà*, poprzestać więc na nagromadzeniu tyle dynamitu, ile potrzeba, aby nie gmach cały, ale salę jadalną wysadzić w powietrze. Zgodził się na to acz bardzo niechętnie Chałturyn, i nigdy sobie tego „błędu“ darować nie mógł. Wtem 6 grudnia 1879 aresztują Kwiatkowskiego, znajdując przy nim plan *zimniawo dwarzà*, nad salą jadalną czarny krzyżyk. Co ten krzyżyk ma znaczyć? Poszukiwania więc i rewizye najściślejsze. Chałturyn nagromadzony dynamit (przynosił go w kieszeni małemi dozami Kwiatkowski) ukrywał w poduszce, spał na nim, okupując ten sen niesłychanym bólem głowy. Przy pierwszej więc nocnej rewizyi żandarmów rozumiał, że wszystko stracone, ale żandarmi przeszukawszy niedbale lokal, wyszli, nie domyślając się niczego. Gorsze było to, że od 6 grudnia rewidowano ściśle każdego, kto wchodził i wychodził z pałacu, a nie wpuszczano nikogo, tylko jego mieszkańców opatrzonych w miedziane znaczki, które zawsze z sobą nosić musieli, a w pracowni jak w innych lokalach stał dniem i nocą dyżurny żandarm. Łatwo pojąć, że w takich warunkach tylko rzadko i w małych dozach dynamit wносить można było. Wlokła się więc leniwo praca, a tu komitet nagli, a tu słyhać wieści, że stolarska pracownia przeniesioną zostanie do innej sutereny. Niema rady. Chałturyn składa swoje zapasy dynamitu do podróżnego kuferka, który służy za minę, nakrywa bielizną, przysuwa szczelnie w kąt izby, opatruje go w lont z rurek szklanych, napełnionych cieczą palną bez przystępu powietrza i urządza go tak, aby miał dosyć czasu wyjść

z pałacu przed wybuchem¹. Z gorączkową niecierpliwością, a jednak spokojny napozór i wesoły, wyczekiwał chwili sposobnej. Nie nadarzała się prędko: nareszcie 5/17 lutego około godziny 6 wieczorem znalazł ją, zapalił lont, wyszedł, i ledwo przemówił do czekającego nań na placu admiralicyi Żeljabowa: „już gotowe“, wybuch nastąpił. Światła w pałacu i na placu admiralicyi pogasły, ciemność dokola straszna, ze wszech stron biegną ku pałacowi tłumy, straże pożarne, policye; krzyk, lament, bo wynoszą z pałacu rannych, trupów — cesarz jednak i tą razą ocalał. Z powodu przybycia gości, księcia heskiego i księcia bułgarskiego, obiad spóźnił się o pół godziny. W chwili gdy cesarz z gośćmi miał wejść do sali jednemi, a cała rodzina jego, krom chorej carowej, drugimi drzwiami, nastąpił wybuch tak silny, że sklepienie dolne, oraz sklepienie strażnicy zostało przebite, żelazne belki pogieły się, stoły i naczynia stołowe rozrzucone zostały. Ze straży zginęło 10 żołnierzy pułku infanckiego, rannych naliczono 44, z tych 8 bardzo ciężko, ale cesarz z obiadową świtą ocalał. I znowu posypały się gratulacye zagranicznych dworów i ludów Rosyi, z powodu ocalenia życia „pomazańca bożego“, i znowu rozpoczęły się aresztowania najprzód w „zimnym dworcu“, potem w stolicy i miastach większych — ale znowu napróżno. Chałturyn wypoczywał dni kilka w przygotowanej przez Żeljabowa kryjówce, obwarowanej dynamitowemi bombami, i narzekał na „błąd“ swój, że przystał z tak małym zapasem dynamitu na podsadzenie miny pod „zimny dwór“. Odzyskawszy nieco sił, całe jeszcze dwa lata uwijał się po stolicy i miastach południowej Rosyi, organizując grupy nihilistyczne, dopomagając do ich robót i sprawek. Ostatnią taką sprawką jego był współudział w zamachu na prokuratora Strelnikowa, który korzystając z najwyższej władzy w politycznych procesach południowej Rosyi, jaką mu car w jesieni 1881 r. nadał, znęcał się nad więźniami w sposób istic barbarzyński. Wyrokiem komitetu wykonawczego skazany na śmierć, zabity został 18/30 marca 1882 w Odessie wystrzałem z rewolweru przez Żelwakowa w chwili,

¹ Zdaniem znawców wybuch miał się stać zapomocą „zegaru Tomsona“.

gdy po obiedzie w „francuskiej restauracji“ i krótkiej przechadzce po bulwarach usiadł na ławce, aby wypocząć. Przerazenie publiczności było tak wielkie, że zrazu nikt nie ścigał mordercy uciekającego ku ulicy Portowej, gdzie czekał na niego Chałturyń z powozem zaprzężonym w białego konia. Po chwili dopiero puszczono się w pogoń za Żelwakowem; on bronił się strzałami z rewolweru, a potem sztyletem. Widząc to Chałturyń zostawia powóz, sam spieszy z pomocą towarzyszowi, ale w szalonym pędzie potyka się, upada i dostaje w ręce policyanta, który przy pomocy innych ludzi krępuje go i wlecze do więzienia. Podobny los spotkał Żelwakowa. Zmęczony ucieczką i obroną, nie miał już siły wydrzeć się z rąk czynownika Ilmatowicza, który go dopadł; związany i on dostał się do więzienia. W śledztwie nie zeznali niczego: nie trwało ono długo, bo tylko 4 dni: generał-gub. Hurko kazał obydwóch powiesić, nie czekali nawet na przybycie kata Frołowa z Moskwy; jakiś pijany katorżnik podjął się katowskiej roboty i wykonał ją 22 marca (3 kwietnia) o 6 rano na podwórzu więziennem, ale tak niezręcznie, że Chałturyń kilka minut męczył się na szubienicy, nim skonał. Dopiero po zdjęciu trupa z szubienicy, poznano w nim zręcznego stolarza z zimowego pałacu.

W ośm dni po tym ostatnim zamachu zamianował cesarz hr. Loris-Melikowa pierwszym ministrem państwa. Nowy ten „dyktator“ Rosyi wydał 14 lutego 1880 r. odezwę do stolicy i narodu rosyjskiego, aby razem z nim „stawił czoło walce z podziemnym nieprzyjacielem i w obmyśleniu surowych środków przeciw niemu“. W odpowiedzi na to, wydał komitet wykonawczy proklamacyę, także do narodu rosyjskiego. Ubolewa w niej nad ocaleniem dnia 5 lutego cara, „który jest nieszczęściem Rosyi“, nad śmiercią i kalectwem straż trzymających żołnierzy, i oświadcza: „tylko zmuszeni despotyzmem, uciskiem tyrańskim rozpoczęliśmy walkę, a celem naszym ostatecznym jest szczęście ludu... Nie zaniechamy tej walki, dopokąd Aleksander II. nie złoży swej władzy w ręce ludu, a zgromadzenie narodowe konstytucyjne nie nakreśli podstaw reformy socyalnej... Wzywamy wszystkich obywateli rosyjskich, aby wspierali nas

w walce z przeklętym, nieludzkim despotyzmem, pod którego presją najszlachetniejsze siły ojczyzny zamierają“.

W ślad za tą odpowiedzią nastąpił zamach słuckiego eks-żydy Hipolita Młodeckiego, na Loris-Melikowa, 17 lutego, w przededniu uroczystego jubileuszu 25-letnich rządów cara, w chwili, gdy Melikow, wróciwszy z ministerstwa spraw wewnętrznych do swego domu, dawał rozkaz woźnicy wyprzęgnięcia koni. Młodecki ukryty za budką szyldwacha, przyskoczył do Melikowa i przyłożywszy mu rewolwer do lewego boku u samego pasa, strzelił doń kulami eksplodującymi. Dzięki żelaznej koszuli, którą nosił, Melikow ocalał, uderzył napastnika i za uciekającym puścił się w pogoń. Widzi to kilkunastoletni syn stróża domowego, podbija uciekającemu nogi, iż ten powalił się na ziemię. Przychwycił go Melikow i przy pomocy swoich ludzi związał i wnieść kazał do swego pokoju, aby przekonać się, czy nie zażył trucizny. Wnet oddał go sądowi wojennemu, a sam pospieszył z raportem do cara. W śledztwie oznajmił Młodecki zuchwale: „Chciałem zabić Melikowa z zasady. Nie udało się, ale nic to — nie ja, to drugi, to trzeci zabije go, bo on musi zginąć“. W 48 godzin po zamachu, Młodecki wisiał już na szubienicy, na Siemionowem polu; powieszony niewprawną ręką improwizowanego kata, eks-katorznika Frołowa, męczył się minut kilka, nim skonał.

Zamachy w ostatnich miesiącach, dokonane z niesłychanem zuchwalstwem, sięgające poświęconej osoby cara i jego najwyższych urzędników, przekonały, że system bezwzględnej represyi. inaugurowany nominacją w sierpniu r. z. siedmiu generał-gubernatorów z dyktatorską władzą, nie prowadzi do celu. Loris-Melikow postanowił położyć koniec tej gospodarce żandarmów i policyi. Szefa III. oddziału, generała Drentelna, „posłał w senatory“. niebawem zniósł tę osławioną instytucję. Naczelną policyijną i administracyjną władzę ujął w swe ręce; do pomocy przybrał sobie komitet bezpieczeństwa, złożony z 25 mężów zaufanych: byli między nimi także reprezentanci „dumy“ miast większych. Komitetowi temu polecił prowadzenie politycznych procesów w Petersburgu i okolicy, i nadzór nad nimi w całej Rosyi. Tym sposobem samowola policyjnej władzy generał-gubernatorów zo-

stała złamaną; o każdym aresztowaniu dłuższem nad 24 godzin, o każdej wysyłce administracyjnej, o każdym wyroku w politycznym procesie, donosić oni musieli komitetowi 25-ciu, ten zaś swemu prezesowi, który znów zapadłe w ten sposób wyroki podawał cesarzowi do częściowego lub zupełnego ulaskawienia. Cywilni gubernatorowie tylko w sprawach zakłócenia spokoju publicznego przez nihilistów odnosić się mieli do jeneral-gubernatorów; we wszystkich innych znosili się wprost z ministrami. Osobnym reskryptem polecił Melikow przyspieszenie wszystkich procesów politycznych, łagodne obchodzenie się z politycznymi więźniami, którzy najdalej w 24 godzin po aresztowaniu przesłuchani być powinni, a co najważniejsza, przy ministeryum sprawiedliwości wyznaczył dwie komisye: jedną dla przejrzenia procesowych aktów przestępców politycznych, drugą dla zbadania aktów śledztw policyjnych, osób drogą administracyjną zasłanych w Sybir lub zostających pod nadzorem policyjnym.

Według obrachunku rewolucyjnego pisma, *Wolnoje słowo*, cyfra aktów procesów sądowych wynosiła 1696, z tych w ciągu roku przejrzała komisya tylko 1500 i skonstatowała, że jedna czwarta część oskarżeń opierała się na fałszywych donosach. Cyfrę aktów śledczych policyi trudno podać; samych studentów zasłanych w Sybir od 1874—80 r., naliczono 2240. Dzięki tym ludzkim rozporządzeniom Melikowa, wielu „podejrzanych“ wypuszczono z więzień Petersburga, Moskwy, Odessy, Charkowa, wielu „niebłahonadiożnych“ powróciło z Permy, Orenburga i Sybiru do swoich domów. Dalsze zmiany w duchu zachodnio-postępowym wisiały w powietrzu. Z rąk do rąk obiegał (w marcu 1880 r.) obszerny memoriał, zredagowany niewiadomo przez kogo, który dostał się do carskiego dworu i do Melikowa, i zyskał jego jakby aprobatę. Zajmuje on się pytaniem: jak zaradzić złemu i pokonać rewolucyjną partyę terroru czarnego? I odpowiada: pewną jest rzeczą, że źródło złego tkwi w braku możności objawienia opinii publicznej i w przymusowej bezczynności społeczeństwa — a więc znieść, a przynajmniej zwolnić należy cenzurę, nadać prasie wolność względną, przypuścić do rządu reprezentacyę narodową. Środkami represyjnymi nie usu-

nie się nihilizmu. Istnieje bowiem skutek obecnych stosunków powszechne niezadowolenie klas inteligentnych, które nie mając żadnego upustu, dostarczać zawsze będzie nowych kandydatów partii wywrotu. Rząd sam wobec niej nie jest dosyć silny — pokonać ją może jedynie za współudziałem społeczeństwa, dla którego obecny rząd jest obojętny, o spokój i bezpieczeństwo jego, a nawet o materyalne jego korzyści niedbały. Powołać je więc należy do współrządów, zaspokoić jego sprawiedliwe żądania, usunąć raz nazawsze arbitralność policyi, a z wychowania publicznego system ingerencyi władz policyjnych; podnieść poziom nauk i uczyć młodzież myślenia. Wszystko, co ostatnimi czasy rząd uczynił w szkolnictwie, zraziło rodziców do szkoły, młodzież do profesorów, profesorów poważniło między sobą, słowem, obraża jest społeczeństwa. Stosunki agraryjne, system podatkowości, potrzebują także gruntownej przemiany. Wszystkiemu temu rząd centralny nie podola, „z zakłętego koła Rosya wydostanie się tylko zawezwaniem swych obywateli do utworzenia reprezentacyi narodowej i przypuszczeniem ich do spraw publicznych, zabezpieczając równocześnie każdej jednostce wolność osobistą, wolność opinii i słowa“¹.

Mrzonki to tylko były; karmiły się niemi i spodziewały ich zrealizowania umysły pocziwe, ale nie nihilisci. Owszem, komitet wykonawczy zajął się teraz gorliwie reorganizacją całej rewolucyjnej „partyi“. Rozesłał do pojedynczych grup projekt „przygotowawczej działalności partyi“, którego treść podałem w rozdziale poprzednim. Naradzały się nad nim pojedyncze grupy, poprawki swe przesłały komitetowi, ten zaś przystąpił do ostatecznej jego redakcyi. Projekt nie stał się nigdy ustawą obowiązującą wszystkich, służył jednak grupom za model do ułożenia własnego programu akcyi. Organizując się w ten sposób, nihilizm stawał się państwem w państwie, czarną potęgą przeciw potędze białego cara. Dzielił się na dwie partye: terrorystów, których nie było więcej nad 500, i skonfederowanych socjalistów różnych odcieni; tych liczono na kilka tysięcy. Różni

¹ *Russische Wandlungen*, str. 297—319.

w wyborze środków, zgadzali się wszyscy w nienawiści do rządu i pomagali sobie wzajemnie we wszystkim, co ten rząd obalić lub skompromitować mogło. „Sprzątnięcie“ cara stawalo się powoli dogmatem; a Żeljabow i Perowska, zakochani w sobie, duszą byli: on reorganizacyi całej partyi i planowania nowych zamachów na cesarza — ona zaś organizacyi terrorystycznej grupy w Petersburgu, zwanej *rewolucjonная рабочая дружина*, i przygotowawczych robót do zamachów. Przez lato i jesień 1880 szły obok siebie paralelnie wyroki i egzekucye sądowe na nihilistów w Petersburgu, Charkowie, Moskwie, Odessie, Kijowie, „za rozszerzanie zbrodniczych zasad, podkopujących bezpieczeństwo i całość Rosyi“, za zbrojny opór przy aresztowaniu, za udział w zamachach na życie cara i jego czynowników, za zrabowanie poczty lub rządowej kasy¹. Nihilisci zaś po dawnemu sztyletowali szpiegów: Żarkowa w Petersburgu, Zabramskiego w Kijowie; bronili się przy aresztowaniu drukarni „Narodnej woli“ (17 stycznia) i przy uwięzieniu Priesniakowa (24 lipca) w Petersburgu; urządzali demonstracye na placach egzekucyi swych towarzyszy i zaburzenia młodzieży w uniwersytetach; organizowali robotników w grupy agitacyjne i w robocze drużyny bojowe. W stolicy na czele grupy agitacyjnej stali: Żeljabow, Perowska (Inwalid) i Michał Iwanowicz (Kotik); w grupie terrorystycznej wodzili: Rysakow, Żeljabow, Kotik, Michajłow i Gryniewicki.

Nareszcie w zimie 1880/1 r. wystąpili z szeroko obmyślanym, sumiennie wykonanym planem zamachu na cara, przekonani, że tą razą zamach udać się musi. Za teren do zamachu obrano drogę, którą cesarz często przejeżdżał z zimowego pałacu do ujeżdżalni Michajłowskiej. Przestrzeń tę podminowano na dwóch miejscach. Przy ul. Małej sadowej wynajął Kobezew z Jakimową sklepik i otworzył handel nabiątu i rosyjskiego sera. Z piwnicy tego sklepiku zrobiono podkop, idący aż pod środek ul. Małej sadowej, i umieszczono w nim dwa pudy dynamitu (80 funtów); baterię elektryczną ustawiono w alkowie, tuż za sklepikiem,

¹ Spis procesów nihilistycznych z r. 1880 podaliśmy już poprzednio (por. zeszyt z września, str. 348).

połączono drutami z nabojem¹. Drugą minę podsadzono pod most kamienny teatralny. Wreszcie wzdłuż drogi poustawiać miano swoich ludzi z pękającymi bombami. Piekielną tą robotą kierował Żeljabow, przy pomocy ukochanej Perowskiej; inicjatywa planu wyszła od komitetu wykonawczego; wykonawcami tych robót byli członkowie „roboczej drużyny bojowej“. Na wezwanie Żeljabowa zgłosiło się ich 47, wybrano kilkunastu. Debaty ich odbywały się najprzód w mieszkaniu Rysakowa, potem „w kryjówce konspiracyjnej“ na Troickim zaułku, przeniesionej z końcem lutego na ul. Teleżną, której gospodarzami byli: Jesse Helfman z Sablinem. Coraz to częstsze aresztowania zmuszały do gorączkowego pośpiechu. Przerywając debaty, Żeljabow polecił (20 lutego 1881) Rysakowskiemu wykonanie zamachu, który jak pierwszy zgłosił się z gotowością, tak teraz przyjął polecenie z ochotą. Przyłączyli się do niego także na rozkaz Żeljabowa jako pomocnicy: Kotik, Tymoteusz Michajłow i Gryniewicki. Postanowiono rozpocząć od bomb. Perowska uorganizowała prawidłowy nadzór nad wyjazdami cesarza i wybrała „stannice“ dla tych szczególnych artylerzystów: Rysakow stał przy skwerze jekaterynieńskim, Gryniewicki na rogu Newskiego prospektu i Małej sadowej, Kotik i Michajłow na rogu Wielkiej italiańskiej i Małej sadowej. Sygnały (utarcie nosa chustką) dawać miała Perowska; ona także w razie potrzeby zmieniać miała „stannice“. Bomby przygotował „technik“ partyi Kibalczyz; były one jego inwencji, bardzo prostej konstrukcyi, domowej roboty i tanie. Przyniósł on je na zebranie, pouczył jak się z nimi obchodzić należy; wreszcie 28 lutego wyszli wszyscy za „Smolnyj monastyr“, za miasto, i odbyli próbę rzucania nimi; próba wypadła pomyślnie. Nazajutrz — był to dzień 1/13 marca — postanowiono wykonać zamach.

¹ Nabój był tak silny, że gdy po wykryciu podkopu rząd przystąpił w kwietniu do zniszczenia materiałów wybuchowych, nagromadzonych przy ul. Sadowej i Teleżnej, a wyrabianych przez Kibalczyca, to cztery naboje wysadziły w powietrze stary okręt, zatopiony w przystani Jekaterinhofskiej, a piąty nabój wysadził i roztrzaskał w kawały kamień ośmiocentnarowy i dwie olbrzymie belki dębowe: huk jego równał się wystrzałowi kilku naraz armat.

Był to już czas najwyższy. Stooczna policja dostrzegła niezwykle ruch w obozie nihilistów. Doszły ją telegramy od tajnych agentów z Londynu, Paryża, Genewy, Nowego Jorku, ostrzegające o nowych niebezpiecznych knowaniach przeciw życiu cara, do których i zagraniczni nihilisci sympatjami i dostarczaniem środków pieniężnych przystąpili. W ostatnich dniach lutego cesarz otrzymał pudełko z pigułkami starannie opakowane, przewiązane sznurkiem i oplombowane. Do pudełka dołączony był przepis użycia. Kto je położył na biurku cara, nie było wiadomem. Cesarz oddał je przybocznemu lekarzowi, Betkinowi, do zbadania; ten badał je zbyt ostrożnie, na szczęście swoje przeciął sznurek, ale go nie oderwał. Dopiero przy analizie chemicznej przekonano się, że to były eksplodujące pigułki, które przy oderwaniu sznurka pękały i zdolne były zabić trzech ludzi. Plakaty z formalnym dekretem śmierci na cesarza rozlepiano w nocy po ulicach i placach, doręczono nawet jeden egzemplarz carowi. Policja tedy dwoiła się i troiła w swej gorliwości. Pałac zimowy, zwłaszcza sutereny i piwnice i wszystkie kanały ogrodu, zrewidowano najskrupulatniej. Na donos „dworników“ i tajnych agentów, urządzano nocami formalne oblawy za nihilistami, aresztowano ich wielu, między innymi ujęto samego Żeljabowa na dwa dni przed zamachem; każdy dzień, każda godzina zwłoki, narazić mogła całe „dzieło“ na zgubę — należało więc spieszyć.

W niedzielę tedy, w fatalny ów dzień 1 marca o godz. 9 rano, Perowska ustawiła swoich artylerzystów wzdłuż drogi, którą cesarz miał jechać dla przeglądu warty, jak zwykle co niedzieli to czynił, w ujeżdżalni Michajłowskiej. Odbywszy przegląd, udał się według zwyczaju do pałacu w. księżnej Katarzyny Michajłówny na śniadanie. O godz. 1 minut 45, powóz cesarski, konwojowany przez sześciu kozaków i policmajstra Dworzeckiego, ruszył cwałem z bramy pałacu w. księżnej ku zimowemu dworcowi. Droga wiodła przez ul. Inżynierską i wąską ulicę, pomiędzy ogrodem w. księżnej, okolonym murem, a baryerą kanału jekateryńskiego. Karetą carską właśnie dojeżdżała do mostu teatralnego, gdy stojący tu Rysakow rzucił bombę pod nią. Pudło ka-

rety nie dało się rozwinąć gazom, bomba wryła się głęboko w ziemię i wyrwała w niej wielką jamę, strzaskała tył karety, zabiła kozaka, zraniła kilku ludzi, ale car ocalał. Odważny, jak był, mimo prośb woźnicy i Dworzeckiego, nie chciał jechać dalej: wysiadł i zbliżył się do Rysakowa, pasującego się z dwoma majtkami, którzy go ujęli. Ledwo kilka kroków postąpił, aliści Gryniewicki rzuca drugą bombę pod stopy cara, która rozrywa jego nogi i tułów w kawały, rani śmiertelnie samego sprawcę zamachu, iż bezprzytomny w 8 godzin umiera, zabija dwóch żołnierzy i kaleczy ciężko 18 osób obecnych katastrofie. Na huk bomby, tak straszny, że szyby w oknach domów na przeciwnej stronie kanału popękały, przybiegli kadeci szkoły Pawłowskiej. Przy ich pomocy włożono cara do sanek Dworzeckiego i zawieziono do zimowego dworu. Tam on chciał umierać, jakoż wnet z ran i krwi upływu skonał — ofiara zemsty własnych poddanych i systemu rządowego, którego był uosobieniem.

(Dok. nast.).

Ks. Stanisław Załęski.



LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

Pisałem do swoich listy z podróży — teraz na żądanie życzliwych przyjaciół odważam się oddać je do druku. Przyznaję, że na samą myśl o druku mojej pisaniny, mrowie mnie przechodzi. Nie boję się krytyki dla formy i stylu: napisawszy jak umiałem, o resztę nie pytam; ale boję się sądu tych, co szukając nadzwyczajności, wrażeń gwałtownych i pieprznych, zawołają niezawodnie: jak to? to tylko to? — a może nazwą ten mój ideał, moje kochanie, tę piękną, starą Azyę — monotonna, nudną! — tę Azyę, którą my w zaskorupiałych naszych pojęciach lekceważąco nazywamy Wschodem, kiedy ona właściwie centrem naszej hemisfery była i poniekąd jest niem jeszcze — tę Azyę, która mnie od dziecka nęciła ku sobie, którą kocham i czczę jak drugą matkę. Niepojętem, dziwnem może wyda się niejednemu to uczucie, ten pietyzm dla starej kolebki ludów; we mnie, przyznam, na głos śpiewki mongolskiej wśród ciszy stepów, monotonnej, ale wiecznie tej samej, dziwnie jakoś słodkie budziło się uczucie tęsknoty za przeszłością, za dawnymi minionymi wiekami... Natury nasze słowiańskie, tak blisko jeszcze z Azyą spokrewnione, zachowały więcej niż inne, gdzieś na dnie duszy skrytego tęsknego wspomnienia dawnych sadyb, dawnych dziejów; na widok Azji co chwila budzą się te zamglone uczucia, smucę się i tęsknię, choć nie wiem dlaczego i za czem...

Więc, choć nadzwyczajnych zdarzeń nie będę opowiadał, może przecież ta część czytelników, co odczuła kiedykolwiek ten pietyzm dla pra-pradziadów Azyatów, pójdzie za mną aż do końca, zrozumie niejedno westchnienie, co mi się z piersi wyrwie, i nie osądzi mej kochanej Azji zbyt „po europejsku“. O to jedno proszę.

Zagrzeb, 25 października.

Nagle ni ztąd ni zowąd, chodząc około połowy października 1888 r. nad brzegiem cudnego jeziora Genewskiego w Vevey, zgadło się między moim bratem a mną, jakby to przecież ciekawie i ładnie było zobaczyć Stambuł. Mielśmy kilka tygodni wolnych przed sobą, czyby nie warto poznać Bałkany, skoczyć nad Bosfor? Od słów do czynów: na drugi dzień po owej rozmowie, z listem kredytowym na filię *Credit Lyonnais* w Konstantynopolu, pędziliśmy wielkim ekspressem przez św. Gotarda ku Medyolanowi.

Szwajcaryę, Gotarda, Medyolan wielu lepszych ode mnie opisywało, wielkie ekspresy opisał p. Emil Zola wyczerpująco — o jednej rzeczy zapomniano dotąd, tj. o opisaniu cierpień mąk agitacyi, przez które przejść muszą podróżnicy, mający fatalny zwyczaj wożenia ze sobą tytoniu, a przejeżdżający przez granice zaprzyjaźnionych państw „europejskich“! Za marnych parę cygar, którem był kupił *nota bene* w trafice wiedeńskiej, zapłaciłem i na włoskiej i na austriackiej granicy bająnskie sumy, a weksacyj doznanych, na byczej skórze nie spiszę.

Wreszcie ślimaczym pociągiem dowlekliśmy się do Zagrzebia. Tu hotel okropny, ale śliczne Muzeum kosztem biskupa Strossmayera prawie wyłącznie zbudowane. Popołudniu wizyta u hr. Wojnowića; jestto Dalmatyniec, osiadły od wielu lat jako profesor w Zagrzebiu; człowiek najmiłszy, gorliwy katolik, gorący patriota chorwacki. Z nim zwiedziliśmy trochę miasto, przyczem nadzwyczaj ciekawa rozwinęła się rozmowa. Wogóle

duszną atmosferą ciąży nad Zagrzebiem, walka straszna, zażarta, toczy się między rządem a narodem. Inteligencja tutejsza w braku szlachty, narodowym duchem przejętej, ma wielkie i trudne zadanie, a pierwsza narażona jest na pociski rządu, dla którego wszystkie środki są dobre. Lud opiera się dążnościom rządu dwojakim stalowym pancerzem: gorącymi uczuciami katolickimi i głęboko zakorzenionem przywiązaniem do dynastyi. Pierwszą siłą podminowuje rząd, robiąc co może, aby korumpować księży: tylko tacy księża, którzy mu się zupełnie na usługi oddają, awansują w hierarchii, otrzymują protekcyę i t. d. Z drugą siłą trudniejsza sprawa, bo przecież pewne *decorum* wobec dynastyi zachowane być musi. Jak mało jednak tutejsze władze krępują się tem *decorum*, jak objawy uczuć dynastycznych bywają wzbraniane, jak burmistrze miast, które urządziły owacye na cześć przejeżdżających arcyksiążąt lub monarchy, bywają karani i zawieszani — mógłbym o tem ciekawe i bardzo świeże opowiedzieć historye. Ale ja właściwie opisuję podróż — dajmy pokój polityce.

Dyakowa, 28 października.

Z domu Wojnowiców najmilsze zachowaliśmy wspomnienia, trzeba było jednak pożegnać naszych gospodarzy, bo nazajutrz wieczorem oczekiwał nas biskup Strossmayer u siebie w Dyakowie. Na dworcu w Ossieku, z kądem jeszcze spory kawał końmi jechać trzeba, przyjął nas z wielkimi atencjami wysłany od biskupa ks. prof. H., zaprowadził do przygotowanego hotelu i oznajmił, że nazajutrz rano spotkamy biskupa, który będąc właśnie w podróży, razem z nami do Dyakowy pojedzie.

Wreszcie o 9 zrana zajechał przed nasz hotel Strossmayer czwórka wspaniałych, a nieraz już opisywanych Lippizanerów. Po serdecznem przywitaniu ruszamy ku Dyakowie. Pejzaż monotony, na widnokręgu tylko widać pagórki winodajne Syrmii; ale wewnątrz powozu ożywiona i w najwyższym stopniu interesująca rozmowa. Sędziwy biskup chorwacki, którego niegdyś poznałem w Rzymie, dziś już wiekiem przygnębiony; gdy jednak mowa o rzeczach, które go żywiej obchodzą, oczy mu się

zaświecą, zaklnie zwłoska *per Bacco*, kłaśnie palcami, i wtedy istotnie sypią się z jego ust perły myśli, oprawne w śliczną formę. Mówił dużo o bolesnem położeniu Chorwatów, twierdził, że ich rozgoryczenie doszło do punktu kulminacyjnego i niebawem stanie się groźnem, mianowicie w ważnych przejściach politycznych i socyalnych. Jakie biskup przewiduje w Austrii. Polskę i Polaków kocha on i szanuje szczerze; przyznaje, że Polsce należy się jedno z naczelných miejsc w rodzinie słowiańskiej: jest zdania, że Rosya we własnym interesie winna oddać Polsce wolność sumienia i myśli. Tu zacytował mi treść swojej korespondencji z Katkowem: zarzucał mu mianowicie, że tak on jak jego adepci, traktują wewnętrzne sprawy Rosyi z tak niskiego punktu widzenia, zamiast rozwiązać kwestyę polską, przyznając Polsce jej przyrodzone prawa. Na to miał odpowiedzieć Katkow, że jeżeli Polacy zrzekną się wszelkich pretensyj do prowincyj, leżących poza granicami rdzennej Polski, wówczas Rosya jest gotową tej dziesięciomilionowej ludności w Królestwie przyznać wszelkie koncesye i prawa.

Strossmayer bierze tę obietnicę na seryo. Zło, jakie się dziś dzieje, przypisuje on otoczeniu Aleksandra III.; osobisty jego charakter ceni, i myśli, że przedstawwszy mu prawdziwy stan rzeczy, możnaby wielkie zmiany uzyskać. W każdym razie pojednanie Rosyi z Polską — któreby też inne właśnie między Słowianami w następstwie ukoilo — jest, jego zdaniem, *conditio sine qua non*, jeśli w niedalekiej walce z germanizmem słowianizm ma wyjść zwycięsko. Z poglądami politycznymi Strossmayera można się zgadzać lub nie, w każdym razie przyznać trzeba, że to człowiek niepospolitej miary; a w Chorwacyi dopiero widzi się, jak wiele on dobrego zdziałał dla podniesienia i oświecenia swego ludu i dla ocalenia jego narodowości i wiary, i z trwogą myśli się, coby było, gdyby takiego męża nie stało.

Tak gawędząc, stanęliśmy w Dyakowie. Pałac biskupi niekoniecznie piękny, ale nadzwyczaj charakterystyczny, pokoje, o okazałych proporcjach — stanowią wspianą ramię dla tej osobistości. Nieswietnie wszystko utrzymane, boć wiadomo, że królewska hojność na cele publiczne i dobroczynne pochłania

jego wielkie dochody, a budowla sławnej katedry dyakowskiej, która kosztowała pono blisko dwóch milionów, wprawiała biskupa w dług.

Przy obiedzie, wśród liczного grona profesorów seminaryum biskupiego i księży przejezdnych, a w gospodę zaproszonych — starym zwyczajem chorwackim nie obeszło się bez mów i śpiewu. Dostojny gospodarz pił zdrowie nasze i zdrowie całej Polski: mówił krótko, pięknie, a tak serdecznie, że i jemu i nam wszystkim łzy stanęły w oczach.

Belgrad, 1 listopada.

Długo jeszcze myślą bawiliśmy w Dyakowie, i długo rozmawialiśmy o biskupie — kiedy nad wieczorem, po całodziennej żegludze na Dunaju, okazały nam się tysiączne światła Belgradu z jednej, Semlina z drugiej strony Dunaju, i tok naszych myśli i rozmów przerzuciły raptem od Chorwacyi na pobratymczą Serbią. Komu znana historia ostatnich lat 200 na wschodzie europejskim — ten nie usłyszy bez wzruszenia nazwiska *Bio-gradu*, czyli Białego Grodu. Wieleż tu krwi chrześcijańskiej, wiele później ottomańskiej w Dunaj spłynęło! A komu te dzieje mało są znane, niech przeczyta znakomite dzieło Kallay'a.

Przyjazd do Belgradu okropny. Statek — by być wiernym tradycyom austro-węgierskiego Lloyda, który choć za dewizę obrał słowo *Vorwärts*, ale w praktyce dodaje do niej: *aber langsam* — minawszy Semlin, skręcił po długim wahanii się z właściwego łóżyska Dunaju w odnogę tegoż, i stanął nareszcie przed Belgradem. W chwili przyjazdu, na statku samym ścisk niewypowiedziany; brak porządku kompletny. Każdy chce być pierwszym, szturchanie się rozpaczliwe — zwłaszcza jakiejś rodziny Czechów, którzy widocznie po główny produkt tych krajów. bezrogi, jechali — dało się specjalnie moim żebrom we znaki. Złe jakoś przybiliśmy do lądu; pół godziny mija, nim nareszcie pomost położono. W tej samej sekundzie, dwudziestu, niby fakinów w czapkach, kapeluszach, nie wiedzieć w czym — ale z numerami — rzuca się na tę biedną, wylęknietą publiczność i po-

rywa z wrzaskiem, iście już oryentalnym, bagaże. W tej chwili dopiero spostrzegamy, że nad miastem żarzy się luna straszliwa, słychać dalekie, w nierównych odstępach czasu powtarzające się wystrzały. Co to? pytam wylękniony. Z miną gęstą odpowiada mi jakiś z brzegu przybyły jegomość: to Belgrad iluminuje na cześć swemu królowi, z powodu ogłoszenia najwyższego zamiaru rewizyi konstytucyi! Wsiadamy. Nasz fakino ryczy formalnie do ucha urzędnika odbierającego paszporty, pokazując na nas, że to członkowie austro-węgierskiej legacyi. Głęboki ukłon jedyną odpowiedzią na tę rewelację, puszczają nas bez żądania paszportu. Ta sama komedia przy rewizyi pakunków. Siadamy do fiakra. Pod nogami naszymi pęka parę petard, które zbyt weseli Serbowie na cześć konstytucyi wystraszonym przyjezdnym między nogi ciskają.

Jazda do hotelu; zdzierstwo od początku. Za przewiezienie nas i przeniesienie rzeczy o jakich 400 kroków, każą płacić około 14 franków! Hotel smutne robi wrażenie, jeszcze gorsze kolacya. Humory więc fatalne. Po herbacie idziemy oglądać iluminację. Jak na złość już prawie skończona! Przyczyną jej istotną rozwód króla z żoną, który przed dniami kilkoma stał się faktem dokonany. Król wiedząc, że to krok arcy-niepopularny między ludem, który królowę nadzwyczaj kocha, puścił w świat bardzo zgrabnie, by ratować sytuację, ów pompatyczny manifest, gdzie z okazji 500-letniej rocznicy bitwy na Kosowym Polu, wzywa naród do dania wyrazu swej woli, przez wybór nowego sobrania i rewizję konstytucyi w duchu liberalnym. Ztąd entuzjazm. W austriackiem poselstwie twierdzono, że to entuzjazm szczery; gdzieindziej słyszałem, że sztuczny, bo zapłacony. Bądźcobądź, królowa-ofiara ma wszystkie sympatyje kobiet po swej stronie, a w Serbii kobiety ważnym elementem, z którym liczyć się należy. Król zaś był i jest mniej popularny. Wrażenie najgorsze owego rozwodu, było ostatnią kroplą, która czary niezadowolenia dopełniła. Francuz, pan Finet, dyrektor kolei serbskich, taką raz przy czarnej kawie rozwinął mi o Serbii teorię: król — mówił — to jedyny w tym kraju czło-

wiek, reszta to ludzie moralnie na żołądek chorzy; ludzie, co pochłaniają mnóstwo duchowej strawy, i to niezdrowej, bo polityczno-socyalnych nauk i idei, których wcale nie trawia. Przez to ciągle obładowywanie tak ciężką strawą, te politycznie arcy-młode umysły, które przed laty paru o niczem, prócz hodowli trzody nie myślały — umysły te muszą chorować na duchowy nieżył. Ztąd brak ludzi politycznych w Serbii, a przeludnienie niedowarzoną inteligencją, mającą w ustach mnóstwo frazesów, niezdolną i leniwą do społecznej pracy, przekonaną, że frazes w swoim czasie i miejscu, przy szklance wina domorosłego, lub w parlamencie wypowiedziany, stanie za czyn. Król Milan przeciwnie, to osobistość arcysprytna, zwinna, umiejąca sobie radzić, wykrecać się z najciaśniejszych pozycji. Wie czego chce i zawsze szybko i zgrabnie znajduje sposób dopięcia zamierzonego celu. Czy jednak taki linoskoczek na tronie długo potrafi koziołkami i zwinnymi skokami wymykać się przed pałąk przeznaczenia i logiki wypadków — to drugie pytanie?

Belgrad jako miasto, nie szczegółniejszego nie przedstawia, prócz idealnie pięknego położenia. Widok ze szczytu góry, na której leży dawniejszy turecki zamek obronny, dziś na koszary przemieniony — góry, oblanej u podnóża z trzech stron Dunajem i jego odnogami — mało sobie równych w świecie pewnie znajdzie. Sam zamek wielce ciekawy, niejedna tu pamiątka po Turkach pozostała, nawet z czasów zdobycia go przez księcia Eugeniusza Sabaudzkiego kilka pięknych stoi jeszcze portyków. Publiczność serbska sympatyczna, choć Bułgarom pod tym względem wyższe przyznać muszę miejsce. Wogóle o Serbach nie zdołałem sobie dotąd wytworzyć jasnego pojęcia. Da Bóg, powrócę jeszcze w ich progi; że będą gościnne, nie wątpię, boć Serb, jak każdy Słowianin, gościnność za obowiązek i cnotę uważa. Jakie stanowisko zajmowała w Belgradzie podówczas legacja austro-węgierska, wolę przemilczeć, bo raz za granicą będąc, nie wypada mi krytykować swoich.

Sofia, 3 listopada.

Sofia nader mile, sympatyczne robi wrażenie. Kraj i mieszkańcy wesole. Ledwie niejakiś tu przechowały się wspomnienia z dawnego tureckiego miasta: parę brudnych uliczek w rodzaju tureckim, przypomina jak to przed wojną 77 roku musiało wyglądać. Resztką kościoła św. Zofii, zbudowanego rzekomo przez jakąś pobożną bizantyńską księżniczkę, dziś magazyn wojskowy, to jedyny świadek istniejący z przedtureckich czasów. Zresztą wszystko nowe. Pałac książęcy, wystawiony przez Aleksandra Battenbergskiego, trochę w stylu domów z wiedeńskiej Ringstrasse; tylko szyldwach bułgarski przed wejściem, i potężna chorągiew na cyplu dachu świadczą, że to rezydencya książąt bułgarskich. Wewnątrz inaczej. Przez hr. Starzeńskiego, syna Leopolda, austriackiego wice-konsula w Sofii, poznaliśmy adjutanta księcia, von Dobner, byłego majora austriackiego, który z księciem, jak i kilku innych, do Sofii przybył. Ten zaproponował nam audyencyę, czegośmy oczywiście nie odmówili.

Na drugi dzień o trzeciej audyencya; na życzenie księcia idziemy w surdutach, poprostu. Okazałe schody pałacu kwiatami ubrane; na dole ślicznie umundurowana gwardya przyboczna salutuje paradnie. W poczekalni ogromny portret *en pied* Aleksandra II., darowany ponoś księciu Aleksandrowi, przypomina, czem kiedyś Rosya tu była; wisiał on kiedyś w salonie, dziś w przedpokoju. Po chwilece wprowadzono nas do sali audyencyonalnej, gdzie nas czekał książę Ferdynand, władca Bułgaryi. Wysoki, nieco otyły, profil czysto burboński: ogromny nos, mała, rzadka i spiczasta bródka, takiż wąsik, nadają mu *en face* trochę podobieństwa do Mefistofelesa; oczy niebieskie, ręka duża o długich paznogiach, kobieca, obsadzona pierścionkami, tak jak książę obwieszony cały orderami. Pierwsze wrażenie, nie człowieka, co ryzykuje życie i przyszłość dla korony. Sprytny, wykształcony, czytany, przenikliwy, jak jego wzrok; nerwowy, sarkazmu wiele i ironii. Pracuje nadzwyczaj wiele: dziś gazety całego świata i akta urzędowe jedyną jego lekturą. Despota

ponoś dla podwładnych, żąda ślepego posłuszeństwa. Wojskowe parady — ta manja wielkich XIX. stulecia — nie zdają się być w jego guście; kiedyś, wracając z rewii, miał się odezwać do adjutanta: *Na, heute haben wir aber die Grossherzogin von Gerolstein im grossen Style gespielt.*

Wyobraża sobie Europa, że właściwą sprężyną w Sofii, jak i przy decyzji przyjęcia księżęcej czapki Bułgarii, jest księżna Klementyna, matka książęcia. Jestto całkiem mylne wyobrażenie: matka jest tylko pierwszą sługą syna. Z otoczenia bezpośredniego księcia, wpływu na jego politykę nikt nie ma, prócz Stambułowa. Księżę, *laisse faire Stambulow*; tylko w pewnych kwestiach i wypadkach ma swoje zwykle oddawna utworzone zdanie, i od tego nie odstępuje. Dziś jest nader popularnym, sypie na wsze strony obficie groszem, co Bułgarom najbardziej imponuje. Bułgarzy wiedzą zresztą, iż gdyby dziś się księcia Ferdynanda wyzbyli, nie dostaliby już chyba nikogo z sympatycznych sobie pretendentów.

Ale wróćmy do przyjęcia. Było więcej niż grzeczne, więcej niż łaskawe, a trwało coś wyżej godziny. Wielu wspólnych znajomych, ba, nawet krewnych, posłużyło za pomost, po którym szybko mogła się zawiązać poufalsza, niesztynna rozmowa, a za nią znajomość. Wieczorem dnia tego zaprosił nas na obiad w małym kółku, po którym długą a nader ciekawą mieliśmy rozmowę *en tête-à-tête*. W toku tejże zdefiniował swoje położenie wobec Europy w słowach: *Je suis une puce, qui mord à l'endroit où on ne peut pas se gratter!* — Idealne! — Wspominał księżę z wdzięcznością o prasie polskiej i jej dla niego sympatii: skarżył się na gorzkie pigułki, które mu prasa europejska wciąż połykać każe. Nietylko przy nas, ale zawsze przy jego stole konwersacya wyłącznie po francusku się toczy. i możnaby myśleć, że się jest u Ludwika XVIII., tyle słyhać o Ludwiku XVI., *le roi martyr*, o legitymistach i t. p. Wkońcu, obdarowawszy nas swemi fotografiami z bardzo ładnemi dedykacyami, pożegnał: *Au revoir encore à Sofia; venez y le plus tôt possible; cela me ferait réellement du bien* — a mówił, myślę, zupełnie szczerze, bo towarzystwa mu brak.

Że księżę Ferdynand należy do wybitniejszych postaci współczesnych, zaprzeczyć się nie da. Gdyby nawet wypadki miały sprowadzić i na niego los Aleksandra Battenbergskiego, zaliczałbym go mimo to do powyższej kategorii. W stosunkach tak niesłychanie trudnych, bo i z zewnątrz i na wewnątrz, nie przebywszy żadnej szkoły przygotowawczej, umieć sobie dać radę, ba, nawet umieć sobie stworzyć pozycję, i to poważną, jest dowodem co najmniej taktu i rozumu politycznego.

O narodzie bułgarskim nie piszę, boć pisano już tyle: jedną ma wadę ogromną, że według pieniędzy, tj. ilości tychże, leżących w czyjejs kieszeni, jedynie ludzi sądzi. Pieniądz dla Bułgara, to alfa i omega. W tem zupełnie do żyda i kacapa podobny; ma bez kwestyi ogromną przyszłość przed sobą; dziś, o ile mi wiadomo, sympatjami swojemi odwrócił się zupełnie od Rosyi; jedynie duchowieństwo zawsze jeszcze ku północy spogląda. Bułgarya podnosi się w oczach; ruch handlowy z dniem każdym większy. Rumelia, t. zw. wschodnia, choć od Wysokiej Porty zależna, ma jednak monetę obiegową, armię, urzędy i t. d. z Bułgaryą identyczne. Rumelia specjalnie zrobiła mi wrażenie dziwnie cywilizowanej! Minąwszy raz przesmyk Dragoman, przez który nowa kolej przechodzi, i wydostawszy się na ogromną płaszczyznę, ciągnącą się od stoków gór Rodope, Vitosza i Bałkanów, po obu brzegach rzeczki Maricy aż do Czarnego morza prawie — widzi się, zwłaszcza przed Filipopolem, jadąc od strony Sofii, dziwnie dobrze uprawne pola, ogromne łąki i gospodarstwo łączne, postępowe. Wina miejscowe wcale dobre, zastąpią z czasem francuskie. Filoksera, zjadając winnice francuskie, niszcząc, choć dotąd tylko częściowo, węgierskie i austriackie — oddała bezsprzecznie usługę znaczną krajom bałkańskiego półwyspu. Dziś już za tysiące wino z Dalmacyi, Bośni i t. d. idzie do Francyi; tam przerobione, wraca z etykietami szumnie brzmiących francuskich źródeł winnych do Europy.

Stambuł, 9 listopada.

Tyle się cudnych rzeczy słyszy i czyta o wrażeniach, jakie Stambuł sprawia na przyjezdnym, że mimowoli jest się w ocze-

kiwaniu jakichś cudów. Wierzę, że ci co przyjeżdżają w maju lub czerwcu, muszą coś idealnie pięknego widzieć. Ale my nieszczęśliwi przybywamy w listopadzie, wita nas pluta, śnieg, zimno, wichler szalony. Cóż w tych ramach bez słońca może się wydać pięknem? Przyjazd kolejną, choć wygodny, ale strasznie prozaiczny, psuje jeszcze, podobnie jak w Rzymie, pierwsze wrażenie. Tylko że Rzym po kilku chwilach swoimi cudami zaciera to pierwsze niekorzystne wrażenie, Stambul zaś daleko mniej. Jedno jest miejsce jeszcze w Stambule, gdzie dawne życie, życie stolicy Azji i Afryki północnej, zdaje się bić jeszcze pełnem tętnem, a miejscem tem — most między Perą a Istambulem, ów sławny most, na którym od ulicznika i żebraczki aż do ulemów, muftów, paszów, co typ to oryginalniejszy. Tu jeszcze chwilami prawdziwie ciekawe typy, ciekawe stroje się widuje. Zresztą zabytków interesujących dość jeszcze wiele, choć dopiero teraz rząd turecki zaczyna myśleć o konserwacyi ich przed barbarzyńskim obchodzeniem się poddanych. Dowód: muzeum *des antiquités*, nader ciekawe, gdzie pomieszczają coraz to nowe przybywające staro-greckie i dawniejsze wykopaliska Małej Azji. Muzeum to umieszczono w starym Seraju, więc w miejscu, gdzie niegdyś stał pałac rzymskich cesarów, później słynny pałac pierwszych sułtanów.— Ani spróbuję opisać, jakie wrażenie sprawia *Aja Sofia* ze swą cudowną kopułą. Pokazują stare mozaiki jeszcze chrześcijańskie, pod malowaniem świeższem, którem przerabiając ją na meczet, chcieli zakryć ślady chrystyanizmu.

Pierwszego piątku naszego pobytu poszliśmy oglądać oblicze padyszacha na Salamliku. Za interwencją nader uprzejmą ambasadora, br. Calice, otrzymaliśmy miejsca w rezerwowanej jakoby łoży dla dyplomatów i cudzoziemców, umieszczonej u wyjścia z pałacu sułtańskiego. Ambasador nasz nadzwyczaj grzecznie przysłał nam swego kawasa, i o godz. 11 ruszyliśmy karołą hotelową ku pałacowi Ildis-Kiosk. Przejeżdża się mimo Dolme-Bagdże, pałacu, wystawionego przez przedostatniego sułtana Abdul-Azisa. Portyk nad bramą z białego marmuru, niesłychanie ornamentami bogaty. Pracy rąk ludzkich widocznie tu nie szczędzono. Mur otaczający Dolme-Bagdże, ma z pewnością

10 metrów wysokości, długość niezmierzona. Podobny murek wybudowano sobie również naokoło Seraskieratu, ministerstwa wojny. Ildis-Kiosk ogromny, fasada znowu z białego marmuru, w stylu *rococo*, ale z przymieszką maurytańskich motywów. Na kilka tysięcy kroków przed pałacem już stoi piechota z muzykami. Koło samego wjazdu do pałacu, położonego na znacznej wysokości, bardzo stromą drogą połączonej z resztą świata, kawaleria: najprzód pułk zwykłej liniowej kawalerii na gniadych koniach, potem pułk gwardii konnej na siwych. Mundur bogaty, konie bardzo dobre, niezbyt świetnie czyszczone; wszystko węgierskie, jak pod całą prawie kawalerią turecką. Gdy piechota zamknęła szczelnie całą drogę po dwóch stronach aż do wjazdu do pałacu, nagle powstał ruch, mnóstwo baszów w pełnych mundurach, wielki eunuch z całym dworem swoim, softowie, służba, niosąca rozliczne przyrządy w futerałach i pozawijane w piękne jedwabiste materye — wszystko to wybiega z bramy pałacu i pędzi kłusem w dół, gdzie jedni do powozów wsiadają, drudzy pieszo gonią ku moszei, gdzie ma się odbyć uroczystość.

Chwila spokoju; poczem piechota i kawaleria zaprezentowała broń, usłyszeliśmy trąby i muzykę (marsza grał, ale jakiegoś zdaje się chińskiego) i zaczęły się przed nami przesuwać pułki eskortujące sułtana do moszei; część to załogi pałacu Ildis-Kiosk. Żadna forteca u nas nie jest tak obsadzoną i strzeżoną. Ciekawe bardzo pułki piechoty arabskiej: zielono-białe turbany, krótkie sztucce przez ramię, obszerne burnusy brunatno-czekoladowe i jakiś rodzaj sandałów na nogach, ubranie dolne białe. Dalej szedł pułk arnautów; ogromnie wysokie fezy, stroje niby arnauckie, ale nieładne: brunatne z czarnem wyszywaniem. Przed każdym batalionem dwunastu trębaczy, trąbiło idealnie oryginalnego marsza. — Znowu chwila ciszy; i dopiero rozległy się komendy, wojsko prezentowało znowu broń, ale tą razą inaczej, bo prezentując przed sułtanem, trzymają broń tylko lewą ręką, a prawą salutują. Przejechały więc najpierw dwa powozy zamknięte z napół spuszczonej firankami — w nich kobiety; dalej w powozach zamkniętych, siedząc sami ztyłu (a z przodu jacyś zdaje się guwernerowie, eunuchy murzyny), młodzi książęta: naj-

pierw następca tronu (lat 12), potem młodszy syn (lat 8), ładniutkie chłopaczki, nosy wielkie, ormiańskie; nareszcie *les avant-coureurs du grand seigneur*: na białych koniach, o czerwonych złotem bramowanych uzdach i czaprakach, to adjutanci — po dwóch; wkońcu zjawił się wśród grobowej ciszy pojazd sultana. Dwa ogromne hanowerskie konie, białe jak mleko, w bajecznie bogatych uprzężach; w ogromnej tej kolasie poczwórnej, złoczonej na wszystkie boki i strony, na środku tylnego siedzenia, siedział sultan w uniformie, którego zpod bogatej szuby sobolowej wcale nie było widać. Zawinięty w futro, w zwykłym fezie, wyglądał niezbyt zadowolony, czoło marszczył i rozmawiał z siedzącymi naprzeciw na ławeczce, jakimś starym paszą nieznanego nazwiska i z Osmanem-paszą, bohaterem plewnieńskim. Coś bardziej niepoczesnego, jak sultańska Mość, wyobrazić sobie trudno! Malutki, o brodzie kasztanowatej, zlekka podsiwiałej, nos potężny, cera woskowo-biała — czysty Mojsie z Brodów lub Berdyczowa. Za powozem pieszo sypie się orszak dworzan i sług: jedni trzymają powóz, drudzy idą tuż za nim, otaczając go. Stroje najprzeróżniejsze, najwięcej białych, srebrem i złotem bogato wyszywanych, prawdziwych arnauckich strojów. Dalej prowadzą cztery czy sześć koni siwych osiodłanych — wreszcie konno murzyni, w pyszne ubiory niebieskie złotem haftowane strojni, prowadząc każdy w rękę konia osiodłanego. Cała ta masa koni luzem prowadzonych, przeznaczona dla tych wszystkich dworzan, idących teraz pieszo za kolasą sultańską; będzie bowiem wracał swoim faetonem, sam się powożąc, i wtedy pędzi jak wiatr, a panowie ci za nim galopują. Wszystko to się przed naszymi oczami przesunęło wśród grobowej ciszy; za chwilkę usłyszeliśmy kilka pojedynczych „hurra“ — zdaje się, że to któryś z pułków dalej ustawionych cieszył się z widoku swego pana.

Z powrotem sultan przejechał, mimo tak stromej góry, wyciągniętym klusem, znowu siwymi, bardzo pięknymi końmi, powozikiem na dwie osoby, bez kozła, z napół podniesionym dachem. Powoził sam; powiadają, że na tem ogranicza swój sport. Ciekawa nader osobistość (niestety za krótko nam się pokazała) to Osman-pasza: wspinała postać, siwy, z pełną brodą, barczy-

sty, wysoki, twarz zupełnie oryentalna. Widziałem tu Blomaspaszę, Anglika, i Francuza Vitalisaspaszę z generalnego sztabu. Wojsko robi wrażenie wcale niezłe, choć porządku zbyt wiele w ich ewolucjach niema. Widziałem przy dzisiejszej paradzie oficera znacniejszego przed frontem z papierosem w ustach.

Popołudniu zwiedziliśmy Sulejman-Moszę i koło niej grób Roksolany — po św. Zofii nic się nie wydaje, zwłaszcza przy tej aurze. Dalej byliśmy na wieży Galackiej, przez Genuieńczyków wystawionej, dziś używanej jako strażnica pożarna, z ładnym widokiem. Późno wieczorem dostałem list od Sir William White'a, ambasadora tutejszego Wielkiej Brytanii, przyjaciela babki i całej rodziny naszej, zapraszający do siebie na obiad, kolację, śniadanie. List ten chowam, jako najgrzeczniejszy list, jaki można napisać.

Sir William White, to może jedna z najciekawszych osobistości w Stambule. Przed laty, przyjechawszy do Polski z ojcem, wychowywał się czas jakiś w Puławach i Warszawie; po polsku mówi i czyta wyśmienicie; abonuje *Czas*. Ma mnóstwo książek polskich, głównie rzeczy odnoszące się do rodziny Czartoryskich i powstania z r. 1830. Czasy późniejsze zna doskonale, specjalnie jednak interesuje się tem, co się odnosi do generacji minionych. Ogromny, barczysty, pełna broda siwa, także szumiaste wąsy, całkiem usta przykrywające, nos niewielki, perkaty, oczy niewielkie, troszkę chińskim trybem wygięte, o wielkiej ruchliwości i spryście. Na Anglika niebardzo patrzy. Jaką pozycję zajmuje w Stambule, dość wziąć do ręki pierwszą lepszą gazetę, pierwszą lepszą ztamtąd korespondencję. Postać to u nas nader znana, więc wstrzymuję się od dalszego opisywania.

Pokazywał mi Sir White całe tomy gazet, broszur, listów, druków, drzewo- i stalorytów, dotyczących powstań z lat 1830 i 1863. Nader ciekawe rzeczy. Zbierał wszelkie proklamacje rządu narodowego, artykuły gazet konfiskowane w Warszawie, gdy tam był konsulem angielskim. Po śmierci pragnie zapisać te swoje pamiętniki i zbiory odnośnie do Polski jakimś muzeum lub bibliotece w kraju. Sir W. White żegnał nas jak synów, odstawił własnym powozem na debarkader, ztamtąd swoją *mouche*

na pokład „Cara“, odpływającego do Aleksandryi. Obsypał nas listami rekomendacyjnymi do Indyj i Egiptu.

Do Stambułu z pomocą boską powrócić jeszcze w życiu pragnę — lepiej i w lepszych warunkach go widzieć; bo choć wiele stracił już z typu, jaki miał do niedawna, choć bardzo zeuropeizowany, przecie jednak ciekawy i uroczy. Dziś nawet ta stolica mahometańskiego świata tem szczególnie interesującą się staje, że wkoło niej, w łonie mahometanizmu dziwny budzi się ruch. Wyznawcy proroka w Arabii, w Indyi, w Chinach, w Afryce i t. d., poczynają rozumować, że ponieważ sama nazwa „kalifa“, tj. obrońcy wiernych, oznaczać powinna największego i najpotężniejszego z Mahometan — póty tylko mogła ta władza pozostać w ręku padyszacha tureckiego, póki on rzeczywiście był największym i najmożniejszym. Teraz, twierdzą ponoś ci ludzie, ponieważ sułtan traci jedną po drugiej prowincję, ponieważ go zewsząd wypychają, wszędzie biją, więc trzeba Mahometanom innego kalifa, bo ten już nie będzie w stanie obronić islamu przeciw jego wrogom. W tem zapatrywaniu przoduje — jak mi mówiono — sekta powstała między Arabami, Sunnitami: wolnomularze mahometańscy, wprost dążący do obalenia sułtana, do odebrania Turkom supremacji, którą od wieków nad światem muzułmańskim dzierżą. Wogóle duch islamizmu zaczyna na wszystkich punktach odżywać i budzić się. W roku 1888 było w Mecce 400.000 pielgrzymów, i jak twierdzą, liczba ich corocznie wzrasta...

Wieczorem 13 listopada wsiadamy na statek „dobrowolnej“ rosyjskiej flotyli — imię jego „Ćar“. Za dni 4 mamy stanąć w Aleksandryi. Opuszczając Europę po raz pierwszy w życiu, chciałoby się poświęcić choć parę wierszy jakimś ogólnoludzkim uczuciom i uwagom — tymczasem natchnienia mi jakoś brak. Wszelkie natchnienie przygłuszają w tej chwili dwa uczucia: obawa choroby morskiej i tęsknota za domem. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej — wielka prawda; kto nie chce w nią wierzyć, niech jedzie w świat, po paru tygodniach z pewnością na nią się zgodzi.

Ze statku w drodze do Aleksandryi, 11 listopada.

Pisząc tę datę, dziwię się sam sobie, jak mogłem być tak mało przesadnym i wyjechać w tak długą podróż pod datą feralną 13! Dzisiejsze słońce, swoją drogą mało bardzo grzejące, i wiatr wschodni, acz bardzo zimny i przykry, zapowiadają — jak twierdzi nasz kapitan — pogodę i spokojny stosunkowo przejazd do Aleksandryi, więc chyba coś przeciwważało feralność daty naszego wyjazdu ze Stambułu. Statek nasz nieświeatny, choć niby to wojenny; niezbyt czysto, kuchnia okropna. Adam też rozpoczął podróż dość silnym choroby morskiej symptomem, zaraz wczoraj wieczorem, choć morze wcale nie było przykre. W nocy dopiero, choć to tylko Marmora, jednak porządnego dozналиśmy kołysania. Na statku gwałt się zrobił. Jacys państwo Rosyanie z psem jechali, biedne stworzenie, chorowało okropnie. Restaurator na statku ma kanarki, warto będzie obserwować, czy też kanarki cierpią na morzu. Rano — Dardanelle; stacya tego nazwiska nas na dzień-dobry przywitała. W miejscu tem. niezmiernie gęsto, choć może na dzisiejsze czasy nie dość mocno obwarowanem, tak wąską staje się cieśnina, że okręty jedne na drugie muszą czekać, by przepłynąć. Ztąd płyniemy wciąż wzdłuż wybrzeża Małej Azji, które po lewej ręce doskonale widać. Łąd stały jak i wyspy i wysepki, które wkoło nas rozsiane, kamieniste, prawie karst; gdzieniegdzie krzaczki jakieś. mieszkań ludzkich zupełnie nie widać; czem bardziej płyniemy na południe, tem się ten kraj wydaje pustszy; góry coraz wyższe. Na Lesbos, czyli Mitilene, niepoczesnej ojczyźnie Saffony. ogromna góra, jakaś odnoga tamtejszego Olimpu, pokryta zupełnie śniegiem; w całej zresztą Małej Azji śnieg na górach.

Doskonale widać równinę Troi. Od strony morza lekkie skaliste wzniesienie, na niem dwie mogiły w niezbyt znacznej odległości od siebie — groby Achileśa i Patroklosa; dalej wolnym spadkiem rozwija się ta znaczna, w większej części krzakami i gaikami niskopiennego jakiegoś drzewa pokryta dolina. by znowu pomalu podnosić się ku wzgórzom, które na wschód

i północ widnokrąg zamykają. Krajobraz sam przez się niebrzydki, wabi oko głównie wielką swą przeszłością. Prawie naprzeciw leży wysepka Tenedos z przystanią, w której r. 1855 a potem w 1877, w czasie wojen krymskiej i rosyjsko-tureckiej, zatrzymywały się: w pierwszej floty sprzymierzonych, a w drugiej floty angielska, dążąca niby to dla wstrzymania zbyt rychłych postępów armii rosyjskiej. Krajobraz tu w klasyczne pamiątki bogaty; na pokładzie statku, stojąc i patrząc na te świadki tylu wiekopomnych zdarzeń, chciałoby się mieć bodaj dobrą historię grecką pod ręką, by wspomnieniami ubierać te miejsca, które dziś już są tylko prawie nagimi, zupełnie bezludnymi skałami. Nie mając historii greckiej, pocieszamy się Baedekerem i recytowaniem od czasu do czasu dwóch pierwszych wierszy Iliady... reszty żaden z nas nie umie.

Kair, 17 listopada.

Nareszcie więc na południu, w cieple, choć dotąd tego ciepła niezbyt wiele było, bo choć w Aleksandryi było wcale przyjemnie, to jednak tutaj wieczór prawie chłodny. Choć mija już 8 godzin od chwili jak statek opuściłem, bośmy o 2-giej stanęli w Aleksandryi, jeszcze mi nogi nie dopisują, w głowie luczyci i kiwa się wszystko ciągle, jak żeby jeszcze na statku! Czas był prześliczny. W nocy minęliśmy Samos, przy poranku ciepłym (pierwszy raz można było bez paletota wyjść na pokład), ujrzelśmy na zachodzie wyspę Carpathos, na lewo Rhodus; tak jedna jak druga pysznie wyglądały, jak potężne odłamy skał rzucone w to iście szmaragdowe morze. W nocy przejechaliśmy koło wyspy Pathmos, gdzie św. Jan apokalipsę pisał. Coś dziłszkiego, jak te nagie góry, wystawić sobie trudno! Zdala, na zachód, widzieliśmy Kretę i tu naprawdę nareszcie wyjechaliśmy na pełne morze. Chwile pierwsze zaraz odczuli nasi biedni współpodróżnicy, zwłaszcza płci pięknej (choć były tylko same brzydkie i stare baby). Zaczął się jęk i kaszlenie, które aż do samego wjazdu w aleksandryjski port trwało bezustanku. Ani ja, ani Adam nie chorowaliśmy, ale za to obu nam popsuł ten statek

nieszczęsny i humory i żołądki. Jedzenie okropne; kabiny niezłe, ale nie dają się w zupełności zamykać, więc wszystkie jęki i ryki chorujących słychać. Fetory na statku zwykle fatalne, tu były wprost okropne. Na pomoście, przed samem wejściem do kabin I. klasy — ogrodzenie, a w niem nie mniej, ni więcej, tylko 40 baranów; pod baranami, w jakimś rodzaju entrepont, 80 sztuk wołów! Ztąd naturalnie smród nie do opisaniania. W salonie jadalnym, w kabinach, nawet na pokładzie, bez przerwy i ustanku mieliśmy odór z tych dwóch stajen! Niech się nikt nie śmieje! To się wydaje bagatelą, ale proszę spróbować przez 5 dni i nocy na statku, przy złej kuchni, niemożności ruszania się w cieple i między chorującymi sąsiadami, mieć jeszcze smród nieczyszczonej owczarni, to starczy za czyścić! To też rzeczywiście dziś rano, gdyśmy wysiedli, spadł każdemu z serca ciężki kamień.

A to towarzystwo! Boże zmiłuj się! Najprzód mastodontowych rozmiarów Neapolitańczyk, zamieszkały w Kairze, adwokat, z żoną 3 metry w średnicy liczącą i chorującą fatalnie! Dalej familia Greków, ona w czwartym miesiącu..., istna kaskada; dalej znowu Grek, suchotnik, kaszlący jak stary baran, wreszcie Prusak, doktor medycyny, obarczony kolosalną brodą rudą, brudny, chorujący w sposób niemożliwy, prepotent zażarty. To wszystko zesumowawszy i dodawszy jeszcze kapitana, starego, plującego ciągle pod stół przy obiedzie Moskala, źle mi się robi na samo wspomnienie! Jedyna była młoda i miła dość w tem wszystkim istota, to jakiś Holender. Był dwa razy w Japonii, raz w Indyach angielskich, teraz wracał z Kaukazu: nazwiska nie wiem.

Dość tych trenów, bo choć już siedząc w hotelu w Kairze, dostanę choroby morskiej. W Aleksandryi przedewszystkiem *dogana*. Pokazałem mój ferman, wystawiony w Belgradzie. W pas nam się kłaniali, rzeczy nie otwierali i puścili. Złożywszy rzeczy na dworcu i zjadłszy w jakimś niby pierwszym hotelu lichy obiad, poleciliśmy zobaczyć kolumnę Pompejusza. Pyszna! z jednego kawała granitu egipskiego; Mehmet-Ali-pasza walił w nią armatami i tylko kęs z niej wyrwać potrafił. Potem na kolej

i do Kairu.... Uczucie, jakiego się w Aleksandryi doznało, niezmiernie mile. Morze od chwili jak się widzi brzeg, przybiera zupełnie inny, nowy kolor, robi się jak najpiękniejszy szmaragd, w cieniu jasno-niebieskie. Palmy i płaskie dachy sprawiają wrażenie, że człowiek śni, a nie na rzeczywistość patrzy. Połowa ludności i to większa, już czarna. Murzyny, jakieś Etyopy, Arabcy, Bóg sam wie co to za populacya. Ubiory bardzo malownicze! W tych długich tunikach, o jasnych, najczęściej niebieskich kolorach, patrzą na wielkich panów i dziwi się człowiek, że ci wielcy panowie, osły popędzają, lub kufry noszą...

Bulak, 21 listopada.

Onegdaj byliśmy na szczycie piramid. O wrażeniach nie piszę, boć już tylu, a zwłaszcza tyle rozczulonych Angielek smarowało papier atramentem, opisując wrażenia przed i na piramidach doznane, że mi się wydaje wprost banalnem, jeszcze coś o tem pisać. Wogóle ten Egipt, to jak Włochy, tak już z opisów znane, że tu nie warto ni chwili bawić. Przyjechać, zobaczyć i uciekać.

Ale co jest niezmiernie ciekawe i zwiedzenia godne, to muzeum w Bulak; wymagałoby ono całych lat studyów. Muzeum to, unikat w swym rodzaju, dzieło Francuza, Mariettebeja, znanego w świecie skutkiem nader dziwnego zbiegu okoliczności: p. Mariette, zrazu ubożuchny i skromniutki nauczyciel języka łacińskiego przy szkole rodzinnego swego miasta, Bulogne-sur-mer, później trzeciorzędny urzędnik przy zbiorach etnograficznych Luvru w Paryżu — otrzymuje nader skromną misję odszukania i zakupuienia, o ile możności, manuskryptów koptycznych po klasztorach, istniejących w Egipcie. Ładując w Aleksandryi, dowiaduje się p. Mariette, że uprzedził go Anglik, Reverend Tattam, który spijał mnichów koptycznych, by w czasie ich rozmarzenia poprostu okradać archiwa klasztorne — i tym zacnym sposobem potrafił wszystkie te cenne zabytki dla British Muzeum pozyskać. Mariette nie traci fantazyi, nie opuszcza Egiptu; najmuje w sekrecie kilku robotników i wyrusza

na poszukiwania na własną rękę. Pod tak nieświeżymi auspicjami rozpoczęta robota, miała dać nieśmiertelną sławę wielkiemu archeologowi, a światu odkryć nieprzebrane skarby, których część powędrowała do Luwru, a druga większa utworzyła muzeum w Bulak.

Pierwszem znakomitem odkryciem Mariette-paszy, było odnalezienie Serapeum w Memfis. Odkopawszy tę wspaniałą ruinę z grobami Apisów, odkrył dalej wielkiego Sfinksa. Za tem posypały się całe szeregi dalszych poszukiwań, prawie bez wyjątku uwieńczonych coraz to ciekawszymi, świetniejszymi rezultatami. Pomijając dolny Egipt i Nubię, Mariette-pasza zwrócił całą swą działalność na części bardziej obiecujące, na kolebkę cywilizacji egipskiej i pierwszych dynastyj, na środkowy i górny Egipt, Theby, Abydos, Denderah, Edfu i Sakkarah. Jak świątynię Serapeum zpod piasku pustynnego, tak dzieje pierwotnego królestwa wygrzebał i odtworzył Mariette zpod grubej osłony pomroki dziejowej. Odszukał on, odtworzył i pokazał nam nowe światy, cywilizacye, których domyślano się ledwo przedtem; rozszerzył tym sposobem horyzonty historii początków cywilizacji ludzkości prawie w nieskończoność.

Czytałem dzisiaj nader interesujący artykuł Gabryela Charmes o tem muzeum w Bulak. Tak mi odświeża moje wrażenia i tak uczy patrzeć na te głazy, które łatwo brać możemy za nie niemówiące ornamenta — że nie oprę się pokusie przytoczenia z niego urywku. Należałoby się — mówi p. Charmes — historję tego muzeum napisać. Rzuciłaby ona światło nowe a nader jaskrawe na historję ogólną Egiptu za panowania Ismaila-paszy. I tu, jak wszędzie, uderza owo dziwne pomieszanie wzniosłych pomysłów, cywilizacyjnych aspiracyj, barbarzyńskiego niedbalstwa i opieszałości, niezgrabstw, niekonsekwencyj, składających charakter dawnego wice-króla. Trzeba mu bądźco bądź oddać sprawiedliwość, że bez niego poszukiwania i odkrycia w rozmiarach, w jakich je Mariette-pasza przeprowadził, byłyby wprost niemożliwe. Ismail zawsze rozumiał i wspierał te przedsięwzięcia. Niestety, pojmował on je po swojemu. Uważając 34 dynastyj Faraonów za swoich jakby antenatów, a Menesa za

praszczura Mehmet-Ali-paszy, wmawiał sam w siebie, że owe piękne prace archeologiczne złączą niejako jego panowanie z tradycją najdawniejszych czasów. Grała tu więc jedyną rolę próżność Ismaila; zainteresowania się pracami Mariette-paszy. ich rezultatem — ni śladu nie było. Wiedział on, że istnieje muzeum w Bulak, które cały cywilizowany świat zna i interesuje, wiedział, że nagromadzono tam skarby nieocenione, że zwiedzają je corocznie setki cudzoziemców — i to mu wystarczało. Osobiście ni razu tam nie zaglądnął, nie czując ni krzty zainteresowania się dla poszukiwań, które z próżności popierał, płacił hojnie, ale które mu były najzupełniej obojętne. Ciekawem jest, że poddani jego w zupełności podzielali i dzielają te zapatrywania. To też na liczne a groźne niebezpieczeństwa narażonem jest to muzeum wobec niedołęstwa i zupełnej obojętności Egipcyan, a apetytów najrozmaitszych obcych, dziś w pierwszym rzędzie naturalnie Anglików. Omówimy niedogodności, wynikające z położenia tuż nad Nilem, jak niemniejsze z umieszczenia muzeum w dawnych magazynach zbożowych — tak dalej pisze p. Charnes: Istotna wartość i bogactwo muzeum w Bulak nie polega tyle na licznych zbiorze mumij, skarabeów, amuletów, broni, różnych gatunków zboża, jaj nawet zachowanych po grobach, tych przeróżnych rupieci ciekawych, bo pochodzących i świadczących o tak starej, zaginionej cywilizacji — rupieci tych całe sale pełne w Luwrze i innych muzeach. Oryginalność swą zawdzięcza Bulak biustom i statuom, które posiada, bo mają one prawie bez wyjątku pierwszorzędny interes historyczny; jako dzieła sztuki, nie są one bynajmniej bez wartości. Niestety, posiadamy tylko resztki, tylko braki rzeźbiarstwa egipskiego. Herodot i Dyodor Sycylijski uczą nas, że egipscy artyści nie tworzyli swych dzieł według ogólnego jakiegoś planu, według pomysłu jednostki; dzielili oni ciało ludzkie na $21\frac{1}{4}$ części; część każdą inny wyrabiał robotnik. Każdy zabierał do siebie część mu przypadającą, pracował jednak z taką dokładnością i precyzją, że wkońcu wszystkie te części złożone razem, tworzyły całość tak litą, tak symetryczną, że wydawałoby się mogło, że dzieło całe zpod jednej wyszło ręki. Gdy chodziło o dzieła sztuki o większej wa-

dze, przeznaczone na dekoracyę najpiękniejszych świątyń lub pałaców, części te posagu nie wyrabiano z jednego materyału, głowę np. kując w złocie i kości słoniowej, podczas gdy reszta ciała była z bronzu lub alabastru. Nie potrzeba i dodawać, że posągi takie najcenniejsze barbarzyństwo lub chciwość zniszczyły lub przetopily. Posągi więc, które doczekały się naszych czasów, są to już tylko drugo- i trzeciorzędne produkta raczej rękodzielnicze, niż artystyczne. Niektóre np. biusty i posążki, przedstawiające Thutmesa III., mają tę wielką zaletę, że odtwarzają rysy i fizyognomię osobistości, które odegrały rolę pierwszorzędną w dziejach Egiptu, więc świata. Typ Thutmesa III., powtórzony w przepysznym porfirowym sfinksie, nie zupełnie nie ma egipskiego w sobie; kształt nosa, kontury profilu, wyraz ust, przypominają raczej rasę armeńską.

Bóg jeden wie, z kąd pochodziły owe faraony, co rządziły i wyzyskiwały Egipt przez przebieg tylu wieków? Bóg wie, wielu z nich przybyszów, a wielu krajowców. Zdaje się, że Egipt nigdy nie był zupełnie samodzielnym, że od początków historii swej, podobnie jak dzisiaj, zawsze i nieprzerwanie obcy w istnieniu jego główną rolę odgrywali, obcy nim rządzili. Nadto piękna, nadto bogata, nadto urocza i pociągająca, a nadto słaba to kraina, by z jednej strony nie budzić wiecznie żądz zaboreczych u sąsiadów, a z drugiej, by móżdż się ich najazdom oprzeć; to też nigdy wolną w zupełności nie była. Ale choć gnąc się pod jarzmem obcem, nigdy Egipt nie tracił własnego charakteru, swej niezmiennej odrębności; to też w równej mierze jak ci, co nim rządzili, szybko się i mimowoli asymilowali, jako odrębne pierwiastki w zetknięciu z nim nikli, Egipt sam sobą zostawał — podobny w tem do owych wielkich uwodzicielek, co wszystkim się oddają, ale się mszczą, miękcząc i ogłupiając swych uwodzicieli. Między innemi jedno piękne popiersie w muzeum w Bulak daje nam bezpośrednio wrażenie i wyobrażenie o tem, co i jak się działo podczas licznych wewnętrznych wzburzeń, wywołanych w Egipcie obcymi wpływami; popiersie owo, to biust królowej Taia, żony Amenophisa III., choć ściśle biorąc, nie mamy żadnych danych, absolutnie pewnych, że biust ów istotnie właśnie królowę

Taïa przedstawia. Wielce ciekawy jednak skarabeusz uczy nas, że ojciec jej nazywał się Jouaa, a matka Touaa, imiona zupełnie nie-egipskie, pozwalające przypuścić, że Taïa nie była ni krwi królewskiej ni pochodzenia egipskiego. Granice Egiptu, zawsze według owego skarabeusza, rozciągały się w chwili zamążpójścia owej Taïa, na północ aż po Mezopotamię. Dłaczegóżby więc Taïa nie miała być cudzoziemką? Dolina królowych w Thebach wykazuje nam, mogącą być identyczną z naszą, jakąś Taię, której ręce są malowane na różowo, nowy dowód pochodzenia jej azyatyckiego. „Okoliczności — powiada Mariette w swoim katalogu muzeum — wskazywałyby, że Amenophis IV., który niszczył wszędzie ślady nazwiska Amenophisa III., a przeciwnie otaczał niezwykłą czcią nazwisko swej matki, w chwili zagłady, którą poprzysiągł prastarej religii egipskiej, wspominał aż nadto, że w żyłach jego płynęła krew obca. Pierwszy ten po wypędzeniu Hyksosów objaw ducha semickiego, miał może za przyczynę wstąpienie na tron Faraonów kobiety, wybranej przez Amenophisa III. z pomiędzy licznych plemion azyatyckiego pochodzenia, które w owym czasie zaludniały prowincye wschodnie Mezopotamii“. Czyżby to miała być prosta indukeya, hipoteza pozbawiona wszelkiej podstawy? Niewiele wiemy wprawdzie o przewrocie religijnym, spowodowanym przez Amenophisa IV.; wiemy tylko, że musiał to być przewrót straszny, bo wszystkie zabytki noszą jego ślady, wszystkich zabytków dotknęła brutalna ręka „obrazotwórców“ egipskich. Imię „Ammona“ wszędzie zatarto, kult jego prześladowano bez miłosierdzia. Nie wiadomo również, czy wielkie to prześladowanie religijne wywołało lub nie, opór ze strony Egipcyan. Amenophis IV. z początku okazywał pewną przezorność i oględność, ukrywał swą herezyę pod płaszczykiem uszanowania dla starej wiary; lecz wkońcu, fanatyzm religijny przemógł, zaczęto prześladować wszystko co tylko przypominało Ammona. Można skonstatować na licznych tablicach pamiątkowych i grobowych w muzeum w Bulak ślady wrogiej ręki, która je niszczyła i profanowała. Theby, przepełnione monumentami, poświęconymi bóstwu, co z łaski królewskiej wypadło, przestały być stolicą; zbudowano w Tell-el-Amarna nową stolicę, gdzie

już dawnej religii nie przypominało. Jakiż wpływ miało wychowanie matczyne na ten wybuch fanatyzmu religijnego u Amenophisa IV.? Kwestya to niewyjaśniona; ale wpatrując się dokładnie w śliczną głowę Taïi w muzeum w Bulak, w te rysy piękne, nie jednak sztywności egipskiej nie przypominające, w te oczy wydłużone, w których jednak widać, że życie tam pełnem bije tętnem, w te usta w kątach podniesione jak usta sfinksa, pełne dumnej kokieteryi, w tę piękność co widza miesza a co tyle ma tajemniczości w sobie, piękność pełną powabów niezwykle a porywających — nie można nie usnuć sobie historyi, może romansu, w którym ta kobieta zagadkowa grała rolę inspiratorki, była pierwszą przyczyną, autorką główną tragedji religijnych, które wstrząsnęły jej epokę, których pałacy ślad aż w nasze czasy przeżył.

Szczęśliwie natchniony, Mariette postawił obok biustu królowej Taïa popiersie niemniej powabne, delikatniejsze może nawet, jako rysy cieńsze, przypominające jeden z najważniejszych dramatów religijnych, bo dotyczących nie Egiptu samego, ale ludzkości. Jestto głowa króla, w ogromnym czepcu, który ją rozmiarami swymi raczej przygniata, niż zdobi. Widocznie była ona częścią posągu, który niszczał. Młodziuchne to królewskie pacholę widocznie było przedstawione w pozycyi stojącej, lewą ręką trzymając drzewiec proporca, zakończony łbem potwora. Żadne w świecie pióro nie jest w stanie oddać tej gracyi młodości, prawie dziecięcej, uroku, łagodnego, prawie smutnego wyrazu tej ślicznej twarzy, w której zdaje się wyczytać można przeczucie okrutnego przeznaczenia, któremu miał uleść. Trudno doprawdy pojąć, jak artysta w materyale tak twardym, jakim jest granit, potrafił wyciosać oczy tak rzewnie w świat patrzące, nosek tak cienki, usta takie żywe a takie mięciuchne, że zdawaćby się mogło, iż one w wosku modelowane, a nie w granicie. Bez kwestyi, stojmy tu przed jednym z najpiękniejszych utworów rzeźbiarstwa egipskiego. Żadna sztuka nie wydała dzieła świetniejszego nad to. Pytanie, któż to ten faraon, co powstawszy z tyłowiekowego snu, przyszedł po lat tysiącach olśnić blaskiem swej gracyi, młodości, świeżości i poezyi stare szpar-

gały i sztywne statuy, co go wkoło otaczają? Niestety, w nie-szczęśliwym miejscu rozlupany nadpis na posagu nie pozwala stwierdzić tego z całą pewnością. Jednakowoż Mariette przypuszcza, że to Menephtah, syn Ramzesa II., faraon, co zginął w Czerwonym morzu.

Popiersie Ramzesa II., *pendant* do tamtego, niemniej znakomite jako dzieło sztuki; również w granicie wyciosane, linie mają i tu czystość i cienkość, rzadkie w dziełach egipskiej sztuki. Thutmes III., Ramzes II., Menephtah i Taia, koło siebie stojące, tworzą tu wprowadzie nieliczną, ale świetną galerię portretów historycznych.

Przechodząc tak pobieżnie z sali do sali, z oddziału do oddziału, p. Charmes zatrzymuje się co chwila nad jakimś arcydziełem, jeśli nie zawsze pomysłu, nie formy, to przynajmniej techniki wykonania wprost znakomitej, i to zawsze. Tu emalie cudowne, tam brzozy, statuetki, skarabee, papirusy, pysznemi ozdobami przypominające nam rękopisy z najświetniejszych czasów. Między innemi zwraca szczególną uwagę nader małych rozmiarów, czysto dekoracyjny monumencik, który musiał służyć za ozdobę grobowca jakiejś figury, wysoce w hierarchii urzędniczej położonej. Monumencik ten składa się z dwóch części: pierwsza, osłona, z pięknego wapiennika żółtawego, w formie sarkofagu; na pokrywie wypisana prośba do Ozyrysa i Anubisa, by dali nieboszczykowi w udziale szczęśliwość niebieską; w głowach, Izys, z wzniesionemi ramionami, siedzi na znaku złota, symbolu religijnym; Nephtys w nogach; po bokach Anubis i Apezu, otoczone czterema geniuszami śmierci, słuchają modlitw, zanoszonych za zmarłym, którego pamięci całość poświęcona. Cały sarkofag okryty pysznym, nader szeroko i z elegancją traktowanym rysunkiem, rytym w kamieniu. Sarkofag ten służy za pokrywę drugiej części tego grobowczyka, która jest z czarnego granitu. Zmarły, owinięty w płótna śmiertelne, leży na łożu śmiertelnem; koło niego, jego dusza czuwa nad trupem, czekając obiecanego dnia zmartwychwstania. W ugrupowaniu doprawdy cały poemat rzewny i smętny się mieści. Twarz zmarłego prawdziwie trupie oddaje zimno, sztywność, spokój; twarz duszy

przeciwnie, pełna niepokoju, oczekiwania, do głębi wzruszającego: rzekłbyś, przyjaciel, co czeka przebudzenia przyjaciela, z pełną ufności rezygnacją a niepokojem. Oczy duszy utkwione w oczach mumii: wyciąga ona swe drobne rączki ku sercu trupa, a w ruchu tym tyle niby spokoju, tyle tkliwości i niecierpliwości! Bo też przez serce właśnie ma wrócić życie do tego ciała martwego; skoro tylko to serce znów bić pocznie, dusza, co tak długo już z niego wygnana, co drży chęcią powrotu, będzie mogła się w nie wśliznąć i rozpocząć nowe, szczęśliwsze istnienie. Genialne to doprawdy oddanie pojęcia Egipcyan o śmierci. Wierzyli oni, że ciała powrócą na ten świat, że dusze co je ożywiały, połączą się znów z nimi. Pierwsze miało serce odżyć. To też wyrwali oni nieboszczykom serca, a zastępywali skarabeuszem, znakiem nieśmiertelności. Duszyčka owa z muzeum, nie wątpi na chwilę, że obietnice się spełnią, że życie powróci — wieki już tak stoi, oczy w oczach trupa, którego kocha, a który już tylko nieruchomą masą; ręka na pustem miejscu, gdzie kiedyś biło serce, śledzi ona za najcichszym szelustem, za najdrobniejszym ruchem, wyczekując godziny zapowiedzianego zmartwychwstania. Świadek to milczący owej nieprzezwyćzionej, niezem nieprzepartej nadziei, która od chwili, kiedy śmierć poczęła zmiatać generacye po generacyach, żyje odwiecznie w tych co pozostają, po tamtych co poszli!...

I tak prawie bez końca, coraz dalej, w coraz ciemniejsze dotąd zakątki historyi tej prastarej ziemi egipskiej, prowadzi nas autor. Wszystkiego powtórzyć, zanotować trudno, choćby się chciało. A chciałoby się bardzo, bo tak pociąga, porywa wszystko, co pisane o tem co się widziało, co się związało z nami niezrozumiałą, niepojętą nicią wspomnień — a dla mnie tak szczególnie ma urok wszystko co nie nowe, począwszy od kroju surruta aż do części świata...

Decyduje się nasza podróż. Adama chciałbym wyprawić na zwiedzenie górnego Egiptu, może Synaju. Ja mam jechać do Indyj — okropnie się boję morza.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU.

II. Dlaczego kwestya socyalna dziś tak jest groźną.

Przystępujemy do drugiego pytania: co w dzisiejszych czasach kwestyę socyalną czyni tak groźną i piekącą? Z wyżej wypowiedzianej zasady wynika, że muszą to być jakieś odmienne stosunki, które owaładnęły społeczeństwem, a z którymi dawny ustrój społeczny niedostatecznie się rachuje. Prócz tego, ponieważ kwestya socyalna we wszystkich ucywilizowanych narodach ma tę samą, jakoby zaognioną ranę cechę, więc i zmiany, jakich świat ucywilizowany ze względu na kwestyę socyalną się domaga, muszą mniej lub więcej być te same. Dość jest pobieżnie przypatrzeć się zewnętrznym symptomom kwestyi socyalnej w obecnej chwili, by się przekonać, że ruchy robotnicze są jej charakterystycznym znamię. Jak na schyłku zeszłego stulecia, stosunek trzeciego stanu do stanów uprzywilejowanych był tłem całej ówczesnej kwestyi socyalnej, tak dziś jest niemi stosunek ludności robotniczej do reszty społeczeństwa. Musiały więc w tym stosunku obopólnym wyrodzić się jakieś zasadnicze, przedtem niebywale zmiany, któremi zaskoczony dawny ustrój społeczny, chroma, nie umie sobie z nimi poradzić, a tem samem nie spełnia swego zadania.

W czem więc zaszły te zmiany — co je wywołało?

1) Przyczyna najistotniejsza zawiera się w nowym systemie produkcyjnym, w tym nowym sposobie pracowa-

nia i zaspokajania potrzeb tak pojedynczych ludzi, jak i całych społeczeństw. Maszyny to wytworzyły ten nowy sposób produkcji zapomocą ogromnej ilości pracy mechanicznej.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się mogło, że maszynom za wielki, bo światem wstrząsający wpływ przypisujemy; a jednak bliżej w rzecz wniknąwszy, trzeba przyznać, że istotnie tak jest. Lassalle wypowiedział gdzieś głęboką prawdę: „Maszyny, to wcielona rewolucya” — a przez rewolucyę rozumiał on zupełną zmianę stosunków społecznych. Że rzeczywiście maszyny ją za sobą pociągają, łatwo się przekonać: maszyna zmienia sposób produkowania mnóstwa, a kto wie, czy nie wszystkich artykułów, odpowiadających ludzkim potrzebom; pracę ręczną zastąpiła praca maszyn, narzędziem jest sama maszyna; samodzielny rzemieślnik znika, jego miejsce zajmuje właściciel fabryki; zamiast warsztatu z majstrem i kilku czeladnikami, widzimy fabrykę, a w niej setki i tysiące robotników. Przedtem czeladnik, który wyuczył się doskonale rzemiosła, mógł mieć nadzieję, że kiedyś zostanie samodzielnym majstrem i właścicielem warsztatu; teraz robotnik, mimo wszelkiej pilności i wytrwałości w pracy, nie ma żadnej uzasadnionej nadziei, że dojdzie kiedyś do upragnionej niezależności, że będzie właścicielem fabryki, lecz wie z pewnością, że zawsze w zawisłości będzie musiał pozostawać. Tak więc maszyny wytworzyły nowe jakieś poddaństwo, nieznane czasom ubiegłym, zagarniające miliony ludzi i pozbawiające ich wszelkiej nadziei, że kiedykolwiekbądź w życiu dojdą do samodzielności. Tę nową klasę w społeczeństwie ochrzczono mianem „wolnych, płatnych robotników”. „Wolny”, to zaiste w tym razie słowo bez znaczenia, *epitheton inane*. Bo jakąż to wolność posiada robotnik fabryczny? Wolno mu chyba tylko przykuć się do fabrycznej roboty i być żywym kołem maszyny; inaczej śmierć głodowa go czeka. Dawna wolność cechów z nastaniem maszyn przepadła nazawsze!

Ta nowo utworzona klasa w społeczeństwie już jest sama przez się gwałtowną w niem zmianą. Wypiera ona i zastępuje coraz bardziej od wieków istniejącą klasę, sam rdzeń mieszczaństwa — samodzielnych rękodzielników. Rzemieślnik przy maszy-

nach i fabrykach nie może egzystować. Maszyna pracuje znacznie taniej, nieraz i lepiej, ztąd rzemieślnik ubożeje i wreszcie ginie zupełnie, bo nie ma komu swego, już nie dającego zysku rękodziela przekazać. Z postępem i rozwojem techniki, postępuje i rozwija się praca maszynowa; coraz nowe wciąga w swój zakres wyroby. Ginie więc przez maszyny stan rzemieślniczy w społeczeństwie, który stanowił jeden z najważniejszych jego czynników; stanowił on tysiące punktów, około których grupowały się rodziny, w jednej miejscowości osiadłe i tworzące tym sposobem rdzeń ludności miasta. Nie posiadali oni tych kolosalnych majątków, jak właściciele fabryk, lecz skromny ich stan majątkowy, wogóle wzięty, pewniejszymi dochodami zasilał skarb państwa, aniżeli wielkie kapitały właścicieli fabryk, wystawione na różne a rozliczne wstrząśnienia finansowe. Na miejsce tych obywateli miasta i państwa, wchodzą zmieniające się ustawicznie masy robotników fabrycznych, nigdzie stale nie osiadłych, lecz tam tylko i d o p ó t y przebywających, g d z i e i d o p ó k i dymią kominy fabryk. Z lichej swej płacy ledwie mogą opędzić niezbędne potrzeby życia, a tem samem nie zapewniają państwu stałych dochodów, lecz owszem, nieraz niezmierne na państwo nakładają ciężary. Nieraz np. w naszych czasach widzimy miasta, z szaloną powstające szybkością. Zkądże to, jeżeli nie ztąd, że kominy fabryczne ściągają całe tłumy robotników? Rozszerzanie się miast wymaga znaczniejszych rozchodów na ulice, szkoły i cały administracyjny aparat. A zkąd pokryć te wydatki? Przecież biedni robotnicy nie są w stanie ze swej kieszeni na tołożyć. Całe więc brzemie tych ciężarów publicznych spada na pierwotnych mieszkańców miasta. Ogólny majątek gmin miejskich znacznie na tem cierpi. A zkądże to, jeśli nie z maszyn?

2) Przypatrzmy się teraz sposobowi, w jaki maszyna produkuje — a i ztąd ukaże nam się konieczność zmiany w organizmie społecznym. Produkcya maszynowa zależy na wyrabianiu towarów w ogromnej masie co do ilości. Fabryka nie pyta się, ile jej wyrobów zużytkować mogą okoliczni mieszkańcy, nie ogląda się, czy jej produkcya idzie w parze z potrzebą, a tem samem ze zbytem: produkuje daleko więcej, aniżeli tego wyma-

gają potrzeby miejscowej ludności; targowisko lokalne nie jest dla fabryki wystarczającym miejscem zbytu; musi ona szukać sobie gdzieindziej pola do spieniężania swoich wyrobów, i to coraz szerszego, a udoskonalone środki komunikacyjne otwierają przed nią cały świat. W dawnych czasach rzemieślnik także nieraz więcej wyrabiał, niż wymagała ograniczona potrzeba lokalna. lecz miał na to jarmarki w sąsiednich miastach, na które spieszyli mieszkańcy z całej okolicy, ażeby potrzeby swe zaopatrzyć. Dziś właściwie jest tylko jeden wielki targ, obejmujący cały świat, wystawiający codzień całemu światu swój towar na sprzedaż.

Zbyt na targowicy świata wymaga zetknięcia się z całym światem, a więc dróg, któreby ułatwiły i spotęgowały dowóz towarów. Ułatwienie znów środków komunikacyjnych pociągnęło za sobą powiększenie liczby fabryk i wszelkich środków produkcyjnych. Trzeba więc było prawne granice, które przedtem miejsce od miejsca, kraj od kraju, naród od narodu oddzielały, rozszerzyć i ostatecznie znieść. To też właściciele fabryk wprowadzili w dziedzinę przemysłu nową zupełnie zasadę: wolny handel. Sądziłi oni, że przez to ekonomia społeczna olbrzymi uczyni krok na drodze postępu, lecz niebawem się przekonali. że nowy ten wymysł jest mieczem obosiecznym. Z jednej bowiem strony otwiera się wprawdzie przez to jakiemuś państwu możność zbytu w innych krajach, z drugiej jednak strony walczyć ono musi z konkurencją tych krajów, które zalewają swymi wyrobami jego rynki. Dytyramby, jakie śpiewali postępowcy ekonomiczni, wnet umilkły, a niebawem rozległ się krzyk rozpaczny, domagający się cel ochronnych. Złota wolność zbytu, jaką obiecywał liberalizm, okazała się całkiem iluzoryczną. Trzeba więc nowej szukać drogi; zmiana jest niezbędną, by uratować dobro ogółu — ale jaka?

Produkcya fabryczna, czyli *masami*, ma jeszcze inną ujemną stronę. Ponieważ fabryka się nie pyta, jaka jest potrzeba przedmiotów, które wyrabia — idzie jej tylko o *zysk* na targu dzisiejszym — przeto fabryki tych samych przedmiotów niepomierne się mnożą, rzekłbyś, wyrastają zpod ziemi jedna obok

drugiej, jak grzyby po deszczu, i te same produkują artykuły. Ztąd, naturalnem następstwem, wyroby fabryczne zawsze o wiele przewyższają ich zapotrzebowanie i popyt.

Gdyby istniała jakaś władza, znająca doskonale tak rzeczywiste zapotrzebowanie jak i chwilowy popyt, gdyby nadto było w jej mocy, według tego zapotrzebowania i popytu regulować produkcję, toby ta przewyżka znikła. Lecz władza taka nie istnieje — między produkcją a konsumpcją niema oznaczonego stosunku; fabryka w naszych czasach ma zupełną niezależność, ma prawo wolnej konkurencyi. Pomijam tymczasem zasady ekonomiczne, na których się ta konkurencya opiera. Wspominając tu mimochodem o władzy, któraby czuwała nad zachowaniem stosunku między produkcją a konsumpcją, nie mam bynajmniej na myśli takiego rozwiązania tej kwestyi, jakie dzisiejsza socyalna demokracja stawia za najwyższą swą zasadę. Chciałem tu tylko zaznaczyć, że pod względem stosunku produkcji do zbytu, wielka zachodzi różnica między czasem obecnym a przeszłością. Dawniej każdy rzemieślnik łatwo mógł obliczyć, ile może i powinien wyprodukować, by zadośćuczynić zwykłemu popytowi: pracował bowiem dla znanej sobie klienteli; — dzisiaj jest to niemożliwem: fabryka nie pracuje dla ściśle oznaczonego koła odbiorców, ani nie ma stałego terytorium zbytu; produkuje dla całego świata, czyli na nieograniczoną skalę. Ztąd, jako nieuniknione następstwo, rodzi się hiperprodukcya — rzecz w starożytności niesłychana.

„Ależ hiperprodukcya — powiadają socjaliści — to niedorzeczność. Jakże można mówić o hiperprodukcyi np. zboża, gdy robotnicy głód cierpią! — albo jakaż to hiperprodukcya sukna, skór, bawełny i płótna, kiedy większa część robotników chodzi w lachmanach, wystawieni na zimno i niepogody. Co za nonsens mówić: zawiele mamy cegły i drzewa, zawiele żelaza i szkła. zawiele materiału budowlanego, zawiele nawet domów — a przytulki dla biednych są przepełnione! Zawiele się kopie węgla, a tysiące ludzi muszą żyć i pracować w izbach nieopalanych! Gdybyśmy zapasami, jakie dziś są, chcieli zaspokoić choćby

tylko najkonieczniejsze potrzeby ludzkości, prędkoby się okazało, że produkcji naszej daleko jeszcze do tego, aby dorównała potrzebie. Więc zkądże hiperprodukcya?“ — Bardzo słusznie! Gdyby producenci swoje towary mogli i chcieli rozdawać darmo, nigdybyśmy nie potrzebowali się obawiać przewyżki produkcji nad popyt. Lecz niestety, hiperprodukcya nie jestto bynajmniej produkcya, przewyższająca potrzebę pewnego przedmiotu, ale przewyższająca chęć i możność kupowania go przez potrzebujących ludzi; i ta to chęć i możność reguluje tak popyt jak i zbyt, a zależną jest od wielu bardzo okoliczności. I tak, może istnieć rzeczywista potrzeba pewnych towarów, a mimo to może nie być na nie popytu, przynajmniej nie w tej mierze, by wyrównać produkcji. Wykazuje nam to historia przemysłu w Anglii. Anglia opanowała targi zagraniczne na ogromnej przestrzeni; same jej własne posiadłości zamorskie liczą 215 milionów ludności, a oprócz tego wszystkie targi w różnych częściach świata zalał przemysł angielski. Od wieku przeszło cała jej polityka do tego zmierza, by zyskiwać coraz nowe obszary dla zbytu swoich towarów, i dla osiągnięcia tego celu żadnych nie szczędzi ofiar. W ostatnich czasach zwróciła swą uwagę na Afrykę, gdzie chciała Zulusów i Kafrów cywilizować, tj. w bawelniane opatrzyć koszule; lecz oni, nie uznając jeszcze tej potrzeby, nie mają ochoty kupować towarów, które im się na sprzedaż wystawia. Więc sama potrzeba jeszcze nie wystarcza — musi być jej pocucie, by wyniknął popyt na jakiś towar, a zatem i jego odbył.

Jak często ograniczają ludzie swoje potrzeby, czy to naturalne, czy też sztuczne, z powodu niepomyślnych a przypadkowych okoliczności, wskutek niebezpieczeństw, jakie pociąga za sobą polityczny stan rzeczy. Niechaj się tylko pokaże na widnokręgu chmurka, grożąca wojną, a któż będzie miał ochotę kupować, podróżować i t. d. Popyt ustaje, a równocześnie zmniejsza się odbył.

Technika produkcji coraz więcej się udoskonala, niektóre towary stają się zarazem i lepsze i tańsze; ztąd dawniej wypro-

dukowane pozostają na składach, nikt się już o nie nie pyta, a więc i odbytu już nie znajdują.

Podobnie rzecz się ma i z siłą pokupu, czyli ze środkami kupujących. Ileż to jest przyczyn, wskutek których dochody odbiorcy stają się coraz mniejsze, ubóstwo coraz większe! Gdzie niema pieniędzy, tam, choć potrzeba jest jak największa, ustaje tak popyt jak odbyt. Wielu jest nieraz, którzy chcą kupować, ale mało, którzy mają za co. A i ci nawet, co mają pieniądze, często się jeszcze od kupna usuwają; ścieśniają swoje potrzeby, ograniczają wydatki, robią oszczędności na przyszłość. Słowem, odbiorcy z niezliczonych przyczyn bardzo roztropnie się ograniczają; wcale nie tak fabrykanci: oni produkują, ile tylko mogą — i dlatego produkcyja staje się tak nieproporcjonalnie większą od zbytu. W dzisiejszym naszym porządku społecznym niema zupełnie regulatora, któryby według okoliczności potrafił produkcję i odbyt wprowadzić w równowagę: jestto choroba społeczna wyłączenie naszego czasu, dawnym wiekom nieznana, która już tysiące ludzi pozbawiła mienia, a nieraz i życia.

3) Lecz zmiany w stosunkach społecznych, jakie za sobą pociągnęły fabryki, dalej jeszcze idą: obejmują one całe u k s z t a ł t o w a n i e się własności i majątku. Dawniej środek ciężkości bogactwa społecznego spoczywał w posiadłości ziemskiej, dzisiaj w ruchomym kapitale. Szlachcic szacował swój majątek według obszaru ornego gruntu i lasu, włościanin według rozległości swej roli i łąki, ilości bydła i całego swego gospodarstwa — dla mieszczanina majątek stanowił jego dom i warsztat. Te nieruchomości, na których każdy gospodarzył, przynosiły mu zyski i powiększały mienie. Dzisiaj posiadłość ziemska na drugi plan się usunęła — naczelne miejsce zajmuje pieniądz, kapitał ruchomy. Nie znikła wprawdzie posiadłość ziemska, ale już nie jest głównem źródłem dochodu: dochód, jaki ona przynosi, z każdym dniem się zmniejsza, natomiast głównem źródłem dochodu jest ruchomy kapitał — pieniądz. To też i w arystokracji obywatelskiej coraz większe wyłomy sprawia arystokracja kapitalistów, i oni pierwsze zaczynają dzierżyć miejsce. Przyczyny tego szukać należy nie gdzieindziej, jak w nowym sposobie produ-

kowania, tj. zapomocą maszyn i fabryk. Fabryki najwięcej obiecują zysku i najwięcej przynoszą pieniędzy; dlatego też codzień nowe powstają. Lecz fabryki potrzebują kapitału ruchomego, potrzebują pieniędzy na założenie, pieniędzy na utrzymanie, pieniędzy na zakupno surowych materyałów i na opłacenie robotnika. Więc kto ma ruchomy kapitał, ten tylko ma widoki obfitego zysku; a z posiadłości ziemskiej, małego jedynie dochodu spodziewać się może. By więc osiągnąć jak największe dochody i zyski, posiadacze ziemi zaprzędają swoje posiadłości w służbę fabryki, tj. albo obciążają je długami, byle tylko mózdz zakładać fabryki, albo też wyłącznie lub przynajmniej przeważnie produkują na nich dla fabryk surowe materyały. Rolnictwo prawie zupełnie stało się zależnem od fabryk, poszło w niewolę maszyn. Majątki ziemskie tyle tylko mają wartości i znaczenia, ile przez fabryki i dla fabryk mogą być pożytecznymi. Cóż to za przewrót dawniejszych stosunków!

Co do kwestyi majątków, jeszcze na jeden ważny czynnik zwrócić należy uwagę. Ponieważ założenie fabryki wymaga ogromnego wkładu pieniędzy, trzeba wynaleść łatwe sposoby gromadzenia wielkich kapitałów; ztąd prawa, ograniczające lichwę, nie mogą się ostać, bo pieniądze znaleźć się muszą za jakąbądź cenę. Prywatny kapitał nie wystarcza na zakładanie wielkich fabryk; przeto kapitały muszą się łączyć i tak powstają towarzystwa akcyjne, z ogromnymi wprawdzie kapitałami, ale też z niemniejszym ryzyko. W ten sposób posiadacze kapitałów stają się panami sytuacji w handlu i przemyśle. Lecz ci posiadacze kapitałów, ci magnaci giełdy, często nie mają ochoty brać na siebie ciężarów i trosk swego przedsiębiorstwa, lecz składają je na barki innych, tj. na barki przedsiębiorców mniejszych, pożyczając im za to swoich kapitałów na ich własne spekulacye. Zawsze się znajdzie dosyć takich, którzy próbują szczęścia cudzymi pieniędzmi; ale to stawia ich w konieczną zależność od kapitalistów, którzy sami tylko ztąd ciągną korzyści, gdy biedni klienci na ciągle są wystawieni niebezpieczeństwu ruiny. Wielcy kapitaliści ze swej strony bardzo są ostrożni. I tak, zaczynają wprawdzie jakieś przedsiębiorstwo własnymi pieniędzmi, ale wkrótce ściągają, za obietnicą wyso-

kich procentów i znacznej dywidendy, drobne kapitaliki zwykłych śmiertelników: swój zaś kapitał powoli wycofują i nowe przedsiębiorą operacye. W ten sposób zyski ciągną, nie narażając własnego kapitału; całe niebezpieczeństwo przedsiębiorstwa wisi już tylko nad małymi kapitalistami; powiedzie się, to dobrze, nie powiedzie się, to zamiast akcyj i kwitów udziałowych, zostaną im w rękę świstki papieru bez wartości. Ten system pożyczkowy w znacznej części przyczynia się do pogorszenia nieszczęsnych dzisiejszych stosunków majątkowych. Handel nie stoi o własnej mocy, lecz najwięcej opiera się na kredycie, na kapitale pożyczonym. Jeśli nastąpi zastój, tj. jeżeli odbyt artykułów tej fabryki się zmniejszy, lub jeżeli jakiegokolwiek pojawi się niebezpieczeństwo, prawdziwe czy urojone, czy też umyślnie wytworzone, wtedy właściciele żądają zwrotu swoich kapitałów, przedsiębiorstwo za ich pomocą prowadzone musi runąć, a tysiące robotników zostaje bez zarobku. A przeciwnie, jeżeli popyt się wzmacnia, a z nim rośnie i odbyt, wtenczas ufność właścicieli kapitałów ku przedsiębiorstwu się wzmacnia, proszą, aby od nich pożyczać. Widząc to fabrykant, nabiera śmiałości, rozpoczyna nowe ryzykowne przedsiębiorstwa, które w krótkim czasie znowu upadają. W ten sposób cały handel zawisł od wielkich kapitalistów. Gdyby przedsiębiorstwa stały samodzielnie, o własnym kapitale, każdy byłby ostrożniejszym w powiększaniu interesu: w czasie wzrostu i większego obrotu, brak kapitału miarkowałby produkcję, w razie znów stagnacyi ograniczałby produkcję leżące zapasy i nie dopuszczałaby zgubnej hiperprodukcji. Lecz system pożyczkowy nie zna środka, zna tylko szybki zysk albo upadek, ma się rozumieć nie wielkich kapitalistów, bo ci swoją część umieją uratować, lecz przedsiębiorców i ich robotników. Słowem, kapitał ruchomy dzierży panowanie i dlatego skupia się w rękę coraz mniejszej liczby jednostek: a ludność pracująca i produkująca, przedsiębiorcy i robotnicy, są ich poddanymi i niewolnikami.

Już wyżej wzmiankowaliśmy, że wielkie przedsiębiorstwa fabryczne zadają cios śmiertelny rzemiosłu prywatnemu; a cho-

ciaż ruina jego jeszcze niezupełnie się dokonała, jednak jest bliską; a ludzie, mający w tem interes, aby ją przedstawić jak czyste złudzenie, nie potrafią jednak zapomocą rozmaitych sztuczek statystycznych zasłonić prawdziwego obrazu obecnego położenia. *Österreichische Monatsschrift für Gesellschaftswissenschaft* z r. 1879 (str. 570), już wtenczas, tj. przed dwunastu laty, dowodziła, że pomiędzy ludźmi zajmującymi się przemysłem, jest już zaledwie $\frac{1}{3}$ część rzeczywistych rzemieślników. Przypatrzmy się tylko czterem wielkim klasom przemysłowców: krawcom, szewcom, stolarzom i piekarzom, którzy zaopatrują największą część materialnych potrzeb społeczeństwa ludzkiego. Ileż to dziś istnieje fabryk na wielką skalę w tych gałęziach przemysłu, ileż więc warsztatów każda z nich podkopuje, skutkiem czego wolni rękodzielnicy stają się robotnikami fabrycznymi; a ponieważ fabryka więcej w tym samym czasie dostarcza gotowych wyrobów niż praca ręczna, przeto mnóstwo ludzi, których przedtem żywiło rzemiosło, staje się zbytecznem, a ztąd pozbawionem zarobku. Jeden tylko przytoczę przykład. Drezno liczyło w 1875 roku 35 fabryk obuwia, między niemi jedna zajmowała 200 robotników. A jeżeli fabryka, mająca tylko 15 robotników, dostarcza tygodniowo 150 par butów, nad którymi dawniej w tym samym czasie 50 szewców musiało pracować, to już tak mała fabryka 35 rzemieślników pozbawia chleba. Iluż więc ludzi traci zarobek przy tak licznych i tak wielkich fabrykach! Jest rzeczą oczywistą, że praca ręczna nie może współzawodniczyć z robotą fabryczną. By rzemiosłu przyjść w pomoc, wynajdują nowe a małe motory ku pomocy pracy ręcznej: lecz czy to rzeczywiście będzie ratunkiem dla rzemiosła? W najlepszym razie opóźni tylko bankructwo drobnych przemysłowców. Chociażby się bowiem nawet udało wszystkich rzemieślników w takie motory zaopatrzyć i chociażby mogli skutecznie podjąć konkurencyę z fabrykami: zawsze wielką ilość pracy, którą dawniej wykonywali ludzie, zastąpiłyby maszyny. Konkurencya z fabrykami zredukowałaby się do zapasów o to, kto dłużej będzie mógł produkować bez zarobku — w czem przewaga wielkiego kapitału jest oczywistą.

Ponieważ taki, jak w tych czterech rzemiosłach, stosunek wytwarza się powoli we wszystkich gałęziach pracy, przeto rezultatem tego nowego sposobu produkcyi musi być coraz większy proletaryat robotników fabrycznych. Wraz ze stanem rzemieślniczym, znika mniejsza własność mieszczańska, czyli krótko mówiąc, większa część stanu średniego, a wszystek kapitał krajowy koncentruje się w ręku kilku wielkich przemysłowców. Naprzeciw nim stoją masy robotników, których i życie i utrzymanie zupełnie z fabryką jest związane i zawisłe od jej większego lub mniejszego rozwoju. Wziąwszy na uwagę zmienne losy targu pieniężnego, tym masom robotników pozostaje jedno z dwóch: albo żyć nędznie w zupełnej zawisłości, albo chwycić za kij żebraczy. Jestto podział społeczeństwa na kasty, jakiego nie było w wiekach średnich.

Do tego dodać należy jeszcze jeden czynnik, wytwarzający proletaryat robotniczy i pogrążający go w straszną nędzę. tj. brak normalnej płacy. Jakżeż bowiem dzisiaj ustanawia się zapłata robotników? Żadnej niema dziś stałej i ogólnie przyjętej zasady, dla oznaczenia wysokości płacy, a skutkiem tego wielkie niebezpieczeństwo wyzyskiwania robotników przez niesumiennych chlebodawców — którzy ze swej strony także nie posiadają żadnego prawnego środka przeciw takiemuż wyzyskiwaniu ze strony robotników. Bezrobocia, któremi robotnicy starają się praw swoich dochodzić, są bronią niezmiernie niebezpieczną. Z jednej strony bowiem strejk nieraz więcej przynosi szkody robotnikowi, niż niedobór w zarobku, a powtórę może być narzędziem niesłuszných żądań. Brak ten wszelkiej stałej i uznanej normy, któraby sprawiedliwie regulowała pracę robotników, jest także wynikiem tego nowego sposobu produkcyi. W dawniejszych czasach zupełnie inny był stosunek robotnika do swego pana. Zajrzyjmy do warsztatu dawnego rzemieślnika, a znajdziemy tam hierarchię, połączoną ścisłymi węzłami. Majster, czeladnicy i terminatorzy stanowią jakby jedną rodzinę; czeladnicy i chłopcy stołują się i mieszkają u majstra, i nie wiedzą, co to troska o utrzymanie życia. Prócz tego czeladnik otrzymuje płacę, stosownie do swej biegłości i do liczby lat w tem rzemiośle strawionych, a także

odpowiednio do swej pilności i wykonanej roboty — płacę, wystarczającą mu na pokrycie wszystkich jego potrzeb, a unormowaną zwyczajem przyjętym w tem rzemiośle. Nadto miał czeladnik cel jasno wytknięty, który mu dodawał bodźca do pracy, tj. założenie własnego warsztatu z własnem gospodarstwem i z osobistą niezależnością. Terminator wprawdzie musiał ciężko nieraz nabywać biegłości w rzemiośle, ale miał nadzieję zostać po skończonych latach nauki najprzód czeladnikiem, a następnie niezależnym majstrem. Ten węzeł rodzinny, który jednoczył wszystkich członków warsztatu, został przez fabrykę zerwany; fabryka rozbija wszystko na pojedyncze niezależne atomy, które, jak koła maszyny, muszą się wprawdzie z sobą i między sobą łączyć mechanicznie, lecz poza tym kieratem, robotnik, który dopiero co wszedł do fabryki, jest równy temu, który w fabryce osiwił; ni jeden ni drugi nie należy do rodziny przedsiębiorcy, a tem mniej wielkiego finansisty, który pożycza fabryce swoje kapitały. Lecz może to zrównanie jest właśnie złotym wiekiem wolności? Przypatrzmy się bliżej, a odkryjemy smutną do tego złotą przymieszkę, tj. ciągłą troskę o utrzymanie życia na przyszłość, ustawiczną walkę o byt. Robotnik odbiera swą zapłatę, jak maszyna oliwę do smarowania, a chlebodawca więcej się o niego nie troszczy, nie go nie obchodzi, tak jego dobro duchowe jak i materyalne. Prawda, że są pod tym względem wyjątki, ale ogół przy dzisiejszej gorączce bogacenia się jest taki. A na jakiej zasadzie oznacza się przy równej liczbie godzin wysokość płacy robotnika? czy według uzdolnienia i biegłości? Ten взгляд bardzo często upada, gdyż doskonałość wykonanej roboty, to przeważnie zasługa maszyny, a nie wprawy człowieka. Lub może pilność robotnika jest tą zasadą? — chyba wyjątkowo; maszyna bowiem pracuje sama przez się, siłą pary, a przez to pilność robotnika bardzo często staje się zbyteczną. A dajmy na to, że biegłość i pilność robotnika nie ginie obok siły maszynowej: czy przy wypłacie będzie взгляд na to? Tak, czasem, w pewnych razach i w pewnych gałęziach przemysłu; w innych musi robotnik oddać oznaczoną ilość roboty, musi wykończyć swoją miarkę: ile do niej brakuje, tyle mu się odciąga

od normalnej płacy. A ta normalna płaca, czy to dzienna czy od sztuki, przez fabrykę ustanowiona, jakże się oznacza?

Przypatrzmy się tylko, ile ciężarów przygniata odstawioną robotę, a łatwo się przekonamy, że przy zwyczajnej praktyce kupieckiej, bardzo małej tylko zapłaty robotnik spodziewać się może za swą pracę. Jaką cenę musi zapłacić odbiorca za przedmioty, które nabywa do własnego użytku? Cena ta obejmuje, oprócz kosztów surowego materiału, oprócz płacy robotników i oprócz podatków: 1) kosztu założenia i utrzymania fabryki, bo, mówią, kapitał włożony musi osobno procentować; 2) podwyżkę ceny wskutek przechodzenia towaru przez wiele rąk, nim znajdzie kupca. Właściciel fabryki nie sprzedaje bowiem towaru swego bezpośrednio; między producentem a konsumentem jest cały szereg handlujących, którzy wszyscy nie tylko żyć, ale i z bogacić się pragną z ceny towaru. Fabrykant sprzedaje kupcowi hurtownemu, od tego kupuje kupiec częstkowy, a od tego znowu kramarze po wsiach i miastach, każdy ze swoimi pomocnikami. Mnóstwo ludzi jest zatrudnionych przy kupiectwie. Według spisu ludności z r. 1875, w Niemczech na 76 mieszkańców przypadają jeden pracujący w handlu. Tych wszystkich musi opłacić ostatni odbiorca czyli konsument. Nadto jest jeszcze cała masa ludzi, trudniących się rozwozem towarów, wysyłających je czy to koleją żelazną, czy inną drogą; dalej, ludzi pośredniczących między fabrykantem a kupcem — ci wszyscy również żyją z tej ceny, jaką ostatni odbiorca płaci za towar. Tym sposobem cena towaru musi niesłychanie wzrastać. 3) Do tego podrożenia przyczynia się jeszcze panujący dziś system pożyczkowy. Fabrykant pożycza kupcowi hurtownemu, nie chcąc jednak ponieść straty, podnosi cenę towaru o kilka procent; kupiec hurtowny pożycza częstkowemu, i znów stratę, jaką przez to ponosi w procencie, wynagradza sobie podwyższeniem ceny towaru; kupiec częstkowy daje znów na kredyt ostatniemu odbiorcy, lecz również nie bezinteresownie, nie z czystej miłości bliźniego, ale ten kredyt każe sobie dobrze zapłacić. Fabrykant i kupiec prócz tego obliczają jeszcze możliwość stracenia w pewnych razach kapitału: otóż i tę urojoną stratę także trzeba odbić na cenie towaru. I tak

np. według obliczeń Izby handlowej w Osnabrück, podróżenie towaru wskutek kredytu wynosi przynajmniej 30^o/_o wartości. I to w handlu t. zw. rzetelnym.

Przy takim podróżeniu, towar ma być jednak jeszcze tańszym, by mógł znaleźć odbyt, zwłaszcza wobec tak niezmiernej konkurencji i ustawicznej prawie hiperprodukcji. Czyimże tedy kosztem osiągnie się tę taniłość? Ani kupcy ani cały system kredytowy do tego się nie przyczyni; podatki również się nie zmniejszą, utrzymanie fabryki także wymaga pewnych i niezmiennych funduszków. Są to zatem pozycje stałe, które się z pewnością nie dadzą naruszyć. Więc producent, właściciel fabryki, w inny sposób musi tego dokonać. Lecz jak? Dwojakim sposobem: najprzód daje towar zły, fałszowany; jestto dzisiaj rzeczą ogólnie wiadomą. Drogie a liche towary — oto rezultat dzisiejszego sposobu produkowania! Niezliczone są sposoby fałszowania artykułów żywności, tych mianowicie, które się produkuje fabrycznie, jakoto: mąki, cukru, cykoryi, czekolady, masła i t. d. Przedewszystkiem konsumenci wina nigdy nie mogą być dziś pewni, czy miasto najdroższego wina, nie piją zabarwionej i najrozmaiciej przyprawionej lury. A jeżeli tak się rzecz ma z artykułami żywności, gdzie jest narażone zdrowie i życie ludzkie, to cóż się dopiero dzieć musi w innych gałęziach handlu, gdzie tylko kieszeń szwankuje, jak np. w fabrykach płótna, sukna, jedwabiu i t. p.? To poczucie rzetelności w interesach, i publiczność już nawet straciła; każdy dziś chce kupować tanio, chociażby towar był lichy. Drugim środkiem sprowadzania taniłości towaru, jest obniżenie cen surowego materiału i obniżenie płacy robotników. A ten nacisk, wywierany na surowe materiały, częściowo przynajmniej, daje się znowu odczuwać robotnikom, zatrudnionym przy ich uprawie, jak np. włościanom, górnikom, wyrobnikom i t. p. Tak więc robotnik musi ponosić w znacznej części wszystkie ciężary praktyki kupieckiej czyli tej długiej drogi, jaką przebywa towar z fabryki aż do konsumenta. Nie więc dziwnego, że płaca robotników musi być jak najniższa, by można towar tanio sprzedawać.

Na jakiejże zaś podstawie opiera się oznaczenie tej jak

najniższej płacy? Podstawa ta jest bardzo chwiejna, a ztąd wyzyskiwanie robotnika bardzo łatwe. Uczeni socjaliści, jak Ricardo, Marx, Lassalle, z istniejącej praktyki kupieckiej wyprowadzili t. zw. „żelazne prawo płacy“ (*chernes Lohngesetz*), które następnie, jak działo Kruppa, wymierzają przeciw kapitalizmowi. Według tego prawa, chlebobawca stawia sobie pytanie, ile potrzebuje robotnik, by mógł odpowiednio do swego stanu się utrzymać. To „ile“ określa zwyczajną płacę, daje zwykłą normę, ponad którą płaca rzeczywista może czasem cokolwiek się podnosić, jeżeli interes idzie dobrze, a niekiedy normy tej nie dosięga, jeżeli interes się nie wiedzie; zawsze jednak lepiej pocierpieć niedostatek, niż umrzeć z głodu. Ale pytanie to: ile robotnik potrzebuje na utrzymanie życia — chociaż wydaje się tak proste, jednak bardzo jest zawikłane i wiele na nie można dać odpowiedzi. Jakiego robotnika należy mieć na uwadze: czy pojedynaka, czy też z żoną i dziećmi; o jakie jego potrzeby chodzi: czy o to tylko, by mu wystarczyło z dnia na dzień, dopóki zdolny jest do pracy, czy też także o zabezpieczenie mu losu na przypadek, kiedy choroba, kalectwo, wiek uczynią go do pracy niezdolnym; czy robotnik, nawiedzony nieszczęściem, lub wiekiem przygnieciony, ma umrzeć z głodu, czy też należy płacę tak wymierzyć, by mu i na te przygody starczyła? Dalej, koniecznie wliczyć trzeba do płacy, ile robotnik jako ojciec rodziny potrzebuje na wychowanie tak materyjalne, jak duchowe swych dzieci. Zaiste, każdy towar, wystawiony na sprzedaż, tyleby powinien przynieść, by wszystkie te koszta mógł pokryć; gdyż wszystkie one bez wyjątku należą do kosztów produkcji. W wielu państwach prawodawstwo dąży do praktycznego rozwiązania tych zagadnień, od którego zależy również kwestya czysto ekonomiczna, tj. utrzymanie i rozwój sił roboczych w kraju. Lecz czy już rozstrzygnięto tę kwestyę? — czy zabezpieczono robotnika przed samowolą cheiwych zysku fabrykantów? Co jeszcze pozostaje do zrobienia? Dalej, przybywa tu nowe, nierozwiązane pytanie: cena na targu zyskana za towar nie tylko pokrywa wyliczone koszta produkcji, lecz jeszcze daje niezłą przewyżkę. Komuż się ta przewyżka należy? czy robotnikowi, czy przed-

siębiorcy, czy obu razem — a jeśli tak, to w jakim stosunku? Dzisiejszy socjalizm domaga się, aby całą tę przewyżkę oddano robotnikowi; czy ma w tem słuszność?...

Niemniej ważnem, a w swem ogólnem znaczeniu równie nowem i nierozstrzygniętem jest inne pytanie, które dzisiaj stoi na porządku dziennym, a tyczy się liczby godzin pracy. Postawiono mianowicie twierdzenie, że ośmiogodzinna praca dziennie, przeistoczona niejako w towar przychodzący na targ, powinna otrzymywać cenę, wystarczającą robotnikowi na opędzenie potrzeb życia. Ztąd wynikają znów następujące kwestye: czy się godzi kazać robotnikowi dłużej pracować? i pod jakimi warunkami? Czy twierdzenie, powyżej przywiedzione, ogólnie się da zastosować, czy kwestye z niem połączone, są również ogólnie uzasadnione? Czy to nie jest krzywdzeniem robotnika, jeśli pracuje ponad 8 godzin, a płacę za ten tylko czas otrzymuje?

(C. d. n.).

Ks. Antoni Langer.



STANLEY I EMIN PASZA.

(Dokończenie).

V.

Dnia 29 kwietnia 1888 r., a więc w rok i trzy miesiące po wyjeździe z Europy, kiedy w Niemczech kielkowała dopiero myśl wysłania pomocy Eminowi Paszy, Stanley dopiął swego celu i z Eminem się połączył. Obaj ci podróżnicy, mimo spędzonych lat tylu w Afryce, nigdy się nie widzieli. I kiedy Emin wszedł do obozu Stanleya w towarzystwie różnych oficerów, Stanley wszystkim ścisnął dłonie, dopytując się, który z nich jest Emin. Wtedy człowiek chudy, mały, w okularach, odezwał się:

— Panie Stanleyu, wyświadczyłeś mi niezmierne dobrodzieństwo; nie wiem, jak ci mam wdzięczność moją wyrazić.

— A! to pan jesteś Emin? Nie mówmy o podziękowaniach.

Stanley wyznaje, że spodziewał się ujrzeć człowieka marsowej postaci, wzrostu słusznego, w łatanym egipskim mundurze. a tymczasem miał przed sobą człowieka małego, chudego, z głową fężem nakrytą, z wielką starannością ubranego, w białych kołnierzykach i mankietach doskonale wykrochmalonych i wyprasowanych, w dobrze zrobionym surducie. Broda czarna, gdzieś niedziele siwiejąca, okalała twarz typu madziarskiego, a okulary dodawały jej wyrazu, przypominającego coś Włocha lub Hiszpana. Wyraz twarzy nie okazywał ani choroby ani troski, owszem. znać było na niej zdrowie i spokojny umysł.

Z opowiadań Stanleya widać, że Emin nie był zdecydowany, co ma ze sobą począć. Widział, że musi opuścić swą prowincję, w której niepodobna mu było się utrzymać, a nie wiedział, co czynić: czy nadal pozostać w służbie Kedywa, czy przyjąć służbę innego państwa. Z późniejszych rewelacyj, zwłaszcza niemieckich, pokazuje się, że Stanley miał tajemne polecenie skłonić Eminą, aby opuścił bądźco bądź Prowincję podzwrotnikową. Jakie były w tem zamiary rządu angielskiego — trudno dociec napewno. Prawdopodobnie domyślać się wolno, że gabinetowi londyńskiemu było na rękę powstanie Mahdiego, które zajmąwszy Sudan, rozciągający się szerokim pasem przez środek Afryki, stałoby się murem, rozgraniczającym północną i południową część lądu. Dlatego tak obojętnie zachowywał się wobec rozzalałych hord powstańczych; w tym celu chciał opróżnić Prowincję podzwrotnikową, która, dopóki w niej Emin rządził, była jeszcze w mocy Egiptu, aby i ta część Sudanu wpadła w moc buntowników. A tem samem, oddając środkową Afrykę w moc fanatyzmu i barbarzyństwa, chciał mieć wolne pole w Afryce południowej i utworzyć tam olbrzymie państwo, sięgające od przylądka Dobrej Nadziei do Wielkich Jezior. Plany te później przez silnie zajętą pozycję niemieckich kolonij, spełzły na niczem; ale wówczas Stanley musiał mieć tajemne instrukcje, bo chociaż przy założeniu komitetu angielskiego, organizującego wyprawę, i we firmanie egipskiego Kedywa, pozostawiona była Eminowi wolność, czy będzie chciał powrócić czy zostać, jednak Stanley bardzo na niego nalegał, aby dał za wygraną i z nim razem udał się do Zanzibaru. A kiedy Pasza się wahał, uczynił mu dwie propozycje: albo stanowisko gubernatora tejże samej Prowincyi podzwrotnikowej, ale już nie jako posiadłości egipskiej, lecz z ramienia i w imieniu wolnego państwa Kongo, wskutek czego i ta prowincya musiałaby neutralny przybrać charakter — albo stanowisko pełnomocnika Towarzystwa wschodnio-afrykańskiego z siedzibą na północ od Wiktorya-Nyanza. Pasza jedno i drugie zrazu odrzucił, tłumacząc się tem, że nie może opuścić czerwonej chorągwi, której służył 30 lat, a pójść pod niebieską, której nigdy nie widział. W odpowiedzi

na to, Stanley pokazał mu tajne papiery angielskiego rządu, a między nimi list Emina z r. 1886, w którym prowincję swoją oddawał Anglii. Zmieszał się tem Pasza i zażądał czasu do namysłu.

Zarzut d-ra Petersa (do którego musimy, choć z przykrością, powrócić), jakoby Stanley gwałtem porwał Emina i kłamliwemi obietnicami przywiódł go do Bagamojo, jest fałszywy. Prawda, że dziwnem wydać się może, dlaczego Stanley dał się tu użyć za samolubne narzędzie planów angielskiego gabinetu. ale czynić mu nie można zarzutu, że nadużył swej pozycji silniejszego, wobec pozbawionego wszelkich środków Emina. Wywiązał się Stanley ze swoich poleceń o tyle, że nie szczędził ani słów ani dowodów dla przekonania Paszy; ale kiedy go widział opornym i ustawicznie niezdecydowanym, postanowił zostawić go własnemu losowi i samemu w podróż się puścić. Że ostatecznie Emin zmuszony był pójść ze Stanleyem, nie jego to była zasługa, ale zbieg okoliczności zmusił go do tego. Jakie były te okoliczności — zobaczymy niżej.

Twierdzenie swoje Peters opiera na opowiadaniu ks. Lourdel, przełożonego misji afrykańskiej w Uganda, a wreszcie na samejże relacyi Emina Paszy, którą z ust jego słyszał.

Ks. Lourdel w rozmowie swojej z p. Petersem miał się wyrazić, że Emin nie chciał opuszczać swego stanowiska, ale Stanley porwał go jak złodziej. (*Il n'a pas voulu, Stanley l'a pris comme un voleur*). Sam Peters w swoim dziele oświadcza, że nie bardzo temu wierzył, bo misyonarz opowiadał to, co z ust trzeciich słyszał — a nigdzie tak nie sprawdza się, jak w Afryce, nasze przysłowie, że słowo wróblem wyleci, a powróci wołem. Na to zgadzają się wszyscy podróżnicy afrykańscy, że wszystkie wieści dochodziły do ich wiadomości w formie tak przesadzonej i potwornej, że trudno było z nich odgadnąć prawdę.

Twierdzenie Emina mogłoby być wprawdzie poważnym zarzutem dla Stanleya, gdyby: 1. pewnym być można, że prawdą jest to, co Peters w swem dziele opowiada; 2. gdyby Pasza w swem opowiadaniu nie miał roli *Cicero pro domo sua*.

Treść opowieści Emina jest następująca: Gdy Stanley po

raz pierwszy przybył nad jezioro Alberta, z pewnością byłby zginął z całą swoją wyprawą, gdybym nie był pospieszył mu z pomocą. Nie Stanley do nas, ale myśmy do niego przyszli. Tak samo nie dotarł do Prowincyi podzwrotnikowej, jak pan (tj. Peters). Za pierwszą swą bytnością w Kiwalli, gdy żadnej o nas nie znalazł wiadomości, nie śmiał wzdłuż brzegów jeziora puścić się do Wadilai, ale się cofnął po statek, na czym cztery miesiące stracił. Gdy następnie powtórnie przybyła wyprawa, zao-
patrzyliśmy ją w żywność, a tem samem uratowaliśmy od śmierci głodowej.

Trudno doprawdy uwierzyć, aby mąż tej miary, co Emin Pasza, mógł się takiej krzyczącej niesprawiedliwości względem Stanleya dopuścić i tak sprzeczne z prawdą rozgłaszać twierdzenia; a jeśli w istocie je wypowiedział, to przypisać je chyba należy obrażonej miłości własnej, z powodu upokarzającej roli jaką odegrał wobec Stanleya.

W samych początkach swojej wyprawy, w lutym 1887, nim odbił od brzegów zanzibarskich, wysłał Stanley posłańców z listami do Emina, uprzedzając go o swojej podróży i prosząc, aby poczynił rozporządzenia co do środków przewozowych dla niego i jego wyprawy, na jeziorze Alberta, aby mógł dotrzeć do Wadilai. W grudniu tegoż roku, Stanley po strasznej swej przeprawie przez las, po wysiłkach prawie nadludzkich, gdy stanął nad brzegami jeziora, nie znalazł żadnych przygotowań do przeprawy. I śladu nie było Emina, choć według zeznań krajowców, był tu w istocie, ale okrążywszy południowy cypel jeziora, wrócił napowrót do Wadilai. Wtenczas znękanemu Stanleyowi wrywa się skarga, że gdyby Emin, będąc na wodach jeziora, zdecydował się był posunąć jeszcze o 9 godzin drogi do Msua, byłby się z nim spotkał, oszczędziłby mu pięć dni krwawej walki z krajowcami, nie naraziłby na utratę czterech miesięcy czasu, i Stanley byłby naczas powrócił, aby uratować Bartellota od śmierci, a oddział jego od śmierci głodowej.

I wobec tego Emin twierdzi, że bez niego byłby Stanley zginął! Kiedy właśnie przeciwnie się okazuje, że gdyby Stanley był zginął, zginąłby przez niego, wskutek niewytłumaczonej opie-

szałości, z jaką Emin, mimo że był uprzedzony, ociągał się z dostarczeniem środków przewozowych. Czyni dalej zarzut Stanleyowi, że przybywszy nad jezioro, nie puścił się łądem do Wadilai, ale powrócił do lasu po statek, na czym 4 miesiące stracił. Posłuchajmy, co o tym swoim odwrocie pisze Stanley, a każdy bezstronny musi mu słuszość przyznać.

„Nieobecność Emina była zimnem wiadrem wody, wylanem na nasze nadzieje. Nigdy większe zniechęcenie nie ogarnęło nami jak wtenczas. Zapasów amunicyi nie miałem już więcej, jak 47 skrzyń. Mógłbym był wprawdzie puścić się drogą wzdłuż jeziora, ale podróżując łądem, musiałbym wypotrzebować co najmniej 25 skrzyń; połączywszy się z Paszą, zostałoby mi 22; pozostawiwszy mu przypuścmy dwanaście, mielibyśmy wszystkiego dziesięć do powrotu drogą, na której potrzeba nam ich było trzydzieści! Tak się przedstawiało smutne nasze położenie.

„Przy południowym spoczynku po raz pierwszy wspomniałem o odwrocie. Towarzysze moi zdziwili się tem i zasmucili. Odpowiedziałem im, że w tem położeniu innego nie mamy wyjścia. Emina nie było, do przeprawienia się przez jezioro nie mieliśmy sposobu, rozbitcie obozu w okolicy przedstawiało nie-małe trudności, z powodu braku wyżywienia; kraj bowiem, okalający jezioro, był niemal pusty, a ziemia kamienista i piaszczysta. Jakkolwiek jesteśmy niedaleko Wadilai, stracilibyśmy czas drogi, szukając manowców, kiedy zdrowy rozsądek radzi wracać do lasu, wynaleść miejsce bezpieczne do przechowania naszych zapasów i pozostawienia chorych, i wrócić tutaj ze statkiem i zasobem amunicyi. Choć z bólem serca, musieli wszyscy uznać, że propozycya moja była jedynym punktem wyjścia w naszym położeniu“.

Z tego więc widać, że sam Pasza był powodem, iż Stanley nie dotarł do Prowincyi podzwrotnikowej; pokazuje się, że powyższe zarzuty, czynione Stanleyowi przez Paszę, były tylko wykrętami, aby usprawiedliwić niechęć, jaką powziął dla wielkiego podróżnika, a o której sam Stanley w swem dziele wspomina. I jakież był powód tej niechęci, tem dziwniejszej, że zważywszy ówczesne położenie Emina i późniejsze wypadki, bez

zaprzeczenia wszystko, a nawet życie swoje Emin zawdzięczał Stanleyowi?

Tak ze słów i opowiadań drugih, jak i z czynów i zachowania się samego Emin, nie można powziąć pochlebnego wyobrażenia o politycznych i organizatorskich jego zdolnościach. Sam p. Peters o jego zdolnościach wyraża się z rezerwą, odsyłając czytelników do jego czynów. Uczonym — trzeba mu przyznać — był aż do szpiku kości. Stanley nazywa go fanatykiem wiedzy. Zajmuje się z zapalem botanizowaniem, a zwłaszcza ornitologią. We wspólnym pochodzie ze Stanleyem skarży się na zbyt szybką podróż, tak, że Stanley, aby mu dać sposobność do naukowych badań, przez czas jakiś posuwa się o kilometr dziennie. Ale na polityka, wodza, męża stanu, już z tego powodu nie miał kwalifikacyi, że brak mu było w charakterze decyzyi i oryentowania się szybkiego w położeniu — tych dwóch ważnych czynników u ludzi do rządzenia powołanych.

Stanley wyklada mu przyczyny, dla których powinienby wrócić do Egiptu; Kedyw pozostawia mu wolność pozostać lub powrócić. „Przypuśmy, że obierzesz pan pierwsze i zostaniesz, ale siły twoje muszą się z czasem wyczerpać. Zechcesz odjechać: jakimże sposobem odprowadzisz swych ludzi do ojczyzny, nie mogąc liczyć na pomoc Egiptu, który prowincję twoją uważa tak dobrze jak za straconą. A jeśli na stanowisku umrzesz, co się stanie z twoją prowincją, położoną między wrogami plemionami na południu, lasem na zachodzie, a fanatycznym Mahdim na północy?” Pasza przyznaje słusność tej argumentacyi, ale decyzję do jutra odkłada. Nazajutrz oznajmia Stanleyowi, że wczorajsze jego argumentacye przekonały go zupełnie, iż trzeba opuścić Afrykę; dodaje, że jestto życzeniem Egipcyan towarzyszących mu, zachodzi tylko wątpliwość co do dwóch batalionów regularnego wojska, którym więcej przypada do smaku pobyt tutaj. A przecież w późniejszych swych zwierzeniach przed Petersem twierdził, że wszyscy bez wyjątku Egipcyanie dlatego wypowiedzieli mu posłuszeństwo, że nie chcieli do kraju powracać. Zachodzi tu więc sprzeczność, tem więcej zadająca kłam późniejszym jego twierdzeniom, że Egipcyanie w Wadilai, wy-

jawszy kilkunastu oficerów i garstki żołnierzy, wszyscy powrotu pragnęli.

Twierdził także Pasza przed Petersem, że gdyby miał pod dostatkiem amunicyi, mógłby się być utrzymać w Wadilai. I to z prawdą się nie zgadza, bo gdyby tylko brak amunicyi stał na przeszkodzie, to przybycie Stanleya usuwało tę trudność. Wszak Stanley oddał Eminowi 31 skrzyń kul i prochu! Była więc inna przyczyna, do której Pasza przyznać się nie chciał, mianowicie, że stracił całkiem mir i powagę u swych ludzi i żołnierzy. Do tego doszło, że w czasie nieobecności Stanleya, kiedy ten wyruszył na odszukanie tylnej straży, wybuchł rokosz w wojsku Emina; buntownicy uwięzili Paszę, a wypuścili go na wolność wtedy dopiero, kiedy się dowiedzieli o wkroczeniu Mahdystów do prowincyi. Stanley wkrótce potem powrócił, a dowiedziawszy się o zaszłych wypadkach, pisze do Emina stanowczy list, dając mu 20 dni do namysłu, czy chce z nim powrócić? Na to odpowiada Emin, że chętnieby z nim pojechał, ale nie może się zdecydować i prosi o przedłużenie terminu do namysłu. Zanim odpowiedzieć zdołał Stanley, zaszły wypadki, które zmieniły postać rzeczy.

Zbuntowani oficerowie Emina, na czele których stał Selim-Bej, pragnący zawładnąć prowincją dla własnej korzyści, dowiedziawszy się o przybyciu Stanleya, a mając przesadne wieści o jego zbrojnej sile, uznali za stosowne nie otwarcie buntem, ale podstępem dojść do swego celu. Ajenci Mahdiego poddali im myśl, aby ponownie schwytać Paszę i wszystkich Europejczyków i wydać ich w ręce proroka. Ale jak to zrobić? „Nic łatwiejszego, — radził jeden ze spiskowców — wystarczy wysłać deputacyę do Paszy i pokornie błagać go o przebaczenie, prosząc, by powrócił objąć rządy. Dobroduszny Emin uwierzy i do obozu Stanleya nas wprowadzi. Będąc już w obozie, zobaczymy, co nam czynić wypadnie“. Rada się podobała. Wysłano deputacyę z Selimem na czele. W istocie, Emin wszystkiemu uwierzył, i na] prośbę spiskowców poprowadził ich do obozu Stanleya, którego równie mieli prosić o przebaczenie i jemu także w opiekę się oddać. Dzień 18 lutego wyznaczył Stanley

na ogólne zgromadzenie, na którem miał się rozmówić ze spisowcami.

W oznaczony dzień zeszli się: Emin, Stanley ze swoimi oficerami, i deputacya załogi egipskiej. Stanley otworzył posiedzenie następującą przemową: „Otwórzcie uszy wasze na usłyszenie słów prawdy. Doszło do naszej wiadomości, że znachodzicie się w bardzo trudnem położeniu, że zabrakło wam prochu do obrony przeciw fanatycznym hordom fałszywego proroka. Słyszając o tem Anglicy, wasi przyjaciele, dali mnie złota na zakupienie i przywiezienie wam prochu. A ponieważ droga mnie wypadła na Egipt, prosił mnie Kedyw, abym wam oznajmił, że możecie ze mną powrócić, jeśli taka wola wasza, a jeśli chcecie, możecie pozostać. Jego Wysokość pozostawia wam wolny wybór. Niechże więc każdy objawi myśli, w jego sercu ukryte“.

Po tej przemowie rozległ się szmer zadowolenia. *Koneis!* (Dobrze).

Następnie powstał Selim-Bej i w swoim i nieobecnych imieniu oświadczył, że są zawsze wiernymi i uległymi poddanymi Jego Wysokości, że wszyscy urodzeni w Kairze, niczego więcej nie pragną, jak powrotu do ojczyzny i na to wysłani są przez pozostałych w Wadilai, aby prosić Stanleya o czas stosowny do przewiezienia swoich rodzin i wrócenia z nim razem do ojczyzny.

Stanley, mając już wówczas poszlaki zdrady buntowników, udał, że wierzy ich słowom i dał im dziesięć dni czasu do poczynienia przygotowań.

Termin naznaczony minął, a ani Selim, ani żaden z oficerów buntowniczej załogi się nie zjawia. Stanley nie może dłużej czekać. Każdy miesiąc pobytu naraża komitet angielski, który wyprawę zorganizował, na stratę 10.000 fr. Prócz tego poczuwa się do obowiązku względem swoich Zanzibarczyków, którzyby już chcieli do ojczyzny powrócić i zaczynają się zżymać na ustawiczną zwłokę. Prywatne zaś informacye Stanleya przekonują go, że załoga w Wadilai nie myśli się przyłączyć i szuka tylko pozorów dla zwłoki, kryjącej zbrodnicze jakieś zamiary.

— Cóż więc mam im powiedzieć? — odparł Emin, wysłuchawszy powyższych słów Stanleya.

— Moi oficerowie odpowiedzą panu; zapytam ich wobec pana...

Ordynans przywołuje Stairs'a, Nelsona, Jephsona i Paokego. Wyluszczywszy trudności położenia, przedstawia im, że wyznaczył Eminowi dzień 10 kwietnia jako ostateczny termin wyjazdu, ale życzeniem Paszy jest, aby w razie nieprzybycia na ten dzień załogi, termin powyższy przedłużyć. Jakie jest ich co do tego punktu zdanie? Wszyscy odpowiedzieli, że dłużej czekać nie można.

— A więc Paszo, masz naszą odpowiedź: ruszamy 10 kwietnia.

Nazajutrz Emin wysłał kuryerów do załogi z zawiadomieniem o nieodwołalnym wymarszu. Tego samego dnia Osman-Latif-Effendi, wice-namiesnik Emina, przybył do Stanleya i przestrzegł go, aby miał się na baczności przed oficerami załogi Wadilaj, a zwłaszcza przed Fadl-el-Moulla, gdyby ten chciał go odwiedzić.

Pasza ciągle niezdecydowany, opuszczony od swoich żołnierzy, zebrał Egipcyan, będących z nim w obozie, i pytał ich, czy poszliby za nim, gdyby 10 kwietnia ze Stanleyem wyruszył. Wszyscy, z wyjątkiem czterech, odmówili. Tak więc Emin zdradzony był od wszystkich swoich towarzyszy. Ale Stanley sprawy nie zasypiał. Przez szpiegów swoich dokładne miał o wszystkim informacje i wiedział, że opór Egipcyan, będących w obozie, pochodził z poduszczenia załogi wadilajskiej, która chciała tu mieć swoich stronników, aby wykonać przygotowany zamach. Kiedy więc wahanie się i odwlekanie wyjazdu przez Emina doszło do tego, że katastrofa mogła lada dzień nastąpić, Stanley widząc, że nie tylko idzie tu o Emina, ale i jemu i jego ludziom grozi niebezpieczeństwo — jednym zamachem postanawia sprawę zakończyć i udaremnić plany spiskowców. Do tego zaś nie było innego sposobu, jak siłą odciągnąć Egipcyan, w obozie będących, od udziału w spisku załogi i przeciąć wszelką komunika-

cyę między nią a obozem. Udaje się zatem do Emina i przedkłada mu następną alternatywę:

— Albo zwołasz pan wszystkich swych ludzi: Arabów i Sudańczyków, i w mojej obecności łagodnie ich zapytasz, którzy chcą iść z tobą (tych zatrzymamy, a opornych natychmiast z obozu wypędzę) — albo dla uniknięcia rozlewu krwi, który w takim wypadku może nastąpić, każesz pan spakować swe rzeczy i rozbijesz obóz o 5 kilometrów od mego. Zamtąd przez posłańców uczynisz do swoich odezwę. Zgadających się odeszłę ci, opornym pod karą śmierci nie pozwolę się zbliżyć do twego obozu.

Pasza, wysłuchawszy Stanleya, prosił, aby mu pozwolił naradzić się z Casatem. Stanley, nową przeczuwając zwłokę, nie zezwolił na to.

— Jeśli pan nie chcesz przyjąć mych propozycyj, muszę sam pomyśleć o ogólnem bezpieczeństwie. A jeśli krew się po-
leje, niech spadnie na twoją głowę! Do widzenia!

I nie zwlekając, każe trąbić do broni. W jednej chwili woj-
sko się uszykowało. Wtedy wezwał Paszę, aby kazał na swoich
ludzi zatrąbić. Ale nikt nie usłuchał Emina.

Widząc to Stanley, formuje czworobok i każe Jephsonowi,
aby ze swoją kompanią napędził do tego czworoboku wszystkich
Arabów, Egipcyan i Sudańczyków Emina. Na opornych niech
siły użyje. Rozkaz ten skutkował. W jednej chwili wszyscy lu-
dzie Emina stali w czworoboku.

— Doszło do mej wiadomości — odezwał się Stanley —
że macie ochotę spróbować się z moimi Zanzibarczykami. Wi-
dzieliście, jak pracują — zobaczcież teraz, jak umieją walczyć!

— Ależ my nie chcemy się bić — odezwali się chórem.

— Tak!? a zkądże mię doszły te słuchy? Dlaczego kra-
dniecie mi karabiny? Co znaczą te spiski? Dlaczego nie chcecie
iść z Paszą? Czemu wrogo przeciw nam występujecie, którzyśmy
na wasze żądanie wybudowali tu baraki i zaopatrzyli was w ży-
wność? Co na to mówicie?

— Żaden z nas nie chce się bić, a złodziei na szubienicę!

— Chcecie iść z Paszą?

— Chcemy wszyscy!

— Dobrze! Niech ci, co chcą z nim iść, wystąpią z szeregów!

Powstał ruch ogólny. Wszyscy zrobili pół obrotu i stanęli frontem.

— Więc nikt nie chce zostać z Selimem?

— Nikt. *La illah illa llah!*

Wtedy zwrócił się Stanley do Paszy, mówiąc:

— Teraz, kiedy sprawa skończona, racz Paszo powiedzieć im ode mnie, aby zerwali wszelkie stosunki z buntownikami z Wadilai. Odtąd są pod moimi rozkazami i mnie tylko słuchać mają. Którzy będą posłuszni, niech się niczego nie boją: dla nieposłusznych i buntowników — śmierć!

Pasza ogłosił im moje słowa. Skłonili się, na znak, że przystają i ślubują posłuszeństwo nowemu ojcu i panu.

Naznaczonego dnia, 10 kwietnia, wyruszył Stanley ku Zanzibarowi na czele 1509 ludzi, pozostawiając załogę w Wadilai swojemu losowi.

Umyślnie przytoczyłem obszerniej tę część opowiadania Stanleya, aby czytelnik poznał, czy słuszny jest zarzut, jakoby on przemocą uprowadził Eminę z Prowincyi podzwrotnikowej.

Wobec buntu załogi w Wadilai, wobec wypowiedzenia posłuszeństwa przez całe swe wojsko i służbę, cóż pozostawało innego Eminowi, jak pójść za Stanleyem? Sam przygotował sobie ten los swoją nieprzezornością, brakiem energii i nierozsądnem zaufaniem do ludzi znanych z przewrotnych zasad. Łatwo zrozumieć, że do tego smutnego zakończenia swojej 30-letniej kariery nie chce się przyznać Emin. Ztąd niechęć ku Stanleyowi i zwalanie nań całej winy; ztąd taka niesłuszna ocena postępowania wielkiego podróżnika, która jeśli jest prawdziwą w opowieści Petersa, nie przynosi chluby Eminowi Paszy.

Naturalnie, że wszystkie te okoliczności nie mogły wpłynąć korzystnie na stosunek Stanleya do Niemców, i kiedy przybył do Bagamojo, rezydencji władz niemieckich, choć witany uroczystie przez majora Wissmanna, cesarskiego jenerałnego komisarza w posiadłościach niemieckich, choć strzały armatnie

ogłosiły okrętom stojącym w porcie wjazd jego i namiestnika Ekwatoryi do miasta — uczuł wkrótce oziębienie się wzajemnych stosunków i więcej niż chłód, objawiający się w postępowaniu z nim władz w Bagamojo. Pożegnał się zatem z Eminem, który niewiele znalazł dlań słów wdzięczności; pozostawił go w Bagamojo, a sam odpłynął do Kairu, zkąd miał się udać na krótko do Europy, a zamieniwszy ciernie podróży na słubny kobierzec u stóp ołtarza, powrócić już z żoną do przybranej swej ojczyzny.

A Emin? Emin Pasza, który lat 30 pozostawał w służbie egipskiej, który sam się oddawał ze swoją prowincją w służbę rządu angielskiego i nie chciał przyjąć ofiarowanej sobie służby u rządu belgijskiego — wstąpił do służby niemieckiej we wschodniej Afryce, na którem to stanowisku znalazł go już Peters z końcem zeszłego roku w stacyi niemieckiej we Mpuapua.

Nauce oddał i jeszcze odda wielkie usługi, a znać, że Niemcy nadzwyczajnie cenią jego obecność w Afryce, kiedy na wieść, że prawie całkiem oślepl, nie odwołano go ztamtąd, ale z ramienia rządu wysłano mu do pomocy jeneralnego sekretarza.

Sprawozdanie moje dobiega już końca. Cała Europa, świat katolicki, naukowy i dyplomatyczny, ma zwrócone oczy na tę czarną ziemię, która wydała cały jeden wspaniały konar chrześcijańskiej cywilizacyi; wydała takich mężów, jak Orygenes, Tertulian, Cypryan, wielki Augustyn. Każdy z tych trzech światów wyteżonem patrzy na nią okiem, bo każdy ma tam interesa, głęboko sięgające w rdzeń jego istoty.

Co dzisiaj kryje w sobie ten ład olbrzymi, co kryją w swych piersiach te miliony murzynów, jak bydlę pędzonych w jarzmo niewoli — nie wiadomo; ale kiełkują tam siły potężne, które mogą się stać zbawieniem lub zgubą dla strupieszalej cywilizacyi Europy.

Dyplomacya europejska o to nie dba. Ufna w swe siły i mądrość, gardzi tym stumilionowym motłochem, zagarnia i dzieli ziemię, nie pytając o jej właścicieli. Ale jest instytucya, stojąca na straży interesów ludzkości, jest instytucya, bez której nie działa dyplomatyczna Europa ze swoją siłą, jeśli jej ona nie wesprze

swym duchem. A instytucja ta, to Kościół. Nawoływał on zawsze, ale dziś nawołyuje głośniejszemi, narody europejskie do krucjaty przeciw ohydnyemu handlowi ludzkim towarem. I państwa europejskie uznały choć w części słusność tego nawoływania, pobudzone już to własnym interesem, już wreszcie ze szlachetniejszych pobudek: wiary i miłości bliźniego. Wiele już uczyniono w tym kierunku, ale pozostaje jeszcze nierównie więcej do zdziałania, a mianowicie zgnieść trzeba na tej ziemi potęgę półksiężyca, która stawia najsilniejszą zaporę zniesieniu niewolnictwa.

I Stanley i Peters i Wissmann i wszyscy inni naczelnicy wypraw; gabinety francuskie, belgijskie, niemieckie i angielskie w traktatach zawieranych z tamtejszymi królami — warują sobie bezwzględnie, aby nie wywożono niewolnika z ziem im poddanych. Ale nadewszystko działa skutecznie w tym kierunku silny zastęp katolickich misjonarzy, prowadzony doświadczoną ręką prymasa Afryki, kardynała Lavigerie — a działa tem skuteczniej, że razem z chrześcijańską wiarą i cywilizacją wszczepia w dusze pogańskie ten pewnik niezbity, że wolność, to najdroższy skarb ludzkiej przyrody i że nie można bezkarnie nakładać pęt niewoli równej sobie istocie.

Strzemięńczyk.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Literatura polska. Przez *Adama Brezę*. Warszawa 1891.

Niemasz może niewdzięczniejszej pracy, nad układanie podręczników. Praca to mozolna, praca pod cudzym sztandarem, w której miłość własna autora pola do popisu nie ma, praca z natury rzeczy kompilacyjna, którą tylko znawca ocenić potrafi, i to wówczas, gdy się nie poleni zbadać ją gruntownie, nie poprzestając na pobieżnych książki oględzinach.

Powyższe względy winny recenzenta skłaniać do wyrozumiałości w sądach o pojawiających się nowych podręcznikach. Nie wynika ztąd jednak, aby na zasadzie: *in magnis voluisse sat est*, chwalić bezwzględnie to, co pochwały nie warte, ze szkodą społeczeństwa, któremu się cała prawda należy i które tylko tą drogą oświecać się i postępować może.

Owszem, każdego autora, występującego na arenie pedagoga i popularyzatora, mamy prawo zapytać: czy względnie do poprzedników swoich uczynił krok naprzód, czy bardziej od nich zbliżył się do ideału, jaki każdy autor mieć przed oczyma powinien.

Idealem układającego podręcznik literatury, winno być możliwie dokładne wypełnienie następujących warunków:

1) Z obszernej dziedziny piśmiennictwa wybrać tylko najwybitniejszych pisarzy, a z liczby ich dzieł tylko ważniejsze i donioślejsze;

2) wybrane fakta odpowiednio ugrupować i krytycznie oświecić. Literatura w ścisłym zostaje związku z historyzofią. Sąd o autorach i ich dziełach jest po większej części odbiciem poglądów tej lub owej

historycznej szkoły. Obowiązkiem historyka literatury sprawdzić, o ile te poglądy na rzeczywistych oparte podstawach, przekonać się, o ile to, co dotąd uważano za aksyomat, przetrwało próbę czasu, ostało się wobec postępu wiedzy;

3) wreszcie co do zewnętrznej formy, styl podręcznika winien być nie tylko poprawny, ale o ile można, piękny, byleby nie kosztem jasności.

Tego wszystkiego mamy prawo wymagać od każdego podręcznika. Jeżeli zaś autor zamierzył sobie (jak to wydawcy w prospekcie zapowiedzieli) napisać książkę „w ten sposób, aby pragnący nauki mógł się zupełnie obejść bez nauczyciela“, zadanie jego stanie się jeszcze trudniejszym. Od młodości bowiem przyzwyczajamy się mówić i pisać stylem książkowym, nie troszcząc się o to, czy każdy i czy z łatwością nas zrozumie. Potrzeba nam więc ciągłego wysiłku, aby się zniżać i nałamywać do umysłów mniej od nas wykształconych i nie zapominać, że wiele rzeczy, dla nas zrozumiałych, dla nich potrzebuje wyjaśnienia. Potrzeba tak pisać, żeby nie tylko każdy nas rozumiał, ale żeby nikt nie mógł nas nie rozumieć.

Spróbujmy ten probierz zastosować do podręcznika „Literatury polskiej“ p. Brezy.

I.

We wstępie zapowiedział autor, że wbrew zwyczajowi, uważa za stosowne obszerniej traktować utwory z epoki dawniejszej, z którymi w życiu rzadziej się spotykamy, a mniejszy kłaść nacisk na dzieła współczesnych pisarzy, które znamy zkadinał w całości; obietnicę tę jednak nie wszędzie dotrzymał. Wprawdzie dłużej się zatrzymuje nad Kochanowskim, Rejem, Skargą, Paskiem, ale są to stosunkowo dość znani choć starzy pisarze; w wyborze zaś cytowanych urywków, nie bardzo jest szczęśliwym.

Tak, mógł śmiało opuścić aż do znudzenia często powtarzane szczegóły o obżarstwie Reja i onegoż skutkach (str. 177), nie poświęcać aż całych pięciu stronic (215—220) „Fraszkom“ Kochanowskiego, przyczem nie wyłącza i tych, co kropkowane mają ustępy, a których samouk, nie znający całkowitego wydania, wprost nawet nie rozumie — jako przykład zaś języka Wujka, nie przytaczać długiego ustępu przekładu „Pieśni nad Pieśniami“ (który, nie opatrzone komentarzem, opacznie może być rozumianym), zamiast zapoznać nas choć cokolwiek z oryginalnymi pracami tego znakomitego pisarza.

Ze szczególnem zamięłowaniem cytuję p. Breza (290—300) dziwaczne tytuły i ustępy z epoki makaronizmu, zdając się zapominać to, co sam na str. 304 i 366 zauważył, że to zepsucie smaku nie było właściwością jednej tylko Polski ówczesnej i że się przejawiało w dziedzinie wszystkich niemal sztuk pięknych, i w całej Europie.

Pamiętniki Paska są tak znane publiczności, że niepotrzebnie tak długo (309—319) się nimi zajmował, już to parafrazując je, już to cytując przydłuższe ustępy. Porównanie zaś ich z pamiętnikami Hansa Schweinichena, który o sto lat od Paska starszy, gorzej od niego pisał, jest wyjaśnieniem rzeczy znanej przez nieznana. O istnieniu takiego pisarza niemieckiego nie tylko samouk, lecz i literat Polak może bez grzechu nie wiedzieć wcale.

Również sławny i znany ks. Baka wyłącznie tylko z komicznej, błazeńskiej pojęty jest strony, a już dawno, bo przed 50 laty, słusznie zauważył Kraszewski (w „Wędrowkach literackich“), że „trzeba być wielkiem dzieckiem, żeby czytając „Uwagi“ ks. Baki, zacząwszy od śmiechu, na nim skończyć i nie dojrzeć wielkiej poetycznej a poważnej myśli, która się w nich przewija, podobnie jak w średniowiecznych obrazach „Tańca śmierci“ — myśli, którą autor może umyślnie przybrał w arlekińskie szaty, żeby uczynić książkę popularniejszą w zastosowaniu do usposobienia umysłów, którym innego rodzaju pokarm byłby za ciężki“.

Mówiąc o Karpińskim, nie poprzestaje na tytułach pieśni: „Kiedy ranne“, „Wszystkie nasze“, „Boże, z Twoich rąk żyjemy“ — ale wypisuje takowe niemal całkowicie (495), co niepotrzebnie miejsce zabiera.

Nie sądzimy też, żeby był na miejscu tak obszerny rozbiór „Firyka w zalotach“.

Natomiast nie dał nam autor najdrobniejszej próbki poezyi Zofii Oleśnickiej z Pieskowej Skały, choćby tę jedyną, co się do nas dochowała, „Pieśń nową“, która ukazała światu „pierwszą Polkę piszącą, i pięknie piszącą wiersze“. Nie znajdujemy żadnego urywku muzy Sępa Szarzyńskiego, choć go „niektórzy ponad Kochanowskiego stawili“ — ani z „Rytmów“ Kaspra Miaskowskiego, ani z „Sielanek“ Szymonowicza lub Zimorowicza, rzucających tak jaskrawe światło na stosunki i poglądy społeczne owej epoki, i ztąd podwójnie godnych uwagi.

O takich wybitnych postaciach, jak europejskiej sławy Hozyusz. kardynał, jak Karnkowski, biskup warmiński — p. Breza nie wspomina wcale. Birkowskiemu poświęca tylko kilka wierszy we wstępie do złotego wieku, tyleż Młodzianowskiemu, poprzestając na suchej tylko

uchwale, a jednak chyba więcej oni wari studyów, niż Zabłocki i ks. Baka.

II.

W podziale dziejów literatury na okresy, idzie p. Breza za Kulickowskim, łącząc okres złoty z makaronicznym w jedno. i nowość tę dość obszernie umotywować się stara. Zmiana ta jednak w zewnętrznym podziale nie wpływa na samo traktowanie przedmiotu, które niczem się nie różni od wszystkich innych autorów. I u niego epoka jezuicka stawia się raczej jako antyteza, niż dalszy ciąg epoki zygmuntownskiej, i bardzo jednostronnie jest traktowana. Nowością jest dodawany w przypisku do każdego okresu piśmiennictwa krótki rys dziejów politycznych narodu polskiego, oraz pogląd na współczesny rozwój literatury Francyi, Włoch, Hiszpanii, Niemiec i Anglii. Myśl o tyle dobra, o ile to zestawienie różnorodnych faktów dopomódz może do ich lepszego zrozumienia. Wykonanie jej jednak nie zadowolniło nas wcale.

Autor traktuje historję polską po kronikarsku, sucho, nie kładąc nacisku na ważniejsze fakta i nie wykazując ich związku z rozwojem piśmiennictwa, tak że ten krótki rys historyczny gra rolę niepotrzebnego balastu. W przeglądzie literatury obcych narodów, zamiast ograniczyć się najwybitniejszymi utworami, a za to zajrzeć nieco do ich treści, poprzestaje się po większej części na biografię autora i wyliczeniu tytułów jego dzieł. Zdobywa się niekiedy wprowadzić i na ogólniejszy pogląd, już to na epokę, już to na działalność pisarza, ale czyni na sposób fejletonisty, który rozprawia półsłówkami o rzeczach znanych, nie troszcząc się o to, że go profan nie zrozumie.

Nie wiem, kogo sobie p. Breza pod mianem samouków wyobrażał, ale bodaj zbyt czerne byłoby wymagać od nich znajomości języków obcych i terminów technicznych, jak: humanizm, Odrodzenie, racjonalizm, scholastyczność, którymi szermuje, nie objaśniewszy ich wprzód. Nawet i dla wykształconego czytelnika ciemnymi muszą się wydać ustępy np. takie, jak zamieszczony na str. 251, ogólny pogląd na piśmiennictwo obcokrajowe w XVI. w.:

„Niebawem jednak taka bezwzględność w upatrywaniu wyłącznej doskonałości tylko w badaniu starożytnego świata, jego wiedzy, nauki, piśmiennictwa i ducha, wogóle przestała być, jak dotąd (tj. w XV. w.), wyłącznym celem dążeń ludzkich. Pojęcia oderwane, nie posiadające rzeczywistych podstaw, trawia się wnet same w sobie, a wtedy żadne nowości umysły zwracać się zaczynają ku celom wyraźniej określonym

Na tej drodze przeistaczania się, czyli właściwie ucieleśnienia pojęć, przybiera niebawem Odrodzenie i połączony z niem humanizm, inne, więcej określone kształty. Niepochwytna dziedzina ducha, objawiająca się dotąd w nauce, piśmiennictwie i sztuce jedynie, przestaje być dla tych prądów wystarczającą. Mówiąc inaczej, z Humanizmu powstaje na tej drodze Reformacya“ (str. 252).

Mówiąc o „Orlandzie szalonym“ Ariosta, porównuje go nasz autor z „błędym rycerzem z la Manchy“ Cerwantesa, znajdując w pierwszym więcej wesołości, a w drugim więcej satyry (str. 256). Nieco dalej mówi, że „Macchiavelli'emu posłowanie na dwory obce nie przeszkodziło do napisania swych wiekopomnych dzieł: „Książę“, „Rozmowy o dziejach rzymskich“, „Historye florenckie“, i innych“ — ale nie próbuje nawet dać pojęcie, co zawierały w sobie owe dzieła, co znaczą te tytuły, kto jest „błady rycerz z la Manchy“. I tak prawie zawsze.

Oto jeszcze inny przykład:

„Boileau Despréaux napisał *Lutrin*, żartobliwy poemat opisowy (?), a *l'Art poétique* przyniosło mu największą sławę i zjednało mu przydomek *législateur* (chyba *législateur du bon goût*“ (str. 371); że „Malherbe jest ojcem tego, co Francuzi nazywają *bon sens*“ (369); że „pierwszem dziełem, którem Molière zasłynął, było *Les précieuses ridicules*, o którym mówią, że satyra w niem była na owe czasy tak silną, iż podkopała t. zw. poezję Hotelu Rambouillet“.

Wyliczając komedye Moliera, tytuły ich jedne tłumaczy na polski język, drugie najniepotrzebniej cytuje w oryginale, jak *Femmes savantes*, *Bourgeois gentilhomme* *l'Etourdi*, bez żadnego komentarza. Czasami to zakrawa wprost na styl makaroniczny, z którego sam tak się natrząsał nieco wyżej.

„Złośliwość pamphleciarska, której (Beaumarchais) używał przeciwko *ancien régime* (przedewszystkiem w pamphleciarskich po większej części *Mémoires*, skierowanych głównie przeciw sądownictwu), nie osłabiła weni (?) takiej siły i wykuintności zarazem pisarskiej, iż rzecz można, że w tym okresie on jeden godnym jest następcą Moliera. Wielki jego talent ukazał się w całej pełni przez (*sic!*) sławne a nie starzejące się nigdy komedye: *Le barbier de Séville* i *Le mariage de Figaro*“ (str. 544). Dwa razy (na str. 535 i 536) przytacza jako argument po francusku wiersze Woltera, nie opatrzywszy ich chociażby wolnym przekładem polskim; również nie wyjaśnia, co znaczy: *écrasez l'infâme*.

Wzmianka o cynicznym paszkwilu Woltera (*La pucelle*) jako o „sa-

tyrze uscenizowanej“ (*sic!*), która „posiada najwięcej wartości literackiej“, jest równie fałszywą z punktu estetyki, jak niebezpieczną pod względem moralnym, bo tylko zachęcać może nieświadomego czytelnika do przeczytania tej lichiej i brudnej ramoty, o której pora byłaby zapomnieć.

W pisowni imion własnych cudzoziemskich, p. Breza nie trzyma się żadnego systemu, pisząc raz Molière, to znowu Molier. W podręczniku popularnym uważalibyśmy za konieczne, aby spolszczać wszystkie nazwiska obce, bardziej znane i częściej używane, jak: Wolter, Russo, Korneil, Rasyń, Szekspir, Bajron; przy innych zaś, zachowując rodziną ortografię, oznaczać w nawiasie sposób ich wymawiania. Tytuły zaś ich dzieł także tłumaczyć na polski język.

III.

Zestawiając nasze piśmiennictwo z zagranicznym, p. Breza zdaje się mieć na celu nauczyć nas wstydić się przed Europą za to, żeśmy tak mało zrobili i tak późno wstąpili w szranki literackie, „pozostając co najmniej o półtora wieku wtyle“ (str. 27) — że nawet w XVI. w. nie możemy wytrzymać porównania z Zachodem, bośmy się na epopeję i dramat nie zdobyli (269). Nie jesteśmy zwolennikami szowinizmu, ale pragniemy przedewszystkiem sprawiedliwej oceny faktów — czytając zaś pracę p. Brezy, doznawaliśmy wrażenia, jakoby autor, olśniony sławą zagranicznych arcydzieł, nie uwzględnił należycie naszego literackiego dobytku. I tak nie uwypatnia on należycie imponującego stanowiska, jakie zajęła odrazu w Polsce XVI. wieku literatura kaznodziejska i teologiczna, podczas gdy tylko jedna Francya, i to dopiero za Ludwika XIV., zajaśniała na ambonie kościelnej — a obok naszych Skargów, Wujków, Karnkowskich, Birkowskich, Wereszczyńskich, ani Niemcy, ani Hiszpania, ani Włochy, ani Anglia, nie mają kogo w onym czasie postawić.

Nie zdaje się też uznawać p. Breza kolosalnego pomnika, jaki ks. Wujek wystawił naszemu językowi całkowitym przekładem Biblii, który po trzech wiekach prawie nie razi uszu i zupełnie zrozumiałym jest dla każdego dzisiejszego Polaka. Czyliż to nie świadczy, że nad tym językiem musiano oddawna pracować, choć pomników piśmiennych niewiele do nas doszło? Niedawno wynaleziony przez p. Brücknera w Bibliotece petersburskiej fragment kazań t. nazw. „świętokrzyskich“ z XIV. wieku, może służyć jako nowy dowód naszego twierdzenia.

To, co autor pisze o przekładach na polski język Pisma św., wymaga sprostowania. Tak na str. 130 czytamy:

„Ważnymi z tych czasów, z powodu kłótni religijnych, pozostały wydawnictwa, jak Biblii Kalwińskiej (Brzeską zwanej), której właściwym sprawcą (*sic*) był Mikołaj Czarny Radziwiłł; dalej Biblii Aryańskiej, czyli Sacyniańskiej, zwanej ‚Biblią Nieświeżką‘ — albo ‚Budnego‘, a także liczne ‚Postylle‘... Naprzeciw tym wydawnictwom katolickim dopiero w 1561 r. ogłosili swój całkowity przekład Pisma św., którego zestawieniem i ostatecznem poprawieniem zajmował się Jan Leopolitańczyk (właściwie Leopolita Niez). Biblia ta nazywa się od krakowskiego wydawcy Szarfenbergerowską, albo powszechniej: Biblią Leopolitą“.

Czytelnik wyprowadzi ztąd naturalny wniosek, że obie Biblie: Brzeska i Budnego, wyszły z druku przed r. 1561, i jeśli jest katolikiem, zawstydzi się opieszałości swych współwyznawców. Tymczasem powodu do zawstyżenia niemasz tu wcale. Biblia bowiem Brzeska wydana w r. 1563, Budnego zaś — w 1570 (według Bartoszewicza nawet w r. 1573). Przekład kalwiński Seklucjana ukazał się wprawdzie już w r. 1551, ale zawierał tylko Nowy Testament, i ten nawet samym wyznawcom helweckiego Kościoła nie bardzo się podobał, kiedy pastor Wawrzyniec Krzyszkowski w kilka lat potem na wszelkie przekłady powstawać począł.

IV.

Fakt wprowadzenia chrystyanizmu do Polski, dał szan. autorowi powód do wygłoszenia kilku zdań, przeciwko którym musimy zaprotestować. Tak np. kilkakrotnie wspomina o tem, że „zaprowadzenie chrześcijaństwa musiało kosztować niejedną kałużę krwi“ (str. 29), na dowód czego służy mu powstanie na Mazowszu pod dowództwem Masława w XII. wieku, „opierające się na wstręcie do chrześcijaństwa, a przedsięwzięte w celu powrócenia do dawnych bogów, podczas którego lud burzył kościoły, zabijał księży, łupił i mordował“ (str. 30) — choć nieco dalej sam wyznaje, że przyczyny tego buntu były nie tylko religijne, ale społeczno-narodowe, jak: odebranie samorządu gminowładnego i wolności, oraz stosunek lenniczy do nienawistnych Niemców. Prawdopodobnie były jedne i drugie — które zaś i kiedy przeważały, osądzić nam dziś niepodobna; nie można jednak powstania Masława nazwać wojną religijną, jak niewłaściwie byłoby tem mianem

ochrzcić rewolucyi francuskiej z r. 1793 i komuny paryskiej r. 1870. choć jedna i druga dopuściły się tyłu świętokradztw, tyłu księży na śmierć skazały, i wyraźnie sztandar pogaństwa wywiesiły.

Pan Władysław Abraham, w świeżo wydanej monografii: „Organizacya Kościoła w Polsce do połowy XII. w.“, widzi powód, dla którego tak mało wiadomości o przyjęciu chrześcijaństwa w Polsce znajdujemy w źródłach historycznych, głównie w tem, że „dzieło to nie było dokonane ręką gwałtowną, że nie wzrastało wśród strumieni krwi, ani żadnych okrutnych przewrotów społecznych i politycznych“. „Wielki ten akt dziejowy — mówi on — odbył się wśród plemienia polskiego, powoli, na drodze stopniowo przygotowanej, przeważnie pokojowej. Już przed przyjęciem chrztu św. przez Miecysława, musiało chrześcijaństwo nie być w Polsce zjawiskiem obcym, nieznanem, kiedy po owem urzędowem ochrzczeniu narodu, siła odporna reszty ludności pogańskiej ani nie zadrgnęła — bo kronikarze niemieccy, znający dosyć dobrze ówczesne wewnętrzne stosunki Polski, nie zapisali ani jednego faktu większego oporu, którymi przepełnione są dzieje misyi u ludów połabskich, pruskich, pomorskich i skandynawskich“.

Dowolnem i nieuzasadnionem także wydaje się nam twierdzenie p. Brezy, że „chrystyanizm, a raczej obrządek łaciński, u nas jak na Zachodzie, zabił i stłumił rozwój języków rodzinnych ludów pierwotnych, zakuwszy ich w pęta łaciny“ (str. 85). Hipotezy tej dotąd żadne fakta nie potwierdziły. Daleko prościej byłoby przypuścić, że Słowianie przed przyjęciem chrystyanizmu nie wyrobili byli sobie jeszcze ani języka ani literatury; chrześcijaństwo zatem nie miało co łamać i niszczyć. Legendy, klechdy i podania ludowe przechowały się aż do naszych czasów — a jeśliśmy się nie zdobyli na Niebelungi, nie można tego kłaść na karb łaciny, która nie przenikając do głębi ducha ludu, polotu fantazyi jego twórczej tamować nie mogła.

W szkołach wprawdzie dawniej wyłącznie kształcono, a dziś przeważnie kształcą umysły na łacinie; to klasyczne jednak wykształcenie nie przeszkodziło pojawieniu się i rozwojowi ojczystej literatury. Przeciwnie, łacina w średnich wiekach, rzecz można, przygotowała grunt i wypiastrowała narodowe piśmiennictwo, a im później wzięła się do tej pracy, tem dłużej na rozkwit jego czekać było trzeba. Tem się też tłumaczy późniejsze przebudzenie literatury w Polsce, w porównaniu z Zachodem.

V.

Wogóle p. Breza jest zbyt prędkim w stawianiu hipotez i wyciąganiu wniosków, nie wypływających z przesłanek. Tak na stronie 20 czytamy:

„Prawdziwem jest również twierdzenie, że w Krakowie pierwiej stały świątynie Chrystusowe, aniżeli Mieczysław I. wiarę prawdziwą przyjął. A jeśli były, to i w nich pierwotny obrządek był wschodni czyli słowiański“; — nieco dalej zaś: „Słowianie nęgli niebawem przewadze łaciny, a kiedy w roku 965 Mieczysław, książę polski, chrzest przyjął, liturgia słowiańska w tych stronach Słowiańszczyzny już całkiem była zniesiona“.

Na poparcie tej teorii nie przytacza żadnych dowodów, oprócz bardzo słabego, że są „liczne świątynie Pańskie na zachodnich krańcach dzisiejszej Słowiańszczyzny, których porządek wedle wzoru wschodniego wcale dobrze się dochował“ (33). Szkoda, że z tych licznych pomników nie przytoczył nam autor ani jednego, i nie powołał się na powagę, która każe widzieć w nich wzór wschodni. Przypuściwszy jednak, że tak jest napewno, to zawsze pozostanie do rozwiązania kwestya, jaki w tych świątyniach panował obrządek. Szan. autor identyfikuje obrządek słowiański ze wschodnim; zdaje się nie wiedzieć, że pierwotny obrządek, zaprowadzony przez śś. Cyryla i Metodego, był to łaciński czyli zachodni, tylko w słowiańskiej szacie, i ślady onego pozostały podziśdzień w liturgii niektórych dyecezyj nad Adryatykiem; że później dopiero i grecka liturgia też na słowiański przełożoną została. Która z nich dostała się do Polski przed Mieczysławem i czy się dostała? kiedy znikła? Na te pytania historia jeszcze nie odpowiedziała. Są nawet badacze (jak p. Wł. Abraham), którzy po rozpatrzeniu krytycznem źródeł wiarogodnych, doszli do wniosku, że nigdzie nie posiadamy w Polsce śladu istnienia liturgii słowiańskiej i jej właściwości. Wielka szkoda, że p. Breza zapomniał o zasadzie przez samego siebie postawionej, „że sąd zależny od przypuszczeń czynionych dziewięć wieków wstecz, jest nader trudny i chwiejny“ — i na tejże samej stronie (35) bardzo stanowczo i doraźnie wyrokuje: „W każdym razie zaprzeczyć się nie da, że skutki łacińskiego obrządku były w pewnym kierunku widoczne, prawie doraźne, a stratę ziem słowiańskich od Łaby do Odry, później zaś jeszcze dalej, uważać należy jako bezpośredni skutek zwycięstwa jednego obrządku nad drugim“ (??).

Nie widzimy ścisłego logicznego związku między tymi dwoma faktami, i sam autor widocznie to czuje, kiedy dodaje niebawem: „Nie tu pora rozwodzić się nad tem szeroko, tem więcej, że sąd, choć najgruntowniejszy, opierać się tylko może na przypuszczeniach. Przytem nie łatwiejszego, jak być źle zrozumianym i wytłumaczonym odwrotnie jakby się chciało“. Rzeczywiście wyznajemy, że trudno nam zrozumieć, jak może najgruntowniejszy sąd opierać się na samych tylko przypuszczeniach; w ten sposób można wszystkiego dowieść, a krytykom żądającym dowodów odpowiedzieć, że nas opacznie pojęli. W tych warunkach dysputa niemożliwa. Nie chcemy jej dalej prowadzić — i przejdziemy do sądów szan. autora o Jezuitach i ich wpływie na rozwój piśmiennictwa w Polsce.

VI.

Pan Breza jest otwartym przeciwnikiem Jezuitów i obrzuca ich gradem najróżnorodniejszych i najcięższych zarzutów; zamiast jednak takowe jasno sformułować i poprzeć faktami, które wytrzymały zwycięsko próbę krytyki historycznej, powtarza głośno słownie powszechnie znane frazesy i ogólniki, które żadnej siły dowodów w sobie nie mają. Tak utrzymuje, że Jezuici „stali się ojcami odrodzenia ciemnego scholastycyzmu“ (?) (str. 138), że „system ich (jaki) był okuciem w kajdany wszelkiej samodzielnej myśli“ (139), choć sam gdzieindziej przyznaje, że wolność rozumowania była stanowczo za wielką w XVI. wieku i małe z niej korzyści wynikły dla Rzeczypospolitej; że „poza Jezuitami nikt w Polsce słuszności, nauki i rozumu posiadać nie miał“ (139), (jakby ktokolwiek miał moc to zrobić). Zarzuca dalej Jezuitom jako zbrodnię, że „starali się przedewszystkiem tam osiedlać, gdzie już dawniej były inne zakłady naukowe (jakie?), a więc przed innemi w Krakowie, w Wilnie, Poznaniu, Kaliszu, Lwowie, Dorpacie, Rydze, Nieświeżu, Warszawie, Gdańsku“; że „zasady, jakie zaszczeplali, stały się dalszem źródłem zacofania umysłów i błędnego rozumienia prawdziwej nauki (?), wracając ją ku odwiecznym zasadom scholastycyzmu i jego umysłowych łamigłówek“; że „szczepili fałszywą pobożność, zważając przeważnie na objawy zewnętrzne, hałaśliwe wykonywania nabożeństwa“ (?) i t. d.; że „ich też winą było zbyt szerokie rozprzestrzenienie (*sic!*) zakonnictwa w Polsce“; że „tamowali prawdziwą oświatę“ (290); że „zaszczeplali religijną niepobłażliwość, popartą zaprowadzeniem władzy cenzury“; że nakoniec „skazać potrafili język (chyba ani Skarga, ani Wujek!), da-

wali do czytania w szkołach tylko tych pisarzy łacińskich, których za dobrych uznawali" ... (291).

Dopóki p. Breza nie wytłumaczy nam, co rozumie pod ciemnym scholastyceizmem, na czym polegał system jezuicki okuwania myśli w kajdany, gdzie powinna być granica wolności rozumowania, jaka jest nauka prawdziwa, którą jakoby kazili i fałszowali w szkołach — nie możemy nawet próbować stanąć w obronie tak sponiewieranego zakonu. Z frazeologią walczyć niepodobna. Jedynymi faktycznymi zarzutami są: osiedlanie się Jezuitów po większych miastach oraz cenzura książek i podręczników szkolnych. O ile słuszne — niech czytelnicy osądzą:

Jezuici pojawili się w Polsce nie z własnej inicjatywy, ale byli sprowadzeni przez kardynała Hozyusza do Brunsbergi dla zaradzenia brakowi kapłanów w diecezji warmińskiej. Za jego przykładem poszli inni biskupi: Noskowski osadził ich w Pułtusk, Protaszewicz w Wilnie, Konarski w Poznaniu, Karnkowski w Kaliszu. Król Stefan Batory oddał w ich ręce Akademię wileńską i kolegium połockie. Musieli więc osiadać tam, dokąd ich wzywano, przyjmować to, co im dawali fundatorowie; a że z czasem, wzrastając w liczbę i siłę, posunęli się aż do Rygi i Dorpatu, i już na własną rękę domy i szkoły zakładali — w imię czego można im to za złe poczytać? Azali tego nie robiły i nie robią wszystkie instytucje na świecie? Zakon Jezuitów rozszerzył się wprawdzie prędzej od innych zakonów, pomimo walki z konserwatyzmem Akademii krakowskiej, i rzeczywiście zagarnął w swoje ręce niemal całe wychowanie młodzieży — ale cóż za wniosek ztąd wyprowadzić można, jeśli nie ten, że ich system szkolny, ich zasady nie musiały być tak zgubne, kiedy tylu i tak rychło znalazły zwolenników. Mając za jedno z głównych zadań kształcenie młodzieży, musieli osiadać z konieczności po większych miastach, a jeżeli znajdowali tam inne zakony, narażali się przez to na konkurencję, i nie można im czynić zarzutu, jakoby dążyli do zmonopolizowania zasobów kraju w swoim ręku.

System szkolny Jezuitów bądźco bądź musiał być lepszym od akademij i współczesnych im instytucyj, kiedy ich szkoły kwitły i nikt z nimi przez półtora wieku współzawodniczyć nie był w stanie. Młodzież, ucząca się łaciny z Alwara, posiadała ją znakomicie, choć nim straszono i przeklinano go. Dziś uczą się z innych, przyznajemy chętnie, lepszych podręczników, ale w rezultacie się okazuje, że łacinę daleko gorzej znają, a podręczniki niemniej niż Alwara przeklinają. Widocznie, lepsi dawniej musieli być nauczyciele. Czas byłoby zo-

stawić Alwara w spokoju, a ludzi i wypadki sądzić względnie do ich epoki.

Dziwnym jest też zarzut szan. autora, że Jezuici robili wybór między książkami, jakich w szkole używać miano. Najbardziej elementarna pedagogia i dzisiaj w tem słuszność im przyzna.

Wprost komicznym jest p. Breza, gdy wysypawszy na Jezuitów całą torbę oskarżeń gołosłownych, tonem nieomylnego sędziego wyrokuje: „Wszystko to i wiele innych rzeczy (*sic!*) jest niezawodnie prawdą“ (str. 289). Wobec takiego złamania *a priori* laski sądu nad Towarzystwem Jezusowem, ustać muszą wszelkie argumenta.

VII.

Pozostaje nam jeszcze słów kilka powiedzieć o stylu omawianego przez nas podręcznika. Jest on nie tylko niepopularnym, ale bardzo zaniedbanym i często wprost do zrozumienia trudnym. Uważny czytelnik, już z przytoczonych wyżej urywków mógł poznać, że p. Breza nie ma daru jasnego formułowania myśli swoich. Oto jeszcze kilka próbek, wyjętych na los szczęścia:

„Skarga mówił nieraz królowi prawdę gorzką w oczy, a była ona tak wielką, tak przekonywującą, i stworzył ją (*sic!*) umysł, który potęgą swoją tak silnie działał, że król o prawdę gniewać się nie śmiał“ (str. 154).

„Nie zostało po nim (Skardze) ani jednego słowa, któreby nie świadczyło o gorącym sercu, wzniosłem dla pożytku ogółu dążeniu, myśli głębokiej a natchnionej, rozwadze mądrej, bezwzględny przekonaniu i wierze w to co głosił, a nadewszystko o tej wyższości sądu, górującej ponad całym społecznym krótkowidztwem, jakie niebawem w całkowite zwyrodnienie, a z odurzenia w stan zupełnego snu umysłów przeszło, który upadkiem, przepowiedzianym przez Skargę, skończyć się musiał“ (155).

„Błędne wyobrażenia zakrzewiły się tak głęboko w umysłach, ociemniałych prawdziwym pojęciem (?) tego, co jest wolność, rządność, następnie zaś i prawość, rozum, a na koniec piękno“... (391).

„Leszczyński nie mógł być zdania, że prawa korony i prawa, dające przewagę mniejszości, a nawet pojedynczym uroszczeniom i wicchrzycielstwu, ostać się mogą w Polsce, bez podkopania istnienia politycznego“ (396).

„Francya stała naówczas w rozkwicie swojej potęgi, a naśladownictwo jej stało się bądź modą, bądź potrzebą dla wyjąłowanego po

większej części, nietylko u nas gruntu na polu natchnień i działalności pisarskich“ (399).

„Ze względu, że piśmiennictwo polskie w tem właśnie skarleniu dawnego renesansu, następnie w bezładnej mieszaninie pojęć ze scholastykiem ożenionego, zagrzęzło najgłębiej, leży powód, że uwolnienie się zpod tego wpływu przyszło najpóźniej i najtrudniej“ (400).

„Społeczeństwo też samo zaczyna się przejmować pojęciami, nie tylko w kierunku społeczno-towarzyskiego postępu, rozszerzenia widnokągu swej wiedzy, a z nim świeżych poglądów i dążeń umysłowych, ale nadto w dziedzinie piękna i smaku, a nawet sztuki“ (402).

„Ilekoć mowa będzie w tym okresie o wskrzeszeniu naukowości, szkolnictwa i odświeżeniu źródeł prawdziwej oświaty, tyle razy nazwisko Konarskiego na pierwszym będzie miejscu“ (403).

„Praca jego (Konarskiego) nosiła pozory, że chce druzgotać nawet to, co było dobrem w tradycyi, a co pomimo wszystkiego służyć mogło za podstawę do przeprowadzenia ogólnej myśli (?), jak np. szczerą religijność i czyste przeważnie — choć wszędzie są wyjątki — obyczaje, jakie pomimo wszystkiego zachowały się u ogółu szlachty“ (405).

„Kierunkowi temu (francuskiemu) pomaga wstąpienie na tron Burbonów (1701), którzy niebawem, nawzór Akademii paryskiej, zakładają (1714) podobną w Madrycie. Oczywiście zakład ten staje się niebawem ogniskiem środkowym w Hiszpanii, dla wpływu francuskiego w różnorodnych kierunkach. W tym samym już duchu występuje niebawem w szranki na polu krytycznem (!) sekretarz poselstwa hiszpańskiego De Luzan (1754). Inni, jak Yriarte, Camaniego usiłują w ślad za tem niszczyć ostatnie przebliski narodowego natchnienia“ (533).

„Voss, Bürger i wielu innych, stojących na przełomie pomiędzy okresem przygotowawczym a późniejszym istotnym rozwojem, w którym zapomocą rzeczywistej twórczości poetyckiej dokonano tego, do czego nie wystarczała dążność szlachetna bez wątpienia, ale nadto wyrozumowana, z zastanowienia pochodząca tylko, choć do niej istotnego polotu zabrakło“ (!!).

*

*

*

Na tem kończymy nasze uwagi o podręczniku p. Brezy, wyrażając nieśmiało życzenie, aby i on sam przy opracowaniu ostatniego, niedrukowanego jeszcze okresu literatury, i reszta współpracowników popularnego wydawnictwa, zechcieli wziąć słowa nasze pod rozwagę.

Ks. Witold Czeczott.

Z zakresu powieści.

Ciche tragedye. Przez *Józefa Rogosza*. — **Z miasta i ze wsi**, obrazki z życia. Przez *Alberta Wilczyńskiego*.

Zbiory nowel, szkiców, obrazków życia, zapełniają półki księgarskie, a rzadko między nimi zaplącze się powieść większa, a jeszcze rzadziej powieść dobra. Przed laty, gdy jeszcze mówiono o ideałach, umiano powieść pisać, chciano ją czytać; dziś, gdy życie nasze posiekało ideały na drobne tendencye, na zabiegi codzienne — brakło i materiału do powieści z dni dzisiejszych i silnej dłoni do spojenia w jeden obraz zjawisk dzisiejszego życia i chęci do brania w rękę książki, która na tytule ma napis, że jest w kilku tomach.

Było nam źle w życiu, polityczna niedola gniotła, więc uciekało się od przykrego „dziś“, w lepsze, a przynajmniej miłsze „wczoraj“, i szły w literaturę powieść za powieścią, czerpane z historii. Dziś nowy tytan powieści, Sienkiewicz, dał nam „Ogniem i mieczem“, „Piotr i Włodyjowski“ — zachwycił, a co najmniej zainteresował ogół; ale te trzy powieści jego sterczą jak wspaniałe pomniki na... stepie, bo koło Sienkiewicza pusto, nikt historycznej powieści nie pisze i niema nawet w czytających pragnienia, by koło tych kolosów fantazyi, intuicyi i ekspresyi, ugrupowały się bodaj mniejsze posągi.

I niedziw! Historia była dawniej dla nas dźwignią moralną, świętością, okalał ją nimbus poezyi, kochaliśmy ją sercem dziecka. Dziś ją anatomizujemy, stała się dla nas nauką, kodeksem, kochamy ją amatorstwem badacza. Otóż nie obrazów z niej pożądamy, ale faktów, nie poezyi, ale kroniki.

Spółczeństwo miało wiele do uczynienia. Trzeba było usuwać z życia gruzy dawnych przesądów, potłuczone przez ducha czasu formy ustroju społecznego. Dążono do dźwigania ludu, do usamowolnienia, więc idealizowano sobie stosunki, które zrodzić się kiedyś mają na oczyszczonym, uprzątnionym gruncie społecznym. Kraszewski odziewał ideały owego życia, do którego zmierzano, w postaci ludzkie, jakich nie było, ale jakich pożądan, wyczekiwano. I liczny zastęp szermierzy

pióra szedł za hetmanem powieści. Kierunek idealistyczny był potrzebą chwili, zadowalniał, ożywiał.

Przeszumiała burza 1848 r., wiele się spełniło z tego, czego oczekiwano, ale w ziemiach pod zaborem rosyjskim pozostało wszystko po dawnemu. Jak Syrokomla „wstydił się herbowej pieczęci“ na widok tych, co opornie zdążali ku usamowolnieniu włościan, tak i Kraszewski w królestwie powieści i sam wywoływał hasła do pracy nad nowym ustrojem społecznym, i mniejszych od siebie do tego pobudzał. Więc miała powieść materyał z życia, a tym materyałem: proces społecznego przeradzania się.

Rok 1863 dokonał zrównania; ale że kierowała tem dłoń moskiewska, twarda, ciężka, brutalna, więc nastąpiło nie zrównanie, ale niwelacya, nie podniesienie niższych ku wyższym, ale stłoczenie wszystkiego pod jarzmo i pod stopy. Nie można już myśleć, bo się ból czuje za wielki; tworzyć ideałów na własnym gruncie nie można, bo z ciemnicy więzienia nie widać świata. Natomiast dotarły nowe prądy z Zachodu: pozytywizm, za nim w ślad realizm. Realizm szuka tego, co jest; podpatruje życie, chwyta je żywe, w pełni nawet fizjologicznego działania, i z tego materyału tworzy powieść.

Jakie to życie, taka i powieść. Żyjemy z dnia na dzień, epizodycznie, wraz z całą Europą. Taką jest polityka, takim parlamentaryzm, takimi prace i usiłowania cywilizacyjne, dziejowe. Od doby do doby, z godziny na godzinę, jak na popasie, bez planu, często bez konsekwencji, a zawsze bez spokoju — oto życie ostatnich dziesiątków lat tego stulecia, które w powiciu olbrzymem się wydawało, gdy nad jego kołyską stał Napoleon I.

Socjalizm wylania się, coraz śmielej głowę podnosi, ale z doktryny nie wyrósł jeszcze w ideę, bo karmi się nie miłością, ale nienawiścią, bo jest jeszcze destrukcyjnym, a nie konstrukcyjnym, bo jeszcze Boga w nim niema — a czy kiedy Bóg w nim zamieszka?... Może więc zrodzić rewolucję, ale nie ideę. Czy kiedyś miłość chrześcijańska, myśl Chrystusowa, braterstwo katakumbowe, nauka Kościoła, zapanują nad nim — to rzecz przyszłości. Tymczasem bagnet strzeże ustroju społecznego od inwazyi socjalizmu, a dzisiejsze stosunki europejskie chwiejne, nijakie, bojaźliwe, nie nadają się ani do tego nawet, by socjalizmowi śmiało zajrzeć w oczy, i albo go zdławić, albo uszlachetnić.

Otóż i tu nawet nie sięgamy ręką po ideały, bo ich tam niema, skoro niema jeszcze idei, tylko żądza.

Powieść nie ma dla siebie materyału; natomiast te epizody życia, te drobne, codzienne ruchy i odruchy natury ludzkiej, dostarczają obfitość przedmiotu do nowel, i nowela dziś w beletrystyce panuje.

Uwagi te nasunąć się muszą, gdy się pilnie śledzi ruch beletrystyczny, gdy się czyta powieść za powieścią.

Jednym z najpilniejszych, z najobfitszych powieściopisarzy, jest Józef Rogosz. Kusząc się o to, by z życia bieżącego dobyć materyał do większego obrazu, napisał „Ciche tragedye“. Powieść to dziwna. Jest tam i najpiękniejsza myśl i najdziwaczniejsza karykatura. Panna najzaczniejsza, znakomitego rodu, wychodzi zamąż za syna ekonoma i zostaje najnieszczęśliwszą. Nieszczęście jej przechodzi miarę ciosów, jakie kobieta znieść zdolna, więc też tem wspanialej, prawdziwie posagowo, jak postać Nioby, wyrasta owa nieszczęśliwa w powieści. Złał na nią autor wszelkie blaski ideału od chwili, gdy została żoną, a owego ekonomskiego syna, p. Świerczykowskiego, umieścił w galerii najpotworniejszych kreacyj beletrystycznych.

Jeżeli teżą autora było wykazać całe piekło cierpienia, na jakie narażona kobieta w stadle niedobranem, to byłoby mu się udało najzupełniej tezę rozwinąć i udowodnić bez uciekania się do tendencyjnego szukania łotrów pośród ekonomskich synów. Dlaczegoż nikczemnik musiał być synem oficyalisty? Jest tu na to cokolwiek odpowiedzi. Oto pragnął mieć autor umotywowane źródło zepsucia owego Świerczykowskiego. Złym stał się bohater powieści przez to, że jako dziecko oficyalisty, obcował, bawił się i uczył z synami bogatego pana, a to rozbudziło w nim próżność, chęć błyszczenia, żądzę zatarcia swego pochodzenia. Ależ i tutaj znówu tendencya, bo jakby przestroga dla bogatych, aby nie pozwalali maluczkiemu zbliżać się ku sobie. Dla uwydatnienia tendencyi użył autor gwałtownych środków. Postacie narysowane dobrze, ale malowane tak jaskrawo, że tuż, tuż graniczą z monstrualnością, jak oto ów były adwokat Brzytwicki, który aż do wstępu szkaradny. A owa Corinna, to jakby jakiś cień Balladyny, a jak każdy cień, potworniejsza od oryginału. Jestto księżniczka rumuńska, co wyszła za najzaczniejszego szlachcica polskiego, a on o swej żonie musiał powiedzieć: „Nagroda za moją lekkomyślność, że zamiast wybrać wśród nas samych jaką pocziwą dziewczynę, olśniony piękną twarzą, wpuściłem do mego domu płomień niszczący a zdradziecki, który wszystko, com miał i kochał, pochłonął“.

Nie myślę proponować małżeństw z cudzoziemkami, ale też nie

mogę się zgodzić, aby żona przez to była „płomieniem niszczącym“, że jest cudzoziemką. Może też autor chciał powiedzieć sercu, aby nie ograniczało się na szukaniu piękności u żony, ale przedewszystkiem dopatrywało się duszy, charakteru — a powiedzieć też to samo i kobiecie? Zapewne, bo i Aniela, tylko pięknością Świerczykowskiego uniesiona, oddała mu swoje serce.

Myśl dobra, teza etyczna, ale opracowanie już przeszło w tendencję, skoro mezalians charakterów wynikł nie z charakterów samych, jeno z pochodzenia społecznego i narodowego.

Tu i ówdzie zbyt śmiało zbywa autor szczegóły akcji, albo się tak z nimi obchodzi, że powstaje rzecz wprawdzie możliwa, ale nieprawdopodobna. Przedewszystkiem razi niejasnością, nieprawdopodobieństwem, szczegół zawarcia znajomości między Anielą i Świerczykowskim. Poznali się gdzieś w ogrodzie, ale jak, kiedy? — gdzie anteceden-cye tak ważnego kroku, jak owa przysięga zakochanych w kościele, tego wszystkiego nie wiemy. Nie możemy pojąć, jak mogła panna tak wychowana, jak Aniela, tak zacna, tak skromna, zawiązać jakąś ogrodową, tajemną znajomość, i jak z tego mogła wyrósć u Anieli miłość pełna ofiary, poświęcenia. Autor ani na chwilę nie postawił tych dwojga ludzi koło siebie, nie rozmawiali z sobą, nie było czasu na rozwinięcie się całego procesu miłości, bo autorowi nie chodziło o to wszystko, jeno, by jak najprędzej skojarzyć to niedobrane stadło i rozwinąć straszną tragedję mezaliansu.

Może najbardziej prawdziwą, ludzką, nie podniesioną ani do słonecznych blasków ideału, ani nie oczernioną żuźłami przedsiönka piekielnego, jest hrabina Szumińska. Postać pełna miary i w świetle i w cieniu.

Teza się znalazła, myśli etycznej nie brakło autorowi, ale brakło mu modeli, a ztąd figury dość fantastyczne; brakło mu miary dla fantazy i światła dla kompozycyi, a ztąd monstrualność i w kształtach i w oświetleniu. Czy i o to obwiniać ducha czasu? Po części. Wszak nietylko twórcy powieści objawiają te wady. A filozofia, krzycząca: *ausrotten!* nie jestże jakąś monstrualnością etyki i historyzofii? A czemże nihilizm, ateizm? Jakże nazwać liberalizm, będący negacją wolności Kościoła, negacją indywidualizmów narodowych? — on, co powinien być właśnie, jakoby esencją wolności, piastunem i strażnikiem tych najświętszych człowiekowi pierwiastków, o których swobodny rozwój tyle krwi się wylało. Czemże są armie dzisiejsze? Wszakże i one stały się monstrualnością, zamieniając całe narody w żołnierzy.

A czyż sztuka plastyczna nie zaczyna wyrastać w karykaturę, schodząc z piedestału arcyzmu na poziom fotografii, dokonywanej maszyną? A muzyka, zaprzęzona w służbę operetki? Karykatura lub menustrum — oto coraz gęściej wyrastające kwiaty cywilizacyi, dumnej z tego, że obywa się bez wiary, bez Boga i bez ideałów.

Nowele, obrazki z życia, udają się lepiej, nawet dobrze, niekiedy znakomicie. Nie trzeba do tego zakładać sztalugi, rozpinać wielkiego płótna, na którem nie wiedzieć co malować, ale idzie się z aparatem fotograficznym kieszonkowym, upatruje scenę, pociska sprężynę — i rzecz odbita. Trochę retuszu, trochę arabesek na kartonie, i rzecz gotowa.

Dzięki Bogu i za to; uznanie tym, co znakomicie takie obrazki wykonywują. Jużci nikt nie zaprzeczy, że Albert Wilczyński jest mistrzem na tem polu.

Jakże on wybornie umie patrzeć na ludzi i na pojawy życia! A opowiada z prostotą, swobodnie, jakby w kółku znajomych. W tem wdzięk formy, nie kuszącej się o artystyczną ornamentykę. Jego „Z miasta i ze wsi, obrazki z życia“, czynią wrażenie podobne do tego, jakiego doznajemy na widok kwiecica polnego, rozsyanego na łące. Bez retoryki, bez ornamentacyi, powabny siłą prostoty i prawdy. Jakaż to wyborna ta historia suplenta gimnazyalnego, i mamy kaptującej kandydatów na zięcia. Miara we wszystkim: w pomyśle, w technicznem obrobieniu. Jeszcze krok, a byłaby karykatura. Właśnie tu się zatrzymać, nad samą granicą, osadzić w miejscu zapęd humoru, dowodzi dzielnego szermierza myśli i pióra.

„Żywy zastaw“ zakrawa już na romantyczną przygodę. To już nie obraz, ale fenomen życia. Ba! ale piękny, bardzo piękny.

Gdy się czyta „Pana Jana“ i „Wójta szlacheckiego“, bierze ochota zarzucić autorowi, że szarżuje. Figury dobre, prawdziwe, istotne, wyrwane z życia, ale sytuacje tu i ówdzie czy nie naciągnięte? Jak np. owa scena nad stawem Pelczyńskim, z ową kłodą drzewa, wędrówki nocne pani Janowej, scena przybycia Ildefonsa Knyhiewicza do nowo nabytego majątku, a nawet i cała postać Ildefonsa wygląda na szarżę, podobną do owego fryzycerzyka w komedyjce Lubowskiego: „Kiedyż obiad?“

Ale poza tymi pytańnikami jest humor, swoboda; wszystko to choćby dlatego już uwagi godne, że niema tu trucizny pesymistycznej, obrzydlowości naturalizmu, brutalności tendencyjnej, co wszystko razem wzięwszy, tak często się wciska do nowelistyki.

Czesław Pieniążek.

Polskie pieśni Kościoła katolickiego, od najdawniejszych czasów do końca XVI. stulecia. Zebrał *ks. Józef Surzyński*. Poznań. Jarosław Leitgeber. 1891.

Niez mordowany ks. Surzyński nie przestaje dwustronnymi zabiegami naprawiać współczesną muzykę kościelną, zawracając ją na ściśle kościelne szlaki, to skwapliwie odszukiwać, co nam własna przeszłość nasza zostawiła pieśnianej spuścizny. Wiadomo, jak cennego plonu dokoopał się już wydawca Monumentów polskiej muzyki kościelnej, ile zebrał historycznych wiadomości, ile cennych pomników i nazwisk zapomnianych, zaniedbanych mistrzów. Obecnie przynosi nam nową, a nader cenną i ciekawą pracę, gromadząc w obszerniejszej księdze polskie pieśni Kościoła katolickiego, od najdawniejszych czasów do końca XVI. stulecia, i przydając do tekstu kilkadziesiąt starych melodij, stwierdzających rzeknie tożsamość nastroju modlitewnych pieśni, które podziśdzień brzmią nutą, niegdyś przez ojców naszych śpiewaną. Wystarczy tu wspomnieć pieśń: „O Gospodzie uwielbiona“, dalej lament wielkopostny: „Rozmyślajmy dziś“, i inne.

Na początku słowo krytyki. Niepodobna odżalować, iż ks. Surzyński w układzie tak szacownej książki, trzymał się roku kościelnego, zamiast iść porządkiem chronologicznym. Wszakże to nie jest podręcznik ani śpiewnik dla organistów, lecz raczej inwentarz historyczny naszej hymnologii, i ztąd daleko lepiej dałby się ogarnąć rozwój pieśni pobożnej, pieśni polskiej, gdyby się datami posuwał i ku nam przybliżał. Mimo tego jednego zastrzeżenia, musimy uznawać całą skrzętność szanownego wydawcy i oceniać zarazem ogrom pracy, która żadnego nie pominęła źródła, badając na wsze strony początki pieśni naszej i uzupełniając ten zbiór mnóstwem pobocznych a ciekawych wiadomości, których ks. Surzyński nie poskąpił z własnych dostatków. Nie pominął on i źródeł protestanckich, ilekroć miał pewność, że pieśń, w nich zawarta, była katolicką. Wśród zaczerpniętych z Artomiusza, Seklucyana i Walentego z Brzozowa śpiewów, uderza niejedna zwrotka pełna nabożeństwa do Najświętszej Panny, co było charakterystyczną cechą polskich dysydentów i może zadatkiem ich szybkiego powrotu na łono katolickiej jedności. Zrywając z katolicyzmem, nie mogli się jednak rozstać z tkliwem do Najświętszej Panny nabożeństwem. W starych kalwińskich książkach do nabożeństwa, polskiego wydania, znaleźć można litanię loretańską, tak jak na ustach wielkopolskich dyzunitów nierzadko się imię Maryi dotąd znajduje, zwłaszcza w godzinę śmierci, co przykładem udowodniłoby się dało. Jedno jeszcze nas uderza

w zbiorze starych pieśni kościelnych, zebranych przez ks. Surzyńskiego. Któryż naród, na podobieństwo naszego, sławi Boga głosem swych najpierwszych poetów? Chyba jedyny to przykład pobożnego nastroju lutni wieszczów i upowszechnienia ich pieśni w Kościele. Wśród onych pieśni, sięgających wstecz poza wiek XVI., znaczna część jest układu Jana Kochanowskiego, i to nie samych psalmów, lecz i pieśni wspańiałych, jak ów niezrównany hymn wdzięczności: „Czego chcesz po nas, Panie, za Twe hojne dary?“ Później Karpiński wniesie cały szereg swych utworów pod stropy wiejskich świątyń, a tymczasem już i Sęp Szarzyński tu z jedną występuje pieśnią, a ks. Stanisław Grochowski, współzawodnik Kochanowskiego i Reja, mistrz niezrównany w ścisłym oddawaniu łacińskiego tekstu — jak mówi p. Windakiewicz w wybornej monografii, ogłoszonej świeżo w najnowszym „Roczniku poznających przyjaciół nauk“ — dostarcza tu najwięcej przekładów hymnów i sekwencyj liturgicznych.

Autor, a raczej wydawca niniejszego zbioru, wskazuje na wstępie, iż śpiew łaciński jest poniekąd zawiązką jedności katolickiej. Wśród ludów romańskich nie było mowy o innym, i nigdy też śpiew ludowy u nich się nie rozwinął. Dopiero u innych narodów wezbrane uczucie religijne zaczęło wybuchać w potocznej mowie. Zrazu udział ludu w pniach pobożnych ograniczał się na powtarzaniu i okrzyku *Kyrie eleison*, choćby do trzystu razy, i to przy pogrzebach, pielgrzymkach, intronizacyach, a także na polu bitwy. Ztąd najdawniejsze pieśni niemieckie zwano: *Leisen*, a najstarsze i u nas śpiewy miewają zakończenie *Kyrie-elejsonowe*. Na rozwój pieśni pobożnej w Polsce najwięcej wpłynęły źródła czeskie; pobratymstwo to, przez czas długi rozzerwane, dziś nanowo budzić się zdaje odnowieniem przerwanych stosunków. Wpływ to naturalny. zważywszy, iż ztamtąd do nas zaświtała wiara. Skutkiem nieszczęśliwego podziału książki, gdzieś w środku jej szukać nam przychodzi pieśni św. Wojciecha, w przeróżnych wariantach i tekstach, z objaśnieniami Skargi i Birkowskiego. Słusznie się tak szerokie miejsce należało pieśni, od Długosza nazwanej: *patrium carmen*; a ks. Stanisław Grochowski o hymnie tym rycerskim powiedział, że wraz „z pacierzem i credo“ stanowi on walną „tablicę“ wiary Polaków, podczas gdy resztę „pleban powiada u fary“. Dzisiejsi krytycy, lubujący się w obalaniu tradycji, podali w wątpliwość autorstwo św. Wojciecha, Statutem Łaskiego wspomniane i mnóstwem poematów z XVI. wieku stwierdzone. Tu ks. Surzyński nie tylko własne wypowiada przekonanie, lecz i przytacza poważne zdanie czeskiego

uczonego, który nie wątpi o autorstwie św. Wojciecha i popiera takowe ścisłymi wywodami i argumentami. Ks. Surzyński ubolewa, iż badacze „Bogarodzicy“, zaprzatając się wyłącznie tekstem, zbyt mało dotąd na melodyę zwracali uwagi — a gdy się jej tknęli, jak to uczynił dr. Kalina, zupełnie nieumiejętnych i nieuzasadnionych dopuszczali się krytyk. Znawca muzyki kościelnej i jej praw niewzruszonych, unosi się tutaj kompetentnie nad doskonałą budową architektoniczną obu melodyj Wojciechowej pieśni, co dowodzi, iż ich autor znał wybornie prawdłła ówczesnej kompozycji. „Najlepsze bowiem sekwencye średniowieczne w taki sam sposób są ułożone, tj. celem uniknięcia nużącej jednostajności, układano kilka melodyj do jednej i tej samej pieśni, które kolejno następowały; charakter tych melodyj się różnił, chodziło bowiem ich autorom o nadobną rozmaiłość; jedna zwykle bywała jędrniejsza, druga posępniejsza; chcąc zaś zachować jedność w rozmaiłości, powtarzali wybitne motywy jednej melodyi w drugiej“. Układ muzyczny „Bogarodzicy“, zdaniem ks. Surzyńskiego, przemawia za wielką jej starożytnością i pozwala do wieku X. zaliczyć. Nie myliliśmy się, upatrując w pieśni wielkanocnej: „Przez Twoje święte zmartwychwstanie“, młodszą siostrzycę pieśni Wojciechowej. Sięga ona prawdopodobnie Łokietkowych czasów. Starodawna melodia pieśni: „Chrystus zmartwychwstan jest!“ od której podziśdzień rezurekcyja w Polsce się rozpoczyna, podobnież głębokiej sięga starożytności.

Nie skończylibyśmy prędko, chcąc czerpać w tej skarbnicy najstarszych monumentów mowy naszej i pobożności naszych przodków, ale głęboko nas porusza mnogość pieśni, których tekst, przechowawszy się do naszych czasów, pozwala nam chwalić Boga temi samemi słowy, jakimi Go ojcowie nasi przed pięcioma chwalili wiekami. Zwłaszcza wśród pieśni postnych widoczne jest to ustalenie, przekazujące nam w niezmienionym kształcie modlitwy przodków. Nie brak i pełnych wdzięku pieśni na cześć Najświętszej Panny, najczulszemi wzywanej słowy. Do najdawniejszych zaliczyć wypada adwentową pieśń, pełną poezyi: „Zdrowaś bądź Marya niebieska lilija“, lub tę prześliczną zwrotkę, której niedawno słuchaliśmy codziennie w wiejskim kościółku Królestwa Polskiego, gdzie ją śpiewano na nutę niezrównanie piękną i rzewną, podczas błogosławieństwa Najśw. Sakramentem:

O Marya, cna Dziewica,
Porodziłaś królewica,
Niebieskiego dziedzica;
Porodziłaś bez boleści,
Zbaw nas smutku i żalości...

Zpośród źródeł, które głównie dostarczyły materiału pieśniowego ks. Surzyńskiemu, na osobną wzmiankę zasługuje ulubiona ojców naszych książka do nabożeństwa: „Harfa Duchowna“, ojca Marcina Laterny z Towarzystwa Jezusowego. Nowe wydanie krakowskie upowszechniło znów wśród nas ów cenny podręcznik pobożności dawnych Polaków. Kopalnia to niewyczerpana najdawniejszych pieśni kościelnych, a autor czerpie je z wydania noszącego datę 1588 r. Ojciec Laterna, przez Szwedów umęczony i utopiony, tak przedziwny ułożył był zbiór modlitw, iż kacerze szczególną nienawiścią tę księgę wyróżniali i ścigali.

Niepodobna nam rozszerzać naszego sprawozdania nad miarę krótkiej o nowej pracy ks. Surzyńskiego wieści. Liczyć się będą z tą książką wszyscy miłośnicy zabytków wiary i mowy przodków, wszyscy badacze pomników ducha i duszy dawnej Polski, oceniając jak przynależy trudy wydawcy i zbieracza rozproszonych i nieraz niepamięcią przysutych monumentów poezyi i muzyki kościelnej w kraju naszym.

M.

Pamiętniki Józefa Drzewieckiego (1772—1852). Wydane nanowo przez *ks. d-ra Stefana Pawlickiego*. Kraków. Gebethner. 1891.

Nie obfitą naszą pamiętnikową spuściznę wzbogaca dziś wznowione wydanie zapisków i listów towarzysza Kościuszki, przyjaciela Kniaziewicza, współpracownika Czackiego. Sędziwy legionista, zaskoczony usilnemi prośbami młodego wówczas Kraszewskiego, jał snuć pamiętki przedłużonego nad zwykłą miarę żywota. Zaledwie jednak objął onego część trzecią, młodości bujnej i bitnej, która go na różne pola walki wiodła za drugimi. Z lat dziecinnych zostało kilka rysów ciekawych lub zabawnych. Do rzędu tych ostatnich warto zaliczyć charakterystykę dziewierza, Nowowiejskiego, starosty braclawskiego, który acz drugą pojął był żonę, tak ścisłą i dozgonną po pierwszej nosił żalobę, iż jeździł karyolą całunem pokrytą, rajtarów i laufra w czarną ubierał liberyę, a nawet chomątą trupiemi głowami nasadzał. Przyjaciele domu, ojcowie Jezuici, wszczepili w Drzewieckiego karną i korną wiarę, która mu do grobu osładzała próby życia nadzieją wieczności. I ojciec Marek nad jego się kolebką pochylał, i wyryl się w dziecięcej pamięci, raczej jako kapłan świątobliwy, aniżeli prorok natchniony. „Stare jego habity przerabiano na sukienki dla dzieci, ja sam nawet w takim ubiorze pierwsze spędziłem lata. Dzielił on nasze pomieszkание, przewoźniczył modlitwie, lecz nic w tem nadzwyczajnego nie było. Przycho-

dzono do niego po uzdrowienie; on się modlił z proszącymi i w modlitwie dla nich upatrywał ocalenie. Widziałem młode, podobno niesforne małżeństwo, skarżące się, że nie miało dzieci. Był on po obiedzie, przy skromnym kieliszku wina, który w rękę trzymał. Dał im obojgu napić się z niego, mówiąc: pijcie z jednego naczynia, łamcie jeden kawał chleba, miejcie oboje jedne stosunki, oboje pilnujcie domu, razem błagając Boga, a on was i dziećmi obdarzy. W tym rodzaju były wszystkie odpowiedzi, które przychodzącym dawał". Po konfederacji barskiej, następuje powstanie Kościuszkowskie, w którym Drzewiecki uczestniczy. Opis Maciejowickiej klęski wraża się w pamięć grozą prostoty słów naocznego świadka, który, gdy naczelnika w kraju nie stało, pospieszył za granicę na odgłos napoleońskich tryumfów, zapowiadających jakoby nową erę sprawiedliwości i swobody. Drzewiecki wraz z Kniaziewiczem przystąpił do formujących się pod wodzą Dąbrowskiego legionów. Trzy lata w nich pozostał, w złudnem mniemaniu, iż wybije godzina, w której one „z ziemi włoskiej do polskiej“ pospieszą. A tymczasem zaborczy duch Napoleona już wtedy sięgał po tę koronę rzymską, która przyniesie później miała swym ciężarem jedyną latorośl cesarskiego domu, i nasze legiony użyte zostały do zamachów na całość państwa kościelnego. Wszystkie sprzeczności w tej dziwnej epoce znajdowały się pospół. Nasi legioniści szli na Rzym z pobożnością i rozrównieniem pątników, spieszących *ad anima Apostolorum*. Śnać to ich usposobienie jednało im po drodze przychylność ludu, który nie poznawał w nich najezdników, bo duchowieństwo mianowicie witało ich gościnnie, a dostojnicy kościoła, jak biskup z Imola, kardynał Chiaramonti, późniejszy Pius VII., osobną ich wyróżniał łaską i wielką okazywał życzliwość, zawsze coś o losie Polski serdecznie mówiąc. Zamieszanie pojęć i stosunków bywa zresztą cechą epok przełomu. Legioniści nasi nie mieli wyobrażenia, iż niedobrej służą sprawie; zaledwie łagodne, ojcowskie wymówki papieża Piusa VI. otworzyły im potrochu oczy. Zresztą i Napoleon się rychło postarał, aby ich rozczarować co do wartości złudnych swych przyrzeczeń. Drzewiecki jeden z pierwszych wytrzeźwiał, i opuściwszy służbę, powrócił do kraju, aby stokroć skuteczniej mu służyć, zwłaszcza w dziedzinie szkolnictwa, dzieląc zachody Czackiego, a następnie zastępując go w kuratorii szkół wołyńskich i podolskich. Rzadkim przykładem, dawny żołnierz odrazu wprzął się w obywatelską, ciężką nieraz i twardą posługę. Sam żartował ze swego „szału urzędowania“, który nim miotał, wypełniając dni pracowite coraz to innymi obowiązkami i zajęciami, wyręczając nawet nieraz i młod-

szych, którzy dla względów osobistej wygody, usuwali się z czynnych posterunków. Przedewszystkiem troskał się o szkoły, które jedne zostały, gdy wszystko dokoła się rwało. Przez czas dłuższy Drzewiecki stale nawet zamieszkał w Krzemieńcu, aby bliższą opiekę rozciągać nad osieroconem śmiercią Czackiego liceum. Polityka mniej go zajmowała, owszem, stała do niej chował nieufność, może skutkiem pierwszych, zamłodu doznanych rozczarowań. Zapytany o zdanie w sprawach europejskich, odpowiadał najczęściej: „Kuglarstwo!“ — i milczał. On, co życie zaczął na szerszej widowni międzynarodowych wypadków, coraz bardziej je zacieśniał w granicach najbliższych, a więc i najbardziej zobowiązujących powinności. Na takich to obywatelach kraj stoi, buduje się i odbudowuje.

Książka na dwie rozpada się części: pamiętników i dopełnienia ich listami rodzinnymi, z których Kraszewski wysnuł dalszy życiorys, a raczej autobiografię szefa. Sam pamiętnik należy do najlepszych wzorów tego rodzaju utworów literackich, przez swą oryginalność, zasadzającą się na zupełnem zapomnieniu o sobie i przedziwnej prostocie. Inni piszą, ten opowiada. A jeszcze bardziej pociągającą jest ta korespondencya poufna, odsłaniająca tajniki duszy miłującej i cierpliwiej, ze staropolskiem zacięciem, a gołębią, dziecięcą prostotą, opartą na gruntownej i gorącej wierze. Śliczną tę księgę polecamy usilnie naszym czytelnikom, jako ważny przyczynek do dziejów legionów, do historii społecznej tych prowincyj zabranych, jeszcze tak pełnych życia katolickiego i polskiego za dni szefa Drzewieckiego, gdy dziś same tam widnieją ruiny i ślady nieubłaganego zniszczenia. Naczelna postać autora Pamiętników i przedmiotu dalszej biografii, dostarcza nam pięknego wzoru cnoty obywatelskiej, poświęcenia i wytrwałości, oraz wzniosłym jest przykładem zespolenia w jednym sercu i życiu wszystkich szlachetnych miłości. Kto takim sercem ukochał Boga i cnotę, ten i ojczyźnie najlepiej służyć potrafi. Dusze dzisiejszych ludzi nie tylko osłabły, ale i wystygły. Dobrze też i korzystnie jest stawiać im przed oczy wizerunki ludzi tchnących zapalę niewygasłym ku wszystkiemu co piękne, co szlachetne i dobre, a mianowicie ku wszystkiemu, co jest obowiązkiem. Niedarmo zamłodu w tej mierze Kościuszko był nauczycielem młodzieńczego Wołyniaka, powtarzając mu w przededniu Maciejowickiej bitwy, iż wszystko w życiu jest podrzędne, okrom spełnienia powinności. Pobudka ta grała w duszy pana szefa przez życie całe, aż do kresu ósmego krzyżyka, na krzepkich niesionego barkach, wraz z mnóstwem krzyżów, nieodłącznych od tak długiego

żywota. Opis cichego zachodu dni, co tak świetną ongi miały jutrzenkę, należy do najrzowniejszych kart tej miłej książki, która winna trafić do każdego polskiego domu i zająć przy ognisku rodzinnem miejsce starego legionisty, przybywającego w gościnę, aby dawne opowiadać dzieje, przeplatane hasłem mazurka Dąbrowskiego, który, jak wieść niesie, miał być w części utworem Drzewieckiego.

F.

Pisma ascetyczne kardynała Jana Bony. Przełożył z języka łacińskiego na polski ks. dr. Jan Bernacki. (1. Feniks odrodzony czyli ćwiczenia duchowne, str. 208. — 2. O przygotowaniu na śmierć. Testament, str. 160. — 3. O rozpoznawaniu duchów, str. 487). — Tarnów 1891.

Znakomicie przysłużył się szan. tłumacz sprawie bożej i nauce życia duchownego w naszym kraju, podejmując to wydawnictwo. Nasza literatura ascetyczna, jak każdemu wiadomo, nie bogata, a zwłaszcza dzieł gruntownych niewiele posiada. Tłumaczy się wprawdzie tymi czasy wiele pobożnych książeczek francuskich, włoskich, niemieckich, ale bez należytego wyboru. Są to często kwiatki (czasem lukrecya) bez gruntownej treści; a tłumaczenia — pożałuj Boże: zupełnie pod wpływem obcej nam mowy. Od pierwszego wiersza zgadniesz, z którego języka tłumaczone. Tymczasem ks. B. umiał wybrać autora, który łączy wysoką i wdzięczną ascezę z gruntownością i jasnością przybliżającą nam niebo, jak w świecie materyalnym wyborne narzędzia astronomiczne; a przetłumaczył go na prawdziwie polski język, co już jest niemałą zaletą.

Ale słówko powiedzieć musimy o zawartości wydanych obecnie dziełek. W pierwszym ukazuje autor, idąc torem utartym przez św. Ignacego, cel doczesnego życia. „Szczęśliwi zaiste jesteście, iż co się Bogu podoba, nam jest wiadome“¹; lecz bez wątpienia będziemy najnieszczęśliwsi, jeżeli raczej za pożądlivością ciała, aniżeli za wolą Bożą pójdziemy, a „ta jest wola Boża poświęcenie nasze“²; to jest owo „jedno konieczne“³, o którym wspomina Pan Jezus; to powinno być „końcem i celem wszystkich naszych czynności“⁴. Widokiem rzeczy ostatecznych, grozą wyroku rozstrzygającego o wieczności, pragnie zwrócić oczy i usiłowania czytelnika do tego celu; wzór do naśladowania stawia

¹ Baruch, iv. 4.² I. Tes. iv. 3.³ Łuk. x. 14.⁴ Bona, Ćwicz. duch. Rozm. 1.

w Chrystusie; prowadząc od przykazań na wzniosłą wyżynę rad ewangelicznych, wiedzie do osiągnięcia najwyższego dzieła miłości, do zjednoczenia duszy z Bogiem. W tym błogim stanie „rozum, oświecony jasnym światłem mądrości, pojmuje Boga, jako istotę, w której się mieści wszystko dobre tak, iż się od Niego ku czemu innemu nie może oderwać; wolę zaś obejmuje gorąca miłość, która pochłaniając wszystko jak ogień, sprawia, iż dusza sama w sobie żyć przestaje, a zobojętniała na wszystko ziemskie, całą mocą uczucia lgnie i łączy się z przedmiotem miłości“¹.

Przekonany żywo kard. Bona, że „choćby wszyscy ludzie i wszyscy Aniołowie całą siłą duszy i wszystkie zdolności umysłowe jak najusilniej ku temu skierowali, by nas pouczyć, jak wielką ma doniosłość dobra lub zła śmierć, i że chociażby najbardziej doborowemi i najsilniejszymi przemawiali słowy, nigdyby nie oddali należycie ważności tej sprawy“ — podaje w drugim dziełku rady dobrego przygotowania się na śmierć; ostrzega przed zwykłymi wonczas pokusami; podaje na nie środki zaradcze. Testament Bony, to labędzi śpiew duszy, to rzewne jej porywy, w których targa resztki więzów, łączących ją jeszcze z ziemią, to gorące pragnienie „być rozwiązaną i być z Chrystusem“. Oba dziełka: „Ćwiczenia duchowne“ i „Przygotowanie na śmierć“, wraz z „Testamentem“, posłużyć mogą do orzeźwienia duszy wśród spiekoty życia codziennego, do skierowania kroków na drogę pokoju, tak dla kapłanów, jakoteż i dla ludzi świeckich. Wobec tych ostatnich główna też zasługa szanownego tłumacza, że przyswoił naszej literaturze te pełne zdrowego pokarmu pisma.

Nie jest jednak bez znaczenia i tłumaczenie dziełka trzeciego: *De discretionē spirituum*, które ma przedewszystkiem wielkie znaczenie dla kierowników dusz. W języku ojczystym chętniej, z większym zajęciem i korzyścią się czyta, zwłaszcza jeśli to jest traktat trudniejszy, uczący o drogach nadzwyczajnych, któremi niezbadany w swych rządach Bóg dusze uprzywilejowane do siebie prowadzi, traktat wskazujący, jak te drogi odróżniać od złudzeń szatańskich, jakie cechy prawdziwej pobożności a fałszywej. Prawda, że „wielu cofa się z trwogą przed mistyką, jakby przed jakim strachem“ — pisze w swej *Mystyce* Görres². — „Atoli takie bojaźliwe uciekanie przed jakąś wielką ideą, jestto coś w gruncie rzeczy — są jego słowa — hańbiącego nie do prze-

¹ Bona, Ćwicz. duch. Rozm. 20.

² Tom I., str. 13.

baczenia“. „Niektórzy są tego zdania, że lepiej nie mówić o przedmiotach należących do mistyki — pisze Scaramelli¹ — z powodu błędów, jakie tak często się przydarzają... Ależ niewiedomość nigdy nie była skutecznym środkiem do wyłączenia nadużyć; raczej je karmiła i zwiększała. Dostyc jest tylko zastanowić się nad źródłem złudzeń i pozornej pobożności, która niejednego wtrąciła w przepaść nędzy, aby się przekonać, że nieumiejętny to kierownik od początku temu winien, bo zamiast usuwać złudzenia, błyskotki brał za złoto; albo także niedoświadczony spowiednik nie umiał osobie z pięknymi zaletami duchownymi dać odpowiedniego kierunku, przez co ona się zbłąkała i poszła na zgubę“. Znajomość zasad, zawartych w dziele: „O rozpoznawaniu duchów“, może zapobiedz temu nieszczęściu, zastąpić brak wykładów teologii mistycznej w naszych seminarjach.

Dzięki tedy szanownemu tłumaczowi, że swoją cenną pracą ułatwił korzystanie z obfitych skarbów, nagromadzonych w dziełach nieśmiertelnego Bony. A wyglądamy z upragnieniem przekładu reszty pism kardynała.

Ks. P. P.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die Katakombengemälde und ihre alten Copien. Eine ikonographische Studie. *Wilpert Joseph.* Mit 28 Tafeln in Lichtdruck. Freiburg im Br. Herder 1891. (Gr. 4^o, str. XII, 81).

Kto chce dokładnie poznać katakumbę św. Kaliksta w Rzymie, może spokojnie zawierzyć monumentalnym dziełom de Rossi'ego, którego *Roma Sotterranea* nie więcej nie pozostawia do życzenia, tak pod względem dokładności opisu nagromadzonych tamże skarbów starożytności chrześcijańskiej, jak i co do staranności i dokładności tablic. Nie możemy niestety powiedzieć, że mamy równie dobre zbiory fresków innych podziemnych cmentarzy rzymskich. Przybyło nam wprowadzić w ostatnich dziesiątkach lat kilka nowych publikacyj na polu archeologii chrześcijańskiej, jak Garrucci'ego: *Storia dell' arte cristiana*, i Perreta wielkie dzieło o katakumbach rzymskich, na które rząd francuski prawie bajeczne wydał sumy: ale jedno i drugie nie jest bez

¹ *Anleitung in der myst. Theol.* 1. B. 2. Hauptst.

zarzutu. Wkradło się w nie bowiem dużo niedokładności, które chyba zbyt niemu pośpiechowi wydawców, a częściej jeszcze lekkomyślności kopistów przypisywać należy. Jeszcze znacznie więcej błędów i dowolności spotykamy w publikacjach dawniejszych, a między innemi także w wiekopomnej *Roma Sotterranea* Bozyusza, wydanej w r. 1632. A jednak są te dzieła — zwłaszcza to ostatnie — jeszcze podziśdzieć dla wielu archeologów, którzy do samych katakumb nie mogą zaglądnąć, obok Rzymu podziemnego de Rossi'ego, prawie jedynem źródłem, z którego czerpią szczegóły do rozpraw już to o sztuce chrześcijańskiej, już do poparcia różnych tez dogmatycznych. Nic dziwnego, że takich publicystów spotykały często takie zarzuty ze strony protestantów, jak, że budują zamki na lodzie. Albowiem nieraz pokazywało się po gruntownych badaniach, że malowidło oryginalne, zachowane w katakumbach, mówiło zupełnie co innego, niż to, co wyczytał zeń pobieżny kopista Bozyusza, który nie wniknąwszy w ducha starej sztuki kościelnej i nie rozumiejąc doniosłości swej pracy, sadził się najczęściej nietyle na to, by oddać obraz jak najwierniej, ile raczej, aby kopia przedstawiła się jak najmodniej i najefektowniej.

Oddawna tedy wyglądali miłośnicy sztuki katakumbowej dzieła, któreby wszystkie dotychczasowe publikacye oceniło i błędy ich sprostowało. Była to jednak rzecz nielatwa: bo żeby mózgi osądzić sumiennie wszystkie dawniejsze i nowsze zbiory kopii malowideł cmentarnych i poprawić wszystkie ich niedokładności, trzeba być wielkim znawcą katakumbowych pomników, trzeba bystrego, artystycznego oka, któreby było zdolne odnaleźć i odtworzyć przyblakłe już nieraz i zniszczone prawie do szczytu wilgocią, dymem lub barbarzyńską ręką freski — trzeba wreszcie samemu być dobrym rysownikiem, aby znów nie zależeć od samowoli płatnego kopisty. Te i inne trudności były powodem, że dotychczas żaden archeolog nie podjął się tego zadania, choć ono zapewne niejednego nęciło urokiem nowości. Tem większe też uznanie należy się ks. Wilpertowi, który uposażony hojnie w potrzebne zdolności artystyczne, wspomnianych trudności się nie uląkł i w swem najnowszym dziele daje nam do ręki właśnie owo pożądane krytyczne studjum wszystkich dotychczasowych publikacyj katakumbowych.

Autor nosił się zrazu, jak powiada w przedmowie do swego dzieła, z myślą wykazania tylko najgłówniejszych błędów, jakie od XVII. wieku stale przechodzą do coraz to nowych prac archeologicznych; w miarę badań jednak, robionych w bibliotece watykańskiej

i wallicelańskiej w Rzymie, urósł materyał do tego stopnia, że powstało zeń poważne dzieło. Pracę swą podzielił Wilpert na dwie części. W pierwszej omawia kopie zebrane wnet po roku 1578 przez uczonogo dominikanina Fra Alfonsa Ciacconia, a przechowane w bibliotece watykańskiej (Vat. lat. 5409); w części drugiej poddaje ocenie publikacye słynnego Bozysusa i jego następców. Dla Ciacconia pracowało aż sześciu rysowników w rozmaitych katakumbach, jak u św. Pryscylli, Kaliksta, Nowelli, Walencyana, Poncyana, Jordanów. Z nich zdradzają niektórzy pewną wprawę w rysunku, choć wszyscy wywiązali się z poruczonego im zadania jak najgorzej. Porównując ich kopie z oryginałami, z których część ocalała w katakumbach, odkrywa Wilpert w ich pracy nieraz najpotworniejsze błędy. Robili oni najprawdopodobniej w katakumbach zaledwie pobieżny szkic obrazu ołówkiem, który potem w domu wykończali atramentem. Dopiero także w domu wypełniali figury farbami, bo ani na jednej kopii nie odpowiadają farby oryginałowi. Aby osoby przedstawiały się jak najjaskrawiej, dają im, zwłaszcza figurom znanym pod nazwą Orantek, strój wierzchni bez rękawów, a pod nim suknię dłuższą innego koloru. Gdzie tylko mogli, umieszczali także nowoczesną książkę w jaskrawo-czerwonej oprawie. Główną cechą ich figur, które nieraz zupełnie nową zpod ich ręki wychodzą kreacyą, jest strój fałdzisty, długi i rozczochrany włos głowy i brody, poza ciała wykrzywiona i nienaturalna. Przytoczymy choć jeden przykład na dowód, jak dalece nieraz ich kopie są niewierne. W katakumbach św. Pryscylli mamy następujący, do dziśdnia zachowany fresk, jeden z najpiękniejszych okazów starochrześcijańskiej sztuki. Na katedrze siedzi biskup, brodaty starzec, i wskazuje prawą ręką na niewiastę, siedzącą po przeciwnej stronie obrazu z nagiem dziecięciem u łona. Przed biskupem stoi dziewczica i trzyma w ręce welon, a obok niej młodzieniec, dyakon, z białą tuniką w ręce, którą na dany znak podał dziewczycy. Widoczna, że tu mamy przed sobą oblóczyny chrześcijanki, której biskup wskazuje, jako najpiękniejszy wzór do naśladowania, Najświętszą Pannę. W środku obrazu widzimy jeszcze raz tę samą dziewczicę, ale już w oblóczynach, w postaci modlącej się. Patrzymy teraz, co rysownik Ciacconia zrobił z tego obrazu! Na jego kopii przemieniła się dziewczica w brodatego, rozczochranego mężczyznę, a biskup i dyakon ani podobni są do tych, jakich stworzył pierwotny artysta. I tak są nieraz figury męskie, przemienione w kobiety, i odwrotnie, owce w koguty, gołębie w latające aniołki i t. d. O wszystkich tych błędach może czytelnik przekonać się łatwo, bo Wilpert

daje nam na kilkunastu tablicach (zob. I—XX) próby wszystkich sześciu pracowników Ciacconia, a obok nich kładzie nieraz poprawione swoje własne rysunki. Tak mamy np. na tablicy IX. opisaną powyżej scenę oblóczyn, wykonaną po mistrzowsku ręką Wilperta, a na tablicy X. kopię tego samego fresku Ciacconia. Godne uwagi są także pierwsze cztery tablice, przedstawiające kilka scen z katakumb Jordanów, które wnet po ich odkryciu w r. 1578 do szczytu zostały zniszczone przez robotników, szukających pozzolany.

Jeszcze ciekawsza jest druga część rozprawy (str. 46—66). Bozyusz miał tylko dwóch rysowników: Toccafonda (właściwie Santini) ze Sieny, i drugiego, którego nazwiska nie znamy. Dotychczas uchodził za lepszego Toccafondo; tymczasem doszedł Wilpert z pozostałych w bibliotece walicelańskiej kartonów, że jego prace znacznie są gorsze od rysunków jego anonimowego kolegi. Prawie też wszystkie kopie tego ostatniego przyjął Bozyusz do swej *Roma Sotterranea*, przez co jedynie dwie z nich ocalały (zob. tabl. XXV), bo inne zostały zniszczone, jako już niepotrzebne, zapewne zaraz po zrobieniu z nich płyty do druku. Za to doszło nas więcej rysunków Toccafonda, a mianowicie owe, które Bozyusz jako całkiem niedokładne odrzucił. Z nich poznajemy, że Toccafondo, niedość doglądany, niewiele lepiej wywiązał się z poruczonego sobie zadania, niż rysownicy Ciacconia. Dodaje on najdowolniej swoim figurom brody, ubiera nagie, a obnaża ubraue, słaba ubranie, raz ważne rzeczy z kompozycyi opuszcza, to znowu nowe zupełnie w nią wprowadza szczegóły. I tu nie ogranicza się Wilpert na ogólnej tylko krytyce materiału zebranego przez Bozyusza, ale, ile razy to jest możebnem, poprawia jego tablice już to wedle oryginału, jeśli tenże jeszcze się dochował w katakumbach, już też według zbioru Ciacconia albo innych pokrewnych kompozycy.

Następują dwa dodatki. Z pierwszego (str. 66—69) dowiadujemy się, że Bozyusz sam także był rysownikiem, i że między innemi kopiował słynną Madonnę z Izajaszem w cinentarzu św. Pryscylli (zob. tabl. XXVII). I jego kopie nie są bez zarzutu, chociaż w nich znacznie mniej jest błędów niż w owych Toccafonda. Najbliżsi następcy Bozyusza zadowolili się sztychami nagromadzonyni w jego *Roma Sotterranea* (str. 69—73), i dopiero Boldetti i Marangoni kilka nowych ogłosili kopij, z których jednak wszystkie, z wyjątkiem chyba jednej, są bez wartości. Liche i błędne są także publikacye d'Agincourt'a, który z końcem zeszłego wieku znaczną liczbę fresków katakumbowych umieścił w II. tomie swej: *Histoire de l'art par les mo-*

numents. Wreszcie poprawia Wilpert kilka tablic z dzieła Garrucci'ego, którego kopista wyrysował np. zamiast Mojżesza, składającego obuwie, dużego ptaka bez głowy. Kończy autor krótkim zreasumowaniem rezultatów całej pracy (str. 74—76), objaśnieniem tablic (str. 77) i rejestrem dokładnym (str. 79—81).

Kiedy przed rokiem ukazała się pierwsza większa praca Wilperta, wymierzona głównie przeciw kilku protestantom, którzy szezyli opinie, że stara sztuka katakumbowa bynajmniej nie jest symboliczną, lecz bezdusznem i niewolniczem naśladownictwem współczesnej klasycznej, spotykały autora zewsząd słowa gorącego uznania. Nietylko katolicy, lecz i bezstronni protestanci powitali w nim znakomitego znawcę starej sztuki i dzielnego apologetę metody de Rossi'ego. „Ponieważ prawda jest mi milszą, niż moje wyznanie — pisze jeden z tych ostatnich — więc wyznaję bez ogródki, że Wilpert przewyższa swych przeciwników i głębszą erudycją i większą przedmiotowością i sumienniejszą krytyką“. (*Blätter für literar. Unterhaltung*. Leipzig 1889. Nr. 34). Jesteśmy pewni, że równie dobre przyjęcie znajdzie i ta wspianała publikacya, jako niemniej praktyczna od poprzedniej. I da Bóg, osiągnie ona swój cel i usunie raz nazawsze z podręczników katakumbowych błędy, które nieraz dały powód do najdziwniejszych wniosków i przeróżnych, jak się autor wyraża, uczonych i nieuczonych hipotez. Niecierpliwie wyglądamy teraz zapowiedzianych już dalszych publikacyj o sztuce cmentarnej, które stając narówni starannością wykonania z pokrewnymi zbiorami na polu archeologii klasycznej, staną się podwaliną do upragnionego przez wszystkich: *Corpus monumentorum artis christianae*.

Ks. dr. J. Bilczewski.

Zapiski z bibliografii francuskiej¹.

Sądźmy, iż z początkiem roku szkolnego będzie na czasie zarys bibliograficzny książek, służących do nauki języka francuskiego.

1^o H. D. S. J. (P. Henri Delavenne S. J.): LA PREMIÈRE GRAMMAIRE, avec exercices à la suite des régles. Balteneck, rue Honoré Chevalier 7, Paris.

Wyborna książka. Gramatyki francuskie układu ojca Delavenne, mają we Francyi wielkie uznanie. Autor, ucząc przez większą część

¹ Por. zeszyt z września, str. 426.

swego życia początków języka francuskiego i łacińskiego, wydał cały szereg gramatyk z odpowiednimi ćwiczeniami i czytaniem. Dzieci, panienki, chłopcy, nawet dorośli, uczący się języka francuskiego, mogą wiele z tych dziełek skorzystać.

Jednak szan. autor pozwoli, że wyrazimy jeden żal, tj. iż nie we wszystkich swoich gramatykach zachował ten sam plan, co w ostatniej, o której mowa (*Première grammaire*). Wolelibyśmy, żeby autor był pomieścił w każdej z tych gramatyk odpowiednią część ćwiczeń i czytań, niż że je w osobnych tomach wydał. Dla młodzieży, nie wiele książek, ale wyborowych: to najlepsza zasada.

2° **Larive et Fleury:** LA PREMIÈRE ANNÉE DE GRAMMAIRE. Préceptes, exercices, devoirs et lexique ou vocabulaire. (115 édition).

— LA DEUXIÈME ANNÉE DE GRAMMAIRE. Préceptes, exercices, Syntaxe, Style, Rédaction, Lexique. (60 édit.).

— LA TROISIÈME ANNÉE DE GRAMMAIRE, comprenant la révision et le complément de la grammaire, la grammaire historique, un traité sur le style, et la composition, une littérature: prose et poésie, une histoire de la littérature, des morceaux et des devoirs avec un lexique. Armand Colin et C^{ie}, 1—5 rue de Mézières, Paris.

Wszystkie te trzy gramatyki pp. Larive et Fleury usilnie zalecamy. Zwięzłe i jasne prawidła, ćwiczenia dowcipnie praktyczne i zastosowane dla dzieci i młodzieży. Nic lepszego nie znaleźliśmy w ciągu naszego nauczycielstwa języka francuskiego. Jeżeli autorowie zachowają i nadal swój chrześcijański kierunek, to bez wahania przepowiadamy im, iż wkrótce dzieło ich zastąpi w szkołach francuskich wszystkie inne gramatyki. Cena też nie jest wygórowaną. Na każdy rok gramatyki jest osobny tom dla profesorów; zawiera on przepisy, ćwiczenia już poprawione, i wybór zadań, których niemi w tomie, przeznaczonym dla uczniów.

3° **Ch. Leroy:** LECTURES GRADUÉES ET LEÇONS PRATIQUES DE LITTÉRATURE ET DE STYLE. Bélin, rue de Vaugirard 52, Paris.

Dobór bardzo trafny, z najrozmaitszych przedmiotów. Jest tam proza, poezya, bajki, historia, nauki ścisłe, filozofia, krasomówstwo, religia, wyjątki z najlepszych autorów francuskich, z wieku Ludwika XIV. i późniejszych. Książka ta ma wyższość niezaprzeczoną nad innemi w tym rodzaju, szczególnie p. Ploetza, który dla szkół nie jest praktyczny, chociaż się ma za takiego, a poza obrębem szkolnym również niezdolny, aby dać pojęcie ogólne a zupełne o literaturze francuskiej. Przy każdym wybranym kawałku krótka notatka historyczna i literacka może służyć profesorowi za temat do dłuższego rozwinięcia rzeczy.

- 4^o **Bénard**: DICTIONNAIRE CLASSIQUE DE LA LANGUE FRANÇAISE. Vocabulaire, Agriculture, Sciences, Histoire, Hygiène, Géographie, Industrie, etc. Bélin, rue de Vaugirard 52, Paris.

Zpomiedzy wielu słowników mniejszych, a jednak kompletnych, języka francuskiego, ten szczególnie polecamy wszystkim: uczniom i dorosłym, a nawet w każdym domu, gdzie uczą się i mówią po francusku, ten słownik powinienby się znajdować. Pod względem chrześcijańskiego kierunku, jest on lepszy niż słownik p. Gazier. Jest on w podwójnem wydaniu: ilustrowany, z mnóstwem bardzo dobrych rycin, i nie ilustrowany. Cena bardzo przystępna powoduje coraz nowe wydania tego dzieła.

- 5^o **Frédéric Godefroy**: LEÇONS DE LITTÉRATURE FRANÇAISE, depuis les origines jusqu'à nos jours.

— MORCEAUX CHOISIS DES POÈTES ET PROSATEURS FRANÇAIS du 17, 18, 19 siècle. Gaume, rue de l'Abbaye 3, Paris.

Imię Fryderyka Godefroy, znakomitego filozofa i krytyka, kilkakrotnie uwieńczonego przez akademię, znaczy więcej niż wszelkie pochwały tego jego dzieła.

Leçons du littérature są przeznaczone dla kandydatów uniwersyteckich na stopień doktorów (*baccalauréat*). I rzeczywiście, autor odpowiada wszystkim wymaganiom tego stopnia naukowego. Wyjątki, umieszczone po każdym wykładzie, są bardzo dobrze dobrane, a także trafne uwagi i objaśnienia. Uczeń może wiele z tego skorzystać, a cytaty, jakkolwiek częste, nie nazbyt obciążają.

Morceaux choisis dzielą się na trzy kursa i stopniowo się powiększają. Pierwszy kurs jest dla dzieci; wyższy zawarty jest w dwóch tomach: prozaików i poetów — oba opatrzone w notatki i uwagi.

O *Lectures graduées ou Morceaux choisis* przez p. Leroy (w jednym tomie) wspomnieliśmy już wyżej z pochwałą. Drugą pracą p. Godefroy jest dzieło pokrewne pierwszemu, w 3 tomach. Studyjający literaturę francuską, stosownie do celu, jaki sobie założył, może wybierać pomiędzy dziełem p. Leroy a dziełem p. Godefroy.

- ABRÉGÉ DE L'HISTOIRE DE LA LITTÉRATURE FRANÇAISE. 3 vol. in 8^o.

Pierwszy tom zawiera wiek XVII. i obejmuje nietylko wszystko co wiedzieć należy o klasykach francuskich, ale też historię literatury, biografie i krytykę. Drugi i trzeci tom obejmuje wiek XVIII. i XIX. i dorównywa zupełnie pierwszemu; a ztąd zalecamy wszystkie gorąco. Na pochwałę tych dwóch ostatnich tomów dość jest powiedzieć, że tak chłopcy jak i dziewczątka bezpiecznie czytać je mogą. Autor jest nie-

tylko moralny, ale unika starannie wszystkiego, co by mogło razić delikatne sumienie. Dzieło to zostało przyjęte we Francyi w klasach wyższych, w wielu katolickich konwiktach i pensyonatach.

W Polsce, gdzie wogóle niezbyt wysoko stoją studia literatury francuskiej, dzieło to mogłoby być z pożytkiem pomieszczone w bibliotekach szkolnych i salonowych, a szczególnie w zakładach wychowawczych byłoby odpowiednie na nagrody.

Ten sam autor już dawniej wydał *Histoire complète de la littérature française*. Jest ona odpowiednią dla profesorów i do bibliotek uniwersyteckich.

6^o **Mansion:** MANUEL DE PRONONCIATION FRANÇAISE. C. Douniol, 29 rue de Tournon à Paris (brochure).

Nie od rzeczy będzie, wymieniwszy cały szereg książek do nauki reguł języka francuskiego, wskazać podręcznik, uczący wymowy tegoż języka. Przed laty dwudziestu P. Mansion wydał swój doskonały podręcznik jako dodatek do innego dzieła; teraz jest on wydrukowany osobno. Polecamy zwłaszcza jego część drugą, czyli praktyczną.

P. Delavenne do swej *Grammaire complète* dołączył także rozprawkę o wymowie języka francuskiego, i z niej niektóre poprawki należałoby dodać do broszury P. Mansion.

7^o **Décalogue ou Dynamite**, par l'auteur du dialogue entre feu Cartouche et M. Brisson. V. Retaux, 82 rue Bonaparte, Paris.

Dwie antytezy! jedna w samym tytule, druga, że mieścimy to dzieło zaraz po gramatykach. Mniejsza o to — żeby tylko czytać i korzystać z tego, co te antytezy zawierają.

Autor mówi wyłącznie do inteligencji, żyjącej bez Boga: ale zarzuty jego odnoszą się również do tych, którzy mieniąc się katolikami, nie spełniają obowiązków swej religii. Na okrzyk: „Precz z dzieściorgiem przykazań!“ — odzywa się zawsze, jak nieuniknione echo. wrzask: „Dynamit!“ co znaczy: rewolucya, socjalizm, anarchia. Choć prawda, że oba te okrzyki nie tak przez usta, jak przez czyny i postępowanie, grzmiały nad dzisiejszym społeczeństwem. Ale przytoczmy nieco z przedmowy autora.

„Panowie inteligencya z bractwa wolteryanów i wolnomularzy. wielcy kapitaliści z żydostwa naturalnego lub naturalizowanego, wielcy przemysłowcy i wielcy procentowicze, bogacze-bankierzy, senatorowie i deputowani wszech lewic, i ministrowie wszystkich spraw, i wy spaśli kupcy, wykarmieni na bezbożności i bluźnierstwie — do was to idzie ta

książeczka! O chwilkę uwagi was proszę!... Wy wprowadzić macie dużo pracy: musicie czytać gazety, dawać obiady, podpisywać weksle, bywać na balcie... i jeszcze, i jeszcze coś... A więc będę mówił krótko a węzłowato: śmierć stoi u drzwi waszych!... a ja wcale nie na żarty ogłaszam złowrogi dla was wyrok... Bracia! musicie umierać! albo spokojni z zachowania dekalogu, z którego wy teraz drwicie i nim gardzicie, albo z rozpaczą dynamitu, tj. być zamordowanymi przez rewolucję socyalną... Niema innego wyjścia. Dekalog albo dynamit! Chciejcie tylko zrozumieć mój wywód“.

Autor przedstawia obecny stan społeczeństwa z takim życiem, w tak jaskrawych barwach, że widocznie znać go musi nawskróś i rozumie doskonale grożące niebezpieczeństwo. Dlatego z nieublaganą logiką przekonywa i wyprowadza swój wniosek: że „trzeba koniecznie wybierać pomiędzy dekalogiem a dynamitem, i to natychmiast, bo czas nagli!“... Oby wszyscy chwycili się dekalogu! tego skutku życzymy autorowi z jego broszury.

S^r **R. P. Berthe, du T. S. R.:** GARCIA MORÉNO, président de l'Equateur, vengeur et martyr du droit chrétien, 1822—1875. 2 vol. in 8°. P. Retaux, 82 rue de Bonaparte à Paris.

Jeżeli geniusz Bossueta rozbudzony był ustępem biblijnym, a duch filozoficzny Mallebranche'a traktatem Kartezjusza, a Thierry, jak to sam opowiada, swój zawód historyka zawdzięcza ustępowi z Chateaubriand'a: łatwo zrozumieć, jakiej doniosłości stać się może przeczytanie jakiej książki — a cóż dopiero życia takiego męża stanu i bohatera katolicyzmu, jakim był Garcia Moréno!

Garcia Moréno, to człowiek święty, energiczny i genialny: wie, czego chce, a chce tego co wie, jako katolik i apostoł. Ztąd tak jest wielki ponad wszystkie współczesne wielkości — ztąd też i dzieła, których dokonał, zbawienne są tak za jego życia, jak po śmierci. Gdyby on nie był bohaterem, który zgasł prawie w naszych oczach, to życie jego tak jest podobne do legendy, iż niktby nie uwierzył, że jest prawdziwe. Był to „człowiek — jak mówi Jan św. — posłany od Boga“, a moc swoją czerpał z religii katolickiej, z kamienia węgielnego Chrystusa Pana; to też był silny Jego siłą. Stawił on czoło przesądom i namiętnościom swej epoki: ojczyznę swoją wybawił od nieustającej prawie rewolucyi, jaka panowała w tych republikach środkowej i południowej Ameryki; obdarzył tę swoją ojczyznę chrześcijańską i katolicką konstytucją, która jedynie zapewnić może państwu pomysłność i potęgę.

O. Lacordaire mawiał, że książka dla duszy jest istotą żyjącą, z którą się przestaje, jest w każdej chwili zaufaną przyjaciółką. I taką właśnie dla każdego młodzieńca, gorąco kochającego swój kraj, jest książka, o której mówimy.

9^o **H. B. de Laval**: *TROMPE-LA-MORT*. 1 vol. illustré. Téqui, 85 rue de Rennes à Paris.

Jestto opowiadanie nadzwyczajnych, ale rzeczywistych przygód jednego zapaleńca z czasów rzeczywospolitej francuskiej i pierwszego cesarstwa. Nazywa się on Jan Poulet; znudzony cichem i spokojnem życiem domowem, opuszcza rodzinną strzechę razem z kilku podobnymi sobie zapaleńcami i zaciąga się do huzarów; ale jednostajne życie w garnizonie nie przypada mu do smaku. Szczęściem dostaje rozkaz połączyć się z wojskiem Dumouriera, który się bił w Belgii i Holandyi. Pod Bredą, na pochyłości szaniec, w oczach obleżonych, przy strzałach armatnich i pękaniu bomb, Jan Poulet tańczy z podobnymi sobie szaleńcami. W czasie batalii pod Hondoschoobe, jest w swoim żywiole, chwytą nieprzyjacielską chorągiew i uwija się z nią wśród pułku osłupiałego na takie zachwalstwo. Odtąd porwanie chorągwi nieprzyjacielskich jest dla niego punktem honoru; udaje mu się to szczęśliwie, bez żadnego szwanku, a on w to ufny, powiada, że „oszukuje śmierć”. Odznacza się później pomiędzy ochotnikami huzarami, którzy konno po łodzi zdobywają holenderską flotę. W r. 1796 jest we Włoszech pośród tej garstki bohaterów, którzy obdarci i bez butów, żartowali w przeddzień bitwy, mówiąc: „jutro wielka dostawa! — nieprzyjacieli liwerantem; zapłacimy mu brzęczącą i błyszczącą monetą, co na naszych karabinach!” Ale szaleństwa swego o mało nie przypłacił śmiercią od swoich. Jenerał Bonaparte rozkazał zaprzestać tych podjazdów, tak zaszczytnych dla ochotników. Dragoni ze swoim kapitanem, Pouletem, nie chcą się poddać rozkazowi. Kapitan z kilku przywódcami buntu miał już głowę przypłacić. Świetne czyny waleczności ochroniły go wprawdzie od śmierci, ale zdegradowano go z dowództwa i odkomenderowano do pilnowania bagaży. „Jakto! — zawołał — ja do próżniaków! to za surowo!” Na tem skończyła się kara, a w roku 1804 w Boulogne dostał order od nowego cesarza. Wtem armia wychodzi z Boulogne i gotuje się do kampanii, która się miała zakończyć bitwą pod Austerlitz. Stają pod Ulm: w nocy kapitan Poulet słyszy, że sztyldwach wystrzelił z pistoletu; dosiada konia i sam jeden wpada na oddział nieprzyjacielski, wołając: „poddajcie się, bo każę wszystkich

wystrzelać!" Oni uwierzywszy, złożyli broń, a w tej chwili nadjechał patrol i zabrał jeńców.

Ten urywek wystarczy, aby dać poznać, z jakim zajęciem czyta się ta książka.

10^e **Dom Wuillemain**: NOUVEAU VOYAGE AUTOUR DE MA CHAMBRE (brochure). Desclée et C^{ie}, 26 rue Royale, Lille.

Tylko metodę pożytych autor od Ksawerego de Maistre'a, bo podróżnik i kraje zwiedzane są tu inne, inne są także i w inny sposób oglądane przedmioty. Młoda panienka chce dokładnie zwiedzić swój pokój, ów kraj, leżący w domu rodzicielskim, a składający się z trzech prowincyj: modlitwy, pracy, spoczynku. Tu zwiedza wszystko: kłęcznik, krucyfiks, koszyczek z robotą i kałamarz, biblioteczkę i nawet fortepian; kominiek i zegar, kropielniczkę i łóżko za firanką. Zwiedza także kolonie, tj. balkon i przedpokój, parasolkę i parasol, nawet wachlarz i zarękawek. Miła dziewczynka oprowadza nas po całym swym państwie, jest uprzejma i o wszystkim mówi do nas jak dobra katoliczka. Zawsze z wszystkiego kontenta i z niej wszyscy.

Nie wątpimy, że ta książeczka będzie się podobała czytelniczkom i że ją pomieszczą w swoich biblioteczkach.

Obok tego dziełka Dom Wuillemaina, dawnego przeora Kanoników regularnych w Mattaincourt, podajemy następujący zajmujący tomik:

11^e **Mademoiselle O'Kennedy**: INVENTAIRE DE MA CHAMBRE. Bricon, éditeur, 19 rue de Tournon, Paris.

Ta praca, zajmująca 350 stronnic, otrzymała nagrodę „Towarzystwa naukowego wychowawczego“, a równocześnie premium Akademii i pochwały wielu znakomitych osób, jak kardynała Langénieux z Reims, który wypowiada życzenie, aby podobne pisemka się mnożyły, gdyż i budują i zaciekawiają czytelników i czytelniczki.

Przy tej sposobności wyliczamy jeszcze inne dwa dziełka tejże samej autorki:

12^a **M-elle O'Kennedy**: BUNTON DE ROSE ET SOUCI. Bricon, 19 rue de Tournon à Paris. 1 vol. avec 30 gravures.

— SOUVENIRS D'UNE PENSIONNAIRE ET VOYAGE D'UN GÂTEAU, avec 25 gravures. Bricon, etc.

Jedno i drugie z wdziękiem i naturalnością napisane; bez zarzutu pod każdym względem; w czytających obudzają dobre uczucia i zarazem zaciekawiają ich aż do końca. *La bibliographie catholique* zapowiadając to drugie dziełko, dodaje: „Dziewczynki, które będziecie czytały *Souvenirs d'une pensionnaire*, zobaczycie, że i figlarka zrozumiała,

że aby być szczęśliwą na tej ziemi, trzeba być dobrą dla wszystkich; a wy chłopcy w *Histoire d'un gâteau* dowiedziecie się, że tort z wiśniami może zjeść i kto inny, nie tylko smakosz, co go kupił". W drugim tomie autorka przedstawia nam młodą, dobrą i pobożną panienkę, która ulega wpływowi lekkomyślnej przyjaciółki i już się skłania do światowych próżności i uciech niebezpiecznych, gdy wtem straszny wypadek sprowadza obydwie na drogę poważnego i katolickiego życia.

13^o **Paul Féval fils:** *LA TROMBE DE FER*. Téqui, 85 rue des Rennes, Paris.

Paweł Féval (syn) może śmiało w swej powieści stanąć obok swego ojca, którego pozerają raczej niż czytają, tak bardzo umie czytelników swoich zajmować i przejmować. Pełno tam scen prześlicznych i heroiczych; pomiędzy innemi opis ataku na Reichsoffen de Scharfenord jest tak żywy, jakby go dawał naoczny świadek. Treść tej powieści następująca. Mały książę Petrów, syn węgierskiej księżny Sadowskiej de Scharfenord, dostaje się pod ojczyznę, bo jego matka wychodzi po wtórnie za pułkownika pruskiego, de Margraver; ten chce stracić dziecko, aby odziedziczyć należący mu się majątek, lecz dziecię uprowadzają dobrzy ludzie i wychowują w ukryciu, daleko od matki. Wreszcie Petrów dorósłszy, odszukuje ją i chce się pomścić za siebie i matkę, z którą okrutnie się obchodził Margraver. Jego pragnieniu staje się zadość w Reichsoffen: umiera podczas natarcia francuskich bohaterskich kirasyerów, ale pierwiej własną ręką zabija swego i matki swej prześladowcę.

E. P. A. S.

La Fiancée de la Fontenelle (p. 408). Paris 1888.

Fou d'amour (p. 285). Paris 1889.

Le roman d'un propriétaire (p. 270). Paris 1890.

Une reine de théâtre. Souvenirs de jeunesse, de théâtre et de cour (p. 275). Paris 1891. — Par *Ch. d'Héricault*.

Co roku jeden tomik, co roku jedna powieść, pisana w wolnych chwilach od prac poważniejszych, bo p. Karol d'Héricault nie tylko powieściopisarskie pióro trzyma w rękę; wydał przecież uwieńczone przez Akademię francuską, uczone dzieło: *La Révolution de Thermidor*; wydał popularnie, ale na gruncie ściśle historycznym skreśloną, ozdobioną przeszło 250-cioma ze współczesnych pism i obrazów wiernie skopiowanymi wizerunkami i obrazami: *La France révolutionnaire*. W powieściach dąży do osiągnięcia tego samego celu, który sobie zamierzył

w poważnych swych pismach; nie pisze, aby pisać tylko i od księgarza zbierać pieniądze: ale, aby za pośrednictwem powieści, która bądźco-bądź wszędzie najłatwiej się dostanie, szerzyć swe poglądy i zasady religijne, społeczne, filozoficzne. „Pragnąłem — czytamy w dedykacyjnych listach zastępujących przedmowy — nakreślić obraz walki między dawnym a dzisiejszym, porewolucyjnym światem“... „Myślą mą było wystudyować wielką chorobę wieku, chorobę groźną zwłaszcza dla żywych, potężnych wyobraźni: szaleństwo miłości“... „Honor i miłość, miłość czysta, szczerza, potężna, miłość co zabija i wskrzesza, miłość bez wątpienia płomieniejąca, ale płomieniami płynącymi z tego samego światła, które opromienia honor — będzie tkanką mego opowiadania“.

Piękne to plany, szlachetne — na chwilę nie wątpimy — zamysły; czy i jakże one zostały spełnione, jaką wartość mają te w powieści przeprowadzone studia, w jakim świecie się obracają, dla jakich ideałów pozyskują umysł i serce? Autor ostrzega lojalnie w przedmowie do jednej ze swych powieści, że nie pisze dla młodych dziewczyn; zapowiada, że jest, w pewnych oczywiście granicach, zwolennikiem naturalizmu; wie dobrze, że na ślizgim stąpa gruncie i posuwa się na nim daleko, „jak daleko uczciwy pisarz posunąć się może“. Tylko, że na pytanie, co wolno jeszcze w powieści powiedzieć uczciwemu, chrześcijańskiemu pisarzowi, a czego już niewolno — nie tak łatwo w praktyce odpowiedzieć. Tylko, że po ślizgim stąpając gruncie, zbyt prędko i łatwo poślizgnąć się i wpaść do toni, którą się z początku najszczerzej w świecie ominąć chciało. Tylko, że powieści, których uczciwa dziewczyna w żaden sposób do ręki wziąć nie powinna, nie będą z pewnością ani dla jej matki, ani nawet dla ojca budującą lekturą. I nie są istotnie budującą lekturą te wszystkie awantury, które przechodzi lekkomyślna bądźcobądź, choć powieściopisarz wierzyć każe, że tylko lekkomyślna aktorka; nie zbudują chyba te szalone ze zmysłowej miłości bohaterki, bohaterzy. Autor zabrał się do niemożliwego z samego swego założenia dzieła: naturalizm Zolów, realizm autora „Faustyny“ zaprządzby chciał w posługę chrześcijańskich ideałów. Nie udało mu się to, bo udać się nie mogło, a nam tylko żal pozostaje, że tyle dobrej woli i niemało talentu poszło na marne w tej śmiałej, ale nieszczęśliwej partyzanckiej wyprawie: nie pomogło bronionej sprawie, a zaszkodzić jej może.

J. B.

Z pism czasowych.

Czasopismo słoweńskie: **Rimski Katolik**, tretji tečaj, v Gorici 1891.
Vrejuje in izdaja dr. Anton Mahnič.

Narody słowiańskie pod względem piśmiennictwa dają się podzielić na dwie odrębne grupy. Do pierwszej wchodzi takie, u których literatura rozwijała się nieprzerwanie, przechodząc mniej lub więcej pomyślnie dla siebie fazy, jak np. w Polsce. Drugą stanowią te, których piśmiennictwo dość wcześnie wprawdzie powstało, później jednak skutkiem rozmaitych nieprzyjaznych okoliczności długo leżało odłogiem i dopiero po upływie kilku stuleci, wskutek rozbudzonego narodowego poczucia, znowu w wieku bieżącym znalazło, ktoby je uprawiał. Do tej ostatniej grupy należą między innymi Słoweńcy, mieszkający w Karyntyi, Styryi i Krainie. Naród ten nader smutne przechodził koleje, historia jego bowiem jest jednym szeregiem podbojów przez inne potężniejsze ludy. Przybywszy z Panonii w VI. w. po Chr., Słoweńcy około r. 627 połączyli się z królestwem Samona i wówczas w ich krainie, zwanej Karantanją, zaczęli chrześcijańscy kapłani opowiadać wiarę św. W VIII. wieku Słoweńcy stali się hołdownikami Franków, a następnie przeszli pod władzę Bawaryi. Około r. 788 Karol Wielki zdobył Bawaryę wraz z ziemią zaludnioną przez Słoweńców, która później w przeciagu wieków dostała się najprzód Niemcom, a następnie Austrii. Mieszkańcy jej przez czas długi ulegali żywiołom germanizacyjnym; chociaż więc zabytki piśmiennictwa słoweńskiego sięgają X., a nawet IX. w., to jednak zamiast postępować na drodze rozwoju, zatrzymało się na niej, owszem, chyliło się stopniowo ku upadkowi, a od XV. do XVII. w. wydawano tam tylko dzieła sekciarskie, pisane przez protestantów cyrylicą lub glagolicą w celu propagowania swej doktryny. W XVII. w. protestanci zaczęli tracić grunt pod nogami, i piśmiennictwo słoweńskie na lepszą wstąpiło drogę, dzięki OO. Jezuitom i Kapucynom, którym w tej mierze główna przypada zasługa. Wkrótce nawet powstał wśród Słoweńców pewien ruch naukowy, który jednak posługiwał się wyłącznie językiem łacińskim i niemieckim. Dopiero w niniejszym stuleciu mowa słoweńska zyskała całkowicie w literaturze prawo obywatelstwa. Język ten zbliżonym jest najbardziej do ilirysko-serbskiego i obecnie oprócz niezbyt jeszcze znacznej ilości książek, wychodzi w nim około 40 czasopism rozmaitego kierunku i wartości. O jednym z nich, p. t.:

Dom in Svet, mówiliśmy już na początku roku bieżącego¹; dzisiaj zamierzamy podać ocenę miesięcznika *Rimski Katolik*, wychodzącego w Gorycy pod redakcją d-ra Antoniego Mahničā.

Sam tytuł tego czasopisma każe się domyślać jego tendencji oraz ducha, który je owiewa. Celem, jaki sobie postawiło, jest „służyć poczeiwie i bezinteresownie kochanej ojczyźnie, broniąc tego, co dla niej najdroższe, tj. św. katolickiej wiary“. Stanowisko więc tego miesięcznika jest przedewszystkiem defensywne. „Chcemy — głosi on w swym programie — niweczyć jak najenergiczniej działalność nie-szczęsnego liberalizmu, który od lat już wielu pośród nas się szerzy. Pragniemy go śledzić w najciemniejszych kryjówkach, w jakich się ukrył lub ukryje, aby pod pozorem narodowości zaślepiac krótkowidzących, a szczególnie młodzież. Będziemy więc odbijali wszelkie napęci na katolickie zasady, bez względu na to, z kąd pochodzą i w jaki sposób na jaw występują. Nie od nas, ale od nieprzyjaciół chrześcijańskiej doktryny, będzie zależał sposób naszego pisania: polemiczny lub spokojny; dopóty bowiem nie złożymy broni, dopóki na polu walki będzie choć jeden przeciwnik.

„Nietylko jednak chcemy bronić lub obalać, ale także budować, a budować na podstawie takiej, jaką jest Jezus Chrystus i Jego nauka. Jesteśmy katolikami — to nasze imię, potem jesteśmy Słowianami — to nasze nazwisko. Tytuł naszego czasopisma streszcza cały nasz program, w tytule zaś tym mianujemy się rzymsko-katolikami. Wiek XIX., wiek absolutnych narodowości, uznaje katolicyzm francuski, katolicyzm niemiecki, pragnie uszczęśliwić wszystkich Słowian narodowo-słowiańskim katolicyzmem², słowem, chciałby podzielić jeden i niepodzielny Kościół Chrystusowy na mnóstwo narodowych kościołów. Dlatego też z tem większą i gorętszą miłością, jako posłuszne dzieci, zwracamy wzrok nasz ku opoce katolickiej jedności, tj. ku Rzymowi“.

Oto sztandar, jaki wywiesza powyższe czasopismo, drogowskaz, jaki sobie obiera. Przypatrzmy się teraz pociskom, miotanym przezeń nie przeciw osobistym wrogom, ale przeciw nieprzyjaciółom wiary i Kościoła. Przypatrzmy się, w jaki sposób usiłuje ono szerzyć i popularyzować idee, które powinnyby jaśnieć jak nić złota w tkance wszechświatowych dziejów, w nich bowiem spoczywa najpewniejsza rękojmia szczęścia i rozwoju społeczeństw.

¹ Por. zeszyt ze stycznia, str. 134.

² Propagandy tej dokonywa wśród Słowianów dziennik: *Slovanski Svet*.

Wprowadzie szczeruple rozmiary *Rimskiego Katolika*, wydawanego co miesiąc w dwuarkuszowych zeszytach, nie pozwalają na obfity zasób treści, to jednak, co jest, odpowiada najzupełniej swemu celowi.

Naczelne miejsce wśród artykułów obszernych przyznać należy pracy autora, podpisanego głoskami J. J.: *Norodobna veda — pa Aristotel in Tomaż Akvinski* (Nowożytna wiedza oraz Arystoteles i Tomasz z Akwinu). Autor szkicuje tam treściwie główne zarysy filozofii Arystotelesa i św. Tomasza w porównaniu, albo raczej w przeciwstawieniu z późniejszymi filozoficznymi prądami. Przedstawia, że pierwsza jest nierównie prostszą i naturalniejszą, niż poglądy, do jakich doszli nowsi myśliciele, którzy wzięli stanowczy rozbrat ze starą perypatetyczno-scholastyczną szkołą. Zpomiedzy filozofów, którzy odrzucili twierdzenia Arystotelesa i św. Tomasza, wymienia najprzód Kartezjusza (Descartes), którego podstawowe pewniki uważa za apryoryczne, pozbawione przekonujących dowodów, mgliste i niejasne. Pokrewnym Kartezjuszowi pod względem wolnego, subiektywnego badania, był Luter; obu też tym ludziom należy w pewnej mierze przypisać, że w dziejach filozofii nastąpiła powoli epoka rozkładu. Po zuchwałem wzgardzeniu filozofią Arystotelesa i św. Tomasza, którą jak niepotrzebny sprzęt oddano do składu rupieci, nastąpił prędki upadek, staczanie się do materyalizmu i nihilizmu. „Na czele idealistów niemieckich — ciągnie dalej autor — stanął niebawem Kant, którego sceptyczna krytyka odcięła zupełnie filozofię od świata realnego, a tem bardziej od wszelkich prawd nadprzyrodzonych. Nadto wypowiada on filozoficzne swe teorie w sposób tak niejasny i tajemniczy, że sami nawet jego zwolennicy niezupełnie go rozumieją. Sybilistyczna zaś ta tajemniczość przebija się jeszcze bardziej w teoriach następców i uczniów Kanta, którzy filozoficzne jego mrzonki do krańcowych rozwinęli granic. Wreszcie nihilizm heglowski został jaskrawo odświeżonym i praktycznie zastosowanym przez Hartmanna, w sposób zabójczy dla ducha ludzkości“.

Tu autor zastanawia się nad wpływem niemieckiego idealizmu na prąd myśli w innych krajach i przechodzi do wręcz przeciwnego pozytywizmu, który jednak, podług niego, jest niczem więcej, jak następstwem krańcowych wniosków idealistycznego mędrkowania. Za głównych przedstawicieli pozytywizmu poczytuje Bakona Werulamskiego i Locke'a, twierdząc, że ten ostatni jest tem w pozytywizmie, czem Kant w idealizmie. Krańcową odroślą tak pojętego pozytywizmu czyli empiryzmu jest, podług autora, sensualizm, a za nim materyalizm, który zawdzięcza swe istnienie filozofom francuskim z ubiegłego stulecia, i przeni-

knąwszy rychło całą niemal Europę, mniej lub więcej panuje w naszym wieku. Dzieje najnowszej filozofii w Niemczech, Francyi, Anglii i innych krajach, uczą nas, że idealizm i pozytywizm stanowią charakterystyczną oznakę współczesnego myślenia, o ile ono zbacza od tradycyjnej filozofii.

Następnie autor rozbiera dość szczegółowo zasady atomizmu, przyznając mu doniosłe znaczenie w dziedzinie nauk przyrodniczych, ale odmawiając stanowczo głosu w filozoficznej kwestyi początku i istnienia ciał. Dopóki atomizm jest brany ze stanowiska przyrodniczego, dopóty średniowieczny tomista i nowoczesny chemik mogą być w zupełnej ze sobą zgodzie, walka zaś między nimi rozpoczyna się wtedy, gdy uczony późniejszej doby zacznie poczytywać atomy za pierwotną przyczynę wszelkiego bytu. W oczach krańcowych atomistów znika dusza i Bóg, cały zaś świat realny redukuje się do materji i praw przyrodzonych. Zdanie to o atomistach ilustruje autor słowami Büchnera: *Es gibt keinen persönlichen Gott, es existirt bloss die Materie und die nothwendigen Naturgesetze.*

W dalszym ciągu swych uwag nad atomizmem, zaznacza autor szkodliwy jego wpływ na psychologię i na socyologię, gdzie mówi wiele dobrych rzeczy, ale może naciągniętych, skoro od atomizmu wywodzi i dzisiejszy socyalizm, a nawet nihilizm Bakunina.

Łatwo się domysleć z całego toku tej pracy, że autor zamyka ją życzeniem, aby nowożytni myśliciele wrócili do zasad Arystotelesa i św. Tomasza, skoro cały materyalizm i nihilizm są nieuchronnem następstwem zboczenia od tych zasad, bo jedna nieznaczna omyłka w założeniu może sprowadzić cały szereg fałszywych wniosków. *Error in principiis minimus, est in consequentiis maximus.* Rany, zadane ludzkości przez nowożytne mylne i zgubne teorye, są bardzo groźne, a nawet śmiertelne, potrzeba więc na nie radykalnego lekarstwa, które znaleźć się może jedynie w arystotelesowsko-tomistycznej filozofii.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad powyższym artykułem, ponieważ porusza on niektóre zagadnienia, będące najbardziej na czasie. Teraz zaś szybszym krokiem przebiegniemy resztę kartek *Rimskiego Katolika*.

W Listach do bezwyznaniowca o najważniejszych kwestyach filozoficznych i religijnych (*Pisma brezwera o najvažniejszych filozofijskikh i werskikh cprašanijih*), dr. Mahnić dowodzi nader przekonująco istnienia wolnej woli w człowieku. W artykule zaś: *Metafizika spolne ljubezni* (Metafizyka zobopólnej miłości) występuje przeciw pesymistom i naru-

ralistom, usiłującym zniżyć miłość do poziomu czysto zmysłowego popędu, i staje w obronie tego najpiękniejszego, jak mówi, uczucia, które pojęte w duchu chrześcijańskim, stanowi dla społeczeństwa moralną dźwignię, dla poety zaś źródło prawdziwego natchnienia. Na tem miejscu wymienić także musimy paralełę pomiędzy Petrarcką a słoweńskim poetą, Prešernem. *Ljubezen v Petrarkovih rimah z ozirom na slovenskega lirika-preraka* (Miłość w rymach Petrarki z uwzględnieniem pierwszego słoweńskiego poety). Autor porównywa tu ustępy z sonetów Petrarki i lirycznych poezyj Prešerna, wykazując wyższość pierwszego ponad drugim pod względem religijnego zapatrywania się na uczucie. Obu tym artykułom, dość starannie opracowanym, to chyba tylko pozostaje do zarzucenia, że w czasopiśmie, poświęconem wyłącznie obronie wiary i Kościoła, stanowią one niezbyt potrzebny balast.

Natomiast bardzo cennymi są Listy o wychowaniu (*Pisma o vzgoji*), wyszłe spod pióra niezmordowanego d-ra Mahnič'a, a których druk w ubiegłych rozpoczął się latach. Rocznik bieżący zawiera jeden tylko z tych listów, dotyczący wychowania kobiet. Kwestyę tę autor rozstrzyga naturalnie w duchu głęboko chrześcijańskim. Ponieważ Stwórca, dając światu w mężczyźnie przedstawiciela rozumu, w kobiecie zaś przedstawicielkę uczucia, wskazał przez to samo powołanie ich obojga, należy więc kształcić niewiastę zgodnie z wytkniętym jej przez Boga przeznaczeniem. Należy przygotować ją do tego, aby pozostawiawszy mężczyźnie działalność w życiu publicznem, ograniczyła pole swej pracy na domowem swem kółku i wpływała dodatnio na rodzinę, a przez nią na społeczeństwo. Dlatego też dr. Mahnič potępia bezwarunkowo przeciążanie dziewcząt w zakładach naukowych rozmaitymi przedmiotami, których następnie w życiu praktycznem nie będą mogły zużytkować. *Ne učenih — woła — ampak blagih, pobožnih, sramežljivih žensk nam je treba!* (Nie uczonych, ale zacnych, bogobojnych i skromnych niewiast nam potrzeba!). Niejedna też latka dostała się od autora kobietom „uczonym“, dla których z udaną naiwnością szuka technicznych nazw, zapytując, jak należy tytułować kobietę, która ukończyła kurs nauk filologicznych, matematycznych i t. p. — Trzebaby na to specjalnych studyów — dodaje złośliwie.

W rzędzie wybitniejszych artykułów, mieści się także rozprawka Ignacego Kralja o ruchu rewolucyjnym i nihilistycznym w Rosyi (*Revolucionarno gibanje na Ruskem. — Nihilizem*). Dzieje rewolucyjnych prądów w Rosyi dzieli autor na trzy główne okresy: Okres czysto politycznego rewolucyjnego ruchu od czasów panowania Katarzyny II., aż do śmierci

Mikołaja I. w r. 1855: okres krańcowego anarchizmu od 1855 aż do zamordowania Aleksandra II. r. 1881, a wreszcie trwający obecnie okres nihilistyczny. Zresztą, z nielicznymi wyjątkami, z innych zaczerpniętymi źródeł, praca ta jest, właściwie mówiąc, streszczeniem dwóch artykułów ks. Załęskiego, drukowanych w tegorocznym *Przeglądzie*. a przynajmniej na nich głównie się opiera.

Cechę otwartej polemiki z liberałami i bezwyznaniowcami noszą na sobie wszystkie artykuły wstępne *Rimskiego Katolika*, większa część literackich krytyk, oraz inne pomniejsze prace. Między innymi w artykule: *Kaj je prav za prav liberalizem* (Czem jest właściwie liberalizm), znajdujemy dzielną odpawę, daną przez d-ra Mahniča liberalnemu stronictwu. Jestto odpowiedź na twierdzenie d-ra Romiha, jednego z najzagorzalszych liberałów słoweńskich, który pisał niedawno temu, że liberalizm pochodzi od Chrystusa — On bowiem przyniósł wolność na ziemię. Błżnierzce to twierdzenie obala autor, dowodząc, że liberalizm jest żądzą wylamania się zpod prawa bożego; wolność zaś, jaką Chrystus obdarzył ludzi, polega nie na niepodległości, ale owszem na zupełnej zależności od Boga i Jego przykazań. Następnie analizuje obszernie wyniki liberalnego kierunku. „Rewolucya francuska — pisze — wypisała na swym sztandarze piękny wyraz *Liberté*, a jednak ona to właśnie zatarła we Francyi prawdziwą wolność, rozciągnęła swą tyranię nawet do ludzkiego sumienia, przesładując Kościół katolicki, i odebrała niemal rodzicom prawo wolnego rozporządzania wykształceniem swych dzieci“. W Niemczech, Austrii, Włoszech i Hiszpanii owocem liberalizmu, podług autora, stał się centralizm, ponieważ liberał i centralista znaczy jedno i to samo. Liberalizm wprowadził nowe prawo szkolne, które pozwala wydzierać dzieci z objęć rodziców i przemocą pędzić je do szkoły, wbrew wszelkim przyrodzonym i nadprzyrodzonym prawom. On również wytworzył w Europie nowy rodzaj niewoli, poddając zapomocą swego prawodawstwa ludność rolniczą i rękodzielniczą nielitościwej władzy kapitału. Jemu wreszcie przypisuje autor szybkie rozpowszechnienie się żydowsko-liberalnych dzienników, które demoralizują społeczeństwo i tyranizują opinię publiczną. Wreszcie dr. Mahnič charakteryzuje obszernie ujemny wpływ liberalizmu na szkolnictwo niemieckie, który odbiera tak nauczycielom, jak też i uczniom samodzielność myślenia i czyni ich machinami.

Bardzo zręcznem i starannem ujęciem przedmiotu odznacza się dział polityki (*Politični oddelek*). Rozpada się on na dwie części, z których pierwsza wyraża ogólny pogląd na cel i zadanie polityki, druga

zaś podaje najnowsze fakta, przedewszystkiem takie, które mają związek z losami Kościoła. W jednej z tych rozpraw o polityce w ogólności, autor zaznacza różnicę pomiędzy rodziną a państwem, uznając za obowiązek pierwszej wytwarzanie nowych członków społeczeństwa, pieczę o to wszystko, co sprzyja rozwojowi jednostek, składających rodzinę, oraz usuwanie wszystkiego, co rozwój ten tamuje. Państwo przeciwnie, powinno troszczyć się jedynie o bezpieczeństwo rodzin i dopomagać im do tego, aby się swobodnie same przez się rozwijały. Orężna więc obrona kraju i wymierzanie kary złoczyńcom, oto główne posłannictwo państwa. Działalność przeto rodziny możnaby nazwać twórczą, państwa zaś zachowawczą. Dlatego też autor wnioskuje, że państwo, biorąc na siebie wychowanie publiczne, gwałci prawa przysługujące rodzinie. Wniosek zaś swój popiera tem, że Anglicy, najdojrzałszy naród na świecie pod względem politycznym, zamiast poddać szkoły kierownictwu państwa, pozostawiają je pod kierunkiem rodziny i prywatnych stowarzyszeń.

Wśród wiadomości bieżących z dziedziny polityki, znajdujemy kilka ciekawych szczegółów z ruchu katolickiego w Czechach. Oto ponieważ staroczesi zaledwie okazują energii w popieraniu interesów katolicyzmu i wielu z nich skłania się do pewnego rodzaju kompromisu z młodoczechami, dlatego powstaje tam powoli stronnictwo czyste katolickie, mające bronić w tym kraju spraw religii i Kościoła. Stronnictwo to popierane jest gorąco przez katolicki dziennik *Čech*, którego współpracownicy, w liczbie trzydziestu kilku, tworzą tak zwaną ligę i z godnym uznania zapalem służą swojej sprawie. Jak najgorliwiej starają się oni neutralizować zgubny wpływ liberalnych i bezwyznaniowych organów prasy, a między innymi czasopisma *Zař* (Zorza), które dąży do wykorzenienia w społeczeństwie czeskiem, a szczególnie w niższych jego warstwach, wszelkich uczuć moralności i wiary.

I my Polacy znajdujemy w *Rímskim Katolíku* niejedną życzliwą o sobie wzmiankę. Naprzykład w artykule: *Težnje „Slocanskega Sveta“ proti estoku in njega kríci nazori* (Ciężenie *Slocanskega Sveta* ku wschodowi i mylnie jego poglądy), p. Mihaeljev gani surowo sympatyę tego słoweńskiego dziennika dla Rosyi i przytacza niektóre umieszczone w nim zdania, które w zupełnie fałszywem świetle wystawiają położenie Polaków pod rządem rosyjskim. Ponieważ *Slocanski Svet* głosi między innemi, że Polakom nigdzie nie jest tak dobrze i spokojnie jak w Rosyi, przeto p. Mihaeljev przytacza jako odpowiedź głównejsze fakta naszych dziejów od r. 1831 aż do ostatniej niemal deby,

kładąc szczególnie nacisk na prześladowanie katolicyzmu i Unii na Litwie i Podlasiu. Z wielkiem współczuciem wyraża się o kapłanach wygnanych na Syberję i z oburzeniem dodaje, że nawet obrazy Świętych muszą przechodzić przez cenzurę rosyjską. „Sam widziałem — mówi — reprodukcye cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, opatrzone napisem: *dozwólono cenzurować*“. Następnie poświęca słów kilka ks. biskupowi Hryniewieckiemu i kończy tem, że prześladowanie religii katolickiej w Rosyi zmierza do wydarcia Polakom jedynej podpory ich narodowości, jaką jest katolicyzm. „Najwymowniejszym i niezaprzeczonym dowodem ucisku — dodaje — którego polska katolicka ludność pod rządem rosyjskim stała się ofiarą, jest to, że Ojciec św. Pius IX. w liście apostolskim z dnia 17 października r. 1867 polecił modlić się na całym świecie za prześladowany Kościół w cesarstwie rosyjskiem i Królestwie Polskiem. *Vboga Poljska* — odzywa się wreszcie ze współczuciem p. Mihaeljev — *je prav v živo občutila staro rimsko prislovico: „Vae victis!“ Gorje zmaganim!*¹

Z drugiej strony *Rimski Katolik* podnosi z największem uznaniem odezwę ks. biskupa Sembratowicza i kilku posłów ruskich, którzy oświadczyli, że pragną oprzeć przyszłość Rusi na unii z Rzymem, i przytacza dosłownie zdanie wyrażone w tej mierze przez ks. Czerwińskiego w styczniowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego*.

Pozostaje nam jeszcze nadmienić w kilku słowach o artykułach lżejszej treści, których *Rimski Katolik* liczy niewiele i z których najlepszy nosi tytuł: *Spomini iz Pariza* (Wspomnienia z Paryża). Są to luźne kartki z podróży z Lourdes do stolicy Francyi, skreślone stylem lekkim i potoczystym i zawierające obok wielu ciekawych epizodów, dużo wzniosłych myśli i uwag.

Na tem kończymy nasze sprawozdanie z prac ogłoszonych w bieżącym roczniku *Rimskiego Katolika*. Sądźmy, że sama treść przytoczonych przez nas artykułów czyni zbytecznymi wszelkie komentarze i słowa uznania, służy bowiem za wymowny dowód wartości tego czasopisma, oraz pożytku, jaki musi przynieść swemu społeczeństwu.

Tytus Sopodźko.

¹ Nieszczęśliwa Polska odczuła dotykalnie na sobie stare rzymskie przysłowie: *Vae victis!* Biada zwyciężonym!



SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rozruchy rzymskie. — Zachowanie się prasy a rządu francuskiego. — Walka religijna we Węgrzech. — Projekt konfiskaty dóbr kościelnych. — Uchwały „Związku Ewangelicznego“. — Antypornograficzny kongres w Bernie. — Śmierć ks. biskupa Janiszewskiego. — Dwa pisma papieskie.

ROZRUCHY
RZYMSKIE.

Oddawna już pielgrzymki, dążące ze wszystkich stron świata do Watykanu, były cierniem w oku łoży, a tem samem i rządowi włoskiemu. Po śmierci Piusa IX. zapowiedziano uroczyscie, że era pielgrzymek już skończona; w pierwszych latach panowania Leona XIII. pocieszano się jeszcze, że manifestacye — chwilowy odblask dawnych tradycyj, ale w sobie niezbyt łatwe, bo i czasu i sporo pieniędzy na nie potrzeba — nie mogą długo potrwać; później, w roku kapłańskiego jubileuszu Papieża, spotkać się można było w każdym liberalnym dzienniku ze zdaniem: „Ostatni to konwulsyjny wysilek, ostatnie błysnięcie gasnącej świecy!“ Tymczasem przepowiednie nie ziszczały się; ledwie przedstawiciele jednego kraju, jednej warstwy społecznej opuszczali progi Watykanu, a już wstępowali w nie drudzy, te same powtarzając hołdy, coraz gorętsze zapewnienia wierności i protesty przeciw zaborowi kościelnego państwa. W ostatnich tygodniach, liczniej niż kiedykolwiek, nadciągać

poczęli pobożni pątnicy; z powodu trzechsetletniego jubileuszu św. Alojzego powzięto i przeprowadzono piękną myśl międzynarodowej pielgrzymki młodzieży katolickiej; hr. de Mun i Leon Harmel przyprowadzili zastępy, około 20.000, francuskich robotników; Hiszpanie, Amerykanie zapowiedzieli swe przybycie. Jak przerwać, zakłócić ten tryumfalny pochód, który z dnia na dzień coraz świetniej się rozwijał, z roku na rok nie słabnął, lecz wzmagał się? Nie mając, czy nie umiejąc użyć innych sposobów, ucieknięto się do brutalnych ekscesów; użyto doświadczonej w dziejach Zjednoczonych Włoch garybaldowskiej taktyki, której ostatniem słowem, wywołać samemu burdę, aby później ogłosić bitych i zaczepionych za nieprzyjaciół porządku, a dla przywrócenia i utrzymania zamaćonego przez siebie samego porządku, nie cofnąć się już przed żadną tyranią, żadnem bezprawiem.

Pretekstu do zgóry przygotowanych i opłaconych burd dostarczył, bo dostarczyć musiał, pierwszy lepszy drobny wypadek, na który kiedyindziej niktby nie zwrócił najmniejszej uwagi. Drugiego października, w rocznicę słynnego w historii plebiscytu, którym Rzymianie oświadczyli się wrzekomo za rządami Wiktora Emanuela, zwiedzała pewna grupa pielgrzymów francuskich Panteon, w którym złożone są zwłoki założyciela jedności włoskiej. Obok trumny leży księga, gdzie zwiedzający zapisują swe nazwiska: księga ta obok nazwisk mieści rozmaite uwagi i dodatki, nie zawsze pochlebne dla Wiktora Emanuela, czasem tak niepochlebne, że uważano za stosowne wydrzeć pewną liczbę kart. Napisy, jak: „Niech żyje Papież!“, „Niech żyje Leon XIII.“ i t. p., powtarzają się często, ale kart z tego rodzaju napisami nie usuwano, bo należałoby chyba całą książkę usunąć. Nie dziwnego, że trzech, jak rozgłoszono z początku, a jak ostatecznie się pokazało, jeden tylko z pielgrzymów, niejaki p. Dreux, poszedł w ślady swych poprzedników i napisał, podobno po trzykroć: „Niech żyje Papież!“, dodając nadto obok wyrazu „Papież“ literę *R*, inicjał od *roi* — król. Nie wiedział i nie domyślał się, że umyślnie postawiony agent zważa pilnie

na każdy wyraz, każdy gest niemal, aby skorzystać z najbliższego pozoru i dać hasło współnikom.

„Nagle — opowiadał redaktorowi dziennika *le Gaulois* prezes stowarzyszenia katolickiej młodzieży francuskiej, wice-hrabia R. de Roquefeuil — powstaje jakiś zgiełk: strażnicy zatrzymują jednego z pielgrzymów. Cóż takiego się stało? Zbliżamy się: inny pielgrzym protestuje przeciw zaareztowaniu kolegi, do nich przyłącza się trzeci; arestują i tych obu. Rozchodzi się szybko pogłoska, że rzucono — co jest wręcz kłamstwem — obelgi na króla, że umieszczono krzywdzące napisy w księdze, złożonej obok grobu.

„Ledwie parę chwil upłynęło — ważny to szczegół i z naciskiem go podnoszę — a już rozlepiano plakaty z opisem całej sprawy. Dzienniki wydają dodatki z olbrzymimi tytułami: „Pielgrzymi lżący króla“. W przeciągu godziny dodatki te i plakaty mnożą się w nieskończoność: lud je sobie wrywa i grozi śmiercią pielgrzymom francuskim. Biją nas pięściami, laskami, zatrzymują powozy, wybijają kamieniami okna hotelów, w których zamieszkaliśmy i t. d....

„Co ściągnęło na nas te zniewagi? W każdym razie nie napis: „Niech żyje Papież!“: właściwą ich przyczyną, to zupełne *fiasco* uroczystości, urządzonych 20 września, w rocznicę zaboru Rzymu. Chodziło tu o zemstę. Rybacy łowiący w mętnej wodzie, patrzyli ze zdziwieniem na tysiące Włochów: biedaków, urzędników, mieszczan, którzy łączyli się z pielgrzymami i wspólnie z nimi składali Papieżowi hołdy, o jakich dotąd nie miano wyobrażenia: dziwili się, gniewali i chwycili się pierwszej okazji z brzegu, nie zważając, że swym gniewem bardziej Rzymowi, niż nam szkodzą.

„Jeśli przerwiemy nasze pielgrzymki, coż poczną ci, którzy z nich żyją, tj. co pocznie niemal cała ludność rzymska? A trudno przecież żądać, żebyśmy chcieli zabierać znajomość z włoskimi kamieniami, którymi nas po hotelach częstowano, z którymi zaznajomiliśmy się np. w Pizie, gdzie na nasze wagony padał formalny deszcz kamieni“...

Jeden z uczestników austriackiej pielgrzymki dodaje w swym

opisie, umieszczonym w wiedeńskim *Vaterland*, kilka szczegółów, lepiej jeszcze charakteryzujących barbarzyński napad na bezbronnych cudzoziemców:

„Kilkuset opryszków z nakrytymi głowami, z nieludzkim krzykiem, wpadło do Panteonu, nie zważając bynajmniej na znajdujący się tu Przenajśw. Sakrament. Ztąd rzuciła się ta horda na leżące w sąsiedztwie hotele... Gdzie zjawiała się sułtana, gdzie po ubiorze, po mowie poznano cudzoziemca, tam podnosiły się pięście i kije, leciały kamienie. Opowiadano mi nie wiem, czy zgodnie z prawdą, że dwóch pielgrzymów porażono nożami... Przybyłych dopiero co do Rzymu, jadących z kolei pielgrzymów, witały gromady ludzi, wyjąc i gwizdząc; śmielsi wskakiwali na stopnie powozów, zwieszali się z tyłu i obсыpywali nieprzygotowanych na takie przyjęcie, długą drogą zmęczonych, razami i obelgami... Groźne okrzyki podwajały się przed sklepami znanych stronników papieskich; z okrzykami rzucono w okna kamienie... Radykalne związki przeciągały po ulicach z muzyką, wśród piekielnego wrzasku; dopiero koło północy nieco się uspokoiło“.

Antykatolickie żywioły, czując popuszczone sobie cugle, nie mogły się zadowolnić jednodniową pohulanką. Rząd wprowadził na jeden tylko dzień manifestację zorganizował¹; radby był nawet prawdopodobnie, żeby się były na jednym dniu ograniczyły — ale łatwiej pożar wzniecić, niż go ugasić. W Pizie, Genui, Turynie przyjmowano wracających z Rzymu Francuzów plwocinami i kamieniami; w Bolonii udekorowano posąg Bonifacego VIII. trójkolorowym sztandarem; w Liworno do demonstracji antypapieskich przyłączyły się naturalnym rzeczy porządkiem i antymonarchiczne: ilekroć muzyka zagrała hymn

¹ Rzymskie dzienniki katolickie opowiadają w tym względzie charakterystyczną anegdotkę: W sobotę, nazajutrz po rozruchach, zjawił się w kolegium Propagandy posłaniec z biura telegraficznego, z depeszą do jednego z pielgrzymów, który już Rzym opuścił. Stosownie do daty, depesza powinna była być wręczoną już dnia wczorajszego w godzinach popołudniowych. „Dlaczegoż — zapytano posłańca — wczoraj nie przyniosłeś telegramu?“ — „Oh! wczoraj — odpowiedział tenże dobrodusznie — wczoraj mieliśmy przecież urlop, żeby manifestować przeciw pielgrzymom“.

królewski, demonstrujący zwijali i zniżali swe sztandary, a rozwijali i podnosili je dopiero, gdy odezwały się dźwięki hymnu garybaldowskiego; w Weronie przedefilowała po ulicach procesja liberalnych stowarzyszeń wśród arcynieliberalnych okrzyków: „Śmierć Papieżowi! śmierć klechom! precz z Watykanem!“ Stowarzyszenia stolicy nie chciały się oczywiście dać ubiedz prowincyi. Garybaldecyzy uchwalili umieścić w Panteonie kamienną płytę z napisem, uwieczniającym „drugi wspaniały plebiscyt ludu rzymskiego“. Tymczasem urządzono, zapożyczając świętokradzko nazw kościelnych, „procesyę zadośćczyniącą“ do Panteonu; cały kościół załały antyklerykalne związki z ohydnyemi swemi chorągwiami; przywódcy wygłaszali w kościele przemowy, z których uśmiechy się można, gdyby śmiechu nie tamowała pamięć na ich przedmiot, na świętość miejsca:

„Idź precz, usuń się — wołał garybaldeczyk, kapitan Lucchesi — odpełnij zatruta, samolubna gadzino międzynarodowego klerykalizmu, lekliwa a złośliwa sekto! Okrzyk gniewu, przez całe Włochy wyrzucony, niech ci odpowie na podłą zniewagę, na której naprawę niedość stosu, przygotowanego niegdyś dla nolańskiego filozofa“.

W podobnym tonie, równie gorące zbierając oklaski, przemówił adwokat Grotanelli:

„Watykan, Watykan paplający o braterstwie ludów, rzucił rękawicę, którą podjął lud włoski. Sława w imieniu wszystkich młodzieńców, cześć weteranom, stojącym na straży Panteonu, który odtąd zmienić się winien w świątynię wyłącznie włoską. W świątyni tej obejdzie się bez świeczek, postawionych przez dewotki, bez ochryplej psalmadyi księżej. Niemasz miejsca dla Świętych tam, gdzie spoczywa Wiktor Emanuel. Wy, coście tu przyszli zakłócać pokój tej świątyni, rzućcie sobie zasłony na waszych Świętych. Nino Bixio miał rację, oświadczając, że należało ustawić armaty naprzeciw Watykanu i z ziemią go zrównać“.

FRANCA A RZĄD
FRANCUSKI.

Z okrzykami przeciw Watykanowi, mieszały się nieraz we wszystkich tych manifestacjach okrzyki przeciw Francyi i Francuzom. Niemile to łechtać musiało narodową

dumę francuską i temu to, obrażonemu patryotycznemu uczuciu głównie bodaj przypisać należy, że cała, bez wyjątku, prasa francuska stanęła po stronie pielgrzymów, a wszelką winę i odpowiedzialność zwała na złą wolę rządu włoskiego. Trudno ją było zresztą zważyć na kogo innego, kiedy *Tribuna*, organ włoskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, wyznała bez rumieńca wstydu, że wypadki z 2 października były zdawna obmyślaną i przygotowaną nauczka dla Francyi i Watykanu; kiedy równie w Rzymie, jak w Paryżu, powtarzano sobie głośno, że Menotti Garibaldi otrzymał jeszcze w ostatnich dniach września uroczyste zapewnienie od podsekretarza w ministryum spraw wewnętrznych, De Lucca, że sam rząd postara się o demonstracye przeciw pielgrzymom francuskim. „Dziś — pisze *la Lanterne*, a wtórują jej także dzienniki z radykalnego i oportunistycznego obozu, jak: *le Voltaire*, *le Rappel*, *l'Eclair*, *la Paix*, *le Temps* — dziś, gdy wiemy już czego się trzymać, gdy nawet najmniej dla prawdy w tym kierunku przystępne umysły są w stanie ocenić, na kogo spada odpowiedzialność za panteoński skandal, i dziś jeszcze odzywają się we Włoszech w imieniu króla Humberta, wrogie Francyi okrzyki, a rząd włoski przysłuchuje się im z filozoficznym spokojem... Nam zdaje się, że dość już tego i że ostatni czas, aby rząd francuski uznał za stosowne przywołać rzymski gabinet do lepszego zachowywania międzynarodowych obowiązków“.

Smutne to, że rząd francuski, czy z braku zorientowania się w pierwszej chwili, czy z niezrozumiałej jakiejś małoduszności, czy wreszcie dlatego, aby go ktoś o sprzyjanie Kościołowi nie posądził — zasłużył sobie w pełnej mierze na tego rodzaju i o wiele ostrzejsze napomnienia, których mu nie poszczędziły dzienniki wszelkich odcieni. Minister Faillières wydał do biskupów francuskich okólnik, zakazujący im brać na przyszłość udział w rzymskich pielgrzymkach robotników; minister Rouvier, w dwa dni po rzymskich rozruchach, które zatem już mu nieznane być nie mogły, nie zawahał się stanąć w Nicei przy odsłonięciu pomnika Garibaldiiego i sławić włoskiego kondotiera, jako niezmordowanego rycerza walczącego za sprawiedliwość, oswobodziciela ludów, obrońcę narodów, zdobywcę królestw, bo-

hatera dwóch światów. Samozwańcemu przedstawicielowi francuskiej prasy, Deloncle, wolno może było wносить toasty na cześć „nietykalnego Rzymu“; ale kto upoważnił — pytają słusznie Francuzi — naszego ministra do wybijania przed Włochami tych chińskich, a w tej zwłaszcza chwili tak niestosownych, wręcz kompromitujących poklonów?

Z obawy przed gorszymi następstwami odwołać musiano narazie zapowiedziane już na najbliższe tygodnie pielgrzymki. Organizatorowie rzymskich manifestacyj nie zadawalniają się jeszcze oczywiście tem, w stosunku do podjętych wysiłków i kosztów, zbyt drobnem zwycięstwem; radziby je wszechstronniej i gruntowniej wyzyskać. Menotti Garibaldi rzucił hasło: „Precz z prawami gwarancyjnemi!“ — deputowany Rudolf Rossi w lot hasło to pochwycił i wystosował następującą interpelację, ciekawą, bo wypowiedzianą w niej bez ogródek najbliższy cel, jaki sekta sobie we Włoszech wytknęła:

„Niżej podpisany zamierza zainterpelować prezesa ministrów, ministra sprawiedliwości i ministra spraw wewnętrznych, odnośnie do wypadków zaszłych w Rzymie, w czasie ostatniej pielgrzymki, i zapytać rządu, czy i w jaki sposób gotów jest wystąpić przeciw politycznym, stronnicyzmem agitacyom, które nadużywając religii katolickiej, wprowadzają zabobon i fanatyzm klerykalny do walki przeciw całości i bezpieczeństwu państwa; tudzież, czy rząd nie sądzi, że nadeszła odpowiednia chwila do zapobieżenia dalszym krzywdom i obelgom rzucanym na włoską ojczyznę, bądź to zapomocą polityki kościelnej, opartej na zasadzie wolności sumienia i równouprawnienia wszystkich kultów i dążącej do utworzenia ściśle włoskiego, nie potrzebującego się oglądać na watykańską opozycję, kleru parafialnego; bądź przez zniesienie prawa gwarancyjnego i § 1 artykułu 1, § 2 artykułu 28, i § 1 artykułu 33 włoskiego statutu.

Rudolf Rossi, poseł.

WALKA RELIGIJNA
WE WĘGRZECH.

W innych rozmiarach, przeciw innym przeciwnikom, z odmienną taktyką, ale bez wątpienia bardzo też ciężka i niebezpieczna walka kościelna. toczy się w tyłu już

innemi walkami zgnośćbionem królestwie węgierskiem — niegdys (bo dziś nazywaćby je tak można chyba przez ironię) królestwie „maryańskiem“, królestwie św. Szczepana. Były prezes węgierskiego ministryum, Koloman Tisza, „kalwiński papież“, jak go i w Peszcie i we Wiedniu powszechnie nazywają, wystąpił w publicznej mowie, wypowiedzianej na kalwińskim synodzie w Papa, z własnym swym kandydatem na opróżnioną stolicę węgierskich — nie kalwińskich, ale katolickich — prymasów. Kandydatem tym jest arcybiskup z Jagier (Erlau), dr. Samassa, szczególny ulubieniec liberalnych dzienników, które dość nachwalić nie mogą jego tolerancyi, miłości pokoju, względności dla innych wyznań, starań o zgodę między państwem a Kościołem. Nie wchodząc w odpowiedź na pytanie, czy i o ile dr. Samassa zasłużył sobie na tego rodzaju i z takiego źródła płynące pochwały; czy z jego lub nie z jego winy pochodzi, że taki Ugron śmiał publicznie w parlamencie go słać — abstrahując od tego wszystkiego, to bądźco bądź, urzędowe niejako mieszanie się kalwinów, i to w imię kalwińskich sympatyj i interesów, w kwestyę oboru katolickiego prymasa, jest oryginalną, smutną ilustracyą węgierskich stosunków.

Na kalwińskim synodzie w Miskolcz, poddał pod obrady rewolucjonista z 1848 r., Ludwik Mocsaý, innego rodzaju wniosek; zażądał mianowicie ni mniej ni więcej, jak tylko, aby ścisłe i wyłącznie katolickie fundusze rozdzielić w równej mierze między wszystkie przez rząd uznane chrześcijańskie wyznania. Podobny wniosek, dążący wprost do brutalnej, rewolucyjnej konfiskaty kościelnych majątków, postawiono i na kalwińskim synodzie w Debreczynie. Dotąd — co prawda — wnioski te, zbyt prędko i jawnie odsłaniające dalsze zamiary protestantów węgierskich, nie znalazły nigdzie przychylnego odgłosu; sami nawet kalwini wstydzą się ich i wypierają. Redagowany przez kalwinów organ hr. Apponyiego, *Pesti Naplo*, piętnuje mowę Mocsaýego, jako wyraz „przesiąkniętego samolubstwem komunizmu, który katolickiemu Kościołowi we Węgrzech zazdrości prawnie posiadanego majątku, a wystawiwszy sztandar religijnego równo-

uprawnienia, podjudza w protestanckich kołach do brutalnego naruszenia najświętszego prawa, prawa własności... Nadmiar to cynizmu..., wypowiedzenie religijnej wojny; bo czyż kto, w trzeźwym pozostając stanie, może sobie wystawić, aby węgierscy katolicy mieli się spokojnie przypatrywać, jak im własne ich, kościelne majątki zabierają, jak obdarzają protestantów dochodami z katolickich fundacyj; czyż może sobie wyobrazić, aby na ten widok w uczuciach swych, interesach i prawach dotknięci nie rozwinęli do ostatnich granic idącego oporu?" Niemniej ostro wystąpił przeciw Mocsáry'emu urzędowy, przez żydów redagowany, *Pester Lloyd*: „Wszystkie stronnictwa, wszystkie wyznania zastrzedz się i protestować muszą przeciw nierozumnemu temu, nietaktownemu wezwaniu do walki“. Ale protestując przeciw niedyplomatycznemu krokowi Mocsáry'ego, nie mają też same dzienniki ani słowa nagany dla starszego i młodszego Tiszy, którzy domagają się, aby rząd odjął katolickim funduszom szkolnym wszelką wyznaniową cechę, i wedle własnego uznania, na korzyść tych lub innych szkół nimi rozporządzał. Czem żądanie to różni się od żądania, wypowiedzianego w Miskolcz, odgadnąć trudno, i prasa katolicka napróżno usiłuje rozwiązać tę łamigłówkę. Tisza mówi wprawdzie zazwyczaj spokojnie, chroni się zbyt gwałtownych frazesów; Mocsáry kocha się w jaskrawszych barwach, używa wyrazów brzmiących, dobitnych — ale czyż ta jedyna różnica wystarczyć może do wytłumaczenia, dlaczego węgierska prasa i opinia zajęła tak odmienne stanowisko względem dwóch tych, w gruncie identycznych projektów?

UCHWAŁY
«ZWIAZKU EWANGELICZNEGO».

Niemiecki „Związek Ewangeliczny“ zebrał się w pierwszych dniach października na obrady w Kassel, i wedle dawnej tradycyi, zajmował się głównie Kościołem katolickim. Na sześć uchwalonych rezolucyj, trzy odnoszą się wyłącznie do zwalczania katolicyzmu. W pierwszej, „Związek“ protestuje przeciw prozelityzmowi katolików, którzy na wszystkie strony, nawet w czysto protestanckich okolicach, organizują swe kongresy, zebrania, nabożeństwa, procesye; honorowym obowiązkiem niemieckich protestantów — czytamy w rezolucyi —

nie brać we wszystkich tych manifestacyach choćby najmniejszego udziału; stać mężnie a otwarcie zdaleka od wszystkiego, co pomnożyłoby mogło wpływ Rzymu, a zaszkodzić wielkiemu dziełu reformacyi. Druga rezolucya zwraca się przeciw wpuszczeniu Redemptorystów do Niemiec:

„Zważywszy, że zakon Ligoryanów, czyli Redemptorystów, jest niezawodnie, wbrew i pomimo wszelkich protestów i zaprzeczeń, spokrewnionym z zakonem Jezuitów przez swe konstytucye, zakonne śluby, a zwłaszcza przez zasady, prawdziwej moralności wrogie: piąte ogólne zgromadzenie Związku Ewangelicznego oświadcza, że te same zasadnicze powody, które nakazują zamknięcie granic państwa niemieckiego przed Jezuitami, domagają się również zamknięcia ich dla zakonu Redemptorystów, i oczekuje przeto w sprawie tej tak doniosłej dla utrzymania wyznaniowego pokoju, iż Rada związkowa uchyli stanowczo wniosek bawarski, dążący do otworzenia granic niemieckich dla tego zakonu“.

Trzecia, jeszcze charakterystyczniejsza rezolucya, występuje do boju z tegorocznem wystawieniem szaty Chrystusowej w Trewirze. Związek wyraża zdziwienie i boleść, że rząd pruski udzielił swego przyzwolenia na uroczystości w Trewirze, „przyczyniające się w tak wysokim stopniu do przemiany religii ducha i prawdy, na religię ogłupiającego zabobonu, który przekuwa lud katolicki na ślepe narzędzie w ręku watykańskiej hierarchii“.

Niemiecka katolicka prasa zapisała te rezolucye bez komentarzów; choć wartoby może umieścić obok nich pełne rycerskiej uprzejmości przemowy katolików w Gdańsku, gdzie jedno, jedyne zdanie, nieco ostrzej przeciw protestantom zwrócone, wywołało natychmiast surową naganą. Widocznie „Związek Ewangeliczny“ czuje, że grunt mu się coraz szybciej zpod nóg usuwa i konwulsyjnie, przytomność nawpół utraciwszy, rzuca się i miota: inaczej trudnoby zrozumieć te desperackie, litość wzbudzające wysiłki, te nieustanne napady na Kościół katolicki, kiedy nowożytnie pogaństwo, socyalizm, codzień straszniejsze, bez oporu, bez walki szerzą w protestantyzmie spustoszenie.

ANTYPORNOGRA-
FICZNY
KONGRES.

Moralnemu spustoszeniu, szerzonemu nie w jednym mieście lub prowincyi, ale w całych krajach, pomiędzy wszystkimi warstwami ludności, przez pornograficzne książki, dzienniki, obrazy — starał się zapobiedz, starał się przynajmniej na tę zarazę zwrócić baczniejszą uwagę i rządów i wszystkich, dla których słowo „cnota“ i „moralność“ ma jeszcze znaczenie, obradujący w Bernie w pierwszych dniach października szwajcarski kongres antypornograficzny. „Złe książki, romanse, niemoralne dzienniki — mówił prezes kongresu, p. Nof, zagajając obrady — szerzą się w przerażających, wciąż nieproporcjonalnie rosnących rozmiarach; dostać ich nieraz można u bram szkół i konwiktów, utrzymywanych przez państwo. Przeciw tej dżumie podać sobie musimy wszyscy ręce, i nie wątpię, że równie prasa, jak rząd i opinia publiczna zechcą usiłowaniom naszym wedle możliwości dopomagać“. Z szczególną siłą zwróceno się przeciw napływającym z Francyi w najwyższym stopniu niemoralnym, a za bajecznie taną cenę sprzedawanym powieściom. Pornograficzne obrazy i fotografie nadchodzą głównie z Wiednia, Berlina i Amsterdamu. Belgia zamknęła już swe granice dla kilku przynajmniej z najobrzydliwszych dzienników; dlaczegóż — pytano słusznie — i inne państwa nie mogłyby jej naśladować: dlaczegóż, gdy walczymy np. z pijaństwem, gdy państwo zakazuje trucizny sprzedawać — lękamy się wystąpić śmiało do boju z tem złem, niebezpieczniejszem chyba w swych następstwach od alkoholu, od trucizny, od fałszowanego mleka lub piwa? Osobna, z łona kongresu berneńskiego wydelegowana komisya, zająć się ma zwołaniem międzynarodowego kongresu antypornograficznego i praktycznem przeprowadzeniem uchwalonych już wniosków. Komisya energicznie widać wzięła się do spełnienia poruczonego sobie zadania, bo dziś już wskazać może na pewne owoce swej pracy: genewski zarząd kolejowy zakazał sprzedaży na dworcach 24 najniemoralniejszych dzienników i kalendarzy; zarząd kolei Jura-Simplon wyrzucił również z bibliotek kolejowych znaczną liczbę niemoralnych publikacyj. Kiedyż zarządy naszych kolei pójdą za tym przykładem i przeprowadzą gruntowną rewizję kolejowych bibliotek? — same się zadziwia,

jakie tam znajdują *monstra*, przeciwne nawet ustawom o publicznej moralności. Przy tej sposobności zwracamy uwagę, że niedawno urządzone wypożyczalnie książek po głównych dworcach austriackich gwałtownie domagają się takiej rewizyi, nawet — według naszego przekonania — z punktu ustawy. Udało się przecież zarządom kolei wprowadzić na dworcach dobre i zdrowe wino; czemużby się nie miało udać wprowadzenie przyzwoitych, dających się dotknąć bez szczypców książek?

ŚMIERĆ KS.
BISKUPA JANI-
SZEWSKIEGO.

Z Gniezna doszła nas pod datą 11 b. m. nader bolesna dla całego polskiego Kościoła wiadomość o nagłej śmierci dawnego poznańskiego sufragana, ks. Jana Chryzostoma Janiszewskiego. Prasa codzienna podała już wyczerpujące sprawozdanie o jego życiu i działalności. Tym, co mieli szczęście nieco bliżej go poznać, niepodobna pohamować głębokiego żalu, że mąż, obdarzony tak wyjątkowymi zdolnościami do rządów, taką energią z rozsądkiem złączoną, nie mógł w biednym kraju naszym należycie rozwinąć tych tak u nas rzadkich, a tak nam potrzebnych, od Boga sobie użyczonych darów. Zdolność tę administracyjną znano dobrze i wielkie na niej pokładano nadzieje równie w Poznaniu, jak w Watykanie. Jako jeden dowód na to, służyć może następny, nieznaný dotąd w szerszych kołach szczegół. Gdy ś. p. ks. Janiszewski opuścić musiał Poznańskie, po wycierpieniu dwuletniego więzienia, i zamieszkał w Galicyi, powstała w nim myśl wyłącznego poświęcenia się Bogu w zakonie Towarzystwa Jezusowego. Myśl tę ukochał serdecznie, uczynił do jej urzeczywistnienia wszystkie potrzebne kroki; ale w Rzymie nie tracono wówczas nadziei, że tak znakomitą, wyjątkową siłę spożytkować będzie jeszcze można przy kościelnych rządach w Poznańskim, i dlatego odmówiono stanowczo usilnym, gorącym prośbom. Mając sobie z ręki wydarty pastorał, nie mogąc, jak pragnął, jako pokorny zakonnik żyć pod posłuszeństwem i szerzyć chwałę Bożą, przykładem zakonnego poświęcenia i tak zawsze wymownem słowem — chwycił za pióro, aby niem przynajmniej uczyć, kierować, apostołować. Jeszcze w ostatnich miesiącach, gdy już choroba, która

nagle, ale nie niespodzianie miała go nam zabrać, siły podcięła: jeszcze wtedy, mimo znużenia, pióra z rąk nie wypuszczał, pracował nie tak i nie w tem, do czego największą miał zdolność lub chęć, nie na tem stanowisku, na którym mógłby i umiałby najwięcej zdziałać, ale w czem, jak i gdzie pracować mu było wolno. *Przegląd* nasz umieścił również parę artykułów, wyszłych zpod potężnego jego pióra: „Festyny luterskie w Niemczech“, podpisane pseudonimem: Jan Ostoja, i rozbiór „Encykliki Leona XIII. o masonii“.

DWA PISMA
PAPIESKIE.

Nie wspominamy w tem naszym sprawozdaniu o nader ważnym i na czasie będącym liście papieskim do austriackich i niemieckich biskupów w kwestyi pojedynku, ponieważ ta sprawa na innem miejscu jest w *Przeglądzie* omówiona. — Pod datą 22 września wydał Papież, podobnie jak w latach poprzednich, encyklikę o różańcu, w której zachęca w gorących słowach do tego, Królowej Niebieskiej tak miłego, dzieciom Jej tak pożytecznego nabożeństwa.

Ks. Jan Badeni.

Szkoła organistów w Tarnowie.

Znana jest szkoła organistów w Mińsku, założona przez rząd rosyjski, w celu, aby wychowywać sobie donosicieli, którzyby przestrzegali używania języka rosyjskiego w t. zw. nabożeństwie dodatkowym, oraz przyzwyczajali lud do melodyj Cerkwi prawosławnej. Jestto szkoła korupcyi prawie pod każdym względem.

Otóż ta broń, która się daje ku złemu użyć — z takim strasznym powodzeniem — może być i ku dobremu użytą. Wiadomo, że przed trzema laty w Tarnowie pod tchnieniem gorliwego pasterza powstała szkoła organistów, która dziś już rozwinęła się wcale pokaźnie. Kurs w niej jest trzyletni, więc w tym właśnie roku pierwszych swoich wychowañców wydała na świat. Siedmiu było przypuszczonych do egzaminu kwalifikacyjnego: trzech otrzymało świadectwa zupełnego uzdolnienia, czteremznaczono jeszcze trzy miesiące praktyki organistowskiej, poczem przypuszczeni będą do uzupełnienia egzaminu — dowód to, że nie lada czem można tam egzaminatorów zadowolnić.

Z organistami z takiej szkoły można wiele zrobić, można łatwo muzyce kościelnej przywrócić jej prawdziwy charakter, zrobić z niej prawdziwą modlitwę, a nie — jak to często bywa — przeszkodę do nabożeństwa. Przez to, że ta szkoła wyrosła zupełnie na polskim gruncie, upada zarzut niektórych nieprzyjaciół reformy muzyki kościelnej, jakoby ona — pochodząc z Włoch lub Niemiec — godziła na nasz charakter narodowy. Zarzut ten niewłaściwszy, że to, co ta reforma zwalcza, to wcale nie są polskie melodye kościelne, ale kawałki z oper i salonów. Przeciwnie, zabytki czysto polskiej muzyki kościelnej, jakie w katedrze wawelskiej odnalazł ks. Surzyński, podziwiają najpierwsi zagraniczni znawcy.

Na zarzuty, upozorowane trudnością wykonania, odpowiadamy, przytaczając ostatnie słowa kurendy biskupiej, zdającej sprawę z ostatniego egzaminu w tej szkole: „Nakoniec polecamy, aby Wielebni XX. Proboszczowie, a mianowicie XX. Prefekci dekanalni, czuwali nad tem, żeby organiści śpiewali i grali pieśni ludowe według „Śpiewnika diecezjalnego“, wydanego obecnie w harmonizacyi czterogłosowej, która nietylko jest piękną i wzorową, ale co najważniejsza, bardzo łatwą, i najslabszym organistom przystępną;... pewien moralny przymus ze strony Duchowieństwa ułatwi Nam bardzo pracę około podźwignięcia z wiekowego upadku śpiewu naszego ludowego w Kościele i ożywi ducha katolickiego nabożeństwa“.

H. P.

Pierwszy polski wiec katolicki w Toruniu.

Nie od roku i nie od dwóch myśłano i mówiono równie w Poznańskiem, jak w Prusach Zachodnich, o potrzebie zwołania polskiego katolickiego wiece, nawzór tak świetnie zorganizowanych i tak piękne przynoszących owoce, katolickich kongresów, zwłaszcza kongresów niemieckich; nieraz polska prasa w pruskim zaborze na kazanie to dzwoniła, aż wreszcie, dzięki energii kilku ludzi dobrej woli, dzięki też może, mniejsza o to, słusznie, czy niesłusznie — i podrażnionemu uczuciu narodowemu z powodu wyznaczenia Gdańska na miejsce obrad dla katolików niemieckich — marzenia i słowa przeistaczać się zaczęły w czyn; i pierwszy wiec katolików polskich w Toruniu został stanowczo zdecydowanym, co więcej, zaczęto koło jego urządzenia energicznie się

krzątać. A trzeba było energii, stanowczości, aby nie dać się zachwiać i dość ogólnem niedowierzaniem w pomyślny rezultat wiecu i przeróżnemi obawami, szerszonemi pocichu, wyrażanemi głośno. „Ciekawa rzecz — pytał korespondent petersburskiego *Kraju* — o ile taktem i rozsądkiem politycznym, czyli też szowinizmem odznaczy się polskokatolicki wiec w Toruniu?“ Przychylna nam zazwyczaj *Germania*, podsunęła — nie bardzo co prawda dyplomatycznie i potrzebnie — podejrzenie, czy polski wiec toruński nie ma być w pierwszej linii demonstracją przeciw niemieckiemu wiecowi gdańskiemu? Podobne podejrzenia i pytania, to oględniej, to znów śmielej, rzuciło wiele innych niemieckich organów: między samymi nawet udającymi się do Torunia Polakami byli i tacy, co w cichości lękali się, aby nieostrożna jakaś nierozumna ręka nie rzuciła iskry, która choć przytłumiona, pozostałaby przecież po sobie i niemiłe i szkodliwe ślady. Dzięki Bogu, iskra taka nie padła; wiecowi toruńskiemu największy nawet wróg zarzucić nie mógł szowinizmu; przyjaciele i nieprzyjaciele nasi wyznać musieli zgodnie, że wiec nie dał powodu do jakiegobądź zarzutu na seryo, lecz przeciwnie, dowiódł niemałej politycznej dojrzałości, przyczynił się do usunięcia niejednego uprzedzenia przeciw Polakom.

Kto nie był bez trwogi, czy Toruń nie zmieni się w polską jakąś, w kilka katolickich chorągiewek dla pozoru przystrojoną fortecę, z której ostrzeliwanoby zajęty przez Niemców Gdańsk: ten pierwszego już dnia na powitalnem zebraniu otrząść się mógł zupełnie z tej bojaźni. Prezes miejscowego komitetu przygotowawczego, L. Ślaski, witając zgromadzonych, wskazał na przykład niemieckich katolików, w których ślady iść nam należy, a oddając im pełne uznanie, poświęcił szczególnie Windthorstowi cziłą i wdzięcznością przejęte wspomnienie. Ponowny hołd złożył Windthorstowi Emil Czarliński. Wybrany marszałkiem wiecu Kazimierz Chłapowski z Kopaszewa, złączył — pierwszym przykładem na wyłącznie polskiem zgromadzeniu — we wspólnym okrzyku: Ojca św. Leona XIII., i tego, „któremu Bóg losy nasze na ziemi powierzył, który w swych przemówieniach wysoko zawsze podnosił zasady chrześcijańskie i zasady sprawiedliwości, który wyrzekł, że wszyscy poddani są równie bliscy jego sercu — cesarza Wilhelma II“. „Wyrażamy radość naszą — mówił ks. prałat Potomski — z odbytego w Gdańsku wiecu... Byliśmy także w Gdańsku, ale pragnęliśmy mieć własny wiec w Toruniu, bo wiec gdański nigdy nam naszych wieców nie jest w stanie zastąpić. Nie chcemy przeciwnieństw żadnych, bo sprzeciwiałoby się to chrześcijańskiemu naszemu życiu. Posłowie nasi

pójdą razem z posłami z Centrum i razem z nimi wymagać będą wolności Kościoła i religii“. Ks. prałat Stablewski we wspaniałej swej mowie programowej, w której w najgłówniejszych zarysach nakreślił zadanie i ważność pierwszego tego katolickiego zebrania, potrącił również o tę strunę, zastrzegł się energicznie przeciw podnoszonym z różnych stron zarzutom, podejrzeniom: „Dzięki wam, panowie — mówił, zwracając się do komitetu zarządzającego — żeście otwarcie i śmiało nas tu wezwali nie na to, abyśmy uciskali narodowość jaką; nie na to, abyśmy przeciwko władzy się burzyli — ale właśnie na to, abyśmy w tej wielkiej, wszechświatowej walce, wspólnie z niemieckimi katolikami, braćmi naszymi, we wierze stanęli w myśl Ojca św. i w myśl wielkich reform społecznych cesarza, jako wyćwiczeni, doświadczeni żołnierze, pod znamiem krzyża“.

W czterech wydziałach i na czterech ogólnych zebraniach poruszono i rozebrano, o ile zbyt krótki czas dozwolił, wszystkie ważniejsze sprawy, które Polakom-katolikom na sercu leżą, co do których oddawna już odczuwano potrzebę wspólnego porozumienia się i obmyślenia dróg, których trzymać się należy; wspólnymi siłami przedsięwziętego wprowadzenia w życie najniezbędniejszych przynajmniej środków zaradczych. Ks. proboszcz Pobłocki i prof. Schroeder, mówili o smutnej zależności Ojca św., i postawili następną, jednomyślnie, z zapalem uchwaloną rezolucję:

„Katolicy Polacy, na wiecu w Toruniu zebrani, wypowiadają swe głębokie przekonanie, że przywrócenie terytoryalnego zwierzchnictwa Stolicy św., dla jej samodzielności, zupełnej swobody i niezależności w rządzeniu Kościołem Bożym, jest nieodzownie potrzebne“.

Kwestya szkolna, a w szczególności kwestya uczenia dzieci katechizmu w języku ojczystym, dała powód do bardzo ciekawych i ożywionych, choć niewesołych rozpraw. Pelpliński kanonik, ks. Neubauer, przytoczył długi szereg odnoszących się głównie do Prus Zachodnich, a nad wszelkie słowa wymowniejszych cyfr i dat. W niektórych szkołach uczą dzieci katechizmu w najniższych klasach w języku polskim; w innych tylko w pierwszym roku, a więc siedmioletnie, ośmioletnie dziecko już w obcym języku musi się katechizmu uczyć; w innych jeszcze nauczyciele zupełnie po polsku nie umieją, a przeto o polskim wykładzie i mowy być nie może; w powiatach: puckim, weiherowskim, kartuzkim, kościerskim, wprost zakazano po polsku religii uczyć. A przecież podług urzędowej statystyki, na 239.761 dzieci, obowiązanych do szkoły uczęszczać, jest w Prusach Zachodnich 125.182 dzieci katoli-

ckich, 82.797 dzieci tylko po polsku mówiących, a 13.771 — choć cyfrę tę z pewnością o połowę zmniejszyćby należało — dzieci mówiących i po polsku i po niemiecku. Pojąć trudno, dlaczego ostatni ministerjalny reskrypt, pozwalający prywatnej nauce języka polskiego, rozciąga się tylko na W. Księstwo Poznańskie, a nie rozciąga się na Prusy Zachodnie, chyba dlatego, że tu — jak utrzymują niektórzy — nigdy żaden zakaz nie wyszedł, a więc i odwoływać go nie było racji. Jeśli tak, to trzeba co najprędzej zorganizować prywatne lekcje języka polskiego.

„W samych tylko Prusach Zachodnich — ciągnął dalej niejako te wywody na ogólnem posiedzeniu ks. Batke z Radymna — jest daleko więcej szkół symultанных, aniżeli we wszystkich innych, razem wziętych prowincjach państwa pruskiego. Do tego wydarza się jeszcze, iż do szkół katolickich bywają niekatolicycy nauczyciele przysyłani. W miejscowościach, w których mniejszość katolickich dzieci się znajdowała, musiały katolickie dzieci na naukę luterską uczęszczać. Dopiero w ostatnim roku, na żądanie posłów naszych, ministerstwo to usunęło. Wydarzało się nawet, iż dziecko katolickie przynosiło ze sobą do szkoły katechizm Lutra“. Ale od kogo ostatecznie — kończył mówca ciekawe swe wywody — najbardziej zależy wychowanie i przyszły los i zasady dzieci? W pierwszym rzędzie od matek. Wielki ich obowiązek, najwznioślejsze zadanie; niechże je spełniają, niech pamiętają o swych dzieciach, niech wyczują je pacierza i katechizmu w ojczystym języku, którym jedynie do serca, do wyobraźni dziecka można przemówić. Bóg im za te trudy hojnie zapłaci; najmiłą zresztą nagrodę znajdą w wdzięczności, w szczęściu własnych swych dzieci.

Jak na każdym niemal z odbywających się w ostatnich zwłaszcza latach wiecach katolickich, tak i na toruńskim, sprawa socyalna wystąpiła na pierwszy plan. Wiec wyraził publiczne podziękowanie Ojcu św. za wydanie encykliki o tej kwestyi, i zapewnienie, że w zasadach, wyłożonych przez Ojca św., widzi jej rozwiązanie; podobnie, jak następnie, na wniosek p. Żółtowskiego, złożył Papieżowi hołd wdzięczności za potępienie pojedynków. Punkt ciężkości rozpraw obracał się wszakże koło najbardziej może w rzędzie społecznych zagadnień pod pruskim zaborem piekącej i aktualnej kwestyi: wychodźstwa robotników do Niemiec. Ks. Szotowski, oparty na własnem, długoletniem doświadczeniu w Westfalii i prowincjach nadreńskich, nakreślił wyczerpujący obraz przyczyn, skłaniających polskiego robotnika do wychodźstwa, jego materialnej, społecznej, religijnej doli i niedoli na obczyźnie. Pod ekono-

micznym względem nieźle tam naszym się dzieje; nieżonaci zwykle przy groszu, ludzie z liczniejszą rodziną przynajmniej koniec z końcem powiążą. Stosunek do Westfalczyków wcale nie najgorszy; a że u Westfalczyka wiara przewyższa wszelkie jakiegobądź inne narodowe względy, ztąd nasi, dlatego, że często budują go swą gorącą wiarą, są mu sympatyczni; ztąd też, z drugiej strony, tak licznie zawierane małżeństwa z Niemkami: prawda, że zazwyczaj z katoliczkami, ale niestety, wcale nie wyłącznie. Dzieci uczą się tylko po niemiecku; za to przynajmniej w szkole na utratę wiary nie są narażone, bo w Westfalii wszędzie wyznaniowe szkoły, a gdy raz szkołom katolickim chciano narzucić inspektora innowiercę, zrobił się rejwach, tak że trzeba go było przenieść, a przeniesiono naturalnie w polskie strony — do Pleszewa... Nauczyciele i nauczycielki — dziewczęta uczą zawsze nauczycielki — nie tylko w niedziele i święta, ale i w powszednie dnię prowadzą dzieci w parach na Mszę św., w czasie której pod przewodem jednego z współuczniów głośno modlitwy odmawiają, albo śpiewają. Nieszczęsne nasze stosunki szkolne są przyczyną, iż niejeden woli zostać za granicą, aniżeli do kraju wrócić. Poza kościołem, duch katolicki skupia się i potęguje w katolicko-polskich stowarzyszeniach, zostających pod wspólnym kierunkiem księdza polskiego; r. 1885 było ich cztery, dziś jest czterdzieści. Silną one są zaporą przeciw socjalizmowi: dopomaga im też w tym kierunku założony w roku zeszłym *Wiarius Polski*. Czego najbardziej nie dostawa, to silniejszej opieki duchownej; a gorzej jeszcze w Brandenburgii, Saksonii, Pomorzu, gdzie luterskie strony, ksiądz katolicki rzadki, i dlatego wychodzący nasi zbyt łatwo się tam demoralizują, o cnocie, wierze i Bogu zapominają. Kto z księży polskich może, komu na to czas i okoliczności pozwolą, niechże od czasu do czasu wybierze się do nas na posługę duchowną. Prawdziwie, żniwo wielkie, pragnienie za chlebem duchownym wielkie, ale robotników mało...

O wszelkiego rodzaju i dawnych i nowych związkach i stowarzyszeniach katolickich, tym potężnym wale przeciw socjalizmowi, mówili gruntownie, na szerokiem tle historycznem wywody swe roztaczając, p. Szczaniecki i ks. Wawrzyniak. Innym, niemniej potężnym wale obronnym, to zakony. Waleczyć z socjalizmem, a zarazem waleczyć z zakonami: zamykać przed nimi granice; zrzekać się dobrowolnie tych najlepszych, rzeczy można, jedynych w tej walce sprzymierzeńców — to tak coś dziwnego i niezrozumiałego, że aż wierzyłoby się temu nie chciało, gdyby smutna rzeczywistość w oczy nie bila. Rzecz też pro-

sta, że wiec toruński wystąpił bardzo gorąco i energicznie za powrotem zakonów, a to tem usilniej, że jak wyraża się odnośna rezolucya: „w ziemiach z ludnością polską ani jeden zakon misyom i wychowaniu oddany, nie został przywrócony“. W wydziale II., obradującym nad usunięciem pozostałości po walce kulturalnej, przemówił o tej sprawie adwokat Dziembowski, a na ogólnem posiedzeniu sam marszałek wiecu. Wspaniała to była, głęboko wystudyowana mowa, której, żałujemy mocno, że choćby tylko w obszerniejszem streszczeniu, nie jesteśmy w stanie tu podać. Czem były zakony — pytał mowca — w rozwoju Kościoła? czem są dla ludzkości? — a nakreśliwszy w kilku treściwych, potężną ręką rzuconych rysach, historję zakonów, „które ucywilizowały Europę i tyle razy ocaliły Kościół“, przeszedł do bolesnych dziejów kulturkampfu, wskazał na osierociałe po mieszkańcach swych klasztory: na wyjętych z pod prawa zakonników i dziś jeszcze, gdy cofnięto już prawa wyjątkowe przeciw socyalistom. Do innych prowincyj pruskich pozwolono powrócić niektórym przynajmniej zakonom, do naszej dzielnicy żadnemu; Urszulankom np. otworzono Berlin, Wrocław, zagrodzono Poznań. Przeciw tej, równie jak przeciw innym pozostałościom z walki kulturalnej: ograniczeniu wpływu Kościoła na szkołę, prawu rządowego *recto*, niewłaściwemu zarządowi majątków kościelnych, służbom cywilnym — należy nam walczyć wspólnie z Centrum, a w walce tej, wszelką godziwą bronią toczoną, nie ustawać, dopóki nie odnieśliśmy stanowczego zwycięstwa.

Rezultatem tych rozpraw i mów były następne ważne uchwały:

1) Powrót zakonów wogóle jest i ze względów religijnych i społecznych koniecznością, a szczególnie naglącą w ziemiach z ludnością polską, w których ani jeden zakon misyom i wychowaniu oddany, nie został przywrócony. W rządzie tych zakonów uważamy przywrócenie Towarzystwa Jezusowego za naglącą potrzebę czasu.

2) Zebranie katolików polskich w Toruniu ubolewa, że w archidiecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej rządcy parafii nie otrzymali dotąd przewodnictwa w dozorach kościelnych.

Wydział II. obradował obok kwestyi powrotu zakonów, nad niemniej doniosłą i aktualną kwestyą materialnego i moralnego rozwoju polsko-katolickiej prasy. Po referacie Emila Czarlińskiego, wywiązały się w tej mierze długie a ożywione rozprawy. Kazimierz Chłapowski polecał przedewszystkiem umiarkowanie w polemice, toczonej między polskimi dziennikami; ks. Stablewski domagał się gorętszego poparcia ze strony czytelników i prenumeratorów, które — jak inny z obradujących

słuszną zwrócił uwagę — objawiać się może nietylko czytaniem gazety i składania na nią prenumeraty, ale też zasilaniem jej miejscowemi korespondencyami, bezzwłocznem donoszeniem o wszystkich ważniejszych, mogących ogół zająć, zdarzeniach i wypadkach. Prasa — mówił dr. Mizerski z Pelplina, obrady te na ogólnem posiedzeniu streszczając — winna być, jeśli wielkiemu zadaniu swemu chce podołać, nauczycielką, łącznikiem z resztą świata, pewnym rodzajem narodowego wice-parlamentu, kapłanką opinii publicznej. Zupełnie i wprost złej prasy, dzięki Bogu, u nas prawie niema; ale dzienniki, które choć liczyć się muszą z katolickim charakterem narodu, nie stoją przecież na katolickiem stanowisku, a gdy sposobność się nadarzy, to i nieprzyjaźnie przeciw Kościołowi występują, są stanowczo szkodliwe, zasługują na potępienie... U nas zwłaszcza niewolno dziennikowi bawić się w jakiś indyferentyzm, w obojętność... Obowiązkiem każdego polskiego pisma, rozpalać i utrzymywać znicza narodowego ducha, wpajać w serca miłość Kościoła i narodu, trzymać się wiernie Piotrowej opoki, która Boże ma przyrzeczenie, że bramy piekielne jej nie przemogą...

Rozumnym zwyczajem, przejętym od zagranicznych, zwłaszcza od niemieckich katolickich wieców, streścił ks. prałat Stablewski w ostatniej przemowie, zamykającej obrady, cały ich przebieg, najważniejsze wyniki, najdonioślejsze uchwały. I znowu, nie pierwszy już raz w tem sprawozdaniu, żal zbiera, że z mowy tej, która nietylko w Polsce, ale daleko poza jej granicami, wśród niechętnych nam żywiołów, tak sprawiedliwy a powszechny znalazła poklask, ledwie parę okrucichów po-
dać możemy.

Jakie skutki tego wiecu? Zacieśnił on stosunki nasze z katolickim światem; dał niejedną wskazówkę, jak sposobić się do walki przeciw anarchii polityczno-religijnej i społecznej; wydał hasła do obrony najbardziej zagrożonych posterunków. Zajmowały nas tu kwestye: socyalna, szkolna, kwestya powrotu zakonów i rozwoju dobrej, polsko-katolickiej prasy. Co ważniejsze, co szybszego domaga się załatwienia, nie wiedzieć. Przetrwaliśmy — Bogu dziękować — próbę kulturkampfu, praw antypolskich i wszystkie od siebie odepchnęliśmy pokusy anarchii. „Jasna i publiczna afirmacya, że żaden wywrót na nas spekulować nie może, że jesteśmy gotowi bronić porządku chrześcijańskiego, państwowego i społecznego stanowczo i niedwuznacznie, niechaj będzie tym pierwszym dowodem publicznym, że podstawy i premisy praw antypolskich były niewłaściwe. Ale równie jasno i niedwuznacznie oświadczamy, że nie sprzedamy za żadne ziemskie obietnice ojców

spuścizny, skarbów naszych narodowych, że będziemy się domagać jako wierni poddani warunków istnienia naszego narodowego, jako Polaków w państwie pruskiem... Koło polskie w sejmie i w parlamencie stoi niewzruszenie na podstawie Kościoła i stać będzie do końca. Podstawa to najszersza, nawet dla wszystkich różnic i zapatrywań politycznych, i jeszcze żadne pismo polskie tej podstawy Koła nie zgańło. Wytyczne na tej podstawie także najpewniejsze, bo wskazują równie jasno obowiązki dla państwa, do którego należymy, jak i dla narodu, który nam przekazał jako święty i drogi skarb dziejowy narodowość naszą, język nasz ukochany. W Bogu nasza nadzieja, że wytrwamy na tem stanowisku — a wdzięczność szanownemu prezesowi Koła sejmowego, że wczoraj tę wierność naszą niewzruszoną dla Kościoła tak gorąco wyznał. Niechaj przyjdą burze, które światem zatrzęsą, my synowie krzyża trzymać się będziemy krzyża i u stóp jego złożymy świętości nasze narodowe, skarby nasze narodowe. Dla nich tam bezpieczna, niezdobyta twierdza. Zpod tego krzyża, gdy przez pola i łąny nasze płynąć będzie szczerza modlitwa i pieśń w ojców języku, gdy w każdej polskiej chacie podnosić się będzie jak dawniej pobożnie, naród cały, gdy „się w opiekę odda Panu swemu“, z ramion tego krzyża trysną promienie, które nam na każdą chwilę niebezpieczeństw i pokus wskażą właściwą drogę ciężkiego pochodu naszego, które zdradne przepaści odsłonią, a w serca omdlałe wleją hart i siłę do dźwigania brzemienia obowiązku, nieraz bardzo trudnego. Z głębi duszy przekonany też jestem, że pod tym tylko znakiem i przed Bogiem i przed światem wykaże się legitymacja naszego zdrowia i naszej siły jako narodu, gotowego „nie do snu wieków“, ale „do pracy wieków“, z Bogiem i dla Boga!“

Słowa te godnem były streszczeniem, zakończeniem toruńskiego wiecu. Cisnące się tłumy uczestników, których w czasie wiecu około 3000 przez salę obrad się przesunęło; ich gorący entuzjazm, wspańiałe i praktyczne, a z taką miarą i politycznem wyrobieniem wypowiedziane, z takim zrozumieniem rzeczy przyjęte mowy: wszystko to złożyło się na prawdziwy tryumf dla organizatorów i kierowników, dla samychże wiecowników, a pośrednio i dla całego narodu. Niemiecka prasa katolicka, która przed wiecem zajęła wyczekujące i niedowierzające stanowisko, oddała mu następnie bez zastrzeżeń, nawet z zapalem, najzupełniejsze uznanie. „Jeśli gdzie i kiedy — pisała *Schlesische Volks-Zeitung* — to na toruńskim wiecu wywalczyła sobie katolicka Polska świadectwo politycznej dojrzałości“. *Germania*, zacytowawszy te słowa,

dodała następnie od siebie: „Spokojny ton obrad, gruntowność w roztrząsaniu postawionych na porządku dziennym przedmiotów, zapal mowców dla interesów Kościoła, pominięcie spornych, narodowościowych kwestyj: wszystko to zasługuje na pochwałę i uznanie“. „W wygłoszonych mowach — czytamy w innym, obszernym artykule w tem samem piśmie umieszczonym — nie odezwał się ani jeden fałszywy ton; a niemało to znaczy, bo mowy wygłaszane na katolickich zebraniach, nie przechodzą poprzednio przez cenzurę... Centrum zawsze twierdziło i żywiło nadzieję, że przeciwieństwa na wschodnich kresach monarchii wyrównają się, że im bardziej i w politycznem życiu Polaków zakorzenią się religijne zasady, tem rychlej rząd będzie musiał zastanowić się na seryo nad pytaniem, czy — nie mówiąc już o obowiązku, nałożonym przez sprawiedliwość i prawo — nie lepiejby było pozyskać sobie wiernych, choć narodowością swą obcych poddanych, do ochoczej, wspólnej pracy we wszystkich państwowych przedsięwzięciach, niż przeć ich do ciągłej, namiętnej walki?“

Za wrocławskim i berlińskim organem poszły wszystkie inne katolickie dzienniki. Co dziwniejsza, że i niekatolickie, jak *Kreuz-Zeitung*, że zazwyczaj bardzo nam niechętne, jak monachijska *Allgemeine Zeitung*, poświęciły wiecowi nadzwyczaj baczną uwagę, a ostatni z cytowanych dzienników kończy swój artykuł melancholijnym zwrotem: „Bądźcobądź, przygotowanym być trzeba na znaczne zmiany w traktowaniu spraw polskich“...

Ważne to, wcale nie do pogardzenia następstwa i objawy, ale najważniejszym może rezultatem toruńskiego wiecu, to nabyte przeświadczenie, że i u nas pole do energiczniejszej niż dotąd, katolickiej akcyi otwarte, i u nas katolickie wiece udać się mogą, i to świetnie, z pożytkiem niemalym. Dotykającym już dziś owocem tego przeświadczenia jest zapadła w Toruniu uchwała, iż odtąd rokrocznie odbywać się mają pod zaborem pruskim polsko-katolickie kongresy. Komisarzem przyszłego, za rok zebrać się mającego wiecu, wybrany został Kazimierz Chłapowski, a samo to nazwisko męża, którego — jak wszyscy zgodnie przyznają — taktowi i spokojnej energii obrady toruńskie zawdzięczają w wielkiej części tak świetny przebieg, dostateczną jest rękojmią, że przyszły, drugi wiec, nie wiadomo jeszcze, w Toruniu, w Poznaniu, czy w innem jakim miejscu zebrany, w niczem — co najmniej — pierwszemu nie ustąpi.

Innym zbawiennym owocem, to budzące się u nas w Galicyi zawstydzenie, że dotąd, pomimo warunków bez porównania pomyślniej-

szych, nie zdobyliśmy się, nie pomyśleliśmy nawet na seryo o tem, do czego bracia nasi w Prusiech, wbrew wszelkim przeszkodom i trudnościom, już doszli: o katolickim wiecu. Wyrazem tego przeświadczenia i poczucia, że i w Galicyi, jak wszędzie już prawie w katolickim świecie, winni szczerzy katolicy porozumieć się, ręce sobie podać, najaktualniejsze kwestye wspólnie obmówić — jest umieszczony w *Czasie* z 6 października artykuł wstępny. „Wiecownicy toruńscy — czytamy w tym wybornie skreślonym artykule — postanowili powtarzać swe obrady w regularnych, rocznych odstępach czasu, dając tem budujący przykład dla tych, którzy w szczęśliwszem znajdują się położeniu i w ten sam sposób spokojniejszej, niemniej jednak potrzebnej i ważnej oddaćby się mogli pracy. Na ostatnim wiecu katolików austriackich w Wiedniu poruszono już myśl zorganizowania podobnych obrad w Krakowie; katolickie polskie społeczeństwo przyjęłoby ze szczerą radością przyprowadzenie ich do skutku. Programowi takiego wiecu otwierałoby się daleko obszerniejsze pole działalności czynnej, na przeszkody nie natrafiającej; wobec zaś zapewnionego współudziału najpierwszych w Kościele i w kraju mężów, można się śmiało spodziewać, że niejedno ztamtąd hasło do rzeczy zbawiennych i doniosłych wyjdzie, że niejedna myśl głęboka a ożywiająca z bogaci umysły i serca. Oprócz tego szeregu spraw, jakie się nasunęły na myśl inicjatorom wiecu toruńskiego, oprócz kwestyi robotniczej, kwestyi wychodźstwa, kwestyi szkolnej, oprócz kwestyi znaczenia klasztorów, stanowiska i zadania katolickiej prasy, mnóstwo jest jeszcze innych tematów nieporuszonych, a dla sprawy Kościoła i wiary niemało ważnych, których bliższe we wzajemnej dyskusyi wyświeetlenie, może pociągnąć za sobą błogosławione skutki“...

Złote słowa, które już znalazły echo w jednej lub dwóch gazetach galicyjskich. Chcemy wierzyć, że za słowami pójdą i czyny.

Ks. Jan Badeni.



U SŁOWEŃCÓW.

I. CELOWIEC.

Słońce miało widocznie zbyt wiele zatrudnień i kłopotów, i w chwilowem roztargnieniu, sądząc, że przechodzi ponad Kalkutą lub Bombajem, wylało na styryjską stolicę konwiew z indyjskim żarem. Czemuż przynajmniej, jak długoletni mój towarzysz, przyjaciel, dziś indyjski misyonarz, którego matka z taką miłą serdecznością przed chwilą przyjęła, a przy pożegnaniu wręczyła z Indyj nadesłaną fotografię syna — czemuż jak on na tej fotografii, ustroić się nie mogę w powiewną białą szatę, któraby mniej chciwie od czarnej mojej rewerendy pochłaniała słoneczne promienie? Mówią, że piękny Grac, mówią, że wspaiała góra zamkowa, rozkoszne z niej widoki; piękne, rozkoszne, ale nie wtedy, gdy słońce pali, asfalt pod nogami się topi, a zegarek wydaje groźną komendę: podwójnym krokiem, marsz, marsz! bo pociąg już na stacyę zajechał, już do dalszej drogi gotowy!...

Paru wiedeńskich antysemitów, wcale zresztą nie strasznych, o zbójckim wyrazie twarzy, jak to w nas wmawiają wiedeńskie gazety, ale wesółych i serdecznych, dla Polski i Polaków najżyczliwszych przyjaciół, żartowało sobie ze mnie od dłuższego już czasu, że jadąc do Celowca, niewolno mi w żaden sposób z semicko-galicyjско-patryotycznych względów pominąć *Juden-*

burgu. Tymczasem właśnie nad „Żydowskim grodem“ — którego nazwa, mówiąc nawiasem, nie wzięła podobno wcale początku z wielkich sympatyj dla Żydów, ale z wyprawionej im rzezi — gęste chmury pokryły niebo, deszcz lunął jak z cebra, i choćby kto miał najszczerzą ochotę, choćby kto stokroć był żarliwszym semitą, niż to we mnie usiłowali wmówić Luegerowscy gwardziści, chcąc tak ambicję podrażnić i za język pociągnąć; choćby kto nawet należał do antysemickiego sztabu — nie wychyliłby z pewnością głowy za wagonowe okno; bo i pocóż wychylać, gdy nie widać już nietylko miasta, ale i kolejowych zabudowań? Więc zamiast patrzeć, przysłuchuję się w serbskim języku prowadzonej rozmowie poważnej jakiejś małżeńskiej pary; wyteżam uwagę, otrzymawszy na to nietylko grzeczne pozwolenie, ale i gorącą zachętę — aby odróżnić odrębne dźwięki i sens przynajmniej pochwycić. Oni rozumieją mnie, a może tylko zapewniają, że mnie rozumieją — ja domyślam się raczej, niż rozumiem; po dziesięciu minutach mój Serb uznaje, że na dziś dość już tych trudów, podjętych w imię słowiańskiej solidarności, i rozpoczynamy rozmowę na seryo — po niemiecku.

Nieprzyjemne to, ale zwłaszcza między sobą niema co w bawelnę obwijać. Jak przed laty kilkudziesięciu na słowiańskim kongresie w Pradze, tak podziśdzień, gdy się spotka Polak z Serbem, ze Słoweńcem, z Bośniakiem, schodzi, i jeśli mu istotnie o to idzie, aby rozumiał i był rozumiany, zejść musi po paru frazesach na język niemiecki. Przy pożegnaniu i powitaniu, przy toastowych przemowach, używa się, mile brzmi i pobudza do gorącego uściśnięcia ręki, do żywszych okrzyków, parę słów, wymówionych „w bratnim, polskim języku“; ale jeśliś całą mowę w tym języku wypowiedział, bądź przekonany, że cię ledwie, zaledwie zrozumiał jeden lub drugi, którzy specjalnie się po polsku uczyli; jeśli twój znajomy jakiś interes ci po serbsku lub słoweńsku wyluszczył, a nie chciałbyś go tylko kiwaniem głowy i uprzejmymi uśmiechami załatwić, to musisz pychę zdjąć z serca i poprosić, aby ci raz jeszcze całą sprawę na niemieckie przetłumaczył. Rozmowa na ten temat o możliwości wzajemnego porozumienia się jest oczywiście na porządku dziennym i w Celo-

wcu i w Lublanie, i w Zagrzebin i w Belgradzie. Grzeczniejsi, ogłędniejsi mówią:

— Rozumiemy prawie wszystko, ale mowa wasza taka bogata w rozmaite delikatne odcienia. Znajoma rzecz, że im jaki język bardziej jest ucywilizowany, wygładzony, tem bardziej się oddala od swego źródła; nabiera właściwości, które utrudniają pobratymcom zrozumieć go, odczuć należycie wszystkie jego piękności.

Szczersi, znajomsi wyrażają się bez ogródek i omówień:

— Poco nam grać w ciuciubabkę? Ty mnie, a w każdym razie ja ciebie nie rozumiem; w najlepszym wypadku domyślam się, ale tylko domyślam się, co chcesz powiedzieć. U nas rzecz wiadoma i powszechnie przyjęta, że nam wszystkim: Czechom, Chorwatom, Słoweńcom, najtrudniej rozmówić się z Polakami; łatwiej daleko np. z Rusinami, najłatwiej z węgierskimi Słowakami. Wy także ze Słowakami bez trudności się rozumiecie; nasz, chorwacki, słoweński język już dla was zapewne nie na siedm, ale z pewnością na trzy, na cztery spusty zamknięty.

Rozmawiamy więc po niemiecku, a deszcz coraz silniej bijąc w okna, rozmowie wtóruje lub, jeśli komu na tem zależy, przeciw niej protestuje. *Klagenfurt!* — woła konduktor — *Klagenfurt* błyszczy nakreślony wielkimi literami, stojący samotnie bez słowiańskiego towarzysza, napis na stacyi kolejowej; o *Celowcu* niema mowy ani głośno ani półgłosem, nie radziłbym się nawet — jeśli komu rzeczywiście o zrozumienie chodzi — pytać o *Celowiec* kolejowej służby. Ale nie czas rozbierać i ważyć racye skrajnej prawicy niemieckiej, która wystawiła do boju przeciw „Celowcowi“ najcięższe armaty; umiarkowanego Centrum, co w świętej prostocie występuje ze zdaniem, że wypisanie małemi, małąkami literkami trzechsyłabowego wyrazu „Celowiec“, nie zagraża zagubą niemieckiemu żywiołowi w Karynty; wreszcie słowiańskich radykałów, którzy się odgrażają, że dnie „Klagenfurtu“ już policzone, że w najlepszym razie i jedynie z łaski, służyć on będzie na dół zepchnięty i ujęty w klamry, za pamiątkę czasów minionych, za dowód słowiańskiej tolerancyi. W innej chwili możnaby się irytować, argumentować; teraz

strumienie wody, wciąż z nieba płynące, odbierają chęci do dysput, ostudzić są w stanie najbardziej zapalone umysły; aktualniejsze toczą się zapasy, a raczej odbywają się wyścigi, w których palną zdobycie miejsca w doróźnie. *Vae victis!* — ostatnia doróżka potoczyła się ku miastu, a kto niezaradny, kto dał się prześcignąć, kto sądził naiwnie, że stolica Karyntyi oddaje do rozporządzenia podróżnych więcej niż trzy lub cztery pojazdy, i flegmatycznie za piątym się oglądał — niech pokutuje i brnie w błocie, na słocie!

Brnie naprzód w szafirową bluzę przybrany przewodnik, t. zw. „po galicyjsku“ *Traeger*; brnę odważnie za nim i próbuję zawiązać rozmowę. Ba! mój przewodnik, jakby nie nad Drawą, ale nad Tamizą się wychował, odpowiada lakonicznie: *Ja, nein; nein, ja* — jeśli wogóle odpowiedzieć raczy. Mijamy kilka wąskich ulic, mijamy dwa place, i otóż jesteśmy najwidoczniej z drugiej strony miasta; z trotuarów przechodzimy na bardzo miłą i piękną w czasie słonecznego skwaru, kasztanami wysadzoną drogę, ale po której teraz nie wiedzieć, czy czółnem czy wozem łatwiejby się przeprawić. Jaką zasadzkę mi ten zdrajca przygotowuje; czyżby zaczajonym tu tureckim opryszkom chciał mię oddać w ręce; czy mniema, że będę mu wdzięczny za to zapoznanie mię na deszczu z pięknościami otoczenia Celowca? Pytam, czy mię zrozumiał, czy wie, dokąd ma mię zaprowadzić? Próżne wysiłki: on wciąż idzie i nie gada...

Wreszcie, na końcu alei stanęła niegadająca i nieodpowiadająca „szafirowa mara“ przed bramą do jakiegoś wspaniałego, świeżo zbudowanego gmachu, zdaje mi się, szkolnego. I na migi i wszystkimi możliwymi językami tłumaczyć próbuję, że w gmachu tym nie mam żadnego interesu; natomiast „mara“ wytłumaczyć mi w tenże sam sposób usiłuje, że właśnie tutaj, a nie gdzieindziej winienem mieć interes. Po paru minutach przyjemnej tej i zajmującej dysputy znalazł się ktoś nakoniec, który, wyrozumiawszy obie strony walczące, przechylił stanowczo szalę zwycięstwa na moją korzyść. Drogo to okupione zwycięstwo! Z ciężkiem westchnieniem zabieramy się do odwrotu i po dwudziestominutowem skakaniu i pływaniu, znaleźliśmy się spóźnio-

nym wieczorem na *Pfarrhausgasse*, przed bramą, którą oglądałem godzinę przedtem, na samym prawie początku interesującej tej wycieczki. Gdybyż przynajmniej ulżyć było można zboliałemu sercu, zemścić się za zboliałe nogi i złać porządnie z filozoficznym spokojem czekającego na zapłatę *Cicerone*; ale pocóż traćć słowa, którychby on doniosłości ani w części nie ocenił? Natomiast w dzienniczku zapisałem sobie przestrogę: „Oryentuj się sam, patrz pilnie na nazwy i numera ulic; nie rusz kroku. zwłaszcza w miastach z mieszaną ludnością, dopokąd się nie przekonasz, że przewodnik twój nietylko udaje, że cię zrozumiał. dopóki prócz *ja, nein, danke, bitte* i kiwania głową w poziomym i pionowym kierunku, nie wydobędziesz z niego choć jednego, jeśli można, złożonego lub ściągniętego, jeśli absolutnie niepodobna, nagiego przynajmniej zdania“.

Oczywiście, w czasie tej przymusowej, wieczornej przechadzki przedstawił mi się Celowiec w możliwie najbrzydszem świetle; porównywałem go w duchu do galicyjskich naszych miasteczek, a poślizgując się w błocie, pocieszałem się mile serce głaszczącym zapewnieniem: „Przemyśl, Tarnopol większy, kto wie, czy i nie piękniejszy od tej stolicy Karyntyi!“ Nazajutrz, gdy słońce zpoza chmur wyjrzało, trzeba było poprawiać, odwoływać zbyt pospiesznie wydany werdykt. Celowiec wielkiem miastem nie jest, bo liczy zaledwie około 20.000 mieszkańców: ale mało ma stosunkowo żydów, wiele pięknych, starożytnych budowli, wiele pamiątek — więc czysty jest i ciekawy. Tak zwane „Nowe Miasto“, powstałe w ostatnich kilkudziesięciu latach, nie odróżnia się niczem od wszystkich miast i miasteczek, placów i ulic nowszego pochodzenia, od nowych np. poza plantami ulic krakowskich. Natomiast właściwe „Stare Miasto“, to rzeczywiście stary, średniowieczny gród. Ile różnych wypadków, ile zmienionych kolei widziały i przeżyły te pochyłone już nieco od starości domy, ze spiczastymi dachami, najeżone lasem wysokich kominów, poprzerzynane w różnych kierunkach wąskimi, sklepionymi krużgankami; ze sklepionemi izbami i salami, z których wyglądają wąskie, nieraz żelazną kratą opatrzone okienka. Do koła wewnętrznego, obszernego podwórza biegną arkady: na-

przeciw bramy wchodowej skleciona sień, a za nią drugie, mniejsze lub większe, czasem i trzecie, podobnie zbudowane podwórze. Krążąc i błędząc po tych podwórzach, salach, wąskich korytarzach, odkrytych krużgankach — zdaje ci się, żeś wszedł do jakiejś fortecy, jakiego rycerskiego zamku, że za chwilę wpadnie tu z krzykiem i hałasem rota w stal okutych rycerzów, zpoza ciężkich bram wybiegną giermki, w wąskich oknach okażą się kryjące się w białych czepcach zaciekawione oblicza, staną rzędem „babilońskie wieże“ — jak się z gniewem satyryk wyraża: kornety, półkornety, maloty, bonety. Wpada rota — ale dzieciaków, opuszczających z krzykiem sąsiednią szkołę; okazuje się w oknie białogłowa — ale bez białego czepca, z miną wcale nie zaciekawioną, nie z powitalnym, ale z gromkim, herodowym okrzykiem, który w narzeczu warszawskich lub krakowskich przekupek brzmiałby może w następujący sposób:

— A będziecie wy raz cicho, bębną przekłętę!

Pełne te nieudanego realizmu słowa przywołują marzenia do porządku, nogi do dalszej drogi. Przez same kłerykalne ulice: *Pfarrhausgasse, Pfarrhofgasse, Pfarrgasse*, dostają się na *Ursulinerinnengasse*. I znowu — chcemy czy nie chcemy — jesteśmy w wiekach średnich: cała ulica, co prawda nie bardzo wielka, zajęta klasztornymi zabudowaniami. Dzwonię na chybił-trafił do pierwszej bramy z rzędu; zdziwiona nowicyuszka otwiera okienko, a przez nie widzę olbrzymią sień, w niej olbrzymią balie, koło której, prowadząc w ścisłym tego słowa znaczeniu gospodarstwo we własnym zarządzie, krząta się z zapalem kilkanaście habitów. Żłem trafił, idźmy dalej; mińmy jeszcze drugą, trzecią bramę; przy czwartej ruch jak w ulu — i niedziw: odpływa przez nią parę razy dziennie i przyplywa przeszło tysiąc panienek, pobierających nauki w eksternacie. Innej publicznej szkoły żeńskiej w Celowcu dotąd niema.

— Przecież Urszulanki — odpowiadają praktyczni Karyntczycy na zarzuty liberalnych krytyków — egzaminowane są i patentowane: przecież złożyły praktyczne świadectwa na naszych żonach i siostrach, że umieją uczyć i wychowywać; a że nie potrzebujemy im stawiać monumentalnego „gimnazyum“

i wielkich pensyj wypłacać; że nauczycielki nigdy na ulicach się nie pokazują i nie chodzą w wiedeńskich gorsetach i paryskich kapeluszach, ale w czarnym habicie i białym czepcu — to chyba nie może być dostatecznym powodem do odjęcia im naszego zaufania.

Racye te tak proste, jasne i zdrowym rozsądkiem nacechowane, że aż się boję, czy na długo ostać się potrafią, czy Celowiec w złej chwili nie weźmie rozbratu z dotychczasową praktycznością, nie zechce podziękować Urszulankom za złożone usługi i ufundować sobie osobnego żeńskiego „gimnazjum“. Będzie z pewnością drożej, będzie może i gorzej — ale karyntyjska stolica dotrzyma kroku, na tym przynajmniej punkcie, innym stolicom; ale wiedeńskie dzienniki wyśpiewają na jej cześć hymn pochwalny...

Do lepszego zaznajomienia się z miastem, jego pamiątkami, historią, dopomagali mi tu, jak wszędzie, gdzie na dom ich natrafiłem, więcej niemal niż po bratersku, Ojcowie mego zakonu. Miło to, zajechawszy do Gracu czy do Lublany, do Pesztu czy do Tyrnawy, do węgierskiego, słowiańskiego czy niemieckiego miasta — móżd odrazu zwrócić się do „swoich“, zajechać do „swojego domu“, pewnym będąc, że znajdziesz w nim serca otwarte, rozumnych, gotowych na wszelkie usługi przyjaciół, którzy witają cię na samym wstępie jak wracającego z dalekiej podróży domownika, poinformują cię, pokierują najlepiej. W Celowcu tem milej, że jeden z tych „swoich“: O. Herman Ache, długie lata w Polsce pracował, a gdy dziś Polak do niego po niemiecku się odezwie, to on po polsku odpowiada; drugi, znany dobrze w całej południowej Słowiańszczyźnie misyonarz, *slavnoznaní propovedník* — jak piszą o nim słoweńskie gazety — *č. g. P. Starè iz družbe Jezusove*, bawił, będzie już temu blisko lat pięćdziesiąt, dłuższy czas w Polsce, i podziśdzień pieśni polskie powtarza, ówczesnych ludzi portretuje, opisuje stosunki, pyta ciekawie, czy, co i jak się tam u nas zmieniło, na gorsze, na lepsze?... A dopiero, kiedy wzamian sam z niezrównanym humorem opowiadać zacznie swe dawne i nowe przygody na mi-

syjnych wycieczkach między Słoweńcami i Chorwatami. w Karyntyi i Dalmacyi; kiedy jeden, drugi, dziesiąty sypią się coraz ciekawsze, coraz oryginalniejsze, zawsze charakterystyczne opisy, anekdoty — jaki żal, że tego wszystkiego zapamiętać, spisać nie można; jak przed oczami słuchającego reportera-pismaka miga się kusząco przesłizna, pouczająca książeczka, którąby z tych opowiadań niemal bez trudu złożyć można, i dać jej np. tytuł. „Przygody słowiańskiego misjonarza“. Trudno. gdy dostać winogron niesposób; pocieszajmy się, że są niedojrzałe; że na papierze, choćby welinowym, inaczejby opowiadania te wyglądały, niż w ustach tego wiekiem starca: energią, zapasem sił, życia, dowcipu, rzekłbyś, jeszcze młodzieńca, i to młodzieńca, jakich niewiele.

Zwiedzamy w kilku najbliższą przynajmniej, istotnie uroczą, alpejską okolicę. Parowiec sunie zwolna po Woerther-See, odsłaniając co chwila nowe piękności, nowe widoki, ręką Arcymistrza odmalowane:

Wód zwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu.

Tu kąpie się w jeziorze z trzech stron przez nie oblany wspaniały zamek w Maria-Loretto, dalej wyrasta ze skał tysiącletni kościół w Maria-Woerth, a dalej jeszcze „jednym rajem gór podnóże“ — rozkoszny, kąpielowymi gośćmi przeludniony Poertschach. W olbrzymim parku, nad brzegami jeziora, koło wiejskiego kościoła, gromadki przechadzających się, dowcipkujących pań, panów, dzieci. Dobrze dostrajają się do śmiejącej się, wesołej natury; niechby jakaś Kasandra wspomniała im teraz o strasznej katastrofie, która za parę tygodni wydarzyć się miała w wesołym Poertschachu przy nagłym zwaleniu się wieży kościelnej; niktby pewnie smętnej przepowiedni nie uwierzył, niktby na nią nie zwrócił uwagi. Jak Bogu dziękować, że przyszłość przed nami zasłania, że i przeszłość taką gęstą mgłą zakryta! Gdyby tak przed okiem stanęły wszystkie ruiny, góry z ruin,

które te cudne, wodne przeźrocza uniosły, uniosą; te jeziora z krwi i łez, co tutaj tylko popłynęły, popłyną — czy nie trzeba uciekać z tego uroczego ustronia, czy byłoby podobnem napawać się jego wdziękiem, cieszyć jego pięknnością?

— I czegoż jeszcze u nas nie widziałeś? — pytał po polsku nieoceniony mój przewodnik, gdyśmy przy blaskach zachodzącego słońca rzucali ostatnie pożegnanie i wzgórzom i falom.

— Jakto czego? Tego, co najbardziej może mię interesuje, dla czego na pierwszym planie podróż na Celowiec obróciłem: całej maszyneryi „Stowarzyszenia św. Mohora“, jego biur, kancelaryj, zarządców, redaktorów.

— Ależ w tem nic niema ciekawego, nic do widzenia.

Nic może dla ciebie, pomyślałem, ale dla mnie ważniejsze i ciekawsze nawet od Poertschachu i Veldenu, a w każdym razie od rzymskich i celtyjskich starożytności, nagromadzonych w krajowym muzeum; od zbrojowni, nie różniącej się oczywiście niczem od zbrojowni po reszcie świata rozsianych; od istotnie słynnego zbioru pieczęci. Stowarzyszenie św. Mohora (Hermagoras), to przecież największa chwała Słoweńców, najdobitniejszy dowód, co zdziałać potrafi w małym nawet stosunkowo kraju, z małymi środkami: dobra wola, energia, zmysł organizacyjny.

Stowarzyszenie to, *Družstvo sv. Mohora*, powstało w r. 1852, głównie dzięki zabiegom wielkiego słoweńskiego patryoty, biskupa A. M. Slomškega. Celem jego, popularyzowanie nauki, dostarczanie słoweńskiej ludności pożytecznych książek w ojczystym języku, za możliwie najtańszą cenę. W pierwszym roku istnienia „Družstvo“ liczyło 785 członków, z których każdy płacił półtora reńskiego rocznej wkładki, a wzamian otrzymywać miał pięć książeczek treści religijnej, historycznej, beletrystycznej. Pierwsze lata szło jak po grudzie; liczba członków to zwiększała się, to znów zmniejszała. Tak np. r. 1855 rozsyłano książeczki 947 członkom, r. 1858 tylko 336, w rok później 263. Towarzystwo chyliło się do upadku i byłoby smutnie upadło, gdyby ówczesny jego Wydział mniej miał śmiałości i zawahał się przed użyciem energicznych środków, które mogły śmierać

„Drużstwa“ przyspieszyć, ale mogły też zażegnać śmiertelną chorobę. Choć, a raczej dlatego, że zakładowy kapitał stopniał z 1200 na 467 zlr., zniżono roczną wkładkę z półtora na jeden reński; autorom wydawanych książeczek, którzy dotąd samą tylko sławą i słownemi podziękowaniami musieli się zadawałniać, postanowiono i zaczęto istotnie płacić najmniej 10 zlr. za arkusz druku. Hazardowne te finansowe reformy uwieńczono zostały najpomyślniejszym skutkiem. Pięćdziesiąt centów stanowi poważną cyfrę w budżecie słoweńskiego chłopca: poważniejszą jeszcze cyfrę stanowi 10, a cóż dopiero 20 zlr., które od lat kilku za arkusz druku dostawać zaczął, w budżecie słoweńskiego autora; to też odrazu, jakby na czarodziejskie zaklęcie, liczba mających mniej odtąd płacić czytelników, mających dostawać pewną zapłatę autorów, pomnożyła się w czwórnasób. Już r. 1860 należało do „Stowarzyszenia“ 1082 rocznych członków, a 34 dożywotnich, płacących jednorazową wkładkę 15 zlr. W dziesięć lat później liczba członków rocznych doszła do 17.027, nowych członków dożywotnich przystąpiło 390; dochód wynosił 39.364 zlr., rozchód 32.753 zlr. Przed sześciu laty, w r. 1885, zapisało się w szeregi Stowarzyszenia około 30.000 członków rocznych; dziś należy doń około 50.000, cyfra istotnie w danych okolicznościach zadziwiająca, i która ze względu na to, że sami Słoweńcy mówią o sobie jako o małym, półtoramilionowym narodzie, o wiele już nawet wzrosnąć nie może.

Żałowałem niezmiernie, że nie zastał w domu sekretarza „Drużstwa“, i jak zwykle bywa, właściwej jego duszy, ks. Jana Huttera. Służąca, typowa Słoweńka, niedawno widać do miasta sprowadzona, wytrzeszcza oczy na niemieckie zapytanie, jak na kazanie tureckie; wytrzeszcza je bardziej jeszcze, i usta w dodatku naościęz otwiera, gdym po polsku przemówił. Niema rady, sprowadzić trzeba tłumacza, a raczej „tłumaczkę“ z najbliższego sąsiedztwa, aby za jej interwencją dowiedzieć się wreszcie, że ks. Hutter nie tylko jest sekretarzem, ale i katechetą w szkole realnej, nie tylko katechetą, ale spowiednikiem i kaznodzieją, i że skutek rozlicznych tych zajęć nie wiedzieć zupełnie, kiedy powróci, kiedy możnaby się z nim zobaczyć.

— Może przyjdzie za godzinę, a może za dwie.

Miła perspektywa! Jak to dobrze, że nie przychodzę np. z manuskryptem do sprzedania, z planem nowej książeczki do omówienia i nie jestem koniecznie skazany na czekanie przez dwie, a czemużby nie przez trzy godziny! Jeden z wpływowych członków Stowarzyszenia, który zapoznaje mię z wewnętrzną jego organizacją, uważa się mocno, że sekretarz, zmuszony co prawda siłą rzeczy — o której i u nas w Polsce wieleby dało się opowiadać — tyle różnych musi brać na swe barki zajęć i urzędów, że w domu swym bywa zazwyczaj tylko gościem.

— Obowiązkiem sekretarza — wyjaśnia nader uprzejmy, pomimo że po tatarsku przeze mnie w bardzo ранней godzinie napadnięty nowy mój znajomy — obowiązkiem jego prowadzić korespondencję, czytać nadesłane manuskrypty, przygotowywać je do druku, pilnować korekty. Za to wszystko pobiera 300 złr. rocznej pensyi: musi więc, choćby inne względy w grę nie wchodziły, uważać swe sekretarstwo za zajęcie drugorzędne, poświęcać mu nieco dorywczo tyle tylko czasu, ile od innych prac się okroi. Dyrektor „Drużstwa“ ma pozycję niezależną, bo bierze 2000 złr. pensyi, ale czas jego wypełniony administracją majątku Stowarzyszenia, zarządem drukarni i dwóch innych, wynajmowanych prywatnym lokatorom domów, które obecnie w Celowcu posiadamy: czasem arcyniemilymi sporami z niechętnym nam niemieckim magistratem. Wydział, stanowiący pewnego rodzaju Radę nadzorczą, składa się z dziewięciu, w zasadzie niepłatnych członków: trzech świeckich panów, sześciu księży. Wogóle powodzenie, rozwój Stowarzyszenia, zawdzięczamy głównie, można prawie powiedzieć, jedynie, księżom; niechby się oni usunęli, a bardzo wątpię, czy za dwa, trzy lata z dzisiejszych 50.000 członków pozostałoby 5000, kto wie, czy i 2000, czy i cały tysiącby pozostał. Proboszcze są skarbnikami „Drużstwa“, każdy w swej parafii; przypominają z ambony, że czas wkładki płacić. Oni przysyłają nam pieniądze od całej parafii; my posyłamy im książeczki dla całej parafii, w czem oczywisty, niemały zysk i w czasie i w pieniądzech. Zresztą nic dziwnego że księża tak sobie tę sprawę do serca biorą; przecież ich obo-

wiązkiem szerzenie dobrych, pobożnych książek; a nadomiar my ten nasz Związek uważamy za, w ścisłym słowa znaczeniu, kościelne bractwo, i za takie też bractwo uważał je Pius IX., kiedy je w najgorętszych słowach pochwalił, pobłogosławił i obdarzył odpustami. — A wy w Polsce, czy macie w tym rodzaju jakie Stowarzyszenie?

I nie czekając odpowiedzi na pytanie, zadane najwidoczniej tylko dla formy, ciągnął dalej, rad, że mówić może o przedniości, napawającym każdego Słoweńca tak słuszną dumą:

— Szkoda, wielka szkoda! Dużo się u was robi, zwłaszcza w Galicyi; podobno w ostatnich czasach i lud tam czytać zaczyna, tylko brak organizacyi, wspólnego porozumiewania się, kierunku. A jakby się u was wspaniale, olbrzymio rozwinąć mogło takie Stowarzyszenie pod wezwaniem np. św. Jana Kantego. Kiedy my tu biedacy doszliśmy do 50.000 członków, to wybyście bez wątpienia z waszą ludnością, z waszą galicyjską swobodą, dociągnęli za niewiele lat do pół miliona.

Wśród rozmowy, albo mówiąc ściślej, toczonego przez towarzysza mego monologu, o mało co nie ominęliśmy właściwego celu wspólnej wycieczki: drukarni Stowarzyszenia św. Mohora. Ominąć ją łatwo: nie monumentalny to gmach, ale skromna kamieniczka. Na dole drukarnia, nie mogąca wytrzymać porównania z większymi naszymi krakowskimi lub lwowskimi drukarniami: na piętrze zakład introligatorski, z którego już prosto rozchodzą się na kraj cały wydawane przez „Drużstwo“ książeczki w tylu wielkich pakach, ile słoweńskich parafij. Na półkach w kancelaryi stosy wytłoczonych tu broszur, książek słoweńskich, łacińskich, które zastępca nieobecnego zarządcy z prawdziwą przyjemnością jedno po drugim rozkłada; nie brak i niemieckich, pisanych, jak wszystkie ztąd wychodzące, w ścisłym religijnym, katolickim duchu. Kilka numerów rozrzuconej po półkach i stolikach słoweńskiej gazetki zwraca naszą uwagę.

— To *Mir*, jedyny nasz organ w Celowcu.

Skromny organ, bo zajmuje tylko pół arkusza druku, a wychodzi dwa razy miesięcznie, ale za to tani: rocznie kosztuje jednego reńskiego, i dzięki tej taniości istnieje już dziesiąty rok

i zdobył sobie około 3000 prenumeratorów. Jak na ludowe pismo przystało, podobnie jak np. w bytomskim *Katoliku* lub *Nowinach Raciborskich*, rozłożone tu *tutti frutti*, aby zaspokoić wszelkie gusta i wymagania czytelników: religijne artykułiki, polityczne nowiny, krótkie, dosadne polemiki z niemieckimi gazetami, gospodarskie uwagi i ostrzeżenia, maleńki, dla zaostrzenia apetytu, nie dla zaspokojenia głodu, podany kawałeczek jakiejś powiastki; jedna lub parę nie najpierwszej świeżości fraszek, anekdotek. Motto: *Vsakema svoje!* wskazuje dostatecznie cel i idee przewodnie *Mira*.

O rannej godzinie wchodziłem do domu, w którym mieści się redakcja, *uredništvo Mira*, a mówiąc mniej eufonicznie, w którym mieszka jego *urednik*, Filip Haderlap — *Jurjet*, jak podpisuje się na wydawanych przez siebie książeczkach. Odnalazłem drzwi na jednym z bocznych ganków, pukam, otwieram i znajduję się w niewielkiej izdebce „redaktorskiej“, bo dużo w niej dzienników, papierów porozrzucanych w nieładzie, parę szaf i półek z książkami. Na ścianie obrazy Matki Boskiej i św. Józefa: obok wielki, ścienny zegar z kukułką, która jakby na me przybycie chrapliwie kukać zaczyna. Z kanapki zrywa się mężczyzna w sile wieku, krępy, mocno zbudowany, i z pewnem zażenowaniem spogląda to na nieznanego i nieoczekiwanego gościa, to znów na piętrzącą się przed sobą misę kwaśnego mleka, którem właśnie się raczył, które zakryć, niepostrzeżenie usunąć najprzebieglejsza gospoia jużby nie potrafiła. W drzwiach drugiego pokoju, utapetowanego świętymi obrazami i obrazkami, staje kobieta w wiejskim stroju i ciekawie się przygląda. Przedstawiam się p. Haderlapowi i zaklinam go, aby sobie śniadania nie przerywał; on lamentuje, że tak ranna godzina i nie wiedzieć, czemuby mię uczęstować, bo wina teraz pewnie pić nie zechce.

— A chodźże tutaj — woła do wciąż nieśmiało, a ciekawie obserwującej przybysza w drugim pokoju kobiety — chodź żono i powitaj gościa, Polaka, co osobno tu przyszedł, żeby się z nami poznać...

Po krótkiej chwili znikł wszelki przymus, pierzchnęły ceremonialne względy i bojaźnie. Redaktor *Mira* zasiadł przed

nielekkiem, i milcząc a żwawo z nim się uporawszy, nałożył sobie pękata fajkę i już do końca długiej rozmowy każde zdanie jego mieszało się z dymem.

— Książd Polak?... Polacy to wielki naród; inaczej niż my mogą się rozwijać, inne mają w ręku środki. Znałem dobrze dwóch Polaków, przemilych, przewybornych ludzi; jeden mieszkał tu u mnie dłuższy czas; cośmy się ze sobą nie nagadali, nie nakłócili — ale jak brat z bratem się kłóci... Mnie bardzo zawadza w literackiej, w dziennikarskiej pracy, że po polsku nie rozumiem; ale trudny to niestety dla nas język, a ja już za stary i pracy zawiele. Chciałem się kiedyś dawniej po polsku poduczyć. Patrz książd, oto polska gramatyka, cóż, kiedy czasu nie starczyło; jak się zaczęło, tak i skończyło się na sprawdzeniu z Wiednia tej gramatyki.

Skierowałem rozmowę na naukowy, literacki ruch między Słoweńcami.

— Ja tu z moim *Mirem* na przednich czatach: dużo wody upłynie, nim w Celowcu, nim w Karyntyi zdobędziemy sobie jakie stanowisko. Cała okolica słoweńska, ale miasto niemieckie, szkoły niemieckie. Właściwe nasze narodowe życie koncentruje się w Lublanie. Gazet, małych i bardzo małych dzienniczków, mamy dosyć, wszystkich razem może ze czterdzieści; po większej części zajmują się polityką, ale jest też kilka fachowych. Nauczyciele mają dwa swoje specjalne organy, rolnicy dwa, prawnicy jeden, księża jeden, młodzież szkolna jeden. Wiele pism, jak i moje, przeznaczone dla ludu wiejskiego, wychodzi tylko dwa razy miesięcznie; więcej lud nasz czytać nie ma ani ochoty ani czasu, więcej płacić tem mniejszą jeszcze ma ochotę i nie ma pieniędzy.

— Na książki naukowe, w ścisłym słowa tego znaczeniu, zdaniem mojem, jeszcze u nas zawczasie; nie mamy odpowiednich pisarzy, a przede wszystkim brak nam dla nich czytelników. Istniejąca w Lublanie od lat blisko dwudziestu pięciu *Matica słoweńska*, wydaje wprowadzie tego rodzaju książki, z zakresu nauk przyrodniczych, historii, słoweńskiej filologii, ale przyznać się muszę ze wstydem, ja sam nawet do książek tych

nie mogę nabrać przekonania. Wychodzą one wogóle zpod pióra profesorów szkół średnich; dla ludu nie są dość zrozumiałe, dość przystępne; tym, co pokonczyli szkoły i zagranicznej literatury z oka nie tracą, nic nowego, ciekawego nie przynoszą. Cóż robić? — kiedy chodzi o nabycie jakiegoś dzieła naukowego, to i ja chętniej kupuję sobie niemieckie. Kontent byłbym, gdybym się mylił, ale zdaje mi się, że *Matica słoweńska*, to do pewnego stopnia jeszcze dla nas zbytek; dlatego też nie rozwija się, raczej upada.

— Więc jakież książki mogą u was liczyć na powodzenie, na czytelników: poezye, powieści?

Zpoza obłoku fajczanego dymu okazał się niewesoły uśmiech.

— Poezye? I ja jestem poetą! Chciałem powiedzieć — poprawił się po chwili — wiersze pisuję i czasem drukuję. Ot tutaj szereg, siedmnaście już przeze mnie wydanych broszurek: *Koroške bukvice slovenskemu ljudstvu v poduk in kratkih čas*¹; mieszczą w sobie powiastki, krótkie historyczne opowiadania, gospodarskie przepisy, a i wierszyk niejeden się zabłąkał. Czasem pisze się, ot tak, żeby zagadka, historyjka, w rym ubrana, lepiej wyglądała; ale bywa też, jak tęsknota, ból wzbierze, a człowiek się wypisze, to mu lżej jakoś. Patrz ksiądz: tu epiczne opowiadanie z czasów wojen tureckich: *Ivan Humbershofer, baroniec Silber-nagel*; dalej kilka zagadek; w tym zeszytce *Smrt na Golgati*, i znowu parę religijnych pieśni; a tu *Mi smo popotniki* (Jesteśmy pielgrzymami):

Oj kje je dragi bratec moj,
Ki skakał nekda j zmeno j
Po rebri zeleneči,
Po vresnici rudeči?
Oh, on je šel na drugi svet:
Le v večnosti ga vidim spet!
Mi smo popotniki,
Naš dom je v večnosti.
Oj kje je ljuba sestrice,
Ki vence mi je spleta la,
Med rožami sedela
In mile pesmi pela?

¹ Karynckie książeczki ludowi słoweńskiemu na naukę i rozrywkę.

Oh, tu je videl več ne bom,
 Izbrała si je boljši dom!
 Mi smo popotniki,
 Naš dom je v večnosti.
 Oj kje je dobra bábica,
 Ta stara mi prijateljica?
 Sladčice mi nosila,
 Molitvic mi učila.
 Že davno šla je v sveti raj,
 Od tam nihče ne gre nazaj.
 Mi smo popotniki,
 Naš dom je v večnosti...¹

Poeta książeczkę zamknął, choć wiersz liczył dziewięć, a nie trzy strofki, machnął ręką i ciągnął dalej prozaicznym, zrezygnowanym tonem:

— Tylko, że wiersze zupełnie się nie rentują i dlatego musiałem właściwie wziąć z nimi rozbrat. Jeśli rozejdzie się dwieście, trzysta egzemplarzy, to już dobrze; bo proboszcze nie mogą oczywiście z ambon w kościele książeczek z poezjami polecać, nie mogą sami zajmować się zbieraniem na nie prenumeratorów. Wydawanie powieści także dotąd nie bardzo zyskowny interes; jeśli powieść większa, to najpraktyczniej rozdzielić ją jeszcze na kilkanaście tanich zeszytów, bo lud inaczej przestraszy się wielkiej ceny, obejrzy wielką książkę z uszanowaniem — ale nie kupi. Na księgarskim targu mają jedynie zbyt zgóry zapewniony książki do nabożeństwa. Każda Słoweńka uważa sobie za punkt honoru mieć ich kilka; gdy ujrzy nową, ładnie oprawną, z nie-

¹ Oj! gdzież jest drogi braciszek mój, — Który niedawno jeszcze skakał ze mną — Po zielonych wzgórzach, — Po wrzosach czerwonych? — Ah! on już poszedł na drugi świat; — W wieczności kiedyś zobaczmy go znów! — Jesteśmy pielgrzymami, — Nasz dom jest w wieczności!

Oj! gdzież jest luba siostra ma, — Co mi wieńce splotała, — Między różami siadała — I pieśni wdzięcznie nuciła? — Ah! tu jej widzieć już nie będę, — Do lepszej już się wybrała ojczyzny! — Jesteśmy pielgrzymami, — Nasz dom jest w wieczności!

Oj! gdzież pocziwa babka ma, — Stara ta moja przyjaciółka, — Co słodczy mi nosiła, — Modlitew mi uczyła? — Ah! dawno poszła już do nieba, — A zamtąd nikt się nie powraca. — Jesteśmy pielgrzymami, — Nasz dom jest w wieczności!

znanemi sobie modlitwami, nie zdoła oprzeć się pokusie, nabyć ją musi.

I pragnąc złożyć namacalny dowód ostatniego tego twierdzenia, przywołał p. Haderlap koło kuchni pracującą żonę i wezwał ją po słoweńsku, bo po niemiecku ledwie kilka słów rozumiała, aby popisała się z prywatną swoją biblioteczką.

Klucz zgrzytnął, biblioteczka przeniosła się z szafy na stolik. Składała się ona w całości z dziewięciu książek: z tych ośm do nabożeństwa i jedna w pięknej czerwonej oprawie, ze złotym napisem: *Slovenska Kuharica*. Bardzo to dobra i pożyteczna książka, zapewniała p. Haderlapowa, która z zamilowaniem prawdziwej bibliofilki jedną książkę po drugiej otwierała, odczytywała głośno tytuły, kazała przypatrywać się obrazkom. Dowiedziałem się zarazem, a dla pociechy uprzejmej gospodyni zapisałem sobie, że *Slovenska Kuharica* w trzecim już wyszła wydaniu, a autorką jej — słoweńską Ćwierciakiewiczową — jest Majda Bleiweisowa. Niestety! bliżej, raczej praktyczniej zapoznać się z interesującą tą książką nie miałem sposobności; a choćbym miał, czuję i rozumiem, jak bardzo brak mi kompetencji do wydania sprawiedliwego sądu, czy i w tym kierunku słoweńska sztuka i nauka uchylić musi czoła przed polską...

Od pierwszej chwili, w której redaktor *Mira* wygłaszać począł formalną, a tak ciekawą dla mnie prelekcję o życiu, o stosunkach literackich swego kraju, chwyciłem za kawalek papieru i notowałem bez ceremonii, co zanotować się dało. W zapale, własnymi słowami rozgorączkowany, nie spostrzegł on tego widocznie; teraz dopiero, gdy rozmowa zeszyła na prozaiczną *Kuharicę*, oko jego spoczęło na zamalowanym niby hieroglifami arkuszu.

— Książdź notujesz, a może i sam do gazet pisujesz; może co o nas w Polsce napiszesz?

— Najprawdopodobniej.

P. Haderlap przeszedł się parę razy po pokoju, fajkę położył i wziął ją znowu do ręki, namysławiając się, czy wypowiedzieć się z tem, co na sercu mu ciążyło. Zaczął już: „To po-

wiedzieć im“... — i przerwał niedokończone zdanie. Wreszcie zapytał:

— Mogę mówić otwarcie, nie obwijając w bawelnę?

Naturalnie poprosiłem o jak największą, o bezwzględną szczerłość i z równą szczerością, nie pytając tutaj, czy i o ile słoweński redaktor miał rację, wiernie wywody jego spisuję. W każdym razie wiedzieć nam nie zawadzi, co o nas inni sądzą, co zwłaszcza myślą o nas słowiańscy nasi pobratymcy w Austrii: a że p. Haderlap ze swemi zdaniem i zarzutami nie stoi odosobniony, o tem wielokrotnie, czasem aż za jasno i za dobitnie mogłem się przekonać.

— Czemu wy Polacy — mówił spokojnie z początku, później stopniowo coraz bardziej się zapalając — czemu tak mało troszczycie się o inne słowiańskie narody, o to, co się u nas dzieje, o nasze potrzeby; czemu nie macie, nie chcecie mieć z nami żadnych stosunków? Czesi, Chorwaci, Słoweńcy uważają się wzajem za braci; jedni tylko Polacy między katolickimi, żyjącymi w Austrii Słowianami, trzymają się na uboczu, nie chcą przystąpić do tego sojuszu, tak i z tyłu względów naturalnego, który i nam, ale bez wątpienia i wam również przynieśćby mógł nieocenione korzyści. Wiemy, że wasza historia, literatura króluje między wszystkimi słowiańskimi; uznajemy w was starszych braci, czemuż nie poczuwacie się do uznawania w nas młodszych — wcale a wcale tego nie przeczymy — ale zawsze braci. Podobno w Wiedniu podejrzewają nas niektórzy o panslawizm. Prawda, jest u nas garstka wyrzutek narodowych, garstka obalamuconych, którzy lgną do Rosyi. Ależ tych Młodosłoweńców mało, bardzo mało; katolicki nasz lud jawnie się ich wypiera, nikogo z ich grona nie posłał do parlamentu; za cóż i dla czegoż czynić nas odpowiedzialnymi za słowa, a choćby i czyny kilku niedowarzonych głów, jakich ostatecznie w żadnym kraju nie brak? My dopomagamy lojalnie polskiemu klubowi do osiągnięcia jego zadań, do przeprowadzenia jego wniosków, ale pragnęlibyśmy też doznawać nieco więcej niż dotąd wzajemności. Jeśli idzie wam istotnie o to, aby Młodosłoweńcy, podziśdzień słabi i mało znaczący, nie porośli w pierze, aby nie świecili

tryumfów, jakie dziś święcą Młodoczesi, to musicie zmienić taktykę w postępowaniu z nami, musicie się do nas zbliżyć i dopomagać do utrzymania tego, co się nam rzeczywiście należy. Macie w Austrii wielkie zadanie, wasze słowo wiele jeszcze u Słowian znaczy, a niemało musi też ono ważyć i waży u Niemców; na Boga żywego, używajciez lepiej, energiczniej, nie dla samych siebie tylko, nie dla samej Galicji, waszego znaczenia, wpływu!

Słuchałem cierpliwie, nie przerywając, bo z doświadczenia wiedziałem, że polemika na nic się tu nie zda, a w jedno-, choćby w dwugodzinnej rozmowie niesposób powstrzymać i uregulować przez długie lata wzbierającego potoku niechęci i żalów. Ktokolwiek w Bernie, jak w Celowcu, w Lublanie jak w Zagrzebiu, w Tarnawie jak w Koszycach, wyszedł poza nic nie znaczące frazesy i szczerze się rozgadał, jak czuł i myślał, nie jak mu nakazywały względy każdy wyraz ważącej grzeczności; kto nie wiedział zwłaszcza, że z Polakiem rozmawia, o nazwisko się nie spytał, wypowiedzianego nie dosłyszał, dosłyszawszy wziął je za włoskie, za rumuńskie — ten dziewięć razy na dziesięć, wyraził ubolewanie, że Polacy, naród w historii sławny, z szlachetności znany, trzymają się dziś w Austrii tak egoistycznej polityki, że Koło polskie dba o własne tylko, ściśle galicyjskie sprawy, a dla innych, choćby najważniejszych interesów i żądań, nie ma zrozumienia. Kiedy mówi ci to jaki centralista, jaki jawny wróg dzisiejszego gabinetu, uśmiechasz się i nie dziwisz; kiedy ci to samo głośniejszym tonem powtarza Młodoczech, Młodosłowniec, wzdrygasz ramionami i znów się nie dziwisz; ale kiedy tę samą piosenkę, z nieco odmiennem zaledwie zabarwieniem w tonie, z lekkim odcieniem w nucie wyśpiewa ci do Liechtensteinowskiego pułku zapisany katolicki Niemiec, wiernie, wbrew chwilowym klęskom, przy Riegerowskiej chorągwi stojący Staroczech; kiedy ci ją wyśpiewa i włoski i niemiecki Tyrolczyk i Słowniec i Dalmatezyk i Słowak i Chorwata — to ten wspólny, z tak rzadką w Austrii harmonią odzywający się chór, musi ostatecznie wrażenie wywrzeć, za nerwy targnąć i zniewolić do zapytania: „Dlaczego jesteśmy tak niepopularni między Słowianami, czy

i o ile w tem nasza вина?“ Co się tyczy strony politycznej tej kwestyi, czy Koło nasze we Wiedniu mogłoby okazywać tym Słowianom i Niemcom katolikom więcej życzliwości, więcej poparcia w obronie ich interesów religijnych i narodowych, w granicach słuszności i sprawiedliwości — czyby nie legła w tem korzystniejsza nawet dla naszego kraju i gruntowniejsza polityka, niż inne sojusze, które nawet chwilowe korzyści przynoszą — to zostawiamy do rozważania i rozstrzygnięcia powołanym do tego mężom. Lecz oprócz tego wpływa niezawodnie na to nieporozumienie odległość, złośliwe plotki, rozsiewane przez wiedeńską prasę, a ztamtąd przelewające się do wszystkich prowincjonalnych niemieckich i słowiańskich dzienników. Czy nie byłoby obowiązkiem prasy naszej i literatury prostować te wyobrażenia, okazywać tym ludom prawdziwe zainteresowanie się żywotnymi ich interesami, słowem, zbliżyć się do nich — jak tego niezawodnie pragną i jak to leży w naszym obopólnym interesie?

Ks. Jan Badeni.



DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU.

II. Dlaczego kwestya socyalna dziś tak jest groźną.

Wyciagnijmy teraz wniosek z tego, cośmy dotąd powiedzieli. Faktem jest niezaprzeczonym, że nowy sposób produkowania, zapomocą maszyn i fabryk, wywołał niesłychaną zmianę w materyalnych i ekonomicznych stosunkach społeczeństwa ludzkiego; zmiana ta nie ma dotychczas na drodze legalnej żadnego zrównoważenia, a pociąga za sobą bardzo wiele kwestyj praktycznych i niezmiernie doniosłych nietylko dla robotników fabrycznych, ale pośrednio także dla całego społeczeństwa — kwestyj, które do tej chwili czekają stanowczej odpowiedzi.

Że przewrót ten w stosunkach materyalnych i ekonomicznych wywiera swój wpływ także i na cały porządek moralny i polityczny — to się samo przez się rozumie. Prócz tego wszyscy patrzymy na smutne skutki tego wpływu, chociaż nie każdy może zdaje sobie sprawę, jakie są bliższe czy dalsze jego przyczyny.

Miedzy niebezpieczeństwami, grożącemi porządkowi moralnemu i politycznemu, dwa głównie rozróżnić należy: jedno skutkiem ludzkiej naszej słabości w naturalny sposób wynika ze zmiany stosunków, drugie wywołuje sztucznie fałszywa nauka, przewrotna dyalektyka i zła wola. Że robotnicy i robotnice, wspólnie pracując w wielkich fabrykach, więcej są wystawieni

na niemoralność niż w prywatnych stosunkach rodzinnych, tego nie potrzeba dowodzić — jak równie naturalną jest rzeczą, że robotnik, który czuje cały ucisk kapitału, jest skłonny do nienawiści ku posiadającemu ten kapitał. Ale że robotnik skłania się do bezbożnego materyalizmu, to już jest sztucznie wywołaną konsekwencją, której naukowych przesłanek robotnik ocenić nie potrafi, i dlatego tylko je przyjmuje, że mu je zdradliwie, jako rzeczywiste wyniki nauki, podają. Chociaż bowiem w swej maszynie nie widzi on nic innego, jak doskonale uporządkowaną materię z motorem, jako źródłem prawidłowego ruchu, to ztąd bynajmniej jeszcze nie wynika, że i człowiek niczem nie jest innym, jak materią w ład wprowadzoną, której mechanicznym motorem, wszystkie jej funkcyje wywołującym, jest mózg albo serce. A to przekonanie starają się przecież wpoić w robotnika, przedstawiając mu je jako zdobycz naukową.

O niebezpieczeństwach dla moralnego i politycznego porządku, sztucznie wyprowadzanych z nowego sposobu produkcji, później powiemy, kiedy będzie mowa o dzisiejszym socyalizmie, bo on to jest ich sprawcą. Tu zwrócimy uwagę tylko na te niebezpieczeństwa, które więcej w naturalnym związku stoją ze sposobem produkcji — a z tych wybierzemy jedynie główne, gdyż niepodobna rozbierać szczegółowo wszystkich, do jakich się może znaleźć sposobność wobec nowych stosunków materialnych robotnika i chlebowodawcy. Jeżeli mówię, że naturalne te niebezpieczeństwa wywołane zostały przez nowy sposób produkcji, to bynajmniej nie podaję go jako jedyną i wyłączną ich przyczynę; to tylko chcę przez to zaznaczyć, że on, tj. ten sposób produkcji, daje do nich podietę, że przygotowuje i użyźnia rolę, jakkolwiek jest dziś i wiele innych do nich powodów.

Pierwszem niebezpieczeństwem, któremu otwiera bramę ubóstwo dzisiejszej klasy roboczej, a bogactwo chlebowodawców, jest materyalistyczny kierunek życia ze wszystkimi jego niedorzecznościami. Już sam sposób, w jaki się odbywa praca, sprzyja temu kierunkowi. Robotę w większej części wykonywa maszyna, człowiek ją tylko obsługuje, przez co staje wobec niej zupełnie na drugim planie. Idealna strona pracy, tj. pragnienie, by pracę

jak najdoskonalej wykonać, a przytem i siebie udoskonalić, staje się wobec maszyny niemożliwą. Praca robotnika fabrycznego staje się prostym mechanizmem, duch tępieje, znika dążenie do udoskonalenia się, obniża się godność i wartość pracy, a wraz z nią wartość i osobista godność człowieka. Nie żąda się od robotnika zdolności umysłowych, lecz tylko uwagi i baczności, by w danej chwili, gdzie i kiedy potrzeba, obsłużył maszynę. Przeto i kobiety i dzieci nadają się do pracy w fabryce. To też maszyna kobietę odciąga od obowiązków gospodyni domu i matki; dzieci pozbawia wychowania rodzicielskiego, a przez zarobek, jaki zyskują, daje im poczucie samoistności, które w znacznej części podrywa powagę rodzicielską, tak niezbędnie potrzebną w kwestyi wychowania. Nadto dla tych dzieci umysłowe wykształcenie jest niemożliwe. Godziny, któreby trzeba spędzić w szkole, przynoszą tylko umęczenie, a nie dają żadnego zarobku, gdy tymczasem fabryka go daje. Cóż więc wybierze chłopiec czy dziewczę? Wiemy z doświadczenia co, bo aż przymusu szkolnego używać potrzeba, by jakiegokolwiek przynajmniej okrzestanie umysłowe dało się przeprowadzić. — Dalej maszyna pracuje ciągle, nie spoczywa nie tylko w nocy, ale ani w niedzielę, więc i w nocy i w niedzielę potrzebuje robotników. Przez to zaś osłabia się w robotniku poczucie jego obowiązków religijnych, prawdy wiary zaciemniają się w jego duszy, i tak zanika to właśnie, coby powinno człowiekowi dawać największą siłę moralną, wytrwałość, stateczność i cierpliwość w przeciwnościach. Jeżeli nadto całe poczucie moralne na religii się opiera, przez nią się utrzymuje i żyje, to łatwo się domyślić, że ze zniknięciem poczucia religijnego, zniknąć musi i poczucie moralne, a w praktyce i moralność sama.

U chlebobawcy materializm w inny sposób się szerzy i krzewi. Musi on mieć zyski, by mógł swą fabrykę utrzymać. To jest najbliżej dotycząca go prawda; a jakże łatwo wobec tego zyski jedynym i najwyższym stać się mogą dla niego celem! Lecz już ta sama wrzekoma prawda jest fałszem moralnym, otwierającym drogę do niezliczonych aberracyj moralnych. Gdzie to gonienie za zyskiem zapanuje, jak łatwo tam się zapomina, że

chlebodawca i robotnik wzajemnymi interesami są z sobą obopólnie związani — robotnik staje się towarem; a jakkolwiek towar, którego on dostarcza, starają się dla kupujących uczynić tanim, a robotnik, jakśmy widzieli, tę taniość na sobie najwięcej odczuwa, mimo to zysk jak najwyższy ma wpłynąć do kasy chlebodawcy, albo kapitalisty, od którego chlebodawca wraz ze swym pożyczonym kapitałem zależy. Czy te niebezpieczeństwa w zakresie moralności są może tylko urojone? Bardzo trafnie określa zasłużony autor socjalno-polityczny, Fr. Hitzel¹, położenie wielkiej liczby przedsiębiorców: „Stoją oni między buntowniczymi robotnikami z jednej, a chciwymi zysku kapitalistami z drugiej strony — położenie wcale nie do pozazdroszczenia. O pogodnych i wesołych stronach życia w takim stanie rzeczy nie może być mowy. Przedsiębiorca staje się spekulantem; rzuca się namiętnie jak gracz na każdą okazję zysku i jak on wygrywa albo miliony kapitalisty albo łachmany proletariusza“.

Dalszem niebezpieczeństwem, w które świat robotniczy skutkiem swego materyalnego położenia łatwo popada, jest owo pomieszanie zasadniczych pojęć etycznych, na których się opiera całe życie moralne społeczeństwa. Wolność, równość, braterstwo — te wielkie hasła, które od stu przeszło lat rozbrzmiewają po świecie, są chwytane przez ludzi, którzy w jakikolwiek sposób czują się upośledzonymi i którzy nimi wojują z tym większym zapalem, im mniej rozumieją prawdziwego ich znaczenia i tymże samym bezrozumnym entuzjazmem usiłują przejąć całą klasę robotniczą. Cóż jednak rozumieją oni pod temi słowami? Bardzo byłoby trudno pojęcia o tem między robotnikami rozszerzone w jedną połączyć definicyę, czyli rozmaite ich zapatrywania do jednego sprowadzić mianownika. Mało których słów ludzkie tak nadużywali, jak tych trzech; agitatorzy nigdy nie przemawiają niemi do zdrowego rozsądku, lecz używają ich do podniecania namiętności. Aby je zaś robotnicy z entuzjazmem przyjmowali i najpotworniejsze podkładali im znaczenie, to sprawiła

¹ *Die Quintessenz der sozialen Frage*, p. 12.

ta tak powszechna dziś praktyka handlarska, o którejśmy wspominali; położenie bowiem, w jakim ona postawiła robotnika, jest istotnie nie do zniesienia. Robotnik uczuwa od czasu do czasu bolesniej straszny ciężar swej zależności, a wtedy wyraz „wolność“ przedstawia mu się jak rdzenne prawo całej ludzkości, więc chwyta się go z niewypowiedzianym zapalem; dla niego ten wyraz nic innego nie znaczy, jak „uwolnienie“ od tej gnębiącej zależności, a więc wyraża mu całą jego ziemską szczęśliwość. Ztąd znów wszyscy, pod których ręką się ugina, wydają mu się tyranami, gwałcicielami jego przyrodzonego prawa. Co za nieszczęsne a zgubne pomieszanie pojęć! Wyraz „wolność“, wzięty sam w sobie, jest bez treści, bez znaczenia, jestto tylko zaprzeczenie więzów zależności. Dopiero wtenczas prawdziwego dodatniego nabiera znaczenia, kiedy się odnosi do tych więzów, od których uwalnia, i do celu, do którego po uwolnieniu od więzów otwiera drogę. A teraz zapytajmy się, czy te więzy zależności dadzą się bezwzględnie usunąć w społeczeństwie ludzkim? Czy istnieje gdziekolwiek taka wolność, któraby nam wszelkie pęta zdejmowała, a przeto od wszelkiej uwalniała zależności? Taka wolność nie istnieje w społeczeństwie ludzkim. Z natury rzeczy wszyscy wzajemnie jesteśmy od siebie zależni, czy to w samej egzystencji, czy w działalności naszej. Jeśli tylko mamy żyć w społeczeństwie ludzkim, to musimy być z sobą związani wzajemnymi prawami i obowiązkami. Zależność ta nigdy nie jest po jednej stronie, lecz zawsze jest wzajemną, chociaż dla jednej strony może być przykrejszą niż dla drugiej. Jak robotnik jest zależny od swego chlebodawcy, tak i ten jest zależny od robotnika. Więzy praw i obowiązków są obustronne. Jestto więc czysta niedorzeczność, jeśli robotnik jedynie i wyłącznie o swoich myśli obowiązkach, wzdyga się przed naciskiem kapitalistów, chciałby uzyskać tę wymarzoną wolność, tj. posiadanie samych tylko praw, bez żadnych obowiązków. Lecz niestety, ta niedorzeczność zbyt łatwo znajduje przystęp do serca robotnika, bo wraz z religią osłabło u niego i znikło moralne poczucie zawisłości, bo bezecni agitatorzy, wyzyskując ten ucisk, ciążący na robotniku, głoszą mu złotą, ale bezrozumną wolność.

Z naturą ludzką zgodnem jest gonić nie za wolnością swawolną, ale dążyć do unormowania prawidłowego wzajemnych praw i obowiązków. Jedyną wolnością człowieka jest wolność jego woli, ale jej właśnie moralna godność na tem polega, by się zgodziła z tym porządkiem wzajemnej zależności, jakim podo- bało się Bogu zjednoczyć ród ludzki w jedną wielką rodzinę.

Podobnie rzecz się ma z drugą ideą, tj. z pojęciem równo- ści. Ileż to nieszczęść sprowadziło w różnych społeczeństwach ludzkich wykrzywienie tego pojęcia? A właśnie robotnik szcze- gólnie jest wrażliwy na to tak spaczone pojęcie. Widzi on, jak ustawicznie musi walczyć z nędzą, a nigdy nie może wywalczyć sobie dobrobytu; gdy tymczasem bogaty bez pracy pieniądze dokłada do pieniędzy, wszystkich używa rozkoszy, a na dobitkę nim biednym pogardza. Jeśli więc, będąc w takim położeniu, słyszy, jak mu kusiciel mówi: „Widzisz, jaka nierówność między tobą a bogatym; twoja dola do jego, to jak niebo do ziemi; a przecież on taki sam człowiek jak i ty, równicie sobie zupełnie z samej natury i istoty rzeczy; a więc ta straszna nierówność, to jego zdzierstwo a twoja krzywda!“ W taki sposób wyraz „równość“ staje się temu biednemu, zaślepionemu człowiekowi pobudką do szalonego buntu. W czymże to jesteśmy sobie ró- wni? Jedyne w tem oderwanem pojęciu człowieczeństwa. Wszy- stko zaś inne, co w człowieku istnieje konkretnie, jest różnicą między jednym człowiekiem a drugim. Jakże odmienne są dary umysłu, talenta; jakże różne zdolności fizyczne; jakże nierówne zewnętrzne okoliczności, które stanowią o kierunku i postępie wychowania i wykształcenia człowieka. Jeden ma cnotliwą i za- cną matkę, a matka drugiego zdaje się jakby była obrana z wszelkiego poczucia moralności; jeden wychowuje się w ro- dzinie, rządzącej się wszystkimi przepisami surowej karności obyczajów, a drugi rośnie tak fizycznie jak i moralnie w oto- czeniu podobniejszym do piekła niż do rodziny. Te i tym podo- bne tysiączne okoliczności nie miałyby sprawiać różnic między jednym człowiekiem a drugim? Stawiać zasadę bezwzględnej równości ludzi, jestto postępować wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Gdyby możliwą było rzeczą według recepty socyalistów

wszystkich ludzi zrównać i nagiąć do tej samej formy, zniweczywszy w nich właściwości każdej indywidualnej natury, gdzieżby się podzielała ta przez nich tak zachwalana wolność? Jakże więc niedorzecznem jest pojęcie równości, które robotnikom gwałtem do głowy wtłaczają, a które źle zrozumiane, drażni ich tylko i tyle złego w sobie zawiera!

Niemniej destrukcyjnie działa spaczone pojęcie braterstwa. nie z ducha chrystyanizmu, lecz z rewolucji zaczerpnięte. Z pewnością przekonanie o wspólnem braterstwie, łączącem wszystkie jednostki tej wielkiej rodziny ludzkiej, podnosi i krzepi ducha, ale o tyle tylko, o ile nań patrzymy w świetle wiary, jako dzieci jednego Ojca Niebieskiego, powołane do odziedziczenia tejże samej ojczyzny niebieskiej, a już tu na ziemi złączone węzłami braterstwa, prawdziwą miłością się miłujące. Braterstwo to opiera się na miłości bliźniego, ta zaś miłość wyklucza nienawiść, zazdrość, zarozumiałość, oszukaństwo, wszelkie ciemnienie; ale jak nie wyklucza naturalnej nierówności w życiu społecznem, tak też nie znosi różnorodności interesów w życiu materyalnem. i dlatego nie zakazuje pracy, zmierzającej do podniesienia tychże interesów. Mimo wszelkiego prawdziwego braterstwa, każdy dbać winien o swoje interesa, pracować dla nich, bronić ich, starać się je polepszać, oczywiście bez oszukiwania swego współbrata. bez nakładania nań niesprawiedliwych ciężarów.

Chrześcijańskie braterstwo może się ostać, choć bogaty będzie pracował dla swej rodziny, pomnażając ciągle swój majątek, byleby tylko ubogiemu współbratu nie odmawiał swej pomocy i obrony; choćby się nie dzielił z nim bynajmniej swym majątkiem. Braterstwo i nierówność są to dwie spójnie, które w społeczeństwie ludzkim jednych wiążą z drugimi. Tymczasem braterstwo, jak je pojmują robotnicy, jest formalnym absurdem w społeczeństwie ludzkim, jest tylko manewrem agitacyjnym do zasiewania niezgody między klasami, i wywoływania buntu.

Tendencyjne wykrzywianie tego pojęcia znajduje w robotniku grunt podatny. Robotnik w tego rodzaju braterstwie nie widzi nic innego, jak ogólne a wspólne wszystkim jednostkom prawo czerpania ze wspólnej misy ile się podoba, i przywłaszcza-

nia sobie z ogólnego składu towarów ile się chce. Wprawdzie każdy musi coś włożyć swej pracy, by utrzymać wspólną kuchnię i ogólny skład towarów, ale różnica interesów osobistych i dbanie o nie jest grzechem przeciw braterstwu. Robotnik wcale się nad tem nie zastanawia, czy możliwą jest rzeczą założyć taką wspólną kuchnię i powszechny skład towarów, z którychby każdy czerpać mógł, ile tylko mu się żywnie spodoba, ale chwytając się takiego pojęcia braterstwa oburacz. Widzi przed sobą tę straszną walkę interesów, w której on zwykle bywa pokonany; widzi jak ten bój się toczy z całą zajadłością, z wyteżeniem wszelkiej zręczności kupieckiej i rozbudzeniem wszelkich namiętności; lecz widzi zarazem, jak często on sam pada ofiarą w tej walce. Cóż więc dlań naturalniejszego, jak uważać za jedyny środek ratunku w swej nędzy ideę, iż wszystko jest wspólną własnością? W tem się streszcza i koło tego obraca się całe jego pojęcie braterstwa.

Te same przekreśnione pojęcia, jako agitacyjne środki, rozszerzają socjaliści nieraz i między ludem. Znany jest frazes Lassalle'a: „solidarność w wolności“, albo: „wolność i równość w solidarności“, który dziś stał się ideałem, grożącym przewrotem świata. Wspaniały to zaiste ideał, ale nie dający się zrealizować w takim, jaki nasz jest świecie. Solidarność, to znaczy „wspólność“ wszystkich interesów, z wykluczeniem wszelkich odrębnych, osobistych, wspólne działanie i praca, ale i wspólne używanie, bez wszelkiego wyszczególniania, bez wszelkiego przywileju, który byłby nazwany kradzieżą, spełnioną na ogólnej własności — a ta wspólność ma być wśród ludzi, zupełnie sobie równych, równe mających prawa i obowiązki, nie kępowanych żadnymi prawami prócz praw miłości. Śliczne to, ale zbyt piękne, aby mogło być prawdziwem i w rzeczywistość się przyoblec wśród rodzaju ludzkiego na ziemi.

Że za tym ideałem, do którego dążą, poszła i wielka zmiana w porządku pojęć moralnych, jakie dotychczas sercem ludzkim kierowały, sam Lassalle to daje do zrozumienia; przedstawia nam bowiem trzy charakterystyczne epoki. Wieki średnie są u niego czasem „solidarności“ w skojarzeniu, tj. wspólności wszy-

stkich interesów przez wzajemne podporządkowanie i poddanie. Czasy rewolucyi francuskiej są u niego jeszcze czasami „wolności, rozwiązującej wszelką solidarność i wspólność“, i dlatego są panowaniem absolutnej woli. Nowe czasy, które on zamyka w pojęciu czwartego stanu, dążą do „solidarności w wolności“. Ideal więc, jaki dla dzisiejszych stawia czasów, jest bardzo różny od starej przeszłości. Wprawdzie trzeba jeszcze zrobić ogromny krok ku jego ziszczeniu, ale na drodze, która doń wiedzie, już jesteśmy; a droga to zupełnie inna niż ta, po której czasy ubiegłe dążyły do swego celu.

Ztąd nie dziwnego, że z tą ogromną zmianą w pojęciach moralnych schodzi się jeszcze inny czynnik, z poprzednimi w ścisłym zostający związek, tj. nienawiść klasowa, tendencyjna nienawiść klasy pracującej przeciw kapitalistom, klasy ubogiej przeciw majątnym; a ponieważ nienawiść ta nie może nie być wzajemną, więc i kapitaliści nienawidzą robotników. Wśród klasy pracującej, głównym gniazdem tej nienawiści jest robotnik fabryczny. Sądzi on, że ma prawo do tego, ponieważ w swym panu widzi tylko swego ciemieżyciela, który z jego potu zbiera kapitał, jego ubóstwo wyzyskuje bezwzględnie na swą korzyść. Nienawiść ta jest jak ogień, obejmujący wszelkie niezadowolnione żywioły stanu robotniczego, choćby nawet małe miały prawo do skarg i uzaleń. Nienawiść ta jest tą ciągle tlejącą iskrą, która naszemu dzisiejszemu społeczeństwu zagraża wszystko niszczącym pożarem buntu.

Z drugiej strony właściciel fabryki stoi i patrzy z pogardą na robotników, jak na najnieprzyjaźniejszą sobie rasę, a opierając się na swych milionach, wyzywa nienawiść robotników wzajemną swą nienawiścią. Przyzwyczaił się do tego, że jego siła pieniężna pokonywa i zwycięża wszystko, dlatego zaufany w niej, za cichą nienawiść odwzajemnia się otwartą pogardą, nakładaniem nowych ciężarów na robotników, aby tym sposobem stłumić płomień buntu. Walka interesów przedzierzga się w zacieklą walkę klas, w walkę, z jaką rzadko w historii świata napotkać się można. Taki to dar przyniósł nam nowy sposób produkcji.

Jak wyżej nadmieniliśmy, nie zamierzamy wszystkiego skła-

dać na karb nowego sposobu pracy; nie myślmy bowiem, żeby jedyną przyczyną tej klasowej nienawiści była fabryka. Występują tu i inne przyczyny, mianowicie brak religii, a z nim brak prawdziwej miłości bliźniego, chrześcijańskiej cierpliwości, a z tymi brakami żądza zysku, nie znająca żadnych granic; lecz z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że jedną z najważniejszych przyczyn tego smutnego ułożenia się stosunków jest fabryka.

Nawet i w dziedzinę polityki fabryczna produkcja wprowadziła ogromne zmiany. Jedna z wielkich politycznych partyj, która długi czas jej wodziła, zawdzięcza fabrykom swe istnienie. Cały dzisiejszy liberalizm wyrósł na gruncie systemu fabrycznego, tak jak dzisiejszy socjalizm jest znów płodem liberalizmu, albo raczej samym liberalizmem, posuniętym do ostatecznych wniosków. Myliłby się, ktoby liberalizmowi jakiś idealistyczny przypisywał początek: jest on co do istoty swojej polityką worka z pieniędzmi. Dla kapitału on powstał i dla niego się rozwija, i dlatego zawsze jest na usługę kapitału. Wszystko tak zwana wolność, którą stworzył liberalizm, jest wolnością li tylko dla kapitału; proklamowany przez liberalizm rozwój i postęp, nie jest rozwojem ludzkiego społeczeństwa, lecz spotęgowaniem żądzy zysków i panowania kapitału. A że jedynym środkiem rozwoju kapitału jest dziś system fabryczny, na którym się opiera, dlatego też liberalizm pozostaje w ścisłym przyczynowym związku z systemem fabrycznym. Liberalizm nie uznaje żadnej innej wolności, prócz wolności kapitału; jestto prawda tak w oczy bijąca, że nie potrzebuje długich dowodów. Przywódcy liberalizmu wszystkich narodów należą do sfery wielkich kapitalistów, albo z ich kieszeni są płatni. Pospółstwo zaś liberalne, to półinteligencja, zwiedziona szumnymi frazesami gazeciarskimi, nie rozumiejąca wcale tendencyj liberalizmu.

Interes kapitału, procentującego jedynie na fabrykach, domaga się „wolnych robotników“, nie związanych z fabryką, którzyby się mogli przenosić podług upodobania z fabryki do fabryki, lub którychby można również według swego widzimisię usuwać; ztąd to pochodzi tak zwane „wolne przechodzenie“ (*Freizügigkeit*) i jego rezultat: skupianie ogromnych mas robotników w centrach

fabrycznych. Zanadto jakoby krępujący system dawnych cechów musi upaść, by miejsce zrobić fabrykom; dlatego samego też ma być wolność zarobku (*Gewerbefreiheit*). Pieniądz musi być na zawołanie, choćby na ogromny procent, bo fabryka potrzebuje wielkich a doraźnych nakładów; dlatego niech będzie — „wolność lichwy“, „wolność giełdy“. Ta druga niczem innem nie jest, jak uprzywilejowana lichwa, obejmująca cały świat. Fabryka potrzebuje miejsca zbytu na całym świecie, ztąd „wolność handlu“ i t. d.

Jednem słowem, liberalizm zburzył w imię wolności wszystkie ochronne organizacje, jakie z biegiem czasu wskutek dobrze zrozumianych potrzeb, a nie z naprzód wymyślonej teorii, stopniowo powstawały. Całe liberalne prawodawstwo nie było niczem innem, jak zniesieniem stanów pośrednich, a utworzeniem dwu klas: wydziedziczonych czyli proletaryatu, i kapitalistów.

W wyższe jeszcze sfery wtargnął liberalizm ze swoją tak zwaną wolnością. Jestto w naturze fabryki, że robotnika materializuje, a w interesie fabrykanta jest, że go uważa za towar, przez co odbiera mu wszelkie ideały; a że cała jego strona idealna streszcza się w religii, odbiera mu religię. Liberalizm wszelkich używał środków, by tylko robotnikowi wydrzeć religię, a z nią wydrzeć mu pociechę, siłę i cierpliwość, któremi religia tak obficie obdarza ludzi. Pozbawił dlatego szkołę i wychowanie wpływu religii, ażeby do upragnionego wychowawców przywiodły celu. Lecz jakże nieroztropnym jest przy tem liberalizm! Czyż nie byłoby logiczniej i więcej odpowiednio potrzebom serca ludzkiego, zostawić skazanemu na wyzysk robotnikowi religię, jako podporę i pociechę w jego nędzy materyjalnej? Wynikiem tego fałszywego kroku są teraz masy robotników, zawsze gotowe do buntu, do strasznej rewolucyi. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kapitalizm chcący ustawicznie rozwijać się w tysiącnych przedsiębiorstwach, i nad rządami rozciąga swe panowanie, przez co i na kierunek polityki wywiera wpływ stanowczy. Wszakże państwa i municypia

z powodu swych długów wchodzą w coraz większą zależność od kapitalistów.

Przed 20 laty, żona Anzelma Rotschilda dla uspokojenia swych gości, którzy się obawiali wojny, miała powiedzieć: „Wojny nie będzie, bo Anzelm nie da na nią pieniędzy“. Albo, jak donosiła gazeta frankfurcka, paryski Rotschild miał odmówić Rosyi pożyczki, póki by nie nadała swoim krajom konstytucyi. Ileż to razy na giełdach stolicznych rzuca się sztuczną panikę, aby i politykę i opinię publiczną popchnąć w kierunku, jaki im się podoba. W tym związku, jaki istnieje między kapitalizmem i polityką, pierwszy *de facto* ma przewagę, i on właściwie Europą rządzi. Jestto zaiste stosunek, którego ubiegłe czasy nie znały, zdobycz czasów teraźniejszych, osiągnięta przewagą kapitału.

Wyciągnijmy teraz wniosek z tego, cośmy dotychczas mówili. Nie ulega wątpliwości, że ogniskiem dzisiejszej socyalnej kwestyi jest pytanie, jaki być winien stosunek pracy do kapitału, robotników do kapitalistów, albo, jak w niektórych kołach wyrażać się zwykli, jaki ma być stosunek wydziedziczonego czwartego stanu, do opływającego we wszystko stanu trzeciego czyli burżuazyi? Około tego pytania grupuje się wiele innych, ściślej lub mniej ściśle z niem związanych. Wielka część tych kwestyj czeka na prawodawcze, wszystkich obowiązujące, i dlatego od wszystkich przyjęte rozstrzygnięcie. Dotychczasowe jednak próby pod tym względem, nie dają na nie żadnej zadowalniającej odpowiedzi. Ztąd ta dążność do innego, nowego porządku, któryby licząc się ze wszystkimi stosunkami, dał na wszystko odpowiedź, zgodną z dobrem wszystkich. Jeżeli nowego tego porządku nie będzie można osiągnąć na drodze pokojowej, tj. zapomocą roztropnych a sumiennych ustaw, to rozwiązanie kwestyi dokona się na drodze przemocy i buntu.

Z tego, cośmy o tym przedmiocie powiedzieli, okazuje się również, że dzisiejszy stosunek pracy do kapitału wraz z wielu innemi, należącemi do tego kwestyi, jest zupełnie nowy, w dawnych czasach nie znany, który powstał wskutek nowego sposobu produkcji, zapomocą fabryk i maszyn. Inne czynniki wpra-

wdzie też się do wytworzenia tego stosunku przyczyniły, ale te dwa nadały mu jego szczególnie groźny charakter. Ogólne dążenie, które opanowało wszystkie sfery ludzkiego społeczeństwa, aby te kwestye sporne w praktyce rozwiązać, według sprawiedliwości i słusznych żądań stron interesowanych: jest dowodem, że aż podziśdzień nowy ten stosunek w porządku społecznym nie jest jeszcze odpowiednio uregulowany. Nowe uporządkowanie stosunków społecznych na podstawie nowego systemu produkcyi jest niezbędnem. Ale jak ono ma się dokonać? W tem właśnie jest jądro kwestyi socyalnej naszych czasów.

Bezwzględny konserwatysta rozumowałby może w następujący sposób: Maszyna i niezmierny postęp w technice spowodowały dzisiejszy nowy sposób produkowania; nowy sposób produkowania spowodował nowy społeczny stosunek między pracą a kapitałem, ze wszystkimi jego następstwami, albo przynajmniej dał ku temu główny impuls; nowy ten stosunek w społecznym porządku jeszcze nie został ostatecznie unormowanym tak, aby odpowiedzieć celowi społeczeństwa ludzkiego, tj. z dobrobytem ogółu się zgadzać: a więc najlepiej będzie wrócić do starego porządku, a więc precz z maszynami i fabrykami!

Lecz w rzeczywistości między mnóstwem prób i zamiarów rozwiązania tej kwestyi, nikomu na myśl ten dziwaczny sposób załatwienia sporu nie przyszedł. Dzisiejsza technika wraz ze swemi zastosowaniami w maszynach, jest niezmiernym postępem, tak pod względem wiedzy, jak i opanowania materyi i zawartych w niej sił przyrody. Tak wiedza, jak i jej zastosowania, darem są bożym, i dlatego same z siebie złych i szkodliwych skutków mieć nie mogą. Zło, które z sobą przynoszą, może tylko akcydentalnie z nich wynikać, ze złego ich używania i nadużywania. Nowy więc porządek rzeczy powinien ze swej strony zapobiedz wszelkim nadużyciom, a przez to zapobiegnie tym akcydentalnie złym skutkom, jakie obecnie z nich wynikają.

Jeżeli zużytkowanie sił natury przez fabryki i maszyny szkodzi na obecne stosunki społeczne oddziaływa i staje w sprzeczności z ogólnym dobrobytem społeczeństwa ludzkiego, to trzeba je dopasować do słusznych wymagań tak całego społeczeństwa,

jak pojedynczych jego członków. A więc nie trzeba jednostronnie dążyć tylko do coraz doskonalszego i zyskowniejszego użytkowania technicznie sił natury, ale należy mieć na oku wzajemny stosunek fabryki i odbiorców, którymi jest pośrednio cały świat; wtenczas tylko może być zapewniony dobrobyt i ogółu i pojedynczych jego członków. Fabryka i płynące z niej zyski, nie są celem, ale środkiem wiodącym do dobrobytu społeczeństwa. Że zaś na ten stosunek nie zawsze zwracano uwagę, to właśnie jest przyczyną tylu dzisiejszych zawichrzeń i niepokojów. Nowy porządek rzeczy musi nieodzownie ten wzajemny stosunek unormować według wymagań sprawiedliwości, czyli nie na korzyść jednej tylko klasy, ale na korzyść ogółu.

Jakiż więc jest ten nowy porządek rzeczy, do którego dążyć trzeba? Czy ten, jaki dzisiejszy socyalizm za program swój przyjął?

(C. d. n.).

Ks. Antoni Langer.



HISTORYCZNY ROZWÓJ NIHILIZMU

W ROSYI.

(Dokończenie).

VIII.

Aleksander III. i nihilisci. — Egzekucya carobójców. — Proklamacye nihilistów. — Bitki żydów i rozruchy studenckie. — Przestrach stolicy; ostrożności w Carskiem Siole. — Rządy Ignatiewa i Tolstoja. — Koronacya Aleksandra III. w Moskwie. — Nowe proklamacye i nowy program nihilistów. Upadek czarnego terroru 1881—83 r.

Nihiliści stanęli u szczytu potęgi — nie na długo; mylili się jednak sądząc, że carobójstwem zabili carat... „Car umarł — niech żyje car!“ Carat nie umiera, zmienia tylko swoich przedstawicieli. Po carze Aleksandrze II. nastąpił car Aleksander III., idea caratu pozostała i nadal przewodniła ideą Rosyi, system samowoli rządowej zaostrzył się jeszcze, bo co tylko pozostało po Aleksandrze II. (któremu nie wiem dlaczego dano przydomek „Oswobodziciela“) z urządzeń zachodniej cywilizacyi, to wszystko w ciągu roku zniwelowały rządy Pobiedonoscewów, Ignatiewów, Tolstojów.

Przez kilkanaście dni po zamachu 1 marca, Petersburg przedstawiał istną otchłań piekielną. Wszędzie patrole policyjne, kordony wojskowe, rewizye pałaców carskich i cesarskiej rodziny, aż do kloak i kanałów, nocne napadanie żandarmów i prze-

trząsanie domów, ciągle aresztowania, coraz to nowe i coraz straszniejsze wieści o minach, podkopach, zamachach i samobójstwach nihilistycznych, i gorączkowa, wytężona uwaga na przebieg procesu carobójców, który się przewlekał w miarę ujmowania hersztów nihilizmu i prowadzony był w wielkiej tajemnicy. Obawa o własne życie przed sztyletem lub bombą nihilisty, obawa o wolność osobistą przed podejrzliwym okiem policyi, nękała umysły do reszty. Po kondolencyach mocarstw Europy, po ceremoniach pogrzebowych zabitego cara, nastąpiły homagia i przysięgi, do których po raz pierwszy zawezwano chłopów, na wierność nowemu carowi. Car w manifestie swym, wydanym do narodu nazajutrz po zamachu, boleje nad śmiercią ojca, którego zabito, bo „widziano w nim tarczę i strażnicę Rosyi“: do niczego się nie obowiązuje i nie nie przyrzeka; oświadcza sucho, że przyjmuje „ciężar“ rządów i każe sobie przysięgać wierność. Wystraszony gwałtowną śmiercią ojca, ukrył się w Gieczynie. otoczył się potrójnym pasem straży i ostrożnościami posuniętymi aż do śmieszności, stał się więźniem we własnym państwie.

Nie mając własnego programu rządzenia, chwiał się przez dwa pierwsze miesiące pomiędzy liberalnym wpływem Melikowa, a starorosyjskim demokratycznym wpływem Pobiedonoscewa i Katkowa. Dnia 30 kwietnia przedłożył mu Melikow projekt zebrania reprezentantów ziemstw i uzyskał jego aprobatę, a nazajutrz, 1 maja, dzięki perswazyom Pobiedonoscewa, wydaje zredagowany przez niego manifest, ogłasza światu i Rosyi, że „wierny głosowi bożemu, chce pozostać samodzierżcą, trzymać lejce państwa silną dłonią, a ufny w siłę i prawdę samodzierżczej władzy, chce ją utrwalić i od wszystkich zamachów obronić“. W pięć dni potem, Loris-Melikow składa naczelną swą władzę w ręce znanego intryganta, panslawisty Ignatiewa; 8 maja ustępuje minister finansów Abaza, z końcem maja czyni to samo wieloletni minister wojny hr. Milutyn. Nie można już było dłużej oddawać się złudzeniom; Rosya zatwardziła się w despotyzmie, opartym na masach bezmyślnego ludu, a w urządzeniach swoich wracała do czasów epoki Iwana Groźnego. Wszelkie wysilenia, ofiary i zbrodnie (waleczne czyny) nihilistów zmarniały bez śladu,

a w dodatku zwróciła się przeciw nim nie tylko policja z całą zaciekłością, ale i opinia Europy, która mocarstwa do koalicji przeciw nihilizmowi wzywać poczęła. Oni nie zdawali sobie zrazu sprawy z tego; nie zrażeni tem, że w ciągu 12 dni wszystkich prawie carobójców ujęto, że jeden z nich, Rysakow, człek prosty, lat 20 mający, zeznaniami swemi skompromitował sprawę, że odkryto minę pod ul. Małą sadową¹ i pod „kamiennym mostem“, że szeregiem policyjnych przepisów w domu i na ulicy, w stolicy i na prowincyi uniemożliwiono im prawie wolne oddychanie powietrzem — pijani udanym zamachem i zbyt pewni wygranej, wystosowali proklamację do narodu, którą rozlepili po rogach ulic i rozrzucili po stolicy i kraju w tysiącach egzemplarzy. Oświadczają w niej zuchwale: „Aleksander II. zginął nareszcie na mocy wyroku śmierci, wydanego nań przez nas d. 7 września 1879 r. Po dwóch latach wysilenia i ciężkich ofiar powiodło się nam wreszcie dzieło oswobodzenia. Śmierć Aleksandra II. jest aktem sprawiedliwości i zarazem ostrzeżeniem dla jego następcy, aby nie szedł za przykładem ojca i nie stał się tyranem i katem“.

Wystosowali i do Europy memoriał, datowany 20 marca, usprawiedliwiający zamach na życie cara koniecznością własnej obrony przed „gwałtownem prześladowaniem rosyjskiego rządu“. Nihilisci zmuszeni tylko, podjęli walkę przeciw podstawom despotyzmu, a śmierć Aleksandra II. jest pojedynczym jej epizodem. Uczciwe pierwiastki Europy nie potępiają sposobu prowadzenia tej walki; wywołała go niełudzkość rosyjskich władców i niemożność znalezienia innego środka. Co więcej, nihilisci potrafili doręczyć nowemu carowi, Aleksandrowi III., „list otwarty“, drukowany „w typografii Narodnej woli“, noszący datę 12/24 marca, z podpisem: „Komitet rewolucyjny“. Uderzył on i zadziwił wszystkich tonem uprzejmym (car nazwany w nim „najjaśniejszym panem“), spokojnem i wyczerpującem (z punktu widzenia rewo-

¹ Na donos dwornika odbyto rewizję w składzie sera Kobezewa, ale pobieżnie, i nic nie znaleziono. Kobezew jednak ze swoją towarzyszką zniknął zaraz bez śladu. To zniknięcie naprowadziło policję do sumienniejszych przeszukiwań. Odkryto minę, która nie tylko powóz carski, ale okoliczne domy wysadzić mogła w powietrze.

lucyjnego) przedstawieniem stanu rzeczy i wreszcie uniarkowaniem (jak na nihilistów) żądań. Treść listu ta: Tragedya 1 marca, to nieuniknione następstwo ostatniego dziesięciolecia rządów Aleksandra II., który poświęcił wolność, interesa materyalne i handlowe narodu, godność własnego rządu, kazał wieszać, więzić, męczyć winnych i niewinnych. Mimo to ruch rewolucyjny rósł ciągle, krzepił się, bo „jest on procesem naturalnym tamowanego gwałtem organicznego rozwoju narodu“. Stary porządek rzeczy w Rosyi musi zginąć, a nastać nowy, jeżeli inaczej być nie może, drogą ruchu rewolucyjnego, który dojść musi do rewolucyi powszechnej. Obecny rząd bardziej zasługuje, niż komitet wykonawczy, na nazwę „szajki uzurpatorów“. Tu następuje długi szereg grzechów rządowych, dla których ten rząd nie ma poparcia wśród ludów Rosyi, dla których Rosya jest krajem rewolucjonistów, a „carobójstwo jest w niej rzeczą bardzo popularną“. Jaka jest droga wyjścia? Albo dalsza walka rewolucyjna, zaciętsza niż dotąd, która musi się skończyć zagładą starego porządku rzeczy, albo odwołanie się cesarza do woli narodu. „Komitet wykonawczy zwraca się do Ciebie, Najjaśniejszy Panie, by Twój wybór padł na to wyjście drugie... Zwracamy się do Ciebie, nie jako do cara, ale jako do obywatela i uczciwego człowieka... Nie stawiamy, ale Ci uprzątniamy warunki niezbędne do tego, aby ruch rewolucyjny ustąpił miejsca pokojowej pracy. Jest ich dwa: powszechna amnestya, zwołanie przedstawicieli całego narodu rosyjskiego, wyszłych z prawdziwie wolnych wyborów, z wszystkich warstw i stanów. Zanim zaś tak zwołane zebranie narodowe przeprowadzi gruntowną reorganizacyę i nowy porządek w Rosyi, nadać jej należy zupełną wolność prasy, słowa, zgromadzeń i programów wyborczych. Rządowi, przez zgromadzenie narodowe sankcyonowanemu, podda się partya rewolucyjna bezwarunkowo. A więc Najjaśn. Panie, decyduj się! przed Tobą dwie drogi, do Ciebie należy wybór“.

Aleksander III. zdecydował się prędko, bo, jak wspomnieliśmy, w manifestie 1 maja wywiesił sztandar bezwzględnego despotyzmu, a wobec nihilistów użyć kazał całej surowości prawa i srogości represyi policyjnej.

Carobójców sądzono od 26—29 marca 1881 r. Oni przyznawali się otwarcie, a nawet chętnie do morderczego czynu; Żeljabow sam się bronił, a raczej oskarżał; Perowska poleciła swemu adwokatowi, Kedrynowi, aby w obronie nie ważył się przytaczać żadnych okoliczności łagodzących; Kibalczye dysputował uczenie o sile dynamitu w podkopie pod ulicą Sadową, z wojskowymi inżynierami, którzy tę minę badali; a Jesse Helfman upornie odmawiała wszelkich wyjaśnień, oskarżała się milczeniem. Rysakow, wygadawszy w śledztwie zbyt wiele i zdradziwszy Jessę i Michajłowa, prostował w drobnych szczegółach zeznania świadków, a tych zwołano około 70; Michajłow z wielką prostotą opowiadał swą próbę z bombami i swą gotowość rzućenia bomby pod nogi cara, gdyby bomba Gryniewickiego chybiła; słowem, z wyjątkiem słabego charakteru Rysakowa, który udawał skruszonego winowajcę, wszyscy uważali się za bohaterów-męczenników ludowej sprawy, bronili jedni drugich, ale nigdy siebie, sławili wbrew twierdzeniom prokuratora wielkość i potęgę nihilistycznej partii i głosili wiarę w zagładę starej Rosyi, a wskrzeszenie nowej na podstawie socjalizmu. Prokurator Morawski i sędziowie mieli więc łatwe zadanie; d. 29 marca zapadł wyrok, skazujący wszystkich na powieszenie; wyrok przesłano cesarzowi do zatwierdzenia. Wobec grozy śmierci Rysakow, Michajłow, Jesse Helfman, wniesli prośbę o ulaskawienie; Kibalczye, zamiast prośby, wniósł protest przeciw kompetencji sądu, który mu wnet zwrócono; Perowska prośby nie wniosła, ale żywiła nadzieję, że ją uwolnią, bo od 200 lat nie było w Rosyi przykładu, aby kobietę karano śmiercią; bardziej drżała o los ukochanego Żeljabowa, ale i tu cieszyła się nadzieją, że nowy car zainauguruje swe panowanie aktem łaskawości. Upłynęło długich pięć dni dręczącego oczekiwania. „Co było przyczyną tej niepojętej zwłoki?“ — zapytuje Stepniak. — Co się działo w tym czasie ze skazańcami? Tego nikt nie wie. Straszne wieści obiegały uporeczywie w mieście. Upewniano, że według azyatycko-jezuickiej (*sic!*) rady Loris-Melikowa, poddano ich torturze, aby wymusić na nich zeznania, nie przed, ale po wyroku, bo już wtenczas nie mógł nikt ich głosu usłyszeć. Byłż to czeze po-

głoski czy też oparte na prawdzie niedyskretne wyjawienia? Tego nikt nie wie... Jest jednak niezaprzeczona okoliczność, nadająca tym uporczywym pogłoskom wiele prawdopodobieństwa: oto głosu skazanych nikt odtąd nie słyszał¹. Odwiedziny rodziców, których przecie skazanym na śmierć nigdzie nie zabraniają, tu były surowo wzbronione, a nikt nie wiedział, dlaczego i po co. Rząd nie wstydził się nawet uciec do wstrętnego podstępów. Matka Zofii Perowskiej, która ubóstwiając swą córkę, na pierwszą wiadomość o jej uwięzieniu z Krymu przybyła, widziała swoją Zofię ostatni raz w dzień wyroku. Przez następne pięć dni odmówiono jej pod różnymi pozorami pozwolenia widzenia się z córką; wreszcie powiedziano jej, żeby przyszła rano 2 (15) kwietnia, to zobaczy córkę. Przyszła, ale w chwili gdy zbliżała się ku murom więzienia, wrota otwarły się naocześnie; córkę ujrzała, ale na sromotnym wozie. Był to smutny pochód skazańców na plac egzekucyi. Nie będę opowiadał strasznych szczegółów tych jatek. „Byłem na Wschodzie świadkiem tuzina egzekucyj — pisze korespondent *Kołońskiej* (rządowo-pruskiej) *Gazety* — ale takiej hycelowskiej roboty nie widziałem nigdzie. Wszyscy skazani umarli odważnie: Kibalczye i Żeljabow bardzo spokojnie, Michajłow był blady ale silny, Rysakow omdlały i trupio-blady. Zofia Perowska okazała cudowne męstwo; miała lekko zarumienione lica, wyraz twarzy jak zawsze spokojny, bez śladu brawury, ale pełen szlachetnej odwagi i bezprzykładnej determinacyi. Patrzała łagodnie, bez cienia próżności albo zadowolenia z tej strasznej sceny“.

Scena była istotnie straszna. Zamiarem rządu było, uroczystym przyborem egzekucyi przerazić umysły, cieniom zabitego cara dać rodzaj zadośćuczynienia. Dlatego skazano na śmierć wszystkich, bo nawet Jessie Helfman, pomimo, że była w czwartym miesiącu ciąży (z swym niby-mężem Kołotkiewiczem) z początku nie ułaskawiono: dekret śmierci ciążył na niej aż na miesiąc przed

¹ Skazańcy przemawiali ze swych wozów do ludu — ale głos ich zagłuszały bębny. Nie zdaje mi się jednak, aby przed egzekucją brano ich na tortury. Żeljabow stał o własnych siłach, wyszedł na schodki, rozmawiał z katem i gestykulował żywo.

rozwiązaniem; dlatego karę wymierzono nie w obrębie murów więziennych, ale na placu Siemionowskim; skazańców wieszono przez wielkie, szerokie ulice: Litejną, Włodzimirską, Mikołajewską, osadzone równie jak plac wojskiem; dlatego dozwolono zebrać się 60-tysięcznemu tłumowi, a korespondentom dzienników dano miejsce o 20 kroków od szafotu, tuż obok grupy wyższych oficerów. Po odczytaniu wyroku, improwizowany kat, ekskatorznik Frołow, napół pijany, powiesił dosyć szczęśliwie Kibalczyca. Zarzucił potem stryczek na szyję Michajłowa, ścisnął go, potracił i odsunął podnóżek. W pół minuty, kiedy już widocznie rozpoczęło się konanie, postronek urwał się i Michajłow padł całym ciężarem na ziemię; Frołow porwał go, zarzucił inny sznur na szyję i powiesił. Po upływie minuty biedny skazaniec oberwał się znowu; trwało dobre trzy minuty, zanim półmartwe ciało Michajłowa wniesiono znowu na drabinę i po zaciągnięciu stryczka, jak nieruchomą bryłę, zrzucano na dół. Pięciu podkacików dokonywać musiało tej operacji. Okrzyk zgromy i oburzenia wydobył się z piersi korespondentów. Co się działo z pozostałymi skazańcami, którzy wyczekując swego losu, patrzeć musieli na tę iście „hycłowską“ robotę? Perowska miała wykrzyknąć: „cóż to za państwo, gdzie nawet wieszać nie umieją!“ Istotnie pokazało się w śledztwie, że Frołow był pijany; skazano go za to na 250 pałek, które wytrzymał. Rysakow do ostatniej chwili spodziewał się ulaskawienia — powieszono go ostatniego. W pół godziny potem odcięto trupy, złożono w czarne trumny i zakopano. Tłumy ludu patrzyły na to straszne „hyclostwo“ bez współczucia i bez nienawiści, grupa wyższych oficerów po większej części zachowała się jak na widowisku; śmiano się, żartowano, dowcipkowano, palono papierosy. Dostrzegł to komenderujący konwojem generał Driczew, podjechał pod grupę, zgromił oficerów, a kilku kazał zaraz oddać pod areszt. Inteligencya stolicy pozostała w domu; rozprawiano wiele o śmierci Perowskiej: od 200 lat żadna kobieta w Rosyi nie była karana śmiercią. Nihilisci, terroryści zarówno jak socjaliści sprzymierzeni *Czornawo Pieredjeła*, okrzyknęli ją wraz z Żeljabowem chluba i ozdobą swoją, wypisali obojgu wspaniałe biografie, zapełnili

jak mogli znaczne luki w „komitecie wykonawczym“ i zabrali się do obrabiania ludu, a „straszenia“ już i tak wystraszonego cesarza.

Życiorysy carobójców, nakreślone piórem Ławrowa i Wiery Zazulicz, ogłoszone drukiem częścią w osobnych broszurach, częścią w kalendarzu „Narodnej woli“, naszkicowane także w „Podziemnej Rosyi“ Stepniaka — są jednym dowodem więcej, że sam rząd wychował ich sobie, jak wogóle wypielegnował nihilizm cały.

O dwóch najznacniejszych warto parę słów powiedzieć: Jędrzej Żeljabow, syn chłopca z Krymu, urodził się w r. 1850. Rodzice jego i krewni służyli we dworze bojara. On sam w młodości patrzył, jak katowano batami jego wuja i zgwałcono jego ciotkę. Dziadek jego, starowiec, wychował go bogobojnie i wyuczył psalterza; pan zaś jego oddał go do szkół w Kerczu. Dotąd wszystko dobrze. W roku 1868 widzimy Żeljabowa na uniwersytecie w Odessie. Bawił tam z przerwami do r. 1871; wypędzano go bowiem na dwa zawody „za rozruchy studenckie“. W tem trzechleciu zajmował się szczerze nauką, ale też należał do wszystkich najprzód „legalnych“, a potem „zakazanych“ nihilistycznych stowarzyszeń. Rozpoczął „rewolucyjną“ karierę od Czajkowców propagandzistów, zchłopotanił się, od r. 1872—73 krzewił anarchistyczne doktryny między robotnikami zawzięcie, zakładał kasy, biblioteki, miewał odczyty i t. d. Propaganda wnet go znudziła: wrócił do swej wsi, ożenił się z chłopką, doczekał się dwóch synków; gospodarował dobrze, i zabezpieczywszy byt swej rodzinie, porzucił ją na to, aby oddać się znów propagandzie. Wpłątany w proces 193-ch w Petersburgu 1877 r., przesiedział w więzieniu 7 miesięcy; uwolniony, wyszedł zawziętym wrogiem caratu, i jako taki wystąpił na zjeździe w Lipiecku; wnet stanął na czele terrorystycznej partii i stał się głównym organizatorem zamachów na życie cesarza 1879—81 roku. Biografowie jego przedstawiają go nam jako roślego, pięknego człowieka, kochającego się w literaturze i w pięknej naturze; zdolnościom jego konspiracyjnym oddał pochwałę prokurator Morawski, charakteryzując go przy rozprawie sądowej w tych słowach: „Żeljabow, to znakomity typ konspiratora we wszystkim, w gestach, w mimice, w ruchach, myślach,

słowach nie bez teatralnego efektu; aż do ostatniej chwili drapał się w konspiratorską togę. Roztropności, talentu, zdolności odmówić mu nie można“.

Towarzyszka i serdeczna przyjaciółka Żeljabowa: Zofia Perowska, przyszła na świat 1854 r. w Petersburgu, w senatorskim domu. Do ósmego roku nie uczono jej niczego, dziewczynka swawolna rosła jak dziczka; potem kształcono ją coś niewiele do 14 roku, ale religii nie uczono wcale; za to pozwolono jej czytać, co żywnie chciała. Ojciec, gubernator Pskowa a potem Petersburga, lekkomyślnik i marnotrawca, znęcał się nad żoną, nienawidził córki, zrujnował majątek. Matka z córką schroniła się do ostatniej swej posagowej wioski w Krymie; gdy i tę sprzedać musiano, osiadła w Petersburgu. Była to doba krzyków o emancypację kobiet; Zofia liczyła lat 15; drobnych, nieregularnych rysów blondynka, niezmiernie żywa i żądna nauki, zaczęła uczęszczać do „gimnazyum żeńskiego“ w Petersburgu 1869 r.: zaprzyjaźniła się z emancypowanymi pannami, późniejszymi nihilistkami: Wilbergówną, Kornilównami i Zofią Löchern, i wkrótce stała się zagorzałą zwolenniczką emancypacji kobiet. Tyrania ojca wydała się jej nieznośną, uciekła więc z domu, skryła się u swych koleżanek tak dobrze, że wszelkie poszukiwania ojca i policji okazały się bezskutecznymi. Po kilku tygodniach Zofia nawiązuje ze swej kryjówki układy z ojcem, który wreszcie daje jej pozwolenie, aby za legalnym paszportem poszła sobie w świat. Ona korzysta z tej wolności: r. 1870 wstępuje do „tajnego związku młodzieży“, którego duchowymi ojcami byli gorzcy krytycy społecznego ustroju w Rosyi: Czerniszewski i Dobroljubow. Zofia wraz z Michałem Czajkowskim, Kuprjanowem, Czerusczyinem, Serdiukowem i dwoma pannami Kornilównami przemienia ten tajny związek w „kółko Czajkowców“, mające na celu propagandę socjalistycznych doktryn najprzód między młodzieżą. Wielka łączność, i dodajmy „uczciwa“ przyjaźń, panowała w tem kółku; statutu nie było; przyjmowanie nowych członków i inne uchwały zapadały jednomyślnie, gdyż zawsze mniejszość godziła się chętnie na zdanie większości; zebrania czyli schadzki nosiły na sobie piętno rodzinnego pożycia; było to grono, jeżeli wie-

żyć mamy Stepniakowi, ucziwej, zacnej młodzieży. Perowska, surowa bardzo dla siebie, opanowała wrodzoną swą żywość do tego stopnia, że stała się poważną, zawsze jednostajnego spokoju i równowagi ducha, a niewyczerpana w pomysłach rozszerzenia zakresu swego towarzystwa. Za jej to inicjatywą przeniesiono 1872 r. propagandę także i na robotników. Ona sama stanęła na czele „grupy“ robotniczej w kwartale Aleksander-Newski w Petersburgu i kierowała nią znakomicie; wnet jednak, 25 listopada 1873 r., policja wpadła na trop. uwięziła wielu członków tej grupy, między nimi Perowską. Rok cały trzymano ją w więzieniu; wypuszczono wreszcie za kaucją 5000 rubli, którą złożył ojciec, i pod nadzorem policyjnym odesłano ją do Krymu, do rodziny. Trzy całe lata przepędziła tu, strzeżona pilnie przez domowników. Wrzekomo dla zabicia nudy, w gruncie rzeczy, aby tem skuteczniej służyć sprawie propagandy. uczęszczała na kursa felczerów w Symferopolu i otrzymała dyplom. Aliści proces 193-eh wykrył także roboty propagatorskie Zofii z lat 1870 do 1873. Zawezwano ją do Petersburga do rozprawy sądowej 1877 r. Ona stanęła, ale gdy ujrzała się samą, bez towarzyszy swoich przekonań, oświadczyła stanowczo, że odpowiadać nie będzie, dopokąd reszta obżalowanych do sali wprowadzoną nie zostanie. Sąd uwolnił Perowską, ale żandarmi uwięzili ją ponownie i drogą administracyjną wywieźli do Ołoneża, w północnej Rosyi, 1878 r. W drodze, na stacyi kolei Czudowo, wypadło jej nocować w damskiej sali dworca; pilnujący ją żandarm usiadł na progu i zasnął. Ona przeskoczyła przez niego, ukryła się w pobliskim lesie; po sześciu godzinach bezskutecznych poszukiwań, wysunęła się z lasu i szczęśliwie dostała się do Petersburga. Zrazu przystąpiła do *Zemli i woli*; pracowała, ale bez skutku, nad uwolnieniem nihilistów z więzienia charkowskiego, zdołała im jednak przynieść niejedną ulgę w ich twardej doli. Na zjeździe w Woroneżu głosowała za utrzymaniem sojuszu Narodowolców z terrorystami i za zamordowaniem cara, bez porzucenia jednak propagandy ludowej. Widząc, że ta się narazie przeprowadzić nie da, stanęła stanowczo po stronie terrorystów, jako wierna sojuszniczka Żeljabowa, którego nawet szczerze poko-

chała; była to jej pierwsza i ostatnia miłość. Jako najczynniejszy członek terrorystycznego komitetu, zakłada w Petersburgu terrorystyczne kółko robotników: *rabòczaja družyna*; Tymoteusz Michajłow i Rysakow są jej członkami; bierze główny udział w zamachu pod Moskwą, daje inicjatywę do nowych atentatów; niezmordowana w sposobach ukrywania siebie i drugih przed stooką policją, zawsze wesół i zawsze stanowczy, podtrzymuje ducha w towarzyszach, a tajemnicę chowa tak ściśle, że krom głównych członków komitetu, najserdeczniejsze jej przyjaciółki ani się domyśleć mogły o jej konspiracyjskiej akcji; słusznie nazwano ją „nieocenioną“. Po udanym zamachu 1/13 marca radzono jej, aby wyjechała z Petersburga; ona pozostała, i w ośm dni potem została uwięzioną w chwili, gdy wsiadała do doróżki. Przed sądem odpowiadała spokojnie i godnie, bez przechwałek, bez skompromitowania kogokolwiek; prosiła o jedno tylko: aby jej jako kobiecie wolno było dzielić los towarzyszy. Pozwolono jej to, i — powieszono.

Powróćmy teraz do przerwanego wątku opowiadania. Nihilści, usprawiedliwiając swe carobójstwo, rozrzucili tysiącami odezwę „komitetu wykonawczego do poczciwych członków gmin wiejskich, do prawosławnych włościan i do całego ludu rosyjskiego“, dowodząc, że Aleksander II. musiał zginąć dlatego, „że był głuchym na prośby błagalne i skargi chłopów; inne narody chciał nibyto bronić od Turków, a swój własny lud gnębił, rujnował, oddał na pastwę uradnikom, stanowym, przystawom, którzy gorzej niż Turcy męczą lud, znęcają się nad nim“. Dlatego trzeba, żeby teraz prawosławni chłopci podali całemi gminami prośby do nowego cara, wysłali doń swoich deputatów i domagali się: 1) nowego rozdziału ziemi dla chłopów bez żadnego wykupu; 2) zmniejszenia podatków; 3) oddania spraw gminnych wyłącznie w ręce chłopów; 4) wezwania chłopów do rady cesarskiej i senatu. Były to pobożne życzenia partii federacyjno-socyalnej Czornopieredjeczów. Do cara, ukrytego w Gieczynie, przychodziły wprawdzie dziesiątki deputacyj ludowych, ale z oświadczeniami miłości i wierności dla cara, a organizował

je minister Ignatiew, jako dekoracyę, potrzebną do zamydlenia oczu Europy, a uspokojenia wystraszonego monarchy i stroskanej, chorej z aprehenzyi jego małżonki. Nie można wszelako twierdzić, jakoby odezwy te i agitacye Czornopieredjalców pozostały bez skutku na lud południowej Rosyi. Podburzyły go one dotyla, że lud ten na dane hasło z wiosną 1882 r. w same święta wielkanocne rzucił się tłumami do „ubijstwa“ (bitki) żydów, rozbijał i rabował, bił i katował „jewrejów“, których nienawidził jako „niewiernych“ i jako „wysysające krew jego pijawki“. Ignatiew rad temu, że dla wzburzonych elementów znalazł się najmniej niebezpieczny upust, kazał wojsku i władzom zająć dwuznaczną rolę, a na petycyę żydów, wołających o pomoc rządu w swej nieznośnej sytuacji, odpowiedział szeregiem rozporządzeń, ułożonych przez komisję dla spraw żydowskich, które pobyt w Rosyi uczyniły żydom jeszcze nieznośniejszy. „Bitki“ żydów przy konniwencji rządu powtarzały się przez kilka miesięcy, a w wielu miejscowościach południowej Rosyi przybrały charakter prostego rozboju i rabunku. Okoliczność ta przyczyniła się niemało do upadku Ignatiewa. Następca jego, hr. Tolstoj, kazał władzom odrazu stłumić wszelkie rozruchy żydowskie — i stłumiono je.

Agitacye między ludnością miastową odniosły także swój skutek. Rozruchy młodzieży uniwersyteckiej w Moskwie (1881) zakończone relegacyą 150 uczniów na rok jeden; także rozruchy w innych uniwersytetach Rosyi; zmowy robotników, obrabianych przez *rabòczyje drużyny*, i strejki w wielkich fabrykach Petersburga, Moskwy i t. d. — oto owoc posiewu partyi Czornopieredjalców.

Tymczasem partya terroru „straszyła“ dalej cara i stolicę: rozrzucaniem proklamacyj, zapowiadających śmierć carowi za to, że po upływie naznaczonego terminu (45 dni od chwili wręczenia memoriału z dnia 20 marca) konstytucyi nie nadał i od prześladowania rewolucyjnej partyi nie odstąpił; nasyłaniem miejską pocztą listów z pogroźkami i proklamacjami figurom zaufanym rządu; umyślnem rozszerzaniem wieści, że partya terroru ma swoich członków na cesarskim dworze, owszem, między

rodziną cesarską; fałszywymi donosami o podsadzeniu min pod ulicę Koniuszną i Grochową, pod wszystkie mosty na Jekaterynieńskim kanale i Fontance; o podkopach, prowadzonych od dworców kolejowych pod pałace carskie i gmachy rządowe, monastery i pod mieszkanie Ignatiewa przy ulicy Litejnej, a nawet pod Gieczynę samą. Owocem tych donosów były ustawiczne rewizye nocne po domach, przeszukiwania piwnic i kanałów. Wyznaczono osobną komisję zaufanych techników i oficerów dla odbycia (z końcem kwietnia i w maju 1881 r.) szczegółowej rewizyi drogi z Petersburga do Gieczyny koleją bałtycką i petersbursko-warszawską, tudzież kolei do Peterhofu i Oranienbaumu. Częste a największą tajemnicą okryte aresztowania, śledztwa i „znikania bez wieści“ aresztowanych nihilistów, odkrycia (w kwietniu 1881 r.) trzech tajnych drukarni, aresztowanie oficera marynarki, Suchanowa, i śledztwa, prowadzone w szkole marynarki i szkole wojskowej Mikołajewskiej, a które szeroko rozgałęzioną propagandę nihilizmu tam wykryły — wszystko to utrzymywało stolicę w gorączkowej niepewności i trwodze. Wyrazem tego usposobienia stolicy jest komunikat urzędowego *Pravitelstwennawo Wiestnika* (w kwietniu 1881 r.): „Dla uspokojenia publiczności niepokojącej się, czy JCMość bezpiecznym będzie w Gieczynie, jesteśmy upoważnieni zapewnić, że dla zabezpieczenia i osłonięcia osoby JCMości od wszystkich niebezpieczeństw zarządzone zostały wszystkie możebne środki¹. Pałac zrewidowany ściśle, liczna straż wojskowa wciąż go otacza, na czele zaś policji gieczyńskiej, tak miejskiej jak i pałacowej, zasilonej

¹ Możemy bliżej oznaczyć te „możebne środki ostrożności“. Z sypialni cara podziemny ganek prowadził do stajen, gdzie dniem i nocą stało kilka koni osiodłanych w pogotowiu. Posterunki dokoła pałacu postawiono co kilkanaście kroków. Okna sypialni zamykano na noc żelaznymi okiennicami: w trzech wielkich przedpokojach teje sypialni trzymało straż dniem i nocą po 80 żołnierzy. Jenerał-adjutant dyżurny, Woroncow-Daszkow, za przyciśnięciem guzika elektrycznego aparatu, umieszczonego po prawej stronie swego fotelu, zwołać mógł w jednej chwili strażę ze wszystkich kordygard pałacu i miasta. Przed spaniem car wyjmował klamkę ze drzwi swej sypialni, tak że nikt do niej wejść nie mógł, jeżeli on sam mu jej nie otworzył.

przytem specjalnie tajemnymi agentami z Petersburga, stanął generał-adjutant, hr. Woroncow-Daszkow“.

Łatwo pojąć, że takie „uspokojenie“, dające miarę o sile nieprzyjaciela i wielkości niebezpieczeństwa, powiększało tylko niepokój i trwogę. Nie lepiej działo się w świętej Moskwie, do której Katkow i Aksakow zapraszali cara na mieszkanie. I tam schwytano (9/22 kwietnia) rozlepiających afisze nihilistów, i tam w dzień wielkanocny rzucono na lud jajami drewnianemi, we wnętrzu których znajdowały się proklamacye, zachęcające do zemsty za śmierć pięciu „obronców ludu“, carobójców; i tam gubernator, książę Dołgoruki, wydawał coraz to dziwaczniejsze rozporządzenia ostrożności, jak np. ażeby właściciele hoteli i domów pod karą 500 rubli grzywny donosili dwa razy dziennie do policyi o swych lokatorach: kto, zkad, dokąd, po co przybywa, jak długo zabawi, jakie ma z sobą towary, rzeczy i jakie policyjne świadectwa. Oprócz tego zaprowadzono w stolicy i na prowincyi bardzo szczegółowe księgi meldunkowe nietylko w hotelach, ale i w domach i w chatach chłopskich.

W maju 1881 r. już było publiczną tajemnicą dla Europy i Rosyi, że rząd stracił głowę, że nihilizmowi rady nie da, że car niezdecydowany długo, nareszcie znanym manifestem z dnia 1 maja i powołaniem awanturniczego Ignatiewa do steru rządów, przechylił się na stronę ślepych zwolenników staro-rosyjskiego despotyzmu, że więc tem samem spotęgować się musi akcyja nihilistów, do których przyłączają się sympatye wielu zawiedzionych w nadziejach konstytucjonistów. Patrząc na to, młodzi oficerowie gwardyi i szambelanowie carsey, zawiązali w lecie 1881 r. ligę w obronie cara i Rosyi przeciw nihilizmowi, pod nazwą *świętąja drużyna*, na której czele stanęli w. książę Włodzimierz i hr. Woroncow-Daszkow; przyłączył się do nich pomocnik Ignatiewa, naczelnik policyi (zastępujący szefa III. oddziału żandarmów), generał Czerewin. Tym sposobem urzędowej policyi przysła w pomoc „święta drużyna“. Pomoc ta ograniczyć się musiała na szpiegowaniu i chwytaniu nihilistów; Ignatiew bowiem zakazał prasie wszelkiej wzmianki o nihilizmie, wszelkich relacyj o aresztowaniach i o losie uwięzionych, tak

że Rosyanie z zagranicznych dzienników, mających w stolicy i indziej swoich „zaufanych“ korespondentów, dowiadawali się, co się w ich świętej Rosyi dzieje. Ale i ta szpiegowska usługa niedługo trwała; „święta drużyna“, jako udzielna korporacja, niezależna od ministra stanu, a jednak do spraw stanu się mieszająca, była nie na rękę Ignatiewowi — postarał się wnet o jej zupełne rozwiązanie. Zazdrosny o swą władzę, wziął sam w opiekę cara, „kierował nim jak murzynek słorjem“, woził go na czas krótki do Petersburga, potem do Moskwy, a ztamtąd wysłał do Gdańska dla oddania wizyty pruskiemu królowi, i znów go trzy-mał tygodniami całymi otoczonego „wszelkimi możliwymi środkami ostrożności“ w Gieczynie. Dogadzając nibyto szlachetnym usposobieniem cara, zaprowadził oszczędności w pensjach eks-ministrów, w kosztownych urządzeniach armii i t. d., ścigał przepukstwo i oszustwa urzędników, a nie podejmując żadnej gruntownej reformy państwowej, do każdej kłopotliwej sprawy wyznaczał osobne komisye, które, z wyjątkiem obniżenia ceny wykupu nadanych włościanom 1861 r. gruntów, żadnej sprawy nie załatwiły do końca. To też rządy jego nie trwały długo; u steru państwa stanął hr. Tołstoj, którego Loris-Melikow, będąc jeszcze u władzy, nazwał „krugom durak“; człowiek to ciasnej głowy, udający religijnego fanatyka, a w gruncie sceptyk, zwolennik Iwanowego caryzmu, który całą siłą pchał cara do oparcia się na masach ludu i staro-rosyjskiego mieszczaństwa, i dlatego nawet dla sekty „Starowierców“ okazał się względny-m i łaskawym. Za to z nieubłaganą srogością, cicho, bez rozgłosu tepił nihilistów.

W maju 1883 r. partya terrorystów dotyla została poskro-mioną przez reakcyę rządową, że hr. Tołstoj mógł już cesarza Aleksandra zawieźć do Moskwy na koronacyę. Ostrożności, jakie w tej podróży i podczas pobytu cara w Moskwie przedsięwzięto, wyglądają na baśń z zaczarowanego świata, a są rzeczywistością. Wzdłuż kolei petersbursko-moskiewskiej co kilkadziesiąt kroków rozstawiono warty wojskowe. Na dworcach rozciągnięto kordon żołnierzy, wzbraniający przystępu publiczności na kilkaset kroków. Okna zabudowań dworcowych zamknięte okiennicami, ma-

teracami zapechane. Legion petersburskich tajnych policyantów, oraz miejscowe policye czuwały nad bezpieczeństwem cara; „więzień gatchyński“ pozostał i w świętej Moskwie więźniem. Przed carskiem przybyciem poddano najściślejszej rewizyi kanały, sutereny, sale i strychy zamku Kremlina.

Dobroduszni obywatele Moskwy — a nietylko oni sami — spodziewali się konstytucyi od cara. Wyrazem ich opinii i życzeń było przemówienie powitalne gubernatora miasta Moskwy, Czyczeńyna: „Zarządy miejskie — mówił on — nie mają w Rosyi jednolitości. Rosya w gruzach, potrzeba budowniczego, coby ją w gmach dźwignął. Kiedyś mogły wystarczyć na to siły jednego człowieka, Piotra W.; dziś jest inaczej. Potęga twórcza nie leży tam, gdzie dawniej; mają ją obecnie jedynie przedstawiciele narodu. Bez nich nic dziś uczynić nie można. Kraj potrzebuje przedstawicielstwa narodowego“¹.

Za tę śmiałą mowę Czyczeńyn otrzymał naganę i dymisyę. Car o konstytucyi nie myślał, w manifestie zaznaczył z naciśkiem bezwzględna swą władzę, politycznym przestępcom partyi socyalnej i terrorystycznej żadnej nie dał amnestyi.

Przewidywała to partya terrorystów. W przededniu koronacyi wydrukowała w *Letuczej typografii Narodnoj woli* odezwę do „ludu rosyjskiego“ p. t.: *Czewo ożydał od Koronacyi?* i rozrzuciła ją między publicznością. „Czego się spodziewać od koronacyi?“ Niczego, bo car w takim się znajduje zamkniętem kole, że choćby chciał, nic dla ludu zrobić nie może; nie może ponom zabrać ziemi, bo ci mu jej nie dadzą; nie może znieść podatków, bo potrzebuje pieniędzy na wojsko i czynowników; nie może rozszerzyć zakresu ziemstw, bo nie pozwoli mu na to klika dworska z Tołstojem na czele. Chce czy nie chce, car musi walczyć nadal terrorem. Ale do postrachu ludzie już nawykli — zbliża się chwila stanowcza rewolucyjnego wybuchu. „Przekonanie, że rewolucyoniści przedewszystkiem walczą za swobodę i za ziemię dla ludu, rozszerza się wśród mas, pomimo braku propagandy nawet. Rzecz jasna, że po koronacyi rozszerzy się

¹ *Przedświt*, r. II, nr. 19.

ono jeszcze bardziej, bo lud przekona się, że nie dlań nie zrobiono“.

Właśnie co do ostatniego punktu „Narodna wola“ została w błędzie. Masy ludu, olśnione przepychem koronacyjnego obchodu, zadowolone, że im zaległe podatki darowano, ani myślały o rewolucyi, tem bardziej, że zaniechano ze strony „Narodnej woli“ propagandy ludowej od lat kilku. Wprawdzie prawie równocześnie z koronacją cara, na południu Rosyi masy ludu rzuciły się ponownie do „bitki“ żydów; w Kazaniu zamordowano nawet kilku; ukraińscy chłopci zaczęli niepokoić popów; ale motywem tych rozruchów nie były sympatyje dla „Narodnej woli“, jeno zemsta za zdzierstwa żydów i popów.

Oprócz powyższej ukazały się jeszcze inne proklamacye socyalistycznych partyj. I tak partya *Zemli i woli*, czyli „Narodników“, wydała trzy odezwy, drukowane w „drukarni narodnej partyi“: jedną „do rosyjskiego społeczeństwa“, drugą „do ludu rosyjskiego“, trzecią w języku małoruskim (ukraińskim) „do dobrych ludzi“. Do proklamacyj dołączyli swój program. Odezwa do inteligencyi rosyjskiej jest reprimendą za apatyę okazaną męczennikom rewolucyi i nawoływaniem do niej: „Wychowana w niewoli i poddaństwie... z niewolniczym przestraczem uchyliła głowę przed knutem rozwścieklonego despoty. I czegoż się doczekano? Oto tron Aleksandra, „miłośnika kobiet“, zajął Aleksander „tehórzliwy“. Schował się on w norę, oddając losy państwa ludziom, których społeczność cała opluła, wysmiała i obrzucała błotem. W psiej wierności carowi i dla dokonania zemsty osobistej, starał się rząd zgnieść wszystko, co z imienia tylko miało charakter instytucyj wolnych: rozpoczęto prześladowanie nauki i prasy w osobach najlepszych ich przyjaciół (socyalistów), wdzierano się w życie prywatne, urągając domowemu ognisku (częste rewizye nocne), wzmocniono administracyę, dając jej niesłychaną władzę nad duszą i ciałem obywateli, dając jej w rękę kajdany i sznur szubienicy. Uprawniono bezprawie, ulegalizowano gwałt, usunięto granice samowoli (zsyłki administracyjne). A lud? odarty, zziębnięty, głodny, jęczy pod jarzmem właścicieli i lichwiarzy, lub pod nahajem urjadnika. A więc

z jednej strony widzimy inteligencję z niewolniczo spuszczoną głową, okutą w kajdany i otoczoną szeregiem szubienic, z drugiej strony wycieńczony głodem, przybity lud. Gdzież gotowość bronić wielkich haseł: swobody, prawdy i dobra?... alboż społeczność (inteligencja) cała zamarła, widząc krwawe orgie rycerzy kajdan i szubienic? Gdzieście ojcowie, bracia i siostry pomordowanych męczeńsko? Ozwijcie się na nasze wołanie. Spojrzyjcie śmiało w oczy katów waszych, stańcie odważnie w szereg bojowy i bez obawy, bez strachu, z nową energią walczyć za sprawę ludu pod sztandarem *Zemli i woli*“.

Próżne wołania. Wystraszona terrorem rządowym i nihilistycznym inteligencja rosyjska, wiedzona instynktem zachowawczym, pragnęła tylko spokoju, a na każdą wzmiankę o rewolucyi zamykała ucho. Odezwa powyższa świadczy nadto o istotnej bezsilności partij rewolucyjnych 1883 r., skoro w inteligentnych warstwach nie znajdowały już więcej poparcia. Garstka studentów i robotników, pozbawiona dzielnych przywódców, których carski terror pomordował lub zamknął w katordze, to doprawdy nie siła rewolucyjna, zdolna wywrócić carat.

Odezwa „do ludu“ dowodzi, że ludowi „dano zamało ziemi, a carska wolność gorsza od niewoli“... „Nie wiercie bracia carowi... on kąpie się w dostatku, jak ser w maśle, a wiecie, że syty głodnego nie zrozumie... Car wrogiem waszym, każe was bić co jesieni za zaległe podatki... obiecankami prowadzi was za nos... Nas słuchajcie bracia, nas przyjaciół waszych socjalistów, męczonych więzieniem, Sybirem i szubienicą dlatego i za to, że chcemy ludowi pracującemu dopomódz i tak świat urządzić, aby nie było ani bogatych, ani biednych, ani urzędników, ani majstrów, ani czeladników, lecz aby każdy był sam sobie panem, a wszyscy żyli jak bracia. W tym to celu zabierajcie ziemię, fabryki, warstаты, maszyny, władajcie wszystkiem wspólnie i rządzcie się gminnie... Do pracy bracia! Ziemi i swobody!“

Nie wiem, czy skutek tej odezwy, czy z innych powodów, dosyć, że prawie podczas pobytu cara w Moskwie, wybuchły zamieszki robotników w Petersburgu, uspokojone wojskiem, ukoń-

czono aresztami. Lud wielkorosyjski, nie umiejący czytać, wie-
rzący w cara jak w Boga, o odezwie tej ani nie zasłyszał.

Do Ukraińców przemawiają Narodniki w innym tonie: „Lud-
dzie dobrzy, nie oczekujcie, aby nowy car po koronacji dał wam
ziemię — on idzie ręka w rękę z panami i wszystkich gospo-
darzy-chłopów chce zrobić pańskimi najemnikami. Bracia, tylko
wtenczas otrzymacie ziemię, gdy ją własnymi siłami od panów
odbierzecie, gdy buntami swymi tak cara nastraszyście, że da
wam ze strachu wszystko, czego tylko żądać będziecie. Car i pa-
nowie mocno się ludu obawiają, bo widzą, że wielka zeń siła,
gdy się tylko ruszy. Patrzcie jeno, zdaje się, że nie bardzo po-
bito żydów, a car, uląklszy się, aby i panów czasem bić nie
zaczęto, zaraz zakazał żydom kupować i arendować ziemię, aby
jeno lud uspokoić. Ludzie dobrzy, zbudźcie się ze snu, okażcie
katom, że jeszcze nie wszystką krew z ludu wychleptali, że lud
ten potrafi się bronić, i zapali nad Ukrainą łunę pożarów i skropi
ją krwią panów. Nie zapominajcie o waszych przodkach, Gonce
i Żelezniaku... Przypomnijcie kozackie czasy; bierzcie noże,
palcie, łupcie bez miłosierdzia panów i carskich najemników,
gdyż tym tylko sposobem możecie zdobyć swobodę i ziemię.
Powstańcie, rozbijajcie kajdany i złą krwią wrogów pokropcie
swobodę“¹.

I to nawoływanie do rzezi i rabunku, datowane z Peters-
burga 18 marca, nie znalazło oddźwięku w ukraińskim ludzie.
Pojawiły się tu i ówdzie na Ukrainie, a nawet i na Wołyniu
napady chłopów na granice pańskich łąk i lasów — być może,
że to skutek podżegań Narodników; ale rząd wystąpił energicz-
nie przeciw chłopom, i na tem się skończyło.

Ważniejszym jest dla nas program Narodników. Przypo-
minam, że partya *Zemli i woli* jest socjalno-federacyjną, że ce-
lem jej propaganda ludowo-robotnicza, że w zasadzie potępia
ona terror czarny, wszelako przez wzgląd na trudności, jakich
doznaje od rządu i cara, popiera ona terrorystów (Narodną wolę)
we wszystkim, co do obalenia rządu i caratu prowadzi. Pro-

¹ *Przedświt*, r. II., nr. 21.

gram *Zemli i woli* z r. 1883 jest zredagowany rozwlekłe, niejasno, dla ludu nieprzystępnie; zaznaczam najważniejsze jego punkta:

„I. Cel i zadanie partyi. Partya ma za najbliższe zadanie zrealizowanie ludowych ideałów (ziemi i swobody) przez powstanie ludowe, i takowe uważa za pierwszy krok ku urzeczywistnieniu swych ostatecznych celów.

„Przewrót ten (rewolucya ludowa) doprowadzić powinien do oddania narodowi (ludowi) na własność: ziemi, fabryk, warstatów i wogóle środków wytwarzania; władanie ziemią w ręku wiejskich i miejskich grup robotniczych.

„Ponieważ podkopywanie powagi carskiej u ludu nie doprowadziło go jeszcze do wyrobienia sobie ideału politycznego (to znaczy, że lud po dawnemu wierzy w cara), przeto partya Narodników daje mu ten ideał polityczny gotowy. Ideałem tym jest: 1) niezależność narodowości (a więc i Polski), które teraz mechanicznie złączone są w carat rosyjski; 2) autonomia gmin; 3) wolna federacya gmin.

„Podczas powstania ludowego partya utworzy rząd tymczasowy, dopokąd zwycięski lud nie uchwali sobie rządu stałego.

„II. Drogi dla dopięcia tego celu. Ponieważ nędza ludu jest podstawą, brak zaś organizacji przeszkodą do powstania ludowego, przeto partya *Zemli i woli* stara się: 1) o utworzenie organizacji ludowej; 2) o podkopywanie powagi cara zapomocą stosownej propagandy; 3) pouczać będzie o sile jego i przywołać go do świadomości tej siły w walce z panami, kapitalistami, czynownictwem i caratem.

„Dlatego też partya skorzysta z każdego zatargu ludu z rządem i panami, zachęci do nich, użyje nawet rolnego i fabrycznego terroru (listy z pogrózkami śmierci do właścicieli fabryk i ziemi). Żądania agitacyjne partyi te: 1) nierozdawanie nadal ziem gminnych; 2) administracya ziemi przez gminę; 3) zmniejszenie podatków i zniesienie egzekucyj za nie; 4) regulacya pracy kobiet i dzieci; 5) nietykalność osoby; 6) wolność sumienia, nauczania, zebrań i stowarzyszeń; 7) udział ludu w rządzie.

„III. Dodatkowa działalność partyi dąży do organizacji

grup wojskowych i studenckich, i do wciągnięcia do nich dzien-
nikarzy, członków ziemstw i czynowników“¹.

Program powyższy służy jeszcze podziśdzeń za podstawę
propagandy partyi socyalistycznej w Rosyi.

W czerwcu 1883 r. ukazała się nowa odezwa „od kijowskich
socyalistów Narodnej woli do ukraińskiego ludu“ w jego narze-
czu. Powód do tego dała wieś Wilszana w kijowskiej gubernii,
własność hr. Branickiego, który objawszy majątek, poodbierał
chłopom nieprawnie przywłaszczone grunta, razem 1234 dziesię-
cin, i zabronił im rąbać drzewa w lesie. Chłopi rąbali po da-
wnemu. Sprawa poszła do sądu; sąd skazał chłopów na 1500
rubli kary; chłopci podnieśli bunt. Zjechał gubernator kijowski,
Gudim-Lewkowicz, a z nim batalion piechoty i 4 szwadrony
konnicy. Gdy perswazyje nie pomogły, gubernator kazał żołnie-
rzom siec różgami chłopów. Niejaki Nikita Linnik i Hrye Prowin
prawie zabici pod różgami. Gdy i różgi oporu chłopów nie zła-
mały, postawiono w Wilszanie egzekucyę wojskową, która całe
mienie chłopstwa zniszczyła. Otóż, opowiedziawszy ten wypadek,
odezwa zwraca się do Ukraińców: „Ludzie, spodziewaliście się,
że wam car da ziemię?... Nie, nie w carach, ale w sobie sa-
mych pokładajcie nadzieję, na swoje tylko liczcie siły. Ale uwa-
żajcie: póki powstają wsie pojedynczo, miasta, lub nowe po-
wiaty całe — póty rząd zawsze powstania takie słumi, żołnierze
zdławiają natychmiast wszelką prawdę. Tak jednak nie będzie
wiecznie. Przyjdzie czas, gdy powstanie cały naród Ukrainy za
swoją ziemię, za swoją swobodę i prawdę świętą... Idźcież więc
od siola do siola... zmawiajcie się wszędzie, jednoczcie i go-
tujcie do buntu wszystkich naraz... Podnieś głowę i ręce, mę-
czony ludzie Ukrainy, a będziesz panem swej ziemi“².

Te liczne odezwy, nie poparte żadnym ważniejszym faktem
terroryzmu rewolucyjnego, wobec spokojnie odbytej koronacyi
cara w Moskwie, zdawały się dowodzić, i to mniemanie rozsze-
rzał tryumfująco rząd, że w obozie nihilistycznym przeszło się

¹ *Przedświt*, II., nr. 21.

² *Tamże*, nr. 23.

„od czynów do słów“, że terrorystyczna partya „Narodnej woli“ rządowym terrorem została zdławiona, a federacyjno-socyalistyczna partya *Zemli i woli* nie ma dziś posłuchu ani u inteligencyi, ani u ludu.

Rosya wygląda w tej chwili, jak człowiek, którego operowano na raka: grożące niebezpieczeństwo żelazem narazie uchylone, ale chorobliwy stan krwi, z którego ten rak powstał, wcale nie odmieniony.

Ks. Stanisław Załęski.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Ciąg dalszy).

Jeszcze Kair, 24 listopada.

Polepszenie humorów. Hr. Karol Załuski i konsulostwo Neumannowie, najmiłsi i najpocziwsi z ludzi i opiekunów. Poznałem panią hr. D'Aubigny, ministrową francuską; mieszka prześlicznie w pałacyku arabskim, wystawionym przez spekulanta Francuza, dla eks-kedywa Ismaila-paszy. Jeden to z ostatnich i bardzo rzadkich domów arabskich i po arabsku z zewnątrz i wewnątrz urządzonych ślicznie. Audyencya u kedywa nieciekawa. Wizyta z konsulem Neumannem u biskupa, przełożonego „austriackich“ misyj katolickich w środkowej Afryce; ich szkółka, śpiew murzynków małych, okropny, jak zawsze muzyka europejska w ustach i gardle innych ras. Zwiedzenie folwarczku należącego do misyj. Wizyty u Jakóba Artem-paszy, u d-ra Abbate-paszy. Wieczór u lady Grenfell... Dziś, mając chwilę wolną, zmęczony, przyznaję, porządnie jazdą na dromaderach, siadam, by wczorajsze wizyty i wrażenia opisać. Zaczniemy od tego, co ostatnie, tj. wizyty u pana Dzierżanowskiego-Wahlberg-beja, Gali-cyanina, człowieka dziś około lat 60 liczącego. Jest on urzędnikiem w zakresie szkół i oświaty. Opowiadał mi ciekawe szczegóły. Szkolnictwo w Egipcie, podjęte przez Mehmet-Ali'ego, opuszczone zupełnie przez jego następców, podjęte znowu przez Ismaila-paszę,

dzisiaj jakotako, choć żółwim krokiem, postępuje naprzód. Obecnie około 30.000 ludzi kształci się w Egipcie, tj. uczęszcza do liceów, do szkół ludowych i do szkół fachowych. W tej liczbie, rozumie się, wielu jest chrześcijan, Europejczyków, jednak są i krajowcy. Ogromna część z owych 30.000 uczących się pobiera nauki w najróżnorodniejszych zakładach, utrzymywanych przez rozmaite zagraniczne kongregacye lub państwa. Są tu Bracia nauki chrześcijańskiej, są Jezuici (ogromne w Kairze założyli właśnie kolegium); jest owa misya austriacka, misye amerykańskie i t. d. Tak więc i Egipt pomalu zaczyna wracać między kraje kształcące i cywilizujące się. Czy się ten biedny kraj, rujnowany i wysysany przez całe pokolenia, kiedyś rzeczywiście dźwignie z uspienia — nie wiem. Myślę, że Anglicy bądźco bądź rozwijają tu, jak we wszystkich krajach, do nich należących, akcyę cywilizacyjną na wielką skalę; armię reorganizują; oficerowie w armii egipskiej prawie bez wyjątku są dzisiaj Anglicy — do paru lat będzie to coś podobnego do armii indyjskiej. Oprócz tego korpusem okupacyjnym angielskim, wynoszącym dziś około 4000 ludzi piechoty i kawaleryi, komenderuje generał Dormer, katolik, rozumny człowiek, choć nie tryska rozum z jego zyzowatych oczu. Poznałem go wczoraj na wieczorze u lady Grenfell. Zaproszono nas wraz z Załuskim. Prócz nas, byli sami Anglicy: missy bardzo zabawne i oficerowie. Pierwsze strzelają słodkimi oczkami do drugich. Państwo domu nadzwyczaj grzeczni i uprzejmi; ona musiała być kiedyś bardzo ładna. Sirdar, naczelnik armii, niesłychanie gościnny, ułożył nam jazdę na dromaderach wojskowych pułku konnych strzelców egipskich. Rano o godz. 9½ przyszedł sam Sirdar, żeby nam zaprezentować swego ordonansa, który nam towarzyszył aż do koszar w Albatia; tam czekały 4 dromadery, osiodłane nie po arabsku, ale rodzajem terlic ze strzemionami. W towarzystwie więc żołnierza ruszyliśmy. Wsiadanie — awantura. Okropne obawy i emocye, i tyle nasłuchiwałem się o niebezpieczeństwach tej jazdy, żeśm doprawdy wkońcu miał sam emocye, siadając. Biedne dromadery o jednym garbie, porzykiwały, gdyśmy mieli siadać. Nareszcie siedziałem; trzy ruchy wtył i naprzód, i znalazłem się na wysokości bardzo wysokiego

kozła u powozu. Dromadery ruszyły odrazu klusem ku stajniom. Ambaras wielki ze wstrzymaniem, bo ma się w rękę tylko sznurek z łańcuszkiem, który opasuje pysk z zewnątrz. Po półtorgodzinnej przejażdżce, skonstatowawszy, że to nietrudny wcale, ale też wcale niemiły sport, wróciliśmy.

Ale jeszcze o misyi austriackiej dla centralnej Afryki. Odwiedziliśmy w towarzystwie konsula austriackiego, p. Neumanna, przedewszystkiem rezydującego tu biskupa Sogaro, Lombardczyka. Dyecezyi mu poruczonej bliżej określić nie mogę; zdaje mi się, że obejmuje ona Egipt w szerokim słowa tego znaczeniu, tj. szmat kraju, ciągnący się aż po źródła Nilu, hen gdzieś ku Wiktorya-Nyanza. Spokojny, oddany swemu zadaniu, dla którego jedynie żyje, człowiek to o wielkiej a cichej energii i pracy. Bardzo mi się podobał ten biskup, tak niczem i zupełnie nie przypominający pięknie ogolonych *abbate*. Znać na nim, że umie walczyć, bo walczył całe życie, że się nie lęka ni śmierci, ni trudu, ni głodu, ni ognia, bo od lat wielu z elementami i gorszymi od nich ludźmi ma do czynienia, torując w głębiach dziewiczych lasów i puszczy drogę religii i cywilizacyi. Wyższy nad zwykłą miarę, o rysach regularnych, oku spokojnem, łagodnem, z brodą prawie rudą, w czarnym habicie — prawdziwy apostoł! A trudności ma zaiste straszne. Misya, na której czele stoi, nazywa się oficjalnie misją katolicką, pod protektoratem Austrii stojącą. Zrazu dziwiłem się, z kąd Austria ze swemi biurowymi tradycjami mogła przyjsć do akcji cywilizacyjno-kolonizacyjnej w środkowej Afryce? Stawiałem sobie pytanie, czy myśl utworzenia państwu przez misye targowisk, dróg zbytu dla jego produktów i może pola działalności dla przedsiębiorczych synów rakuskiej monarchii, powstać mogła w głowie jakiegoś ukrytego w cieniu biur ministeryalnych urzędnika, co śnił mile w wolnych godzinach bogate krajobrazy afrykańskie, pełne złota, kości słoniowej, kruszców, rządzone przez flagę austriacką... Wreszcie dowiedziałem się, że inicjatorem tej myśli utworzenia misyi katolickiej austriackiej był zacny ks. Ryłko, jeden z białoruskich Jezuitów; on ją zrodził, on po nadludzkich wyteżeniach założył pierwsze podwaliny tej wielkiej, wspaniałej, dla państwa

wielce ważnej budowy — niestety, w połowie nie dokończonej. Zaczęto, porwano się nie obliczywszy sił, i nie dokończono — bo pieniędzy zabrakło. Teraz jeszcze dozwolono kardynałowi Lavigerie zabrać dla misyj francuskich ogromne kraje gdzieś nad źródłami Nilu położone, gdzie dotąd apostołowali z wielką korzyścią ci austriacy misyonarze, i odcięto tym ostatnim najpiękniejszą część pola ich pracy. Paryż umiał w tej sprawie lepiej się krzątać około swych interesów niż Wiedeń. Biskup mój ze łzami w oczach mówił o tem, twierdząc, że to robi na nim wrażenie, jak gdyby ojcowiznę im wydzierano. Tam, powiada, my pracowaliśmy od lat blisko już 30 — tam włożyliśmy ogromny kapitał w pieniądze i pracy i krwi ludzkiej — tam najżyźniejsze mieliśmy pole — to nam odbierają. To moment psychiczny, zniechęcenie ogromne tych biednych ludzi, mających bądźco bądź pewne przywiązanie, tak zresztą naturalne, do gleby, na której pracowali oni lub ich poprzednicy.

Główne siedziby biskupa tych misyj były w Suakinie i Chartum. Z chwilą wybuchu rozruchów mahdistowskich, dalej upadku Chartumu i przybrania tak znacznych rozmiarów przez powstanie Mahdistów, misyonarze nasi musieli uciekać! Czterech braciśzków i dwie siostry zostały w niewoli Derwiszów. Biskup przeniósł swą siedzibę do Kairu. Mają tu swój kościółek i parę niewielkich domków, w których się mieści biskup i ochronki dla chłopców i dziewcząt. Uczniami w tych ochronkach są małe murzynki, mieszańcy najrozmaitsi, barwy najróżnorodniejszej, od prawie białej, aż do sino-czarnej. Biedne te stworzonka widocznie są doskonale traktowane, wcale nie dzikie, mówią już po włosku i angielsku. Uczą się pisać, czytać, śpiewać, rzemiosł, a przedewszystkiem rolnictwa. Misya posiada teraz na drugim brzegu Nilu, koło samego pałacu Ghesiré, 500.000 metrów kwadratowych najlepszej ornej roli, na której założono rodzaj folwarku; budują teraz kościółek i domki mieszkalne. Pytałem biskupa, z kąd właściwie od chwili wybuchu wojny w Suakinie i Sudanie rekrutują swoich elewów? Tu przyszliśmy naturalnie i o temat niewolnictwa. Biskup twierdził, że po największej części mają teraz dzieci wyratowane z rąk handlarzy, zwykle jakimś

szczęśliwym trafem, zebrane także z ulicy. Zaręczał mi, że handel niewolnikami trwa w najlepsze, że rządy tak egipski pod opieką Anglii, jak turecki, przez palce nań patrzą, że od czasu rozpoczęcia walki z Mahdim, główny szlak handlarzy zwrócił się na wybrzeże północno-wschodnie, tj. kąt od Suezu na wschód południowy; że tam odbywają się targi, gdzie po 300 ludzi sprzedają dziennie. Co chwila zdarzają się w samym Kairze wypadki wabienia dzieci, zwłaszcza chłopczyków czarnych, przez jakieś indywidua, które je potem sprzedają. Wypadek taki opowiadał mi o rodzonym bracie czy kuzynie kedywa, księciu Ibrahimie, który pod pretekstem spaceru krążył wokoło folwarczku misyjnego za Nilem, i to cukierkami, to pieniędzmi przywabił murzynka do swego powozu i byłby uwięził, gdyby nie jeden z braci tamtejszych, który uwiadomiony o tem, co się działo, z kilkoma ludźmi dopędziwszy wozu, odbił malca. Taką samą sprawką może się poszczycić jeden z tutejszych paszów, ekscelencya wysoko położona.

Z proponowanego przez Anglię i Niemcy blokowania zanzybarskich wybrzeży, nie obiecuje sobie nikt z ludzi znających stosunki, wielkich rzeczy. Trzeba by właściwie, żeby rządy turecki i egipski wzięły się raźniej do rzeczy w znanych portach morza Czerwonego, służących za targowiska niewolników; ale rządy te czy nie chcą, czy nie mogą. O Mahdim także ciekawych dowiedziałem się szczegółów. Tradycya mahometańska zawiera jakąś niejasną przepowiednię, iż ma przyjść drugi prorok (nasz Antychryst?). W świecie więc mahometańskim żyje nadzieja, że kiedyś ów prorok się zjawi; o tyle Mahdi miał istotnie podstawę egzystencji w sumieniach Mahometan. Setki tysięcy wiernych zgromadziło się koło niego. Fanatyzm tych ludzi nieopisany dozwalał im rzucać się z nadludzką istnie pogardą śmierci na wojska egipskie i angielskie. Uzbrowieni le dwo w noże i dzidy, rozbijali kwadraty (*des carrés*) angielskie. Ruch ten jednak ma przede wszystkim w wysokim stopniu cechę antysocyalną. Jestto rodzaj socjalizmu mahometańskiego. Zasada ich równy podział dóbr wszelkich, a raczej ogólne ubóstwo, największa prostota życia i obyczajów, umartwienie ciała

posunięte do ostatecznej granicy. W tem jednak tkwi także, jak twierdzą, zarodek upadku tego ruchu. Każdego, kto coś posiada, nawet ze swoich, przemocą ze wszystkiego ogałacają. Mahometanin, chcący wstąpić w szeregi Mahdistów, musi złożyć przysięgę, którą się do ubóstwa absolutnego zobowiązuje. To jednak przeraża i odstręcza wielu, tak, że ogólnem jest przekonanie, iż ruch ten sam ze siebie upadnie, i to niebawem. Ponoś następcą Mahdiego, sam kalif, jest już dzisiaj, acz w potajemnem, porozumieniu z kedywem. *Relata refero.*

Suez, 29 listopada.

Wielki dzień! wyjazd do Indyj. *Alea jacta est.* Dojechałem tu koleją nie bez emocyj, bo ulewa zalała tor, i tylko dzięki energii jednego z podróżnych, pociąg przebrnął przez wodę. Teraz siedzę na statku Lloyda austriackiego, Posejdon 4200 ton. Statek dobry; maszyna stara psuje się łatwo, jak potem przekonaliśmy się; elektryczne oświetlenie; kajuta moja o dwóch łózkach — niezła, ale wąska okropnie; lampa elektryczna popruta, nie świeci — dają mi *una lampa volante*, czyli poprostu lichtarz ze świecą. Kapitan, starszy człowiek, Dalmatyńczyk, *un vieux loup de mer*, nazwiskiem Mersa. Gdy mu oświadczyłem ukłony od hr. Karola Załuskiego, pocziwe kapitanisko gubi się w grzecznościach. Pierwsza klasa na statku przepełniona. Odnajduję naturalnie zaraz barona Biegeleben, nowo mianowanego posła austriackiego na Japonię, Syam i Chiny — młody jeszcze, wielce miły, swiatły, choć jak na dyplomatę, zanadto nieśmiały w obejściu; wiezie dwa psy do polowania — zapalony myśliwy. Powiadają o nim, że jest *ein Jesuit* — myślę, że to raczej pochwała; znam go od sześciu godzin, więc nie mogę sądzić. Mam zamiar zaskarbić sobie jego łaski, aby mnie wziął ze sobą do Syamu. Z nim jedzie dodany mu przez ministerstwo mstr. J. C. Samson, Amerykanin, w służbie austriackiej; bardzo miły, znałem go kiedyś w Wiedniu. Dalej jedzie hr. Coudenhove, wielki admira-tor islamu, pasjonowany do wszystkiego, co Wschód, a przede-wszystkiem pragnący, jak sam mówi: *Möglichst weit von zu Hause*

leben. Dalej dr. Exner, profesor z Wiednia, jedzie mierzyć przeciętną temperaturę na wyspie Cejlon; jego kolega równocześnie pojechał ją mierzyć do Tobolska czy Jakutska w Syberyi. Wreszcie paru Anglików, kilku Niemców, między nimi arcymiły i ciekawy człowieczek, młody geolog.

Jedziemy z szybkością dwunastu węzłów na godzinę. Morze cudownie piękne. Wyjazd z Suezu idealny. Od strony Arabii morze istic szmaragdowo-zielone, dalej coraz ciemniejsze, od wybrzeża afrykańskiego ciemno-lazurowe. Oświetlenia poczynają być śliczne. Zachód słońca cudowny; schowało się za skaliste wybrzeże afrykańskie; któż „tinty“ opisać w stanie? Niestety, przepływamy nocą koło Thor: tu się, jadąc do Synaj, ładuje. Góry Synaj darmo wyglądam; z okrętu nie widać jej wcale...

Na pokładzie Posejdonu, 30 listopada.

Piszę przy dźwiękach marsza z Proroka, rąbanego na klawi-cymbale okrętowym przez jakąś rudowłosą Niemkinię okrutnie *comme-il-faut*, naturalnie w pęsnecie. Od rana wszystko w bieli; najdziwaczniejsze kolory powylażyły — bo ciepło. Wpołudnie pierwszy raz naprawdę czuć się dał upał. Wieczór nawet otwieramy, gdzie można, drzwi i okna. Sam kapitan Mersa, *alias* Mściś zwany, wystąpił dziś w bieli. Angliki jeszcze tylko wierne są europejskim sukniom; zapewne wysoki, przystojny, sztywny *capitain* jutro dopiero wylezie w jakimś cudackim ubrańku. Morze ma tu ledwie 30 mil austriackich szerokości. Tylko wybrzeże afrykańskie było przy zachodzie słońca widoczne. Zachód słońca znowu istne cudo! W życiu mojem nie tylko nie widziałem, ale nawet nie śniłem o czemś tak pysznem, tak czarującym. Więc wszystkie Hildebrandty etc. nie są przesadą, owszem, nie dają nawet w przybliżeniu pojęcia o tych przepychach. Szkoda, że Ajwazowskiego tu nie było. Ta najcudowniejsza polichromia o niezmiernie jasnych, dobitnych barwach, przez malarzy na papier kładziona, raziłaby, bo malarz nie jest w stanie dać tego powietrza cudownego, które choć kryształowo-przeźroczyste, jednak przesłania te cudne kolory, łączy je i godzi.

Rozpisuję się o tych cudach, a istotna to dla nich obraza o nich pisać; na nie tylko patrzeć i w milczeniu podziwiać można. Takiego lazuru, jak dziś widziałem, już chyba nie tak prędko będzie mi wolno oglądać. Morze wczoraj zaczęło fosforyzować. Upał w dzień troszkę przykry.

Noc spędzić dziś przyjdzie na pokładzie. Woda w kąpieli zupełnie letnia. Co to będzie między Bombaj a Cejlon lub dalej? Pojutrze jubileusz 40-letniego panowania cesarza. Niedziela, więc będzie Msza odczytana przez jednego z ojców Jezuitów, którzy z nami jadą z przeznaczeniem do misyj australskich; dalej *flagenparade*, a wieczór obiad we frakach.

Na pokładzie, 3 grudnia.

Minęliśmy 15° północnej szerokości, więc jesteśmy już niżej od Massawy. Szkoda — ciekawem byłoby tam zaglądnąć, do tej placówki włoskiej, wymierzonej ni mniej, ni więcej jak przeciw Abisynii. Mimo ciągłych niepowodzeń włoskiego oręża w Massawie, przepowiadają, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Włosi się tam przecie utrzymają i po lat dziesiątkach wleżą do Abisynii i takową poprostu na kolonię włoską zmieniają. *Conditio* jednak, *sine qua non* — to żeby się uspokoiło w Suakinie i Sudanie, wogóle w północno-wschodniej części Afryki, i by następnie Włosi mogli rozpocząć najwydatniejszą, jedynie do celu prowadzącą czynność, tj. wciskanie się w głąb kraju zapomocą handlu. Jak mi mówił jeden z Anglików, których poznałem w Egipcie, nie bronią, ani wojskiem, ale zapomocą kupców mogą Włosi wejść do Abisynii — i to tylko Włosi, bo żaden inny naród Europy nie jest w stanie znieść tego klimatu: klimatu, który np. na zanzybarskiem wybrzeżu uniemożliwia Niemcom egzystencję.

Wczoraj była feta, tj. zwykły obiad niedzielny, więc nieco lepszy, do któregośmy, ale tylko my Austriacy, przyszedli we frakach. Zafundowaliśmy całemu stołowi szampana, co było powodem, że po przemowie okolicznościowej Biegelebena, przemawiał kapitan po włosku imieniem Lloyd'a. Niemiec, dr. Walther,

hat mit einem anderen Deutschen den Salamander gerieben zu Ehren Seiner Majestät, a oficerek jakiś angielski, przyłączając się do tamtych toastów, imieniem współrodaków krzyczał: hip! hip! hurra! Biegeleben zaproponował mi wczoraj, abym z nimijechał do Syamu. Naturalnie, że z radością przyjąłem, i jadę.

Minęliśmy dziś wulkaniczną wyspę Tebel-jair, a w tej chwili mijamy całą grupę wulkanicznych jakichś grzybów. W nocy dopiero przejedziemy cieśninę Babel-Mandeb czyli Bramę Iez. Nader silny wiatr południowy, przeciwny nam; ledwo 10 węzłów na godzinę jedziemy. Prawdziwe to austriackie wleczenie się! pieniędzy nie mają, mało chcą węgla spalać i wloką się. Koło Babel-Mandeb będziemy skakać; tradycya tak każe, bo tu jak okragły rok niespokojne morze.

Aden, 5 grudnia.

Wieczorem 4-go, przejechawszy poprzedniej nocy szczęśliwie ale pomału owe niebezpieczne miejsca między Afryką a Azją, dostaliśmy się nareszcie do zatoki Adeńskiej. Nic równie oryginalnego, jak ta zatoka utworzona z jednej strony przez ogromne, poszczerbione, spiczaste, ciemno-czekoladowe skały, częścią lawą zwietrzałą pokryte, a piętrzące się wprost nad samym brzegiem morza, a z drugiej strony przez długi, niezmierny, płaski język piaszczystego wybrzeża, zakończony kilku potężnemi bryłami łupku z lawą zmieszanego. Ta brama Arabii Szczęśliwej, dzika nad wszelki wyraz. Port tutejszy do znacznych się zalicza; wszystkie bowiem okręta z głębokiego Wschodu, a nawet wschodniej Afryki, do Europy lub Indyj płynące, zatrzymują się tutaj, by nabierać węgla. Naturalnie, port w ręku angielskiem, obronny znaczną fortecą, dominującą nad całą przystanią, a bronioną przez dwa bataliony północno-indyjskiego pułku piechoty. Jak wszędzie, tak nawet i w tym pustym, nieurodzajnym, bo grubą warstwą zwietrzałego łupku i lawy pokrytym kraju, gdzie zieloności nie dojrzy na lekarstwo, gdzie nawet wielbłądy i kozy ledwie żyć mogą, gdzie upały mają być straszniejsze, niż pod równikiem — nawet tu widać już cywilizującą rękę angielską. Policya

wszelkiego rodzaju i gatunku czeka przybycia gości lądujących ze statków przejezdnych; ale czeka nie na to, by paszportów żądać, ale by być na usługi, pomagać i służyć na każdym kroku, chronić przejezdnych od natarczywości krajowców.

Jest tu słynny, z VI. w. przed Chrystusem datujący, cały system cystern, wykutych w skale przez dawnych przed-arabskich mieszkańców, stolicy królestwa Saby. Anglicy odnowili, poprawili i tym sposobem dali możność egzystencji i rozwoju temu tak w wodę ubogiemu krajowi, gdzie deszcz podobno co dwa lata tylko się zjawia! Potężne te cysterny były obliczone na przeszło 100 milionów wiader; dziś po odnowieniu przez Anglików, mają mieścić tylko 30 milionów — i to dosyć. Są to ogromnych rozmiarów i niesłychanej głębokości, częścią kute w skale, częścią naturalne baseny, połączone ze sobą zapomocą kanałów; żeby zaś osiągnąć jak najgruntowniejsze oczyszczanie się wody deszczowej i naturalne filtrowanie, leżą te cysterny w rozmaitej wysokości, tak, iż woda po wypełnieniu jednej, ściekać musi do drugiej. Tu po raz pierwszy widziałem rozdawanie wody na placach publicznych, przez osobno do tego widocznie ustanowioną straż. Samo miasto Aden dzieli się na dwie części: Europejska, t. zw. *Steamer point*, nad samą przystanią leżąca, i Arabska, właściwe miasteczko Aden, schowane za skałami, dalej od brzegu. Mieszkańców razem dziś do 20.000 ludu; dawniej było 100.000. Ztąd prowadzi droga do Sannah, tj. właściwej stolicy królowej Saby. Przystęp tam prawie niemożliwy. Coudenhove chce się wybrać i mnie angażuje; musielibyśmy jechać za muzułmanów przebrani — wątpię, by się to udało!

Przyjechawszy wieczorem około 10¹/₂, usłyszeliśmy już zdala, jakby z głębi morza wychodzące najdziwaczniejsze głosy i krzyki; morze się zaczerniło od łódek i łódeczek, a jeszcze bardziej od czarnej cery ich wioślarzy! Nic ciekawszego, nic zabawniejszego jak ta populacya, co się na statek rzuca, by swoje usługi ofiarować. Starsi ładują i wyładowują towary; dzieci i młodsi jeszcze do roboty ciężkiej nie zdadni, zabawiają gości najdziwaczniejszymi krzykami i śpiewem miarowym, bardzo oryginalnym, podobnym do tego rodzaju marszu, który śpiewają Beduini, wło-

kąc Europejczyka na piramidy. Ale największą sztuką tych pocziwców, to rzucanie się w morze ze szczytu okrętu i nurkowanie za pieniędzmi rzucanymi w morze. Jeden z nich za jedną rupię rzucił się w morze z jednej strony statku, a wypłynął z drugiej, wyniósłszy z dna morza różne trawy i piasek.

W większości są między nimi Somali, pochodzący z przeciwnego wybrzeża Afryki; wspaniała to rasa. Cera, stary bronz przypomina, budowa idealnie doskonała. Smukli, rośli, zgrabni jak koty. Tu w Arabii są pocziwi i łagodni; biada jednak temu, ktoby się między nich na wybrzeże Afryki dostał! Drugi szczep, który się tu spotyka, to mieszkańcy Zanzylaru, którzy tu także jako zarobnicy żyją; istne małpy. Wszystko ludy niezbyt dawno na islamizm przeszłe, fanatycy zagorzali. Szkoda, że pocać się nieludsko, nie jestem poprostu w stanie być bardzo poetyczno-opisowym w mym stylu. Arabów niewiele widać; za to kręcać się żydki pejsate jak u nas. Jestto najoryginalniejsza, najczystszej krwi rasa żydów, którzy tu przed prześladowaniem z Bagdadu się schronili. Trudnią się naturalnie tylko małym handelem i zmianą pieniędzy.

Noc fatalna. Ładowano węgiel; trzeba było wszystkie okna zamykać; upał więc nie do opisania, a przytem rwetes, krzyki i hałas nieustanny. Raniutko trzeba było wstać, by móżdż zwiędzić miasto; mieliśmy bowiem już o 10-tej dalej odpłynąć, *de facto*, odjechaliśmy o wpół do trzeciej popołudniu. Biegeleben oświadczył mi, że napisał do Kalnoky'ego z prośbą o upoważnienie do przedstawienia mnie w Syamie jako *attaché honoraire à la légation*. Chce mi ofiarować swój mundur dragoński, abym mógł w nim paradować przed rozmaitymi nabobami i kacykami syamskimi. Ztąd mamy 6 dni morza pełnego — okropnie to nudne; choć Bogu dzięki ocean Indyjski bardzo grzeczny i spokojny, ale bo to czas musonów północno-wschodnich. Obawa tylko, że nie przyjedziemy na czas do Bombaju, bo mamy znaczne spóźnienie, z powodu tego nieszczęsnego huraganu na Czerwonym morzu.

Na pokładzie Posejdonu, 7 grudnia.

Wigilia Niepokalanego Poczęcia. Usposobienie moje wielce na *mol* nastrojone, bo żołądek zaczyna niedopisywać; w tym klimacie i na morzu, to niemiłe, bo zamiast pogrzebu, wrzucenie poprostu do wody mnie czeka. Ale Bogu dzięki, są jeszcze na świecie *ricinus* i *camomilla*! Ta nadobna para wraca mi życie, choć nie siły. Na dzień Niepokalanego Poczęcia, Mszy aż cztery poczeiwi Ojcowie nam urządzili. Cała załoga okrętowa przyjmuje śś. Sakramenta. Na Mszy spotykam i muzykantki, naturalnie Czeszki, które jadą do Bombaju. Gdzieżby poczeiwych Czechów nie było? Historya o owem *mañsta paně Columbus*, które usłyszał sławny Hiszpan w chwili przybicia po raz pierwszy do lądu amerykańskiego, jest przecie faktem autentycznym.

Statek nasz coraz powolniej zaczyna płynąć; maszyna stara pusuje się co chwila, ustaje! Biedny ten Lloyd; mógłby miliony wnosić do Austrii, mógłby istotnie wyrobić i utrzymać jakieś stanowisko dla Austrii na świecie — ale jest w żydowskiem ręku; Węgrom niedogodny, więc zeszedł poprostu na jakieś trzeciorzędne przedsiębiorstwo; a jazda na jego statkach, to do prawdy *une mauvaise farse*. Jedyne awantaż, to ten chyba, że wskutek minimalnej ilości pasażerów, można łatwo mieć kabinę wyłącznie dla siebie; kuchnia podła; rozrywek żadnych i wleczenie się chyba według zasady: *immer langsam voran* etc.... Co prawda, różnica w cenach ogromna, bo gdy bilet z Suezu do Bombaju na angielskich P. & O. kosztuje 55 funt. szterl., to austriacki przewozi za 35 funt. szterl. Smutne to — smutniejsza chyba jeszcze reprezentacya Austro-Węgier na bliższym i dalekim Wschodzie; wszyscy konsulowie, *ad honores*, z łaski pełniący obowiązki reprezentantów dwoistej monarchii. Jak mi zaręcza kapitan, konsul austriacki w Shanghai czy Hongkong, nie chce za nic wywieszać flagi austriackiej — wstydzi się poprostu.

Jeszcze na Posejdonie, 11 grudnia.

Jutro więc raniutko mamy nareszcie stanąć w Bombaju. Niestety, tylko 2 czy 3 dni będziemy mieli na zwiedzenie Bombaju; ja osobiście może już więcej tego kontynentu nie zobaczę, a to z powodu szalonego planu, który mi podano: jechać z ministrem naszym aż do Tokio, a potem albo na Pekin, Kiachtę, albo na Władywostok, Irkutsk, Jekaterynburg, Moskwę do domu wracać! Szalona podróż trwać ma dwa miesiące z czubem, ale ciekawa! Straszą mnie, że okropnie monotonna! Z Yokochamy, jak mi dziś mówił kapitan, ma być do portu w Tien-tsin 2 do 3 dni; potem się przesiada na statek chiński i nim płynie aż do Pekinu. Ztąd 14 dni do Kiachty. Zobaczymy! Niestety musiałbym w tym razie poświęcić zupełnie Indye. Właśnie napisałem do Petersburga, gdzie proszę o przysłanie rozlicznych rekomendacyj i paszportów do sybirskiej podróży potrzebnych, do Yokochamy.

Na okręcie naszym czuć już zbliżanie się do lądu. Gorąco znowu dokuczliwsze. Ruch ogromny, wszyscy się pakują. Wczoraj był znowu bal dany przez nas i Anglików. Hasałem jak waryat, choć okropnie gorąco. „Czy Monseigneur (tj. mój tytuł na statku) zechce tańczyć kontredansa z panną Mackenzie?“ Na moją odpowiedź, że jej nie znam, powiada, że to nie przeszkadza, i pędzi angażować pannę dla mnie. Mija dobrych 10 minut, zaczynają nareszcie grać kontredansa; mój kapitan przylatuje po mnie, prezentuje wszystkim paniom, *qui font des révérences de cour*; paniątko biedne nie czeka nawet na to, żebym ją zaangażował, tylko sama wstaje i idzie za mną cała drżąca, tak, że jak przyszło nareszcie do podania ręki przy tańcu, ona ledwie dwa paluszki wyciągnęła, i to tak trzęsące, że mi się aż śmiać chciało. — Oto ciekawości statkowe. Ja już od wczoraj chodzę, jak na resorach. Wyznaję, że mi się tej podróży przez Sybir bardzo chce — przecieżyby Papa nareszcie chyba powiedział, że to godna młodego człowieka ekskursya. Najoryginalniej byłoby jechać przez Władywostok, ale znowu Pekinu szkoda.

Bombaj, 16 grudnia.

Przyjechaliśmy, niestety, z opóźnieniem prawie 24 godzin, jak zwykle Lloyd. Wieczorem ostatniego dnia podróży, pożegnania. Niemcy zaraz wymyślili rozmaite ekstra-sztuczki. Do książki zażeń wrysował dr. Walther, ów geolog, ogromnego Posejdona, boga mórz, płynącego przez ocean, a na jego, z przeproszeniem, siedzeniu, wystającym znacznie ponad poziom wody, kilka par tańczących. To wszystko otoczone wierszem dość lichym po włosku, wyrażającym kapitanowi i oficerom podziękowanie za ich grzeczność, i podpisy nas wszystkich. Drugiemu kapitanowi darowano *quasi* adres honorowy z moim znowuż rysunkiem. Kilku z naszych, zwłaszcza Coudenhove i Biegeleben, siedzieli aż do 3-ciej w nocy na pokładzie. O 6-tej, przed świtem jeszcze, zrobił się na statku gwałt niemożliwy — znak to niechybny, żeśmy przypłynęli do portu. Szybkie ubieranie, połknięcie filiżanki kawy, nareszcie wylatuje się na pokład oglądać Indye, a raczej zatokę Bombaju.

Po rozmaitych perypecyach, docieramy wreszcie do hotelu. Ten hotel, Boże odpuść, ogromna buda na cztery czy pięć pięter, cała z żelaza i drzewa; rozgardyasz, bieganina, o portyerze ani słyhu, kupa jakichś podróżnych, druga kupa kelnerów czarnych jak węgiel, którym jednak przez głowę nawet nie przechodzi wziąć do ręki choćby paltot podróżnego, tylko rozrywają sobie poprostu gości, których z drugiej strony ciągną innego znowu koloru kelnerzy, jacyś hamale indyjscy w najcudaczniejszych strojach, a po części i bez nich, tylko z chusteczką, reprezentującą listek tigowy. Dostają wreszcie pokój na trzecim piętrze. Okropnie wysoko po okropnych schodach, szturkany przez dziesiątki pasażerów i hamalów, cisnących się w górę i na dół, wyłażę; pokój dość lichy, z gabinecikiem na kąpiel, prawie obrzydliwym, łóżko na cztery osoby; ale widok śliczny, bo na pełne morze i Malabar-point, rezydencję lorda Rey, gubernatora prowincyi Bombaju, liczącej około 40 milionów dusz. W sali jadalnej gwar, z którym wszystkie dotąd słyszane, nie są w sta-

nie wytrzymać konkurencyi. Najpierw u stołów siedzi co najmniej 50—60 osób, w powietrzu oprócz szalonego przeciągu wachlują i jak upiory nad głowami latają ogromnych rozmiarów punki; za każdym prawie gościem stoi oturbaniony Indyanin w bieli, wreszcie chmara kelnerów, znowu ci sami, co rano byli w bramie, tylko tutaj latają wszyscy jak opętani. Na szczęście są boso. A *notabene* mimo tej chmary służby, niczego się doprosić nie można; kelnerzy bowiem jak bezgłowy uganiają po sali, a te białe i czerwono oturbanione Indyany czyhają tylko, by ci zprzed nosa porwać kosz z chlebem, sól, pieprz, cukier lub musztardę i zanieść swemu panu, na którego usługi tu jedynie są; są to prywatni „boy'e“. Indyanina takiego płaci się 1—2 rupij dziennie. Za to musi się ubrać, pożywić i cały dzień być cieniem swego pana. Angliki miewają po 20—30 takich cieniów, do każdej czynności inny. Gubernator, urzędnicy wyżsi podobno po 100—200 takich sługusów utrzymują. Jestto konieczne, bo popierwsze samemu coś sobie robić nie wypada, i gorąco; a powtóre Indyanin taki od wylewania jednego gatunku naczyń, już drugiego, choćby najpodobniejszego, nie tknie się. Boy od punki, którą cały dzień i noc ciągnie, by chłodzić powietrze, nie pyta się o resztę zupełnie. Są tu i inne zacofane systemy, których cywilizatorom tego kraju darować nie mogą: między innymi zupełny brak pewnych urządzeń, zwanych z angielska *W. C.* W całym cesarstwie indyjskiem ani jednego niema. Są tylko po sypialnych pokojach przenośne, bardzo rudymentalne przyrządy, a municypalność dostarcza każdemu domowi jednego człowieka, przez rząd płatnego, który się nimi opiekuje, i kiedybądź wślizguje się do pokoju, aby rewizyę odbyć — zkład powstają komiczne, ale niekoniecznie miłe sytuacje.

Pierwszego dnia wizyta u generalnego konsula austriackiego, Stockingera, gdzie poznajemy hr. Széchényi i Hoyosa, którzy tu przyjechali polować na tygrysy, a — jak później się dowiedziałem — zabili moc najpyszniejszej zwierzyny. Na jutro mam do nich zaproszenie na obiad. Wczoraj, tj. 15-go, zwiedzaliśmy wieżę Milczenia, czyli cmentarz Parsich, tj. czci-cieli ognia, pierwotnych Persów, wypędzonych przez islam z Per-

syi. Cały prawie handel *en gros* w rękach tych Parsich; robią oni szalone fortuny, jak żydzi u nas. Cmentarz ten nader smutny! Są to murowane, okrągłe budynki, amfiteatralnie wewnątrz urządzone; tu kładą w rodzaj umyślnie na to zrobionych przegródek ciało nieboszczyka; reszty dokonywają stada sępów, pod których ciężarem istotnie wszystkie drzewa wokoło się uginają. Kto ciekawy szczegółów, niech czyta Hübnera. Zwiedzenie świętego Miasteczka brahminów, zajmuje nam pół dnia. Zamieszkują tu wyłącznie należący do kasty brahminów, których poznać po sznureczku, przewieszonym przez biodra. Ciekawe są ich świątynie; u każdej przed wejściem leży święty wół, zwykle ze srebra, którego każdy wchodząc pokrapia wodą, dotyka się, ubiera kwiatami, a palcami uświęconymi tem dotknięciem, przeciera sobie oczy i czoło. Również ciekawe są dzwonki, wiszące u wejścia; każdy wchodząc dzwoni, żeby się zameldować bogom, a zwłaszcza Wisznu, że przychodzi się modlić. Co tu mówić o ich religii? tyle już tomów o niej napisano, a ile więcej powstałoby tomów z tego, co w niej jeszcze nie zbadane! Przedmiotem ich czci, nie jedno lub kilka bóstw, z pewnemi własnymi imionami i własnościami, ale siła rodząca, mnożąca, więc wszystko, co w przyrodzie ma związek z mnożeniem się danego gatunku. Ztąd cześć dla lingam; wszystko, co w naturze choćby tylko przypominało lingam, jest czczone, i znajduje w świątyniach, obrazach, a zwłaszcza w architekturze, jak najczęstsze i najróżnorodniejsze zastosowanie i reprodukcję. Ztąd cześć dla drzewa, zwanego *figus sacra*, które wypuszczając z konarów odnogi ku ziemi, coraz to nowe, idące w setki, tworzy drzewa wkoło pnia głównego, i tak staje się żywym obrazem siły rozrodczej natury. Ztąd pochodzą te zresztą dla nas niepojęte sztuki niektórych brahminów, a zwłaszcza fakirow. Dziwnie przy takich pojęciach religijnych, przy tych kostiumach, zwłaszcza kobiet, do połowy i to ledwo przykrytych — dziwnie słyszeć o moralności, a zwłaszcza o wstydlivości tego ludu. Widocznie wszystko to tylko kwestya konwencji.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

KILKA SŁÓW O TOKU MYŚLENIA

W ZASTOSOWANIU DO NAUCZANIA ELEMENTARNEGO.

Wszelkie nauczanie wtenczas tylko prawidłowem być może, jeśli się umie dostroić zupełnie do naturalnego toku (μὲθ' ὁδοῦ), w jakim myśli ucznia się rozwijają. Inaczej przeto uczy się ludzi dojrzałych umysłowo, inaczej — bo elementarnie — prostaczków. Od jasnego poznania i od zdolności zastosowania się do toku myśli ucznia zawisła skuteczność metody subiektywnej czyli tak zwanego tonu nauczania każdego nauczyciela zosobna; od tych samych warunków zawisła też jakość metody obiektywnej, tj. właściwej teorii nauczania. Jest przeto rzeczą niesłychanej wagi, umieć poznać jasno tok myślenia ludzkiego wogóle, a w dalszym rzędzie tok myślenia dziatwy, którą się ma uczyć. Warto się zastanowić, jak pojmuje tok myślenia herbarcyanizm szkolny austriacki.

Urzędowy podręcznik dydaktyki ogólnej d-ra Lindnera przyznaje, że dwoma tokami myśl nasza rozszerzać i pogłębiać może zakres swej wiedzy: tokiem syntetycznym, składając części w całość, lub analitycznym, rozbierając całość na części. Przyznaje dalej, że „całość, dostrzeżona w zakresie wiedzy wychowanka, może być dwojakiej natury: może być obserwacyą zmysłową, poglądową — albo odwrotnie, pojęciową czyli abstrakcyjną“¹. W pierwszym razie synteza i analiza zwie się

¹ Tłum. d-ra Seredyńskiego. Wiedeń 1880, str. 63.

realną, rzeczową, i ma zastosowanie np. w nauce czytania, o ile analizując zdanie, przychodzę do słowa, a w niem „do dźwięku szczegółowego, aby mu dać znak i nazwę“, i naodwrot składam dźwięki w zgłoski, wyrazy i zdania. W drugim razie zwie się ona logiczną czyli idealną, która stoi do realnej w odwrotnym stosunku. Podręcznik uzasadnia to słowy: „Rozbiór rzeczy (realnej) przedstawia części składowe, które, obok siebie będąc, właśnie ową rzecz stanowią; rozbiór pojęcia zaś dostarcza nam cech, które względem rozbieranego są właściwie nadrzędnymi (więc ogólniejszemi) pojęciami. Analiza rzeczy jest rzeczywistym jej rozkładem na części, partycją — analiza myśli jest logiczną abstrakcją. Obie te analizy (a tak samo i syntezy) są sprawami wręcz przeciwnego skutku“. Jeszcze dosadniej wyjaśnia to podręcznik w zarysie logiki (str. 21), tłumacząc, dlaczego synteza logiczna zwie się inaczej dedukcją, determinacją lub postępowaniem progresyjnem — analiza zaś indukcją, abstrakcją, postępowaniem regresyjnem. Pewniki te nie ulegają wątpliwości, ale należało je przytoczyć, by ocenić tok nauczania.

Podręcznik każe rozpoczynać naukę od poglądu, każe całości realne rozbierać i składać, i słusznie uwydatnia konieczność rozpoczynania nauki zawsze od takiej analizy realnej. Sądząc według omówionych pewników, należałoby wnosić, że owej realnej analizie odpowiedzieć musi w umyśle ucznia logiczna synteza; tymczasem podręcznik głosi: „Elementarna nauka poglądu i nauka mowy jest nie tylko pod względem rzeczowym, ale zarazem i pod względem logicznym analityczna!“ Zkąd taka sprzeczność? Zkąd w całej prawie metodyce szczegółowej to mieszanie syntezy i analizy realnej z wprost przeciwną logiczną? Czy tylko dydaktyczne podręczniki austriackie wprowadziły na świat tak dziwne zamieszanie? Nie! Wprowadzili je sensualiści i sam Herbart, który całe nauczanie oparł na analizie.

Tak jest; Herbart, lubo uznaje istnienie duszy nieśmiertelnej w człowieku, jest właściwie sensualistą, bo skazuje duszę na martwą bezczynność, a wszystkie stany psychiczne ogłasza tylko za objawy samodzielnego przetwarzania się wrażeń i pojęć, z ze-

wnątrż dochodzących. I dlatego właśnie pogrzebano go na Zachodzie, bo jest mniej konsekwentnym niż materyalizm, który wprowadzie wszystko chce tłumaczyć ruchem materji, ale już za to nie uznaje ani duszy, ani właściwych pojęć, ani żadnych wyższych stanów psychicznych. Według herbarcyizmu, wrażenia zewnętrzne, dostając się przez zmysły do duszy, grupują się tam same jako wyobrażenia, a mnożąc się w jednym kierunku i wypychając inne z zakresu świadomości, przechodzą w pojęcia i t. p. Nie widzi on istotnej różnicy, jaka zachodzi między zmysłowem spostrzeżeniem lub fantazmatem, przez wyobraźnię ze spostrzeżeń wytworzonym, a rozumowem pojęciem, wykluczającym wszelkie znamiona zewnętrzne, przypadkowe, a obejmującym tylko istotę rzeczy, która nie podpada pod zmysły; jednym słowem, brak w jego toku niezbędnej czynności abstrahowania. Ujawnia się to najwyraźniej w pięciu tak zwanych formalnych stopniach nauczania, które udoskonalany nawet później herbarcyizm stale zaleca, bo jest tam mowa: 1) o przygotowaniu; 2) o przedstawieniu rzeczy nowej; 3) o appercepcji; 4) o streszczeniu nauki, i 5) o zastosowaniu do życia — ale nie masz ani wzmianki o tak ważnym momencie, aktualnej abstrakcji. Odczuli ten brak widzieć dydaktycy austriacy, bo urzędowy podręcznik wtrącił wzmiankę (str. 13), że „samo porównanie nie wystarczy do wytworzenia pojęcia; potrzeba cechy istotne od wyobrażeń oderwać“; niestety jednak kończy się wszystko na owej wzmiance w logice, a dziwną sprzecznością zaleca się w dydaktyce bez zmian owe pięć stopni Herbarta i przeprowadza się metodykę na jego zasadach. Czyż to nie zbyt upokarzające na ów peryod świetnego rozwoju dydaktyki i całej rzeszy wydawnictw dydaktycznych, z których się tak często chęlpimy?

Jakiż jest właściwie tok naszego myślenia? a w miarę tego, jaki powinien być tok elementarnego nauczania? Poradźmy się św. Tomasza z Akwinu¹ i streszczmy krótko jego naukę.

Nihil est in intellectu, quod non prius fuerit aliquo modo in

¹ *Summa theol.*, I, qn. 85.

sensu — oto prastara zasada, której broni Arystoteles, a za nim scholastycy, w tem znaczeniu, że myślenie rozpoczyna się pierwotnie od spostrzeżeń zmysłowych, i że wszelkiej myśli odpowiadać musi wyobrażenie zmysłowe, bądź z zewnętrznego świata, bądź z wewnętrznej świadomości zaczerpnięte, bądź z tych elementów złożone. Człowiek zatem musi przedewszystkiem drogą poglądu bezpośredniego gromadzić i kojarzyć w pamięci cały zapas wyobrażeń zmysłowych, których charakterystyczną cechą jest, że zawsze ukazują tylko zewnętrzną, zmysłami uchwytną szatę przedmiotów, i zawsze odnoszą się do szczegółów konkretnych. Od tego poznania zmysłowego istotnie różni się poznanie rozumowe, które wnika w istotę rzeczy i wytwarza właściwe pojęcia. Całe tysiące wyobrażeń nie są w stanie wytworzyć same ani jednego pojęcia; tak np. mogą mieć wyobrażenia o tysiącach i milionach ludzi białych, czarnych lub oliwkowych, w najróżniejszych strojach i t. p., a nie mieć pojęcia człowieka jako istoty zmysłowo-duchowej. Do wytworzenia pojęcia potrzeba koniecznie, aby dusza w danem wyobrażeniu upatrzyła przez samodzielną abstrakcyę (*per intellectum agentem*) istotę rzeczy, każda zaś istota musi mieć jako taka charakter ogólny, przysługujący wszystkim indywiduom odpowiednim, jakkolwiek dusza nie zdaje sobie początkowo sprawy z ogólnego charakteru znamięnia abstrahowanego. Gdy w ten sposób powstanie w duszy obraz intelektualny (*species expressa*) przedmiotu, zaczyna dusza poznawać (*per intellectum possibilem*) duchowo ten sam przedmiot, który przedtem zmysłowo poznała. Wówczas dopiero posiada dusza właściwe pojęcie przedmiotu, ale jeszcze niejasne i niedokładne. W zastosowaniu do dziecięcia widzimy, że ono zrazu wcale pojęć utworzyć sobie nie zdoła i obraca się tylko w zakresie wyobrażeń zmysłowych; z czasem, gdy się w niem rozum budzić zaczyna, abstrahuje z wyobrażeń pojęcia niedokładne, zbyt ogólne, lubo nie wie o ich ogólności. Tak np., jeśli (co niewłaściwem jest) przyzwyczajono je do używania słów zdrobniałych, nazwie ono każdy pokarm „papa“, abstrahując od jego zewnętrznych przymiotów; podobnie nazwie każdego obcego „lala“.

każdy obrazek „Bozia“, każdą rzecz nieznaną „caca“ i t. p., co właśnie świadczy, że ma już pewne, lubo niejasne, pojęcia ogólne.

Stopniowo abstrahuje dusza z wyobrażeń coraz to nowe istotne znamiona i łączy je w jedno przez syntezę logiczną, a przez to dochodzi do coraz jaśniejszych i dokładniejszych pojęć. Można tedy wyrobić sobie ogólnikowe pojęcie przedmiotu z jednego tylko wyobrażenia zmysłowego, a nie potrzeba koniecznie pierwej „porównania i rozróżniania“ wyobrażeń, jak tego chce podręcznik szkolny (na str. 13), oraz urzędowa psychologia Crügera-Sawczyńskiego (Kraków 1877, str. 88). Takie porównywanie byłoby wydawaniem sądów bez pojęć, i nie odpowiadałoby rzeczywistemu rozwojowi myśli dziecięcej.

Inna rzecz, że czynność myślenia nie kończy się na takich pojęciach niejasnych i nieświadomych siebie (*universale directum*). Dusza stara się uzyskane pojęcie porównać z danym przedmiotem i osądza, czy i o ile ono przedmiotowi odpowiada, a więc co mu trzeba ująć lub dodać. Co więcej: porównuje pojęcie z innemi wyobrażeniami zmysłowemi odpowiedniami, a w ten sposób coraz ściślej wyklucza cechy przypadkowe i poznaje charakter ogólny istoty (*universale reflexum*). Na tym stopniu dopiero rozum sądzi, *intelligit componendo et dividendo*. Sądy te wypowiada rozum nieraz na podstawie trzeciego, pośredniego pojęcia, w formie wniosku. Niełatwo przeto i nieprędko dochodzi człowiek do wyrobienia sobie jasnych i dokładnych, a zarazem pewnych pojęć, ujętych w szczegółowe definicje logiczne. A jednak obserwacya działy wykazała, że czynność sądzenia, a nawet wnioskowania, dosyć wczesnie się objawiać zaczyna, zwłaszcza w kierunku sądów moralnych; udoskonalenie tylko owej czynności przypada na lata późniejsze. Najtrudniejszą i ostatnią czynnością myślenia jest, z dwóch danych pojęć wynaleść trzecie, i w ten sposób wznieść się aż do najwyższych idei.

Ze względu na tok myślenia logiczny, zazwyczaj po utworzeniu szczegółowej definicyi drogą syntetyczną, staramy się analizować ją w tym celu, aby poznać dokładnie zakres przedmiotów, na które się definicya rozciąga, oraz aby każde jej znamię zbadać głębiej i samo w sobie w swej ogólności, i w sto-

sunku do innych. Kto sobie poprzednio wyrobił zapas definicij, może zatem, obierając je za punkt wyjścia, wznosić się do coraz wyższych, ogólniejszych prawd tokiem analitycznym, skupiając nakoniec wszystko w przejrzystej syntezie.

Nauce początkowej odpowiada zatem z natury rzeczy więcej tok syntetyczno-analityczny, poprzedzony nieco analizą realną lub co najmniej w parze z nią idący. Nauce późniejszej odpowiada znów przeważnie tok myślenia analityczno-syntetyczny. Mówimy tu o nauczaniu elementarnem, które z natury rzeczy ogląda się ściśle na rozwój duchowy ucznia i kroczy od rzeczy uczniowi znanych, do nieznanych, posługując się zazwyczaj określeniami, miasto definicij logicznych. Aby zapobiedz nieporozumieniu, dodajemy, że te same toki mają również zastosowanie w nauczaniu umiejętnem, z tą jednak ogromną różnicą, że są wówczas ściśle logiczną dedukcją lub indukcją, nie oglądają się na rzeczy uczniowi znane, a liczą się z bezwzględną systematycznością treści przedmiotu. Między syntezą elementarną zatem a syntezą umiejętną (dedukcją) zachodzi taka różnica, jak między całem nauczaniem elementarnem a nauczaniem umiejętnem.

Przy wyborze toku potrzeba jeszcze pilnie uwzględniać naturę różnych przedmiotów i odróżniać dobrze tok całego przedmiotu od toku pojedynczych lekcij, a w nich od toku pojedynczych prawd. Przy fizyce np. wydajemy sądy o poszczególnych zjawiskach tokiem syntetycznym, idącym w parze z analizą realną, a z roztrząsania owych szczegółowych sądów wnosimy się do zbadania ogólnych praw tokiem analitycznym. Przy nauce poglądu zaś ograniczamy się na analizie realnej, połączonej z tokiem myśli syntetycznym, a zakończamy syntezą realną z tokiem myśli analitycznym, oczywiście o ile chcemy wytworzyć pojęcia, nie zaś proste wyobrażenia.

— Jakto? — zawołają może obrońcy nowych metod dydaktycznych — czy mamy zmieniać całe postępowanie przy nauce? Otóż nie do tej konsekwencji zmierza niniejsza rozprawka. Z chęcią godzimy się na dzisiejszą metodykę wielu przedmiotów, ale pragniemy szczerze, aby zostawiając zresztą ten sam tok, mianować go właściwiej, i usunąć raz z dydaktyki i z podręczników

szkolnych ów niewesoły i niepochlebny zamęt. Dlaczegoż tok myśli analityczny zalecać mamy jako właściwie elementarny, skoro przecież uznajemy w praktyce i w teorii, że np. przed rozpoczęciem wykładu nowej prawdy trzeba jej treść krótko naprzód zapowiedzieć? Czyż nie chcemy przez to nie tylko uwagę dzieci ku tej prawdzie skierować, ale zarazem ich rozum pobudzić do wytworzenia sobie ogólnego, choć jeszcze bardzo niejasnego pojęcia owej prawdy? Czyż nie określamy dokładniej 'następnie owego pojęcia tokiem syntetycznym, wyjaśniając i dodając coraz to nowe znamiona, aż dojdziemy do dokładnej definicyi szczegółowej? Własna praktyka i spokojne zastanowienie niechże już obalą strupieszale pozostałości herbarcyizmu, niech usuną sprzeczności z podręczników i niech nas przekonają, że właśnie tok myśli syntetyczny z reguły naukę elementarną rozpoczynać powinien, a tok myśli analityczny tam tylko i w szkole ludowej jest na miejscu, gdzie od prostego odświeżenia już poznanych przez dzieci definicyj lub sądów rozpoczynamy naukę! Doświadczenie zaś, zrobione z tokiem herbarcyizmu, niech posłuży za wskazówkę, że i w innych rzeczach nie na marzycielskie systemy, ale na jasne postulaty filozofii chrześcijańskiej i na tradycye zdrowej pedagogii narodowej oglądać się nam potrzeba.

Ks. W. Gadowski.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Polska i Europa w drugiej połowie XVIII. wieku. Przez *K. Waliszewskiego*. Wstęp do historii ruchu politycznego w tej epoce. **Kraków 1890.** (W 8-ce, str. X, 577).

W dziele pod tytułem powyższym chodziło autorowi „nie o ogłoszenie nowych zdobyczy naukowych“, lecz tylko „o przygotowanie ram właściwych, perspektywy odpowiedniej i należytego oświecenia“ dla obrazu stosunków politycznych i ich rozwoju w Europie i w Polsce w drugiej połowie zeszłego wieku, „a to dlatego, iż między autorem a większością czytelników jego i krytyków istnieje pewne nieporozumienie. Głównym zaś powodem tego nieporozumienia jest niepamięć pewnych danych już przyswojonych nauce historycznej, ale mniej lub więcej powszechnie traconych z oczu wśród natłoku ciągle nowych zdobyczy naukowych“ (Wstęp, str. IV.). Uprzytomniając te konieczne dla zrozumienia naszej europejskiej przeszłości faktyczne wskazówki, chce on „wpoić czytelnikom przekonanie, że Polska, zanim stać się jej przyszło służebnicą cudzą, nie była pawiem i papugą narodów, lecz że miejsce, zajmowane przez nią pośród europejskiej rodziny, nie było nawet w chwili ostatecznego pogromu ostatniem“ (str. 552). Gdy bowiem w pierwszej połowie naszego wieku „fantastyczny obraz Polski, opromieniony geniuszem pogrobowych wieszczów, pokutował w rozgorączkowanej wyobraźni mas, to obecnie twardsza niż kiedykolwiek rzeczywistość wytrzeźwiła nas z tego „złotego (!) snu św. Salomei“, ale na to niestety, aby pogрузić nas w otchłań bezwzględnej krytycyzmu

i pesymizmu, równie niezgodnego z rzeczywistością, jak niezgodnemi z nią były dawniejsze urojenia“.

Jakto? — zapytaćby można — czy nowa szkoła historyczna, mająca tak bystrych, zdolnych i sumiennych przedstawicieli, jak: Szujskiego, Kalinkę, Bobrzyńskiego, Korzona, Pawińskiego i t. d. i t. d., opierająca swe prace na gruntownem i krytycznem zbadaniu źródeł — nie więcej się zbliżyła w przedstawieniu upadku Polski i jego przyczyn, do rzeczywistej prawdy, jak fantastyczne urojenia poetów? Tak jest, twierdzi p. Waliszewski, „rzeczywistości szukać nam podobno trzeba jeszcze“ (tamże). Doktryna swojskiej szkoły, tak zwanej krakowskiej, cieszącej się dziś największą wziętością, jest niczem więcej, jak syntezą poglądów, zapożyczonych od niemieckich i rosyjskich pisarzy. Tłumaczy to zjawisko bez żadnej trudności upośledzenie polityczne i wyrobione za jego sprawą w naturalnem następstwie poczucie moralnej i intelektualnej niższości naszej. Znalazła się bowiem grupa ludzi, najszlachetniejszego zładnąd moralnego i umysłowego pokroju (ale strasznie płytkiego rozumu, każe się autor domyślać), którym godziwa, a nawet nieodzowną rzeczą zdało się, abyśmy przyjęli moralną i umysłową dyscyplinę z tych rąk, które zdolnemi się okazały do narzucenia nam materialnego jarzma, i szukali mistrzów tam, gdzie p. Waliszewski znalazł zwycięzców (str. 36 i 37). Tak więc Kalinka, na pewnym punkcie dezerterskiej krakowskiej szkoły, która przecież za panią matką powtarza pacierz, dyktowany przez historyografię rosyjską i niemiecką — przypisuje upadek Polski specyficznym ułomnościom naszego charakteru. Korzon (tajny członek zapewne krakowskiej szkoły) widzi przyczyny tego upadku w czysto intelektualnych i moralnych przyczynach. „Obaj powtarzają przytem Sołowiewa, Kostomarowa, Ilowajskiego i de Pule“. I słusznie p. Waliszewskiemu szkoła krakowska krew psuje, bo czyż to nie skandal poprostu, iż dopiero od Hüppego dowiedzieli się krakowscy historycy, że Polska w r. 963 występuje na widownię dziejową, a romańskie i germańskie ludy o pięć i więcej wieków wcześniej! Posługując się zaś cudzą zdobyczą naukową jako swoją, popełnia szkoła krakowska plagiat nie do darowania.

„Nie było jednak — czytamy dalej — zamiarem autora zastrzeżać się *a priori* przeciw faktycznej wymianie pojęć między skojarzonymi światami naukowymi — nauka bowiem i prawda nie należą do żadnej narodowości — to tylko go oburza, że historyografia nasza przejęła głównie cały zasób pojęć, natchnień i tendencyj od historyków, którzy przypisują utwory swe Bismarekowi lub badają dzieje nasze w duchu

czysto rosyjskim, dążącym do zrusyfikowania prowincyj zabranych“. In-nemi słowy, zarzuca autor szkole krakowskiej „bałwochwalstwo wszech-władzy państwowej, wyrobione w szkole, z której na Zachodzie i na Wschodzie wyszli Bismarckowie i Miliutyni, i kult siły. Za tem po-szło uczucie pogardy dla narodu, który nie potrafił wydobyć ze swego łona tego cudotwórczego pierwiastka siły. Może jednak litość należała się biednemu narodowi, który nie sięgnął do tego ideału państwowego, nie dlatego, aby nie chciał, lecz że nie mógł. Jednakże tego założenia nie przyjęła rosyjska i niemiecka szkoła, lękając się konkluzji, że los nasz był niezasłużoną i niesprawiedliwą karą. Ze względów politycznych, nie naukowych, zostaliśmy winowajcami, choć bez udowodnio-nej winy, a nawet z udowodnioną niewinnością, i uczniowie, tj. szkoła krakowska, powtórzyli potulnie *in verba magistrorum*: winowajcy“. Potulność jednak krakowskiej szkoły jest tylko częściowa. Powtarzając za mistrzami rosyjskimi i niemieckimi: „winowajcy!“, mieli krakowscy historycy i własny interes na celu. „Trzeba było jakoby nauczyć nas (galicyjskie społeczeństwo) karności i uległości nie tylko wobec przygo-dnych przedstawicieli władzy i porządku publicznego, ale wobec zaim-prowizowanych politycznych przywódców (tj. stańczyków), bo tego żądała sytuacja i narzucony przez nią program, i trzeba było gwo-li temu postulatowi przekonać nas, że taką karnością tylko i uległością stoją narody i takiej uległości brakiem przyprawiają się o zgubę“. Je-dnem słowem, krakowska szkoła (wedle autora, tutaj identyczna ze stronnictwem stańczyków) „uczyniła historię nie tylko mistrzynią, ale współniczką polityki“.

„Dopomógł szkole krakowskiej do wyzyskiwania historii w tym sensie jeden więcej nabytek z niemieckiej szkoły: metoda, polegająca na przemyślnem wtłaczaniu faktów w przygotowane dla nich ramy. Kto tej metody nie posiada, przez szkołę krakowską odsądzony bywa od miana historyka (str. 39). Zapomocą tejże metody szkoła krako-wska obejmuje wspaniałość złotej Zygmuntowskiej epoki, tryumfy cywili-zacyjne unii i chwałę Batorowych czasów, w jedno błędne koło fatalnie powiązanych czynników rozstroju politycznego, rozkładu i upadku“.

„Szujski nie odrazu doszedł do ponurych rezultatów krakowskiej szkoły, dopiero doktrynerya(?) podjęła na nim kuracyjny proces, i tak wreszcie uporał się Szujski z własnymi instynktami, które w r. 1866 warowały Polakom rolę bodaj ewangelicznego ziarnka gorczycznego wśród grożącego Europie kataklizmu, po kuracyi zaś stłumione, usta-piły miejsca zasadzie, że owa idea wolności była kłamstwem, istotą

zaś niewola i swawola“. Biedny mistrz! Nauka zatem, głębokie studia historyczne, długoletnie badania pozbawiły go, wedle p. Waliszewskiego, zdrowych poglądów, jakie posiadał na początku swego zawodu historycznego!

Zdaje się, że główną przyczyną tego smutnego procesu w duchowym rozwoju mistrza była owa nieszczęsna metoda historyzoficzna, „przejęta od niemieckich i rosyjskich nauczycieli, której już bezwzględnie hołdują epigonowie Szujskiego“, a mianowicie p. Bobrzyński. To też na tym ostatnim głównie się skrupiło w dziele p. Waliszewskiego. Wykazuje się mu „odstępstwo od powszednich trybów rozumowania“, zaprzecza się jednak i pod tym względem oryginalności, „albowiem brak tej logiki odnajduje się zarówno w niemieckich i rosyjskich wzorach, jak w dziełach Hüppego i Kostomarowa“. Otóż p. Bobrzyński bierze „z ręki niemieckich oprawców Prokustowe (!) łoże, brutalną nieczułość ujęcia dostaje od moskiewskich, i tak w ortopedycznym aparacie operuje w straszliwy sposób nasze dzieje. Słychać jęki, krew ciecze, ale mniejsza o to. Gdzie obcegi nie wystarczą, bierze nóż i kraje, wyrzuca unie, to fatalne narzędzie dezorganizacji, i złoty wiek Zygmuntowski, tę epokę młodocianych porywów i niebezpiecznych igraszek, wyrzuca Brześć i Lublin, Kluszyń i Kirchholm, Chocim i Wiedeń, wyrzuca Żółkiewskich, Sobieskich, podobno samego Batorego: nie trzeba, aby i wielka historyczna postać jakakolwiek ostała się pod nożem. I tym sposobem osiąga się pożądaný rezultat, wyłamany, skurczony pacjent wygląda jak wyglądać powinien, z podobieństwem do kauczkowego pajaca, któremu kazano naśladować ruchy ludzkie“ i t. d.

Przerywamy drastyczny tok tej polemiki, której nie brak nawet dramatyczności (dialog operatora z pacjentem, str. 49); konstatujemy tylko fakt, że polemika ta jest jaskrawym wyrazem opinii naszej emigracji z r. 1863 i jej zwolenników o „Dziejach Polski w zarysie“. Jeżeli jednak wielka część tych wygnańców, którzy w najlepszej wierze za oręż w sprawie ojczyzny chwycili, nie szczędzili krwi i mienia, następnie zaś kraj opuścić musieli; jeżeli ci, oderwani od swoich, na obczyźnie chowając w sercach swych idealny obraz Polski, słusznie czy niesłusznie, ale instynktowo oburzają się na każdego, kto naszą przeszłość niezgodnie z ich wymarzoną idealną kreśli — łatwe to do zrozumienia, łatwe do darowania; jeżeli jednak historyk lub człowiek, mający pretensję uchodzić za takiego, mający sposobność i obowiązek sumiennego i gruntownego zbadania spraw, które wyświecić usiłuje, takie rzeczy pisze, to czegoż to może być świadectwem? Nie dziwi nas też, że po-

ważne pismo naukowe, jak *Kwartalnik historyczny*, tego rodzaju rzeczy przyjmować nie może, nie dziwi, że Zjazd historyków polskich we Lwowie referatów tej treści, jaką zawiera dziewięć pierwszych paragrafów niniejszej książki, dopuścić pod obrady nie chciał.

Jaką jednak drogą dochodzi p. Waliszewski do owych śmiałych sądów? Oto metodą ortopedyczną własnego wynalazku, jakkolwiek takową innym przypisuje. Wyrwa pojedyncze ustępy, zdania, nawet wyrazy z dzieła przeciwnika, bez uwzględnienia całości, modeluje odpowiednio i potem zwalcza lub wyszydza z tryumfem. Oto dla przykładu. Pisze p. Bobrzyński („Dzieje Polski w zarysie“. T. II. 339): „Cała nasza historia od XVI. w. robi też wrażenie raczej młodocianych porywów i niebezpiecznych igraszek, niż dojrzałej pracy i męskich zapasów“. „Nie znała jednak Polska do zgonu Zygmunta Augusta pustej chępliwości“, jaka później ją cechuje, ... „garnęła się z całą usilnością do cywilizowanego Zachodu“, ... „nie obawialiśmy się przyjąć obcych żywiołów, bo czuliśmy siłę naszego życia, które je na swoją korzyść obracało“ ... „Czy za Wstydliwego, czy za Kazimierza, czy za Jagielly, czy za Zygmunta, widzimy naród chwytający się oburącz ciężkiej i twardej wewnętrznej pracy, która zawsze najśrodsze wetowała kłęski“ (t. II. 351). Z tego robi p. Waliszewski: „Wyrzuca się wiek Zygmuntowski, tę epokę młodocianych porywów i niebezpiecznych igraszek“.

Czytamy w „Dziejach Polski w zarysie“: „Błysnął geniusz Batorego, ale tylko na chwilę, stworzył dzielniejszych ludzi, ale nie miał dość czasu, ażeby stworzyć lepsze instytucje“. Na innym miejscu: „Jakiż to przykład niespożyty stanowią dla nas rządy Kazimierza..., rządy Batorego, strącającego możnowładczą butę! Rządom tym dzieje nasze zawdzięczają najświetniejsze karty“ ... (T. II. 340, 350). P. Waliszewski przerabia to na: „Wyrzuca się podobno nawet samego Batorego: nie trzeba, aby i wielka historyczna postać ostała się pod nożem“. „I tym sposobem osiąga się pożądaný rezultat“: możnaby własne autora słowa przeciw niemu cytować; tym sposobem udowadnia się innym (Kaliniec np. na str. 538 w sprawie Kołłątaja) „odstępstwo od powszednich trybów rozumowania“.

„Teza — twierdzi p. W. — o moralnej odpowiedzialności naszej wobec faktów, wobec których niepczytalność nasza stwierdzoną zostaje najwyraźniej przez p. B., nie przedstawia nawet naukowego charakteru. Sama bowiem unia z Litwą, jedyne ze wskazanych narzędzi naszego upadku, przedstawione nam zostaje jako niezależne od woli

naszej i nieuniknione fatum, narzucone nam przez geograficzne i polityczne położenie nasze, wobec groźnej nawały germańskiej: Nie mogliśmy się ostać bez tej unii, która nas strawiła“ (!) (str. 32)¹. „Jednak los temu nie winien, co nas spotkało, ani winni sąsiedzi“. „W nas samych, w błędach i grzechach naszych winniśmy szukać istotnej przyczyny naszego nieszczęścia“, twierdzi p. B. (str. 44 i 43). Tego właśnie p. W. żadną miarą zrozumieć nie chce, a jednak, gdyby był dosłownie przytoczył słowa p. Bobrzyńskiego, wątpię, czyby który z czytelników mógł się w nich odstępstwa od zdrowej logiki dopatrzyć.

„Oparliśmy się — powiada autor „Dziejów Polski w zarysie“ (T. II. 332) — pokusie, której wielu historyków uległo: usprawiedliwienia naszych błędów, uniewinnienia anarchii przyczynami od nas niezależnymi. Było ich niewątpliwie немало“. Wystąpiliśmy o pięć wieków później od zachodnich narodów na widownię dziejową. Z przecięciem dróg handlowych przez Turków, handel wyszukał sobie nowe szlaki poprzez oceany, bogacąc przez to Zachód. Unia z Litwą rozprzyszyła nasze siły w cywilizacyjnej pracy na tych obszarach. Opatrzność poskapiła nam prawdziwie wielkich mężów stanu w ostatnich wiekach naszego istnienia. „A jednak — kończy p. B. — wszystkie te wielkie przyczyny mogą nas tylko tłumaczyć, nie mogą usprawiedliwić, bo niepodobna nam, mimo wszelkich niekorzystnych przypadków i wpływów, przyznać, że anarchia była rzeczą konieczną i nieodzowną, że idący za nią upadek polityczny był zdarzeniem nie dającym się uchylić. Może próżność i zaślepienie dyktantów uznać naród za martwą i tylko zewnętrznymi wpływami kierowaną bryłę, ale nie może tego stanowiska zająć historyk, który patrząc nieco szerzej na świat, widzi, jak naród ten siłą i wolą zbiorową swoich jednostek myśli i postanawia, działa i walczy, a za każdy swój czyn w dalszym swoim rozwoju odpowiada“ (T. II. 340).

Na to właśnie p. W. zgodzić się nie chce. Kwestyonuje, czy zarzut przewinienia zastosowany być może wogóle do istot zbiorowych (str. 33). Przeczy, aby formy bytu i kierunki rozwoju były dla organizmów społecznych rzeczą swobodnego zupełnie wyboru (str. 62). Przeczając, aby organizm nasz polityczny już w r. 1573 przedzierzgnął się w mumię polityczną, twierdzi, że rozwija się on po rok 1711 (str. 53). „Rozprzega się zaś dopiero wskutek wycieńczenia przez

¹ „Dzieje Polski w zarysie“, II, str. 338, mamy: „Unia nas wewnętrznie trawiła“.

ogólne sił nadużycie. Szlachta bowiem, która chciała skupić wszystko w swem ręku, widzi, że nie podola zadaniu i uchyla się od niego. Ruch ten szlachecki jest jednostronnym, ujemnym, zgubnym, prowadzącym bezpośrednio do anarchii, a pośrednio do osłabienia i upadku" (str. 129). Zatem bez naszej woli i winy skazani byliśmy przez Opatrzność na anarchię i upadek, bo kierunek rozwoju nie jest rzeczą swobodnego wyboru. „Natura nasza kazała się nam rozwijać w kształcie rozłożystego dębu polskiego, nie zaś sztywnej sosny pruskiej lub strzyżonej francuskiej grabiny" (str. 63). „Ponieważ zaś, wedle objawienia Herdera, każdy naród ma w sobie punkt ciężkości i według własnych założeń sądzonym być winien, niemożliwe zdaje się być w sferze naukowej przymierzanie czyichkolwiek sposobów istnienia i rozwijania się, do jakiegokolwiek szablonu dowolnie obranego" (str. 33). Szablonem zatem dowolnie obranym, jest, wedle p. W., rząd silny, są regularne podatki i dostateczna obrona kraju; sposobem zaś istnienia i rozwijania się organicznego jest nasza krańcowa decentralizacya, wiodąca do anarchii i upadku. — Konkluzyi takiej, wynikającej z poprzednich tez, atoli p. W. nie przyjmuje. Polemizując bowiem z p. Pawińskim na str. 150 o nadmierny rozwój naszego szlacheckiego gminowładztwa, twierdzi, że „rozszerzenie atrybucyj sejmikowych nie jest bynajmniej równoważnikiem organicznego rozwoju"; potępia ową „bezludną, bezradną i bezzilną gromadę sejmikową, która nie zdobyła się na wytworzenie w swem łonie jakiegoś zawiązku praktyczniejszej organizacyi". W Sorela jednak dziele: *L'Europe et la Révolution française*, głównem źródle swych przelicznych cytat, odnajduje autor¹, iż „Prusy do upadku przywiodła centralizacya, której brak w pojęciu większej liczby historyków przypisał nas samych o upadek". „Co je ocaliło, to obecność tych niewytępionych jeszcze pierwiastków lokalnego samorządu, którym ci historycy przypisują najzgubniejszą rolę w katastrofie naszych losów". Wobec powagi Sorela, nie ulegającej zaprzeczeniu, uważa p. Waliszewski tezę tę za słuszną, wbrew ustalonym dziś w krytyce naszej historycznej aksjomatom (str. 283).

Napozór więc aksjomata krakowskiej szkoły doznały zupełnego *dementi* ze strony pana W. Niestety, zdaje mi się, że pojęcia: „centralizacya Fryderyka II." i „rząd silny" nie są koniecznienie identyczne, a jeszcze mniej „lokalny samorząd" i „bezludność lub

¹ Sorel i. 499.

bezradność sejmikowa“, jak sam p. W. scharakteryzował organ polskiego samorządu.

Obalwszy w ten sposób dwie tezy o moralnej odpowiedzialności naszej i odstępie dziejów naszych od pewnych, za normalne i doskonale uznanych praw organicznego bytu i rozwoju, podnosi autor na ciemnem tle europejskich stosunków nasze dodatnie strony.

Podczas gdy celem polityki europejskiej było powiększanie się kosztem drugich, panuje, wedle pana W., u nas wstręt przed wojną zaborczą (str. 97). „Ci wszyscy, którzy napaści czynią na ziemię obcą, są burzycielami świata i nieprzyjaciółmi ludzkiego plemienia“ — pisze Staszic, kładąc własne słowa w usta Zamoyskiemu. Mąż stanu nasz XVI. wieku i filozof nasz XVIII. w. jedno o tym przedmiocie trzymają i jednym przemawiają językiem: „Ustanówmy wojsko dla bezpieczeństwa naszej granicy, nie dla najeżdżania cudzej“. „Oto teza, której przez dziewięć wieków bronimy przed Europą i w której obronie kładziemy głowę“ — dodaje ze swej strony autor; przemilcza jednak, żeśmy nawet i tego nie wypełnili, bośmy dla bezpieczeństwa naszych granic dostatecznego wojska nie posiadali i dopiero wobec grozy rozbiórów Sejm czteroletni ustanawia tę obronę krajową, niestety na papierze. Tezy tej nie broniliśmy, jak chce autor, przez dziewięć wieków, bośmy w pierwszych wiekach naszego istnienia tak samo zaczepnie występowali, jak nasi zachodni sąsiedzi; w ostatnich zaś dwóch wiekach dopiero wytworzyliśmy sobie tę tezę, aby czemś przecie upozorować nasze domatorstwo, gnuśność i wygodę. Przedstawiając w jaskrawych barwach zaborczość polityki potęg europejskich w XVIII. w., dodaje autor: „Do tej Europy należeć inaczej jak w roli kozła ofiarnego, nie było nam danem. Cały program naszego dziejowego zawodu, wszystkie instynkta, dążenia i tradycje nasze, wykluczyły nas od politycznej solidarności w tym względzie z otaczającym nas światem, nawet wtedy, kiedy nie wyrzekliśmy się jeszcze czynnego udziału w jego sprawach. Nawet wtedy wszędzie, gdzie występujemy poza domowymi programami naszymi, jesteśmy tymi samymi, co w domu, niesiemy to, co Bóg w nas włożył, dobrego czy złego (!), całego ducha naszego, całą wiarę naszą i cały nietknięty nasz honor narodowy. Jestto może nie-szczęściem naszym; śmiem dodać, że i naszą chlubą... Przyszedł czas, w którym program nasz historyczny stał się dziwowiskiem w Europie, w którym instynkta, dążenia i tradycje nasze spotkały się z walnym dokoła nas tryumfem wręcz przeciwnych natchnień i tendencji, musieliśmy wtedy paść ofiarą. Ale czasy zmieniają się i zmieniają się prądy

wiatrów. Niektóre z pomiędzy idei i ideałów, którym hołdowaliśmy i którym składamy dotąd krwawy okup, miały już przed nami męczenników, ale i zwycięskich późniejszych wyznawców“ (str. 211). Jednem słowem, z naszymi zasadami „wobec zbrodniczego bandytyzmu Europy wyglądamy jak stado białych gołąbków wobec gromady czarnych sępów“.

Bez wątpienia, zabobrozości i cynizmu Fryderyków i Katarzyn nie posiadał żaden polski mąż stanu; czy jednak ta nasza bezinteresowność polityczna na zewnątrz była wyrazem wysokiego nastroju moralnego wśród społeczeństwa polskiego, wątpić należy wobec ponurego obrazu stosunków wewnętrznych. Jest ona „wygodnym płaszczykiem do okrywania“ braku ducha publicznego, egoizmu zaściankowego wśród „narodu warchołów i mazgajów politycznych“, jak go na str. 227 autor nazwać zechciał.

W ten sposób idealizuje i poetyzuje autor przeszłość naszą tak samo, jak to społeczeństwo, któremu zarzuca (na str. 100) brak trzeźwości i oszukiwanie się przez ideały. Usuwając pierwiastek wolnej woli i odpowiedzialności z naszych dziejów, a przypisując przyczyny upadku naszego to przeznaczeniu, to geniuszowi narodowemu, który tak, a nie inaczej rozwijać się musiał, czyni i odrodzenie nasze nie od nas samych, lecz od nieobliczalnych prądów czasu zawisłem. Pojmowanie takie historyi, jakkolwiek dzisiaj bardzo rozpowszechnione, jest tak samo fałszywe i szkodliwe, jak ów determinizm pozytywistów i materyalistów, który wyklucza pierwiastek wolnej woli z działalności jednostki.

Niemniej przeto praca p. Waliszewskiego zasługuje na baczną uwagę. Nie brak w niej bystrych uwag, cenić trzeba ogrom pracy; przedewszystkiem zaś, jako pierwszy w swoim rodzaju obraz synoptyczny teorii i praktyki politycznej w Polsce i w Europie, jest ona cennym nabytkiem dla każdego, kto sobie prawdziwy sąd o naszym upadku wyrobić pragnie.

Tylko na tle obszernem europejskich stosunków zrozumiałe się stają nasze dzieje, i tylko w ten sposób straszny upadek nasz wśród otoczenia niemniej ponurego traci na swej grozie. Wszędzie w przededniu rewolucyi widocznem jest owo Hamletowe: „Coś się psuje w państwie duńskiem“ — a jeżeli u nas jest źle i bardzo źle, to pod niejednym względem u innych było gorzej. A jednak, mimo uderzających częstokroć podobieństw między objawami politycznego i społecznego życia u nas i w innych krajach, jest coś, co nas stanowczo wyróżnia od innych; jest to, co sprawia, że naród np. angielski święci wyzdro-

wienie swego szalonego króla Jerzego III. iluminacją, naród zaś polski każe swemu zbawcy, Janowi Kazimierzowi, umierać na obczyźnie. Ten brak uszanowania władzy, ten duch bezkarności i swawoli nigdzie się w takiej potęgze i tak długo nie objawia, jak u nas. Upadliśmy, bo naród szlachecki oślepiiony fantasmagorią złotej wolności, mimo napomnień Opatrzności i chwilowego zwrotu ku dobremu podczas konfederacji tyszwowieckiej, wyrzec się tej wygodnej dla jednostek swawoli nie chciał.

Z pierwszej części dzieła p. Waliszewskiego, przedstawiającej obraz stosunków europejskich przed wielką rewolucją, wynika, iż upadek nasz był nieuchronny przy naszym rozprzężeniu wobec machiawelskiej polityki mocarstw europejskich, podtrzymujących naszą anarchię; w drugiej części, omawiając ruch reformatorsko-rewolucyjny, wykazuje autor, że przeważna część narodu przejrzała i wszelkimi siłami starając się główne wady ustroju politycznego i społecznego usunąć, względnie dodatnie osiąga rezultaty, i to w przeciwieństwie do narodów zachodnich, gdzie zawierucha rewolucyjna albo niszczy kiełkujące owoce reform, lub wywołuje reakcję przeciwko nim. Tylko interwencja obca znowu udaremniła usiłowania chwalebne narodu polskiego, dążącego do odrodzenia się.

Jeżeli pomysł takiego porównawczego bilansu dziejowego nazwalimy bardzo szczęśliwym, to wykonanie jego w dziele niniejszem niejedno pozostawia do życzenia.

Brak przejrzystości przedewszystkiem dotkliwie w niem daje się czuć. Czytelnik gubi się w mnóstwie szczegółów, polemik i cytatów. Ale też materyał, czerpany z 400 przeszło dzieł z kilku archiwów, niełatwo da się opanować. Polemiczna żyłka autora zbyt często to na lewo, to na prawo każe mu ciosy wydzielać, bez korzyści najmniejszej dla całości. Cóż bowiem zyskuje obraz stosunków XVIII. wieku przez długi polemiczny wywód (str. 316 i nast.), że nie Anglia jest przodowniczką w ruchu reformatorsko-rewolucyjnym, lecz Francja już w XVI. wieku? Praktycznej doniosłości odkrycie takie tem bardziej nie posiada, że ruch ten przedwczesny we Francyi, kompletne we Frondzie poniósł bankructwo i dopiero z Anglii przeniesiony w początku XVIII. wieku, odżył nanowo. Tak samo polemika z Kalinką o Kołłątaja, pominąwszy już faktyczną jej stronę, przekracza bezwarunkowo ramy zakresłonego zgóry obrazu (str. 535—545).

Wogóle, jakkolwiek analogie, wyszukiwane przez autora między polskimi a zachodnio-europejskimi stosunkami, „ludzą zdaleka powierz-

chownem podobieństwem, podobieństwo rozchwiewa się, skoro formy na bok odkładając, sięgniemy do treści“. Russa np. teorye polityczne wykazują, zdaniem autora, takie pokrewieństwo z naszym życiem publicznem, iż wątpić można, czy ta solidarność duchowa może być przypadkową. Mniejsza o to, czy wywody pana W., starającego się wykazać wpływ naszych urządzeń na poglądy filozofa genewskiego, są słuszne; ta tylko radykalna istnieje różnica między Russa teorią a naszym życiem społecznem, że u pierwszego społeczeństwo, lud, to wszystkie jednostki bez wyjątku — u nas zaś narodem jest garstka uprzywilejowanych jednostek szlacheckich. Gdzież tu podobieństwo z poglądami Russa, który twierdzi, iż bezpieczeństwo ogółu jest niczem, jeżeli wolność pojedynczych jednostek nie jest zabezpieczoną. Takich przykładów moglibyśmy wiele więcej przytoczyć.

Pod względem czysto formalnym praca pana W. wykazuje dość znaczną liczbę błędów i usterek; zapewne zbyt ni pośpiech nie pozwolił autorowi dostatecznie materyał zebrany opanować, zgłębić i w odpowiednią ubrać szatę. Z korzyścią bez wątpienia dla naszego dziejopisarstwa i dla sławy autora byłoby, gdyby w zapowiedzianej przez siebie nowej pracy na większą ostrożność w sądach, większą przedmiotowość i lepsze wykonanie się zdobył.

Dr. K. Krotoski.

Praktyczny podręcznik gramatyki języka polskiego dla młodzieży szkolnej. Ułożył *ks. W. Cz.* Nakład autora. Kraków. Gebethner i Spółka. 1891. (Str. 176, VIII, 3 nl.).

Książka powyższa przeznaczona jest, jak się dowiadujemy z przedmowy, dla tych, dla których mowa polska nigdy nie była lub przestała być mową ojczystą, domową, rodzinną, oraz dla tych, którzy wskutek długiego obcowania z innymi szczepami słowiańskimi, skazili swój język. Nie jest ona napisaną dla początkujących, lecz dla nauczycieli i młodzieży dojrzałej, oswojonej już z terminologią gramatyczną. Dotychczasowe podręczniki nie zadowalniają autora, grzeszą bowiem, zdaniem jego, najpierw tem, że nie uwzględniają podobieństwa i różnicy języka polskiego z rosyjskim, powtóre tem, że nie podają nigdy całkowitego spisu „wyjątków“. Pragnienie zaradzenia tym niedostatkom, pobudziło autora do napisania niniejszego podręcznika. Usunął on z niego — jak powiada — właściwą erudycję, nietylę na pochodzenie, ile na zewnętrzną postać słowa zwracając uwagę. Kierował się w tem względami czysto praktycznej natury. Tyle wstęp.

Zobaczmy, jak autor wywiązał się ze swego zadania.

Książka przeznaczona jest dla młodzieży, oswojonej z terminologią gramatyczną. Wobec tego zupełnie zbyteczne są niektóre rzeczy, zawarte w książce, np. definicje części mowy lub wyliczenie pytań, na które odpowiadają przypadki. Zarzut co do nieuwzględniania języka rosyjskiego, jest dziwny. Jeżeli autor robi go badaczom języka polskiego, to jest w błędzie, bo badanie historyczno-porównawcze uwzględniają ten język już oddawna narówni z innymi językami słowiańskimi, które zresztą w równym lub nawet w wyższym stopniu niż rosyjski, przyczyniają się do wyjaśnienia wielu zjawisk języka polskiego; jeżeli autor miał na myśli podręczniki szkolne, to te przecież w zestawienia porównawcze bawić się nie mogą. Co do spisu „wyjątków“, przyznać trzeba, że autor usiłował być wyczerpującym; pod tym względem książka jego jest pożądanym zbiorem materiałów dla niejednej kwestyi. Mniej zadowalnia książka pod względem naukowym. Względy praktyczne, dla których autor poświęcił stronę umiejętną, pomściły się na nim srogo. Badań historyczno-porównawczych nie uwzględnia on niemal zupełnie, a przecież na nich opierać się musi dzisiaj nietylko kompendyum ściśle umiejętnie, ale i podręcznik szkolny. Dosyć powiedzieć, że autor nie uwzględnia języka starsłowiańskiego, a dawniejsze epoki języka polskiego tylko wyjątkowo. Wiele twierdzeń jego nie zgadza się przeto z faktycznym stanem rzeczy. Przytoczmy tu tylko niektóre. Na str. 4 autor powiada o samogłoskach nosowych: „Inne słowiańskie narzecza takich dźwięków nie mają(?). Starsłowiański posiadał je, ale zatracił ich wymawianie(?). Z europejskich języków obecnie jeden tylko francuski ma dźwięki *a*, *ę*“ (Autor nie wie widocznie, że najbogatszy zasób dźwięków nosowych ma dziś język portugalski). Stosunek *a* do *ę* w formach jak: *błąd* - *błędu*, *względ* - *względu*, *ręka* - *rąk* i t. d., autor określa jako „nieprawidłową przemianę *a* na *ę*“. Podobne, czysto zewnętrzne określenie zawiera § 22: „Samogłoski *a*, *o*, *ó* przechodzą w samogłoskę *e*, skoro się znajdują między dwiema zmiękczonej spółgłoskami, np. *anioł* - *anieli* i t. d.“. Do wyjątków od tej reguły zaliczono: *blacha* - *blasze*, a nawet *szufladu* - *adzie*, gdzie *a* jest przecież pierwotne. Na poparcie twierdzenia, że *g* przechodzi w *dz*, autor przytacza błędnie: *módz*. Podobnie błędne jest twierdzenie, że *k* przechodzi wyjątkowo w *s*, *sz* w wyrazach: *ptasi*, *ptaszyna*, *ptaszek*; wyrazy te urobione są nie od *ptak*, lecz od zaginionego **ptach*. Wyrazy: *jabłuszko*, *garnuszek*, *grzebuszek* są zdrobniałymi, utworzonymi nie wprost od *jabłko*, *garnek*, *grzebyk*, lecz po

odrzuconiu sufiksu przybrały to zakończenie, nawzór innych rzeczowników podobnie się kończących. Mówiąc o akcencie, który autor błędnie nazywa „prozodyą“ lub „iloczasem“, stawia on fałszywą regułę, że akcent polski zasadza się na tem, że przedostatnia zgłoska jest zawsze długą. Cały ten ustęp, mieszający pojęcie akcentu z pojęciem iloczasu, jest wskutek tego błędnym. Niemniej liczne usterki wykazuje nauka o fleksyi. Przy rzeczownikach rodzaju męskiego czytamy, że przyp. 7-my równa się 5-mu, co jest błędne, jak nas przekonywa pierwszy lepszy rzeczownik (np. o człowiecze! - w człowieku). Autor usiłuje wykazać, że rodzaj każdego rzeczownika jest w ścisłym związku z zakończeniem, że np. rzeczowniki na *a* są żeńskie, na *b* męskie, na *c* męskie, na *ć* i *ś* żeńskie, na *dz* męskie i t. d., i układa całą tabelę rzeczowników, o których rodzaju rozstrzyga zakończenie. Zmuszony jest jednak przy tem postępowaniu przyjmować przy każdym niemal prawie cały szereg wyjątków; wyjątki te są często kilkakroć liczniejsze niż wyrazy regularne. Usiłowanie autora jest oczywista chybione. Nie wiadomo czemu potępionemi zostały formy, jak: *koziół*, *kociół*, *osiół* (str. 41), a uprawnionemi jedynie: *kozieł*, *kocięł*, *osieł*. Zdumiewajacem jest, że autor zdaje się uważać wyrazy: *przechodzień* i *przychodzień* za złożone z wyrazu *dzień* (str. 42 i 54). Błędnem jest mniemanie, jakoby nazwy: *Kraków*, *Lwów* i inne kończyły się dawniej na *o* (*Krakowo*, *Lwowo*) i były nijakiego rodzaju. Nie wiem, dlaczego autor dopuszcza i uprawnia formę: *okręta* (str. 47). Wyraz: *otchłan* nie jest w związku z *tchnąć*, *tchu*, lecz złożony jest z przyimka *ot* (w pierwotnej formie, zachowanej jeszcze w *ot-ręby*, *ot-wierać*) i *chłan* (por. *chlonać*). Odmiana wyrazu *dech*, *tchu* wydaje się autorowi nieprawidłową, *oddech*, *oddechu* prawidłową; rzecz ma się raczej przeciwnie. Dualis *ręce* od *ręka* autor uważa za nieprawidłowe pluralis. Wyraz *idea* nie ma, według autora, gen. pl.; czyż nie można powiedzieć: *tych idei*? *Album* bywa obok rodz. męskiego także rodz. nijakiego. Błędnem jest twierdzenie, jakoby przymiotniki: *piękny*, *dobry*, *mężny* utworzone były od rzeczowników: *piękność*, *dobroć*, *męstwo*; twierdzenie to należałoby odwrócić. Do imiesłowów czasu przeszłego strony biernej zaliczono niewłaściwie: *wiadomy*, *widomy*, *zmarły*. Pierwsze dwa są imiesłowami czasu teraźn. strony biernej, ostatni imiesłowem czasu przeszł. strony czynnej (podobnie: *zeszły* str. 112). Objasnienie stosunku *ow* do *u* w formach jak: *rysować* - *rysuję*, nie jest trafne; autor przypuszcza tu działanie analogii, mianowicie wpływ *u* sufiksu *unek* (*rachunek* - *rachuję*); tymczasem wymiana *ow* - *u* jest już indo-euro-

pejską (**sunus* : **sunoves*). Określenie, że *a* form jak: *wziąłem*, zamienia się na *ę* w *wzięta*, nie jest naukowem. Słowa jak: *pieścić*, *łudzić*, *marzyć* nie są słowami pierwotnemi. Nie można mówić, że w staropolskiem było *przybieżec* zam. *przybiec*, *bieżał* zam. *biegł*; formy owe pochodziły od *bieżec*, nie od *biec*. Wielką rolę odgrywa u autora skracanie; niem pomaga sobie w rozmaitych trudnościach, jakby istnem panaceum: *mię*, *cię*, *się* skrócone są z *mnie*, *ciebie*, *siebie* (str. 7), *dwujęzyczny* z *dwóchjęzyczny* (str. 10), abl. *czasy* jest formą skróconą z *czasami*, *gośćmi* z *gośćcami*, przymiotniki: *godzien*, *pełen*, *zdrów*, *syty* i t. d. są skrócone z *godny*, *pełny*, *zdrowy*, *syty*; *rość* z *rosnąć*, *rzec* z *rzeknąć*, *biec* z *biegnąć*. Nie potrzeba wspominać, że jestto objaśnienie zupełnie fałszywe. Znajdujemy mnóstwo innych niedokładności i błędnych twierdzeń. *Kontent*, *kalendarz* nie są przyswojone z francuskiego — jak twierdzi autor; — *imbier*, *impet*, *imbryczek* nie są wyrazami swojskimi; *pasorzyt* piszemy (nie *pasozżył*), bo to pochodzi z *parasitus*; *hrabia* przyswojone jest z czeskiego; *ksiądz*, *książę*, *aksamit* nie są wyrazami czysto polskimi. Zamiast ułatwiać, utrudniają tylko naukę reguły w rodzaju następującej: „Przez *ż* (nie *rz*) piszą się wszystkie sylaby, zaczynające się od: *ża*, *żo*, *żu*, *ży*, np. *żagiel* i t. d.“. Autor musi oczywiście przyjmować zaraz mnóstwo wyjątków: *rzucić*, *rzadki* i t. d. Reguł podobnych, czysto mechanicznych, znajdujemy w książce mnóstwo.

W kwestiach ortografii, autor jest stanowczym konserwatystą. Zwykle jednak przy tem węzła nie rozwiązuje, lecz rozcina, mówiąc krótko: Prawidło to lub owo przyjęło się i oko nasze tak się z tą pisownią oswoiło, że niepraktycznie byłoby nową wprowadzać zmianę (por. str. 73). Pisownia infinitiwów przez *c* jest dlań „nowością rażącą niemiłe oko“. Ztąd autor woli „zachować uświęconą zwyczajem formę dawną, chociażby mniej racjonalną, trzymając się zasady: *usus norma loquendi et scribendi*“. Jak dalece autor nie jest samodzielnym, jak nieraz nie rozumie kwestyi, a opiera się tylko na innych gramatykach, dowodzi ustęp, który tu przytoczymy: „Tryb bezokoliczny słów: *strzedz*, *strzydz*, *módz*, *ledz*, *biedz* pisano zawsze przez *dz*, na tej zasadzie, że *g*, dające się czuć w konjugacji tych słów: *mogę*, *moga*, *mogący*, *mogłem* i t. d. przechodzić może tylko w *dz* lub *z* (możesz, strzyżesz), nigdy zaś w *c*. W ostatnich dopiero czasach zaczęła przeważać wśród gramatyków dążność do wprowadzenia form: *strzec*, *strzyc*, *móc*, *lec*, *biec*. Za tem zdaniem przemawia Małecki, opierając je na tem, że to jest skrócona forma od (*sic!*) pierwotnej, starożytnej: *strzegć*, *strzygć*, *mógć*, *legć*, *biegć*, z której *g* wypadło z czasem“ (str. 25 i 26).

Oczywista i pisownia *strzedz* i cytowane wyjaśnienie Małeckiego są równie błędne. Pierwotne **mokti* (powstałe z **mogti*) przeszło w języku starosłowiańskim na *moszti*, w języku polskim na *moci* (nie: *moći*), z którego pod wpływem akcentu powstało *móc*. Przejście było tu takie samo, jak w starosłow. *noszt'*, pol. *noc* w stosunku do litewskiego *naktis*, łac. gen. *noctis*. Jak piszemy: *noc*, nie *nodz*, tak powinniśmy też pisać: *móc*, bo w obu tych formach działało to samo prawo głosowe.

Ta sama niesamodzielność autora widoczna jest i w innych miejscach. Na dowód przytoczymy, jak autor traktuje kwestyę abl. sing. przymiotników rodz. męskiego i nijakiego. Każe on tu pisać w rodzaju męskim *ym*, *im*, w rodzaju nijakim *ém*, *iém* i dodaje: „Małecki utrzymuje, że różnica między końcówkami *ym*, *ymi*, a *ém*, *émi*, dopiero przed stu laty przez Kopczyńskiego do pisowni naszej wprowadzoną została, bo śladów takowej w dawniejszych drukach odszukać się nie udało, i na tej zasadzie radzi powrócić do pierwotnej jednostajności i pisać zarówno: *z tym chłopcem*, jak *z tym dzieckiem*, *z tymi pocztowymi mężami*, jak *z tymi starymi kobietami*, *z tymi swawolnymi dziećmi*. Jakkolwiek rzecz się miała (*sic!*), prawidło stworzone przez Kopczyńskiego tak się dobrze przyjęło i oko nasze tak się z tą pisownią oswoiło, że niepraktycznie byłoby nową zaprowadzać zmianę“ (str. 73).

Podobną obojętność wobec uzasadnionych nawet argumentów przeciwników okazuje autor w sprawie pisowni wyrazów na *yja*, *ija*. Czytamy tutaj: „Kwestya ta dzieli gramatyków na dwa obozy. Jedni chcą jotę widzieć wszędzie, nawet w wyrazach swojskich, zaczynających się od *i*, i każą pisać: *jigła*, *Maryja* i t. d.; drudzy, w tej liczbie Ant. Małecki, dążą do ograniczenia użycia joty i piszą: *racya*, *lilia* i t. d. Nie wchodząc w rozbiór powodów, jakie obie strony przytaczają, skłaniamy się osobiście na stronę profesora Małeckiego, dopóki Akademia krakowska kwestyi stanowczo nie rozstrzygnie, choć przyznajemy, że taka pisownia nie zupełnie się zgadza z wymawianiem. Nie można jednak uważać za błąd pisowni: *lilija* i t. d.“ (str. 20).

Przez analogię autor każe pisać przez *s* także przymiotniki: *bliżki*, *ślizki*, *grzązki*, *wązki*, *nizki*. Rzeczownik *Francuzka* pisze się podług niego przez *z*, dla odróżnienia od przymiotnika *francuska*; rzecz ma się tu cokolwiek inaczej: przymiotnik powinno się pisać przez *s*, bo tu jest sufix *ski*, rzeczownik przez *z*, bo sufix jego jest *ka*.

Mówiliśmy dotąd o szczegółach. Jeżeli weźmiemy pod uwagę rzeczy ogólniejsze, jakimi są np. podział rzeczownika i słowa, to i te nas nie mogą zadowolić. Jeden i drugi podział nie jest umiejętnym.

W deklinacyi autor przyjmuje za podstawę podziału rodzaj, wskutek tego otrzymuje trzy deklinacje: męską, żeńską i nijaką. Podział taki ma tę złą stronę, że jedna deklinacja obejmuje rzeczowniki o najrozmaitszych tematach; z drugiej strony rzeczowniki tego samego tematu, a różniące się tylko rodzajem, zostają od siebie oderwane. Tymczasem niepodobna zaprzeczyć, że zgodność lub różność odmiany stanowi daleko ważniejsze kryterium podziału niż rodzaj, który na odmianę albo całkiem, albo nieznacznie tylko wpływa. Jeszcze mniej szczęśliwym jest podział konjugacyi. Autor obrał za podstawę jego temat infinitiwu. Pierwsza z pięciu w ten sposób powstałych klas, obejmuje słowa jak: *czytam* i *robię*, druga *rysuję* i *pisuję* (inf. *rysować*, *pisować*), trzecia *kłnę* i *pchnę* (inf. *kłać* i *pchnąć*), czwarta *piję*, *poję*, *chodzę*, piąta *nakoniec sięję*, *siwieję* (inf. *siac*, *siwieć*). Podział ten nie może zadowolić.

Spójnik *ato*li nie znalazł łaski w oczach autora; zepchnął on go do rzędu przestarzałych. Dozwala natomiast wyrażenia: *mi się zdaje*, które razi ucho polskie.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynika, że gramatyce ks. W. Cz. nie można przyznać zalet umiejętnej. Zaslugą jej jest natomiast, że stanowi w niektórych punktach dosyć obfity zbiór materyałów, np. gdy wylicza rzeczowniki, których znaczenie zmienia odcień wraz ze zmianą końcówki w gen. lub acc. (str. 40), lub w partyi o słowach nieosobowych.

Język nie zawsze bywa dosyć poprawny. Autor stale używa wyrażenia: *stawi się* zam. używa się, *kładzie się*; *ściąga się do czegoś*, zam. odnosi się; *rozpada się* (np. str. 106); *nabierać*, zam. przybierać (słowo nie nabiera kreski nigdy) i t. d. Liczba takich wyrażen dałaby się znacznie pomnożyć.

Stanisław Witkowski.

D-ra G. A. Lindnera: Zasady logiki i dydaktyki ogólnej. Dla użytku seminaryów nauczycielskich polskich wyłożył i zastosował *dr. Władysław Seredyński*. Wiedeń 1888. (Str. 114).

Dzieło to stanowi drugi zeszyt „Tekstu do wykładu pedagogiki“, lubo faktycznie wyszło z druku przed „Ogólnemi zasadami nauki wychowania“. Z przyjemnością zaznaczamy, iż celuje ono treściwością a jednością formy i usiłuje spopularyzować niejedne trafne poglądy, chociaż wątpimy, czy w stosunku do wykształcenia zwykłych kandydatów nauczycielskich jest dosyć przystępnem. Niestety, błędny system popchnął Lindnera, a za nim i szan. tłumacza, do wielu mylnych lub niejasnych twierdzeń, które w podręczniku szkolnym rażą podwójnie.

Dzieło rozpada się na dwie części, z których pierwsza traktuje o pojęciach wstępnych i o zasadniczych prawidłach logiki, jako o sposobieniu dydaktycznem, druga zaś omawia dydaktykę ogólną.

Już pojęcie nauki, jako nauczania (w części I. str. 1), grzeszy niedokładnością, bo obejmuje tylko udzielanie „wyobrażeń i wiadomości“, a omija wyrabianie wprawy i zręczności, lubo w tym samym rozdziale jest następnie często mowa o potrzebie wprawy. Zbyt ogólnem, a zatem w wielu razach nieprawdziwem jest także twierdzenie, że „każda nauka jest wychowawczą“ (w dobrem tego słowa znaczeniu), bo nie ulega wątpliwości, że nauka, podająca błędne wyobrażenia i zasady, lub głosząca prawdy w sposób sprzeczny rozwojowi duszy ucznia, wychowawczą nie jest i być nie może.

Zarys logiki odznacza się zwięzłością i trafnością, zwłaszcza w uwydatnieniu (str. 22) różnic między tokiem syntetycznym a analitycznym. Sądzymy jednak, że figury wniosków są zbyt szczegółowo omawiane i wolelibyśmy, aby szan. tłumacz przerobił cały zarys logiki na tle np. dzieła Kehreina-Kellera, używanego w seminariach nauczycielskich pruskich (nb. jeśli już koniecznie chce się trzymać Niemców), bo z pewnością seminarzystom naszym wystarczy ten zasób wiadomości z logiki, jaki wystarcza seminarzystom pruskim. Więcej wagi położyćby trzeba na uzmysławianie, byle tylko uzmysławiać przykładami niewątpliwymi, nie zaś np. wzmianką (str. 15) o Selenitach, mieszkańcach Uranusa (?). Przy staranniejszej korekcie, która w takich zwłaszcza ustępach jest nieodzowną, nie opuściłoby się z pewnością przeczenia przy zdaniu: „Namiętności są chwalebne“ (w „Cesare“ na str. 34). Nie czynimy szan. tłumaczowi zarzutu z terminologii, bo jak wiadomo, podziśdzień nie jest ona ustalona, lubo wolelibyśmy, aby pojęcia zupełne nazywał dokładnymi. Natomiast nie możemy mu darować, że nie wspomniał wcale o znaczeniu myślenia dyskursywnego, przez które z danych pojęć wynajdujemy nowe, co właśnie stanowi podstawę heurystyki. Nie godzi się także przy formach dowodów opuszczać zupełnie (str. 42) dowodu z powagi świadków, na którym przecież opiera się cała historia i religia objawiona.

Dydaktyka rozłożona jest na cztery rozdziały, traktujące o przedmiotach nauki, o postępowaniu przy nauce czyli o metodyce ogólnej, o zasadach w nauce, i o osobach i miejscach nauki.

Mówiąc o przedmiotach nauki i o układaniu planu, należało przedmioty podzielić nie tylko na formalne i rzeczowe (str. 46), ale także na bezwzględnie konieczne do nauczania, i względnie konieczne, oraz

podać zasady układania planu nauki, bo je każdy nauczyciel znać powinien. Religia tu w dziwnem przedstawiona jest świetle. Autor pojmuję ją tylko jako przedmiot formalny, jako formę obyczajową (str. 46), nie zaś jako naukę o rzeczach (o Bogu i t. d.), a zarazem daje do myślenia (str. 45), że religia zamało kształci formalnie, w porównaniu z „językoznawstwem“ i z rachunkami, jak gdyby właśnie nauka religii nie musiała wyrabiać więcej niezbędnych w życiu pojęć i idei, niż tamte przedmioty, jak gdyby ona nie kształciła też najskuteczniej woli i charakteru! Nie można także całych wieków średnich czynić odpowiedzialnymi za formalistyczne zboczenia humanizmu, równie jak nie można Benedyktynów i katolickich mistyków odsądzać od pamiętania o naturze przy nauczaniu, bo jedno i drugie sprzeciwia się prawdzie historycznej. Nie można tak samo z nazw dawnych klas gimnazjalnych wnosić, że w każdej klasie uczono jednego tylko przedmiotu (str. 51), bo dzieła dydaktyków średniowiecznych inaczej tę sprawę przedstawiają. Odsyłamy chociażby tylko do Eneasza Sylwiusza.

Słusznie natomiast zaznacza szanowny autor, że „żadna z nauk nie może zamykać się w sobie i być odosobnioną w umyśle wychowanka“; szkoda, że nie nadmienił jeszcze, jak wobec tej zasady chroma cały system szkół bezwyznaniowy, odrywający wszystkie przedmioty od wpływu wyznania i skazujący religię co najmniej na zupełne odosobnienie. Natomiast krzywdę wyrządza szanowny autor religii, a nawet prawdzie historycznej, jeśli w duchu Herberta kładzie Biblię narówni z Robinsonadami (str. 54), a w szemacie podanym na str. 56, oddziela religię od Objawienia (*sic!*). Czy to rzeczywiście podręcznik dla katolickich uczniów? Swoją drogą zaliczenie historii biblijnej i Ewangelii do Objawienia, stanowi sprzeczność z pojęciem Biblii naturalistycznym, w guście Robinsonad; a znalazłby się zapewne szanowny autor w niemałym kłopotcie, gdyby mu kazano wskazać ową religię, czyli naukę wiary, odrębną od Objawienia. Kościół katolicki przynajmniej nie zna prawd wiary różnych od Objawienia. Usterki tego rodzaju są w stanie książkę zdyskredytować wobec uczniów. Zdaniem naszym, w podręczniku dydaktyki nie godzi się też kwestyi systemu fachowego a klasowego (str. 45) zostawiać nierozstrzygniętej. O sprawie tak ważnej i aktualnej pod względem dydaktycznym, a zwłaszcza pod względem wychowawczym, powinni sobie uczniowie wyrobić sąd jasny.

W rozdziale drugim dzieli szanowny autor metody nauczania na: dydaktyczną, heurystyczną i systematyczną, rozumiejąc pod ostatnią „umiejętne przedstawienie nauki“. Wypadało raczej wszelki sposób

prawidłowego nauczania nazwać metodą dydaktyczną, a rozróżnić w niej metodę systematyczną czyli umiejętną, opierającą się ściśle na logice, i metodę elementarną czyli popularną, uwzględniającą głównie moment psychologiczny. Przy metodzie znów elementarnej uwzględnić należało tak formę akroamatyczną, jak erotematyczną i dyalogiczną. Natomiast słów: „katecheza“ i „katechetyka“ używać trzeba oględniej, bo katechetyka oznacza coś więcej nad sztukę stawiania pytań (str. 78), a jest nauką o urzędzie katechetycznym Kościoła, obejmującym tak działalność nauczycielską, jak kapłańską i pasterską względem niedorosłych.

Tok nauki podzielony jest na pięć stopni formalnych, w myśl Herbarta. Ta sama idea herbartowska snuje się przy oznaczaniu bliższemu analizy i syntezy. Sprzecznosc, do jakiej ona doprowadza — ponieważ nie sam tylko szanowny tłumacz w nią popadł — omawiamy w osobnej rozprawce¹.

Dział III. („o zasadach w nauce“), grzeszy pewną bezładnością, gdyż ugrupowanie zasad nie jest niczem ściśle umotywowane, a i znamiona ich nie są wzajemnie dość wykluczające się i wyróżniające. Trudno też usprawiedliwić opuszczenie zasady koncentryczności, bo przecież zasługuje na to, aby podobnie jak niektóre inne zasady, nie tylko przy planie (w rozdz. I.) była potrącona, ale i na tem miejscu bliżej wyjaśniona i z innymi zestawiona. Podobnie brak zasady określającej, jak nauka powinna wpływać uszlachetniająco i umoralniająco na wolę, a przecież nawet herbarcyizm każe budzić „wielostronny interes“ i wyrabiać idee etyczne!

W dziale IV. („o osobach i miejscach nauki“), mówi szanowny autor tylko o domu i szkole, względnie o nauczycielu, pomijając zupełnie kościół. Tłumaczenie trzyma się tu zbyt wiernie brzmienia niemieckiego, gdyż mówi np. o „szkole jednoklasowej, gdzie uczeń przez wszystkie lat ośm pozostaje“, choć w Galicyi znamy tylko sześcioletni obowiązek uczęszczania do szkoły, nie licząc trzyletniego kursu dopełniającego. Nie zawadziłoby też wspomnieć, że bł. Jan la Salle pierwszy wprowadził do szkół publicznych rozdział uczniów na osobne sale, według uzdolnienia, co przecież niemały postęp w szkolnictwie stanowi. Nie dziwimy się natomiast, że „oddanie się pracy zupełne i swemu powołaniu, i wypływające ztąd następstwa“ mają być (str. 112) „jedyną ale zarazem najwyższą moralną nagrodą“ nauczyciela, bo

¹ Patrz wyżej str. 389: „Kilka słów o toku myślenia w zastosowaniu do nauczania elementarnego“.

racyonalizm, odrzucając życie nadnaturalne, innych, wyższych nagród znać nie może. Szkoda jednak nieodżałowana, że szan. tłumacz nie przyswoił literaturze naszej innego, przystępniejszego, a bardziej poprawnego podręcznika dydaktycznego.

Ks. W. G.

Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII. Studya historyczne. *Smoleński Władysław*. 1891. (W 8-ce, str. I—II, 1—424, I—VI).

Pan Smoleński ogłosił drukiem szereg rozpraw większych i mniejszych, odnoszących się do dziejów oświaty polskiej XVIII. wieku. Obecnie wydał książkę pod tytułem, który w nagłówku podaliśmy. Składa się ona z szeregu rozpraw, połączonych wspólnością „motywu, stanowiącego rdzeń wysiłków intelektualnych wieku XVIII.: wyłamanie się społeczeństwa z pod opieki kierunku teologicznego, wywalczenie prawa obywatelstwa rozumowi, opanowanemu przez wiarę“ (wstęp). Objawów nowych dążeń umysłowych szuka p. S. w kościele i szkole, w prawie, w stowarzyszeniach i piśmiennictwie. Studya jego ogarniają jedynie przekształcenie pojęć filozoficznych. Książka dzieli się na 10 rozdziałów czyli rozpraw. Roztrząsa p. S. kolejno następujące kwestye: „Umysłowość w dobie reakcy katolickiej“, „Filozofia *recentiorum*“, „Walka z przesadami“, „Sceptycyzm religijny“, „Wolne mularstwo“, „Sprawa dysydencka“, „Sekularyzacja szkoły“, „Sprawa duchowieństwa“, „Zatargi kierunków skrajnych w publicystyce ostatniej ćwierci wieku“, „Ogół wobec haseł wieku oświeconego“.

W rozdz. I. („Umysłowość w dobie reakcy katolickiej“ w XVII. w.) mówi autor o upadku oświaty, z powodu lichego stanu nauki w szkołach. Scholastycyzm zawinił, katolicyzm powieszono. Pełno w pierwszym rozdziale zaczepki katolicyzmu, szyderstw z dogmatów i uczuć katolickich. Z katolicyzmu wyprowadza fanatyzm, przesady, gusła, czary, jednym słowem wszystko, co stworzyć potrafiła bujna, a zepsuta fantazyja ludowa; zarzuca katolicyzmowi rozpowszechnianie nawet takich wierzeń, jakie przed istnieniem chrześcijaństwa napotykały u rozmaitych ludów pogańskich (Rozprawa I.). Szydzi z czci, oddawanej przez świat katolicki N. M. Pannie, i traktuje tę sprawę narówni z kwestyą czarownic; oburza się, że lud katolicki w nieszczęściach błaga także Boga o pomoc (str. 19) i t. d. Że szan. autor z wszelkim ruchem antykatolickim sympatyzuje, jest rzeczą łatwą do zrozumienia.

Filozofia *recentiorum*, wprowadzona do Polski, wywołała około połowy XVIII. stulecia nowy ruch umysłowy (Rozdz. II.). Ten nowy

ruch spowodowali Pijarzy i Jezuici; p. Smoleński chwali ich za to, ale nie może im darować, że pewniki naukowe godzą z wymaganiami religii katolickiej (Rozdz. II., str. 50, i 403). Tak było aż do czasów Komisji edukacyjnej (1773). Współcześnie z owym nowym ruchem umysłowym, stworzonym i kierowanym przez duchowieństwo, siedł z Zachodu prąd wolnomyślny, nie liczący się wcale z wymaganiami religii. Unoszeni tym zachodnim prądem hołdowali deizmowi lub ateizmowi i wyznawali religię przyrodzoną. „Pomiędzy rzeczonymi kierunkami: klerykalnym i wolnomyślnym, wszczęła się walka, w której pierwszy zajął stanowisko zaczepne“, mając za sobą ogół narodu.

Prąd wolnomyślny zyskuje — zdaniem autora — przewagę dopiero w ostatniej ćwierci wieku, gdy wyznawcy jego opanowali szkołę i zorganizowali Wolne mularstwo. Rozpoczyna się walka przeciw klerykalizmowi i duchowieństwu. Ów wolnomyślny kierunek ma niewielu jawnych (w literaturze) przedstawicieli; większość postępowców lęka się ostatecznych konsekwencji krytycyzmu zachodniego (zdaniem autora) i nie zrywa z religią objawioną, owszem nawołuje do winnego jej szacunku. Szanowny autor tłumaczy to sobie w swój sposób i powiada: „Było to skutkiem niedostatecznego przetrawienia hasel wieku, objawem zamętu pojęć, konwencyonalnem wreszcie liczeniem się z tem, czemu nieobłudnie hołdowała powszechność“. Ogół wraz z szlachtą, szczerze przywiązany do wiary przodków, odrzucał wolnomyślne hasła wieku, zwalczał je jak mógł, i „spiskował(?) z zakonami przeciwko Komisji edukacyjnej“. Tu autor czyni ogółowi katolickiemu wielką krzywdę; przykłady, jakie przytacza, nie są sprawkami ogółu, ale tylko kilku jednostek, które sprawy reformy narazie nie pojmowały. Że Komisya edukacyjna się utrzymała i tak błogą rozwinęła działalność, to przecież nie zasługa prądu wolnomyślnego. Przecież pisma i rozporządzenia członków Komisji stwierdzają stanowczo, że nowy system edukacji oparto na zasadach katolickich. A wreszcie ów o spiski posądzany ogół, garnie się niebawem do szkół przez Komisję edukacyjną zreformowanych. Szanowny autor nie lubi katolicyzmu i dlatego radby mu nawet niezasłużone winy przypisać. Religia katolicka wydaje mu się być „wsteczną“. Ośławiona Targowica wywiesiła sztandar katolicki, który p. Smoleński nazywa sztandarem „najsłabszego wsteczństwa“ (str. 394). Ogół katolicki, który nie poszedł na lep racjonalizmu francuskiego, pozbył się jednak — stwierdza to szan. autor w „Zakończeniu“ swej książki — dzięki wpływowi światła wieku na-

łogów barbarzyńskich, up. pijaństwa, srogości. Katolicyzm widać tolerował te „barbarzyńskie nałogi“?!

Upředzenie autora do katolicyzmu obniża wartość naukową książki. Przy ocenianiu osób i wypadków staje autor zawsze po stronie antykatolickiej. Dla katolicyzmu niema w całej książce ani słówka uznania. Autor wybiera z swych źródeł, których zresztą bardzo wiele zebrał, to, co mu dogadza, czerpie zaś z nich bez żadnego zastrzeżenia. Wróg katolicyzmu jest w sprawach dotyczących potępienia katolicyzmu, w oczach szan. autora, wiarogodnym świadkiem. Razi też w książce p. Smoleńskiego nieuzasadnione uogólnianie sądów. Czyn kilku, a niekiedy jednego indywiduum katolickiego, wystarcza szanownemu autorowi często, by rzucić oskarżenie na całą ortodoksalną społeczność (np. str. 10—11, 24—25; 283 i nast., 394).

Autor obiecuje sobie, że książka jego „wobec potrzeby łamania pierwszych lodów dla stworzenia dziejów oświaty... nie okaże się zbytęczną“. Gdyby p. S. był opracował dzieło swoje tak krytycznie i bezstronnie, jak pilnie nagromadził do niego materyału, byłby oddał przyszłemu historykowi oświaty polskiej wielką usługę. Niestety, nie uczynił tego! Nie pojmujemy, dlaczego p. Smoleński i wielu innych tak niesłusznie i niesprawiedliwie napadają na katolicyzm, który jak zawsze, tak zwłaszcza w obecnej chwili, jest jedną z naszych silnych tarcz, dźwigni i łączni narodowych.

Zaleca się dzieło szan. autora piękną polszczyzną i indeksem osobowym, starannie zestawionym.

Dr. Antoni Karbowskiak.

Listy do Olesia o wykształceniu wewnętrznem. Z obcych wzorów opracował ks. *Zygmunt Skarżyński*. Warszawa. Druk St. Niemiery. 1892. (W 12-ce, str. 196).

Bardzo trudną jest rzeczą pisać książkę ascetyczną dla młodzieży — nie mówię dla dzieci, ale dla młodzieży, która już poczyną myśleć głębiej nad rzeczami podanemi jej rozumowi, a z rozwojem ciała poczyną czuć jakieś inne prawo, przeciwne prawu bożemu, o którego istnieniu w dzieciństwie nawet słabego pojęcia nie miała. Żywa fantazyja, szukająca coraz to nowych wrażeń, pochłania skwapliwie każde słowo, każdą literę przeczytaną — a ileż przytem usłyszysz złego, nauczy się fałszu! Do takiej młodzieży przemawiać ze skutkiem, trzeba wielkiego sprytu: by zająć umysł a zarazem nie znudzić, uchwycić za serce a jednak nie odstraszyć, gdy się je naginać będzie pod prawo

Chrystusowe. To też książkę, której tytuł wyżej podajemy, w tym właśnie celu napisaną, z radością witamy, jako objaw dobrych chęci w tym względzie.

Treść listów jest: o wychowaniu, o Bogu, o godności, szlachetności, delikatności, koleżeństwie, wiedzy, pobożności, o spowiedzi, o Komunii św., o Kościele, świecie, zasadach. Niektóre z tych listów, jak „o delikatności uczuć czyli dystynkcyi“, bardzo piękne myśli zawierają: „niczem ona nie jest innem, jak zewnętrznym pojawem i doskonałym odbiciem naszej cywilizacji, będącej nawskróś chrześcijańską, ztąd i prawdziwa dystynkcyja musi być chrześcijańską, a gdzie nie jest taką, to jest tylko pozorną i kłamliwą...“

Niemniej interesująco i dobrze są napisane listy o koleżeństwie i o świecie. Jak trudno młodzieży zorientować się w świecie, aby nie skalać duszy zgorszeniem, które tak łatwo przez złych kolegów przychodzi! Z drugiej strony potrzebuje młodzież przestrogi koniecznej, aby w drugą ostateczność nie wpadła i nie nauczyła się zamłodu gardzić wszystkiem tem, co na świecie widzi, i nie nauczyła się spoglądać na wszystko pesymistycznie. Autor pragnie w swym przyjacielu widzieć połączenie nienawiści świata z jego miłością, „coś nakształt uczucia, jakim się kierują Siostry Miłosierdzia w szpitalach... odróżające szczegóły choroby budzą wstręt w ich sercach... a jednak to im nie przeszkadza kochać i czułością otaczać chorego“. Chce, aby młodzieniec nauczył się gardzić i potępiać złe w człowieku, lecz nigdy człowieka samego, który w swej duszy nosi obraz boży.

Krzywdę jednak wyrządzilibyśmy autorowi, gdybyśmy nie zwrócili jego uwagi na tę stronę ujemną jego książki, której w dalszej pracy pisarskiej możnaby uniknąć. Niejedną myśl możnaby oddać krótszemi słowy, na czymby jasność wykładu zyskała. Niektóre listy widocznie w pośpiechu są napisane i brak w nich gruntowności. Tak np. w liście II., gdy jest mowa o Bogu, należałoby zwięźlej i dokładniej przedstawić nasz stosunek do Boga, naszą zupełną od Niego zależność; wówczas łatwiej byłoby budować wszystkie obowiązki, wypływające z tego fundamentu naszego życia duchowego. W III. liście, mówiąc o godności chrześcijańskiej, poleca swemu przyjacielowi „dumą świętą i pewność siebie“; domyślam się, co chciał przez to powiedzieć, lecz czy każdy to dobrze zrozumie, zwłaszcza młodzieniec nieobeznany z terminologią przenośną? List IV. jest o szlachetności; tymczasem autor w nim mówi wyłącznie o cnocie czystości. Dlaczegoż „umyślnie popełnia ten błąd, nie chcąc zbytecznie ujawniać właściwego imienia

tego kwiatka niebieskich ogrodów“? Niech przeczyta znakomite dzieło Magistra Avili: *Trattato Spirituale*, napisane dla młodych dziewic; z jaką tam delikatnością a jednak możliwą jasnością przedstawia wszystkie odcienia pięknej tej cnoty, nie obawiając się wcale nazwać jej po imieniu. — Mówiąc o pobożności, nakazuje znowu swemu Aleksandrowi być „szczęśliwym i dumnym zarazem ze swej pobożności“ (str. 127); gdy to czytam, zdaje mi się, że do mnie Francuz przemawia. Mówiąc o praktykach pobożnych, wspomina (str. 123), iż „różaniec nietylko odmawiać, ale go i nosić przy sobie potrzeba. Co zaś do sposobu, jakby go dobrze odmawiać, wiele nie potrzeba: jedno Ojciec nasz i dziesięć Zdrowaś Marya pięć razy powtórz, przesuwając paciorek jeden po drugim“; rozmyślanie przytem o tajemnicach życia Pana Jezusa i Matki Boskiej niekonieczne, chyba tylko, „aby modlitwa była więcej cenną“. Natomiast zaleca odmawianie go na spacerach, przyczem dozwala „zachwycać się pięknnością krajobrazu, lub słuchać precudnych wdzięczności hymnów... jakie świergocą słowiki i inne ptaszęta“. Przecież to co najmniej nieodpowiedni sposób uczenia młodzieży modlitwy — rozmowy z Bogiem!

Niech autor wybaczy, iż dosyć surowo o jego książce wyrażam się, boć to przecież są rzeczy zbyt ważne, byśmy je lekko traktowali, i inne są wymagania od książki treści duchownej, napisanej przez osobę świecką, inne jeśli ją duchowny napisze. Niech autor przypomni sobie, co sam (na str. 86) powiedział, cytując słowa jednego z biskupów: „nie czytaj nigdy dobrych książek; dobrych książek jest nadto wiele; czytaj tylko bardzo dobre“.

Pomimo tych stron ujemnych, styl książki jest miejscami barwny i potoczysty, treść zaś tego rodzaju, iż może być z korzyścią czytana przez młodzież; a będzie jeszcze z większą czytana w przyszłości, jeśli wyjdzie w drugim poprawnym wydaniu.

Ks. M. C

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Commentarius in Ecclesiasten et Canticum Canticorum. G. Gietmann S. J. Parisiis. P. Lethieulleux. 1890.

Ojciec Gietmann dał się już poznać ze swych pism o hebrajskiej stopie metrycznej, bo jest on nietylko egzegetą, ale i poetą. W wy-

pisanem w nagłówku dzieła pisze o dwóch najtrudniejszych do zrozumienia poetycznych utworach Starego Testamentu.

Ecclesiastes. Głównym celem O. Gietmanna było wykazać porządek tej księgi, związek pomiędzy jej częściami i wzajemny stosunek wygłaszanych w niej prawd. Naturalnie, iż cel ten znacznie utrudniał pracę. Autor pomagał sobie w ten sposób, iż wyjaśnienia miejsc mniej ważnych zamieszczał drobniejszym drukiem. Ponieważ O. Gietmann poszedł w swem dziele zupełnie nowemi drogami, rzecz prosta, że na krytykach i przeciwnikach zbywać mu nie może. Ważność przedmiotu, traktowanego przez Ecclesiastesę, domagała się obszerniejszego wyłączenia poglądów komentatora. Zbyt często zarzucano tej księdze materializm: twierdzono, że zaprzecza nieśmiertelności duszy, że szerzy epikureizm, fatalizm i t. p., aby zarzutom tym nie należało dać — tak jak dał np. O. Knabenbauer — należytej odprawy.

Wszystko jest próżnością. Oto treść (r. I., w. 14), jaką sobie obrał autor poetycznego utworu, noszącego tytuł: *Ecclesiastes*. Co on nam przedstawia, o czym mówi? O usiłowaniach ludzi, którzy się nie zgadzają z Opatrznością Bożą (r. I., w. 4—8). Po wstępie (r. I., w. 1—11) rozpoczyna się część pierwsza (r. I., w. 12—r. III., w. 15). Próżność życia prywatnego: a) Próżną jest mądrość (I, 12—18); b) Próżną jest radość i przepych (II, 26). Tu mieści się epilog części pierwszej: wszystko co ludzkie idzie swoim trybem, człowiek zaś zachwiać tego nie zdoła (III, 1—15). W drugiej części mówi autor o próżności życia publicznego: a) Próżną jest boleść niecierpliwego; b) Próżnem jest współzawodnictwo; c) Próżną jest ponura samotność. Wreszcie znajdujemy zestawienie rad, zawartych w drugiej części (IV, 17—VI, 6), poczem (VI, 7—VII, 30) następuje krasomówcza amplifikacja obu części. Trzecia część zawiera rozmaite przepisy mędrca w kilku główniejszych punktach (VIII—XII, 8). Epilog wreszcie streszcza całą naukę: *Deum time et mandata ejus observa hoc est enim omnis homo.*

Celem więc księgi tej jest opis ludzkiej nędzy; smutek przebija się w niej od początku do końca. Ale co znaczy żądanie: *Edamus et bibamus et laetemur*? Czyż mamy się wyrzec wszystkiego, co jest wzniosłem i znajdować upodobanie w ziemskich jedynie rzeczach? Wiersz 26 w rozdz. II. podaje odpowiedź na to pytanie: *Homini enim bono in conspectu suo dedit Deus sapientiam et scientiam et laetitiam, peccatori autem dedit afflictionem et curam superfluum, ut addat et congreget et tradat ei qui placuit Deo, sed et hoc vanitas est et cassa sollicitudo mentis.*

Powinniśmy wyrzec się pychy i na tem poprzestawać, co jest właściwem ułomnej naszej naturze. Czyż przez to uczy epikureizmu? Ale mędrzec zna prawdziwie dobro i wysoce je ceni (II, 24. III, 12. IV, 6. V, 10 i t. d.). Dlatego też każda radość ma być przyjętą w bojaźni bożej (XI, 8 i nast.); dar to boży, którego nadużywać nie należy, owszem, potrzeba, aby mu towarzyszyła praca, mądrość i miłość (II, 26. IX, 9). Jakże wobec tego wydaje się zarzut pesymizmu? Mędrzec chce poskromić wyuzdane żądze; dlatego też obłudnikowi przeciwstawia sprawiedliwego, i pragnąc dać mu do zrozumienia, dlaczego dwa te sprzeczne obrazy maluje, wyłuszcza przyczyny swego smutku; spostrzegłszy zaś, że w tej mierze zadaleko się posuwa, zachęca sam siebie do wesołości i spokoju (III, 22). W takim samym znaczeniu należy brać IV, 2, 3 i VIII, 15. IX, 7. Zresztą na szczególne zaznaczenie zasługuje to, iż kończy on swe dzieło upomnieniem do pobożności, przedtem zaś usilnie zachęca do pracy. (W Nowym Testamencie [Luc. XIX, 13] brzmi to tak: *negotiari dum veniat Dominus*, u mędrca zaś: *in spem incertam*). Nie dążenie więc do tego, co jest wzniosłem i szlachetnem karci surowo mędrzec, ale dumę i pychę.

Tu jednak nasuwa się pytanie: Cóż w rzeczach, które mędrzec gani i potępia, było tak dalece naganne? Dlaczego wszystko próżnem jest na ziemi? Wszak mówi on sam (IX, 11): „Człowiek nie może postępować tak jak mu się podoba, owszem, musi ustępować pewnemu rodzajowi konieczności i nieraz najgorliwsze jego usiłowania pozostają bez skutku“. Dlaczego? Staraj się ujrzeć w tem dzieło boże. W dniu szczęścia ciesz się, w dniu zaś złym pomyśl, że Bóg to zrządził.

Pozostaje jeszcze zarzut fatalizmu. Jak dalece zarzut ten jest nieuzasadnionym, o tem świadczy wiele ustępów tej księgi. Mędrzec twierdzi, że wszelka konieczność wypływa z woli bożej (III, 11, 14. VI, 2 i t. d.), oraz że mądrość rządzi wszystkim (II, 26. V, 7 i t. d.). Człowiek przez nadużycie swojej wolnej woli wprowadził zło na ziemię (VII, 30) i rozpoczął walkę z Bogiem (VI, 10): dlatego mędrzec radzi, aby człowiek używał dobrze swojej wolności (XII, 13), ponieważ w przeciwnym razie musi być nieszczęśliwym. Jak dążyć do tego? Oto człowiek powinien pamiętać, że jest śmiertelnym i że śmierć jest karą za grzechy. Czyż zaprzecza on przez to nieśmiertelności duszy lub co najwyżej przypuszcza tylko smutne istnienie w *Szeol*? Nie, oczekuje sądu, sprawiedliwego sądu, i to nie w tem życiu (III, 17. V, 7. VIII, 4. XI, 9. XII, 14 i XII, 7): *Revertetur pulvis in terram et spiritus redibit ad Deum qui dedit illum*. Na co więc cała nauka He-

brajczyków, jeżeli nie na to, aby w Bogu być szczęśliwym? Bez wiary w wieczną nagrodę człowiek szczęśliwym być nie może. Czyż więc wybrany lud miałby być pozbawionym artykułu wiary, którego brak zniweczyłby wszystkie boskie obietnice? Autor zaś w zniweczeniu wszelkiej ziemskiej nadziei posuwa się tak dalece, że niemal zdaje się sprzeciwiać prawu bożemu. O nieśmiertelności duszy uczy także współczesna księga Joba, a w pierwszej księdze królewskiej wskazuje toż samo historia Saula. Owszem, dalej się cofając, czyż Mojżesz nie w taki sam niemal sposób tłumaczył nieśmiertelność duszy, jak Zbawiciel u św. Łukasza (XX, 37)? Gdybyśmy nawet z samej księgi mędrca czerpali dowody, to (w IX, 4) znajdziemy, że usiłowania złych kończą się po śmierci (אֵל הַמָּוֶת), a zatem w pewnem oznaczonym miejscu. Dlaczego (w XII, 13, יִדְרֵעַ אֲנִי) mówi on, że dobrym będzie dobrze, a złym źle? Również jasno wyraża to rozdz. III, 17. VIII, 5 i t. d. Ale czyż wbrew temu wszystkiemu nie stoi rozdz. III, 21? Czyż mędrzec nie zdradza tam pewnej wątpliwości, czy między duszą zwierzęcą i ludzką jakakolwiek istnieje różnica? Dawni komentatorowie mniemali, że mędrzec zaznacza tu szaleństwo niedowiarka, ponieważ mówiące w księdze osoby niejednokrotnie się zmieniają. Inni trzymają się Masoretów, którzy zamiast ך piszą ך. Z drugiej strony niektórzy nowsi komentatorowie głoszą, iż dusza nie może się podnieść, ponieważ Zbawiciel jeszcze nie przyszedł; mędrzec zaś przypomina tylko karę za grzech pierworodny. Dlatego też ze względu na naukę zawartą w tej księdze, nie może istnieć żadna wątpliwość co do boskiego jej pochodzenia. Kiedy u żydów w I. wieku po Chrystusie chciano usunąć to z kanonu, wówczas dawno utarte zdanie odniosło przewagę. Jedynym chrześcijaninem, który przed Lutrem ośmielił się je odrzucić, był Teodor Mopsuesteński, którego naukę Kościół św. potępił.

Hebrajski tekst tej księgi jest nadzwyczajnie mało uszkodzonym (z wyjątkiem w II, 8, 12. V, 16); Septuaginta zawiera kilka grubych błędów, Vulgata parę i to małych usterek. Jedynie przez zużytkowanie wszystkich trzech tekstów można zrozumieć należycie znaczenie całej księgi. Ponieważ w tym razie świadomość języka wielkie ma znaczenie, cieszymy się, że taki znawca hebrajskiego języka, jak O. Gietmann, opracował to dzieło. Co do autora *Ecclesiastes*, to O. Gietmann nie zgadza się z niedawno ogłoszonym zdaniem, jakoby miał on żyć na wygnaniu. Około pięćdziesięciu autorów pisało o czasie ułożenia tej księgi. Zdania ich są tak podzielone, że niektórzy nawet oświadczają się za rokiem 975 lub 974 przed Chrystusem. Tradycja

jednak przypisuje dzieło to Salomonowi, a treść i sposób przedstawienia rzeczy za tem przemawiają; zdania przeciwników umie O. Gietmann nader trafnie obalać.

Komentarz do *Ecclesiastes*a jest dłuższym i bardziej wyczerpującym, niż komentarze do innych ksiąg z *Cursus Scripturae Sacrae*, o których mówiliśmy dawniej. Baczemu czytelnikowi tej oceny powtarzać chyba nie potrzeba, jak wielkie zasługi zebrał sobie autor gruntowną swą pracą.

Również dobrze wypadł komentarz do „Pieśni nad pieśniami“. Tu także chodzi o jedno z najtrudniejszych dzieł Starego Testamentu, któremu bardziej jeszcze niż Ekklezyasce odmawiano wszelkiego religijnego piętna.

Z dawnej tradycji — mówi O. Gietmann — daje się wysnuć pięć niechybnych wniosków. Chodzi o pieśń świętą; jestto pieśń rzeczywistość; autorem jej jest Salomon; jestto alegorya o Chrystusie i jego zespoleniu się z Kościołem. „Znamy — mówi św. Augustyn — Pieśń nad pieśniami, świętą pieśń; co Kościół Chrystusowy zatwierdza, o tem i my nie wątpimy“; i dalej: „Cała ta księga jest alegorycznym, z proroczą siłą odmalowanym obrazem miłości Chrystusa do Kościoła“. Toż samo głoszą święci: Hieronim, Ambroży i Grzegorz Niseński, jak również Orygenes i wielu innych. Komentator katolicki znajduje tu dla siebie punkt oparcia. Czego — zapytuje autor — ma się komentator najbardziej wystrzegać? Przedewszystkiem tego, aby nie naciągać tekstu do innego niż powyższe znaczenia. Dawniej komentatorowie wyrażali, właściwie mówiąc, własne tylko poglądy na to dzieło, ale nie rozbięrali bynajmniej jego treści. Nadto starali się zawsze dodać moralną naukę. Od XVII. wieku Sanctius, Bossuet i inni rozważają w swych dziełach pewne wyjęte z „Pieśni“ odrębne zdania i słowa. Nowsi protestanci usuwają wykład mistyczny na drugi plan i starają się przedstawić tekst jako historię, przez co naturalnie księga przestaje być świętą. Jeżeli jednak przyjmujemy za pewnik, że jestto przenośnia, dotycząca Chrystusa i Kościoła, to o ileż bardziej — pyta dalej autor — należy używać alegoryi, wykazawszy literalne jej znaczenie? Jeżeli starożytni chcieli wzlatywać ku Bogu, to my raczej piechotą za nimi podążając, przypatrujemy się ozdobom zarysowującej się przed nami świątyni. W taki sposób unikniemy świeckiego wykładu protestantów, jak również niedokładności starożytnych.

Następujący rozdział, w którym O. Gietmann wyłuszcza swój pogląd i popiera go przykładami, jest prześliczny. To nawet, co wy-

powiada przeciw Schaferowi, którego komentarz pomiędzy nowszymi komentarzami uchodził dotąd za najlepszy, odznacza się gruntownością i trafnością. Szczególnie na uwagę zasługuje zdanie, jakie O. Gietmann wypowiada o jedności Pieśni nad pieśniami.

Cóż więc właściwie jest rzeczywistą alegoryą? Jeżeli alegorya ma być ciągłą metaforą, to głównem jej zadaniem jest ukrywać się przez cały ciąg utworu w obcej szacie; czem innym na pierwszy rzut oka się wydaje, czem innym jest. (Por. *Mat.* XXII, 2—14. W ostatnim wierszu mieści się klucz do rozwiązania przenośni). Powtórne, nie należy przenosić do rzeczywistości nic takiego, co ze słów alegoryi jasno nie wynika. Potrzebie, jestto szczególną zaletą alegoryi, że mówiąc o Kościele, używa jak najdobitniejszych wyrażań nawet wówczas, gdy przedstawia go pod postacią kobiety, lub w kształcie pewnej oznaczonej cyfry. Poczwarte, urojona postać alegoryi może zupełnie ludzkiemu ulegać losowi; a wówczas — jak to zauważył O. Cornely T. J. (w *Introductio* II, cz. 2, str. 193) — można porównywać ze sobą tylko wybitniejsze punkty.

A zatem, czyż w alegoryi niepodobna historycznej odnaleźć prawdy? W podobieństwach ewangelicznych znajduje się wyraźna w tej mierze wskazówka, tak że szukać więcej byłoby zbyt. Niekiedy jednak pewna część alegoryi może zawierać historyczną prawdę, jak np. parabola o bogaczu i Łazarzu (Łuk. 16, 19). Wynika ztąd, że z alegoryi nie należy bezwarunkowo wykluczać prawdy historycznej, ani też zgóry tę ostatnią tam upatrywać. Dlatego właśnie trudno oznaczyć, co jest właściwie alegorycznem, a co historycznem. Skoro przyjmimy za pewnik, że w Pieśni nad pieśniami jest mowa o Kościele, to sześćdziesiąt królowych straci to znaczenie, jakie wypływa z historii Salomona; Sulamitka nie pochodzi z Sunam; Salomon, który tu przedstawia Chrystusa, nie porywa oblubienic, a oblubienica jego nie może kochać nikogo innego. Słowem, nie można brać tej pieśni w literalnem jej znaczeniu, opiewa ona bowiem miłość nie ziemską, ale nadprzyrodzoną.

Pieśń nad pieśniami dzieli się na siedm scen: 1. Oblubieniec ulega żądaniu Oblubienicy, odwiedza ją i pociesza najśłodszymi słowami (I, 1—II, 7); 2. Powtórne odwiedziny i zachęta do pracy (II, 8—17); 3. Próba i pociecha (III, 1—5). Tu kończy się pierwsza część księgi. 4. Zaręczyny (III, 6—V, 1). Część druga. — 5. Oblubienica skazana na cierpienie dla miłości Chrystusa, zaczyna Go jeźdźce goręcej kochać i zdobywa łaskę swego Oblubieńca (V, 2—VI, 8); 6. Oblubieniec w nadzwyczajny sposób objawia się swemu Kościołowi, przy-

noszącemu już obfite owoce, obsypuje go pochwałami i szczególnymi łaskami (VI, 9—VIII, 4); 7. Oblubienicę prowadzą do niebieskiej słubnej sali (VIII, 5—14). Na tem kończy się część trzecia.

Pokrewnym Pieśni nad pieśniami jest Psalm XLIV. Do krótkiej charakterystyki komentarzy do Pieśni nad pieśniami dodaje O. Gietmann własny swój komentarz, a następnie krótkie zestawienie poprzednich wywodów z życiem naszego Zbawiciela. Komentarz O. Gietmanna posiada trzy nader cenne zalety: trzyma się ściśle katolickiej tradycji, staje w obronie pięknej a tak niesłusznie potępionej księgi, oraz stanowi nader pożądane i o ile to było możliwem, zadawalniające jej wyjaśnienie. Słowem, jestto prawdziwy klejnot w skarbnicy katolickiej egzegezy.

Ks. Augustyn Arndt.

Correspondance diplomatique et Mémoires inédits du Cardinal Maury, annotés et publiés par *Mgr. Ricard*. Desclée, de Brouwer et C^{ie}. 1891.

Niema końca przerabianiu historii, prostowaniu sądów, kształtowaniu coraz to odmiennych zdań o ludziach i wypadkach przeszłości, w miarę jak przybywa świadectw i światła, rozświecającego zawile punkta dziejowe. Zdawało nam się, że znamy dokładnie przełom rewolucyjny, uczeni badacze spisali wyczerpujące dzieła o nastającym we Francji nowym rzeczy ustroju wraz ze zwaleniem się dawnego, o stosunku Kościoła do państwa w odmienionych warunkach rządu i nierządu. A jednak mimo tylu sumiennych prac i poszukiwań, pokazuje się, iż rozstrzygające, ostateczne słowo nie mogło być powiedzianem, że wyłaniające się z kurzawy stuletniego zaniedbania pamiętniki zdolają dopiero wyświecić istotną prawdę dziejową. Ostatnie lata obfitego pod tym względem dostarczyły żniwa, ostatni rok osobliwą bujnością plonu się odznaczył. Głośna publikacja pamiętników Talleyranda nie przyszła sama jedna. Jednocześnie pojawiły się mnogie wydawnictwa pamiętnikowe, odnoszące się do tej samej epoki, w której do czynu zaprawne ręce nie sam tylko oręż dzierżyły, z upodobaniem i piórem się bawiąc. Naraz przyszło nam wertować wspomnienia hr. Rochoucharta, barona Barante'a, księcia d'Escars i wielu, wielu innych.

Wydanie korespondencji i zapisków kardynała Maury ważnością przerasta tamte i w tej chwili budzi tem większe zajęcie, iż raz jeszcze więcej uwydatnia niezłomność Piotrowej budowy, jednakie zawsze usiłowania, aby jej podwalinami wstrząsnąć, nareszcie tożsamość prób, zgotowanych Kościołowi i jego Głowie w różnych epokach i przez różnych

też ludzi. Od rzymskich prześladowań aż po ostatni pruski kulturkampf wiecznie te same zakusy powtarzają się ze strony świeckich rządów i społeczeństw, i ta sama zwalcza je cierpliwość i roztropność Namieśtników Chrystusowych.

Mgr. Ricard, wskrzeszając pamiętniki głośnego mowcy, opatrzył je bardzo ciekawymi i objaśniającymi tekst przypiskami, w których jednak nie potrafił zachować miary sądu i krytyki, stawając się zbyt pochopnym do uniewinniania błędów i zboczeń swego bohatera. Słabość to przygodna u biografów, rozkochanych długim obcowaniem w przedmiocie badań swoich i studyów. Z tem zastrzeżeniem wypada tedy wertować obszerną, bo dwutomową publikację, z której się wyłania dzielna i niepospolita, a zasmucająca niestałością zdania i zasad postać kardynała Maury.

Syn ubogiego szewca, nad ojcowskie rzemiosło wyniesiony powodzeniami szkolnemi, powołaniem do stanu duchownego pchnięty, ks. Maury wcześniej miał zasłynąć świetną wymową — pono nie ściśle kościelną, jeśli zawierzyć mamy dowcipnej uwadze króla Ludwika XVI., kiedy wychodząc z pałacowej kaplicy po nabożeństwie, odezwał się do swego otoczenia: „Gdyby ks. Maury i o religię był w swem kazaniu potrafił, byłby zaiste mówił nam o wszystkim“.

Na skrzydłach słowa poniesion do Akademii, Maury dostał się w to zakłętę nieśmiertelnych koło, i niebываłych w niem doznał kolei. Wyjątkowem zdarzeniem dwa razy był przyjmowanym, dwa razy wykreślanym z pocztu akademików, pod wpływem politycznych przemian, które nie odmieniły jego poglądów na doczesną nieśmiertelność. Stojąc u szczytu dostojęństw, powtarzał stale, iż niczego w świecie tak żywo ani tak wytrwale nie pragnął, jak dostać się pod kopułę pałacu Masarin.

Sypały się nań zaszczyty i beneficya, życie łatwem i szerokiem płynęło korytem. Wtem wybiła godzina walki, wydobywając z ks. Maury przymioty niezrównanego szermierza i mowcy politycznego. Wybrany przedstawicielem kleru do Zgromadzenia prawodawczego, rozwinął odrazu tak gromonośny talent, zdobył tak niebывałą popularność, okazał tak szaloną odwagę wobec pogróżek i samejże śmierci, że stanął na wyżynach, z których go nawet późniejsze błędy nie straciły. Nie zatęrzyły też one wdzięcznej pamięci jego zrazu dzielnego bojowania w obronie prawdy i prawa. Śmiałość słowa rzadkim bywa przymiotem w epokach terroryzmu rewolucyjnego. Między innymi warto przypomnieć dzielny opór ks. Maury przeciw narzuceniu duchowieństwu cywilnej

konstytucyi, która, zdaniem Talleyranda, jednego z jej twórców, okazała się być najwალniejszym błędem zmieniającego się ustroju rzeczy i rządów.

Długo ks. Maury wytrwał na zagrożonym posterunku. Wkońcu widząc jawnie, że niczemu przeszkodzić, żadnego gwałtu zażegnać nie potrafi, współ z wielu innymi wyszedł na obczyznę. Stanowisko, jakie zajął wśród sporów Zebrania narodowego, zjednało mu było przychylność Stolicy apostolskiej, i już od r. 1791 mianowanym został kardynałem *in petto* w uznaniu niemałych zasług, położonych dla sprawy Kościoła. Wiedzano dobrze, iż nie szczędził rad i zakłęg, aby Ludwika XVI. pchać na tory stałego oporu, nie zaś małodusznych ustępstw. Gdy wraz z innymi, później tylko od innych, emigrować postanowił, zaproszono go do Rzymu, gdzie Pius VI. serdeczne zgotował mu przyjęcie. Odrazu Maury ściśle się zaprzyjaźnił z młodym audytorem rot, który następnie miał zasłynać w dziejach jako kardynał Consalvi. Obrótnego Francuza Stolica apostolska rychło jęła używać do rokowań dyplomatycznych. Lecz dyplomacya nie była nigdy właściwem polem czynności i zdolności Maury'ego. Nie umiał zachować tajemnicy, z wszystkiego się wygadał, ruchliwość wewnętrzna i zewnętrzna nie dała się spętać poselską godnością. Dowiep tylko, dowcip cięty a gotowy, był mu podręczną bronią; konceptami sypał niebacznie na wszystkie strony, i nie byłoby końca przytoczeniom, gdybyśmy wszystkie jego trafne słowa i uwagi przypomnieć chcieli. Raz np. przejeżdżającego przez Koblencę wysłannika Stolicy apostolskiej, francuscy książęta i emigranci pytają, kiedy papież nareszcie ciśnie ekskomunikę na sprawców rewolucyi. „Kiedy wy zwyciężycie i rozproszycie jej wojska — odpowiada bez wahania Maury — potrzeba mu bowiem waszych szabl, aby swoje zatemperować pióra“.

Rzym nazaczył Maury'ego nuncyuszem, mającym przedstawiać Watykan podczas elekcyi i koronacyi cesarza Franciszka II. we Frankfurcie. Powróciwszy z tej misyi, którą ku ogólnemu spełnieniu, otrzymał na prośby Ludwika XVIII. kapelusze kardynałski i tytuł biskupa w Montefiascone, a wkrótce upadła dynastya nazacza go swym przedstawicielem i posłem urzędowym przy Stolicy apostolskiej.

Wojownicze usposobienie nowego kardynała ani na chwilę nie składało broni. Z zagranicy, od stóp Piotrowych, wiódł on bój zacięty ze schyzmą, spowodowaną we Francyi cywilną konstytucją kleru. Ścięgał wyrzutami składających nową przysięgę, papieża naglił o wyklęcie intruzów, biskupów czy proboszczów, przez rząd rewolucyjny miano-

wanych. Nie przypuszczał żadnej temporyzacji, względności, odwłoki, ustępstwa. „W rzeczach wiary kapitulacji niemasz — ani wygnanie, ani śmierć męczeńska nikogo zastraszyć nie powinna“. Tracą nieco owe apostrofy na znaczeniu, kiedy się wspomni, iż je słał w warucisku ubezpieczony od prześladowania emigrant, który sam miał później się ugiąć i w ustępstwach pójść dalej, aniżeli mu sumienie wskazywało.

Wtem w r. 1798, u progów nowego stulecia, widnieje ewentualność zmiany pontyfikatu. Ludwik XVIII. bez ogródki wysuwa przypuszczalną kandydaturę kardynała Maury na następcę Piusa VI. Maury nie bierze na seryo owej królewskiej mrzonki, ale mu ona oczywiście pochlebia. Zresztą w konklawe ma on odegrać wspólnie z dawnym przyjacielem, Consalvim, rozstrzygającą rolę. Ich to wspólnym usiłowaniom Pius VII., Chiaramonti, zawdzięcza swój wybór niespodzianem ugrupowaniem stronnictw, które od trzech miesięcy do żadnej nie mogły dojść rezolucyi i końca.

Pamiętnik ów nabiera osobnego znaczenia w czasie pamiętnego weneckiego konklawe przy kościele San Giorgio Maggiore. Ciężkie pióro i dowcip Maury'ego igra tu złośliwie, nie szczędząc docinków i szyderstw. W lot chwytą on i wyśmiewa każdą intrygę, wykręt, podstęp i współzawodnictwo. Za Ganganellim powtarza, iż konklawe jest miejscem pokłonów, pogard i podejrzeń, *un luogo di rispetti, di dispetti e di sospetti*; konklawe ma to podobieństwo z żegluga po morzu, iż nigdy nie wiadomo, kiedy się stanie u celu. Takich uwag nie brak w toku pamiętnika. A osobiste dogryzki, choć bardzo zabawne i nieraz trafne, nie dowodzą w piszącym dobrego serca. Nikogo nie oszczędza, nawet tych, którzy rozbitka rewolucyi gościnnie przygarnęli i łaskawie przyjęli. Mnożą się tu pod jego piórem zaklęcia namiętnego rojalizmu, wyrazy legitymizmu skrajnego i bezwzględnego. Spokojniej a donośniej brzmią słowa nowego papieża, który w chwili swej koronacji, niby proroczym ożywiony duchem, zawołał: „Poświęcam się na wygnanie, na pęta, na śmierć samą. Niegodzien jestem niczego innego i tylko błagam Boga o zmiłowanie dla Kościoła!“ Rzewna ta prośba miała być wysłuchaną i *peregrinus mundi* — jak Piusa VII. oznaczyło pro-roctwo bisk. Malachiasza — doczekał tryumfu papieżstwa i swego powrotu do wiecznego Miasta.

Ludwik XVIII. wobec nowego papieża występuje jako monarcha Francyi, z pewną naiwnością pretendenta mianującego własnego posła przy Stolicy św., podającego listę kandydatów do opróżnionych posad

biskupich, i naglącego, aby papież nie przychyłał się ku żadnym rokowaniom ani układom z potwornymi rządami, które w zmiennej formie od lat dziesięciu sterowały Francją. W przeczcuci świtającego konkordatu, najrozumnieszego aktu młodego zwycięzcy, tak Ludwik XVIII. jak kardynał Maury zdają się zapominać o interesie religii, aby tylko politycznym folgować namiętnościom. Nie rozumieją, że Ojcu chrześcijaństwa przedewszystkiem chodzić musi o uregulowanie kultu i stosunków kościelnych, o zaopatrzenie potrzeb duchowych katolików francuskich, że w takich razach kwestye dynastyczne i polityczne schodzą na drugi plan, że świeckie względy nie mogą być brane w rachubę, kiedy duszne interesa są w grze, i że sprawy monarchiczne muszą być podporządkowane sprawie religii. To też Pius VII. nawet po latach wielu nie przestawał nazywać konkordatu, z Napoleonem zawartego, aktem zbawczym i zbawiennym, chrześcijańskim i bohaterskim.

Nie pojmwali tego ani Ludwik XVIII., ani jego wysłaniec. I tu jeszcze raz zmierzyć można wszystkie trudności, jakie po wsze czasy znachodzi Namiestnik Chrystusowy, aby się podnieść nad fałujący poziom ludzkich namiętności, widoków i względów, aby nieśmiertelnych tylko strzedz interesów. Ludwik XVIII. posuwa się aż do protestowania przeciw konkordatowi, zawartemu z samodzierczą; Maury chciałby wzbudzić wśród episkopatu francuskiego jednomyślny opór przeciw układom, wracającym Francji pokój religijny. Zrozumieć trudno, jakim sposobem monarcha chrześcijański i dostojnik Kościoła posuwać mogli zaślepienie polityczne aż do zapoznawania najwyraźniejszych potrzeb i korzyści dusz i winnicy Pańskiej. Ludwik XVIII. przynajmniej zdala tylko słał manifesta i protestacye. Maury w Rzymie mącił, do Francji pisał i bruździł, gdzie się dało. Postanowiono go usunąć, na miejsce pobytu naznaczając mu ustronną biskupią stolicę w Montefiascone. Rekolekcyje te przymusowe miały sprowadzić nieprzewidziany zwrot w kotłującym umyśle Maury'ego. Nudził się na śmierć w zacieśnionych ramach działania osobistego, tęsknił za szerszem polem czynności, za warem sporów i wypadków. Fala tych ostatnich płynęła tymczasem przyspieszonym pędem. Napoleon, ułożywszy się z Kościołem, pragnął się uporać i z Burbonami. Za radą Talleyranda, podsuwającego środki ostatecznego poniżenia dawnej dynastyi, nowy władca Francji ofiarowywał Ludwikowi XVIII. indemnizacyę za odstąpienie swych praw do korony i wyrzeczenie się ich niepowrotne. Oczywiście następca św. Ludwika nie przychylił się do podobnej frymarki odwiecznych praw swej rodziny. Darma mu Napoleon za przynętę stawiał

naprzemian Polskę lub Lombardję. Król-wygnaniec głuchym pozostał na wszystkie namowy i pokusy, z godnością odrzucając nikczemne targi, których spełnienie przypuszczał biskup-odstępca, teraz minister Napoleona, Talleyrand. Kto sam wszystko zdradził i wszystkiemu się sprzeniewierzył, już nie wierzy w podniosłość ducha i szlachetną godność drugih.

Wrażliwy Maury ulegał tymczasem olśnieniu, dawał się opanować chorobie czasu, nazwanej trafnie *le vertige napoléonien*. W najlepiej zrównoważonych głowach mąciło się na widok idących po sobie zwycięstw, ustalających się niby na całe wieki odmian i podbojów. Większa część biskupów stanęła po stronie nowego władcy. Pustelnik z Montefiascone nie mógł wytrzymać w swej ustronnej samotni. Nagle, po najzarliwszych wyznaniach wierności Burbonom, dawny przeciwnik rewolucyi podał rękę jej pogromcy i w r. 1804 z podniesioną przyłbicą przystąpił do cesarstwa. Wymownym listem, napisanym do Napoleona, usprawiedliwiał ten swój krok niespodziewany. Ucieszony podobnym tryumfem, cesarz ów list ogłosił w *Monitorze*. Powstała wrzawa nie do opisania. Rojaliści oczom swym wierzyć nie chcieli, a wściekłe ich okrzyki potępienia odrazu zgłuszyły pamięć mnogich zasług wypróbowanego niegdyś szermierza. Lecz i on sam rychło zabrał się do ich zatarcia. Oczarowany geniuszem Napoleona, z żarliwością neofity dał się uwieść sidłom cezaryzmu i przejął się widokami nowego pana. Powodzenia samodzierżcy poprostu upoiły południową wyobraźnię Maury'ego. Stracił miarę i rozeznanie, nawet w zakresie praw i spraw duchownych: jał miotać się przeciw uduchownianiu politycznych w Rzymie interesów, wyrzekać na zapóźnioną oporność Stolicy apostolskiej. „Kiedy świat cały się ugiął — powtarzał — i Rzym poddać się musi“. Wobec stałości, z jaką papież opierał się wdzieraniu się Napoleona w dziedzinę duchowną, Maury ubolewał tylko nad źle stosowanym oporem. „Ilekróć skutek użytej siły nie bywa dobrze naprzód obliczonym, tyle razy nie jest już ona niczem innem, jeno słabością i dzieciństwem“.

Wbrew słowom Maury'ego, wiemy, iż owa to słabość Piusowa ostatecznie zmódz miała napoleońską potęgę i siłę. Tymczasem stan rzeczy się mącił, widnokręś zachmurzał. Papież odmówił kanonicznej instytucji biskupom, przez cesarza ustanowionym, Maury wymyślił obejście trudności naznaczeniem na oficyałów i administratorów dyecezyj tych właśnie nieinstytuowanych nominatów, i sam miał dać przykład zgorzenia, obejmując w ten sposób rządy archidyecezyi paryskiej. Niestety! odtąd upojony wielkością Napoleona, a struty cezaryzmem, kardy-

nał stacza się po pochyłości coraz zupełniejszego z dawną wiernością Kościołowi rozbratu. Czy w sprawie unieważnienia kanonicznego pierwszych ślubów cesarza i rozvodu z Józefiną, czy w synodzie paryskim, czy w komisji duchownej z r. 1811 — zawsze Maury stawia odtąd po stronie samowładcy, przeciw papieżowi. Odezwy jego, listy pasterskie tchną ukorzeniem się przed gwiazdą Napoleonską i zapomnieniem obowiązków wobec Stolicy apostolskiej. Słabość ludzka uwydatnia się w tych smutnych kartach, ludzkie zmiennictwo jaskrawo występuje. Im gorętsze bywały zakłęcia wierności, tem rychlejszy upadek i przeniewierstwo. Nim kur zapieje, trzykroć się Piotr zaprze Mistrza. Zwolennicy surowości i represyi, walki nieprzejdanej szermierze, pierwsi niekiedy broń rzucają lub obozy zmieniają. Ochotnemu duchowi nietylko się mdle ciało, lecz i fantazyja wrażliwa nieraz sprzeniewierza. Darmo Maury po upadku Napoleona chce dawne wznowić z Burbonami stosunki. Odrzucają go z bezwzględnością, której nie zastosowano do innych, skrajniejszych i winniejszych stokroć odstępców. — Czas wracać do Montefiascone. Ale tam znów papież kanonicznie zawiesił wszelką jurysdykcję byłego biskupa. Maury jedzie do Rzymu, żąda śledztwa i sądu. Rozpoczyna się proces kanoniczny, z roztropną powolnością wiedziony. Wtem Napoleon wraca z Elby, obawa intryg Maury'ego zniewala rząd papieski do zamknięcia go w warowni św. Anioła. Podczas czteromiesięcznego surowego uwięzienia, Maury ulega zarazie szkorbutu i trądu, znosząc z poddaniem i cierpliwością tak ciężkie doświadczenia i próby. Odzyskawszy nareszcie wolność, żył odtąd na uboczu w zupełnem niemal osamotnieniu. Jeden tylko kardynał Consalvi nie opuścił dawnego przyjaciela i nie szczędził mu pociech ni pomocy. Syt zawodów i rozczarowań, wyniszczony długą a przykrą chorobą, kardynał Maury umarł w maju 1817 r. Pochowano go w Chiesa nuova, obok kardynała Baroniusza.

Taki był koniec człowieka, który napełnił całą Europę odgłosem swego nazwiska i wymowy, który stawiał czoło takim mowcom, jak Mirabeau, walczył z pospólstwem i z pochlebcami motłochu, był przedstawicielem i wysłańcem dworów, ulubieńcem książąt, rządcą archidiecezyi paryskiej, ozdobą Akademii i cesarskiego dworu. Skrucha i cierpienia ostatnich lat, pokorne błędów swych wyznanie, pokutne zadośćuczynienie za dawne zboczenia poddaniem się karzącej ręce bożej — wszystko to okupiło chwile słabości, zatarło wspomnienia win i nadwątlenia woli, a uwydatniło raczej pierwszy zasłużony okres żywota dzielnego obrońcy Kościoła i prawdy w początkach ery rewolucyjnej. Zawiele bujności, nadto niepohamowanej fantazyi było w tym człowieku;

to nam może wytłumaczyć, a nawet w pewnym stopniu usprawiedliwić jego postępowanie. Uniesion przyrodzoną wrażliwością, szedł dalej aniżeli zamierzał, dalej aniżeli się godziło. Mimo tego był to mąż niepospolity talentem, niezwykły odwagą. Zostało po nim mnóstwo słów trafnych i dowcipnych. Zpśród wielu warto jeszcze przytoczyć odpowiedź, daną koledze z Akademii, zaprzeczającej mu tytułu, z jego godnością związanego — „alboż tak wysokie masz o sobie mniemanie, alboż się tak bardzo cenisz?“ „Niewiele, gdy się sam mierzę, niezmiernie, kiedy się z drugimi porównywan“ — odparł Maury.

Na tem zamknijmy nasze sprawozdanie z książki nad wyraz ciekawej, a przewyższającej duchem szczerości ułożone, wyszlifowane i pobocinane pamiętniki Talleyranda, które po długiem oczekiwaniu zawiodły ostatecznie czytającą publiczność i badaczy prawdy dziejowej.

M.

Życiorys świętobliwej Siostry Róży, Zakonnicy Konwerski PP. Norbertanek, Założycielki Arcybractwa Mszy wynagradzającej. Opisany przez *Artura Lotha*, z zapisków Jej własnoręcznych (tłumaczenie z francuskiego). Kraków. Nakład i własność PP. Norbertanek na Zwierzyńcu pod Krakowem. 1891.

Nieznanemu tłumaczowi zawdzięczamy przekład żywotu, skreślonego ręką znanego z wielu prac podobnych Artura Lotha. Autor przedstawia oczom czytelnika sługę bożą, światu prawie nieznaną, z niższych warstw społeczeństwa pochodzącą, jako potężne narzędzie w rękę bożem, do przeprowadzenia jednego z wielkich dzieł swego miłosierdzia. Dziełem tem Arcybractwo Mszy wynagradzającej, zatwierdzone przez Leona XIII., odezwą z 24 sierpnia 1886 r., a z dniem każdym wzrastające po świecie chrześcijańskim; założycielką zaś jego uboga wyrobnica, Magdalena Griselain, która pod nazwą Siostry Róży Norbertanki zmarła w opactwie Bonlieu 21 października 1882 r.

Siostra Róża umarła zakonnica, ale życie jej pełne wzniosłych przykładów dla wszystkich niemal stanów: dla dzieci i dziewcz, żon i matek. Męża miała półgłówka, a przecież na chwilę nie ustała, nie zniechęciła się do wiernego, miłością już nietylko przyrodzoną ożywionego spełniania obowiązków, u stóp ołtarza przyjętych. Pracą rąk na życie zarabiając, umiała tę pracę uszlachetnić, do Boga ją kierując, modlitwą z pracą łącząc. Rozdział XIII., noszący tytuł „Apostolstwo“, odkrywa nam tysiączne te sposoby, którymi się posługuje gorliwy katolik do rozszerzania czci bożej. Wreszcie zakonnicy i wogóle ludzie dążący do doskonałości, znajdujący w zaciszu klasztoru Siostrę Różę,

ubogaconą skarbami cnót heroicznych, zdobytych walką i pracą długiego życia wśród świata. Żywotowi Siostry Róży, przeważnie ułożonemu z własnoręcznych jej notatek, dodają niemałego uroku i wartości wzniosłe myśli, skreślone ręką tej ubogiej wyrobnicy. Uwagi te nacechowane bożem działaniem i natchnieniem, są bardzo praktyczne. Listy czy to do spowiedników, czy też zwłaszcza do syna, ks. Pawła Griselain, ze zgromadzenia św. Wincentego à Paulo, odsłaniają nam tę świętą duszę, płonąca ogniem miłości bożej; okazują, jak miłość ta uświęca miłość macierzyńską, jak ją od wszelkich ziemskich naleciałości i niedostatków jest w stanie oczyścić.

Co do samego tłumaczenia, jest ono wogóle wierne i poprawne. Niektórych wyrażań, jak np.: „nierozbrojna rozważa“ (str. 3), „uciekinierka“ (str. 50), „w słabowniku“ (str. 214), lepiejby było unikać. Przy budowie zdań (np. na str. 4, 16, 209...), brak czasem — bez wątpienia z winy korektora — jakiegoś łącznika, lub znowu, jasność zdania mając, wciska się doń nieproszony i niepotrzebny. Szkoda też, że kilka dobrych zresztą uwag tłumacza, pomieszczonych zostało w samym tekście, a nie w przypiskach.

A. M. W.

Un apprenti modèle. Nunzio Sulprizio. Par le comte *Le Camus*. Société St. Augustin. Paris et Lille. 1891.

Wśród nieprzeliczonych łask, któremi nas Bóg już w doczesnem życiu obdarza, jedną z najcenniejszych i najmilszych jest niezawodnie „Świętych obcowanie“, i to słodkie uczucie, iż mamy w niebie przyjaciół, gotowych nam w każdej okoliczności spieszyć z pomocą i jednać wszystko, czego nam trzeba. Mnożąc i ustalając te wszystkie nici, wiążące niebo z ziemią, a ludzi z wybranymi, Kościół zaczerpnął z każdego pojedynczego żywotu Świętych jaki rozstrzygający powód, aby każdemu też stanowi, każdej potrzebie ludzkiej naznaczyć osobnego patrona. Miały ich dawne cechy, mają dotąd poszczególne rzemiosła. W chwili atoli, gdy podziemne socjalizmu podkopy grożą zawaleniem społeczności chrześcijańskiej, roboty obronne głównie się zwracają ku młodzieży, aby za jej pomocą sypać szanse, któreby uratować zdołały istniejący porządek rzeczy, dopełniając pokojowo dzieła naprawy, gdziekolwiek jej potrzeba się okaże. Ztąd osobna czujność i opieka roztacza się nad czeladzią katolicką, której dotąd brakowało osobnego patrona, a jakby na ciemnię dzisiejszych dni i zawikłań, współczesny niemal Święty z jej łona wkrótce na ołtarzu stanie. Już w lipcu 1859 Pius IX. podpisał wniesienie sprawy biednego neapolitańskiego ko-

walczyka przed Kongregacją Obrządków, która niebawem przyznała tytuł: *Venerabilis*, świątobliwemu Nunzio Sulprizio. Lud zaś włoski tak wziął do serca uznanie cnót nadprzyrodzonych jednego zpośród siebie, iż dziatwa szkółek ubogich w Rzymie i Neapolu dobrowolne robi ofiary, stałe opłaca składki, byle przyspieszyć roboty komisji śledczej i doczekać chwili uczczenia tytułem błogosławionych młodzieniaszka, zgasłego w roku 1836.

Wspaniała bo jest rodzajność katolickiego Kościoła! W chwili, gdy obchodzi trzechsetletnią rocznicę zgonu św. Alojzego, z możnego Gonzagów domu, wraz i krząta się około zamierzonej beatyfikacji ubożuchnego czeladnika kowalskiego, który z tantym zrównany cnotą, wkrótce uznanym będzie patronem młodzieży, a zwłaszcza czeladzi katolickiej.

Dziewiętnaście tylko lat pielgrzymował Nunzio Sulprizio na tej łąz dolinie, która dla niego była miejscem cięższego wygnania, z powodu ukrzyżowanego żywota. Urodzony w 1817 r., w wiosce Abbruzzów, z pobożnych i bogobojnych rodziców, wcześniej ich utracił. Sierotę oddano do wuja, kowala, który w chciwości swej postanowił wyzyskać siły chłopca i opłacić sobie kosztą jego utrzymania. W dziesiątym roku życia przerwać musiał Nunzio ulubione w szkółce nauki, aby pełnić najtwardsze w kuźni posługi. Surowy i dziki rzemieślnik znęcał się nad nieszczęśliwym chłopczynią, bił, deptał, obciążał robotą i posługami przechodzącemi jego siły. Inni czeladnicy nawzór pryncypała dokuczali sierocie. Skutkiem złego obchodzenia się i razów, Nunzio popadł w ciężką, nieuleczalną chorobę: psucie kości, która nie pozwalała mu już stać o własnych siłach, a jeszcze srogi prześladowca przywiązywał go do miechów kowalskich, aby je ciężarem bezwładnego niemal ciała w ruch wprowadzać. Cierpliwy heroicznie chłopczyk, żadnem słowem skargi lub wyrzutu nie zdradził mąk swych, nie szukał pomocy. Obcy ludzie nareszcie spostrzegli, co się w kuźni dzieje, a okaleczalego już Nunzia odebrawszy nieludzkiemu wujowi, wyprawili do Neapolu, gdzie dostał się do szpitala nieuleczalnych, a później znalazł tkliwego opiekuna w osobie pewnego pułkownika wojsk neapolitańskich, który zachwycony jego cnotą i cierpliwością, poczytywał sobie za zaszczyt i błogosławieństwo mieć w domu takiego pensjonarza. Chwilowe polepszenie dało młodzieńcowi nadzieję, iż mu się uda wstąpić do Franciszkanów ścisłej obserwancyi; ale rychło przekonać się musiał, iż inne miał Bóg nad nim widoki, przepalając go szybko w ogniowej próbie coraz cięższej i boleśniejszej choroby. Miewał chwile tak strasznych cierpień, iż powtarzał wtedy, jakby dla dodania sobie

odwagi: „O wolo święta, wolo Boga mego, przybądź mi na ratunek“. Nieraz część ciała większymi dotkniętą bólami obejmował ręką i przedstawiał Panu w ofierze dobrowolnie przyjętej pokuty i męki; a zarazem przykładem wszystkich dokoła budował. Apostolstwo rozpoczęte cierpliwością w kuźni okrutnego majstra, teraz rozciągał do współtowarzyszów niedoli w szpitalu, później zaś do domowników zacnego pułkownika Wochingera, do dzieci, które się garnęły do świątobliwego chorego i pod jego oknem czekały słodkich słów zachęty ku dobremu. Na dniu 5 maja 1836 skończyły się męki dziewiętnastoletniego młodzieńca, a wymęczone jego ciało odrazu zajaśniało dziwną krasą i pięknnością. Cały Neapol zabrzmiął wieścią, że *il Santo* oczy zamknął. Zewsząd ciśnięto się, aby jego nieziemską podziwiać urodę i anielskiemu przyjrzeć się obliczu. Umarł jak Święty, nie zatraciwszy niewinności dziecięcej. Wnet nadzwyczajne cuda ubłogosławiły grób jego w San Michel de Portalba, na którym widnieje już tytuł, przyznany mu wyrokiem Kościoła: *Hic jacet corpus Ven. Servi Dei Nuntii Sulpriti*.

Jednocześnie innymi cudzy zasłynęła jego kolebka, wioska Pescosansonesco, oraz źródło zwane Riparossa, tryskające u stóp Czerwonej Skały, gdzie zwykł był obmywać skatowane swe i zbolące członki.

Osobne życie młodego czeladnika kowalskiego napisał ks. Pica po włosku; obecnie z tej szerszej pracy podaje nam streszczenie tłumacz francuski, w ślicznym wydaniu Towarzystwa św. Augustyna. Jestto związek ku upowszechnianiu dobrych i tanich książek, któremu już wiele zawdzięczamy wybornych publikacji. Taniość ich jest zdumiewającą, zważywszy staranność druku i ozdobność formy. To np. życie Nunzia Sulprizio, pełne rycin i wcale dobrych ilustracji, liczące około dwustu stron druku, kosztuje zaledwie 90 centymów, ze znacznymi jeszcze ustępstwami dla towarzystw czeladzi katolickiej i przewodników robót społecznych, którzyby większą ilość egzemplarzy zamówili. Śliczny obrazek św. młodzieniaszka, z godłami jego rzemiosła, siedzącego w zachwycie nad źródłem, znajduje się na początku. A już samaż kartka tytułowa, stylowo wykończona i cechująca wszystkie druki Towarzystwa św. Augustyna, zapowiada wykintność książek, które otrzymujemy z zasłużonych rąk pp. Desclée, De Brouwer i spółki, mających zakłady i biura swoje w Bruges, Lille i w Paryżu. Życie świątobliwego kowalczyka zasługuje na przekład polski, o który wkrótce się postaramy.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Okólnik W. Mistrza Wschodu Rzymskiego. — Agitacya przeciw prawom gwarancyjnym. — Mowa Rudiniego. — Dwa antychrześcijańskie rozporządzenia rządu włoskiego. — Proces arcybiskupa z Aix. — Postulaty paryskiego kongresu wolnodumców. — Prześladowanie chrześcijan w Chinach. —

Walka z niemoralnością w Berlinie, Paryżu i Wiedniu.

OKÓLNIK W. MI-
STRZA
LEMMIEGO.

Odgłos rozpoczętych w Panteonie, przeniesionych następnie na ulice Rzymu rozruchów przeciw papieżowi nie ucichł dotąd; przeciwnie, coraz wyraźniej okazuje się, że była to tylko przegrywka do otwierającej się nowej ery żadnymi już względami i pozorami nieosłoniętego prześladowania. Łoża wydała dotąd zrzadka tylko i z pewnym wstydem powtarzane hasło: „Precz z prawami gwarancyjnymi!“ — i aby hasło to z większem powodzeniem w obieg puścić, zorganizowała smutne burdy z 2 października; a rząd, choć głośno i teoretycznie za prawami gwarancyjnymi się oświadcza, to milczkiem i w praktyce nie powstrzymuje, lecz forytuje wymierzoną przeciw nim agitację. Zamiary i urzędowe niejako stanowisko łóż wolnomularskich zaznaczył jasno, bez niepotrzebnych już dziś omówień i zastrzeżeń, Wielki Mistrz „Wschodu Rzymskiego“, Adryan Lemmi, w datowanym 5 października, a ogłoszonym we

wszystkich gazetach okólniku do łóż włoskich. Oto najważniejsze z niego ustępy:

„Chwila działania nadeszła! Przypomnijcie sobie wygłoszoną przeze mnie mowę na ostatniej naszej agapie, i okólnik pod n-rem 43 o zniesieniu papieskich praw gwarancyjnych. Musimy, i to natychmiast, stoczyć z wrogami ojczyzny walkę, jakiej dotąd jeszcześmy nigdy nie toczyli — walkę rozstrzygającą. Znacie ostatnie rzymskie wypadki... Uczą nas one, że raz zakończyć tę sprawę musimy, że należy siekierę do korzeni przyłożyć, uniemożliwić dalsze zaczepki, znieść gwarancye: bo zbrodnia jest i szaleństwem pozostawiać nieprzyjacielowi wolność spiskowania, bezkarność występk.

„Ruch się już rozpoczął; niechże Łoże z całą energią biorą w nim udział, niech nie zwlekają, nie bawią się w umiarkowanie. Przewielebni, otrzymawszy ten okólnik, zwołać mają natychmiast poddane sobie Łoże na posiedzenie nadzwyczajne i postarać się wspólnie o utworzenie odpowiednich komitetów, podczas gdy prasa będzie dalej oświecać i poruszać opinię; słowem, należy organizować wiece, manifestacye.

„Opinia publiczna jest za nami, rząd nie będzie się mógł jej sprzeciwić; działajmyż zatem! Chcemy Rzymu nietykalnego, chcemy zabezpieczenia praw i całości ojczyzny!“

AGITACYA
PRZECIW PRA-
WOM GWARAN-
CYJNYM.

Adryan Lemmi przesiedział podobno zamłodu cały rok w więzieniu w Marsylii, skazany na tę karę za prostą kradzież; mniejsza o to, dziś jest Wielkim Mistrzem, a przeto jego rozkazom należy się cześć i posłuszeństwo. Prawie wszystkie łoże włoskie i znaczna liczba zagranicznych: niemieckich, szwajcarskich, angielskich, francuskich, a na pierwszym miejscu Wschód Paryski, nadesłały Lemmiemu gorące podziękowania i zapewnienia, że popierać go będą z całych sił w podjętem wielkiem dziele. Włoscy masoni, posłuszni wezwaniu, „nie zwlekają, nie bawią się w umiarkowanie“. Menotti Garibaldi i Crispi wydali w formie otwartych listów manifesty przeciwko prawom gwarancyjnym, „dla rozbudzenia i podtrzymania agitacyi“, jak to zalecał, rzeczy w bawełnę nie

obwijając, okólnik Lemmiego. Pierwszy zapowiedział wielkie zebranie przywódców antyklerykalnych stowarzyszeń i przedstawicieli całej „liberalnej prasy włoskiej“, w celu ułożenia wspólnego programu do energicznej walki przeciw gwarancyom, które, „jak pokazało doświadczenie, są li tylko źródłem ciągłych zniewag, krzywd, wyrządzanych budowie państwowej i narodowej godności, tj. większości trzydziestomilionowego narodu“. „Nie będąc tu na miejscu — pisał znów Crispi pod adresem jednego z paryskich swych przyjaciół — nie jesteście w stanie należycie ocenić i zważyć, jaką bezustanną wojnę Watykan z nami toczy, wojnę bez pożytku dla siebie, ale bądźco bądź wojnę. Papież tak jest ślepy, że nie widzi, że katolicyzm we Włoszech traci dnia każdego na sile; nie rozumie, że w razie wybuchnięcia wojny, skierowanej przeciw jedności włoskiej, wszyscy tu za bronią chwycili: mężczyźni, kobiety, dzieci, byle ojczyznę bronić“.

Jednym rzędem z manifestami przywódców idą w stolicy i na prowincyi ręką wprawnych agitatorów zorganizowane uliczne manifestacye, „anty-gwarancyjne“ wiece, mowy, obchody i pochody. „Precz z Papieżem! Precz z pielgrzymami!“ — wołać kazano i wołano; niektórzy prefekci, jak np. senator Rossi w Catanzaro, dodawali powagi i uroku tym manifestacyom, występując sami z publicznemi mowami przeciw Francyi i przeciw papieżstwu; dawni garybaldecyzy urządzili na polach bitwy pod Mentaną wielką uroczystość na cześć „wschodzącej już, zbliżającej się szybkim krokiem, wbrew zdrajcom i żołdakom, włoskiej rzeczypospolitej“; na pohybel „papieskiej tyranii i owej najsromotniejszej hańbie, której nazwa: prawa gwarancyjne!“

MOWA
RUDINIEGO.

A rząd włoski, jakże zachowuje się wobec tej na tak szeroką skalę rozwiniętej agitacji? Wtedy nawet, gdy z okrzykami przeciw Leonowi XIII. mieszają się okrzyki przeciw królowi Humbertowi, nie ma siły czy chęci nakazać milczenia z przynależną energią — cóż dopiero, gdy groźby i kłatwy zwracają się przeciw samemu tylko Watykanowi? Urzędowo musi wprowadzić jeszcze, dla pewnej przyzwoitości i ze względu na zagraniczne mocarstwa, stawać w obronie praw gwarancyj-

nych, ale już dziś z nieszczerej tej obrony widać doskonale, że byle okoliczności nieco się zmieniły, to i teraz rząd poddałby się z ochotą, jak tyle razy dawniejszy rząd piemoncki się poddawał, „jednomysłnej woli narodu“. Dzisiejszy, dla publiczności przynajmniej, dla Europy przeznaczony program rządu włoskiego w tym kierunku, nakreślił prezes ministerium Rudini w programowej swej przemowie, wygłoszonej w Medyolanie:

„Mamy u siebie na komornem (*in casa*) papieństwo, które przybiera czasami groźną względem nas postawę, ale które i u nas powstrzymywane jest w granicach duchownej swej władzy, i to nie tylko siłą prawa, nie pozwalającego bezkarnie przeciw sobie wykraczać, ale i jednomyslną zgodą samychże nawet wierzących i modlących się. Tradycyjna już dziś nasza polityka kościelna, będąca zaszczytem i siłą królestwa włoskiego, będzie i nadal skrupulatnie zachowana. Smutne, przez kilku umysłowo ślepych wzniecone wypadki, nie zawrócą nas z obranej drogi, po której dotychczas kroczyliśmy. Dla takiej drobnostki nie poddamy pod dyskusję zasadniczych praw włoskiego państwa; dla takiej drobnostki nie tkniemy się umieszczonych w statucie, niezmiennych praw gwarancyjnych, których mądrość i pożyteczność dość już długie doświadczenie stwierdziło.

„Włochy nie zapomną nigdy, jaką cześć winny wolności sumienia i z taką chwałą w kraju naszym kwitnącej tolerancji religijnej. Pielgrzymi ze wszystkich części świata, bezpieczni pod opiekuńczemi skrzydłami praw naszych, będą mogli zawsze do Rzymu podążać i składać tutaj swe hołdy Papieżowi. My dzisiaj silni, o jutro nie trwożący się, możemy bez obawy zabezpieczyć Papieżowi jak największą wolność, możemy mu jednocześnie oddawać królewskie honory“.

ANTYCHRZE-
ŚCIAŃSKIE
DEKRETY.

Oryginalnym dowodem głoszonej przez Rudiniego z takim patosem wolności i tolerancji religijnej, są dwa świeżo wydane dekrety: o obowiązkowym wykładzie teorii Darwina w szkołach średnich i o obowiązkowych ślubach cywilnych w armii włoskiej. — „Ślub kościelny — czytamy w obojętnym edyktie — nie zmniejsza w niczem winy oficerów, nie

połączonych z odnośnemi kobietami ślubem cywilnym; okazuje przeciwnie jeszcze w jaskrawszym świetle brak winnego posłuszeństwa“... Przeciw ostatniemu temu edyktowi zaprotestowało w otwartych listach mnóstwo żon oficerskich; przeciw pierwszemu dekretni wystąpił w żywych słowach *Popolo Romano*, właśnie ze stanowiska wolności sumienia i nauki:

„Kwestya, przez wiedzę w całej pełni nie przyjęta, wątpliwościom przeróżnym podlegająca, nie może i nie powinna być przedmiotem nauki w szkołach średnich. A czyż darwinizm przesłał już być hipotezą, czyż wymazane już z pamięci naszej nazwiska wielkich przyrodników, którzy go zwalczali i podziśdzien zwalczają? Nie mówiąc o Lineuszu i Cuvier'ze, stają do boju w rzędzie nowszych badaczów: Agassiz, De Quatrefages, Jan Murray, Bianconi, Stoppani, Diorio i t. d. Daleko więc chyba jeszcze, zanim będziemy mogli powiedzieć, że darwinistyczna teoria powszechnie jest przyjęta, jak przyjęta jest np. mechaniczna teoria ciepła i powszechnego ciężenia. Z drugiej strony, teoria ta obudza tak żywe i namiętne rozprawy (dość wspomnieć o Haecklu, Canestrinim, Morsellim), iż nie należałoby poddawać jej pod sąd umysłom zbyt młodym, nie zdolnym wyrzec o niej ani jednego słowa na seryo. Nowy dekret gwałci niemniej wolność nauczających. Nie wszyscy przecież profesorowie historii naturalnej są zwolennikami darwinizmu, a między tymi, którzy go odrzucają, wielu bez wątpienia powoduje się drogiemi sobie, nie tak łatwo dającemi się wykorzenić przekonaniami. Jakiemże prawem śmie minister jednym pociągnięciem pióra zadawać gwałt ich sumieniu? Dla tej samej przyczyny, która nie pozwala nakładać nauczycielom obowiązku zwalczania tej nauki, niewolno też nakładać im obowiązku rozszerzania jej. I rodziców i rodzin nie trzeba z okazywać; nie nadto łatwiejszego, jak dać się pociągnąć przez tę teorię na teren kwestyj religijnych, i to w sposób bynajmniej nie przychylny, z umiarkowaniem się nie liczący. Dość zacytować gwałtowne wycieczki Haeckla, aby nabrać przekonania, że niektórzy profesorowie posługują się tą teorią w zupełnie innych, a nie w naukowych celach. Niechże więc minister Villari

zważyć zechce, czy nie mamy racji, domagając się prawdziwego uszanowania wolności sumienia i myśli dla uczniów, ich rodzin i nauczycieli. Być może, że paru zbyt gorliwych współpracowników dalej go popchnęło, niż sam — jak przystało na tak znakomitego pedagoga i uczonego — iść zamierzał. Cofnąć się zawsze jeszcze czas“...

PROCES
ARCYBISKUPA
Z AIX.

Przeciw w najwyższym stopniu nietaktownemu okólnikowi ministra Faillières do francuskich biskupów, w którym zakazywał im uczestniczyć w dalszych pielgrzymkach do Watykanu, nadesłało wielu biskupów bardzo energiczne protesty. Największe wrażenie wywołał w dość ostrych słowach zredagowany list arcybiskupa z Aix, ks. Gouthe-Soulard, tem większe, że tenże uchodził za gorliwego stronnika rzeczypospolitej, a w pewnych granicach i dzisiejszego rządu. Arcybiskup umieścił w swem piśmie następujące zdanie: „Miałeś Pan wiele i bardzo wiele pilniejszych rzeczy do zrobienia, i szkoda, żeś o nich nie pomyślał, zamiast czas tracić na pisanie do nas listu, na akt ten równie smutny, jak nierozumny. Pokój spoczywa czasami na waszych wargach; ale nienawiść i prześladowanie zawsze wyglądają z czynów“. Wyrazy te surowe, ale skreślone pod wpływem aż zbyt słusznego oburzenia, tak rozjątrzyły ministra, że postanowił powołać arcybiskupa przed kratki paryskiego sądu apelacyjnego. W chwili, w której sprawozdanie niniejsze wyjdzie z druku, proces ten, na który dziś uwaga całej Francyi, i nie tylko Francyi jest zwróconą, będzie już prawdopodobnie rozstrzygnięty; dziś mówić o jego wyniku, o możliwych następstwach, byłoby i zawcześnie i niepodobna. To tylko pewnem, że dziś już rząd radby się wycofał, gdyby mógł, z fałszywego tego, zbyt pośpiesznie przedsięwziętego kroku. Siedmiedziestu biskupów francuskich oświadczyło w otwartych listach, że z poglądami, wyrażonemi w piśmie ks. Gouthe-Soulard, najzupełniej się solidaryzują. Cała niemal opinia, cała prasa, z wyjątkiem dzienników najradykałniejszych, sympatyzuje z prześladowanymi, a nie z prześladowającymi. „Niezgrabna to polityka, głupi proces“ — charakteryzuje dosadnie całą sprawę *le Journal*

des Débats; „zupełnie niepotrzebny i nie na czasie“ — pisze *le Jour*; a „w każdym razie robiący z muchy słonia“ — dodaje *la Liberté*. Dzienniki, zostające w ścisłych stosunkach z rządem: *la Paix, le Temps*, nie mogą oczywiście z równą bezwzględnością zdania swego wyrażać, ale że w gruncie nie innego się trzymają, o tem świadczą długie ich, pełne dyplomatycznych omówień formułek artykuły, w których usiłują dowieść, że proces wytoczony arcybiskupowi Gouthe-Soulard, jest wypadkiem drobnym, bez dalszego znaczenia, który w niczem nie powinien osłabić rodzących się sympatyj między katolikami a rzecząpospolitą. Być może, że list arcybiskupa byłby sam w sobie wypadkiem drobnym i bez dalszego znaczenia; ale któż mu je nadał, kto postarał się dlań o rozgłos po świecie całym, jeśli nie sam rząd? „Mówiąc krótko — powtórzyć on teraz sam sobie musi za pisarzem *Figara* — mamy do czynienia z wielkiem głupstwem, z głupstwem raczej, niż z błędem, bo ostatni ten wyraz nie oddaje z dostateczną ścisłością wrażenia, jakie prześladowanie to wywołać musiało u wszystkich spokojnych i rozumnych ludzi“.

Radykali francuscy nie odmówili sobie i w czasie obecnej parlamentarnej sesji przyjemności powtórzenia wracających rokrocznie wniosków: o zniesieniu ambasady watykańskiej, zniesieniu konkordatu, odłączeniu Kościoła od państwa. Wnioski te straciły urok nowości; mowcy powtórzyli stare argumenty i zarzuty, ministrowie wyciągnęli z aktów dawniejsze swe przemowy i wiernie je powtórzyli; przy głosowaniu, znów tak samo jak dawniejszemi laty, rząd postarał się o odrzucenie wniosków, ale o odrzucenie niezbyt znaczną liczbą głosów, aby tak Watykan, biskupów, katolików trzymać w szachu. Wstrętna to sama w sobie komedia; przy rokrocznie ponawiającem się przedstawieniu oczywiście tem wstrętniejsza, a w dodatku i nudniejsza.

KONGRES
PARYSKICH
WOLNODUMCÓW.

Obradujący w Paryżu w ostatnich dniach października kongres „wolnodumców“, na który przedstawicieli swych nadesłało 220 związków i łóz wolnomularskich, postawił i przyjął daleko głębiej sięgający program.

Osobno przez kongres wybrana komisya z 14 członków ma przygotować i przedstawić parlamentowi wnioski, domagające się:

1. Zniesienia klerykalnej przysięgi.
2. Zniesienia prawa, przyznającego Kościołowi wolność grzebania umarłych.
3. Zlaicyzowania wszystkich szkół dla dziewcząt.
4. Przekształcenia wychowania obyczajowego i książek szkolnych w duchu wolności sumienia i dzisiejszych podstaw nauki; odrzucenia niedających się dowieść pojęć metafizycznych, ogłupiających dogmatów i nadzmysłowych straszyleł i widziadeł.
5. Wyrażenia zasady, że urzęda państwowe zajmować mogą li tylko uczniowie wyszli ze szkół państwowych.
6. Zastanowienia się nad pytaniem, czy członkowie, należący do zakonnych kongregacyj, posiadają uzdolnienie, moralność i uczucia obywatelskie, jakich od nauczycielew domagać się należy.
7. Zniesienia opieki i zapomóg państwowych, udzielanych misyom kościelnym za granicą, a natomiast urzędowego rozszerzania w kraju zasad naukowych i demokratycznych.

PRZEŚLADOWANIE Ostatni zwłaszcza punkt jest charakterystyczny.
W CHINACH.

W chwili, w której większe europejskie państwa podają sobie ręce do wspólnej akcyi przeciw Chinom i występują w obronie tamtejszych chrześcijan, jedna Francya ma spokojnie patrzeć, jak chrześcijan na dalekim Wschodzie prześladowają i zabijają; ma się z zajmowanego dotąd, z tak niezmiernym dla siebie samej pożytkiem, stanowiska, dobrowolnie usunąć i innym swego wpływu i znaczenia ustąpić. A jeśli już patryotyczne względy nie zdołały przygłuszyć choć w tym wypadku nienawiści do religii, czyż nie powinny ją były przynajmniej umiarkować czysto ludzkie, humanitarne uczucia? Wedle wiadomości, z Chin nadeszłych, burza przeciw Europejczykom, srożąca się dotąd w prowincyach nadmorskich, przeniosła się już, i to ze zwiększoną siłą, do wnętrza państwa. Kilkadziesiąt, wedle mniemania samychże mandarynów, około 80 stacyj misyjnych zrównanych zostało ze ziemią; nadto bandy chińskich zbójców-fanatyków napadły na kilkanaście innych stacyj, zburzyły cztery kościoły, podpaliły mnóstwo kaplic, nie oszczędziły nawet cmentarzów, wygrzebując, pastwiąc się, urządzając ohydne wystawy

ze zwłok zmarłych chrześcijan. Nie brak już i męczenników za wiarę: w Szensi padli ofiarą rozszalałych tłumów: O. Stefan franciszkanin, i dwie zakonnice franciszkanki: jedna Włoszka, druga Francuzka¹. „Owoc długoletnich naszych prac i zachodów — piszą ze łzami biskupi, misjonarze — przepadł w paru tygodniach. Dziś wszystko nanowo zaczynać musimy; a Bogu jednemu wiadomo, czy kiedy nam nanowo mozolną pracę naszą rozpocząć będzie wolno“.

WALKA Z NIE-
MORALNOŚCIĄ.

W wiedeńskim parlamencie rozwinęły się nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni gorące i interesujące, ale bardzo smutny obraz na nasze stosunki rzucające rozprawy: o szkole, o grasującej po większych miastach niemoralności. Głośny reskrypt cesarza Wilhelma, wzywający rząd i sądy do energiczniejszej walki ze straszną tą plagą, znalazł oddźwięk nie tylko w Berlinie, ale i w dwóch zwłaszcza stolicach, najbardziej obok Berlina plagą tą nawiedzonych: Wiedniu i Paryżu. Jak tu, tak tam wydał rząd nowe, surowsze niż dotąd rozporządzenia, przeciw szerzącym niemoralność obrazom i inseratom; a praktyczne skutki tych reskryptów okazały się już w konfiskatach całej falangi pism ilustrowanych, które dotąd najwstrętniej, a bezkarnie namiętności ludzkie wyzyskiwały. Nadto Akademia nauk moralnych i politycznych podjęła w Paryżu formalną kampanię przeciw pismom pornograficznym; najznakomitsi jej członkowie: Fryderyk Passy, Artur Desjardins domagają się w mowach i memoryałach powrotu do dawnych, surowszych praw, które mogłyby choć w części postawić zapórę temu przelewającemu się ze wszystkich i na wszystkie strony strumieniowi zepsucia. W Wiedniu zwrócił się poseł Kaltenecker przeciw propagowanemu przez *N. Freie Presse* i pokrewne jej organa „kultowi nagości“; a głośny dr. Suess, choć uważał za konieczne skruszyć kopię w obronie swego dziennika, to przecież dorzucił

¹ Szczegółowy a straszny obraz najnowszego tego prześladowania chrześcijan w Chinach, nakreślony wedle listów i sprawozdań naocznych świadków (misyjonarzów), znajduje się w listopadowym zeszycie *Missyji Katolickich*.

również kilka słów oburzenia przeciw drażniącym zmysły piśmom, obrazom, teatralnym przedstawieniom. Możliwie delikatne, krótkie to było potępienie; ale czy i kilku tych słów potępienia, wyszłych wreszcie z ust jednego z przywódców niemieckich liberałów w Austrii, nie mamy w pierwszej linii do zawdzięczenia reskryptowi niemieckiego cesarza? Bądźcobądź, cieszyć się tylko należy, że znalazł się wreszcie ktoś, co rozumiał, jak głęboki i niebezpieczny wrzód społeczeństwo toczy, a stał tak wysoko i miał głos dość donośny, aby wydane przezeń ostrzeżenie rozległo się tysiącennem, zbawiennem echem po świecie całym.

Ks. Jan Badeni.

List z Anglii.

Prasa polska w północnej Ameryce znalazła sobie nowego korespondenta z Europy, o Europie. Jest nim p. Wincenty Żurawski. Piśmo *Ameryka*, wychodzące pod redakcją p. A. A. Paryskiego w Toledo (Ohio), w ten sposób przedstawia swym czytelnikom nabytego współpracownika (nr. z 17 października): „W zeszłym tygodniu rozpoczęliśmy druk „Listów z Londynu“ p. Żurawskiego, uzdolnionego literaty (*sic!*) i dziennikarza. Listy te mają wielkie znaczenie jako materiały do historii emigracji polskiej. Uderzające są fakta te: że szlachta wnet się wynaradawia na obczyźnie i swego pochodzenia się wypiera. Więc tylko z ludu można wytworzyć silną podporę dla ojczyzny! Tak... dlatego, że lud ma wiarę, a szlachta jej się pozbyła. Oświata uszlachetnia ludzi, ale zbytek z szlachty nawet robi podłotę“.

Materyału do historii emigracji polskiej tak już jest mało, że może warto podnieść ze śmiecia, choć czasem, co *gestorum auctores* upuszczają po świecie. Gdy zaś już w Europie aura coraz mniej sprzyja emigracyjno-kronikarskim operacyom, grunt amerykański najlepiej się bez wątpienia nadaje do tego rodzaju posiewów.

Ot zaraz w następującym ustępie tego samego numeru *Ameryki* napotykam taki przyczynek redakcyjny do... a no do historii emigracji polskiej: „Nasz korespondent londyński, p. Żurawski, wyjawia charakter ks. Hryniewieckiego, który jest kandydatem na biskupa apostołskiego dla Polaków w Ameryce. I my sobie przypominamy, że sprawa

z ks. Hryniewieckim akuratnie tak jest, jak ją przedstawia nasz korespondent“.

Jakże ją przedstawia? Na str. 2 znajdujemy pierwszą korespondencyę p. Wincentego Żurawskiego. Redakcyja ozdobiła ją nagłówkami w ten sposób:

W sprawie Biskupa.

Czy ks. Hryniewiecki jest odpowiednim na Wikaryusza Apostolskiego?

Dla Polaków w Ameryce?

Nieco faktów z przeszłości tego dygnitarza. — Nie był wygnańcem, lecz szpekulantem. — Głos nieszczęśliwej Polski w tej sprawie. — Dla czego Watykan trzyma Polaków amerykańskich w poniżeniu.

Po takiej przekasce, idzie natychmiast ważna informacya, może trochę niestrawna, o p. Żurawskim; pisze on: „Niedawno w pismach polsko-amerykańskich wyczytałem, że polscy katolicy w Ameryce chcą mieć swoim biskupem wileńskiego arcybiskupa, ks. Hryniewieckiego. Kiedy wybrano i święcono ks. Hryniewieckiego na katedrę wileńską, ja wtedy żyłem w Petersburgu jako adwokat i literat (czas pewien redagowałem *Pietierburgskija Wiedomosti*, organ Akademii Nauk), zatem bywałem w Wilnie w czasie biskupstwa ks. Hryniewieckiego, znam Wilno i Litwę doskonale, bom ztamtąd rodem, mogę więc wiedzieć dobrze, kto jest biskup Hryniewiecki, i powiedzieć muszę szczerze, że kandydatura jego w Ameryce jest co najmniej niedorzeczna“.

Adwokat, literat, redaktor *Piet. Wied.* (organu Akademii Nauk), człowiek, który bywał w Wilnie, zna Litwę i z niej jest rodem — mąż taki jest niewątpliwie najnieomylniejszem źródłem informacyi o — „sprawie, będącej akuratnie“ tak, jak następuje:

„Ks. Hryniewiecki był prostym, lecz petersburskim księdzem... (*sic!*). Był to zwykły drobny carski urzędnik w katolickiej sukni. Wywnióśł go Maków, który był prawą ręką Morawjowa na Litwie, prowadził tam kwestyę włościańską, tj. burzył chłopów, układał plany kontrybucyi, a potem był ministrem spraw wewnętrznych, tj. ruskim papieżem dla katolików. W naszych czasach w Rosyi nie było takiego złodzieja... jak Maków. Maków z Wilna do Petersburga wywiózł Litwinkę guwernantkę, ta się spowiadała u niejakiego ks. Mokrzyckiego w Petersburgu. Mokrzycki był dobrze z Hryniewieckim, który taką drogą wpadł do domu Makowa i z nim się zaprzyjaźnił. Poprzednik ks. Hryniewieckiego w zarządzie dyecezyi wileńskiej, improwizowany przez Morawjowa, prałat i dr. św. Teologii, ks. Piotr Żyliński, niósł przy zarządzie dyecezyi jeszcze parafię ostrobramską w Wilnie. Ks. Hry-

niewiecki wziął ją i nadto „cudowną“ parafę w Kalwarii pod Wilnem. Obie te parafie dają rocznego dochodu nie mniej jak 150.000 rubli srebrem. Przy Piotrze Żylińskim dochód ten w połowie szedł do Żylińskiego, ćwierć do wileńskiego generał-gubernatora przez Chrościńskiego i ćwierć ministrowi spraw wewnętrznych. Oto, w czym była moc i zasługa Żylińskiego przed rządem, a nie w oprowasławianiu i omoskaleniu Litwy. Ks. Hryniewiecki, zasiadłszy na katedrze wileńskiej, bardzo słusznie sądził, że te 150.000 rs. dzielić nie potrzeba, że w Petersburgu tak go lubią i cenia, że o to waśni szczególnej nie będzie. Pokazało się, że jego eminencya grubo się pomylił, i generał-gubernator, „kochany“ Kochanow, i ministerjum oburzyli się bardzo. Wykreślenie przez biskupa z rubryceli księży Miłaszewicza i Kapciuchowicza, wykreślenie, spowodowane osobistymi pobudkami, wzięto za pretekst do ataku na ks. Hryniewieckiego, i gdy ten nie poznał swego błędu, tj. nie podzielił się ostatecznie dochodami z Ostrej Bramy i Kalwarii, a jeszcze brawował, to poproszono go wtedy do Jarosławia. Ta aureola wygnańca nie powinna zatem nikogo łudzić, tem bardziej, że przedtem mieszkał w Jarosławiu słynny arcybiskup Feliński, który broniąc moskiewską sprawę, tyle nabroił Polakom, że posłano go z powodu jegoż własnego żądania do tegoż samego Jarosławia, w nadziei, że sprawiedliwy gniew Polaków ustanie nad człowiekiem, nibyto cierpiącym na wygnaniu. Rząd rosyjski doskonale może robić wygnańców i emigrantów politycznych z łotrów, ze szpiegów swoich. Kiedym był drugi raz za tegoż Makowa wysłany do wołogodskiej gubernii, to tam była zaledwie czwarta część prawdziwych wygnańców, a reszta byli to, pod pokrywką wygnańców, ostatni szpiegi i wyzywacze policyjni“.

Innemi słowy, były redaktor organu Akademii Nauk twierdzi, że na 5-ciu wygnańców potrzeba rządowi rosyjskiemu w Wołogdzie — 15-stu szpiegów! *Meminisse juvabit*. Czytajmy dalej:

„W Wilnie ks. Hryniewiecki nic dobrego nie zrobił; grosza biednemu nie dał, a nędza tam taka okropna, obcował tylko z Tyskiewiczami i lekarzem Jundziłłem, stronił od reszty, płacił *Dziennikowi Poznańskiemu* i rosyjskiemu dziennikowi, *Novoje Vremia*, żeby o nim mówiono ciągle. Wszystkich księży Morawjowskich: Pacynkę, Biedrzyńskiego, Ratyńskiego, Siemiaszkę, Linkena i t. d., zostawił i miłował, sprowadził sobie z Petersburga ks. Frąckiewicza dla zastępstwa swojego w Ostrej Bramie, w której teraz wschody gniją, ołtarz odarty, kaplica zabrudzona“.

Kończy p. Żurawski, rozkazując Papieżowi mianować biskupem

polsko-amerykańskim jednego z księży polskich w Ameryce, albowiem: „Papież tego odmówić nie może, bo jak Polacy-katolicy, bez swego biskupa będąc, pomyślą o urządzeniu oddzielnego Kościoła polskiego, jakim był np. galikański we Francyi, to myśl taka może być bardzo zgubną dla Watykanu“.

P. Wincenty Żurawski nie byłby „emigrantem“ i twórcyem „materiałów do historyi emigracyi“, gdyby nie dodał i to: „W imię Polski, proszę wszystkie dzienniki polsko-amerykańskie łaskawie przedrukować ten list. Proszę przyjąć wyrazy poważania. (Podp.) *Wincenty Żurawski*, 29 Bolton Gardens, Chiswick, Londyn, w Anglii“.

Któż to pisze? dla kogo? w jakim celu?

Na pierwsze pytanie odpowiada najwymowniej sam jegomość. Widziałem go raz jeden, choć nie wszedłem w rozmowę z nim; liczy najwięcej lat 40, nosi ciemne okulary, śpiewa, mówiąc, cieniutkim głosem. W Londynie bawi, jak sam pisze, od trzech miesięcy. Po angielsku nie mówi ani słowa. Co robi, z czego żyje — nie wiem.

Pisze do gazetki polskiej w Toledo (Ohio), a gazetka wychodzi — czerpiąc dochody z cudownie amerykańsko-angielskich i polskich ogłoszeń — dla polskiego ludu, tego samego ludu, który przed rokiem, przed laty pięciu „wywędrował“ z Westfalii, z Saksonii, z Prus, Szlązka, z Księstwa, z Litwy i z Galicyi. Lud to złożony częścią z tak zwanych „obieźysasów“, częścią z osób stanu kmieckiego i małomieszczańskiego, które wprost zpod rodzinnego dachu wyniosły się za morze — a częścią też zapewne z ludzi, dla których w ojczyźnie miejsca nie było z ich własnej winy. Ci ostatni znajdują w Ameryce dopiero swobodne pole działania: oni to stanowią najwalnieszy czynnik rozkładowy w tej ogromnej, biednej, straconej części polskiego narodu. Sami jednakże, nie będąc dość... umiejętnymi, pomysłowymi, nie posiadając tego, co Amerykanie nazywają *smartness*, „zgrabnej mądrości“ — dają się rychło poznać swym przyjaciółom i skwapliwym współzawodnikom. Dlatego ukazują się i znikają — rosną jak grzyby po deszczu i giną jak muchy przed zimą. Tacy to ludzie, a czasem daleko lepsi od nich, prowadzą „politykę“ polską — „w imię Polski“ — między ludem... oszołomionym nowością swego otoczenia, nietylko wyzwolonym z kmiecciej i małomieszczańskiej ciasnoty poznańskiej i galicyjskiej — nietylko spanoszonym surdutowo, ale... patrzącym codzień na skandale, o jakich tu pisać nie chcę. Lud, najwięcej zaniedbany (jeżeli był zaniedbany) w siołach i miasteczkach rodzinnych, szanował w głębi duszy coś jeszcze; tam zaś, gdzie niema organizacyi i niema prawie żadnego

zwierzchnictwa, lud ten traci straszliwie prędko wszelką wiarę — wyjąwszy wiarę w dolara; wszelkie poszanowanie wymiera w nim, gdy nie ma czego szanować. Gdyby u nas zdano sobie dokładnie sprawę z tego, co dolar, wódka, luźność i wszelaka przestrożność wytwarza w polsko-amerykańskich koloniach — gdyby u nas pojęto zło istotne, o którym wołać po świecie niepodobna... to możeby uwierzono, iż lepiej, by lud nasz wywłókł się do Brazylii „na złamanie karku“, aniżeli powiększał miliony istotnie zgubionych — w Ameryce północnej.

Czego nie dokaże najnędniejsza złośliwość prywatna, współzawodnictwo, szalbierstwo, to jeszcze musi być wystawionem na machinacye takich Żurawskich.

W jakim celu? Taki p. Wincenty Żurawski nie pisze dla zarobku, bo taka *Ameryka* nie płaci z pewnością. Nie pisze *pour se voir imprimé*, bo nie szukałby okazji aż w Ohio. Ale pisze do takiej *Ameryki* w Ohio, redagowanej przez A. A. Paryskiego... bo żaden w Europie redaktor pisma „emigracyjnego“ nie poważy się wylać drukiem tak nędznej „podłoty“ — żaden dziennik polski w kraju nie zgodziłby się na samobójstwo. Nie pisze on nawet dla czytelników w Ohio i w reszcie Stanów — bezpośrednio dla nich tylko! Pisze, bo w ten sposób dolewa oliwy do płomieni, bo wie także, że pismo dochodzi do Londynu, Paryża, Zurychu, że je czyta drobne mieszczaństwo w kraju, czytając w niem wiadomości o krewnych i znajomych, czytając w niem anonse przedsiębiorstw emigracyjnych, „szpekulantów“, wyprowadzających rdzeń narodu za morza... anonse, których nie pomieszczą, nie chcąc lub nie mogąc, ludowe pisma Prus, Księstwa, Ślązka i Galicyi. „Listy z Londynu“ ktoś płaci. Kto? W jakim celu?

W innym liście eks-redaktor organu Akademii Nauk rozpisuje się o Polakach w Anglii. Zaznaczam zgóry, że o mnie nie wspomina wcale; nie mam przeto osobistej do korespondenta urazy. Nagłówek tego przyczynku do „historyi emigracyi“ naszej brzmi: „Zdarcie maski z obłudnych panów polskich i żydów. — Kryminaliści, oszuści, kłamcy chcą się kryć pod płaszczem wychodźstwa polskiego. Nazywa się „Klub literacki“, a jest pijacki. — Polacy odstępują od wiary i wyrzekają się narodowości“.

W rozbiór tego listu nie wdaję się. Prześwieca z niego najgrubsza nieznajomość Anglii, nawet jej geografii (niedziw, że p. Ż. porzucił Akademię Nauk!) — prześwieca jakieś mazgajstwo chorobliwe, stawiające korespondenta — i jego jedyne tylko — na jakimś świeczniku, rzucającym czarne, czarne cienie dokoła, wszędzie. „Dwa straszne cier-

pienia — pisze p. Ż. — trapią obecnie londyńskie wychodźtwa: czartoryszczyzna, choroba stara i prawie powszechna na polskim tułactwie, i epidemia nieco nowsza, żydzi“. Juźcić więc, za przykładem wszystkich nędzot „emigracyjnych“, rzuca na rodzinę XX. Czartoryskich najbrzydliwsze plugastwa. Donosi potem, że p. Adam Giełgud został protestantem na to, aby być... „urzędnikiem dla spraw duchownych (!) w ministerjum wojny“; że p. Jazdowski postąpił tak samo, by zostać chirurgiem wojskowym. Co zaś pisze o londyńskim klubiku rzemieślników polskich, tego powtarzać nie będę, bo niechże członkowie tegoż sami się ujadają ze swym... nie wiem, czy oszczercą, czy kielkującym reorganizatorem, prezesem — wszystko jest możliwe! Dziwna rzecz jednak — korespondent się gniewa, że „wszelkimi środkami, ma się rozumieć tajemnymi, przeszkadzają, żeby nie było polskiego kościoła i księdza!“ Kłamstwo to oczywiste — jak oczywista jest obłuda.

Edmund Naganowski.

Gimnastyka szwedzka.

Ktokolwiek z mieszkańców Krakowa, w ciągu upływającego lata, po zajęciach całodziennych, wieczorem kroki swe zwracał do Parku d-ra Jordana, aby odetchnąć balsamicznem powietrzem Błoniów i orzeźwiającym podmuchem, wiejącym od gór i lasów żywicznych, temu pod oczami dziwne się dopełniało przeobrażenie. Błada i wątła dzia-twa, która się tu wiosną, niby owady zimowem zamknięciem osłabione, wyroila, uczestniczeniem w tych ćwiczeniach i zabawach, na tem miejscu zagajonych przez wielkiego dobroczyńcę miasta, nabierała stopniowo ciała i rumieńców, zręczności i siły, giętkości ruchów i zdrowego blasku oczów. Znikała błądźliwość policzków, znamię utrwalone niehigienicznych życia warunków, a wraz rosła jędrna wesołość i swoboda tych smutnych do niedawna dzieci, zamienionych niby różczką czarodziejską w żwawych chłopaczków, rycerski zasiew przyszłości.

Widok tej pomyślnej, a tak szybkiej odmiany, oczywiście niejednego z przechodniów uderzyć musiał i zająć, zwracając uwagę powszechną ku nowym prądom, przebiegającym dziś świat cały na hasło: *mens sana in corpore sano*, i skutkiem wytknięcia groźnych niebezpieczeństw, wynikających z przeładowania mózgu, a zaniechania ćwiczeń fizycznych. „Spostrzeżono się nareszcie — odezwał się świeżo we Francyi jeden z rzeczników nowego ruchu — że umysł ma w ciele nie-

odłącznego towarzysza. Zbyt długo wzgardzony ów towarzysz wkońcu się rozchorował, i przekonano się wtedy, że umysł najrzeźwiejszy mało co zdziałać i postąpić może, kiedy jest związany z ciałem nadwątłym i słabym". Odrzucając we wszystkich krajach chwyciono się namiętnie środków ratunku: ćwiczeń fizycznych, i zagadnień tej drugiej, a ważnej wychowania strony. Jest wszelka nadzieja, iż tym razem wspólnie podjęte usiłowania i wywieszone hasła się utrwala i skutecznością uwieńcza, a nie rozwiewa, jak się to stało w początkach bieżącego stulecia. Już bowiem wtedy zadzwoniono na alarm, choć nie bardzo pojmujemy, jakim sposobem w r. 1814, a więc bezpośrednio po napoleońskich bojach, ludzkość mogła zapotrzebować innych ćwiczeń, nad wojskowe rzemiosło! A jednak pod ową to datą, pierwszych w wieku XIX. spostrzegamy zwolenników wychowania fizycznego i ćwiczeń rozwijających krzepkość ciała. Jahn w Berlinie, Amoros w Paryżu, Ling w Sztokholmie jednocześnie występują w szranki z nawoływaniem do podjęcia sprawy dziś tak jednomyślnie popieranej. Francja po krótkim zajęciu się teoryami Amorosa, zaniechała rychło w praktykę je wprowadzać. W Niemczech popęd dany nieco wcześniej przez Jahn, ustalił się na pewien czas, żądzą patryotycznego odwetu za Jenę. Ale też podnieta nadała gimnastyce charakter czysto wojskowy i atletyczny, chybiając celu prostej a roztropnej higieny. W jednej tylko Szwecyi wskazówki Linga dojrzały i rozwinęły się dobroczynnie, skutkiem ciągłych udoskonaleń pierwotnej myśli wielkiego założyciela systematu, stanowiącego dziś podstawę nie tylko wychowania, lecz i medycyny szwedzkiej.

Teofye Linga, rozwinięte przez jego następców i spadkobierców, zrewolucjonizowały w jego ojczyźnie odwieczne zasady lekarskie. Choroby w innych krajach leczone przeważnie zapomocą długiej nieruchomości i leżenia, w Szwecyi bywają zwalczane zapomocą umiejętnie zastosowanych ruchów i pobudzania czynności członków. A więc gimnastyka nie bywa używaną wyłącznie w cierpieniach kości pacierzowej i mięśni, w bólach reumatycznych lub nerwowych, lecz i w chorobach serca, żołądka, płuc, skóry i t. p. Zaczem nie tylko higieniczną przyznano jej rolę w zachowaniu i umocnieniu zdrowia, lecz nadto i leczniczą, gotową usunąć powody złego, zapomocą odnośnych ruchów. Osobne egzamina lekarzy-gimnastyków zaopatrują ich w patenta lekarsko-pedagogiczne i uprawniają ich czynną praktykę w kraju. Jednocześnie cały systemat gimnastyczny, właściwy Szwecyi, zcentralizował się w Instytucie gimnastycznym stolicy, gdzie przechowują się

tradycje Linga w trojakim kierunku gimnastyki: pedagogicznej, wojskowej i lekarskiej. Okrom też sal wykładów i sal ćwiczeń, znajduje się tam amfiteatr anatomiczny i poliklinika, gdzie codziennie mnóstwo chorych przychodzi korzystać z pomocy lekarskiej, udzielanej im przez uczniów i słuchaczy Instytutu, i to w formie masowania lub odpowiednich ruchów gimnastycznych.

Z tego to ogniska rozchodzą się na całą Szwecję wypróbowani gimnastycy, żeby użyć tytułu nadanego patentowanym nauczycielom. Każda wiejska szkołka bywa i szkołą gimnastyki. W okolicach mniej zaludnionych, wędrowny nauczyciel z kolei nawiedza rzadsze osady; wszystkie zaś znaczniejsze miasta posiadają odrębne zakłady, dokąd wieczorem przychodzą rzemieślnicy i robotnicy, powetować higienicznymi ruchami całodzienne przykucie do jednej roboty i nużące pochylenie nad warsztatem lub igłą. Trzeba znać genezę systemu Linga, aby zrozumieć i zmierzyć jego doniosłość. Twórca gimnastyki szwedzkiej dotknięty był przez długie lata sparaliżowaniem, bardzo dokuczliwym, ręki. Pozbył się tego kalectwa, stanowiącego istną życia jego plagę, zapomocą dobrze obmyślanych i codziennie powtarzanych ruchów. Uderzony skutecznością metody, wpadł na pomysł zastąpienia lekarstw gimnastyką. Ztąd charakter przeważnie medyczny szwedzkich teoryj gimnastycznych. Unikając starannie wszelkich wysileń, wszelkich atletycznych popisów, szwedzkie ćwiczenia zasadzają się więcej niemal na odmianach postawy, aniżeli na gwałtownych ruchach. Są tu wprawdzie i marsze i zwroty, ale więcej jeszcze spokojnych, a nieraz bardzo estetycznych wygięć ciała i członków. Nigdy przemęczenia, nigdy nawet wysiłku; wszystko zastosowane do przyrodzonej, a tylko rozwijanej umiejętności giętkości i siły.

Systemat ten nogólniony w Szwecyi musi być dobrym, sądząc po onego skuteczności i skutkach. Niema może kraju, gdzieby młode pokolenia równie wyglądały krzepkie, rosłe i zgrabne. Nie widzi się niemal kalek, garbusów, wątłych i niekształtnych postaci. Wzrost nawet słuszniejszy, jest wynikiem roztropnych ćwiczeń gimnastycznych, upowszechnionych w kraju. Podczas gdy we Francyi ostatnimi laty miara wojskowa spadła dla piechoty na 1 metr 54 cm., w Szwecyi się ona podniosła do 1 metra 67 cm. Greckie warunki piękności stwierdzają się powrotem do greckich ćwiczeń ciała. Zima północna mnoży rozrywki, jak raz przystosowane do higieny i rozwijania zręczności. Śniegi i lody otwierają gładkie pole harcom młodzieży na łyżwach lub saneczkach. W innej porze zakłady gimnastyczne, jak to już po-

wiedzieliśmy wyżej, stanowią miejsce zabawy, odpoczynku po całodziennym trudzie i ożywienia ścierpłych długiem siedzeniem członków.

Między lekarzami szwedzkimi, którzy osobny kładą nacisk na metodę gimnastyczną, warto wspomnieć d-ra Zaudera, wynalazcę machin, które służą wyłącznie do używania gimnastyki mechaniczno-higienicznej. Jedne z tych machin ćwiczą czynnie muszkuły w ruch wprawiane, inne biernego tylko wymagają oporu, zastępując ręczne masowanie. Już w wielu miastach zagranicznych, jak np. w Berlinie, otworzono sale gimnastyki mechanicznej, wedle systematu Zaudera, i nie śmieszniejszego napozór nad te maszyny, które zastępują gimnastów w czynności ożywiania martwiejących organizmów, trzęsąc, szarpiąc, rzucając, wyciągając ludzi chorych wskutek zbyt nieruchomych zajęć i rzemioł. Sądziłbyś, że to dom obłąkanych, nie zakład leczniczy. Niektóre krytyczne umysły gorszą się tą sztuczną czynnością i używaniem sił ludzkich na marne; powtarzają, iż lepiejby jakim użytecznem zajęciem zastąpić mechaniczne poruszenia: kobietom kazać prac lub maglować, mężczyzn do rąbania drzewa zapędzić. Niesłuszne to życzenie. Można być więcej znużonym dniem spokojnej i nieruchomej pracy, aniżeli czynnym znojem kilku godzin. Gimnastyka lecznicza przynosi wtedy skuteczne odpocznienie i pokrzepienie umiarkowanym i odpowiednim a mechanicznym ruchem, któryby się nie odnalazł w zajęciach pracowitych, wymagających nowej uwagi i wysilenia.

Zakłady d-ra Zaudera i wogóle wszelkie ćwiczenia fizyczne wedle systematu Linga, nieocenionym są nabytkiem, zwłaszcza dla mieszkańców miast i młodzieży szkolnej lub rzemieślniczej. W wieku zaś naznaczonym tylu odkryciami i postępami na polu medycyny, wartoby upowszechnić szwedzką metodę leczenia chorób ludzkich ruchem, nie zaś znieruchomieniem. Już do nas zawitała szczęśliwie gimnastyka szkolna — kiedyż i medyczna zawita?...

M.

Z wycieczki na Łużyce.

Łużyce, czyli saksońska Lausitz, obfitujące w dziejowe zabytki Słowiańszczyzny, oddawna już niezwykły dla mnie posiadały urok. Od lat wielu pragnąłem gorąco ujrzeć piękną i żyzną wendyjską ziemię, uścisnąć dłoń pobratymczego nam ludu, który ją zamieszkuje, przypatrzyć się jego zwyczajom, przysłuchać pieśniom i tradycjom. Dlatego

też, gdy w roku bieżącym znalazłem się w niewielkiej odległości od saksońskiej granicy, nie omieszkalem jej przekroczyć i podążyłem w kierunku Wendei.

Po kilku godzinach podróży, w ciągu której przed oczyma memi przesuwaly się faliste kontury gór Kruszcowych, uwieńczone ciemną koroną lasów i osnute szarem pasmem mgły, stanąłem na ziemi łużyckiej, w Citawie (Zittau). Jestto pierwsza wendyjska miejscina, jaką się od strony Czech spotyka. W XIV. w. należała ona do związku sześciu miast łużyckich, które w roku 1346 zawarły ze sobą przymierze, przyrzekając wzajemną pomoc i poparcie. W skład tego związku, oprócz Citawy, wchodziły Gorlice, Lobawa, Kamieniec, Laubawa i Budziszyn. Wkrótce po swem sprzymierzeniu, wszystkie te miasta dostały się pod panowanie Czech, w roku zaś 1635 zawładnęli niemi Sasi. Najsmutniejszego losu doznała Citawa; dnia bowiem 23 lipca 1757 r., po bitwie pod Kollinem, zdobyli ją Prusacy, a księżę Karol Lotaryński dowiedziawszy się o tem, do szczytu ją zbombardował. Odtąd miasto powoli dźwiga się z upadku i dziś liczy około 24.000 mieszkańców. Przeważną część ludności stanowią dotychczas Wendowie, plemię to jednak zamiast wzrastać pod względem ilości, znika stopniowo; przyczynę zaś tego powolnego wymierania upatrują niektórzy w zawieraniu związków małżeńskich z krewnymi, Wendowie bowiem nie chcąc łączyć się z Niemcami, szukają zawsze żon dla siebie w gronie dalszej rodziny.

Prawdziwym *cicerone* w tem niewielkiem, lecz chaotycznie zbudowanym miasteczku, stała się dla mnie wyniosła wieża kościoła św. Jana, panująca nad całą okolicą. Świątynia ta nader piękna i pełna powagi, została ukończoną w r. 1837. Wyszedszy z niej, znalazłem się wśród rynku, otoczonego wcale ładnymi gmachami, pomiędzy którymi ratusz zbudowany w r. 1845, muzeum starożytności i Joanneum, czyli budynek, zawierający gimnazjum i szkołę realną, pierwsze zajmują miejsce. W auli ostatniego z tych gmachów znajduje się przeszliczny fresk Dietricha, który przedstawia św. Pawła nauczającego Ateńczyków.

Ponieważ był to dzień świąteczny, więc na ulicach roili się ludzie, przeważnie Niemcy, Wendowie bowiem są zagorzałymi domatorami i starają się o ile tylko mogą nie wychylać się z rodzinnej zagrody. Z pewnem rozczerwaniem spoglądałem na pospolite i aż nadto dobrze mi znane typy niemieckie, gdy nagle z jednej bocznej ulicy wysunął się orszak, w którym nieznanne mi dotąd ubiory kazały się do-

myślać Wendów. Na czele postępował mężczyzna średniego wieku, w szerokich białych spodniach i czarnej kurtce bez rękawów, odbijającej malowniczo od białej jak śnieg koszuli. Człowiek ten, pełniący, jak się później dowiedziałem, rolę swata, miał na głowie niezmiernie wysoki kapelusz, ozdobiony kwiatami i różnobarwnymi wstążkami. Za nim kroczyły pary, w których mężczyźni byli podobnie jak swat ubrani, kobiety zaś w czarnych szerokich spodnicach, białych fartuchach i czarnych czepkach z białą koronką. Nadto każda z nich miała na szyi mnóstwo paciorków, albo naszyjnik z jakichś złotych lub srebrnych monet. Wszystkie wogóle typy nazwać było można pięknymi, nie z powodu regularności rysów, ale dla łagodności i dobroci rozlanej na każdej niemal twarzy.

— *Was ist das?* — zapytałem jednej ze starszych kobiet i wskazałem idący przed nami orszak.

Wendyjka mruknęła coś niechętnie.

— *Szto to je?* — powtórzyłem moje zapytanie, tłumacząc je, jak umiałem, na język miejscowy.

Na te słowa pocziwa kobieta uśmiechnęła się życzliwie i odparła:

— *To je swadba* (wesele). *Ale wy, pane, odkiaľ?*

Po chwili między nami zawiązała się poufała gawędka; ja mówiłem po polsku, moja towarzyszka po wendyjsku, i rozumieliśmy się doskonale. W ciągu rozmowy zaznaczyłem, jak to chwalebnie, iż Wendowie trzymają się wiernie swego stroju i języka.

— O, nie wszyscy, panie — odparła z westchnieniem kobieta. — Ci, którzy kochają wiarę ojców, miłują zarazem wszystko, co nasze, co wendyjskie; ale ci, co słuchają Lutra, wstydzą się już ojczystego ubioru i mowy. I niech tak będzie — dodała z mocą — bo co nam po rodaku protestancie!

Tak rozmawiając, doszliśmy do drugiego kościoła w Citawie, pod wezwaniem śś. Piotra i Pawła, gdzie ślub miał się dopełnić. Miałem wielką ochotę przypatrzeć się temu obrzędowi, ale spojrzawszy na zegarek, przekonałem się, iż muszę niezwłocznie pospieszać na dworzec. Pożegnałem więc uprzejmie pocziwą Wendyjkę, i w pół godziny później leciałem już na skrzydłach pary w głąb pięknych Łużyc.

Najbliższym celem mojej podróży było miasto Herrnhut, założone przez husyckich sekciarzy, zwanych „braćmi czesko-morawskimi“, którzy w r. 1722 opuścili ojczyznę i od hrabiego Zinzendorfa otrzymali na Łużycach znaczny obszar gruntu i lasu. Dziś mają oni w tem mieście kilka domów mieszkalnych, dość bogate muzeum etnograficzne i mo-

dlitewnię, której jedyną ozdobę stanowi ośm lichtarzy. Do modlitewni tej schodzą się codziennie wieczorem na praktyki swego kultu, po których następuje wspólna wieczerza, złożona z chleba i herbaty. Ma to być nieudatne przypomnienie agapy z pierwszych czasów chrześcijaństwa.

Zarząd gminy „braci” spoczywa nominalnie w rękach pierwszego kaznodziei, noszącego szumny tytuł biskupa, do którego, jak się zdaje, nie ma żadnego prawa. Właściwie jednak troszczy się on tylko o zewnętrzną stronę swego kultu, wszystkie zaś inne kwestye, dotyczące gminy czesko-morawskiej w Herrnhucie, jak również wszystkich gmin tej sekty na całym świecie, rozstrzyga dyrekcyja, która przebywa zwykle w Berthelsdorfie pod Herrnhutem. Ta ostatnia ze swej strony ulega władzy synodu, złożonego z deputowanych sekty w Ameryce i Europie, którzy co lat 7 lub 12 zjeżdżają się w Herrnhucie.

Nader oryginalny jest podział gminy Czecho-morawczyków na tak zwane *chóry*, podług wieku, płci i stanu. Istnieją więc chóry dzieci, młodzieńców, dziewcząt, ojców i matek rodzin, a wreszcie wdów i wdowców. Jak bracia, tak też i siostry mieszkają we wspólnych domach, trudnią się handlem, oraz rozmaitemi rzemiosłami. Nie przeszkadza to im także propagować, o ile się da, zasad swej sekty, jednak pomimo gorliwych starań, niewiele wśród ludności wendyjskiej znajdują dla niej adeptów.

Mówiąc o braciach czeskich w Herrnhucie, muszę też wspomnieć o ich cmentarzu, leżącym w pobliżu tego miasta. Cmentarz ten świadczy wymownie o swych właścicielach; jestto bowiem raczej piękny ogród, niż miejsce wieczystego spoczynku ludzi, mieniących się chrześcijanami. Na kilkuset grobach leżą tylko czworokątne głazy, z napisem wyrażającym imię, nazwisko, wiek i miejsce pochodzenia tych, co tam spoczywają, nie widać zaś nigdzie ani jednego krzyża, ani nic, coby przypominało, że jestto cmentarz chrześcijański.

O parę godzin drogi od Herrnhutu, wśród gęstego lasu, wonnych sosen i jodeł, wznosi się Kotmar, jedna z najpiękniejszych gór łużyckich, mająca 583 metrów wysokości od poziomu morza. Góra ta ma ważne geograficzne znaczenie, stanowi bowiem dział wodny między Elbą a Odrą. W zamierzlonych dziejach pogańskiej Słowiańszczyzny Kotmar także ważną odgrywał rolę i Wendowie nader często odbywali nań pielgrzymki, twierdząc, że bogini Mara, poczytywana przez nich za źródło ludzkiego, zwierzęcego i roślinnego życia, codziennie o południu zstępuje na tę górę. Dlatego też istniał zwyczaj palenia

na Kotmarze w południowej godzinie rozmaitych roślin i wylewania na ogień mleka, co miało zjednać opiekę bogini nad bydłem i zbożem. Po przyjęciu chrześcijaństwa, wędrówki na Kotmar nie ustały wcale, tylko uległy pewnym modyfikacyom. W ubiegłym stuleciu okoliczni mieszkańcy podążali tam w wigilię Zielonych Świątek i wśród ogólnej radości zrzucali ze szczytu góry kamienie, poczem udawali się do t. zw. „olbrzymiej studni“. Zrzucanie kamieni miało przypominać obalenie bałwanów pogańskich po przyjęciu chrystyanizmu, u olbrzymiej zaś studni odbywało się zwykle uroczyste obmywanie się kapłanów Mary. Dziś podobne wycieczki w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego są także u Wendów we zwyczaju. Wprawdzie zrzucanie głazów wyszło już z mody, ale natomiast na górze rozlegają się wesołe śpiewy, jako radosne powitanie wiosny.

Nazajutrz po przybyciu do Herrnhutu, wsiałem do pociągu, idącego do Lobawy (Löbau). Wraz ze mną jechał jakiś młody mężczyzna z lornetką w skórzanym wiszącym futerale i Baedekerem w ręku. Oba te przedmioty na pierwszy rzut oka dawały w nim poznać turystę *ex officio*. Z początku towarzysz mój pogrążony był całkowicie w studyowaniu swej książki mądrości, i dopiero gdyśmy dojeżdżali do celu mej podróży, zwrócił się do mnie, prosząc o ogień do cygara.

— Dokąd pan jedzie? — zagadnął po chwili.

— Do Lobawy.

— Ależ panie, przecież to zapadła dziura, i jeżeli, jak mi się zdaje, jeździsz pan dla przyjemności, to nie tam nie zobaczysz i niczego się nie dowieisz. Czy wiesz pan, że tam niema nawet porządnej restauracyi?

Uśmiechnąłem się mimowoli na te słowa, charakteryzujące wybornie turystę-Niemca. Rzeczywiście niejednokrotnie miałem sposobność się przekonać, że palącą kwestyą, na którą niemiecki wędrownik największy kładzie nacisk, jest *gutes Bier* i *gute Restauration*. Poza tem kryterjum istnieje dla niego na drugim planie *bequemer Weg*, na trzecim zaś *schöne Aussicht* i *frische Luft*.

Ponieważ moja wędrówkomanja miała zupełnie odrębny punkt wyjścia, nie dałem się więc zniechęcić przestrogi mego towarzysza, i parę dni następnych spędziłem w Lobawie. Nie żałowałem też tego wcale; pobyt bowiem w tem czystutkiem i malowniczym miasteczku jest bardzo przyjemny. Lobawa leży w urodzajnej kotlinie i niegdyś stanowiła miejsce obrad deputowanych z sześciu sprzymierzonych miast łżyckich. Dzisiaj straciła już wiele ze swego dawnego znaczenia,

a liczba jej mieszkańców zredukowała się stopniowo do 7000. Powierzchność tego miasta jest bardzo miła. Wszystkie niemal domy otoczone są starannie utrzymanymi ogrodami, rozległy zaś rynek, oraz proste i szerokie ulice, czynią wrażenie wielkiego miasta. Drzwi mieszkań najczęściej są zamknięte, ponieważ Wendowie unikają ulicznego zgiełku i wszelkich hałaśliwych zabaw. Życie całe ześrodkowuje się w rodzinnej zagrodzie, dlatego też Lobawa jest rzeczywiście bardzo spokojną i cichą; cisza ta jednak nie ma w sobie nic posępnego. Na ulicach nie słychać nigdy gwizdania, krzyków, kłótni lub przekleństw, zewsząd tylko dolatuje echo wesółych pieśni i przyjacielskich rozmów. Wszystko to tem bardziej zasługuje na uwagę, że Lobawa jest ogniskiem bardzo ożywionego handlu zbożem i wełną.

Na północ od tego miasta nazwy miejscowości, które dotychczas brzmiały niemiecka, zdradzają coraz bardziej wendyjskie pochodzenie, i chociaż Niemcy wchodzą tu jeszcze w skład ludności, język ich jednak coraz rzadziej słychać się daje. Tutaj też dopiero można nabyć dokładnego pojęcia o charakterze i sposobie życia Wendów. Jestto lud przedewszystkiem rolniczy, zamieszkujący żyzne niziny i pracujący na polu od świtu, aż dopóki dzwon wiejskiego kościółka nie wezwie go wieczorem do modlitwy i spoczynku. Obok żyta i kartofli, Łużyczanie uprawiają także pszenicę, z której w najrozmaitszy sposób przyrządzają sobie jadło.

Wsie wendyjskie są po większej części niewielkie, lecz schludne i porządnie zabudowane. Domy najczęściej murowane, otacza obszerna drewniana galerya, pokrywa je zaś niski dach ze słomy lub sitowia. We wnętrzu chaty stoi zwykle ogromny piec kaflowy, na ścianach wiszą obrazy Świętych i wieńce ze zboża; podłoga najczęściej ubitą jest z gliny, drewniane zaś ławy i stoły stanowią całe umeblowanie. Jak widzimy, wnętrze tych chat przypomina zupełnie domostwa naszego ludu i różni się całkowicie od chat niemieckich, daleko większym odznaczających się komfortem.

Co do narodowego stroju Wendów, to przechowuje się on wyłącznie wśród katolickiej ludności, protestancy bowiem Łużyczanie asymilują się pod każdym względem z Niemcami. Najpospolitszymi barwami jest czarna i biała; ta ostatnia jednak wbrew zwyczajom innych ludów oznacza żałobę. Charakterystyczną cechą Wendów jest niezwykle przywiązanie do zwierząt domowych i pszczoł, które niekiedy w oryginalny wyraża się sposób. Skoro na przykład umrze pan domu, wówczas jeden z krewnych puka laską w ule i woła: „Obudźcie się

pszczołki, pan wasz nie żyje“. Przedewszystkiem jednak lud ten odznacza się głęboką pobożnością, objawiającą się w każdym niemal słowie. Każdego też roku na rozmaite uroczystości Matki Boskiej pewna część wendyjskiej ludności odbywa pobożne pielgrzymki do Marienstern pod Budziszynem, Marienthal pod Citawą i Mariaschein w Czechach; nieraz nawet dały mi się słyszeć z ust Niemców wyrazy uwielbienia dla pobożności i żarliwości, z jaką Wendowie uczestniczą w religijnych obrzędach.

W niewielkiej odległości od Lobawy leży przesłiczna dolina, otoczona niezbyt wysokiem pasmem gór łżyckich i zwana przez krajowców Skala. Wpółrodku tej doliny, na dość znacznej przestrzeni, rozrzuconą jest wendyjska wieś Kitlica. Godnym widzenia jest w niej duży kościół, pochodzący z XII. wieku, z ładnym ołtarzem i konfesyonałem. Dokoła świątyni roztacza się obszerny cmentarz z kilkoma bardzo starymi i charakterystycznymi nagrobkami.

O pół godziny drogi poza Kitlicą wznosi się Stromberg, jedna z ważniejszych gór w północnych Łżycach. Ze szczytu jej widać całą niemal puszcę, która się zaczyna na północ od Weissenbergu i ciągnie się poza pruską granicę. Puszcza ta nie jest wcale tak pępną i jałową, jakby się domyślać należało. Liczne jeziora, zarośnięte sitowiem lub trziną, ogromne lasy, oraz pola i łąki, urozmaicają krajobraz. Dopiero poza pruską granicą rozpoczyna się puszcza właściwa, i wieśniacy, przywożący ztamtąd drzewo do Saksonii na nędznych wózkach, ciągnionych przez wychudłe konie, świadczą samą swą powierzchownością o ubóstwie tej piaszczystej przestrzeni.

Na samej niemal krawędzi puszczy, od strony Saksonii, mieści się ładna pograniczna miejscina, Weissenberg, zasługująca na uwagę z powodu starożytnych szańców Belgernskich. Szańców takich jest na Łżycach około 40. Są to wały ziemne w kształcie podkowy, mające niekiedy 20 metrów wysokości, a od 40—50 metrów średnicy. Wierzchołek ich porośnięty bywa zwykle krzewami, brzożami lub drzewami iglastymi, najpospolitszemi w tym kraju. Szańce te pochodzą z nader odległej epoki; kości zaś i urny, znajdowane w ich obrębie, każą się domyślać, iż podczas pokoju służyły one za cmentarzyska, w czasie wojny zaś za punkta obserwacyjne lub obronne wały.

Z Belgern, przez wsie wendyjskie, Drechsę i Wawicę, wiedzie droga do większej nieco od nich Pomrycy. Pomiędzy tą ostatnią a górą Czernobohem leży wieś Hochkirch nader smutnej pamięci. Dnia 16 października 1757 r. pod wsią tą stoczoną została krwawa potyczka po-

między Fryderykiem Wielkim a Austryakami, i dziś jeszcze na tamtejszym kościele widać wyraźne ślady zawziętego boju.

Na zachód od Hochkirch majestatyczna góra Czernoboh wznosi dumnie ku niebu nagi swój wierzchołek. Góra ta właśnie wraz z sąsiednim Bielobohem stanowiła kulminacyjny punkt mej wycieczki na Łużyce. Droga na nią nie jest zbyt uciążliwa; wszelkie zresztą trudy wynagradza przepyszna panorama, jaką z jej szczytu można się napawać. Czernoboh jest niezaprzeczenie najciekawszą górą łużycką nie tylko ze wspaniałego krajobrazu i niezwyklej formacyi skał, ale także z powodu przywiązanych do niego podań. Na górze tej, podług miejscowej tradycyi, znajdowała się niegdyś wyrocznia, której rady zasięgali Wendowie we wszystkich ważniejszych wypadkach. Dziś jeszcze Czernoboh cieszy się u Łużyczan wielką popularnością: corocznie podczas Zielonych Świątek przybywają nań gromady krajowców, śpiewają narodowe pieśni i wdrapują się na piękną granitową wieżę, wzniesioną na miejscu dawnego pogańskiego ofiarnika.

Jeżeli Czernoboh otrzymał swą nazwę na cześć złego, nieprzyjaznego bóstwa, to sąsiednia góra, Bieloboh, leżąca wśród lasów w niewielkiej od Czernoboha odległości, była niewątpliwie poświęconą bogowi łaskawemu i dobremu. Na niej także wznosił się niegdyś ołtarz pogańskich Wendów, którego ślady dziś jeszcze istnieją. Nadto z góry tej roztacza się prześliczny widok na wschód i południe, tj. na czeską i saksońską Szwajcaryę, malownicze okolice Citawy, oraz na 12 miast łużyckich i przeszło 100 wiosek, które otacza szeroki wieniec gór, porośniętych przepyszными jodłowymi lasami. Niedziw też, że Bieloboh miłszym jest Łużyczanom nad wszelkie inne góry, opróżnienia go bowiem mnóstwo narodowych podań i tradycyj, z wierzchołka zaś jego widać całe niemal Łużyce, które każdy prawdziwy Wendyjczyk kocha gorąco i głęboko.

Tytus Sopotzko.



SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Stronice.

DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU. Przez <i>ks. Antoniego Langerę T. J.</i>	1, 218, 337
STANLEY I EMIN PASZA (dok.). Przez <i>Strzemieńczyka</i> . .	11, 234
MARIA-ZELL. Zapiski z podróży. Przez <i>ks. Jana Bade- niego T. J.</i>	33
BAZYLIANIE NA ŻMUDZI (dok.). Przez <i>Wołymiaka</i>	53
ŚWIĘTA TUNIKA czyli nieszyta szata Chrystusa Pana w Trewirze. Przez <i>ks. d-ra Józefa Pelczara</i>	73
O POJEDYNKU. Przez <i>ks. Maryana Morawskiego T. J.</i> .	157
HISTORYCZNY ROZWÓJ NIHILIZMU W ROSYI. VII. VIII. (dok.) Przez <i>ks. Stanisława Załęskiego T. J.</i>	173, 351
LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI. Przez <i>księcia Pawła Sapiechę</i>	192, 373
U SŁOWEŃCÓW. I. Celowiec. Przez <i>ks. Jana Bade- niego T. J.</i>	317
KILKA SŁÓW O TOKU MYŚLENIA w zastosowaniu do nau- czania elementarnego. Przez <i>ks. W. Gadowskiego</i>	389

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

WYDAWNICTWA AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE: „BIBLIOTEKA PISARZÓW POLSKICH“. (Nr. 13, 14, 15). 1. Historya prawdziwa, która się stała w Landzie, mieście niemieckiem. 1568. — 2. Henryka Korneliusza Agryppy: O słachetności a zachości pici niewieściej, przekład Macieja Wirzbięty. 1575. — 3. Theodora Zawackiego: Memoriale oeconomicum. 1616. (<i>Stanisław Witkowski</i>)	97
DRUGIE POKOLENIE. Powieść przez M. Gawalewicza. (<i>M.</i>) . . .	102
KSIĘGA PAMIĄTKOWA setnej rocznicy ustanowienia Konstytucyi Trzeciego Maja. Zebrał i wydał Kazimierz Bartoszewicz. T. I. — ALBUM PORTRETÓW, RYCIN I WIDOKÓW, odnoszących się do Konstytucyi Trzeciego Maja. Zeszyt I. (<i>Dr. Feliks Koneczny</i>)	106
LITERATURA POLSKA. Przez Adama Brezę. (<i>Ks. Witold Czechtł</i>)	247
Z ZAKRESU POWIEŚCI: „Ciche tragedye“. Przez Józefa Rogosza. „Z miasta i ze wsi“, obrazki z życia. Przez Alberta Wilczyńskiego. (<i>Czesław Pieniążek</i>)	260
POLSKIE PIEŚNI KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO, od najdawniejszych czasów do końca XVI. stulecia. Zebrał ks. Józef Surzyński. (<i>M.</i>)	265
PAMIĘTNIKI JÓZEFA DRZEWIĘCKIEGO (1772—1852). Wydane nanowo przez ks. d-ra Stefana Pawlickiego. (<i>F.</i>)	268
PISMA ASCETYCZNE KARDYNAŁA JANA BONY. Przełożył z języka łacińskiego na polski ks. dr. Jan Bernacki. (<i>Ks. P. P.</i>)	271
POLSKA I EUROPA W DRUGIEJ POŁOWIE XVIII. WIEKU. Przez K. Waliszewskiego. Wstęp do historyi ruchu politycznego w tej epoce. (<i>Dr. K. Krotoski</i>)	396
PRAKTYCZNY PODRĘCZNIK GRAMATYKI JĘZYKA POLSKIEGO dla młodzieży szkolnej. Ułożył ks. W. Cz. (<i>Stanisław Witkowski</i>)	406
D-RA G. A. LINDNERA: ZASADY LOGIKI I DYDAKTYKI OGÓLNEJ. Dla użytku seminarjów nauczycielskich polskich wyłożył i zastosował dr. Władysław Seredyński. (<i>Ks. W. G.</i>)	411
PRZEWROT UMYSŁOWY W POLSCE WIEKU XVIII. Studya historyczne. Smoleński Władysław. (<i>Dr. Antoni Karbowiak</i>)	415
LISTY DO OLESIA o wykształceniu wewnętrznem. Z obcych wzorów opracował ks. Zygmunt Skarżyński. (<i>Ks. M. C.</i>)	417

Z piśmiennictwa zagranicznego:

M-ME DU BOURG, mère Marie de Jésus. Par l'abbé I. Béranger. (<i>M.</i>)	111
SOUVENIRS DE LA COMTESSE DE LA BONÈRE 1793—1796. (<i>F.</i>)	113
MGR. ALEXIS CANOZ, de la Compagnie de Jésus, premier évêque de Trichinopoly. Par un Père de la même Compagnie. (<i>L.</i>)	114
LES ÉMIGRÉS ET LA SOCIÉTÉ FRANÇAISE SOUS NAPOLÉON I-er. Par H. Forneron, avec une introduction par M. Le Trésor de la Rocque. (<i>fm.</i>)	116

L'OBSTACLE. Par Alphonse Daudet. Collection Guillaume . . .	117
DIE KATAKOMBENGEMÄLDE UND IHRE ALTEN COPIEN. Eine ikonographische Studie. Joseph Wilpert. (<i>Ks. dr. J. Bilczewski</i>)	273
ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII FRANCUSKIEJ. (<i>E. P. A. S.</i>)	277
LA FIANCÉE DE LA FONTENELLE. — FOU D'AMOUR. — LE ROMAN D'UN PROPRIÉTAIRE. — UNE REINE DE THÉÂTRE. Souvenirs de jeunesse, de théâtre et de cour. Par Ch. d'Héricault. (<i>J. B.</i>)	284
COMMENTARIUS IN ECCLESIASTEN ET CANTICUM CANTICORUM. G. Gietmann S. J. (<i>Ks. Augustyn Arndt T. J.</i>)	419
CORRESPONDANCE DIPLOMATIQUE ET MÉMOIRES INÉDITS DU CARDINAL MAURY, annotés et publiés par Mgr. Ricard. (<i>M.</i>)	425
ŻYCIORYS ŚWIĄTOBLIWEJ SIOSTRY RÓŻY, Zakonnicy Konwarski PP. Norbertanek, Założycielki Arcybractwa Mszy wynagradzającej. Opisywany przez Artura Lotha, z zapisków Jej własnoręcznych (tłumaczenie z francuskiego). (<i>A. M. W.</i>)	432
UN APPRENTI MODÈLE. NUNZIO SULPRIZIO. Par le comte Le Camus. (<i>F.</i>)	433

Z pism czasowych:

Czasopismo chorwackie: VIENAC ZABAVI I POUČI U ZAGREBU. (Wieniec zabawy i nauki). 1891. (<i>Tytus Sopotzko</i>) . . .	119
Czasopismo słoweńskie: RIMSKI KATOLIK, tretji tečaj, v Gorici 1891. Vrejuje in izdaja dr. Anton Mahnič. (<i>Tytus Sopotzko</i>)	286

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Ruch pojednawczy we Francyi. — Skutki laicyzacyi szkół. — Walka o szkołę w Ameryce północnej. — Chińskie rozruchy. — Edykt cesarza chińskiego w obronie misjonarzy. — Kongres katolicki w Mechlinie. — Prowincjonalny synod ruski we Lwowie. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	130
POLONIA W HAMBURGU I BREMIE. List z podróży. Przez <i>B. Jasieńczyka</i>	139
WRAŻENIA Z KONGRESU GDAŃSKIEGO. Przez <i>R.</i>	149

LISTOPAD.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Rozruchy rzymskie. — Zachowanie się prasy a rządu francuskiego. — Walka religijna we Węgrzech. — Projekt konfiskaty dóbr kościelnych. — Uchwały „Związku Ewangelicznego”. — Antypornograficzny kongres w Bernie. — Śmierć ks. biskupa Janiszewskiego. — Dwa pisma papieskie. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	294
---	-----

SZKOŁA ORGANISTÓW W TARNOWIE. Przez <i>H. P.</i>	Stronnica 306
PIERWSZY POLSKI WIEC KATOLICKI W TORUNIU. Przez <i>ks. Jana</i> <i>Bademiego T. J.</i>	307

GRUDZIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Okólnik W. Mistrza Wschodu Rzymskiego. — Agitacya przeciw prawom gwarancyjnym. — Mowa Rudi- niego. — Dwa antychrześcijańskie rozporządzenia rządu włoskiego. — Proces arcybiskupa z Aix. — Postulaty pa- ryskiego kongresu wolnodumców. — Prześladowanie chrześcijan w Chinach. — Walka z niemoralnością w Ber- linie, Paryżu i Wiedniu. Przez <i>ks. Jana Bademiego T. J.</i>	436
LIST Z ANGLII. Przez <i>Edmunda Naganowskiego</i>	445
GIMNASTYKA SZWEDZKA. Przez <i>M.</i>	450
Z WYCIECZKI NA ŁUŻYCE. Przez <i>Tytusa Sopodźkę</i>	453

